



JOHN
CONNOLLY
NIESPOKOJNI

Prószyński i S-ka

Daniel Clay, niegdyś ceniony psychiatra dziecięcy, zniknął przed laty, podejrzany o to, że wykorzystywał seksualnie swoich pacjentów i był członkiem pedofilskiej siatki. Jego córka Rebecca próbuje żyć z tą świadomością, jednak jej kruchy spokój zostanie wkrótce zdruzgotany. Ktoś wypytuje o Daniela Claya, ktoś, kto nie wierzy w jego śmierć. To Frank Merrick, były płatny morderca, który obsesyjnie chce poznać okoliczności zniknięcia swej córki. Zajmujący się tą sprawą prywatny detektyw Charlie Parker znajdzie się w potrzasku między tymi, którzy pragną ujawnienia prawdy o psychiatrze a tymi, którzy za wszelką cenę chcą, by pozostała tajemnicą...

Mroczna, sugestywna proza Connolly'ego, łącząca strach przed realnym z grozą nadprzyrodzonego, tworzy klimat, z którego trudno się otrząsnąć.

John Connolly – urodził się w Dublinie w 1968 roku. Jego debiut *Wszystko martwe* natychmiast ułokował go w ścisłej czołówce autorów thrillerów i wszystkie jego następne powieści były bestsellerami. Jest pierwszym nieamerykańskim pisarzem, który zdobył nagrodę literacką US Shamus dla autorów powieści detektywistycznych (1999). W Polsce ukazały się jego książki: *Kraina cieni* (2004), *Morderczy gatunek* (2005), *Nokturny* (2006), *Biała droga* (2006), *Księga rzeczy utraconych* (2007), *Żli ludzie* (2007).

Strona autora:

www.johnconnolly.co.uk

PATRONAT MEDIALNY



www.portal.kryminalny.pl



Cena 34,90 zł

ISBN 978-83-7469-762-0



9 788374 697620

www.proszynski.pl

JOHN
CONNOLLY
NIESPOKOJNI

Przełożyła Magdalena Mierowska

Tytuł oryginału THE UNQUIET

Copyright © 2007 by John Connolly All rights reserved

Projekt okładki Vincent Chong

Redaktor serii Renata Smolińska

Redakcja techniczna Elżbieta Urbańska

Korekta Mariola Będkowska

Łamanie MAGRAF

ISBN 978-83-7469-762-0

Warszawa 2008

Wydawca

Prószyński i S-ka SA

02-651 Warszawa, ul. Garażowa 7

www.proszynski.pl

Druk i oprawa

Drukarnia Wydawnicza im. W. L. Anczyca S. A.

30-011 Kraków, ul. Wrocławska 53

*Dla Emily Bestler,
z wielkim uczuciem i podziękowaniami
za wytrwanie ze mną*

I

I dokąd może pójść zmarły człowiek?
Na to pytanie odpowiedź tylko zmarli znają.
Nickel Creek, *When in Rome*

Prolog

Nasz świat jest pełen złamanych rzeczy: złamanych serc, złamanych obietnic, złamanych ludzi. Nasz świat jest również kruchą konstrukcją, miejscem o strukturze plastra miodu, gdzie przeszłość wżera się w teraźniejszość, gdzie ciężar krzywdy krwi i starych grzechów burzy życia i zmusza dzieci, by spoczęły ze szczątkami swoich ojców wśród zdruzgotanych ruin tego, co nastąpiło.

Mnie złamano i ja też łamałem. Teraz zastanawiam się, ile krzywdy można wyrządzić innym, zanim wszechświat przedsięwzięmie działanie, zanim jakaś zewnętrzna siła nie zadecyduje, że już dosyć wycierpiano. Kiedyś myślałem, że jest to kwestia równowagi, jednak już tak nie uważam. Myślę, że to, co ja zrobiłem, było zupełnie nieproporcjonalne do tego, co uczyniono mnie, ale taka jest natura zemsty. Ona ulega eskalacji. Nie można jej kontrolować. Jedna krzywda powoduje następną i następną, i jeszcze jedną, aż do momentu, kiedy ten pierwotny uraz jest prawie zapomniany w chaosie wszystkiego, co następuje.

Kiedyś byłem mścicielem. Już nigdy więcej nim nie będę.
Lecz nasz świat jest pełen złamanych rzeczy.

Plaża w miejscowości Old Orchard w stanie Maine, 1986

Zgadula wyjął zwitek banknotów z kieszeni, poślinił kciuk i dyskretnie przeliczył dzienny urobek. Słońce zachodziło, odbijając się w wodzie odblaskami płonącej czerwieni jak krew i ogień. Na promenadzie nadmorskiej jeszcze spacerowali ludzie, popijając gazowane napoje albo jedząc gorącą kukurydzą z masłem, a w oddali na plaży widać było sylwetki spacerowiczów trzymających się za ręce lub przechadzających się samotnie. Ostatnio pogoda zmieniła się, wieczorne temperatury znacznie spadły, a ostry wiatr - zwiastujący jeszcze większą nadchodzącą zmianę - bawił się ziarnkami piasku przy zapadającym zmroku i letnicy już nie ociągali się z odejściem, jak to wcześniej bywało. Zgadula czuł, że jego czas tam się kończył, bo jeżeli goście już nie zatrzymywaliby się przy nim, to nie miałby nic do roboty i gdyby nie mógł pracować, to nie byłby Zgadulą. Byłby tylko niewysokim staruszkiem stojącym przed rozklekotanym stoiskiem z wywieszkami, wagą, ozdóbkami i świecidełkami, bo bez audytorium podziwiającego tę wystawę jego umiejętności mogłyby wcale nie istnieć. Tłum turystów zaczynał przeredzać się i niedługo to miejsce nie będzie atrakcyjne dla Zgaduli i jego towarzyszy: handlarzy ulicznych, sprzedawców pięciocentowych biletów na karuzelę, kuglarzy, jarmarcznych aktorów i innych cwaniaków. Będą zmuszeni wyruszyć w poszukiwaniu bardziej przyjaznej krainy albo zaszyć się w jakiejś dziurze na zimę i przeżyć za pieniądze zarobione w lecie.

Zgadula czuł morze i piasek na skórze, zapach słony i afirmujący życie. Zawsze na to reagował, nawet po tych wszystkich wielu latach. Morze dawało mu środki do życia, bo przyciągało tłumy, a on na te tłumy czekał, ale jego sympatia dla morza miała głębsze przyczyny niż tylko pieniądze, które mu przynosiło. Nie, on dostrzegał coś z własnej natury w morzu, w zapachu swego potu, który był echem jego odległego źródła i źródłem wszystkiego, bo wierzył, że człowiek, który nie reagował na zew morza, był człowiekiem przegranym.

Kciukiem fachowo przeliczył banknoty, delikatnie poruszając ustami, dodawał w pamięci. Kiedy skończył, dodał do bieżącej sumy, potem porównał z zarobkami z tego samego okresu w zeszłym roku. Był do tyłu, tak jak w zeszłym roku zarobił mniej niż w poprzednim, a rok wcześniej mniej niż dwa lata temu. Ludzie byli teraz bardziej cyniczni i rzadziej przystawali z dziećmi przy dziwnym, małym staruszką, by obejrzeć jego skromny występ. Musiał pracować jeszcze ciężiej, zarabiając jeszcze mniej, chociaż nie tak mało, by zacząć rozważać porzucenie wybranego zawodu. W końcu, co innego mógłby robić? Może zmywać stoły w barze? Pracować za ladą u Mickeya D., jak niektórzy bardziej zdesperowani, znajomi emeryci, którym zostało sprzątnięcie po kwilących niemowlętach i nieuważnych nastolatkach. Nie, to nie było dla Zgaduli. Szedł swoją drogą już prawie czterdzieści lat i z tego jak się czuł, wnosił, że ma przed sobą jeszcze parę lat, zakładając, że będzie oszczędzony przez wielkiego rozdającego w niebie. Miał wciąż bystry umysł, a jego oczy, skryte za okularami w czarnych oprawkach, ciągle potrafiły dostrzec wszystko, co musiał wiedzieć, by móc nadal zarabiać na swoje skromne utrzymanie. Niektórzy mogliby nazwać to, co posiadał, darem, ale on tak nie uważał. To była umiejętność, rzemiosło doskonałe i rozwijane rok po roku, ślad zmysłu, który pozostawał silny u naszych przodków, ale teraz został stępiony przez wygody nowoczesnego życia. To, co posiadał, było pierwotnym elementem, jak przyływy i prądy w oceanie.

Dave „Zgadula” Glovsky przyjechał do Old Orchard Beach w 1948. Miał wtedy trzydzieści siedem lat i od tego czasu zarówno jego sposób reklamy, jak i narzędzia pracy pozostały

właściwie takie same. Jego mały stragan na promenadzie nadmorskiej składał się głównie ze starego drewnianego krzesła zawieszzonego na łańcuchach przy wadze typu R. H. Forschner. Żółty szyld, ręcznie namalowany pobieżną, nagryzoloną kreską, przedstawiał twarz Dave'a, reklamował jego zawód i adres dla tych ludzi, którzy może nie byli całkiem pewni, gdzie się znajdowali, ani co widzieli, jak już tam dotarli. Szyld informował: Zgadula, Wesołe Miasteczko Palace, plaża OLD ORCHARD, Maine.

Zgadula był stałym elementem życia w Old Orchard. Był tak samo częścią letniska jak piasek w napojach gazowanych i tradycyjne, ze słoną wodą, toffi, które wyciągały plomby z zębów. To było jego miejsce i on znał je bardzo dokładnie. Przyjeżdżał tu już tak długo uprawiać swój fach, że natychmiast zauważał pozornie nieistotne zmiany w tym swoim środowisku: a to coś świeżo pomalowane, a to zgolony wąs. Takie sprawy były dla niego ważne, bo dzięki nim zachowywał bystry umysł, a to z kolei dawało mu kawałek chleba. Zgadula rejestrował wszystko, co się działo wokół niego, i zachowywał szczegóły w swej przepastnej pamięci, gotowy wydobyć tę wiedzę w chwili, kiedy to mogło mu dać największy zysk. Właściwie jego przydomek był nieodpowiedni. Dave Glovsky nie zgadywał. Dave Glovsky zauważał. On oceniał. Taksował. Jednak, Dave „Zauważacz” Glovsky nie brzmiało za dobrze. Tak jak Dave „Oceniacz” Glovsky, więc był Dave „Zgadula” i tak już Dave „Zgadula” zostanie.

Zgadula potrafił podać wagę człowieka w granicach do półtora kilograma, a jak nie zgadł, wygrywało się nagrodę. Jeżeli to komuś nie odpowiadało - a byli tacy, którzy nie za bardzo chcieli, by ogłaszać ich wagę skoremu do żartów tłumkowi w pogodny letni dzień - rezygnował z usługi, ku zadowoleniu Zgaduli, który nie miał ochoty sprawdzać wytrzymałości swojej wagi za pomocą dyndających stu pięćdziesięciu kilogramów wszechamerykańskiej kobiecości, dlatego tylko, by dowieść swojej racji. Był równie szczęśliwy, kiedy mógł odgadywać czyjś wiek, datę urodzenia, zawód, markę samochodu (zagranicznego lub krajowego), nawet rodzaj ulubionych papierosów. Jeżeli mu się nie udało, klient odchodził wesoło do swoich spraw, dzierżąc plastykową zapinkę

do włosów albo małe opakowanie gumek-recepturek, w szczęśliwym przeświadczeniu, że pograżył śmiesznego starego człowieczka razem z jego pokręconymi dziecinnymi szylkami - no i kto tu był ten mądry? - i dopiero po chwili przychodziło olśnienie, że właśnie zapłacił mu pięćdziesiąt centów za przyjemność usłyszenia czegoś, o czym już wiedział przed przyjściem, a bonifikata w postaci dziesięciu gumek-recepturek miała wartość około jednego centa w hurcie. Ale mogło też być tak, że oglądając się wstecz na Zgadulę w jego białym podkoszulku z napisem „Dave Zgadula” - czarne litery były wprasowane gratis jako przysługa dla Dave'a w straganie z T-shirtami, parę stoisk dalej wzdłuż promenady, bo wszyscy znali Zgadulę - mógł dojść do wniosku, że to jednak bardzo bystry facet.

Bo Zgadula był bystry, tak inteligentny jak Sherlock Holmes albo Dupin czy ten mały Belg Poirot. Był obserwatorem, który potrafił oszacować warunki egzystencji drugiego człowieka po ubraniu, butach, sposobie, w jaki ten nosił pieniądze, po stanie dłoni i paznokci, dostrzegając rzeczy, które przyciągały jego uwagę i zainteresowanie, kiedy szedł promenadą, nawet najmniejsze pauzy czy zawahania, wymowę czy podświadome gesty zdradzające go na tysiąc rozmaitych sposobów. Po prostu patrzył z uwagą w czasach kultury, która już nie ceniła wcale takiego prostego aktu. Ludzie ani nie słuchali, ani nie widzieli, ale tylko myśleli, że widzą i słyszą. Tracili więcej, niż zauważali, ich oczy i uszy stale goniły za nowością, za każdą następną nowinką, którą podrzuca im telewizja, radio, kino, odrzucając stare, zanim nawet zaczynają rozumieć ich znaczenie i wartość. Zgadula nie był taki. Należał do innego zakonu, do starszego rocznika szczepu. Był nastrojony na odbiór widoków i zapachów, szeptów, które brzmiały głośno w jego uszach, delikatnych zapachów, które podrażniały włoski w śluzówce nosa i rejestrowały się jako światła i barwy w jego mózgu. Wzrok był tylko jednym ze zmysłów, których używał i często odgrywał tylko pomocniczą rolę wobec reszty. Jak ludzie bardzo dawno temu, nie polegał wyłącznie na swoich oczach jako głównym źródle informacji. Ufał wszystkim swoim zmysłom, wykorzystując je w pełni.

Jego umysł był jak radio zawsze nastawione na odbiór nawet najdelikatniejszych przekazów.

Naturalnie, niektóre rzeczy było łatwo odgadnąć: wiek i waga nie stanowiły problemu. Auta też nie sprawiały trudności, przynajmniej na początku, kiedy większość ludzi, którzy przyjeżdżali do Old Orchard na wakacje, miała auta wyprodukowane w Ameryce. Importowane samochody zaczęły przeważać później, ale nawet wtedy szanse były ciągle pół na pół na korzyść Zgaduli.

Rodzaje pracy? No cóż, pewne użyteczne szczegóły mogły pojawiać się w czasie błażej rozmowy, kiedy Zgadula przysłuchiwał się powitaniom ludzi, ich odpowiedziom i sposobie, w jaki reagowali na pewne słowa klucze. Przysłuchując się temu, co mówili, Dave analizował ich ubrania i skórę, szukał wiele mówiących symptomów: wystrzępiony lub poplamiony mankiet prawego rękawa koszuli wskazywał kogoś, kto mógł pracować w biurze, miał jednak skromne zajęcie, jeżeli musiał nosić roboczą koszulę na wakacjach; a dokładniejsze spojrzenie na ręce pozwalało odkryć odcisk pióra na kciuku i wskazującym palcu. Czasami koniuszki palców jednej albo obu dłoni były lekko spłaszczone, co w pierwszym wypadku mogło sugerować, że był to ktoś przyzwyczajony do tłuczenia na maszynie sumującej, a w drugim prawie na pewno zdradzało maszynistkę. Kucharze zawsze mieli małe oparzenia na przedramionach, ślady od grilla na nadgarstkach, odciski na wskazującym palcu od trzonka noża, zagojone lub prawie zasklepione ślady zacięć tam, gdzie ostrza zdołały ich zadrasnąć; no, a mechanika, który potrafiłby wyczyścić wszystkie ślady smaru z bruzd skóry, to Zgadula jeszcze nigdy nie spotkał. Potrafił poznać policjanta na pierwszy rzut oka i wojskowego tak, jakby był w pełnym umundurowaniu.

Jednak obserwacja bez zapamiętywania była bezużyteczna i Zgadula stale chłonał szczegóły z tłumów zalewających nadmorski brzeg, z urywków rozmów i zobaczonych w okamgnieniu rzeczy, które posiadali. Jeżeli byś chciał zapalić, to Dave by zapamiętał, że to była paczka Marlboro i że miałeś zielony krawat. Jeżeli byś zaparkował auto w polu jego widzenia, to byłbyś „Ford czerwone szelki”. Wszystko było skatalogowane na wypadek, gdyby miało się okazać przydatne,

bo chociaż Zgadula nigdy tak naprawdę nie mylił się w swoich zakładach, to jeszcze chodziło o taki drobiazg jak duma zawodowa i konieczność oferowania dobrego przedstawienia przyglądającym się ludziom. Zgadula nie utrzymał się przecież w Old Orchard przez dziesiątki lat, odgadując błędnie i potem zbywając turystów, oferując im gumki-recepturki na przeprosiny.

Umieścił w kieszeni to, co zarobił i rozejrzał się wkoło po raz ostatni, zanim zdecydował się zamknąć stoisko. Był zmęczony i trochę bolała go głowa, ale wiedział, że będzie mu brakowało tego miejsca, kiedy tłumy już odjadą. Zgadula wiedział, że są tacy, którzy oplakują obecny stan Old Orchard i sądzą, że piękna plaża została zrujnowana przez prawie sto lat rozwoju i pojawienie się kolejki górskiej, beczki śmiechu i karuzeli, przez zapach waty cukrowej, hot dogów i kremu do opalania. Może mieli rację, ale przecież było mnóstwo innych miejsc, gdzie tacy ludzie mogli sobie pojechać, a niewiele takich, gdzie można pobyć tydzień z dziećmi i przeżyć stosunkowo tanio, ciesząc się morzem, piaskiem i jeszcze mieć przyjemność z ogrania takich ludzi jak Zgadula. To prawda, że Old Orchard nie było już takie jak kiedyś. Dzieciaki zrobiły się twardsze, może nawet trochę bardziej niebezpieczne. Miasto wyglądało bardziej tandetnie niż dawniej i towarzyszyła mu aura utraconej niewinności raczej niż niewinności odzyskanej. Rodzinne nabożne lotnisko Ocean Park, które było częścią Old Orchard, wyglądało teraz jak relikw z innej epoki, kiedy to edukacja i praca nad doskonaleniem siebie były w takim samym stopniu częścią wakacji jak zabawa i odpoczynek. Zastanawiał się, jak wielu z tych, którzy przyjechali tu napić się taniego piwa i zjeść homara z tekturowego talerza, wiedziało, że to Metodyści założyli Stowarzyszenie Obozowiska w Old Orchard w latach siedemdziesiątych dziewiętnastego wieku, przyciągając tłumy dziesięciu tysięcy lub więcej ludzi, którzy słuchali kaznodziei opiewających zalety pełnego cnót życia bez grzechu. Można by życzyć powodzenia tym, którzy próbowaliby przekonać dzisiejszych turystów, by zechcieli zrezygnować z południowego opalania i posłuchać biblijnych opowieści. Nie trzeba być Davidem Zgadulą, żeby przewidzieć szanse takiego zakładu.

Pomimo to Zgaduli bardzo się podobało w Old Orchard. Dzięki swojemu małemu punktowi koncesjonowanej sprzedaży doznał zaszczytu spotkania takich ludzi, jak Tommy Dorsey i Louis Armstrong i miał na dowód tego fotografie na ścianie. Podczas gdy te spotkania stanowiły wielkie szczyty w jego karierze, to kontakty ze zwykłymi ludźmi dostarczały mu stałej przyjemności i pozwalały zachować młodość i bystrość umysłu. Bez ludzi Old Orchard znaczyłoby dla niego o wiele mniej, z morzem czy bez morza.

Zgadula zaczął już składać swoje szyldy i wagę, kiedy podszedł do niego jakiś mężczyzna: albo może prawdziwsze byłoby stwierdzenie, że Zgadula poczuł, jak ktoś się zbliża, zanim go w ogóle zobaczył: jego dawno nieobecni przodkowie nie polegali tylko na swych zmysłach, bawiąc się w zgadywanki w oświetlonych płomieniem jaskiniach. Nie, ich zmysły musiały być czujne i w pogotowiu, by ostrzegać przed przybyciem drapieżników i wrogów, a przetrwanie zależało od zaangażowania w otaczający ich świat.

W sekundzie Zgadula odwrócił się jak gdyby nigdy nic i zaczął analizować przybysza: pod czterdziestkę, ale wygląda starzej; dzinsy luźniejsze niż nakazuje obecna moda; biały T-shirt lekko poplamiony na brzuchu; mocne buty odpowiednie do jazdy na motorze, nie samochodem, ale bez śladów zużycia na podszwach, które mogłoby wynikać z pirackiej jazdy; włosy ciemne, wypomadowane i zaczesane w kaczy kuper; rysy ostre i prawie delikatne; podbródek mały, głowa wąska i jakby ściśnięta pod wpływem wielkiego ciężaru, kości twarzy ukształtowane jak rama latawca pod skórą. Miał bliznę poniżej linii włosów: trzy równoległe linie, jakby zęby widelca zostały wbite w skórę i pociągnięte w dół w kierunku grzbietu nosa. Usta miał krzywe: jeden kącik stale opadający, a drugi lekko podniesiony, co dawało wrażenie, jakby przecięto symboliczne maski teatralne i ich niepasujące połówki przyczepiono do czaszki. Usta były zbyt duże. Można by je nawet nazwać zmysłowymi, ale nie był to człowiek, którego aparycja wyrażała takie emocje. Oczy miał brązowe, poznaczone małymi białymi plamkami, jak gwiazdy i planety zawieszane w ciemności. Pachniał wodą kolońską, ale pod nią czaił się zapach

przetopionych zwierzęcych tłuszczów, krwi i zgnilizny i odpadów uwalnianych w ostatecznym momencie, kiedy życie stawało się umieraniem.

Nagle Dave Zgadula pożałował, że nie zdecydował się zakończyć pracy piętnaście minut wcześniej, że jego stoisko nie było zamknięte i zaryglowane i że on sam nie oddalił się od swojej ukochanej wagi i szyldów na tyle, na ile zdołałby mężczyzna w jego zaawansowanym wieku. Ale nawet kiedy już próbował przerwać kontakt wzrokowy z nowo przybyłym, ciągle jeszcze czuł, że go analizuje, zbiera informacje na podstawie jego sposobu poruszania się, ubrania i zapachu. Mężczyzna sięgnął do jednej z przednich kieszeni swoich spodni i wyjął stalowy grzebień, którym przeciągnął po włosach prawą ręką, a lewą przyglądził odstające kosmyki. Równocześnie przekrzywił lekko głowę na prawą stronę, jakby przeglądał się w lustrze, które tylko on widział, a Zgadula odczuł po chwili, że to on właśnie jest tym lustrem. Obcy wiedział wszystko o Davie i jego „darze”, i Zgadula próbując już się powstrzymać, nadal rozkładał gładzącego piórka mężczyznę na czynniki pierwsze, a człowiek ten wiedział, co się działo i bawił się, widząc siebie przez filtr spostrzeżeń starszego człowieka.

Czyste, wyprasowane dżinsowe spodnie, z brudnymi śladami na kolanach. Plama na T-shircie jak z zaschniętej krwi. Ziemia pod paznokciami. Zapach. Słodki Boże, ten zapach...

No i teraz obcy już stał przed nim, chowając grzebień do ciasnej kieszeni. Uśmiech rozszerzył się, pełen nieszczerzej wylewności i człowiek przemówił.

- Jesteś tym, który odgaduje? - zapytał. Jego akcent trochę wskazywał na Południe, ale było też słyhać wymowę z Nowej Anglii, z Maine. Próbował to ukryć, ale słuch Dave'a był bardzo wyczulony.

Jednak ten ślad akcentu z Maine też nie był wrodzony. Nie, to akcent człowieka, który potrafi współbrzmieć z otoczeniem, kiedy tego chce, który naśladuje sposób mówienia i zachowania innych ludzi, maskując się jak...

Tak jak potrafią to robić drapieżcy.

- Dość na dziś - powiedział Zgadula. - Wykończony jestem. Już nie mogę.

- Jeszcze jeden się zmieści - usłyszał w odpowiedzi i wiedział, że go nie proszono. Powiedziano mu to.

Rozejrzał się, szukając wymówki, powodu by odejść, ale wyglądało na to, że obcy kontrolował sytuację, bo nie było nikogo w zasięgu głosu, a uwaga tych, którzy przechodzili w pobliżu, była najwyraźniej skierowana gdzie indziej. Patrzyli na inne stragany, na morze, na poruszające się piaski. Patrzyli na samochody w oddali i twarze tych, których mijali. Patrzyli na promenadę i pod nogi, i głęboko w oczy swoich mężów czy żon, którzy już od dawna nie byli interesujący, a teraz kryli w sobie nieoczekiwane, choć ulotne, źródło fascynacji. I gdyby im powiedzieć, że w pewnym sensie sami postanowili nie zwracać uwagi na małego Zgadulę i człowieka, który stał przed nim, odrzuciliby tę myśl bez chwili zastanowienia. Jednak dla uważnego obserwatora - dla kogoś takiego jak Dave Zgadula - przelotny wyraz niepokoju na ich twarzach, kiedy mówili, wystarczyłoby, żeby zadać kłam ich zaprzeczeniom. W tym momencie oni sami stali się trochę tacy, jak Zgadula: jakiś pradawny, pierwotny instynkt obudził się z uśpienia w ten jasny, letni wieczór przy krwawo zachodzącym słońcu. Pewnie mogli sobie wcale nie zdawać sprawy z tego, co robili, albo być może szacunek dla samych siebie i instynkt samozachowawczy nie pozwalały im przyznać się do tego, nawet wobec siebie samych, ale unikali tego człowieka z zaczesanymi do tyłu włosami. Emanowało z niego zagrożenie, niebezpieczeństwo i krzywda, więc woleli go nie zauważyć, byle nie zwrócić uwagi na siebie. Lepiej więc patrzeć w przeciwną stronę. Lepiej niech inny cierpi, niech obcy ściągnie na siebie jego niezadowolone, niżby miał się zainteresować naszymi sprawami. Lepiej iść dalej, wsiąść do samochodu, odjechać bez jednego spojrzenia wstecz z obawy, że można by napotkać jego twarde spojrzenie, jego leniwy półuśmiech rozszerzający się powoli w miarę, jak zapamiętuje twarze, numery na tablicy rejestracyjnej, kolor lakieru, ciemne włosy żony, rozkwitające ciało dorastającej córki. Lepiej więc udawać. Lepiej nie zauważyć. Lepsze to, niż obudzić się w nocy i zobaczyć takiego człowieka, jak twardo patrzy na ciebie z góry, ujrzyć świeżą krew na jego rękach, a w sypialni obok wiele

mówiące światło i usłyszeć, jak coś cicho kapie na gołe deski podłogi, coś, co kiedyś było życiem, a teraz już nie jest....

Dave pojął, że ten człowiek nie różni się tak bardzo od niego samego. Jest obserwatorem, kataloguje cechy charakterystyczne ludzi, ale w wypadku tego obcego obserwacja stanowi wstęp do nieszczęścia. Teraz dokoła było słyhać tylko szum fal, niknące głosy i hałas urządzeń z wesołego miasteczka, przytłumiający, zniekształcający to, co mówił obcy tonem domagającym się wyłącznej uwagi.

- Chcę, żebyś coś odgadł na mój temat - powiedział.

- Co chcesz wiedzieć? - zapytał Zgadula bez śladu życzliwości w głosie. Tym razem jej nie potrzebował. Byli sobie równi, w pewnym sensie.

Człowiek zacisnął prawą dłoń w pięść. Dwie monety ćwierćdolarowe pokazały się między ściśniętymi palcami. Podniósł pięść w stronę Dave'a, a ten wziął monety palcami, które wcale nie drżały.

- Powiedz mi, jak zarabiam na życie - mówił dalej obcy. - I chcę, żebyś się bardzo postarał. Niech to będzie najlepsza odpowiedź, jaką potrafisz dać.

Dave wyczuł ostrzeżenie. Mógł wymyślić coś niegroźnego, coś niewinnego. Kopiesz ziemię przy budowie dróg, może. Jesteś ogrodnikiem. Ty...

Ty pracujesz w ubojni.

Nie, to zbyt blisko. Nie wolno mi tego powiedzieć.

Rozszarpujesz żywe istoty. Zadajesz ból i zabijasz, ukrywasz dowody pod ziemią. I czasami one walczą. Widzę blizny dokoła twoich oczu i w miękkiej części pod szczęką. Masz pęczek nierównych kosmyków nad czołem i zaczerwienione miejsce u nasady, gdzie włosy nie odrosły równo. Co to było? Czy jakaś ręka się uwolniła? Czy jej palce złapały w desperacji i wydarły ci kępkę włosów z głowy? I pomimo bólu, czyż jakaś część ciebie nie odczuła przyjemności z tej walki, zadowolenia, że trzeba było popracować, by osiągnąć cenną zdobycz? No, i co z tymi nacięciami poniżej nasady włosów, skąd one? Jesteś gwałtownym człowiekiem i gwałt się na tobie odcisnął. Zostałeś naznaczony tak, żeby nawet ci, którzy są niemądry

albo nieuważni, mogli spostrzec, kiedy przychodzisz. Pewnie już za późno dla tych, którzy to zrobili, niemniej jednak jest to ostrzeżenie.

Kłamstwo mogło oznaczać śmierć dla niego. Może nie teraz, może nawet nie za tydzień, ale ten człowiek by zapamiętał i wrócił. Pewnej nocy Dave Zgadula wszedłby do swojego pokoju, a obcy siedziałby tam po ciemku w głębokim fotelu naprzeciw okna, zaciągał się mocno papierosem trzymanym w lewej ręce, podczas gdy prawa zabawiałaby się nożem.

„Cieszę się, że wreszcie jesteś. Czekałem na ciebie. Pamiętasz mnie? Poprosiłem cię, żebyś coś odgadł o mnie, ale ty się pomyliłeś. Dałeś mi w nagrodę dziecięcą zabawkę, nagrodę za wygranie ze Zgadulą, ale to mi nie wystarcza, i myliłeś się, myśląc to, co pomyślałeś. Uważam, że powinienem sprostować twoje mylne przypuszczenia. Uważam, że powinienś dowiedzieć się, z czego naprawdę żyję. Pozwól, że ci pokażę...”

Obcy powoli odwrócił ręce przed Dave'em, pokazując wnętrze, a potem wierzch dłoni i wreszcie prawie delikatne palce z cienką kreską brudu widocznego pod koniuszkiem każdego paznokcia.

- No więc, powiedz mi - zażądał. - Powiedz prawdę.

Dave popatrzył mu w oczy.

- Przynosisz ból - oświadczył Dave. Obcy przyglądał mu się z rozbawieniem.

- Doprawdy? - odpowiedział.

- Robisz ludziom krzywdę.

- Uhm?

- Zabiłeś. - Dave usłyszał, jak wypowiada to słowo i widział siebie jakby z zewnątrz.

Oddalał się od sceny, w której brał udział, jakby jego dusza już przewidywała mające wkrótce nastąpić rozstanie z życiem.

Obcy potrząsnął głową i popatrzył na swoje ręce, jakby lekko zdziwiony tym, co ujawniły.

- No - odezwał się w końcu. - Uważam, że każdy by zapłacił pięćdziesiąt centów za to, bez dwóch zdań. To ci dopiero historia. Co za historia. - Pokiwał głową. - Uhm - cicho warknął. - Uhm.

- Chce pan odebrać nagrodę? - spytał Dave. - Może pan wziąć nagrodę, jeżeli źle odgadłem.

Wskazał gestem za siebie na gumki-recepturki, spinki do włosów i paczki balonów.

Weź coś. Proszę, weź coś. Weź wszystko, cokolwiek chcesz, tylko odejdz ode mnie. Odejdz stąd i idź jak najdalej i nigdy, przenigdy tu nie wracaj. I jeżeli to jest jakieś pocieszenie, wiedz, że nigdy nie zapomnę twojego zapachu ani twojego widoku. Przenigdy. Zachowam je i będę się mieć na baczności, na wypadek, gdybyś znowu chciał się pojawić.

- Nie - powiedział obcy. - Zatrzymaj je sobie. Dobrze się bawiłem. Zabawiłeś mnie. - Zaczął odchodzić od Dave'a Zgaduli, ciągle kiwając głową i mruczając coś cicho do siebie.

Kiedy Zgadula prawie poczuł pewność, że już się go pozbył, obcy się zatrzymał.

- Zawodowa duma - powiedział nagle.

- Słucham? - spytał Zgadula.

- Myślę, że jesteśmy podobni w jednym: jesteśmy dumni z tego, co robimy. Mogłeś mi nakłamać, ale tego nie zrobiłeś. Ja mogłem nakłamać tobie i wziąć jedną z tych zakichanych paczek balonów, ale też tego nie zrobiłem. Ty odniosłeś się z szacunkiem do mnie, więc ja również potraktowałem ciebie z szacunkiem. Jesteśmy faceci serio, ty i ja.

Zgadula nie odpowiedział. Nie było co powiedzieć. Poczuł jakiś smak w ustach. Coś kwaśnego i nieprzyjemnego. Miał ochotę otworzyć usta i odetchnąć słonym, morskim powietrzem, ale jeszcze nie teraz, dopóki obcy był blisko. Chciał się go najpierw pozbyć w obawie, że wraz z oddechem wchłonie w siebie coś z istoty obcego i zanieczyści swoje istnienie.

- Możesz mówić ludziom o mnie, co chcesz - oświadczył obcy. - Jest mi to zupełnie obojętne. Dawno już mnie tu nie będzie, kiedy komuś przyjdzie do głowy mnie tu szukać, no a jeżeli nawet mnie znajdą, to co mogą powiedzieć? Że jakiś mały uliczny straganiarz w tanim podkoszulku powiedział im, żeby mnie sprawdzili, bo może coś ukrywam, albo mógłbym im coś opowiedzieć?

Jego ręce zajęły się wydobywaniem paczki papierosów z kieszeni dżinsów. Paczka była pognieciona i lekko splaszczona. Wytrząsnął z niej wąską, mosiężną zapalniczkę, a potem wyjął papierosa. Obrócił papierosa między kciukiem i palcem wskazującym, zanim zapalił, po czym schował zapalniczkę i paczkę do kieszeni.

- Może tu jeszcze kiedyś będę przejazdem - dodał. - Odwiedzę cię.

- Będę tutaj - zapewnił Zgadula.

No to sobie wracaj, jak chcesz, ty bydlaku. I żebyś wiedział, boję się ciebie i jestem pewny, że mam dobry powód, żeby się bać, ale nie myśl, że to pokażę po sobie. Nie będziesz miał tej satysfakcji, nie ode mnie.

- Wiem - rzucił obcy. - Wcale nie wątpię.

Ale Zgadula nigdy go więcej nie zobaczył, choć myślał o nim często i raz albo dwa, w tych latach, które mu zostały, kiedy tak stał na promenadzie i analizował przechodzące tłumy, czuł czyjś wzrok na sobie i był pewny, że gdzieś z bliska obserwuje go tamten obcy, może z rozbawieniem albo - czego się Zgadula obawiał - żałując, iż pozwolił, żeby prawda o nim wyszła w taki sposób i pragnął odwrócić ten błąd.

Dave „Zgadula” Glovsky zmarł w 1997, prawie pięćdziesiąt lat po tym, jak się pierwszy raz pojawił w Old Orchard. Opowiadał o obcym tym, którzy chcieli go słuchać: o złym, zjełczałym zapachu tłuszczu, który otaczał obcego, o brudzie pod paznokciami i rdzawych plamach na koszuli. Większość słuchających tylko kiwała głową, traktując to jak jeszcze jeden popis showmana, który chciał uatrakcyjnić swoją legendę; ale niektórzy słuchali i pamiętali, przekazywali opowieść dalej, by inni mogli być czujni i poznali tego mężczyznę, gdyby się pojawił.

Zgadula, naturalnie, nie mylił się: obcy przyjeżdżał w następnych latach, czasami w swoich sprawach, a czasami na polecenie innych, by odbierać i tworzyć życie. Ale kiedy wrócił po raz ostatni, chmury otuliły go jak opończa, zaciemniając niebo, bo przyszedł szukać śmierci i wspomnienia śmierci w twarzach u innych. Był złamanym człowiekiem i miał złać innych w gniewie.

To Merrick, mściciel.

1

Był pochmurny dzień pod koniec listopada, trawa kruszyła się pod szronem i zima szczyrzyła zęby spomiędzy chmur jak zły klaun zerkający przez szparę w kurtynie przed przedstawieniem. Miasto zwalniało tempo. Niedługo zrobi się bardzo zimno i Portland, jak zwierzę, już zebrało zapasy, które miały starczyć na długie nadchodzące miesiące. W banku były dolary turystów: wystarczająco dużo, miano nadzieję, by pozwolić przetrwać wszystkim aż do Dnia Pamięci*. [Memorial Day - 30 maja, dzień wolny w wielu stanach, święto obchodzone dla upamiętnienia wojskowych, którzy oddali życie (przyp. red.)] Ulice były spokojniejsze niż wprzód. Miejscowi, którym czasem było niewygodnie współlistnieć z turystami oglądającymi jesienne drzewa zmieniające kolor liści i klientami sklepów, znów mieli swoje miasto prawie całkiem dla siebie. Odzyskali stałe miejsca przy stołach w tanich jadłodajniach, kawiarniach, w restauracjach i barach. Mieli dość czasu na beztroską rozmowę z kelnerkami i kucharzami, którzy nie byli już zamęczani na śmierć żądaniem liczących klientów. O tej porze roku można było odczuć prawdziwy rytm małego miasteczka, wolne uderzenia jego serca niepoganianego fałszywą podniętą przez tych, którzy przyjechali z daleka.

Siedziałem przy narożnym stoliku w Porthole, jadłem bekon ze smażonymi ziemniakami i nie oglądałem Kathleen Kennedy i Stephena Fraziera rozmawiających o niezapowiedzianej wizycie sekretarza stanu w Iraku. Nie było dźwięku w telewizorze, co ułatwiało ignorowanie go. Ogień palił się w

piecu koło okna wychodzącego na morze, gdzie maszty kutrów rybackich podskakiwały i huśtały się w porannym wietrze; garstka ludzi zajmowała inne stoliki, akurat tyle, by stworzyć przyjemną atmosferę, czego wymaga śniadaniowa knajpka, bo takie sprawy polegają na subtelnej równowadze.

Porthole ciągle wyglądała tak jak wtedy, kiedy dorastałem, a może nawet od czasu, kiedy ją otworzono w 1929. Na podłodze były zielone, marmurkowe płytki linoleum, pęknięte tu i ówdzie, ale nieskazitelnie czyste. Długa drewniana lada z miedzianym blatem ciągnęła się prawie przez całą długość sali, wysokie stołki z czarnymi siedzeniami przytwierdzone były do podłogi, a na blacie stało pełno szklanek i kieliszków, przyprawy i dwa szklane talerze ze świeżo upieczonymi ciepłymi bułeczkami. Ściany pomalowano na jasnozielono i jak się wstało, można było zajrzeć do kuchni przez dwa okienka do podawania potraw, między którymi był napis „Muszle świętego Jakuba”. Na czarnej tablicy kredą wypisano dania dnia, a piwo nalewano z pięciu kurków: podawano guinnessa, parę rodzajów ale allagash i shipyard, a dla tych, którzy się nie znali, albo i znali, ale już pili wszystko, lano coors jasne. Na ścianach wisiały boje, które w jakiegokolwiek innej restauracji w Old Port robiłyby wrażenie kiczu, ale tutaj po prostu dawały świadectwo faktowi, że jest to knajpa, do której przychodzą miejscowi rybacy. Jedną ścianę zrobiono prawie całkowicie ze szkła, więc nawet w najbardziej zachmurzone dni wydawało się, że Porthole jest zalana światłem.

W Porthole zawsze było słycać przyjemny szum rozmów, ale nigdy nie dało się usłyszeć wszystkiego, co ktoś nawet w pobliżu mówił, nie dokładnie. Tego ranka około dwudziestu osób jadło, piło i przyjemnie rozpoczynało dzień tak jak mieszkańcy stanu Maine lubią to robić. Pięciu robotników z Portowego Targu Rybnego siedziało rzędem przy barze, wszyscy ubrani w dżinsy, bluzy z kapturami i bejsbolówki, śmiali się, odpreżali w ciepłe, ich twarze były czerwone, wychłostane wiatrem i wodą. Siedzący koło mnie czterej biznesmeni mieli komórkowe telefony i notatniki ekranowe rozłożone pomiędzy kubkami kawy z mlekiem, udawali, że pracują, ale sporadyczne strzępy rozmowy, które dolatywały do mnie i dały się rozumieć, świadczyły, że są raczej zajęci

pochwałami dla trenera drużyny Piratów, Kevina Dinnena. Po drugiej stronie od nich dwie kobiety, matka i córka, były pogrążone w jednej z tych rozmów, które wymagają mnóstwo gestykulacji i zszokowanych min. Wyglądało na to, że świetnie się bawią.

Lubię Porthole. Turyści nie zaglądali tu za często, a już na pewno nie w zimie, i nawet w lecie nie zakłócali zbytnio równowagi, chyba że ktoś wywiesił banner w poprzek Wharf Street zapewniający, że jest coś więcej w tym pozornie nieobiecującym kawałku nadbrzeża, niż mogło się wydawać na pierwszy rzut oka: Restauracja Boon'a z owocami morza, Portowy Targ Rybny, teatr komediowy Comedy Connection i sama restauracja Porthole. Ale nawet i to nie powodowało za dużego najazdu. Z bannerem czy bez, Porthole nie zwracała uwagi na siebie zbyt natarczywie, a zniszczona reklama napojów gazowanych i powiewająca flaga były właściwie jedynymi znakami obecności knajpki widocznymi z głównego traktu ulicy Commercial. Właściwie trzeba było wiedzieć, że tam jest, aby ją w ogóle wypatrzeć, szczególnie w ciemne zimowe poranki, i zabłąkani turyści, spacerujący wzdłuż ulicy Commercial na początku ostrej zimy w stanie Maine, powinni dobrze wiedzieć, dokąd się kierują, jeżeli chcieli dotrzeć do wiosny w nienaruszonym zdrowiu. Stawiając czoła orzeźwiającemu północno-wschodniemu wiatrowi, tylko niektórzy mieli czas czy ochotę zwiedzać ukryte zakątki miasta.

Jednak podróżni przybywający poza sezonem czasami mijali targ rybny i teatr komediowy, ich kroki odbijały się mocnym echem na starych deskach promenady, która graniczyła z nadbrzeżem z lewej strony, po czym lądowali pod drzwiami Porthole, i można się było spokojnie założyć, że kiedy następnym razem przyjadą do Portland, pójdą prosto do Porthole, nie mówiąc jednak o tym zbyt wielu przyjaciółom, bo jest to takie miejsce, które człowiek lubi zachować dla siebie. Ma na zewnątrz pomost nad wodą, gdzie ludzie mogą siedzieć i jeść w lecie, ale w zimie stoliki są usunięte i pomost jest pusty. Chyba wolę go w zimie. Mogę wziąć kubek z kawą i wyjść pewny, że większość klientów będzie pić swoją kawę w środku, gdzie jest ciepło, i nikt mi nie będzie przeszkadzać. Mogę czuć sól w powietrzu i słony wiatr na skórze, a kiedy

wiatr i pogoda są dobre, ten zapach zostaje ze mną przez cały ranek. Zazwyczaj lubiłem ten zapach. Tylko czasami, kiedy nie czułem się dobrze, mi nie odpowiadał, bo smak soli na wargach przypominał smak łez, jak gdyby się niedawno próbowało pocałunkami uśmierzyć czyjś ból. Kiedy to się zdarzało, myślałem o Rachel i Sam, mojej córce. Często też myślałem o żonie i córce, które odeszły wcześniej.

Takie dni były cichymi dniami.

Ale dzisiaj siedziałem w środku i miałem na sobie marynarkę i krawat. Krawat był ciemnoczerwony od Hugo Bossa, marynarka od Armaniego, ale w Maine nie zwracano uwagi na marki ubrań. Uważano, że jeżeli miało się coś takiego na sobie, pewnie było to kupione z rabatem, a jeżeli nie było i człowiek zapłacił tylko za metkę firmy, to był idiotą.

Ja nie płaciłem za metkę firmy.

Frontowe drzwi otworzyły się i weszła kobieta. Miała na sobie czarne spodnium i płaszcz, które pewnie kosztowały ją majątek, kiedy je kupowała, ale teraz już wyglądały na znozione. Miała czarne włosy, ufarbowane czymś, co dawało odcień rudawego. Wyglądała na trochę zdziwioną otoczeniem, jak gdyby przeszedłszy koło zniszczonych fasad budynków przy nadbrzeżu, spodziewała się, że napadną ją piraci. Jej oczy spoczęły na mnie i głowa przechyliła się pytająco. Podniosłem dłoń, a ona przeszła między stolikami w moją stronę. Wstałem, by ją przywitać i podaliśmy sobie ręce.

- Pan Parker? - spytała.

- Pani Clay.

- Przepraszam za spóźnienie. Był wypadek na moście. Zrobił się ogromny korek.

Rebecca Clay zadzwoniła do mnie poprzedniego dnia z pytaniem, czy mógłbym jej pomóc rozwiązać pewien problem. Ktoś ją śledził i naturalnie wcale jej się to nie podobało. Policja nie była w stanie nic zrobić. Mężczyzna ten, jak mi powiedziała, wydawał się przeczuwać, kiedy mieli przyjść, bo zawsze znikał, zanim się pojawili, bez względu na to, jak ostrożnie zbliżali się w sąsiedztwie jej domu, kiedy zgłaszała jego obecność.

Przyjmowałem tyle zleceń, ile mogłem dostać, częściowo dlatego, żeby nie myśleć o nieobecności Rachel i Sam. Nie byliśmy ze sobą od około dziewięciu miesięcy, z przerwami. Nawet nie wiem, jak to się stało, że sprawy pogorszyły się tak bardzo i tak szybko. W jednej chwili wydawało się, że są ze mną, napełniając dom swoimi zapachami i dźwiękami i nagle wyjeżdżają do domu rodziców Rachel, ale oczywiście to wcale tak nie było. Patrząc wstecz, widzę każdy zwrot na tej drodze, każdy zjazd w dół i zakręt, które doprowadziły nas do tego miejsca, w którym teraz byliśmy. Miała to być tymczasowa sprawa, szansa dla nas obojga, by rozważyć, by dać sobie trochę czasu wolnego od siebie nawzajem i spróbować przypomnieć sobie, co było takiego w tej drugiej osobie, z którą dzieliliśmy życie, że nie moglibyśmy żyć bez niej. Ale takie umowy nie są nigdy na jakiś czas, raczej nie. Pojawia się pewne rozdarcie, rozłam i nawet jeżeli osiągnie się porozumienie i podejmie decyzję, by spróbować jeszcze raz, to fakt, że jedna osoba zostawiła tę drugą, nigdy nie daje się zapomnieć ani wybaczyć. To tak brzmi, jakby to była jej wina, ale nie jest. Nie jestem też pewny, czy to była moja wina, niecałkowicie. Ona miała dokonać wyboru, i ja też, ale jej wybór zależał od tego, co ja wybrałem. Ostatecznie, pozwoliłem im obydwu wyjechać, mając jednak nadzieję, że w końcu wrócą. Mieliśmy jeszcze kontakt i mogłem widzieć się z Sam, kiedy tylko chciałem, ale to, że były w Vermont, trochę utrudniało sprawy. No i bez względu na odległość, byłem ostrożny z wizytami, bo nie chciałem komplikować już i tak trudnej sytuacji. Byłem ostrożny, bo wiedziałem na pewno, że są tacy, którzy mogliby je skrzywdzić, żeby tylko mnie dorwać. Myślę, że dlatego pozwoliłem im wyjechać. Z przykrością to wszystko wspominałem. Zeszły rok był... ciężki. Bardzo za nimi tęskniłem, ale nie wiedziałem, ani jak je sprowadzić z powrotem do swojego życia, ani też jak żyć z ich nieobecnością. Zostawiły próżnię w mojej egzystencji i ktoś inny chciał zająć ich miejsce, ktoś kto czekał w cieniu.

Moja pierwsza żona i pierwsza córka.

Zamówiłem kawę dla Rebecki Clay. Promień porannego słońca świecił bezlitośnie wprost na nią, podkreślając zmarszczki na

twarzy, siwiznę sączącą się we włosy pomimo zrobionego koloru i ciemne kręgi pod oczami. Częściowo spowodował to pewnie człowiek, który - jak utrzymywała - niepokoił ją, ale było jasne, że w ogóle istniały inne głębsze powody. Problemy życiowe postarzyły ją przedwcześnie. Ze sposobu, w jaki miała nałożony makijaż, w pośpiechu i za mocno, można było odgadnąć, że jest kobietą, która nie lubi patrzeć w lustro zbyt długo i nie podoba jej się to, co patrzy na nią z odbicia, jak już tam zajrzała.

- Nigdy tu chyba nie byłam - powiedziała. - Portland tak bardzo się zmieniło w ostatnich latach, to cud, że to miejsce przetrwało.

Pewnie miała rację. Miasto zmieniało się, ale starszym, niezwykłym pozostałościom z przeszłości udało się jakoś przetrwać: to antykwariaty, salony fryzjerskie i bary, w których menu nigdy się nie zmieniało, bo jedzenie zawsze było dobre, od początku. To dlatego knajpa Porthole przetrwała. Ludzie, którzy ją znali i cenili, zawsze pamiętali, by dać jej trochę zarobić, kiedy nadarzała się okazja.

Przyniesiono jej kawę. Posłodziła ją i mieszała o wiele za długo.

- Czym mogę pani służyć, pani Clay?

Przestała mieszać i była gotowa zacząć mówić w odpowiedzi na moje pytanie, otwierając konwersację.

- To jest tak, jak mówiłam panu przez telefon. Jakiś człowiek mnie niepokoi.

- Niepokoi, w jaki sposób?

- Kręci się koło mojego domu. Mieszkam w okolicy Willard Beach. Widziałam go też we Freeport i również kiedy robiłam zakupy w centrum handlowym.

- Był w aucie czy piechotą?

- Piechotą.

- Czy wszedł na teren pani posiadłości?

- Nie.

- Czy groził pani albo fizycznie zaatakował panią w jakikolwiek sposób?

- Nie.

- Jak długo to trwa?

- Trochę ponad tydzień.
- Czy on coś do pani powiedział?
- Tylko raz, dwa dni temu.
- Co takiego?
- Powiedział, że szuka mojego ojca. Mieszkam teraz z córką w dawnym domu mojego ojca. Ten człowiek oświadczył, że ma do niego sprawę.
- Co pani mu odpowiedziała?
- Powiedziałam, że nie widziałam ojca od lat. Powiedziałam, że o ile się orientuję, mój ojciec nie żyje. Właśnie na początku tego roku został prawnie uznany za zmarłego. Załatwiłam papiery. Nie chciałam tego robić, ale to chyba było ważne dla mnie i dla mojej córki, bo w końcu pozwoliło nam w jakiś sposób zamknąć tę sprawę.
- Proszę mi powiedzieć o swoim ojcu.
- Był psychologiem dziecięcym, dobrym psychologiem. Pracował też czasami z dorosłymi, którzy przeszli jakąś traumę w dzieciństwie, bo uważał, że potrafi im pomóc. Potem jego sytuacja zaczęła się zmieniać. Pojawił się jakiś trudny przypadek: oskarżono człowieka o molestowanie syna w trakcie procesu o prawo do opieki nad dzieckiem. Mój ojciec uważał, że zarzuty były uzasadnione i jego wnioski przyczyniły się do tego, że opiekę przyznano matce, ale syn odwołał potem swoje oskarżenia i twierdził, że to matka przekonała go, by tak zeznawał. Ale wtedy było już za późno dla tamtego ojca. Wyciekła informacja o zarzutach, prawdopodobnie od matki. Stracił pracę i został dość mocno pobity przez jakichś mężczyzn w barze. Skończyło się tak, że zastrzelił się w swojej sypialni. Mój ojciec źle to zniósł, ponadto złożono zażalenia na to, jak przeprowadzał pierwsze wywiady z chłopcem. Komisja udzielająca licencji oddaliła te zażalenia, ale potem mój ojciec już nie był proszony o przeprowadzanie żadnych innych ekspertyz w przypadkach o molestowanie. Myślę, że naruszyło to jego poczucie wartości.
- Kiedy to było?
- Chyba w dziewięćdziesiątym ósmym, może trochę wcześniej. Potem było jeszcze gorzej. - Potrząsnęła głową,

wyraźnie nie dowierając wspomnieniu. - Nawet mówiąc o tym, wiem, jak nieprawdopodobnie to wszystko brzmi. To była katastrofa. - Rozejrzała się, upewniając, że nikt nie słucha, potem trochę zniżyła głos. - Okazało się, że niektórzy pacjenci mojego ojca byli molestowani przez grupę mężczyzn i znów zadawano pytania o metody ojca i jego wiarygodność. Ojciec winił siebie za to, co się stało. Inni ludzie też go obwiniali. Komisja udzielająca licencji wezwwała go, by się stawił na wstępnym, nieformalnym spotkaniu, na którym zamierzano przedyskutować to, co się stało. Ale on tam nigdy nie dotarł. Pojechał autem na skraj North Woods, porzucił auto, no i nikt nigdy więcej go nie widział ani o nim nie słyszał. Szukała go policja, ale nigdy nie znalazła żadnego śladu. To było pod koniec września 1999.

Clay. Rebecca Clay.

- Pani jest córką Daniela Clay'a?

Skinęła głową. Przez jej twarz przebiegł bezwolny spazm, rodzaj skurczu. Coś tam wiedziałem o Danielu Clayu. Portland to mała miejscowość, tylko z nazwy jest miastem. Takie historie jak sprawa Daniela Clay'a pozostają w zbiorowej pamięci. Nie znałem zbyt wielu szczegółów, ale jak wszyscy słyszałem plotki. Rebecca Clay przedstawiła okoliczności zniknięcia jej ojca w najbardziej ogólnych zarysach, a ja nie miałem do niej pretensji o to, że opuściła całą resztę: szeptano, że doktor Daniel Clay mógł wiedzieć, co spotykało niektóre z dzieci, z którymi miał do czynienia, że był w zмовie z winowajcami, może nawet sam brał udział w molestowaniu. Było jakieś dochodzenie, ale zniknęły dokumenty z jego biura, a poufna natura jego profesji utrudniła zbadanie tropów. Z drugiej strony brak było również jakichkolwiek konkretnych dowodów przeciwko niemu. Jednak to nie powstrzymało ludzi od gadania i wyciągania różnych wniosków.

Przyjrzałem się Rebecce Clay dokładniej. Tożsamość jej ojca pozwoliła mi łatwiej zrozumieć jej wygląd. Pomyślałem, że pewnie trzyma się trochę na uboczu. Miała jakichś przyjaciół, lecz niewielu. Daniel Clay rzucił cień na życie swojej córki, a ona zwiędła pod wpływem tego cienia.

- Więc powiedziała pani temu człowiekowi, który panią niepokoił, że nie widziała swojego ojca od dawna. Jak zareagował?

- Popukał w bok swego nosa i mrugnął. - Powtórzyła ten jego gest dla mnie. - Potem powiedział: „Kłamczucha, z nosa ci się kurzy”. Powiedział, że da mi trochę czasu, żebym się zastanowiła nad tym, co mówię. I po prostu odszedł.

- Dlaczego nazwał panią kłamczuchą? Czy dał do zrozumienia w jakikolwiek sposób, że wie coś więcej o zniknięciu pani ojca?

- Nie, wcale nie.

- I policja nie mogła go namierzyć?

- On się rozplywa w powietrzu. Oni chyba uważają, że ja opowiadam niestworzone historie, żeby tylko zajęli się tą sprawą, ale tak nie jest. Nie robiłabym tak. Ja...

Czekałem.

- Pan wie o moim ojcu. Są tacy, którzy wierzą, że zrobił coś złego. Zdaje mi się, że policja jest wśród nich, no i czasami zastanawiam się, czy oni nie myślą, że wiem więcej niż w rzeczywistości o tym, co się stało, i że chronię ojca przez ten cały czas. Kiedy przyszli do naszego domu, czułam, co im chodzi po głowie: że wiem, gdzie on jest i mam z nim kontakt przez te wszystkie lata.

- A ma pani?

Zamrugła mocno, ale wytrzymała mój wzrok.

- Nie.

- Ale teraz zdaje się, że nie tylko policja wątpi w pani historię. Jak ten człowiek wygląda?

- Jest chyba po sześćdziesiątce. Ma czarne włosy. Z pewnością farbowane, w takim stylu: fala i kaczy kuper, jak nosiły gwiazdy rocka w latach pięćdziesiątych. Ma brązowe oczy i bliznę, tutaj. - Wskazała na swoje czoło, tuż poniżej linii włosów. - Są to trzy równoległe ślady, jak gdyby ktoś wbił widelec w jego skórę i pociągnął w dół. Jest niski, może ma metr sześćdziesiąt siedem, mniej więcej, ale mocno zbudowany. Ramiona ma naprawdę potężne i umięśniony kark. Ubranie stale nosi takie samo: dżinsy i T-shirt, czasem z czarną marynarką od garnituru, kiedy indziej starą czarną skórzaną kurtkę. Ma brzech, ale nie jest gruby, właściwie nie. Ma bardzo krótkie paznokcie i robi wrażenie naprawdę czystego poza tym, że...

Przerwała na chwilę. Nie przeszkadzałem jej, kiedy starała się wybrać najlepszy sposób sformułowania tego, co chciała powiedzieć.

- Używa jakiejś wody kolońskiej. Jest okropnie mocna, ale kiedy mówił do mnie, doleciał mnie zapach, który miała maskować. To był niedobry zapach, rodzaj zwierzęcego odoru. Sprawił, że chciałam uciekać od niego.

- Podał pani swoje nazwisko?

- Nie. Powiedział tylko, że ma sprawę do mojego ojca. Ja powtarzałam, że ojciec nie żyje, ale on tylko potrząsnął głową i uśmiechnął się. Powiedział, że nie wierzy, że ktoś nie żyje, dopóki nie poczuje zapachu ciała.

- Czy domyśla się pani, dlaczego ten człowiek pojawił się teraz, tyle lat po zniknięciu pani ojca?

- Nie powiedział. Być może słyszał o przeprowadzonym postępowaniu uznania ojca za zmarłego.

Do celów spadkowych według prawa w stanie Maine osoba może zostać uznana za zmarłą po pięciu latach nieprzerwanej nieobecności, w którym to czasie o tej osobie nie było nic wiadomo i jej nieobecność nie została zadowalająco wyjaśniona. W niektórych przypadkach sąd może zarządzić „rozsądnie pilne” poszukiwania, zawiadomienie funkcjonariuszy organu ochrony porządku publicznego i opieki społecznej o szczegółach przypadku oraz wymagać, by prośba o informację była opublikowana w gazetach. Według Rebecki Clay, spełniła ona wszystkie warunki wyznaczone przez sąd, ale nie przyniosło to w rezultacie żadnych nowych informacji o jej ojcu.

- Był także artykuł o moim ojcu w magazynie sztuki na początku tego roku, po tym jak sprzedałam kilka jego obrazów. Potrzebowałam pieniędzy. Mój ojciec był całkiem utalentowanym artystą. Spędzał dużo czasu w lesie, malując i robiąc szkice. Jego prace nie uzyskują wysokich cen według dzisiejszych standardów - najwyższa suma, jaką dostałam za jeden obraz, to tysiąc dolarów - ale udawało mi się coś sprzedać od czasu do czasu, kiedy brakowało pieniędzy. Mój ojciec nie wystawiał i stworzył stosunkowo niewiele prac. Sprzedawał, rozpuszczając wieść ustnie i jego obrazy były zawsze poszukiwane przez tych kolekcjonerów, którzy go znali. Pod

koniec życia otrzymywał zamówienia na prace, które jeszcze nie istniały.

- O jakiego rodzaju obrazach mówimy?

- O krajobrazach, głównie. Będę mogła pokazać panu kilka fotografii, jeżeli to pana interesuje. Sprzedałam je już wszystkie oprócz jednego.

Znałem w Portland kilka osób ze świata sztuki. Pomyślałem, że mógłbym je zapytać o Daniela Claya. Teraz jednak chodziło o człowieka, który niepokoił jego córkę.

- Nie martwię się tym tylko ze względu na siebie - powiedziała. - Moja córka, Jenna, ma jedenaście lat. Boję się wypuszczać ją samą z domu. Próbowałam jej trochę wyjaśnić, co się teraz dzieje, ale nie chcę też zanadto jej przerazić.

- Co mam zrobić w sprawie tego mężczyzny? - spytałem. Wiedziałem, że takie pytanie mogło się wydać dziwne, ale było konieczne. Rebecca Clay powinna wiedzieć, w co się łąduje.

- Chcę, żeby pan z nim porozmawiał. Chcę, żeby pan mu kazał odejść.

- To są dwie różne sprawy.

- Słucham?

- Rozmowa z nim i zmuszenie go, żeby dał spokój.

Wyglądała na zaskoczoną.

- Przepraszam - powiedziała. - Nie rozumiem.

- Musimy wyjaśnić sobie pewne sprawy, zanim zaczniemy działać. Mogę zwrócić się do niego w pani imieniu i możemy spróbować załatwić to wszystko grzecznie. Jest możliwe, że zareaguje rozsądnie i da spokój, ale z tego, co mi pani powiedziała, zdaje się, że ma jakieś ustalone przekonania, co oznacza, że to nie pójdzie tak gładko. Wtedy albo można spróbować zainteresować nim policję, żeby go zgarnęli i wystąpić o sądowy zakaz zbliżania się do pani: co może być trudne do załatwienia i jeszcze trudniejsze do wprowadzenia w życie, albo możemy znaleźć jakiś inny sposób na to, żeby dał pani spokój.

- Zagrozić mu albo zrobić mu jakąś krzywdę?

Wyglądało na to, że całkiem by jej się to spodobało. Nie miałem jej tego za złe. Spotkałem już ludzi, którzy znosili

nękanie przez prześladowców latami i widziałem, jak byli wyczerpani przez stres i cierpienie. Niektórzy z nich w końcu uciekali się do przemocy, ale to zazwyczaj tylko pogłębiało problem. Znałem pewne małżeństwo, które zostało zaskarżone do sądu przez żonę prześladowcy po tym, jak mąż przyłożył mu z desperacji i w ten sposób ich życie było tym bardziej uwikłane w konflikt z nim.

- Jest kilka możliwości - powiedziałem - ale one narażają nas na zarzut o napaść i zachowanie stanowiące zagrożenie. Co więcej, jeżeli nie potraktujemy tej sytuacji delikatnie, to cała sprawa może się bardzo zaostrzyć. Jak dotychczas, on tylko sprawił, że pani jest zaniepokojona, no i to już jest nie w porządku. Ale jeżeli go zaatakujemy, może zdecydować się na odwet. To mogłoby narazić panią na prawdziwe niebezpieczeństwo.

Prawie osunęła się w krzesło z frustracji.

- To co można zrobić?

- Proszę posłuchać - ciągnąłem - nie próbuję sprawić wrażenia, że nie ma nadziei na bezbolesne rozwiązanie. Chcę tylko, by pani wiedziała, że jeżeli on uparł się nadal panią śledzić, to tego się nie da załatwić od ręki.

Trochę się ożywiła.

- Więc przyjmie pan moje zlecenie?

Podąłem jej swoje stawki. Powiedziałem też, że jako jednoosobowa agencja, nie będę podejmować innych zajęć, które mogłyby kolidować z pracą dla niej. Gdyby trzeba było wezwać pomoc z zewnątrz, poinformuję ją o dodatkowych kosztach, jeżeli takie się pojawią. W każdej chwili może zrezygnować z naszej umowy, a ja postaram się znaleźć jakiś inny sposób, by załatwić ten problem, zanim przestanę się nim zajmować. Odpowiadała jej to. Przyjąłem zaliczkę za tydzień z góry. Ja sam właściwie nie potrzebowałem pieniędzy - mój styl życia był całkiem skromny - ale skrupulatnie pilnowałem, by co miesiąc posyłać jakieś pieniądze Rachel, chociaż twierdziła, że to nie jest konieczne.

Umówiłem się, że zacznę następnego dnia. Miałem być blisko Rebecki Clay, kiedy będzie w drodze do pracy każdego ranka. Potem da mi znać, kiedy będzie wychodzić z biura na lunch, na spotkania i wieczorem do domu. W jej domu był

zainstalowany alarm, ale umówiłem specja, żeby go sprawdził i założył dodatkowe zasuwki i łańcuchy, jeżeli potrzeba. Miałem być na zewnątrz, zanim wyjdzie do pracy rano i mieć dom w zasięgu wzroku, dopóki się nie położy do łóżka. Może skontaktować się ze mną w każdej chwili, a ja dotrę do niej w ciągu dwudziestu minut.

Zapytałem ją, czy przypadkiem nie ma fotografii swojego ojca, którą mogłaby mi dać. Przewidziała moją prośbę, chociaż przez moment wydawało się, że oddaje mi ją niechętnie po tym, jak wyjęła ją z torebki. Na fotografii zobaczyłem szczupłego, patykowatego mężczyznę w zielonym tweedowym ubraniu. Miał białe jak śnieg włosy i krzaczaste brwi. Nosił okulary w drucianej oprawie i otaczała go surowa i staroświecka aura akademickiego środowiska. Wyglądał jak człowiek należący do świata glinianych fajek i oprawnych w skórę woluminów.

- Dam zrobić kilka odbitek i oddam ją pani - powiedziałem.

- Mam jeszcze inne - odpowiedziała. - Proszę zatrzymać ją tak długo, jak pan potrzebuje.

Zapytała mnie, czy mógłbym popilnować jej tego dnia w mieście. Pracowała w nieruchomościach i miała jakieś sprawy do załatwienia, co mogło zająć parę godzin. Obawiała się, że ten człowiek mógłby podejść do niej, widząc ją w mieście. Zaproponowała, że zapłaci mi dodatkowo, ale podziękowałem. I tak nie miałem nic innego do roboty.

Tak więc chodziłem za nią przez resztę dnia. Nic się nie wydarzyło, nie było ani śladu mężczyzny z niemodną fryzurą „kaczy kuper” i bliznami na twarzy. Moje zadanie było nieciekawe i męczące, ale przynajmniej nie musiałem wracać do domu, do mojego nie całkiem pustego domu. Śledziłem ją po to, żeby moje własne duchy nie mogły włóczyć się za mną.

2

Mściciel szedł promenadą w Old Orchard, zbliżając się do miejsca, gdzie każdego lata znajdowało się stoisko Zgaduli. Staruszka już tam nie było i mściciel pomyślał, że pewnie już nie żyje albo nie może osiągać sukcesów, które kiedyś były jego udziałem, bo i oczy już nie potrafiły widzieć tak wyraźnie, i słuch był przytępiony i osłabiony, a pamięć zbyt fragmentaryczna, by rejestrować i potem wydobywać informację powierzoną jej na przechowanie. Mściciel zastanawiał się, czy Zgadula pamiętał go do końca. Uważał, że tak właśnie mogło być, bo czyż nie leży w naturze człowieka, by nie wyrzucać niczego, co może się kiedyś przydać?

Był zafascynowany talentem Zgaduli, obserwował go dyskretnie przez godzinę, zanim w końcu podszedł do niego pierwszy jaz w tamten chłodny wieczór pod koniec lata. Że też taki mały dziwnie wyglądający człowieczek, otoczony błyskotkami w swej prymitywnej budce, mógł posiadać tak niezwykły dar, potrafił tak wiele powiedzieć na pierwszy rzut oka, mógł zanalizować człowieka prawie bez zastanawiania się i stworzyć obraz jego życia w czasie, kiedy inni zdołali zaledwie spojrzeć na zegarek. Nieraz wracał do tego miejsca, ukryty w tłumie, przyglądał się Zgaduli z odległości. (Ale nawet i wtedy, czyż mały człowieczek nie był świadom jego obecności? Czyż nie widział, jak tamten bada niespokojnie tłum, szukając oczu, które obserwują go aż nadto dokładnie i jego nozdrza drżały jak u królika czującego zbliżanie się lisa?) Być może wrócił tutaj, bo istniała szansa, że stary odgadywacz postanowił zostać w tym miejscu i próbować przetrwać

zimę nad wodą, zamiast uciekać przed nią w cieplejsze strony.

Gdyby mściciel znalazł go tutaj, co mógłby mu powiedzieć? „Naucz mnie. Powiedz mi, jak mogę rozpoznać człowieka, którego szukam. Będę spotykał się z kłamstwem. Chcę się nauczyć, jak rozpoznać kłamstwo, kiedy się pojawi”. Czy wyjaśniłby, dlaczego powrócił do tego miejsca i czy mały człowieczek by mu uwierzył? Oczywiście, że tak, bo kłamstwo by u niego nie przeszło.

Ale tamten już dawno odszedł i mścicielowi zostało tylko wspomnienie ich jedyne spotkanie. Tego dnia miał krew na rękach. Było to stosunkowo proste zadanie do wykonania: złożenie bezbronny człowieka na wieczny spoczynek, człowieka, który mógłby się dać skusić i wymienić to, co wiedział, na ochronę od tych, którzy go szukali. Od momentu kiedy salwował się ucieczką, jego czas na tej ziemi liczył się w sekundach i minutach, godzinach i dniach, i to wszystko. Kiedy piąty dzień minął i nastął szósty, został znaleziony i zabity. Był strach na końcu, ale niewiele bólu. Merrick nie miał zwyczaju torturować czy dręczyć, jednak nie wątpił, że te ostatnie chwile, kiedy ofiara pojmowała nieprzejednaną naturę tego, kto przychodził po nią, były dostatecznie dręczące. Był profesjonalistą, a nie sadystą.

Merrick. Tak się wtedy nazywał. Takie nazwisko figurowało w jego dokumentach, takie nazwisko otrzymał po urodzeniu, ale teraz już nic dla niego nie znaczyło. Merrick był zabójcą, ale zabijał dla innych, nie dla siebie. To była zasadnicza różnica. Człowiek, który zabija z własnych powodów, w konkretnym celu, jest wystawiony na pastwę emocji, a tacy ludzie popełniają błędy. Stary Merrick był zawodowcem. Miał dystans, nie angażował się, albo tylko tak sobie mówił, chociaż wyciszając się po zabójstwie, czasami pozwalał sobie przyznać się do przyjemności, jaką mu ono dawało.

Ale stary Merrick, Merrick zabójca już nie istniał. Inny człowiek zajął jego miejsce, wydając wyrok na siebie w trakcie tego procesu, ale jaki miał inny wybór? Być może stary Merrick umierał od chwili, kiedy urodziło się jego dziecko, jego

wola osłabła i załamała się ostatecznie w obliczu wiedzy, że jego córka jest na tym świecie. Mściciel znowu pomyślał o Zgaduli i o tych chwilach, które spędzili razem przy jego stoisku.

Gdybyś popatrzył na mnie teraz, staruszkule, co byś zobaczył? Zobaczyłbyś człowieka bez imienia, ojca bez dziecka, i dostrzegłbyś płomień gniewu zżerający go od środka.

Mściciel odwrócił się plecami do morza, czekała na niego robota.

Kiedy wróciłem do domu, poza krótkim powitaniem od Waltera, mojego psa, przyjęła mnie cisza, za co byłem wdzięczny. Od czasu, kiedy Rachel i Sam wyjechały, wydawało się, że te inne długo wypierane istoty znalazły sposób, by skolonizować przestrzenie, niegdyś zajmowane przez tę dwójkę, która weszła na ich miejsce. Nauczyłem się nie reagować na ich sygnały, ignorować skrzypienie desek w podłodze, czy odgłos kroków nad sypialnią, jakby ktoś chodził na poddaszu, szukając należących niegdyś do niego rzeczy w pudłach i skrzyniach wypełniających pomieszczenie; lekceważyłem delikatne pukanie w okna, kiedy nadchodziła ciemność i wolałem odbierać je jak coś innego, niż w istocie było. Brzmiało to jak gałęzie poruszane przez wiatr, kiedy ich koniuszki dotykają szyb - tyle, że nie było żadnych drzew koło moich okien i żadna gałąź nie puka z taką regularnością i uporem. Czasami budziłem się w ciemnościach, nie całkiem wiedząc, co zakłóciło mój spoczynek, zdawałem sobie sprawę tylko z jakiegoś dźwięku, którego wcale nie powinno być, jakbym podświadomie słyszał nikiący szept, kiedy mój świadomy umysł już zaczynał odbudowywać bariery czasowo zniesione przez sen.

Dom nigdy nie był naprawdę pusty. Coś w nim mieszkało.

Wiem, że powinienem był rozmawiać z Rachel o tym wszystkim na długo przed jej wyjazdem. Powinienem być uczciwy wobec niej i powiedzieć, że moja nieżyjąca żona i moja zaginiona córka, czy jakieś zjawy, które się pod nie podszły, nie dawały mi spokoju. Rachel była psychologiem. Zrozumiałaby to. Kocha mnie i próbowałaby mi pomóc. Być może wspomniałaby o głęboko tkwiącym poczuciu winy, o

delikatnej równowadze umysłu, o tym, że czasem cierpienie jest po prostu ponad siły ludzkiej istoty. A ja pokiwałbym głową i powiedział: tak, tak, to prawda, wiedząc, że ma do pewnego stopnia rację, jednak to nie wystarczało, by wyjaśnić istotę tego, co działo się w moim życiu po tym, jak moja żona i córka zostały mi odebrane. Ale nie wypowiedziałem tych słów, jakbym się obawiał, że wypowiedzenie ich na głos dałoby materialną rzeczywistość temu, co mnie spotykało. Ja nie chciałem tego uznać. Odrzucałem obecność tych zjawisk i robiąc tak, tylko wzmacniałem ich władzę nade mną.

Rachel była bardzo piękna. Miała miedziane włosy i jasną karnację. Wiele z niej przejęła Sam, nasza córka, ode mnie biorąc tylko trochę. Gdy rozmawialiśmy ostatnio, Rachel powiedziała mi, że Sam sypia teraz lepiej. Kiedy mieszkaliśmy razem pod tym dachem, jej sen był często zakłócany. Rachel albo ja budziliśmy się, słysząc jej śmiech, a czasem płacz. Jedno z nas zaglądało wtedy do niej i widziało, jak wyciąga rączki, starając się złapać coś niewidocznego w powietrzu przed sobą lub odwraca główkę, by śledzić przejście postaci, które tylko ona mogła zobaczyć, a ja zauważałem, że pokój jest zimny, chłodniejszy, niż powinien być.

Widziałem, że Rachel też to czuła, chociaż nic na ten temat nie mówiła.

Trzy miesiące wcześniej byłem na prelekcji w Bibliotece Publicznej w Portland. Dwie osoby, lekarz i ktoś ze zdolnościami parapsychologicznymi - medium - dyskutowały o istnieniu zjawisk nadnaturalnych. Szczerze mówiąc, byłem lekko zażenowany swoją tam obecnością. Mogło wyglądać na to, że jestem jednym z tych ludzi, którzy za rzadko się myją i sądząc po pytaniach, które nastąpiły po wykładzie, są skłonni uznać za prawdę wszelkie brednie, wśród których świat niematerialny stanowił tylko małą część oprócz aniołów wyglądających jak wróżki, UFO i kosmicznych jaszczurek w ludzkiej postaci.

Lekarz mówił o złudzeniach słuchu, których - jak powiedział - najczęściej doświadczają osoby mówiące o duchach. Starsi ludzie - kontynuował - szczególnie pacjenci z parkinsonem, cierpią też na schorzenie nazywane otępieniem z ciałami Lewy'ego, które powoduje, że widzą skrócone sylwetki.

To wyjaśnia większość historii, w których rzekomo ujrzane duchy wydają się odcięte na wysokości kolan. Mówił też o innych możliwych przyczynach, chorobach płata skroniowego, guzach, schizofrenii i o depresji. Opisał hipnagogiczne sny, te żywe obrazy, które przychodzą do nas w obszarach pomiędzy snem i przebudzeniem; jednak - zakończył - ciągle jeszcze nie można całkowicie wyjaśnić wszystkich zgłaszanych nadnaturalnych wydarzeń w sposób wyłącznie naukowy. Jeszcze bardzo wielu rzeczy nie wiemy - powiedział - o działaniu mózgu, o stresie i depresji, chorobach umysłowych i naturze żaloby.

Natomiast osoba ze zdolnościami parapsychologicznymi - medium - była starą oszustką, naładowaną bzdurami, które zwykle towarzyszą najgorszym egzemplarzom jej rodzaju. Mówiła o bytach z niedokończonymi sprawami, o seansach i przesłaniach z zaświatów. Miała program w telewizji kablowej i linię telefoniczną w normalnej taryfie i dawała swoje rutynowe przedstawienie dla biednych i naiwnych w domach kultury i ośrodkach miejscowych Elk Lodge wzdłuż całego północno-wschodniego wybrzeża.

Twierdziła, że duchy nawiedzają miejsca, a nie ludzi. Myśle, że to nieprawda. Ktoś mi kiedyś powiedział, że sami kreujemy swoje duchy, że tak jak w snach, każdy duch jest pewną wersją nas samych; naszej winy, naszego żalu, naszego smutku. Może to jest jakaś odpowiedź. Każdy z nas ma swoje duchy. Nie każdy z tych duchów jest stworzony przez nas samych, ale jednak nas wszystkich w końcu dopadają.

Rebecca Clay siedziała w kuchni. Miała przed sobą nieknięty kieliszek czerwonego wina. Wszystkie światła były zgaszone.

Powinna była poprosić detektywa, by został u niej. Tamten człowiek nigdy jeszcze nie zbliżył się do jej domu, i była pewna, że drzwi i okna są dobrze zabezpieczone a alarm skuteczny, szczególnie po tym, jak zostały sprawdzone przez konsultanta poleconego przez detektywa, ale w miarę jak zapadała noc, te środki zaradcze zaczynały wydawać się niedostateczne i teraz docierał do niej każdy dźwięk wydawany przez stary

dom, każdy trzask desek w podłogach, każde drżenie szafek, kiedy wiatr błędził po domu jak zagubione dziecko.

Okno nad kuchennym zlewem było bardzo ciemne, podzielone na cztery części przez białą ramę, nic nie było widać na zewnątrz. Równie dobrze mogłaby płynąć przez czarną przestrzeń, oddzielona cieniutką barierą od próżni na dworze, gdyby nie łagodny szum niewidocznych fal uderzających o brzeg na plaży. Nie mając nic lepszego do roboty, podniosła kieliszek do ust i zaczęła sączyć wino, zauważając o moment za późno stęchły zapach, jaki napłynął z kieliszka. Skrzywiła się, potem wypluła wino z powrotem do kieliszka i wstała od stołu. Podeszła do zlewu i wylała płyn, po czym odkręciła kurek i splukała czerwone rozbryzgi z metalu. Pochyliwszy się, nabrała wody prosto ze strumienia, płucząc usta, by pozbyć się smaku. To jej przypomniało, nieprzyjemnie, byłego męża, jego cuchnące pocałunki w nocy, kiedy ich małżeństwo znajdowało się na etapie ostatecznego, terminalnego upadku. Wiedziała, że nie znosił jej wtedy tak, jak ona nienawidziła go teraz, i chciał się uwolnić od ciężaru, który dzielili. Rebecca już nie miała ochoty ofiarowywać mu swego ciała, bo nie czuła nawet cienia dawnego pożądania, ale on potrafił znaleźć sposób na rozdzielenie miłości i potrzeby. Zastanawiała się czasami, o kim fantazjował, kiedy zbliżał się do niej. Czasami jego oczy stawały się nieobecne, a ona wiedziała, że nawet jeżeli jego ciało jest z nią złączone, to jego prawdziwe ja przebywa daleko. Kiedy indziej jednak jego spojrzenie bywało tak wyraziste, tak pełne wstrętu, kiedy wpatrywał się w nią, że sam akt płciowy przypominał gwałt. Nie było w tym wtedy miłości, i gdy patrzyła teraz wstecz na te lata, nie mogła sobie przypomnieć, czy w ogóle kiedyś istniała jakaś miłość.

Oczywiście próbowała robić to samo: widzieć w wyobraźni dawnych albo potencjalnych kochanków, by doświadczenie stało się mniej nieprzyjemne, ale było ich niewielu i przynosili ze sobą własne problemy tak, że w końcu po prostu zrezygnowała. Jej pragnienia zanikły w takim stopniu, że łatwiej było jej myśleć o całkiem innych sprawach albo wyobrażać sobie czas, kiedy tego mężczyzny już nie będzie w jej życiu.

Teraz nie mogła już sobie nawet przypomnieć, dlaczego w ogóle chciała być z nim, a on z nią. Przypuszczała, że mając małą córkę, i po tym, co się stało z jej ojcem, łaknęła w tamtym czasie jakiejś stabilizacji, ale on nie był mężczyzną, który mógł jej to dać. Był jakiś upodlający element w tym, co go do niej przyciągało, jak gdyby dojrzał w niej coś skażonego, a jemu sprawiało przyjemność dotykanie tego, kiedy w nią wchodził.

Tak samo nie lubił jej córki, będącej owocem związku, na który Rebecca nie była w pełni gotowa. (A kto wie? Może właściwie nigdy miała nie mieć dobrego związku.) Ojciec Jenny odszedł. Widział swoje dziecko tylko parę razy i to we wczesnych latach. Nawet by jej teraz nie poznał, pomyślała Rebecca i od razu zdała sobie sprawę, że myśli o nim, jakby jeszcze żył. Próbowwała wyobrazić sobie, że coś do niego czuje, ale nie mogła. Jego życie przedwcześnie dobiegło kresu na ciemnej, bocznej drodze daleko od domu. Ciało wrzucone do rowu, ręce związane brutalnie drutem, krew sącząca się do miękkiej ziemi, by nakarmić małe biegające stwory, które wypelzły, by ucztować na ścierwie. Nie był dobry dla niej. Pewnie wcale nie był dobry w niczym i dlatego tak skończył. Nigdy nie dotrzymywał obietnic, nie wypełniał zobowiązań. To było nieuniknione, jak sądziła, że pewnego dnia spotka kogoś, kto mu nie wybaczy jego nadużyć i wymusi od niego ostateczną, ponurą zapłatę.

Przez jakiś czas Jenna wciąż o niego pytała, ale w ostatnich latach coraz rzadziej, aż w końcu albo o nim zapomniała, albo postanowiła nic nie mówić. Rebecca nie zdecydowała jeszcze, jak poinformować Jennę, że jej ojciec nie żyje. Zginął na początku tego roku, a ona nie znalazła odpowiedniego momentu, żeby porozmawiać z Jenną o jego śmierci. Wiedziała, że odkłada to z rozmysłem, jednak ciągle czekała. Teraz, w ciemnościach swojej kuchni postanowiła, że kiedy następnym razem Jenna poruszy temat swojego ojca, wtedy powie jej prawdę o nim.

Znowu wróciła myślą do prywatnego detektywa. W pewnym sensie ojciec Jenny przyczynił się do tego, że się z nim skontaktowała. To dziadek Jenny ze strony ojca powiedział jej o Parkerze. Chciał, żeby odszukał jego syna, ale detektyw

mu odmówił. Obawiała się, że staruszek mógł mieć żal do detektywa, szczególnie po tym, jak się sprawy ułożyły, ale nie miał. Być może rozumiał, że jego syn był przegrany nawet, jeżeli nie chciał przyjąć do wiadomości konsekwencji tej sytuacji. Jeżeli sam nie dowierzał własnemu synowi, to jak mógł oczekiwać, że ktoś inny mu zaufa? Tak więc nie miał pretensji do detektywa o to, że odmówił mu pomocy, a Rebecca przypomniała sobie o Parkerze, kiedy przyszedł ten obcy mężczyzna i zapytał o jej ojca.

Kran był ciągle odkręcony, więc zaczęła wylewać resztę wina do zlewu. Woda krążyła wkoło odpływu, zabarwiona na czerwono. Jenna spała na górze. Rebecca zamierzała wysłać ją z domu, gdyby detektywowi nie udało się szybko pozbyć intruza. Dotychczas ten człowiek nie niepokoił Jenny, ale obawiała się, że to się może zmienić i on może próbować dotrzeć przez córkę do matki. Zamierzała poinformować szkołę Jenny, że dziecko zachorowało, a potem nadrobić zaległości. Albo powiedzieć prawdę: że ktoś ją prześladuje, że Jenna nie jest bezpieczna w Portland. Na pewno powinni to zrozumieć.

Dlaczego teraz?, zastanawiała się. O to samo zapytał ją detektyw. Dlaczego po tych wszystkich latach ktoś właśnie teraz przyszedł i pytał o jej ojca? Co wiedział o okolicznościach jego zniknięcia? Próbowała go o to pytać, ale on tylko dotknął nosa wskazującym palcem w taki znaczący sposób i powiedział: „Nie jego zniknięcie mnie interesuje, panienko. Chodzi o kogoś innego. Ale on to będzie wiedział. Będzie wiedział”.

Obcy mówił o jej ojcu tak, jakby był pewny, że on jeszcze żyje. Co więcej, wyglądało na to, iż myśli, że ona też o tym wie. Domagał się odpowiedzi, których nie potrafiła mu udzielić.

Podniosła głowę i zobaczyła swoje odbicie w szybie okna. Widok przestraszył ją nagle i drgnęła lekko, a twarz, którą miała przed sobą, zdwoiła się przez nierówność szkła. Ale kiedy Rebecca odzyskała równowagę, druga twarz nadal tam była. Była jak jej twarz, ale jednak nie jej, jak gdyby zrzuciła skórę tak, jak potrafi to wąż i odrzucona maska zastygła w rysach tamtej drugiej twarzy. Potem postać po drugiej stronie szyby przybliżyła się i widmo sobowtóra znikło, a pozostał

obcy w skórzanej marynarce, z wypomadowanymi włosami. Słyszała jego głos, zniekształcony przez grube szkło, ale nie rozumiała tego, co mówił.

Oparł ręce o szybę, potem przesunął dłonie w dół, aż koniuszki palców oparły się o ramę okna. Nacisnął ją, ale zamek wewnętrzny dobrze trzymał. Gniew wykrzywił mu twarz i obnażył zęby.

- Zostaw mnie - powiedziała. - Odejdź stąd, albo jak mi Bóg miły...

Zabrał ręce, a potem Rebecca zobaczyła, jak pięść przebija szybę, wstrząsając ramą i zasypując zlew odłamkami szkła. Krzyknęła, ale głos złączył się z sygnałem alarmu. Krew płynęła po rozbitej szybie, kiedy obcy cofał rękę, nie próbując nawet uważać na ostre kandy szkła, które zaczepiały o skórę i ryły czerwone szramy na dłoniach, uszkadzając żyły. Gapił się na zranioną pięść, jakby to była jakaś rzecz poza jego kontrolą, zaskakująca go tym, co robi. Usłyszała, że dzwoni telefon i wiedziała, że to firma monitorująca. Jeżeli nie odbierze telefonu, wyśle policję. Przyślą kogoś, by sprawdził, co się u niej dzieje.

- Nie powinienem był tego zrobić - powiedział mężczyzna. - Przepraszam. - Ledwo go mogła słyszeć przez sygnał szalejącego alarmu. Skinął głową przed nią. Był to dziwny, pełen szacunku gest, dający wyraz prawie staroświeckiej grzeczności. Zdusiła w sobie chęć chichotu w obawie, że gdyby zaczęła się śmiać, to nie mogłaby przestać i wpadłaby w histerię, z której nie byłoby już wyjścia.

Telefon umilkł, potem rozdzwonił się na nowo. Nawet nie zrobiła ruchu w jego kierunku. Patrzyła, jak obcy wycofuje się, zostawiając zlew pokryty krwią. Dotarł do niej jej zapach, powoli łączący się ze smrodem zepsutego wina, tworząc coś potwornego i nowego, brakowało tylko kielicha, z którego można by to sączyć.

3

Siedziałem przy kuchennym stole Rebecki Clay, przyglądając się, jak sprząta rozbite szkło ze zlewu za pomocą szczotki i zmiotki. Na szybie jeszcze była krew. Zawiadomiła policję natychmiast po telefonie do mnie i radiowóz z południowej części miasta Portland pojawił się na moment przede mną. Przedstawiłem się policjantowi z patrolu i słuchałem, jak Rebecca składa zeznanie, ale nie ingerowałem w żaden sposób. Jej córka, Jenna, siedziała na sofie w salonie, przytulając porcelanową lalkę, która kiedyś mogła należeć do jej matki. Lalka miała rude włosy i niebieską sukienkę. Widać było, że jest stara i stanowi najcenniejszy skarb. Już sam fakt, że dziewczynka szukała u niej pocieszenia w tej chwili, potwierdzał jej wartość. Jenna nie była tak wstrząśnięta jak jej matka, wydawała się raczej zaskoczona niż przerażona. Uderzyło mnie, że robi wrażenie zarówno starszej, jak i młodszej, jak na swój wiek - starszej, jeżeli chodzi o wygląd i młodszej w zachowaniu - no i zastanawiałem się, czy jej matka nie jest trochę zbyt nadopiekuńcza.

Z Jenną była jeszcze inna kobieta. Rebecca przedstawiła ją jako April, przyjaciółkę, która mieszka w pobliżu. Podała mi rękę i powiedziała, że skoro przyszedłem i Jenna niczego nie potrzebuje, to ona pójdzie do domu, żeby nie przeszkadzać. Rebecca ucałowała ją w policzek i przytuliła, potem April cofnęła się i przytrzymała Rebeccę na długość ramienia. Wymieniły spojrzenia, które świadczyły o głębokiej znajomości, o latach przyjaźni i lojalności.

- Dzwon do mnie - powiedziała April. - W każdej chwili.

- Zadzwoń. Dzięki, kochanie.

April ucałowała Rebecę na pożegnanie i wyszła.

Przyglądałem się Jennie, kiedy Rebecca poszła na zewnątrz z policjantem pokazać mu, gdzie stał obcy mężczyzna. Dziewczynka wyrosła na bardzo piękną kobietę. Było w niej coś z matki, ale robiła większe wrażenie przez swoją szczupłość i wyrazistość rysów pochodzącą od kogoś innego. Byłem pewny, że widzę w niej też coś z jej dziadka.

- Wszystko w porządku? - zapytałem ją.

Kiwnęła głową.

- Kiedy się coś takiego dzieje, to można się przestraszyć - mówiłem dalej. - Mnie to spotkało i się bałem.

- Ja się nie bałam - powiedziała rzeczowym tonem, wskazującym wyraźnie na to, że nie kłamie.

- Dlaczego?

- Ten człowiek nie chciał zrobić nam krzywdy. Jest po prostu smutny.

- Skąd wiesz?

Uśmiechnęła się tylko i potrząsnęła głową.

- Nieważne.

- Rozmawiałas z nim?

- Nie.

- No to skąd wiesz, że nie chce zrobić wam krzywdy?

Odwróciła wzrok, ale ten prawie anielski uśmiech wciąż błąkał się na jej twarzy. Rozmowa najwidoczniej była skończona. Jej matka wróciła do domu z policjantem i Jenna powiedziała jej, że wraca do łóżka. Rebecca przytuliła ją i obiecała zajrzeć do niej później. Jenna pożegnała się ze mną i policjantem, i poszła do swojego pokoju na górę.

Rebecca Clay mieszka w okolicy znanej pod nazwą Willard. Jej dom, niewielka, lecz robiąca wrażenie dziewiętnastowieczna budowla, w której dorastała i do której powróciła po zaginięciu ojca, znajduje się na Willard Haven Park, w ślepym zaułku, który biegnie prostopadle do Willard Beach, parę kroków od Willard Haven Road. Kiedy policjant wreszcie wyszedł, obiecując, że ich detektyw odezwie się pod wieczór albo następnego dnia rano, ja rozejrzałem się wokół domu,

wędrując jego śladami, ale było oczywiste, że mężczyzna, który rozbił szkło, dawno już odszedł. Podążyłem śladami krwi do Deake Street, która biegnie równolegle do Willard Haven Park po jej prawej stronie i straciłem ślad tam, gdzie nieznamy wsiadł do auta i odjechał. Zadzwoiłem do Rebecki Clay z ulicy, a ona podała mi nazwiska niektórych sąsiadów, którzy mieszkali w zasięgu wzroku tam, gdzie został zaparkowany jego samochód. Tylko jedna z nich, Lisa Hulmer - kobieta w średnim wieku, której wygląd sugerował, że opisana słowem „dziwkowata” mogła wziąć to za komplement - widziała coś, ale i tak nie pomogła wiele. Pamiętała ciemnoczerwony samochód zaparkowany po drugiej stronie ulicy, nie potrafiła jednak podać marki ani numeru rejestracyjnego. Zaprosiła mnie do środka i zaproponowała, żebym wypił z nią drinka. Najwyraźniej przeszkodziłem jej w opróżnianiu dzbanka czegoś owocowo-alkoholowego. Kiedy zamknęła za mną frontowe drzwi, zabrzmiało to złowieszczo, jak łomot drzwi celi zatraskujących się za skazańcem.

- To dla mnie trochę za wcześnie - powiedziałem.
- Przecież już jest po dziesiątej trzydzieści!
- No, ale ja późno wstaję.
- Ja też. - Uśmiechnęła się i podniosła brew w sposób, który mógłby uchodzić za wiele mówiący, tylko jeżeli ktoś był podatny na sugestię, jak pies albo małe dziecko. - Jak już wyląduję w łóżku, to się nie daję z niego wyciągnąć.
- To... miło - powiedziałem, z braku bardziej odpowiedniego słowa.
- To ty jesteś miły - odrzekła. Zakołysała się lekko, bawiąc sznurem muszelek, który sięgał jej piersi, ale wtedy ja już otworzyłem drzwi i wycofywałem się z domu, nie czekając, aż trafi mnie rzutką i przykuje łańcuchem do ściany w piwnicy.
- Dowiedział się pan czegoś? - zapytała Rebecca Clay, kiedy wróciłem do jej domu.
- Niewiele poza tym, że jedna z pani sąsiadek ma rację.
- Lisa? - Uśmiechnęła się pierwszy raz od mojego przyjścia. - Ona zawsze jest w rui. Nawet mnie raz zrobiła propozycję.

- Sprawia pani, że czuję się mniej wyróżniony - powiedziałem.

- Chyba powinnam była pana przed nią ostrzec, ale... - Machnęła ręką w stronę rozbitego okna.

- Ona była jedyną osobą, która w ogóle coś widziała. Powiedziała, że przez chwilę czerwony samochód stał zaparkowany przed jej domem, ale oświetlenie nie jest tam za dobre. Mogła się mylić.

Rebecca wyrzuciła ostatnie kawałki szkła do kosza na śmieci i schowała szczotkę i zmiotkę do szafki. Potem zadzwoniła do szklarza, który obiecał, że przyjdzie z samego rana. Pomogłem jej zakleić rozbity szybę kawałkiem plastyku i kiedy wszystko już było gotowe, zrobiła dzbanek kawy i nałala nam po filiżance. Wypiliśmy ją na stojąco.

- Nie wierzę, że policja coś z tym zrobi - powiedziała.

- Czy mogę zapytać dlaczego?

- Nie byli w stanie nic z nim zrobić dotychczas. Dlaczego teraz miałyby być inaczej?

- Tym razem rozbił okno. To jest poważna szkoda. To się nasila. Jest krew i ta krew może się przydać policjantom.

- Do czego? Żeby mogli jej użyć, by go zidentyfikować, jak mnie zabije? Wtedy to może być trochę za późno dla mnie. Ten człowiek nie boi się policji. Myślałam o tym, co pan powiedział, kiedy spotkał się po raz pierwszy, że może trzeba go będzie zmusić, żeby zostawił mnie w spokoju. Chcę, żeby pan to zrobił. Jest mi obojętne, ile to kosztuje. Mam trochę pieniędzy. Stać mnie, żeby panu zapłacić za to i także tym, których pan wynajmie do pomocy. On się nie odcepi, dopóki ktoś go nie zmusi. Boję się o siebie i o Jennę.

- Jenna jest bardzo opanowaną dziewczynką - powiedziałem, mając nadzieję, że odwróć jej uwagę od tematu, zanim się nie uspokoi.

- Co pan ma na myśli?

- No, że nie wydawała się szczególnie przestraszona czy wstrząśnięta tym, co się stało.

Rebecca zachmurzyła się.

- Ona chyba zawsze taka była. Jednak porozmawiam z nią później. Nie chcę, żeby dusiła coś w sobie tylko dlatego, żeby mnie nie niepokoić.

- Czy mogę zapytać, gdzie jest jej ojciec?

- Nie żyje.

- Przykro mi to słyszeć.

- Dziękuję. I tak nigdy nie miał wiele z nią do czynienia, no i nie byliśmy małżeństwem. A ja mówiłam poważnie: chcę, żeby ten człowiek zostawił mnie w spokoju bez względu na wszystko.

Nie odpowiedziałem. Była zagniewana i przestraszona. Z powodu szoku wciąż jeszcze trzęsły się jej ręce. Na rozmowę przyjdzie czas rano. Powiedziałem jej, że mogę zostać, jeżeli to pozwoli jej poczuć się lepiej. Podziękowała mi i pościeliła sofę w salonie.

- Czy ma pan broń przy sobie?

- Tak.

- To dobrze. Jeżeli on wróci, proszę jej użyć i go zabić.

- To kosztuje ekstra.

Popatrzyła na mnie i przez moment widziałem, że zastanawia się, czy mówię serio. Pomyślałem z niepokojem, że może nawet byłaby gotowa zapłacić.

Szklarz przyszedł trochę po siódmej, by wstawić rozbitą szybę. Popatrzył na rozłożoną sofę, rozbitą szybę i na mnie i najwyraźniej uznał, że to rezultat domowego nieporozumienia.

- To się zdarza - szepnął konspiracyjnie do mnie. - One rzucają różnymi rzeczami, ale tak naprawdę wcale nie chcą trafić. Jednak zawsze lepiej się uchylić.

Podziękowałem mu. Pewnie to była dobra rada w każdej sytuacji. Skłonił się Rebecce przyjaźnie i zabrał do roboty.

Kiedy skończył, pojechałem za hyundaiem Rebecki, która odwoziła Jennę do szkoły, a potem podążyłem za nią aż do biura. Pracowała bardzo blisko, zaledwie o rzut kamieniem od domu, na Willard Square, zaraz koło skrzyżowania Pillsbury i Preble. Powiedziała mi, że zamierza być w biurze do lunchu, a po południu ma obejrzeć nieruchomości. Pilnowałem jej, dopóki nie weszła do środka. Starłem się utrzymywać dyskretną odległość za samochodem Rebecki. Nie widziałem

ani śladu mężczyzny, który za nią chodził, ale nie chciałem, żeby mnie z nią zobaczył, jeszcze nie teraz. Chciałem, żeby znowu spróbował zbliżyć się do niej, żebym tym razem już mógł czekać na niego. Jednak jeżeli jest dobry, wyłuska mnie bez trudu i już się pogodziłem z tym, że będę musiał dokooptować pomocników, jeżeli ta sprawa ma być dobrze załatwiona.

Kiedy Rebecca pracowała w biurze, pojechałem z powrotem do siebie do Scarborough, wyprowadziłem i nakarmiłem Waltera, potem wziąłem prysznic i przebrałem się. Zmieniłem samochód, zastępując mustanga zielonym dwudrzwiowym coupe saturnem, kupiłem kawę i drożdżówkę u Foleya przy drodze nr 1 i pojechałem z powrotem do Willard. Saturna wyszukał dla mnie sklep samochodowy Williego Brewsa w Queens i odstąpił za cenę, która wynosiła mniej, niż trzeba by było pewnie zapłacić za same opony. Przydawał się jako rezerwa w takich sytuacjach jak obecnie, ale prowadząc go, czułem się jak ćwok.

- Ktoś w nim umarł? - spytałem Williego, kiedy mi go zaproponował jako możliwy drugi samochód.

Willie ostentacyjnie powąchał wnętrze.

- Myślę, że to wilgoć - odpowiedział. - Pewnie tak. Możliwe. W każdym razie, za tę cenę nawet z trupem przypiętym do siedzenia, to i tak byłaby okazja.

Miał rację, ale jednak jeżdżenie nim było trochę krępujące. Trudno by było jednak pozostać niezauważonym w mustangu bossie 302 z 1969 roku. Nawet najbardziej tępy kryminalista w końcu spojrzy w lusterko i pomyśli: ciekawe czy to ten sam mustang 69 z napisem „jedź prędeż”, który był za mną już wcześniej? A może ktoś mnie śledzi?

Zgłosiłem się do Rebecki telefonicznie, a potem poszedłem na spacer po Willard, żeby jeszcze trochę przewietrzyć głowę i zabić trochę czasu. Spanie na sofie przy zimnym wietrze wiejącym z rozbitego okna nie gwarantowało dobrego wypochnięcia. Nawet po prysznicu nie czułem się całkiem w formie.

Mieszkańcy Portland po drugiej stronie wody patrzyli trochę z góry na South Portland. Miastem został dopiero przed

stu laty, co według standardów stanu Maine było wiekiem zaledwie niemowlęcym. Budowa Mostu Milliona Dolarów, międzystanowej drogi nr 295 i otwarcie pasażu handlowego Maine Mall zniszczyło trochę jego urok, zmuszając miejscowe sklepiki do kapitulacji, ale mimo to okolicy udało się jeszcze zachować swoisty charakter. Teren, gdzie mieszkała Rebecca Clay, kiedyś nazywano Point Village, ale było to w latach osiemdziesiątych dziewiętnastego wieku. Po tym jak South Portland oddzielił się od Cape Cod w 1895, Point Village zaczęto nazywać po prostu Willard. Mieszkali tam kapitanowie statków i rybacy, których potomkowie obecnie nadal żyli w tej okolicy. W zeszłym wieku niejaki Daniel Cobb był tu właścicielem dużych obszarów ziemskich. Uprawiał tytoń, jabłka i seler naciowy. Powiadano, że pierwszy zaczął hodować sałatę lodową na wschodzie.

Powędrowałem w dół ulicą Willard do plaży. Po odpływie piasek radykalnie zmienił kolor z białego na ciemnobrązowy tam, gdzie zatrzymało się morze. Po lewej stronie plaża ciągnęła się w linii półksiężyca, kończąc się przy latarni morskiej Spring Point Ledge, która zaznaczała niebezpieczny próg po zachodniej stronie głównego kanału żeglownego prowadzącego do portu Portland. Dalej leżały wyspy Cushing Island i Peaks Island i rdzawo zabarwiona fasada fortu Fort Georges. Na prawo betonowe stopnie wiodły do ścieżki biegnącej wzdłuż wzniesienia, gdzie znajdował się mały park.

Niegdyś latem ulicą Willard jeździł tramwaj w dół aż do plaży. Nawet po zamknięciu linii stara budka z przekąskami i napojami nadal funkcjonowała tam, gdzie był kiedyś koniec trasy. Pochodziła z lat trzydziestych dwudziestego wieku i ciągle jeszcze sprzedawano tam jedzenie w latach siedemdziesiątych, kiedy to nazywała się The Dory, a rodzina o nazwisku Carmody podawała przez okienko hot dogi i frytki ludziom idącym na plażę. Mój dziadek czasem mnie tam zabierał, kiedy byłem dzieckiem i opowiadał mi, że budka jest częścią imperium Sama Silvermana, który swego czasu uchodził za legendę. Opowiadano, że trzymał małpkę i niedźwiedzia w klatce, żeby przyciągnąć ludzi do swoich lokali, w tym Willard Beach Bath House - kąpieliska i Sam's Lunch - obiadów

u Sama. Hot dogi od Carmodych były całkiem smaczne, ale nie mogły się równać z niedźwiedziem w klatce. Po krótkim pobycie na plaży dziadek zawsze zabierał mnie do sklepu państwa B., który nazywał się Bathras Market, gdzie zamawiał kilka włoskich kanapek na wynos do domu na kolację i pan B. starannie notował zakup na koncie mojego dziadka. Sklepik Bathrasów był bardzo znany w South Portland i wyglądało na to, że każdy klient regulował tam rachunki raz na tydzień albo raz na dwa tygodnie, a gotówka rzadko przechodziła z rąk do rąk jako należność za małe zakupy.

Zastanawiałem się, czy to tęsknota za przeszłością wywołała te ciepłe myśli o czymś tak zwyczajnym jak sklep spożywczy czy stara budka z przekąskami i napojami. Myślę, że częściowo tak. Mój dziadek dzielił się nimi ze mną, ale teraz dziadek już odszedł, te miejsca przestały istnieć i ja nie mogę podzielić się nimi z nikim. Jednak istnieją przecież inne miejsca i inni ludzie. Jennifer, moje pierwsze dziecko, właściwie nigdy nie miała szansy go zobaczyć. Była za mała, kiedy przyjechaliśmy tutaj z jej matką, a zanim podrosła na tyle, by móc docenić to, co widzi, już nie żyła. Ale przecież była jeszcze Sam. Jej życie właśnie się zaczynało. Jeśli zdołam ustrzec ją przed nieszczęściem, kiedyś może dołączy do mnie tu, na plaży, albo na cichej uliczce, gdzie kiedyś thukły się tramwaje, albo nad rzeką, czy na górskiej ścieżce. Mogłbym przekazać jej niektóre z tych sekretów, a ona mogłaby je zachować dla siebie i wiedzieć, że przeszłość i teraźniejszość są poprzetkane jasnością, a i światło, i cień w równej mierze budują strukturę świata.

Zawróciłem w stronę Willard Haven Road po wyłożonej płytkami ścieżce na piasku i zatrzymałem się. W połowie Willard Street tkwił przy krawężniku czerwony samochód. Przednia szyba była odblaskowa i kiedy popatrzyłem na nią, zobaczyłem tylko niebo. Kiedy zacząłem się zbliżać, kierowca wrzucił wsteczny bieg i wycofując się w górę Willard, utrzymywał stałą odległość między nami, potem znalazł miejsce, by zawrócić i pojechał w stronę Preble. Samochód był marki Ford Contour, model mniej więcej z połowy lat dziewięćdziesiątych. Nie udało mi się dostrzec numerów na tablicy

rejestracyjnej. Nawet nie byłem pewny, czy w środku siedział mężczyzna, który śledził Rebeccę Clay, ale czułem, że to musiał być on. Wiedziałem też, że nie ma co liczyć na to, iż jeszcze mnie z nią nie skojarzył, ale to nie było żadne nieszczęście. Moja obecność mogła wystarczyć, żeby go wkurzyć. Nie odstraszyłaby go, ale mogłaby sprowokować do próby odstraszenia mnie. Chciałem się z nim spotkać twarzą w twarz. Chciałem usłyszeć, co ma do powiedzenia. Bez tego nie mogłem nawet zacząć rozwiązywać problemu Rebecki Clay.

Poszedłem z powrotem w górę Willard Street, gdzie był zaparkowany mój samochód. Jeżeli ten facet mnie namierzył, przynajmniej nie będę musiał więcej jeździć saturnem, co samo w sobie dawało powód do zadowolenia. Zadzwoiłem do Rebecki i powiedziałem jej, że mężczyzna, który ją nachodził, może być gdzieś w pobliżu. Opisałem kolor i markę jego samochodu i kazałem nie wychodzić z biura nawet na krótko. Gdyby jej plany się zmieniły, ma zadzwonić i po nią przyjadę. Poinformowała mnie, że ma zamiar zjeść lunch przy biurku i że telefonicznie poprosiła dyrektora w szkole Jenny, żeby Jenna mogła poczekać u jego sekretarki, aż Rebecca przyjdzie ją odebrać. Dzięki temu, że Rebecca miała pozostać w biurze przez jakiś czas, zyskiwałem około godziny i zamierzałem ten czas dobrze wykorzystać. Bo chociaż opowiedziała mi trochę o swoim ojcu, to ja chciałem wiedzieć więcej i zdawało mi się, że znam kogoś, kto mógłby mi pomóc.

Pojechałem do centrum Portland i zaparkowałem po przeciwnej stronie miejskiej hali spożywczej. Wziąłem dwie kawy i parę babeczek w Big Sky Bakery dlatego, że wizyty lepiej nie składać z pustymi rękami i udałem się do Stanowej Wyższej Szkoły Sztuki przy ulicy Congress. June Fitzpatrick jest właścicielką paru galerii w Portland i czarnego psa, który krzywo patrzy na każdego, kto nie jest June. Znalazłem June w jednej z jej galerii na terenie college'u, zajętą aranżacją wystawy nowych prac na nieskazitelnie białych ścianach. Jest ona małą, pełną entuzjazmu kobietą, mimo wielu lat spędzonych w Maine nie straciła swojego angielskiego akcentu, ma dobrą pamięć do twarzy i nazwisk ze świata sztuki. Jej pies szczeknął

na mnie z kąta, a potem zadowolili się pilnowaniem mnie, na wypadek gdyby mi przyszło do głowy porwać jakiś obraz.

- Daniel Clay - powiedziała, pijąc kawę małymi łykami. - Pamiętam go, chociaż widziałam tylko parę jego prac. Należał do kategorii utalentowanych amatorów. To wszystko było bardzo... konwulsyjne, można by powiedzieć: przemieszane ciała, blade z żywymi plamami czerwieni, czerni i niebieskiego koloru, i różnymi elementami katolickiej ikonografii umieszczonymi w tle. Potem przerzucił się na pejzaże. Mgłą osnute drzewa, ruiny na pierwszym planie, i temu podobne.

Wcześniej tego dnia Rebecca pokazała mi kilka slajdów z pracami swojego ojca, jak również ten jeden obraz, który zatrzymała. Przedstawiał on Rebeccę jako małą dziewczynkę, był zbyt ciemny jak na mój gust, dziecko stanowiło bladą niewyraźną plamę wśród gromadzących się cieni. Wyznałem June, że reszta jego prac też nie zrobiła na mnie zbyt wielkiego wrażenia.

- Muszę przyznać, że mnie też nie odpowiadają. Zawsze uważałam, że jego późniejsze prace są o oczko wyżej od jeleni i jachtów, ale moja opinia nie ma tu znaczenia. Sprzedawał prywatnie i nie wystawiał, więc nigdy nie musiałam szukać uprzejmego sposobu, by mu odmówić. Jednak mieszka w Portland kilku poważnych kolekcjonerów jego prac i wiem, że rozdawał całkiem sporo obrazów swoim przyjaciółom. Jego córka od czasu do czasu sprzedaje niektóre z dzieł, które są jej własnością, no i wtedy ujawnia się paru potencjalnych kupców. Myślę, że większość z tych, którzy kolekcjonują jego obrazy, prawdopodobnie znała go osobiście, albo przyciąga ich otaczająca go tajemnica, delikatnie mówiąc. Słyszałam, że przestał malować na jakiś czas przedtem, zanim zaginął, więc przypuszczam, że obrazy te mają pewną wartość jako unikaty.

- Czy przypomina pani sobie jakieś informacje dotyczące jego zniknięcia?

- Och, były plotki. W gazetach nie pisano wiele o szczegółach - miejscowa prasa jest dość powściągliwa w wypadku takich spraw, ale większość nas wiedziała, że niektóre z dzieci, którym on próbował pomóc, były potem ponownie molestowane.

Znaleźli się ludzie, którzy go o to obwiniali nawet wśród osób przekonanych o tym, że Clay nie był bezpośrednio zamieszany w całą sprawę.

- A pani ma zdanie w tej sprawie?

- Istnieją tylko dwa poglądy: albo był zamieszany, albo nie był. Jeżeli był, no to, o czym tu mówić; a jeżeli nie był, to cóż: nie jestem specjalistką, ale na pewno nie było łatwo spowodować, żeby niektóre z tych dzieci zaczęły mówić o tym, co je spotkało, to po pierwsze. Być może ponowna krzywda tylko zmusiła je do jeszcze głębszego zamknięcia się w sobie. Naprawdę trudno powiedzieć.

- Czy poznała pani Claya?

- Widywałam go tu i tam. Kiedyś próbowałam porozmawiać z nim na kolacji, w której wspólnie uczestniczyliśmy, ale nie dał się wciągnąć do rozmowy. Był chłodny, wycofany, miał bardzo łagodny głos. Wydawał się przytłoczony życiem. To było tak jakoś krótko przed jego zniknięciem, więc w tym wypadku pozory mogły nie mylić. - Przerwała, by wydać polecenie młodej kobiecie, która zawieszała płótno koło okna.

- Nie, nie, tak jest do góry nogami!

Popatrzyłam na płótno, które - jak dla mnie - przedstawiało błoto, i to niezbyt ładne błoto. Młoda kobieta popatrzyła na obraz. Potem spojrzała na mnie.

- Skąd to wiadomo? - zapytałem i usłyszałem swoje słowa, jak odbite echem. Młoda kobieta i ja odezwaliśmy się dokładnie w tej samej chwili. Ona uśmiechnęła się do mnie, a ja odwzajemniłem uśmiech. Potem szybko oceniłem dzielącą nas różnicę wieku i uznałem, że powinienem ograniczyć swoje uśmiechy do ludzi urodzonych przed 1980 rokiem.

- Ignoranci - powiedziała June.

- A co to przedstawia? - zapytałem.

- To jest abstrakcja bez tytułu.

- Czy to znaczy, że artysta też nie wie, co to jest?

- Możliwe - przyznała June.

- Wracam do Daniela Claya. Powiedziała pani, że ludzie,

którzy kolekcjonowali jego obrazy, prawdopodobnie go znali. Wiadomo, kto to może być?

Przeszła w kącie sali i machinalnie podrapała psa za uchem. Pies znowu szczeknął na mnie, tak tylko, żeby mnie zniechęcić, gdybym chciał się przyłączyć.

- Joel Harmon jest jednym z nich.

- Ten bankier?

- Tak. Zna go pan?

- Tylko ze słyszenia - odpowiedziałem. Joel Harmon był emerytowanym dyrektorem Banku Inwestycyjnego w Portland. Był jednym z tych, którym zawdzięczano ożywienie Old Port w latach osiemdziesiątych, a jego zdjęcie wciąż ukazywało się w gazetach, ilekroć miasto świętowało taką czy inną okazję: z żoną przyczepioną do jednego ramienia i tłumem otaczających ich niewolniczych fanów, wszyscy rozkoszujący się wszechobecnym zapachem świeżych banknotów dolarowych. Źródła jego popularności należało upatrywać w jego bogactwie, władzy i atrakcyjności tych dwóch elementów dla ludzi, którym ich brakowało. Szeptano, że to „pies na kobiety”, chociaż uroda była na bardzo dalekim miejscu na liście jego przymiotów, gdzieś tak między „ujdzie” i „gotuje spaghetti”. Widywałem go, ale nigdy nie byliśmy sobie przedstawieni.

- Harmon i Daniel Clay się przyjaźnili. Myślę, że mogli poznać się w college'u. Wiem, że Joel kupił parę obrazów Claya po jego śmierci i dostał kilka innych w prezencie jeszcze za życia autora. Domyślam się, że Harmon pomyślnie przeszedł test Claya. Clay był bardzo wybredny, gdy chodziło o wybór ludzi, którym sprzedał czy darował swoje prace. Nie mam pojęcia, dlaczego.

- Pani naprawdę nie podobały się jego obrazy, prawda?

- Ani on sam też chyba nie. Nie czułam się dobrze w jego obecności. Miał w sobie coś szczególnie smutnego. Przy okazji, Joel Harmon wydaje przyjęcie w swojej rezydencji pod koniec tygodnia. Odbywają się one całkiem regularnie, a ja mam stałe zaproszenie i mogę się tam zjawić, kiedy mam ochotę. Skontaktowałam go z paroma interesującymi artystami. Jest dobrym klientem.

- Czy zaprasza mnie pani, bym dotrzymał jej towarzys-
stwa?

- Nie, oferuję swoje.

- To mi pochwlebia.

- I powinno. Może uda się panu zobaczyć parę obrazów
Claya. Tylko proszę starać się nie obrazić Joela zbyt mocno.
Muszę skądś mieć forszę na swoje rachunki.

Zapewniłem June, że będę się zachowywał najlepiej jak
potrafię. Nie wyglądała na przekonaną.

4

Pojechałem z powrotem do Scarborough i zostawiłem saturna, natychmiast czując się dziesięć lat młodszy w mustangu, albo przynajmniej o dziesięć lat mniej dojrzały, co wcale nie jest tym samym. Zadzwoiłem do Rebecki, by potwierdzić, że nadal zamierza wyjść o umówionej godzinie, a potem poprosiłem, żeby ktoś z biura odprowadził ją do samochodu. Miała obejrzeć fasadę pustych pomieszczeń sklepowych na Longfellow Square, więc czekałem na nią na parkingu za sklepem Joego Smoke'a. Było tam zaparkowanych piętnaście czy szesnaście samochodów, wszystkie puste. Znalazłem miejsce, z którego mogłem widzieć zarówno ulicę Congress, jak i Longfellow Square, kupiłem kanapkę z kurczakiem z grilla z zieloną papryką w dziale kanapek u Joego i zjadłem ją w samochodzie, czekając na Rebecę. Paru bezdomnych facetów z wózkami sklepowymi stało i paliło papierosy w alejce koło parkingu. Żaden z nich nie odpowiadał rysopisowi mężczyzny, który niepokoił Rebecę.

Zadzwoiła do mnie, kiedy przejeżdżała koło zajezdni na St. John i kazałem jej zaparkować przed frontem budynku, który miała odwiedzić. Kobieta, która chciała wynająć lokal na pierwszym piętrze, już czekała na nią na zewnątrz, kiedy Rebecca tam dotarła. Weszły razem do środka i drzwi bezpiecznie zamknęły się za nimi. Okna były duże i czyste, więc mogłem je widzieć wyraźnie z miejsca, w którym siedziałem.

Nie zauważyłem krępego mężczyzny, dopóki nie zaczął robić dziwnych manipulacji przy zapalaniu papierosa. Pojawił się znikąd i zajął miejsce na jednej z barier bezpieczeństwa

okalających parking. Trzymał papierosa pionowo pomiędzy palcem wskazującym i kciukiem prawej ręki, obracając go delikatnie, prawdopodobnie żeby móc lepiej się zaciągnąć, jego uwaga była całkowicie skoncentrowana na kobietach po drugiej stronie ulicy. W ruchu jego palców było coś zmysłowego, może dlatego, że bardzo intensywnie wpatrywał się w Rebeccę Clay przez okno sklepu. Po chwili wolno wsunął papierosa do ust, zwilżając go o wargi, zanim przyłożył do niego zapalną. Potem, zamiast po prostu wyrzucić zapalną czy ją zdmuchnąć, trzymał ją pomiędzy tym samym kciukiem i palcem wskazującym i pozwolił płomieniowi zejść do koniuszków palców. Spodziewałem się, że ją wyrzuci, czując ból, ale on tego nie zrobił. Kiedy koniec zapalnej przestał być widoczny, puścił ją i pozwolił, żeby spadła do wnętrza jego dłoni, gdzie wypaliła się do końca na jego skórze. Odwrócił dłoń i zwęglone drewnienko upadło na ziemię. Pstryknąłem mu zdjęcie małym cyfrowym aparatem, który mam w samochodzie. Kiedy to robiłem, rozejrzał się, jak gdyby poczuł, że czyjaś uwaga jest teraz skoncentrowana dla odmiany na nim. Zsunąłem się nisko na siedzeniu, ale dostrzegłem jego twarz i na czole zobaczyłem trzy równoległe blizny, o których mówiła Rebecca. Kiedy wyjrzałem znowu, wydawało się, że odszedł, ale czułem, że on tylko wycofał się w cień rzucany przez budynek, bo zobaczyłem smugę dymu niesioną przez zabłąkany powiew wiatru.

Rebecca wyszła ze sklepu, niosąc jakieś papiery. Kobieta obok niej mówiła coś z uśmiechem. Zadzwoiłem do Rebecki na komórkę i powiedziałem jej, żeby nadal się uśmiechała, słuchając mnie.

- Proszę obrócić się plecami do sklepu Joego Smoke'a - poleciłem. Nie chciałem, żeby ten, który ją śledził, zobaczył jej reakcję, kiedy jej mówię, że go znalazłem. - Pani wielbicielest u Joego. Proszę nie patrzeć w tamtą stronę. Proszę przejść przez ulicę i ukryć się w księgarni Cunninghama. Niech pani zachowuje się normalnie, jakby miała pani trochę wolnego czasu. Proszę zostać tam do czasu, aż po panią przyjdę, dobrze?

- Tak - odpowiedziała. Miała tylko trochę przestraszony głos. Dobrze o niej świadczy, że się nie zatrzymała i nie ujawniła żadnych emocji, nawet nie zmieniła wyrazu twarzy.

Podala rękę klientce, popatrzyła w lewo, a potem w prawo i zaczęła spokojnie przechodzić przez ulicę w stronę księgarni. Weszła zdecydowanie do środka, jakby miała taki zamiar od początku. Wysiadłem z samochodu i szybko poszedłem przed sklep Joego. Nikogo nie było. Tylko niedopałek papierosa i połamane resztki zapalki świadczyły o tym, że krępy mężczyzna tu w ogóle kiedyś był. Niedopałek był przydeptany na płasko. Coś mi mówiło, że mógł się jeszcze jarzyć na czerwono, kiedy dotknęły go palce. Prawie czułem przypaloną skórę.

Rozejrzałem się i zobaczyłem go. Przeciął ulicę Congress i szedł w kierunku centrum miasta. Skręcił w prawo na ulicę Park, i tam straciłem go z oczu. Domyśliłem się, że tam stoi jego samochód i że on będzie czekał, aż Rebecca wyjdzie z księgarni, a potem będzie ją dalej śledzić albo do niej znowu podejdzie.

Poszedłem do rogu ulicy Park i zerknąłem zza węgła. Krępy mężczyzna stał ze spuszczoną głową przy drzwiach czerwonego forda. Przyciąłem się i skorzystałem z zaparkowanych samochodów, żeby podejść do niego z przeciwnej strony ulicy. Miałem swoją trzydziestkęósemkę w kaburze przy pasku - była trochę bardziej dyskretna niż mój duży smith 10 do takiej roboty - ale niechętnie bym ją pokazał. Bo gdybym był zmuszony wycelować broń w jego stronę, wtedy wszystkie możliwe szanse na porozumienie z nim wyparowałyby i sytuacja by się pogorszyła, zanim zacząłbym rozumieć jej istotę. Przypomniałem sobie, z jaką łatwością sparzył sobie rękę. Świadczyło to, że jest człowiekiem, który ma dużą wytrzymałość na ból, na taką tolerancję zwykle trzeba ciężko pracować. Spotkanie twarzą w twarz z nim będzie musiało być delikatnie przeprowadzone.

W ulicę Park skręcił grand cherokee, z klasyczną mamuszką za kierownicą, i kiedy przejeżdżał, ukryłem się za nim i podszedłem do forda od strony kierowcy. Widziałem zarys jego plerezy i duże fałdy mięśni na karku, kiedy tak siedział za kółkiem, a spaliny już zaczynały wydostawać się z rury wydechowej. Oparł dłonie na kierownicy, palce lewej wystukiwały jakiś rytm na plastyku. Prawa ręka była byle jak zabandażowana. Widać było krew przesiąkającą przez materiał.

Wreszcie pozwoliłem mu zobaczyć, że się zbliżam. Ręce trzymałem wyprostowane z palcami lekko rozstawionymi, ale byłem gotowy kryć się, gdyby jego dłonie opuściły kierownicę. Niepokoiło mnie to, że gdy zbliżę się do niego na tyle, by móc rozmawiać, nie będę miał gdzie uciec. Liczyłem na obecność ludzi dokoła i miałem nadzieję, że jemu się nie opłaci wrogo reagować, zanim się nie dowie, co mam do powiedzenia.

- Jak leci? - zapytałem.

Zerknął na mnie leniwie, jakby to było wszystko, co może zrobić, by zebrać dość energii na odpowiedź. Miał nowego papierosa w ustach, niebieska paczka American Spirit leżała na górze deski rozdzielczej przed nim.

- Dobrze - powiedział. - Wszystko dobrze.

Podniósł prawą rękę do ust, zaciągając się papierosem, tak że ogienek na końcu zaświecił jasno. Odwrócił wzrok ode mnie i gapił się przez przednią szybę.

- Tak mi się zdawało, że ktoś mnie ma na oku - powiedział. - Widzę, że masz broń.

Wypukłość była ledwie widoczna pod moją marynarką, chyba że ktoś wiedział, co chce zobaczyć.

- Nigdy za dużo ostrożności - odpowiedziałem.

- Mną się nie musisz martwić. Ja nie noszę broni. Nie ma potrzeby.

- Rozumiem, jesteś uosobieniem łagodności.

- No nie, tego nie mogę powiedzieć. Ta kobieta cię wynajęła?

- Jest zaniepokojona.

- Nie ma powodu do niepokoju. Jeżeli mi powie to, co chcę wiedzieć, to sobie pójdę.

- A jeżeli nie powie albo jeżeli nie może?

- No, to są dwie różne rzeczy, nie? Na jedną nic się nie poradzi, na drugą można. - Jego palce zsunęły się z kierownicy. Natychmiast sięgnąłem po broń.

- Hola, hola! - powiedział. Podniósł ręce do góry, udając, że się poddaje. - Przecież mówiłem, że nie mam broni.

Trzymałem rękę blisko rękojeści pistoletu.

- Jednak wolałbym, żeby twoje ręce pozostały na widoku.

Wzruszył ramionami z przesadą, potem położył dłonie na górze kierownicy.

- Nazywasz się jakoś? - zapytałem.
- Mam mnóstwo imion.
- To bardzo tajemnicze. Podaj jedno i zobaczymy, czy pasuje. Wyglądało na to, że rozważa sprawę w myślach.
- Merrick - powiedział w końcu i coś w jego twarzy i w głosie dało mi znak, że to wszystko, czego mogłem się dowiedzieć od niego, jeżeli chodzi o nazwiska.
- Dlaczego prześladujesz Rebeccę Clay?
- Ja jej nie prześladuję. Ja tylko chcę, żeby mi powiedziała prawdę.
- Na jaki temat?
- O jej ojcu.
- Jej ojciec nie żyje.
- Nieprawda. Ona przeprowadziła uznanie go za zmarłego, ale to nic nie znaczy. Pokaż mi robaki wyłazące z jego oczodołów, to wtedy uwierzę, że nie żyje.
- Dlaczego tak się nim interesujesz?
- Mam swoje powody.
- Spróbuj się nimi podzielić.

Jego palce zacisnęły się na kierownicy. Na kostce środkowego lewego palca był wytatuowany mały znak tuszem. Był to niezgrabny niebieski krzyż, znak więzienny.

- Nic z tego. Nie lubię, jak obcy zadają mi pytania o moje sprawy.

- No, to teraz dokładnie wiesz, jak się czuje pani Clay.

Przygryzł dolną wargę. Nadal wzrok miał utkwiony przed sobą. Czulem rosnące w nim napięcie. Pozwoliłem swojej ręce zbliżyć się do rękojeści broni i mój palec wskazujący był teraz wyprostowany nad osłoną spustu, gotowy wślizgnąć się na miejsce, jeżeli zajdzie potrzeba. I wtedy napięcie opuściło ciało Merricka. Usłyszałem, jak zrobił wydech i zmalął, stał się mniej groźny.

- Zapytaj ją o Projekt - powiedział cicho. - Zobacysz, co powie.

- Co to jest ten Projekt?

Potrząsnął głową.

- Zapytaj ją i potem przyjdź z powrotem do mnie. Może powinieneś też porozmawiać z jej byłym mężem, jak już się tym zajmujesz.

Nawet nie wiedziałem, że Rebecca Clay była zamężna. Wiedziałem tylko, że nie wyszła za ojca swego dziecka. Ładny ze mnie detektyw.

- Dlaczego miałbym to zrobić?

- Mąż i żona dzielą się różnymi sprawami. Sekretami. Pogadaj z nim i może oszczędzisz mi kłopotu rozmawiania z nim osobiście. Ja się tu będę kręcił. Nie musisz mnie szukać, bo to ja znajdę ciebie. Masz dwa dni, by sprawić, żeby mi powiedziała, co wie, a potem stracę cierpliwość do was wszystkich.

Wskazałem na jego zranioną rękę.

- Widzę, że już raz straciłeś cierpliwość.

Popatrzył na zabandażowaną dłoń i rozprostował palce, jakby sprawdzał ból w ranach.

- To był błąd - powiedział cicho. - Nie miałem zamiaru tak zaatakować. Ona wystawia moją cierpliwość na ciężką próbę, ale nie mam zamiaru zrobić jej krzywdy.

Może wierzył, że mówi prawdę, ale ja mu nie wierzyłem. W Merricku był gniew. Pulsował w nim jak płomień, ożywiający jego oczy i utrzymując każdy mięsień i ścięgno w ledwie ukrywanym napięciu. Merrick mógł nie chcieć zrobić krzywdy tej kobiecie, mógł nie planować niczego takiego, ale krew na jego ręce mówiła wszystko, co było do powiedzenia o jego zdolności do opanowywania własnych impulsów.

- Wkurzyłem się, i tyle - mówił dalej. - Musi mi powiedzieć, co wie. To dla mnie ważne. - Zaciągnął się znowu papierosem. - A jak już tak się tu zaprzyjaźniamy, to może byś powiedział, jak się nazywasz.

- Parker.

- Co robisz, jesteś prywatnym detektywem?

- Mam pokazać licencję?

- Nie, kawałek papieru nie powie mi więcej, niż już wiem. Nie chcę, żeby mi pan utrudniał, sir. Przyszedłem tu załatwić

pewną sprawę, sprawę natury osobistej. Może ci się uda nakłonić tę damulkę, żeby posłuchała głosu rozsądku i ja będę mógł to zakończyć i odejść stąd. Mam nadzieję, naprawdę mam nadzieję, bo jeżeli ty nie potrafisz, to się nam nie przydasz. Będziesz mi przeszkadzał i będę musiał coś z tym zrobić.

Dotąd nie spojrział na mnie ponownie. Jego oczy były utkwione w małą fotografię, która wisiała przy lusterku wstecznym. Było to zafoliowane, niewielkie zdjęcie ciemnowłosej dziewczynki, może w wieku Jenny Clay lub trochę starszej. Obok niego wisiał tani krzyżyk.

- Kto to jest?
- To cię nie dotyczy.
- Miły dzieciak. Ile ma lat?

Nie odpowiedział, ale było jasne, że dotknąłem bolesnego miejsca. Tym razem jednak nie zareagował gniewem, tylko pewnego rodzaju wycofaniem.

- Gdybyś mi powiedział, dlaczego tutaj jesteś, wtedy może mógłbym pomóc - nalegałem.

- Już powiedziałem, że to moja osobista sprawa.

- Wobec tego nie mamy już chyba o czym dyskutować - odparłem. - Ale powinieneś trzymać się z dala od mojej klientki. - Ostrzeżenie zabrzmiało pusto i niepotrzebnie. Jednak szła się przechyliła.

- Nie będę jej więcej nachodzić, przynajmniej do czasu naszej następnej rozmowy. - Sięgnął w dół, przekręcił klucz zapłonu, już nie był zastraszony widokiem broni, o ile w ogóle się nią wcześniej przejął. - Z kolei ja dam tobie dwa ostrzeżenia. Kiedy zaczniesz pytać o Projekt, lepiej, żebyś miał oczy szeroko otwarte, bo inni się o tym dowiedzą i nie będzie im się podobać, że ktoś się tym interesuje. Wcale im się to nie spodoba.

- Jacy inni?

Nacisnął gaz, silnik zawył.

- Wnet się dowiesz - odpowiedział.

- A drugie ostrzeżenie?

Podniósł lewą rękę i ścisnął w pięść tak, że tatuaż wystąpił wyraźnie na tle zbielącej kostki.

- Nie wtrącaj się. Jak się będziesz wtrącał, to cię wykończę. Ostrzegam, chłopaczku.

Odbił od krawężnika, rura wydechowa pompowała niebieski dym w czyste jesienne powietrze. Udało mi się dostrzec numer rejestracyjny na tablicy, zanim zakryły go spaliny.

Merrick. No, pomyślałem, to teraz zobaczymy, czego się można dowiedzieć o tobie w ciągu tych dwóch dni.

Powędrowałem piechotą z powrotem do księgarni. Rebecca Clay siedziała w rogu, przeglądając stary magazyn.

- Znalazł go pan? - spytała.

- Tak.

Drgnęła.

- Jak to było?

- Porozmawialiśmy i odszedł. Na razie.

- Co znaczy „na razie”? Zleciłam panu pozbycie się go, ma mnie zostawić w spokoju na zawsze.

Jej głos wzmagał się stopniowo, ale czaiło się w nim drżenie. Wyprowadziłem ją ze sklepu.

- Pani Clay - powiedziałem. - Wyjaśniłem już wcześniej, że ostrzeżenie może nie wystarczyć. Ten człowiek zgodził się trzymać od pani z daleka, dopóki ja nie sprawdzę pewnych rzeczy. Nie wiem o nim wystarczająco wiele, by mu zaufać, więc proponuję, żeby teraz nadal stosować wszelkie środki ostrożności. Mam swoich ludzi, których wezwę, aby zawsze ktoś pani pilnował, kiedy ja będę próbował dowiedzieć się czegoś więcej o nim. To panią trochę uspokoi.

- Doskonale. Chyba jednak wyślę Jenę stąd na jakiś czas, dopóki się to nie skończy.

- To dobry pomysł. Czy nazwisko Merrick coś pani mówi? Dotarliśmy do jej samochodu.

- Nie, nie wydaje mi się - odpowiedziała.

- To jest nazwisko naszego przyjaciela, przynajmniej tak mi powiedział. Ma fotografię małej dziewczynki w aucie. To mogła być jego córka. Zastanawiam się, czy ona nie była jedną z pacjentek pani ojca, zakładając, że nosiła to samo nazwisko.

- Ojciec nie rozmawiał ze mną o swoich pacjentach. To znaczy, nie wymieniał nazwisk. Jeżeli ona była skierowana do niego drogą oficjalną, to przypuszczam, że gdzieś może istnieć jakiś zapis o tym, ale będzie pan miał kłopoty ze znalezieniem kogoś, kto to potwierdzi. To by było naruszenie tajemnicy.

- A co z kartami pacjentów pani ojca?

- Dokumenty ojca zostały po jego zniknięciu złożone w sądzie. Pamiętam, że była próba uzyskania pozwolenia upoważniającego niektórych jego współpracowników do zbadania tych papierów, ale się nie powiodła. Dostęp i wgląd mogą być umożliwiające tylko przy drzwiach zamkniętych, ale to się rzadko zdarza. Sędziowie niechętnie udzielają pozwoleń, ze względu na ochronę prywatności pacjentów.

To był właściwy moment, by poruszyć temat jej ojca i oskarżeń skierowanych przeciwko niemu.

- Pani Clay, muszę zadać pani pewne trudne pytanie - zacząłem.

Czekała. Wiedziała, co wisi w powietrzu, ale chciała usłyszeć, jak ja to mówię na głos.

- Czy sądzi pani, że pani ojciec wykorzystywał dzieci, którymi się opiekował?

- Nie - powiedziała zdecydowanie. - Mój ojciec nie wykorzystał żadnego z tych dzieci.

- Czy myśli pani, że umożliwiał to innym, być może przez podawanie informacji o tożsamości i miejscu pobytu zagrożonych pacjentów?

- Mój ojciec był oddany swej pracy. Przesztano przysyłać do niego dzieci na konsultacje, bo uważano, że nie jest dostatecznie obiektywny. Jego nastawienie było takie, że wierzył dzieciom od początku i to właśnie ściągnęło na niego kłopoty. Wiedział, do czego są zdolni dorośli.

- Czy pani ojciec miał wielu bliskich przyjaciół?

Zmarszczyła brwi.

- Paru. Miał też kolegów z pracy, chociaż większość nie podtrzymała kontaktu po tym, jak zniknął. Chcieli się jak najbardziej zdystansować od ojca. Nie miałam o to do nich pretensji.

- Chciałbym, żeby pani zrobiła listę: współpracownicy, kumple z college'u, dawni sąsiedzi, ludzie, z którymi utrzymywał regularny kontakt.

- Zajmę się tym natychmiast po powrocie do domu.

- Nie powiedziała mi pani, że była kiedyś zamężna.

Spojrzała na mnie ze zdziwieniem.

- Jak pan się dowiedział?

- Merrick mi powiedział.

- Boże. Nie wydawało się to ważne. Nie trwało długo. Nie widuję go już.

- Jak się nazywa?

- Jerry. Jerry Legere.

- I on nie jest ojcem Jenny?

- Nie.

- Gdzie go mogę znaleźć?

- Jest elektrykiem. Pracuje wszędzie. Dlaczego chce pan z nim rozmawiać?

- Będę rozmawiał z wieloma ludźmi. To tak się robi.

- Ale to nie sprawi, że ten człowiek, Merrick, zostawi mnie w spokoju. - Znowu mówiła głośniej. - To nie po to pana wynajęłam.

- On nie odejdzie, pani Clay, jeszcze nie teraz. Jest rozgniewany i ten jego gniew ma jakiś związek z pani ojcem. Muszę się dowiedzieć, co łączy pani ojca z Merrickiem. Żeby to zrobić, będę musiał zadawać mnóstwo pytań.

Oparła się ramionami o dach samochodu i położyła na nich czoło.

- Nie chcę, żeby to się ciągnęło - powiedziała lekko przytłumionym głosem. - Chcę, żeby wszystko było tak, jak przedtem. Niech pan robi, co trzeba, rozmawia z kim chce, ale niech to się skończy. Proszę. Ja nawet nie wiem, gdzie mój były mąż teraz mieszka, ale kiedyś pracował dla firmy, która nazywa się A-Secure i pewnie ciągle tam jest. Instalują systemy alarmowe w miejscach pracy i w domach. Przyjaciel Jerry'ego, Raymon Lang, ma dużo pracy w serwisie i kiedyś dawał robotę Jerry'emu. Pewnie znajdzie pan Jerry'ego przez A-Secure.

- Merrick myśli, że pani i były mąż mogliście rozmawiać o pani ojcu kiedyś w przeszłości.

- Naturalnie, rozmawialiśmy, ale Jerry nie wie, co się z nim stało. Mogę to stwierdzić z całkowitą pewnością. Jediną osobą, którą interesował się Jerry Legere, był on sam. On chyba wierzył, że mój ojciec gdzieś się odnajdzie martwy i on będzie mógł zacząć wydawać pieniądze, które ja odziedziczę.

- Czy pani ojciec był zamożny?

- Jest porządna sześciocyfrowa suma zamrożona w procesie o urzędowe zatwierdzenie testamentu, więc tak, można powiedzieć, że był dobrze sytuowany. No i jest jeszcze dom. Jerry chciał, żebym go sprzedała, ale oczywiście nie mogłam, bo nie był mój, nie miałam prawa go sprzedać. W końcu Jerry był znudzony czekaniem i mną. Ale to było wzajemne. Jerry nie był wcale dobrą partią.

- Jeszcze jedna, ostatnia rzecz - powiedziałem. - Czy słyszała pani kiedykolwiek, by pani ojciec wspominał o czymś, co nazywało się Projekt.

- Nie, nigdy.

- Czy przypuszcza pani, co to może znaczyć?

- Zupełnie nie.

Podniosła głowę i wsiadła do samochodu. Jechałem za nią całą drogę do biura i zostałem tam, aż nadszedł czas, kiedy musiała odebrać Jennę. Dyrektor odprowadził dziewczynkę do drzwi szkoły i Rebecca rozmawiała z nim przez chwilę, przypuszczalnie wyjaśniając, dlaczego Jenna nie będzie przez jakiś czas chodzić do szkoły, potem jechałem za nimi do domu. Rebecca zatrzymała się na podjeździe i miała drzwi samochodu zablokowane, kiedy ja sprawdzałem wszystkie pomieszczenia w domu. Wróciłem do drzwi frontowych i dałem znać, że wszystko w porządku. Kiedy już była w środku, siadłem w kuchni i przyglądałem się, jak układa listę przyjaciół i kolegów ojca. Niektórzy, powiedziała, już nie żyją, a innych nie mogła sobie przypomnieć. Poprosiłem ją, by mi dała znać, jeśli przypomni sobie kogoś jeszcze, a ona mnie zapewniła, że tak zrobi. Powiedziałem jej, że załatwię sprawę dodatkowej

ochrony jeszcze tego wieczoru i zadzwonię do niej, by poinformować o szczegółach, zanim się położę. Po tych słowach wyszedłem. Słyszałem, jak przekręca klucz w zamku, a potem serię elektronicznych pisków, kiedy wprowadziła kod alarmu, by włączyć ochronę domu.

Światło dnia już odeszło. Fale rozbijały się o brzeg, kiedy szedłem do samochodu. Zwykle było to relaksujące, ale nie dziś. Brakowało jakiegoś elementu, coś było nie tak, a powietrze tego późnego popołudnia niesło zapach spalenizny. Odwróciłem się w stronę wody, bo swąd szedł od morza, jak gdyby gdzieś w oddali płonął statek. Szukałem ognia na odległym horyzoncie, ale widać było tylko rytmiczne pulsowanie światła latarni morskiej, ruch promu na zatoce i oświetlone okna pokoi w domach na wyspach po drugiej stronie zatoki. Wszędzie panowała cisza i ustalony porządek, jednak nie mogłem pozbyć się uczucia niepokoju, kiedy jechałem do domu.

II

Postać bez kształtu, cień bez barwy.
Moc porażona, bezcelowe ruchy

Kto przeszedł już
Z oczyma wprost, do tamtego Królestwa śmierci
Nie wspomni nas - jeśli już - jako dusz
Utraconych porywczych dusz
Ale że kukły my
Że wydrążeni my.

T.S. Eliot, *Wydrążeni* (przeł. A. Pomorski)

5

Merrick obiecał nam dwa dni spokoju, ale nie miałem zamiaru ryzykować bezpieczeństwa Rebecki i jej córki, wierząc słowu takiego człowieka. Widziałem już takich: Merrick jest niespokojnym duchem, zawsze na granicy wybuchu. Pamiętam jego reakcję na mój komentarz o dziewczynce ze zdjęcia i ostrzeżenia, że sprawa jest osobista. Pomimo jego zapewnień, zawsze istniała możliwość, że pójdzie do baru, wypije parę drinków i uzna, że nadszedł dobry moment, żeby jeszcze raz porozmawiać z córką Daniela Claya. Z drugiej strony, nie mogłem poświęcić całego swojego czasu na pilnowanie jej. Trzeba było wezwać jakąś pomoc. Istniało parę możliwości. Jedną z nich był Jack Garner, potężny i silny, i miał dobre intencje, ale był też stuknięty. Ponadto, wszędzie gdzie Jackie szedł, zazwyczaj wlokły się za nim dwa mięśniaki, znani jako bracia Fulcis, a bracia Fulcis mieli tyle subtelności, co ubijaczka do jajek. Nie wiedziałem, jak Rebecca Clay zareaguje, kiedy ich zobaczy na swoim progu. Prawdę mówiąc, nie byłem też pewny, czy sam próg to zniesie.

Louis i Angel byliby lepsi, ale wyjechali na parę dni na Zachodnie Wybrzeże, by wziąć udział w degustacji win w dolinie Napa. Bez wątpienia, miałem eleganckich przyjaciół, ale nie mogłem sobie pozwolić na pozostawienie Rebecki bez ochrony aż do ich powrotu. Wyglądało na to, że nie mam innego wyboru.

Niechętnie zadzwoniłem do Jacka Garnera.

Spotkaliśmy się w tawernie Sangilloa, małej speluncie na Hampshire, która jest zawsze oświetlona, jak na Boże Narodzenie. Pił jasnego budwisera, ale starałem się nie mieć mu

tego za złe. Dołączyłem do niego przy barze i zamówiłem niesłodzonego sprite'a. Nikt się nie zaśmiał, co było uprzejme z ich strony.

- Jesteś na diecie? - zapytał Jackie.

Miał na sobie T-shirt z długimi rękawami i logo baru w Portland, który został zamknięty tak dawno temu, że jego klienci pewnie płacili jeszcze za drinki paciorkami. Jego włosy były krótko ostrzyżone przy skórce, a pod lewym okiem widniał blednący siniak. Koszula ciasno opinała brzuch i przypadkowy obserwator mógł go wziąć za zwykłego grubawego bywalca baru, ale Jackie Garner wcale nim nie był. Przez cały czas, kiedy go znałem, nikt go nigdy nie powalił i wolałem nie myśleć o tym, co spotkało człowieka, który zostawił tego siniaka na twarzy Jackiego.

- Nie mam ochoty na piwo - powiedziałem.

Podniósł swoją butelkę, mrugnął do mnie i oznajmił głębokim barytonem:

- To nie jest piwo. To jest Bud.

Wyglądał na zadowolonego z siebie.

- To wpada w ucho - pochwaliłem go.

Uśmiechnął się szeroko.

- Brałem udział w konkursach. No, wiesz, takich, gdzie trzeba wymyślić hasło. Na przykład: To nie jest piwo. To jest Bud. Wziął mojego sprite'a. Albo: To nie jest napój gazowany. To jest Sprite. To nie są orzechy. To są... No, to są orzechy, ale wiesz, o co chodzi.

- Poznaję wzór zdania.

- Uważam, że to pasuje do każdego produktu.

- Z wyjątkiem orzechów w miseczce.

- W zasadzie tak.

- Zawsze się sprawdza. Dużo masz teraz roboty?

Jackie wzruszył ramionami. Wiedziałem, że nigdy nie jest zbyt zajęty. Mieszkał z matką, przez parę dni w tygodniu pracował w barze i spędzał resztę czasu, produkując domowymi sposobami amunicję w rozwalającym się szałasie w lesie za domem. Od czasu do czasu ktoś zgłaszał miejscowej policji, że słychać było wybuch. Jeszcze rzadziej gliny posyłały auto z lekką nadzieją, że Jackie wysadził się w powietrze, i byli dotkliwie zawiedzeni.

- Jest coś do zrobienia? - zapytał. Jego oczy zalśniły nowym blaskiem na myśl o ewentualnej awanturze.

- Tylko parę dni. Jest pewna kobieta, którą nachodzi facet.

- Chcesz, żebyśmy go załatwili?

- My? Jacy „my”?

- No wiesz. - Wskazał kciukiem jakieś nieokreślone miejsce poza terenem baru.

Pomimo zimna poczułem krople potu na czole i w jednej chwili postarzałem się o rok.

- Oni tu są? Co wy, bracia syjamscy?

- Kazałem im czekać na zewnątrz. Wiem, że cię denerwują.

- Jakie tam denerwują. Oni mnie przerażają jak diabli.

- No, i tak nie wolno im tu wchodzić. Już ich nigdzie nie wpuszczają, zdaje się, od czasu, hm, tamtej sprawy.

Zazwyczaj, gdy chodziło o braci Fulcis, to zawsze była jakaś „sprawa”.

- Jaka sprawa?

- No, ta sprawa w B-Line.

B-Line to była chyba największa spelunka w mieście, bar, który serwował drinki na koszt firmy każdemu, kto był w stanie wykazać się jednomiesięczną odznaką Anonimowych Alkoholików. Dostać zakaz wstępu do B-Line za wywoływanie burd to tak, jak zostać wyrzuconym z harcerstwa za zbyt doskonałe wiązanie węzłów.

- O co chodziło?

- Uderzyli faceta drzwiami.

W porównaniu z niektórymi historiami, które słyszałem o braciach Fulcis i barze B-Line, wydawało się to stosunkowo niewielkim przewinieniem.

- No, wiesz, to nie brzmi tak źle. Jak na nich.

- Ale tak naprawdę to było paru facetów. I dwoje drzwi. Bracia zdjęli drzwi z zawiasów, żeby stłuc nimi tych facetów. No i teraz już nie mogą się tak często pokazywać. Mieli żal o to. Ciągłe mają. Ale tu na parkingu chętnie siedzą. Podobają się im te światła i kupiłem im parę rodzinnych porcji dań na wynos od Norma.

Wziąłem głęboki uspokajający oddech.

- Nie chcę, żeby komuś stała się krzywda, co oznacza, że nie jestem pewien, czy chcę, żeby bracia Fulcis zbliżali się do tego.

Jackie nachmurzył się gniewnie.

- Będą rozczarowani. Powiedziałem im, że mam spotkanie z tobą, a oni poprosili, żeby też mogli tu być. Lubią cię.
- Skąd wiesz? Bo mi jeszcze nie przyłożyli drzwiami?
- Oni nie mają złych zamiarów. Chodzi o to, że lekarze ciągle zmieniają im leki i czasami wychodzi nie tak, jak powinno.

Jackie z troską obrócił butelkę w palcach. Nie miał wielu przyjaciół i najwyraźniej uważał, że społeczeństwo pod wieloma względami źle osądza braci Fulcis. Społeczeństwo natomiast знаło braci Fulcis aż za dobrze i przedsięwzięło odpowiednie kroki, by zagwarantować, że kontakt z nimi zostanie ograniczony do minimum.

Poklepałem Jackiego po ramieniu.

- Znajdziemy coś dla nich do roboty, zgoda?

Rozchmurzył się.

- To dobre chłopaki i dobrze ich mieć pod ręką, kiedy sytuacja robi się nieprzyjemna - powiedział, niby przypadkiem ignorując fakt, że sytuacje stawały się nieprzyjemne właśnie z powodu ich obecności.

- Posłuchaj, Jackie, ten facet nazywa się Merrick i od tygodnia lazi za moją klientką. Pytał o jej ojca, ale jej ojciec zaginął dawno temu, tak dawno, że został prawnie uznany za zmarłego. Wczoraj przyparłem Merricka do muru i powiedział, że da spokój na parę dni, ale nie jestem skłonny mu wierzyć. Łatwo się wścieka.

- Miał broń?
- Nie widziałem, ale to nic nie znaczy.

Jackie pociągnął piwa.

- A jak to jest, że on się dopiero teraz pojawia?
- Co?
- Jeżeli tamten facet zaginął tak dawno, to dlaczego ten drugi dopiero teraz pyta o niego?

Popatrzyłem na Jackiego. To właśnie był cały Jackie. Zdecydowanie coś grzechotało w jego głowie, kiedy szedł, ale nie był tępy. Zastanawiałem się nad tym, dlaczego Merrick pyta o Daniela Claya teraz, a nie nad tym, co mu mogło przeszkodzić

uczynić to wcześniej. Pomyślałem o tatuażu na kostce dłoni. Czy Merrick mógł siedzieć od czasu, kiedy Clay zaginął?

- Może uda mi się to sprawdzić, kiedy ty będziesz miał oko na tę kobietę. Nazywa się Rebecca Clay. Przedstawię cię jej dzisiaj wieczorem. Ale posłuchaj: trzymaj braci Fulcis z daleka, niech się z nią nie spotkają twarzą w twarz, a jak chcesz mieć ich gdzieś w pobliżu, to się zgadzam. Właściwie, to może nie taki zły pomysł - pozwolić, żeby byli widziani, jak pilnują domu.

Nawet taki człowiek jak Merrick pewnie zniechęciłby się i nie podszedł do Rebecki Clay na widok trzech dużych mężczyzn, z których dwóch sprawiało, że trzeci wyglądał na niedożywnego.

Opisałem Jackiemu Merricka i jego samochód, podałem nawet numer rejestracyjny.

- Nic pewnego z tym autem. Może je zmienić teraz, jak już był w nim widziany.

- Półtorej stówki dziennie - powiedział Jackie. - Podzielę się z Tonym i Paulim. - Skończył piwo. - A teraz musisz wyjść do nich i się przywitać. Obrażą się, jak tego nie zrobisz.

- A tego byśmy nie chcieli - powiedziałem i naprawdę tak myślałem.

- Jasne.

Tony i Pauli nie przyjechali swoją ogromną ciężarówką i dlatego ich nie dostrzegłem, kiedy parkowałem. Tym razem siedzieli z przodu w brudnej białej furgonetce, której Jackie czasem używał do tego, co eufemistycznie nazywał swoją robotą. Kiedy zbliżałem się do furgonetki, otworzyli drzwi i wygramolili się ze środka. Nie bardzo wiedziałem, jak Jackowi w ogóle udało się władować ich do niej. Wyglądało to tak, jakby furgonetkę zmontowano dokoła nich. Bracia Fulcis nie byli wysocy, ale za to szerocy, podwójnie szerocy. Sklepy, w których kupowali ubrania, przedkładały praktyczność nad elegancję tak, że stanowili bliźniacze prezentacje poliestru i taniej skóry. Tony ujął moją rękę w jedną ze swoich łap, smarując mnie sosem barbecue, i poczułem, jak coś chrupnęło. Pauli poklepał mnie delikatnie po plecach i prawie wykasł-
nąłem jedno płuco.

- Wznawiamy działalność, chłopcy - ogłosił Jackie z dumą.

I przez krótką chwilę, zanim przeważył zdrowy rozsądek, czułem się dziwnie szczęśliwy.

Zawiozłem Jackiego do domu Rebecki Clay. Na mój widok na jej twarzy odmalowała się ulga. Przedstawiłem ich sobie i powiedziałem Rebecce, że Jackie będzie się nią opiekował przez parę następnych dni i że ja też będę do dyspozycji, gdyby się coś działo. Zdaje się, że Jackie lepiej ode mnie spełniał jej wyobrażenia o tym, jaki powinien być ochroniarz, więc nie protestowała. W imię prawie pełnej otwartości powiedziałem jej też, że będzie jeszcze dwóch mężczyzn w pobliżu w razie jakiegoś kłopotu i podałem jej pobieżny opis braci Fulcis, który grzeszył nadmiarem pochlebstwa bez uciekania się do jawnego kłamstwa.

- Ci trzej ludzie są naprawdę konieczni? - zapytała.

- Nie, ale działają zespołowo. Będą kosztować sto pięćdziesiąt dziennie, co jest tanio. Jednak jeżeli martwi panią koszt, to możemy wymyślić coś innego.

- W porządku. Myślę, że mogę sobie na to pozwolić przez jakiś czas.

- To dobrze. Postaram się dowiedzieć więcej o Merricku, kiedy teraz da nam odetchnąć i porozmawiam z ludźmi z pani listy. Jeżeli nie uda mi się przeświecić Merricka do końca tego dwudniowego okresu spokoju i on w dalszym ciągu nie będzie chciał przyjąć do wiadomości, że pani nie może mu pomóc, wtedy pójdziemy ponownie na policję i spróbujemy spowodować, żeby go zdjęli, zanim złożymy na niego oskarżenie. Wiem, że w tej chwili wołałaby pani zastosować bardziej siłowe rozwiązanie, ale musimy najpierw wyczerpać inne możliwości.

- Rozumiem.

Zapytałem ją o córkę i powiedziała mi, że zorganizowała dla niej wyjazd do D. C. i pobyt u dziadków przez tydzień. Szkoła wydała zgodę na nieobecność i Jenna miała wyjechać rankiem następnego dnia.

Rebecca odprowadziła mnie do drzwi i dotknęła mojego ramienia.

- Czy wie pan, dlaczego wynajęłam właśnie pana? - zapytała. - Kiedyś spotykałam się z Neilem Chambersem. To ojciec Jenny.

Neil Chambers. Jego ojciec, Ellis, skontaktował się ze mną wcześniej tego roku, szukając pomocy dla syna. Neil był winien pieniądze kilku ludziom w Kansas City i nie miał szans zwrócić tego długu. Ellis chciał, żebym pośredniczył w rozwiązaniu tego problemu. Nie mogłem mu pomóc, nie wtedy. Zaproponowałem jakichś ludzi, którzy moim zdaniem, mogli to zrobić, ale było już za późno na jakąkolwiek pomoc dla Neila. Jego ciało porzucono w rowie jako ostrzeżenie dla innych wkrótce po mojej rozmowie z Ellisem.

- Przykro mi - powiedziałem.

- Niepotrzebnie. Neil nie spotykał się z Jenną zbyt często, prawdę mówiąc, przez całe lata jej nie widział, ale z Ellisem jesteśmy blisko. On i jego żona Sara będą się opiekować Jenną w tym tygodniu i to on mi o panu powiedział.

- Odmówiłem mu. Nie mogłem mu pomóc wtedy, kiedy o to prosił.

- On to zrozumiał. Nie miał żalu. I teraz też nie ma. Neil był dla niego stracony. Ellis wiedział o tym, ale i tak go kochał. Kiedy powiedziałam Ellisowi o Merricku, kazał mi porozmawiać z panem. To nie jest człowiek, który chowa urazę.

Puściła moje ramię.

- Czy myśli pan, że kiedykolwiek złapią ludzi, którzy zabili Neila? - zapytała.

- Jednego człowieka - powiedziałem jej. - Odpowiedzialny był tylko jeden człowiek. Nazywał się Donnie P.

- Czy kiedyś coś z tym zrobią?

- Coś już zrobiono - odrzekłem.

Patrzyła na mnie przez chwilę w milczeniu.

- Czy Ellis wie? - zapytała.

- Czułby się lepiej, gdyby wiedział?

- Nie, nie sądzę. Jak panu powiedziałam, on nie jest takim człowiekiem.

Jej oczy świeciły i coś rozwinęło się głęboko w jej wnętrzu, rozciągając niby wąż, rozszerzając miękkie i czerwone usta.

- Ale pan jest taki - powiedziała - prawda?

Znaleźliśmy dziewczynę w lekko odpicowanej budzie w Independence na wschód od Kansas City, skąd widać było i słycać niewielkie lotnisko. Nasze informacje się potwierdziły. Dziewczyna nie otworzyła drzwi, kiedy zapukałem. Angel, drobny i pozornie niegroźny, był ze mną, a Louis, wysoki, ciemny i bardzo, bardzo groźnie wyglądający, był z tyłu domu na wypadek, gdyby próbowała uciec. Słyszeliśmy, że ktoś rusza się w środku. Zapukałem jeszcze raz.

- Kto tam? - Głos był ochryply i napięty.
- Mia? - powiedziałem.
- Nie ma tu żadnej Mii.
- My ci chcemy pomóc.
- Powiedziałam już: nie ma tu żadnej Mii. Macie zły adres.
- On idzie po ciebie, Mia. Nie dasz rady wyprzedzać go ciągle o krok.
- Nie wiem, o czym pan mówi.
- O Donniem, Mia. On się zbliża i ty o tym wiesz.
- Kim jesteście? Gliny?
- Słyszałaś o facecie nazwiskiem Neil Chambers?
- Nie. Dlaczego miałabym słyszeć?
- Donnie go zabił za duży dług.
- I?
- Zostawił go w rowie. Torturował go, a potem zastrzelił. To samo zrobi tobie, tylko w twoim wypadku nikt nie przyjdzie, nie będzie pukał w drzwi, próbując później wyrównać rachunki. Tobie będzie zresztą wszystko jedno. Będiesz już martwa. Jeżeli my potrafiliśmy cię znaleźć, to on też może. Nie zostało ci wiele czasu.

Nie było odpowiedzi tak długo, że myślałem, iż mogła odsunąć się od drzwi. Potem usłyszałem dźwięk zdejmowanego łańcucha, przekręcany klucz i drzwi się otworzyły. Weszliśmy w półmrok. Wszystkie zasłony były zaciągnięte i nie świeciło się żadne światło w pokoju. Drzwi zatrzęsły się za nami i dziewczyna o imieniu Mia wycofała się w cień, tak, żebyśmy nie mogli zobaczyć jej twarzy, tej twarzy, którą Donnie P. obił za jakieś przewinienie dziewczyny, prawdziwe czy urojone.

- Możemy usiąść? - spytałem.
- Możecie, jak chcecie - odpowiedziała. - Ja zostanę tutaj.
- Boli?
- Nie za bardzo, ale wyglądam okropnie. - Jej głos zachrypiał gorzej. - Kto wam powiedział, że tu jestem?
- Nieważne.
- Dla mnie ważne.
- Ktoś, kto się o ciebie martwi. Tyle ci powinno wystarczyć.
- O co wam chodzi?
- Chcemy, żebyś nam powiedziała, dlaczego Donnie ci to zrobił. Chcemy, żebyś podzieliła się z nami tym, co o nim wiesz.
- Dlaczego myślicie, że ja coś wiem?
- Bo się ukrywasz przed nim i wieść niesie, że on chce cię znaleźć, zanim zaczniesz mówić.

Moje oczy przyzwyczajały się do mroku. Mogłem dojrzeć jej rysy. Zostały zniekształcone, jej nos był zdeformowany, a policzki spuchnięte. Odrobina światła spod drzwi padała na jej bosc stopy i brzeg długiego czerwonego szlafroka. Lakier na paznokciach palców stóp też był czerwony. Wyglądał na świeżo nałożony. Wyjęła paczkę papierosów z kieszeni szlafroka, wyjęła jednego stuknięciem i przypaliła zapalniczką. Głowę miała spuszczoną, włosy zasłaniały jej twarz, ale i tak dostrzegłem blizny, które biegły w poprzek brody i lewego policzka.

- Powinnam trzymać gębę na kłódkę - powiedziała cicho.
- Dlaczego?
- Przyszedł do mnie i rzucił mi dwa tysiące w twarz. Po tym wszystkim, co mi zrobił, zasmarkane dwa tysiące. Byłam wściekła. Powiedziałam jednej z dziewcząt, że mam sposób na to, żeby wyróżnić z nim rachunki. Powiedziałam jej, że widziałam coś, czego nie powinnam. No i potem się dowiaduję, że ona sypia z Donniem. Donnie miał rację. Ja po prostu jestem durną dziwką.

- Dlaczego nie posłaś na policję z tym, co wiesz?

Zaciągnęła się papierosem. Już nie pochylała głowy. Zajęta szczegółami swojej historii na krótko zapomniała, że chce ukrywać przed nami swój wygląd. Usłyszałem, jak Angel syknął ze współczuciem, widząc jej zmasakrowaną twarz.

- Bo oni nic by z tym nie zrobili.
- Tego nie wiesz.
- A właśnie, że wiem - powiedziała.

Ponownie się sztachnęła i zaczęła bawić się kosmykiem włosów. Nikt nic nie mówił. W końcu Mia przerwała ciszę.

- To mówisz, że masz zamiar mi pomóc?
- Właśnie.
- A jak?
- Wyjrzyj na zewnątrz. Tylne okno.

Przyłożyła dłoń do twarzy i patrzyła na mnie przez chwilę, a potem poszła do kuchni. Usłyszałem delikatny szelest, gdy rozsunęła zasłony. Kiedy wróciła, jej postawa się zmieniła. Louis miał taki wpływ na ludzi, zwłaszcza, kiedy im się wydawało, że mogą go mieć po swojej stronie.

- Kto to jest?
- Przyjaciel.
- Wygląda... - próbowała znaleźć właściwe słowo - ...groźnie - powiedziała w końcu.
- On jest groźny.

Postukała stopą w podłogę.

- Czy on zabije Donniego?
- Mieliśmy nadzieję, że uda nam się znaleźć inny sposób na niego. Myśleliśmy, że ty będziesz mogła nam pomóc.

Czekaliśmy, aż podejmie jakąś decyzję. W sąsiednim pokoju, pewnie w jej sypialni, był włączony telewizor. Nagle pomyślałem, że może nie być sama i że powinniśmy byli sprawdzić dom, ale teraz było na to już za późno. Wreszcie sięgnęła do kieszeni i wyjęła telefon komórkowy. Rzuciła go przez cały pokój do mnie. Złapałem.

- Otwórz plik ze zdjęciami - powiedziała. - Te, które chcesz, są od piątego albo szóstego zdjęcia.

Przesunąłem zdjęcia uśmiechniętych młodych kobiet przy kolacyjnym stole, czarnego psa na podwórku i dziecka w wysokim krześle, aż dotarłem do zdjęć Donniego. Na pierwszym stał na parkingu z innym mężczyzną, wyższym od niego, ubranym w szary garnitur. Drugie i trzecie zdjęcie były innymi ujęciami tej samej sceny, ale tym razem twarze mężczyzn

okazały się trochę wyraźniejsze. Zdjęcia musiały być robione z wnętrza samochodu, bo rama drzwi i boczne lustro były widoczne na dwóch z nich.

- Kim jest ten drugi mężczyzna? - zapytałem.

- Nie wiem - odpowiedziała. - Śledziłam Donniego, bo myślałam, że mnie zdradza. Cholera, wiedziałam, że mnie zdradza. To drań. Chciałam tylko wiedzieć, z kim.

Uśmiechnęła się. Wysilek spowodował ból.

- Myślałam, że go kocham. Co za bzdura.

Potrząsnęła głową. Widziałem, że płacze.

- I to jest to, co masz na niego? To dlatego chce cię znaleźć: bo masz w telefonie jego zdjęcia z facetem, którego nazwiska nie znasz?

- Nie znam jego nazwiska, ale wiem, gdzie pracuje. Kiedy Donnie odszedł, podeszły do niego dwie inne osoby, kobieta i mężczyzna. Są na następnym zdjęciu.

Kliknąłem dalej i zobaczyłem całe trio. Wszyscy byli ubrani służbowo.

- Myślałam, że to policjanci - powiedziała Mia. - Wsiedli do samochodu i odjechali. Pojechałam za nimi.

- Dokąd pojechali?

- Na Summit 1300.

I wtedy zrozumiałem, dlaczego Donnie chciał znaleźć Mię i dlaczego Mia nie mogła iść na policję z tym, co miała: na Summit 1300 mieściło się terenowe biuro FBI w Kansas City.

Donnie P. był informatorem.

Na polu, obok opustoszałej drogi w hrabstwie Clay, gdzie rzadko pojawiają się samochody i tylko ptaki tam czuwają, Donnie P., człowiek, który zabił Neila Chambersa za poważne długi, leży teraz pochowany w płytkim grobie. Wystarczył jeden telefon do jego szefów, jedna rozmowa telefoniczna i parę niewyraźnych zdjęć przesłanych z niemożliwego do zidentyfikowania adresu e-mailowego.

To była zemsta, zemsta za chłopca, którego ledwie znałem. Jego ojciec nie był świadom tego, co się stało i ja mu tego nie

powiem, co każe zadać pytanie, dlaczego to zrobiłem. To nie ma znaczenia dla Neila Chambersa i nie zwróci go ojcu. Zdaje mi się, że zrobiłem to, bo musiałem zaatakować coś albo kogoś. Wybrałem Donniego P., a on poniósł śmierć.

Jak powiedziała Rebecca Clay, byłem takim człowiekiem.

Tamtego wieczoru siedziałem na werandzie, a Walter spał u moich stóp. Pod marynarką miałem na sobie sweter i piłem kawę z podróżnego kubka firmy Mustang, który Angel dał mi na urodziny. Smuga mojego oddechu mieszała się z parą wznoszącą się z kawy przy każdym łyku. Na ciemnym niebie nie było księżycy, który mógłby wskazać drogę przez bagna, nie było żadnego światła, które zamieniłoby wodę w srebro. Powietrze stało nieruchomo, ale brakowało spokoju w tym bezruchu i znowu poczułem lekki zapach spalenizny w oddali.

I wtedy wszystko się zmieniło. Nie potrafię powiedzieć jak ani dlaczego, ale odczułem, że uspione życie wokół mnie obudziło się na moment, świat natury był zaniepokojony jakąś nową obecnością, ale bał się poruszyć, żeby nie zwracać na siebie uwagi. Ptaki niespokojnie trzepotały skrzydłami, a gryzonie zamarły w cieniach koło pni drzew. Walter otworzył oczy i zmarszczył nieufnie nos. Jego ogon uderzał w deski werandy, potem nagle przestał, bo nawet najmniejsze zakłócenie spokoju nocy było nie do zniesienia.

Wstałem, a Walter zaskomlał. Podeszedłem do balustrady werandy i poczułem wiatr zrywający się od wschodu, sunący przez mokradła, niepokojący drzewa i kładący lekko trawę, muskający jej źdźbła. Powinien był przynieść ze sobą zapach morza, ale nie przyniósł. Zamiast tego pojawił się tylko zapach spalenizny, mocniejszy teraz, ale wnet i on zanikł, ustępując miejsca suchemu odorowi, jak gdyby świeżo rozkopano ziemię, a ta odkryła zgarbione, nieszczęsne stworzenie leżące w niej bez życia. Pomyślałem o snach, które miałem, kiedy śniłem o tłumie dusz kroczących po błyszczących ścieżkach bagien, wędrujących na ostateczną zaturę w morzu, tak jak cząsteczki wody w rzece niepowstrzymanie dążą do miejsca, gdzie wszystko się rodzi.

Ale teraz coś się pojawiło, podróżując z, a nie do, przenosząc się z tamtego świata do tego. Wiatr się rozdzielił, jakby napotkał jakąś przeszkodę i musiał szukać innych ścieżek dookoła niej, ale potem już się nie połączył. Jego dwie fale odpłynęły w różnych kierunkach i wtedy, tak nagle jak się pojawił, zniknął, pozostawiając tylko ten odór utrzymujący się w powietrzu na dowód, że w ogóle istniał. Przez moment wydawało mi się, że dojrzałem czyjąś obecność wśród drzew na wschodzie, sylwetkę mężczyzny w starym jasnobrązowym płaszczu, rysy jego twarzy ginęły w mroku, tylko oczy i usta były jak ciemne plamy na tle bladej skóry. Potem raptownie zniknął, a ja się zastanawiałem, czy w ogóle coś widziałem.

Walter wstał, podszedł do drzwi i użył łapy, by je otworzyć, zanim się skrył w bezpiecznym wnętrzu domu. Ja zostałem, czekając, aż wszystkie nocne stworzenia znowu ułożą się do snu. Wziąłem mały łyk kawy, ale teraz wydawała się gorzka. Wyszedłem na trawnik i wylałem zawartość kubka na trawę. Wysoko nade mną okno poddasza na szczycie domu poruszało się lekko i jego trzask sprawił, że się obróciłem. Być może dom zbierał się w sobie, porządkował się po gwałtownym i nagłym wietrze; ale kiedy popatrzyłem na okno, chmury na chwilę się rozstały i światło księżycy wreszcie padło na szybę, tworząc wrażenie ruchu we wnętrzu pokoju. Potem chmury zeszły się znowu i ruch ustał ułamek sekundy później.

Ułamek sekundy później.

Wszedłem do domu, wziąłem latarkę z kuchni, sprawdziłem baterie, potem schodami poszedłem na samą górę. Używając haczyka osadzonego na kiju, ściągnąłem drabinę prowadzącą na poddasze. Światło z korytarza niechętnie tam wpełzało, oświetlając brzegi zapomnianych rzeczy. Wspiąłem się tam.

To poddasze było używane do przechowywania rzeczy, nic więcej. Leżało tam jeszcze trochę rzeczy Rachel, spakowanych do dwóch starych walizek. Chciałem je wysłać Rachel albo sam zabrać, gdy będę jechał odwiedzić ją i Sam, ale zrobić to, znaczyłoby ostatecznie przyznać, że ona nie wróci. Zostawiłem łóżeczko Sam w jej pokoju z tego samego powodu: było to jeszcze jedno ogniwo łączące mnie z nimi i nie chciałem widzieć, jak znika.

Ale były tu też inne przedmioty, należące do tych, które były przed Rachel i Sam: ubrania, zabawki, fotografie i rysunki, tania plastikowa biżuteria, nawet złoto i diamenty. Nie zachowałem wiele, ale to, co zatrzymałem, było tutaj.

boję się

Prawie że usłyszałem te słowa, wypowiedziane, jak gdyby dziecięcy głos wyszeptał je cicho wprost do mojego ucha, w obawie, że może zostać usłyszany, a jednak chcący bardzo je przekazać. Coś małego przebiegło w ciemności, zaniepokojone światłem.

One nie były prawdziwe. Powiedziałem to sobie raz jeszcze. Moje zdrowie psychiczne zostało poważnie nadszarpnięte tej nocy, kiedy je znalazłem, tej nocy, kiedy mi je zabrano. Mój umysł doznał wstrząsu i już nigdy nie był taki jak dawniej. One nie były prawdziwe. Ja je stworzyłem. Stworzyłem je z żalu i poczucia utraty.

One nie były prawdziwe.

Ale nie mogłem siebie przekonać, bo nie wierzyłem, że to prawda. Wiedziałem, że to było ich miejsce, azyl utraconej żony i utraconej córki. Jeżeli jakiegokolwiek ich ślady przetrwały na tym świecie, to trzymały się uporczywie przedmiotów przechowywanych wśród kurzu i pajęczyn, szczątki i pozostałości czyjegoś życia, które teraz już prawie odeszło z tego świata.

Latarka ściagała cienie po ścianie i podłodze. Cienka warstwa kurzu pokrywała wszystko: pudła i walizki, stare skrzynki i stare książki. Drapało mnie w nosie i gardle, oczy zaczęły mi łzawić.

boję się

Warstwa kurzu leżała także na szybie okna, ale nie była nietknięta. Kiedy zbliżałem się do niej, latarka wydobyła linie na szkle, wzór, który ułożył się w wiadomość, starannie napisaną jakby dziecinnym pismem.

spraw, by odeszli

Moje palce dotknęły szkła, wodząc po liniach łuków i pionowych kreskach, powtarzając kształty liter. W oczach miałem łzy, ale nie wiedziałem, czy to kurz je sprowadził, czy myśl, że tu, w tym pokoju wypełnionym żalem i poczuciem

utruty, znalazłem jakiś ślad dawno utraconego dziecka, że to palec córki stworzył te litery i że dotykając ich, mogłem z kolei dotknąć czegoś, co należało do niej.

proszę, tatusiu

Cofnąłem się. Snop światła latarki pokazał mi kurz na palcach, i wszystkie moje wątpliwości wróciły. Czy te litery naprawdę tam były, zanim ja przyszedłem, napisane przez kogoś, kto tu żył w tym ciemnym miejscu, czy to ja nadałem głębsze znaczenie przypadkowym kreskom na kurzu, które zostawiła Rachel albo ja, no i czy poruszając palcem po liniach, znalazłem sposób zakomunikowania czegoś, czego się bałem, nadałem formę i tożsamość uprzednio bezimiennemu lękowi? Racjonalna część mnie na nowo umocniła swoją pozycję, wznosząc barykady i dostarczając wyjaśnień, nieważne, że niezadawalających, na temat tych wszystkich wydarzeń, które nastąpiły: zapachów przyniesionych przez wiatr, bladej sylwetki na skraju lasu, ruchu na poddaszu i słów napisanych w kurzu.

Teraz latarka oświetliła wiadomość na szybie i zobaczyłem swoją twarz odbijającą się w szkłe, zawieszoną na tle nocy, jak gdybym był nierealnym elementem, zaginionym bytem, a słowa były napisane w poprzek moich rysów.

tak się boję

Brzmiały one:

WYDRAŻENI LUDZIE

6

Tamtej nocy źle spałem, wciąż nawiedzały mnie obrazy mężczyzn bez oczu, którzy jednak jakoś potrafili widzieć i dziecka bez twarzy zwiniętego w kłębek na ciemnym poddaszu, w kółko szepczącego do siebie tylko „boję się”. Z samego rana skontaktowałem się z Jackiem Garnerem. Noc w Willard była spokojna i przyjąłem to z wdzięcznością. Jenna wyjechała do D. C. z dziadkami po siódmej i Jackie jechał za ich samochodem aż do Portsmouth, a bracia Fulcis zostali z Rebeccą. Nie było ani śladu Merricka, ani nikogo innego, kto wykazywałby niezdrowe zainteresowanie rodziną Clayów.

Poszedłem pobiegać po Prouts Neck, Walter popędził przodem w spokojnym powietrzu poranka. Ta część Scarborough była ciągle jeszcze względnie wiejska, a obecność klubu jachtowego i ekskluzywnego ośrodka rekreacyjno-sportowego gwarantowały, że okolica zachowa pewien poziom i klasę, ale gdzie indziej miasto zmieniało się gwałtownie. Zaczęło się zmieniać już dawno, w 1992, kiedy Wal-Mart pojawił się w pobliżu Centrum Handlowego Maine, przynosząc ze sobą różne irytujące zjawiska. Na przykład właścicielom samochodów kempingowych pozwolono parkować nocą na parkingu sklepu. Wkrótce inne firmy handlu wielkopowierzchniowego poszły w ślady Wal-Martu i Scarborough zaczęło wyglądać jak wiele innych satelickich miasteczek na obrzeżach większych miast. Teraz mieszkańcy osiedla Eight Corners wyprzedają się, umożliwiając Wal-Martowi dalszy rozwój i pomimo ograniczeń w wydawaniu pozwoleń na budownictwo mieszkaniowe coraz więcej rodzin sprowadza się

w tę okolicę, by korzystać z jej szkół i możliwości rekreacyjnych. Podbijają ceny nieruchomości i powodują wzrost opłat na infrastrukturę potrzebną do obsłużenia nowo przybyłych, którzy osiedlają się w tempie cztery razy przewyższającym średnią krajową. Gdy opadają mnie czasem czarne myśli, widzę, jak to, co kiedyś było rozległym miastem, składającym się z sześciu odrębnych wiosek, każda z własnym, wyraźnym miejscowym charakterem i największym terenem słonych błot w całym stanie - staje się monotonnym, rozciągniętym molochem zamieszkanym prawie całkowicie przez ludzi, którzy nie mają pojęcia o historii tego miejsca ani szacunku dla jego przeszłości.

Kiedy wróciłem, czekały na mnie dwie wiadomości na automatycznej sekretarce. Jedna była od człowieka z Wydziału Samochodów Osobowych, który kazał sobie płacić po pięćdziesiąt dolarów za każdy wyszukany numer rejestracyjny. Według jego informacji, samochód Merricka był pojazdem firmowym, niedawno zarejestrowanym przez kancelarię prawniczą w Lynn, w stanie Massachusetts. Nie znałem nazwy tej firmy, Eldritch i Spółka. Zapisałem szczegóły w notatniku. Merrick mógł ukraść auto prawnikowi - i jeden telefon do kancelarii szybko by potwierdził, czy rzeczywiście nastąpiła kradzież - albo mógł zostać zatrudniony przez adwokata czy adwokatów, co z kolei nie wydawało się zbyt prawdopodobne. Była jeszcze trzecia możliwość: że kancelaria dała Merrickowi samochód albo z własnej woli, albo na sugestię klienta, w ten sposób dostarczając pewnego rodzaju zabezpieczenia, w razie gdyby ktoś przyszedł i pytał, co Merrick robi, bo wtedy kancelaria mogłaby przedstawić argument o ochronie poufności klienta. Niestety, jeżeli o to właśnie chodziło, zainteresowana osoba nie doceniła talentu Merricka do powodowania kłopotów albo było jej to obojętne.

Znowu zacząłem myśleć o nagłym pojawieniu się Merricka w tyle lat po zniknięciu Daniela Claya. Albo ujawnione zostały jakieś dowody, które przekonały Merricka, że Clay jeszcze żyje, albo przez długi czas Merrick był wyłączony z obiegu i teraz właśnie się pojawił, żeby zirytować parę osób. Coraz bardziej byłem skłonny przychylić się do poglądu, że Merrick

mógł siedzieć w więzieniu, ale nie znałem jego imienia, nawet przyjmując, że Merrick to było jego prawdziwe nazwisko. Gdybym znał jego imię, mógłbym poszukać na corrections.com i bop.gov w nadziei, że znajdę datę zwolnienia. Mógłbym też zadzwonić do paru osób i dowiedzieć się, czy to nazwisko się komuś z czymś kojarzy, no i zawsze jeszcze jest Eldritch i Spółka, chociaż z doświadczenia wiem, że prawnicy są w najlepszym wypadku niezbyt pomocni w takich sytuacjach. Nie byłem nawet pewny, że pościg Merricka za Rebecca Clay i wybita szyba wystarczyłyby, żeby wymusić od nich jakąś informację.

Druga wiadomość była od June Fitzpatrick, która potwierdziła naszą kolację w domu Joela Harmona. Prawie o nim zapomniałem. To mógł być zmarnowany wieczór. Jednak ciągle jeszcze nic nie wiedziałem o Danielu Clayu, oprócz tego, o czym powiedziały mi jego córka i June. Następnego dnia z samego rana pojedę do informacji Commonwealth zobaczyć, co mi się uda wydębić o Eldritch i Spółce, i spróbuję zmieścić rozmowę z byłym mężem Rebecki Clay przed kolacją u Harmona. Byłem świadom tego, że zegar tyka i odlicza minuty do zapowiedzianego powrotu Merricka i gwarantowanej eskalacji w jego kampanii zastraszania córki Daniela Claya.

Rebecca Clay siedziała w łazience szefa i wycierała łzy. Właśnie skończyła rozmawiać z córką przez telefon. Jenna powiedziała jej, że już za nią tęskni, Rebecca powiedziała Jennie, że też za nią tęskni, ale jest pewna, że wysłanie jej jest słuszną rzeczą.

Poprzedniego wieczoru weszła do pokoju Jenny upewnić się, czy córka zapakowała wszystko, co jest jej potrzebne na podróż. Jenna siedziała na dole i czytała. Z okna sypialni Jenny, Rebecca widziała mężczyznę o imieniu Jackie, siedzącego w samochodzie i pewnie słuchającego radia, sądząc po lekkim blasku, który bił od deski rozdzielczej i oświetlał mu rysy. Jego obecność sprawiała, że czuła się trochę lepiej. Spotkała też na moment tych dwóch innych mężczyzn, potężnych braci, którzy patrzyli na Jackiego z uwielbieniem, łapiąc każde jego słowo. Chociaż byli potężni, nie dawali jej takiego poczucia bezpieczeństwa, jak Jackie. Jednak budzili grozę,

musiała im to przyznać. Jedna z jej sąsiadek zaniepokojona ich obecnością, wezwała policję. Gliniarz, który przejechał koło domu w odpowiedzi na jej wezwanie, rzucił okiem tylko raz na tę parę i odjechał, nie zamieniając ani słowa z żadnym z nich. Od tego czasu nikt nie widział policji w okolicy.

Wszystko w pokoju Jenny było posprzątane i na miejscu, bo taką właśnie dziewczynką była jej córka. Rebecca popatrzyła na małe biurko, przy którym Jenna odrabiała lekcje, malowała i rysowała. Wyraźnie pracowała nad czymś ostatnio, nad jakimś rysunkiem, bo pudełko kredek leżało otwarte obok paru arkuszy papieru. Rebecca wzięła do ręki jedną z kartek. Rysunek przedstawiał ich dom i dwie postaci, które stały obok niego. Ubrane były w długie, brązowe płaszcze, a ich twarze były blade, tak blade, że jej córka użyła białej świecowej kredki, by to podkreślić, jak gdyby sam papier nie wystarczył, żeby pokazać głębię ich bladeści. Ich oczy i usta były czarnymi kółkami, pochłaniającymi światło i powietrze ze świata. Te same postaci pojawiały się na wszystkich rysunkach. Wyglądały jak cienie, którym nadano kształt i fakt, że jej córka wyobrażała sobie takie istoty, sprawił, że Rebecca zadrżała. Być może Jenna była bardziej zaniepokojona działaniami człowieka o nazwisku Merrick, niż chciała przyznać i te rysunki były świadectwem jej strachu.

Rebecca zeszała na dół do Jenny i pokazała jej rysunki.

- Kto to jest, kochanie? - spytała, ale Jenna tylko wzruszyła ramionami.

- Nie wiem.

- To znaczy, czy to mają być duchy? Wyglądają jak duchy.

Jenna potrząsnęła głową.

- Nie, ja ich widziałam.

- Widziałaś ich? Jak to? Jak mogłaś widzieć coś takiego? Uklękała koło córki, poważnie zmartwiona tym, co usłyszała.

- Bo oni są naprawdę - odpowiedziała Jenna. Miała przez chwilę zagadkowy wyraz twarzy, potem się poprawiła. - Nie, ja myślę, że oni są naprawdę. To trudno wyjaśnić. No, wiesz, to tak, jak jest trochę mgły. Wszystko jest niewyraźne, ale nie widać, co sprawia, że jest niewyraźne. Zdrzemnęłam się po pakowaniu dziś wieczorem i to było prawie tak, jakby mi się

przyśnili, ale nie spałam, bo rysowałam ich w tym samym czasie, kiedy ich widziałam. To było tak, jakbym się obudziła i jeszcze ich widziała i musiałam narysować ich postacie na papierze, a kiedy popatrzyłam przez okno, oni tam byli, tylko... - Zrobiła pauzę.

- Tylko, co? Powiedz mi, Jenna.

Dziewczynka wyglądała nieswojo.

- Tylko mogłam ich zobaczyć, jak nie patrzyłam wprost na nich. Wiem, że to nie ma sensu, mamuś, ale oni tam byli i jakby ich nie było. - Wzięła rysunek od matki. - Uważam, że są fajni.

- Byli tutaj, Jenna? Jenna pokręciła głową.

- Byli na zewnątrz. A ty co myślałaś, że ja mówię?

Rebecca podniosła dłoń do ust. Czuliła się bardzo źle.

Jenna wstała, przytuliła ją i ucałowała w policzek.

- Nie martw się, mamo. To było pewnie jakieś dziwactwo mojej głowy. Jeżeli ci to pomoże, to wiedz, że się wcale nie bałam ani nic. Oni nas nie chcą skrzywdzić.

- Skąd wiesz?

- Bo wiem. Czuję, jakbym ich słyszała, w głowie, kiedy spałam czy budziłam się, czy tam robiłam, to co robiłam. Im nie chodziło o nas.

Potem, po raz pierwszy, Jenna wyglądała na zamyśloną, jakby właśnie zaczęła rozumieć, jak bardzo dziwnie brzmiały jej słowa.

Rebecca próbowała uspokoić swój głos, żeby nie drżał, kiedy zapytała.

- Kochanie, kto to jest?

Pytanie rozśmieszyło Jenę.

- To jest najdziwniejsza część tego wszystkiego. Obudziłam się, wiedząc, kim oni są, tak jak czasem mam obraz i tytuł w myśli, obydwa razem w tym samym czasie i nie wiem, skąd one przychodzą. Zrobiłam ten pierwszy rysunek i wiedziałam, co to za postaci, zanim kredka dotknęła papieru.

Podniosła rysunek do góry przed sobą, zarówno podziwiając go, jak i trochę zakłopotana tym, co stworzyła.

- To są Wydrążeni Ludzie.

Na śniadanie przygotowałem sobie truskawki i kawę. W zestawie stereo było CD Delgados, wydane przez Universal Artists, którym dałem pograć, gdy jadłem. Walter szalał w ogrodzie, załatwił swoje sprawy w krzakach, potem wrócił do domu i zasnął w koszyku.

Kiedy skończyłem jeść, rozłożyłem listę dawnych współpracowników Daniela Claya na kuchennym stole i dopisałem „Eldritch” na końcu. Potem ustaliłem w przybliżeniu kolejność kontaktowania się z nimi wszystkimi, zaczynając od tych na miejscu, ale najbardziej oddalonych od miasta. Zacząłem telefonować, żeby umówić spotkania, ale trzy pierwsze próby zakończyły się fiaskiem. Ludzie, o których chodziło, wyprowadzili się albo nie żyli, a profesor Claya, który na emeryturze przeniósł się do Bar Harbor, miał tak zaawansowanego alzheimera, że zdaniem jego synowej, nie poznawał nawet własnych dzieci.

Lepiej poszło, w pewnym sensie, z czwartym kandydatem, księgowym Edwardem Haverem. On sam zmarł przed dziesięciu laty, ale jego żona, Celine, powiedziała, że może porozmawiać o Clayu, nawet przez telefon, zwłaszcza kiedy wyjaśniłem, że zostałem wynajęty przez córkę Claya. Powiedziała mi, że zawsze lubiła Dana i jego towarzystwo. Ze swoim mężem byli obecni na pogrzebie jego żony dawno temu, kiedy Rebecca miała zaledwie cztery czy pięć lat. Potem, dwadzieścia lat później, jej mąż zmarł na inną postać tej samej choroby i Daniel Clay przyszedł na jego pogrzeb. Przez jakiś czas, jak wyznała, myślała, że istniała szansa na bliższy związek, bo mieli podobne gusta i ona lubiła Rebecę, ale okazało się, że

Clay przyzwyczał się do życia bez partnerki.

- A potem zniknął - zakończyła.

Miałem zamiar wypytać ją jeszcze o okoliczności jego zniknięcia, ale ona sama podjęła ten temat.

- Ja wiem, co o nim mówiono, ale to nie Dan, nie ten Dan, którego ja znałam - powiedziała. - Jemu zależało na dzieciach, którymi się zajmował, może nawet zanadto. To było widać w jego twarzy, kiedy o nich mówił.

- Rozmawiał z panią o swoich pacjentach?

- Nigdy nie wymieniał nazwisk, ale czasem mówił mi, co jakieś dziecko przeszło: bicie, zaniedbanie i, wie pan, inne rzeczy też. Było jasne, że go to męczyło. Nie mógł znieść świadomości, że dziecku dzieje się krzywda. Myślę, że to czasami doprowadzało do konfliktów z ludźmi.

- Z jakimi ludźmi?

- Innymi specjalistami, lekarzami, którzy nie zawsze widzieli sprawę tak jak on. Był taki jeden, jak też on się nazywał? Widziałam gdzieś niedawno jego nazwisko. Christian! Tak: doktor Robert Christian z Midlake Center. On i Dan zawsze się sprzeczali w artykułach, które pisali, albo na konferencjach. Zdaje mi się, że pracowali w wąskiej dziedzinie, więc się stale spotykali i sprzeczali o to, jak najlepiej zajmować się dziećmi, które były do nich kierowane.

- Dobrze pamięta pani wydarzenia z odległej przeszłości, pani Haver. - Staralem się, żeby to nie zabrzmiało, jakbym wątpił w to, co mówi, albo żywił jakieś podejrzenia, chociaż odczuwałem odrobinę i jednego, i drugiego.

- Bardzo lubiłam Dana i przez długi czas byliśmy sobie bliscy. - Prawie widziałem, jak się smutno uśmiecha. - Rzadko się gniewał, ale wciąż pamiętam wyraz jego twarzy, kiedy pojawiał się temat doktora Roberta Christiana. W pewnym sensie oni ze sobą rywalizowali. Obydwaj zajmowali się oceną zarzutów o wykorzystywanie dzieci, ale każdy z nich miał zupełnie inne podejście. Uważam, że Dan był trochę mniej ostrożny niż doktor Christian, i to wszystko. Był skłonny wierzyć dziecku od początku, bo zależało mu przede wszystkim

na ochronie dzieci przed krzywdą. Podziwiałam to u niego. Był idealistą, dzisiaj już się nie spotyka takiego poświęcenia. Doktor Christian nie pojmował swojego powołania w taki sam sposób. Dan uważał, że Robert Christian jest zbyt sceptyczny, że myli obiektywność z nieufnością. Potem zaczęły się kłopoty. Dan wydał opinię, która okazała się błędna i zmarł człowiek, ale domyślałam się, że pan już o tym wie. W następstwie tego Dan miał mniej konsultacji, a może w ogóle przestano zasięgać jego opinii.

- Czy pamięta pani nazwisko człowieka, który zmarł?

- Zdaje mi się, że to było niemieckie nazwisko. Może Muller? Tak, jestem prawie pewna, że nazywał się Muller. Przypuszczam, że chłopiec, o którego wtedy chodziło, musi mieć teraz osiemnaście, dziewiętnaście lat. Nie mam pojęcia, jak może żyć ze świadomością, że jego oskarżenia doprowadziły do śmierci ojca.

Zapisałam nazwisko Muller i narysowałam linię łączącą je z doktorem Robertem Christianem.

- I wtedy, naturalnie, zaczęły krążyć pogłoski - powiedziała.

- Pogłoski o wykorzystywaniu?

- Zgadza się.

- Czy Clay rozmawiał o tym z panią?

- Nie, wtedy już właściwie nie widywaliśmy się zbyt często. Po śmierci pana Mullera Daniel stał się mniej towarzyski. Proszę mnie źle nie zrozumieć: on nigdy nie był kimś, kogo można by nazwać imprezowiczem, ale bywał na kolacjach i czasami wpadał do mnie na kawę albo kieliszek wina. To wszystko się skończyło po wypadku Mullera. Ta tragedia podkopała jego wiarę w siebie i mogę sobie tylko wyobrazić, że oskarżenia o wykorzystywanie zniszczyły ją całkowicie.

- Pani nie wierzyła w te oskarżenia?

- Widziałam, jak był oddany swej pracy. Nigdy nie mogłabym uwierzyć w to, co niektórzy ludzie opowiadali o Danie. To brzmi jak wyświechtany frazes, ale jego problemem było nadmierne zaangażowanie. Chciał ochraniać wszystkie dzieci, ale przecież nie mógł.

Podziękowałam jej, a ona powiedziała mi, że mogę do niej dzwonić o dowolnej porze. Zanim odłożyła słuchawkę, podała mi parę nazwisk ludzi, z którymi mógłbym porozmawiać, ale

oni wszyscy byli na liście Rebecki. Mimo to okazała się pomocna, czego nie można powiedzieć o dwóch następnych osobach, do których zadzwoniłem. Jedną z nich był prawnik, Elwin Stark, który działał w imieniu Clay'a i się z nim przyjaźnił. Widywałem Starka na mieście. Był wysoki, ugrzecz-niony, nosił ciemne prążkowane garnitury tak lubiane przez gangsterów w dawnym stylu albo bogatych handlarzy anty-kami. Trzeba przyznać, że nie był typem filantropa, gdy cho-dziło o sprawy prawnicze i chyba stosował tę samą zasadę wobec rozmów telefonicznych, za które mu nie płacono. To właśnie Stark zajmował się przygotowaniem dokumentów w sprawie o uznanie Clay'a za zmarłego.

- On nie żyje - oznajmił mi Stark, po tym jak jego sekre-tarka przetrzymała mnie na linii przez dobrych piętnaście minut, a potem poinformowała, że Stark nie będzie miał cza-su przyjąć mnie osobiście, ale być może, i tylko być może, znajdzie dwie minuty, by chwilę porozmawiać przez telefon. - I nic więcej się nie da o tym powiedzieć.

- Jego córka ma kłopot z kimś, kto tak nie uważa. Nie chce przyjąć do wiadomości, że Clay nie żyje.

- Jego córka ma kawałek papieru, który stwierdza coś innego. Co chce pan ode mnie usłyszeć? Znałem Daniela. Chodziłem z nim na ryby parę razy do roku. Był dobrym człowiekiem. Trochę spięty, ale to cecha zawodu.

- Czy on kiedyś rozmawiał z panem o swojej pracy?

- Nie. Jestem prawnikiem od prawa handlowego. Te główne historie o dzieciakach mnie przygnębiają.

- Czy występuje pan jeszcze w imieniu Rebecki Clay?

- Zrobiłem tę jedną rzecz dla niej w ramach uprzejmości. I nie spodziewałem się, że jakiś prywatny detektyw będzie mnie za to ścigał, więc może pan spokojnie przyjąć, że nie będę jej więcej świadczył uprzejmości. Proszę posłuchać, wiem wszystko o tobie, Parker. Już sama rozmowa mi nie odpowiada. Nic dobrego nie wyniknie z jej przedłużania, więc kończę ją teraz.

I rozłączył się.

Następna rozmowa z doktorem medycyny, niejakim Philipem Caussure'em, była jeszcze krótsza. Caussure był niegdyś

lekarzem Claya. Wyglądało na to, że Clay miał mnóstwo kontaktów, które łączyły sprawy osobiste z zawodowymi.

- Nie mam nic do powiedzenia - usłyszałem od Caussure'a. - Proszę mnie więcej nie niepokoić.

I odłożył słuchawkę. To było jak jakiś znak. Wybrałem kolejny numer, tym razem, by umówić termin wizyty u doktora Roberta Christiana.

Ośrodek Midlake leżał w pobliżu miejsca, gdzie kiedyś mieszkalem, niedaleko Gorham Road. Stał na ocienionej drzewami parceli i wyglądał jak każdy inny anonimowy biurowiec. Mogła się tam mieścić kancelaria prawnicza albo biuro nieruchomości. W istocie było to miejsce przeznaczone dla dzieci pokrzywdzonych przez wykorzystanie lub zaniedbanie, również tych, które zgłosiły taki zarzut, i tych, w których imieniu takie oskarżenia zostały zgłoszone przez inne osoby. Wewnątrz, za drzwiami wejściowymi znajdowała się poczekalnia pomalowana na jasnożółto i pomarańczowo, na stolach leżały książki dla dzieci w różnym wieku, w jednym rogu był kącik do zabaw, gdzie na macie z gąbki rozłożono zabawki: auta ciężarowe, lalki i komplety kredek Crayola. Była tam też półka zawieszona na ścianie trochę wyżej, niż małe dziecko mogłoby sięgnąć, z ulotkami informacyjnymi zawierającymi szczegóły kontaktowe do miejscowego Zespołu Wsparcia dla Ofiar Przemocy Seksualnej, oraz do innych służb społecznych.

Sekretarka siedząca przy biurku poprosiła o moje nazwisko i zatelefonowała. Kilka minut później niewysoki, żwawy mężczyzna z siwymi włosami i starannie przystrzyżoną brodą pojawił się w drzwiach łączących recepcję z kliniką. Był pewnie trochę po pięćdziesiątce, miał na sobie bawełniane spodnie i koszulę z rozpiętym kołnierzykiem. Jego uścisk dłoni był mocny, ale on sam robił wrażenie, jakby się miał na baczności. Poprowadził mnie do swojego gabinetu, umeblowanego w żółtej sośnie, pełnego półek z książkami i dokumentacją. Podziękowałem mu, że przyjął mnie bezzwłocznie, a on wzruszył ramionami.

- Ciekawość - wyjaśnił. - Już dawno nikt nie wspomniał

przy mnie o Danielu Clayu, przynajmniej nikt spoza naszego medycznego kręgu specjalistów. - Pochylił się naprzód w krześle. - Żeby było jasne, będę z panem szczery, jeżeli pan odwzajemni się tym samym. Clay i ja nie zgadzaliśmy się co do pewnych spraw. Sądzę, że nie przepadał za mną. Ja też go nie lubiłem. W sprawach zawodowych większość ludzi wierzyła, że miał dobre intencje, cokolwiek to znaczy, przynajmniej do czasu, kiedy zaczęły krążyć pogłoski, ale te dobre intencje powinny były być równoważone obiektywnością, którą moim zdaniem Daniel Clay nie wykazywał się na tyle, żeby jego opinii można traktować poważnie.

- Słyszałem, że panowie mieli jakieś starcie - powiedziałem. - Dlatego tu jestem. Jego córka mnie wynajęła. Ktoś dopytywał się o jej ojca. Jest tym zmartwiona.

- I teraz pan wraca tropem spraw, próbując się dowiedzieć, dlaczego ktoś miałby się nim interesować tyle lat po jego zaginięciu?

- Mniej więcej.

- Czy jestem podejrzany? - Uśmiechnął się.

- A powinien pan być?

- Z pewnością zdarzały się momenty, kiedy bym go z przyjemnością udusił. Potrafił zaleźć mi za skórę i w sprawach osobistych, i zawodowych.

- Czy zechciałby pan to wyjaśnić?

- No, cóż, żeby zrozumieć Claya i to, co się wydarzyło przed jego zniknięciem, powinien pan wiedzieć choć trochę o tym, czym tu się zajmujemy. Przeprowadzamy badania medyczne i testy psychologiczne w przypadkach, gdzie pojawia się zarzut o wykorzystywanie dzieci czy to w sferze fizycznej, seksualnej, emocjonalnej albo na skutek zaniedbania. Zgłoszenie przychodzi do Centralnej Rejestracji w Auguście. Jest kierowane do przewodniczącego zespołu, analizowane i potem podejmowana jest decyzja, czy należy wysłać pracownika opieki społecznej czy nie. Czasami takie zgłoszenie pochodzi od lokalnego organu ochrony porządku publicznego, albo od Służb Ochrony Dzieci. Może też przyjść ze szkoły, od jednego z rodziców, sąsiadów, czy od samego poszkodowanego dziecka. Wtedy takie dziecko jest kierowane do nas do oceny.

W naszym stanie właśnie my jesteśmy głównymi opiniodawcami. Kiedy Daniel Clay zaczął wykonywać pierwsze oceny, my dopiero powoli nabieraliśmy doświadczenia. Do diabła, wszyscy wtedy dopiero zaczynali. Teraz już wszystko jest trochę lepiej zorganizowane. Możemy wszystko zrobić tu na miejscu: badanie, ocenę, zapewnić wstępną pomoc psychologa, wywiad z dzieckiem i domniemanym sprawcą. To wszystko można załatwić tutaj.

- A zanim otworzono ten ośrodek?

- Dziecko mogło być badane przez lekarza i potem posłane gdzie indziej na wywiad i ocenę.

- I to tutaj, w tym miejscu wchodził Clay?

- Tak, ale jednak uważam, że Daniel Clay nie był wystarczająco ostrożny. To jest delikatna sprawa, ta nasza działalność, i nie ma tu łatwych odpowiedzi. Każdy chce zdecydowanego tak albo nie - oskarżyciele publiczni, sędziowie, naturalnie też ludzie, których to dotyczy, jak rodzice czy opiekunowie - i jest rozczarowany, kiedy nie możemy mu tego czasem dostarczyć.

- Nie jestem pewny, czy pana rozumiem - powiedziałem.

- Czyż nie po to tu jesteście?

Christian pochylił się do przodu w krześle i rozłożył dłonie. Były bardzo czyste, paznokcie obcięte tak krótko, że widziałem miękką, bladą skórę na koniuszkach palców.

- Proszę posłuchać, mamy tu do czynienia z od ośmiuset do dziewięciuset dzieci każdego roku. Jeżeli chodzi o wykorzystywanie seksualne, to może u pięciu procent tych dzieci znajdziemy niepodważalne dowody fizyczne - jak uszkodzenia błony dziewiczej czy odbytu. Wiele z tych dzieci to nastolatki i nawet, jeżeli istnieją dowody wskazujące na aktywność seksualną, to trudno stwierdzić, czy doszło do niej za zgodą czy nie. Mnóstwo dorastających dziewcząt może nawet doświadczyć penetracji, a rutynowe badanie wykaże nienaruszoną błonę. Nawet, jeżeli ustalimy, że kontakt seksualny odbył się bez zgody, to i tak często nie możemy dowieść, kto był sprawcą, ani kiedy nastąpiło takie zdarzenie. Nawet u bardzo małego dziecka może nie być żadnych dowodów, szczególnie, gdy wziąć pod uwagę normalne anatomiczne

różnice, które występują w ciele dzieci. Fizyczne dowody, które były uznawane za wykazujące odstępstwo od normy, teraz są uważane za niespecyficzne. Jedyną niezawodną metodą, by stwierdzić wykorzystanie seksualne, jest test na obecność choroby przenoszonej drogą płciową, ale tu trzeba założyć, że sprawca był zakażony. Jeżeli test da pozytywny wynik, wtedy wykorzystanie jest czynem dokonany, ale nadal nie zbliżamy się nawet do ustalenia, kto tego dokonał, chyba, że byłoby oznaczone DNA. Jeżeli sprawca nie był zarażony chorobą przenoszoną drogą płciową, wtedy nic nie mamy.

- A co z zachowaniem dziecka? Czy ono nie zmienia się po wykorzystaniu?

- Skutki są różne i nie istnieją jakieś specyficzne wskaźniki behawioralne, które sugerowałyby wykorzystanie. Możemy obserwować niepokój, zaburzenia snu, czasem koszmary nocne, kiedy dziecko budzi się z krzykiem i nie daje się utulić, a rano nic nie pamięta. Może też występować obgryzanie paznokci, wrywanie włosów, odmowa pójścia do szkoły, upieranie się przy spaniu z rodzicem obdarzonym zaufaniem. Chłopcy wykazują tendencję do odgrywania się, stają się bardziej agresywni, a z kolei dziewczęta wycofane, depresyjne. Ale takie zachowania obserwuje się również wtedy, kiedy rodzice są w trakcie rozwodu i dziecko przeżywa stres. Same w sobie objawy te nie gwarantują dowodu ani na tak, ani na nie w sprawie wykorzystywania. Przynajmniej jedna trzecia wykorzystanych dzieci nie wykazuje żadnych symptomów.

Zdjąłem marynarkę i kontynuowałem robienie notatek. Christian uśmiechnął się.

- Bardziej to skomplikowane, aniżeli pan myślał, prawda?

- Trochę.

- I dlatego procedura oceny i stosowane techniki wywiadu są tak ważne. Specjalista nie może prowadzić dziecka, co moim zdaniem Clay robił w kilku przypadkach.

- Takich jak przypadek Mullera?

Christian skinął głową.

- Przypadek Mullera powinien stanowić podręcznikowy przykład wszystkich pułapek, które mogą się pojawić w

czasie dochodzenia w sprawie o domniemane wykorzystanie dziecka: dziecko manipulowane przez jednego z rodziców, specjalista, który odkłada na bok swój obiektywizm z powodu swego źle pojętego posłannictwa, sędzia, który woli białoczarny obraz aniżeli odcienie szarości. Są tacy, którzy uważają, że ogromna większość oskarżeń o molestowanie seksualne, które pojawiają się w trakcie sporów o opiekę nad dzieckiem podczas spraw rozwodowych, jest sfalszowana. Istnieje nawet termin na określenie zachowania dziecka w takich sporach: syndrom alienacji rodzicielskiej, kiedy dziecko identyfikuje się z jednym z rodziców i czyniąc to, odsuwa drugiego. Negatywne zachowanie w stosunku do odsuniętego rodzica jest odbiciem odczuć własnych rodzica alienującego, a nie dziecka. Jest to teoria i nie wszyscy ją akceptują, ale patrząc wstecz na przypadek Mullera, dochodzimy do wniosku, że dla Claya powinno być jasne, że matka jest wrogo nastawiona, a gdyby zadał więcej pytań dotyczących jej stanu zdrowia, byłby się dowiedział, że ma do czynienia z osobą o zaburzonej osobowości. Zamiast tego wziął stronę matki i wyglądało na to, że bez wahania zaakceptował wersję wydarzeń przedstawioną przez dziecko. Cała ta sprawa była katastrofą dla wszystkich, którzy brali w niej udział i zrujnowała autorytet tych, którzy pracowali w tej dziedzinie. Najgorsze ze wszystkiego było jednak to, że człowiek stracił nie tylko swoją rodzinę, ale i życie.

Christian zdał sobie sprawę z tego, jak bardzo się spieszył. Wyprostował się i powiedział:

- Przepraszam, pozwoliłem sobie na dygresję.
- Wcale nie - odpowiedziałem. - To ja zapytałem o Mullerów. Pan mówił o technikach przeprowadzania wywiadów.
- No, to jest w pewnym sensie całkiem proste. Nie wolno zadawać pytań typu: Czy coś ci się stało? albo Czy X dotykał intymnych części twojego ciała? Dotyczy to szczególnie małych dzieci. One mogą starać się zadowolić osobę oceniającą sytuację, podając właściwe odpowiedzi, żeby im tylko pozwolono wyjść. Również istnieją przypadki, które nazywamy niewłaściwym przypisaniem, kiedy dziecko mogło coś usłyszeć i przypisuje to sobie, prawdopodobnie, by zwrócić na

siebie uwagę. Czasem na początku można uzyskać prawdziwą informację od młodszego dziecka, ale potem się widzi, że dziecko odwołuje to pod presją, na przykład, członków rodziny. To zdarza się też z nastolatkami, kiedy mamusia ma nowego przyjaciela, który zaczyna molestować córkę, ale mamusia nie chce jej wierzyć, bo nie chce stracić faceta, który ją utrzymuje i raczej obwini dziecko o kłamstwa. Z nastolatkami wiążą się zresztą różne specyficzne problemy. Mogą na przykład kłamać o molestowaniu, żeby coś zyskać, ale ogólnie są całkiem odporne na sugestie. Problem z nimi polega na tym, że jeżeli były molestowane, to wydobyć od nich szczegółów może zająć parę sesji. Nie będą chciały mówić o tym, może z poczucia winy czy wstydu, ostatnią sprawą, o której chciałyby rozmawiać z obcą osobą, jest oralne czy analne wykorzystywanie.

Tak więc ocena musi być przeprowadzana przy zachowaniu w pamięci tych wszystkich elementów. Moje stanowisko jest takie, że nie wierzę nikomu: wierzę tylko w dane. I to przekazuję policji, oskarżycielom publicznym i sędziom, jeżeli sprawa trafia do sądu. Oni są ze mnie niezadowoleni. Tak, jak panu mówiłem, chcą określonych odpowiedzi, ale bardzo często my nie możemy dać im czegoś takiego.

I właśnie tutaj Daniel Clay i ja się różniliśmy. Są tacy konsultanci, którzy zajmują prawie polityczne stanowisko w sprawie wykorzystywania. Przekonani o powszechności tego zjawiska, odpytują dzieci w przeświadczeniu, że doszło do molestowania. To nadaje ton wszystkiemu, co następuje potem. Clay stał się takim człowiekiem, do którego się szło potwierdzić zarzuty wykorzystywania czy to w pierwszej instancji, czy wtedy, kiedy prawnik postanawiał szukać dodatkowej opinii w sprawie wykorzystywania. I to wpędziło Claya w kłopoty.

- W porządku, czy możemy na chwilę wrócić do sprawy Mullera?

- Oczywiście. Erik Muller. Ta sprawa jest udokumentowana. Gazety relacjonowały mnóstwo szczegółów na bieżąco. Była to nieprzyjemna sprawa rozwodowa, w której żona chciała dostać prawo opieki nad dzieckiem. Wydaje się, że

mogła wywierać wpływ na syna, który wtedy miał dwanaście lat, by zgłosił oskarżenia pod adresem ojca. Ojciec zaprzeczył wszelkim zarzutom, ale Clay zaprezentował bardzo obciążającą opinię. Jednak to ciągle nie był wystarczający dowód dla prokuratora okręgowego, żeby go oskarżyć, więc sprawa została przekazana do sądu rodzinnego, gdzie nie wymaga się tak solidnego materiału dowodowego na poziomie karnym. Ojciec stracił prawo opieki nad dzieckiem i w miesiąc później popełnił samobójstwo. Wtedy dziecko odwołało zeznania w obecności księdza i wszystko się wydało. Clay stanął przed radą komisji udzielającej licencji. Nie podjęto żadnych kroków przeciwko niemu, ale cała sprawa źle wyglądała i krótko potem Clay przestał przygotowywać oceny przypadków.

- Czy to była jego decyzja, czy mu to narzucano?

- I jedno, i drugie. On postanowił nie robić więcej ocen, ale i tak nie dostałby żadnych zleceń, nawet gdyby chciał kontynuować tę pracę. Wtedy my już byliśmy zorganizowani i działaliśmy od jakiegoś czasu, więc cały ciężar ocen w większości spraw przypadł nam. Używam tu słowa ciężar, ale był to ciężar, który chętnie przyjęliśmy. Jesteśmy tak samo oddani sprawie ochrony dobra dzieci, jak Daniel Clay, ale my nigdy nie zapominamy o odpowiedzialności wobec wszystkich, których to dotyczy, no a przede wszystkim, wobec prawdy.

- Czy wie pan, gdzie jest teraz ten chłopiec, Muller?

- Zmarł.

- Jak?

- Uzależnił się od narkotyków i zmarł w wyniku przedawkowania heroiny. Było to, hmm, jakieś cztery lata temu, w Fort Kent. Nie wiem, co się stało z matką. Ostatni raz, kiedy o niej słyszałem, mieszkała gdzieś w Oregonie. Wyszła ponownie za mąż, zdaje się, że ma teraz drugie dziecko. Mam nadzieję, że z nim poradzi sobie lepiej niż z poprzednim.

Wyglądało na to, że sprawa Mullera niczego więcej mi nie powie. Przeszedłem więc do tematu wykorzystywania niektórych pacjentów Claya. Christian miał szczegóły w małym palcu. Może je sprawdził przed moim przybyciem albo po prostu

mogła to być jedna z tych spraw, których raczej nie da się zapomnieć.

- W trakcie trzech miesięcy skierowano do nas dwa przypadki przypuszczalnego wykorzystania - powiedział Christian - obywatel z podobnymi cechami: domniemane wykorzystanie przez obce osoby i użycie masek.

- Masek?

- Masek przedstawiających ptaki. Sprawcy - trzech w jednym przypadku, czterech w drugim - zakryli twarze maskami przedstawiającymi ptaki. Dzieci - pierwsze: dwunastoletnia dziewczynka, a drugie: czternastoletni chłopiec - zostały uprowadzone, jedno w drodze ze szkoły do domu, drugie, kiedy piło piwo koło nieczynnego toru kolejowego, zabrano je w nieznanne miejsce, wykorzystywano przez parę godzin, potem porzucono blisko miejsc, w których je uprowadzono. Domniemane wykorzystanie nastąpiło kilka lat temu, jedno w połowie lat osiemdziesiątych, a drugie na początku lat dziewięćdziesiątych. Pierwszy przypadek wyszedł na jaw po próbie samobójczej dziewczyny krótko przed jej planowanym ślubem w młodym wieku zaledwie osiemnastu lat. Drugi przypadek poznano, kiedy chłopiec znalazł się przed sądem z powodu całej gamy przestępstw i wykroczeń i adwokat zdecydował się użyć argumentu o domniemanym wykorzystaniu, by złagodzić wyrok. Sędzia nie był skłonny mu uwierzyć, ale kiedy te dwa przypadki zgłoszono do nas, ich podobieństwa nie dało się zignorować. Te dzieciaki nie znały się i pochodziły z miast odległych od siebie o sto kilometrów. Jednak szczegóły ich historii pasowały idealnie nawet, jeżeli chodzi o detale dotyczące użytych masek.

Wie pan, co jeszcze łączyło te przypadki? Ta dwójka dzieci była wcześniej pod opieką Daniela Claya. Dziewczyna zgłosiła zarzut o molestowanie przeciwko nauczycielowi, który okazał się nieprawdziwy, a był spowodowany przekonaniem, że tenże nauczyciel był sekretnie zainteresowany jedną z jej koleżanek. Był to jeden z tych rzadkich przypadków, kiedy ocena Claya nie zawierała uzasadnienia potwierdzającego oskarżenie. Chłopiec został skierowany do Claya po tym, jak miał

niestosowny kontakt seksualny z dziesięcioletnią dziewczynką w swojej klasie. Ocena Claya sugerowała możliwe oznaki wykorzystania w przeszłości chłopca, ale nie mówiła nic więcej. Od tamtego czasu odkryliśmy jeszcze sześć dalszych przypadków zawierających element maski ptasiej: trzy z tych przypadków dotyczyły byłych pacjentów Daniela Claya, ale żaden z przypadków nie zdarzył się po jego zniknięciu. Innymi słowy, nie było nowych zgłoszeń podobnych przypadków od 1999 roku. To nie znaczy, że one nie zaszły, tylko, że nas o nich takim nie poinformowano. Większość dzieci, których to dotyczyło, była, hmm, trochę trudna w pewnym sensie, no i dlatego tak długo trwało, zanim te zarzuty wyszły na jaw.

- Trudne?

- Ich zachowanie było aspołeczne. Niektóre z nich zgłaszały zarzuty wykorzystywania, które mogły być prawdziwe lub nie. Inne były zaangażowane w działalność przestępczą albo po prostu puszczone samopas przez rodziców czy opiekunów. Wszystko w sumie mogło sprawiać, że przedstawiciele władzy odnosili się do zeznań dzieci z powątpiewaniem, nawet jeżeli podjęli starania i rozmawiali z dziećmi o tym, co się zdarzyło. Jednak policjanci, szczególnie mężczyźni, niechętnie wierzą w zarzuty o wykorzystywanie, w szczególności zgłaszane przez nastoletnie dziewczyny. No i to również stanowiło zagrożenie dla tych dzieci, bo nikt nie miał ochoty ich pilnować.

- A potem, zanim ktokolwiek zdążył zapytać Claya o to wszystko, on zniknął?

- Tak, większość tych przypadków wyszła na jaw po jego zniknięciu - powiedział Christian. - Nasz problem polega na tym, że musimy czekać, aż do nas dotrą oznaki podobnego wykorzystywania, zamiast szukać poszkodowanych dzieci. Chodzi o ochronę danych pacjentów, zamknięte kartoteki, a nawet naturalne rozproszenie rodzin i dzieci, co zdarza się z upływem czasu. Dzieci, które były wykorzystane w podobny sposób do tego, który panu opisałem, teraz mają prawie dwadzieścia lat, zakładając, że wiek ofiar, o których wiemy, waha się od dziewięciu do piętnastu lat. Mówiąc wprost, nie

możemy opublikować anonsu w gazetach, prosząc ludzi, którzy byli wykorzystani przez ludzi w ptasich maskach, by się ujawnili. Tak nie można tego robić.

- Czy coś wskazuje na to, że Clay mógł być jednym ze sprawców?

Christian odetchnął głęboko.

- To jest to główne pytanie, prawda? Były oczywiście pogłoski, ale czy pan kiedyś spotkał Daniela Claya?

- Nie.

- Był wysokim człowiekiem, bardzo wysokim, miał co najmniej sto dziewięćdziesiąt osiem centymetrów wzrostu. Był też bardzo szczupły. Ogólnie rzecz biorąc, miał dość charakterystyczny wygląd. Kiedy porównywaliśmy te wszystkie przypadki, zauważyliśmy, że żadne z dzieci, których to dotyczyło, nie opisało żadnego z domniemyanych sprawców w sposób, który mógłby wskazywać na Daniela Claya.

- Więc to mógł być zbieg okoliczności, że niektóre z tych dzieci były jego pacjentami?

- To jest na pewno możliwe. Był powszechnie znany z tego, że zajmował się dziećmi, które zgłaszały, że zostały wykorzystane. Jeżeli ktoś był dostatecznie zdeterminowany, mógł namierzyć dzieci właśnie z tego powodu, że były pacjentami Claya. Być może ktoś z wielu specjalistów, którzy zajmowali się dziećmi w trakcie diagnozy, ujawnił jakieś szczegóły, czy to z rozmysłem, czy przez przypadek, chociaż nasze dochodzenia raczej temu przeczą. To wszystko są przypuszczenia.

- Czy wie pan chociaż w przybliżeniu, gdzie są teraz te dzieci?

- Niektóre z nich. Nie mogę panu podać żadnych danych. Przepraszam. Mogłbym, może, pokazać panu niektóre raporty z ich oskarżeniami po usunięciu danych osobowych, ale one nie powiedzą panu wiele więcej, niż pan już wie.

- Będę bardzo wdzięczny.

Zaprowadził mnie z powrotem do recepcji i wrócił do swego gabinetu. Dwadzieścia minut później pojawił się z garścią wydrukowanych stron.

- Obawiam się, że to wszystko, co mogę panu dać.

Podziękowałem mu za dokumenty i jego czas. Powiedział mi, żebym się z nim skontaktował, gdybym potrzebował czegoś więcej i dał mi swój domowy telefon.

- Czy myśli pan, doktorze Christian, że Daniel Clay nie żyje? - zapytałem.

- Jeżeli był zamieszany - a ja nie twierdzę, że był - to nie chciałby narażać się na hańbę i uwięzienie. Mogliśmy się nie zgadzać co do większości spraw, ale to był kulturalny człowiek, pełen dumy. W tej sytuacji mógł się targnąć na swoje życie. Jeżeli nie był zamieszany w żaden sposób, to dlaczego zniknął? Być może te dwa wydarzenia nie miały wcale żadnego związku ze sobą i my niszczymy reputację niewinnego człowieka? Ja tego po prostu nie wiem. Dziwne jednak jest to, że nigdy nie znaleziono żadnego śladu Daniela Claya. Opieram się na dostępnych danych, i na niczym innym, i z tych danych, które tu mam przed sobą, wynika, że Daniel Clay nie żyje. Wobec tego mamy pytanie, czy on sam odebrał sobie życie, czy go ktoś życia pozbawił?

Wyszedłem z ośrodka Midlake i pojechałem do domu. Przy stole w kuchni przeczytałem fragmenty relacji, które dał mi Christian. Tak, jak mnie uprzedził, zawierały niewiele więcej ponad to, co już mi powiedział, ale obraz tego, co dorosli byli w stanie uczynić dzieciom, nappełnił mnie rozpaczą. Szczegóły dotyczące sylwetek sprawców były niejasne, zwłaszcza że w wielu wypadkach dzieci miały związane oczy przez cały czas wykorzystywania albo były tym tak przerażone, że nie mogły przypomnieć sobie niczego o samych mężczyznach, ale Christian miał rację: żaden z istniejących rysopisów nie odpowiadał wyglądowi Daniela Claya.

Kiedy skończyłem, zabrałem Waltera na spacer. Bardzo wydorósł w ciągu ostatniego roku, choć był jeszcze młodym psem. Zrobił się spokojniejszy i mniej narwany, ale i tak był zaledwie cieniem swoich przodków, dużych psów polujących, które hodowali pierwsi plantatorzy i osadnicy w Scarborough. Mój dziadek opowiadał mi kiedyś o wędrownym artyście, który zatrzymał się na noc w domu miejscowego przełożnika. Artysta wiózł lwa na wschód i jakiś myśliwy, po

wypiciu sporej ilości mocnego trunku, zaproponował, by jeden z jego psów zmierzył się z lwem. Zakład stanął o baryłkę rumu. Artysta zgodził się i w obecności mieszkańców miasta wpuszczono psa do klatki lwa. Pies spojrzął na lwa, skoczył mu do gardła, potem zmusił go do położenia się na plecach i zaczął lwa mordować. Artysta interweniował, zapłacił myśliwemu za baryłkę rumu i pięćdziesiąt dolarów, by pozwolił zastrzelić w klatce psa, zanim ten rozszarpie lwa na kawałki. Walter nie należał do zabójców lwów, ale był moim psem, więc i tak go kochałem. Moi sąsiedzi, Bob i Shirley Johnsonowie, opiekowali się nim, kiedy musiałem wyjechać na parę dni. Walter nawet lubił u nich zostawać. Miał dostęp do swojego terytorium, a oni go rozpieszczali. Byli na emeryturze i nie mieli własnego psa, więc Bob zawsze bardzo chętnie brał Waltera na spacer. Sytuacja odpowiadała wszystkim.

Dotarliśmy aż do Ferry Beach. Było już późno, ale chciałem się przewietrzyć. Przyglądałem się Walterowi, który ostrożnie zanurzył łapę w wodzie, a potem gwałtownie ją wyciągnął. Szczeknął z wyrzutem i popatrzył na mnie, jak gdybym mógł coś zrobić, by wzrosła temperatura wody w morzu, a tym samym umożliwił mu kąpiel. Pomachał ogonem, a potem cała sierść na jego grzbiecie zjeżyła się nagle. Kompletnie znieruchomiał i wpatrywał się w coś za mną. Odślonił swoje ostre, białe zęby. Z jego gardzieli dobył się głęboki pomruk.

Obróciłem się. Wydawało mi się, że wśród drzew stoi jakiś człowiek. Kiedy patrzyłem wprost na niego, widziałem tylko gałęzie i rozświetlone punkty światła księżycy w miejscu, gdzie myślałem, że on stoi; widziałem go wyraźniej, kiedy patrzyłem kątem oka albo kiedy nie koncentrowałem się na nim wcale. Niemniej jednak, on tam był. Reakcja Waltera to potwierdzała, a ja wciąż pamiętałem wydarzenia z poprzedniej nocy: widok kogoś na skraju lasu, zanim zniknął; głos dziecka szepczący w ciemności; słowa nagryzmlone na zakurzonej szybie okna.

Wydrążeni Ludzie.

Nie miałem przy sobie broni. Zostawiłem rewolwer .38 w aucie, kiedy szedłem na spotkanie z doktorem Christianem i

nie wziąłem go ze sobą, wychodząc z Walterem, a Smith 10 był u mnie w sypialni. Załowałem, że nie mam przynajmniej jednego z nich przy sobie, a jeszcze lepiej obydwóch.

- Jak leci? - zawołałem do mężczyzny, podnosząc rękę w geście powitania.

Nie poruszył się. Jego płaszcz miał brudnobrązowy kolor, stapał się z ciemnością w tle i piaszczystą ziemią. Tylko fragment jego twarzy był widoczny: ślad białego policzka i broda. Usta i oczy były czarnymi plamami, głębokie linie rysowały się tam, gdzie mogły być wargi i na skraju ciemnych oczodołów, jak gdyby skóra w tych miejscach skurczyła się i wyschła. Podeszedłem bliżej, z towarzyszącym mi Walterem, w nadziei, że lepiej zobaczę tego człowieka, ale on zaczął wycofywać się między drzewa, aż pochłonęła go ciemność.

I zniknął. Warczenie Waltera ustało. Nieufnie zbliżył się do miejsca, gdzie stała ta postać i powąchał ziemię. Najwyraźniej nie podobał mu się zapach, bo zmarszczył nos i językiem przejechał po zębach, jakby próbując pozbyć się złego smaku. Przeszedłem dalej pomiędzy drzewami aż do granicy terenu plaży, ale nie było ani śladu nikogo. Nie słyszałem też ruszającego samochodu. Wszędzie była cisza i spokój.

Zeszliśmy z plaży i ruszyliśmy do domu, ale Walter całą drogę trzymał się blisko mnie, przystając tylko od czasu do czasu, by popatrzeć między drzewa po lewej stronie i wtedy lekko odsłaniał zęby, jak gdyby w oczekiwaniu na zbliżające się, nieznane jeszcze zagrożenie.

8

Następnego ranka pojechałem do Lynn. Niebo było czyste i niebieskie, koloru lata, ale drzewa potraciły już liście i robotnicy zatrudnieni przy wiecznie rozgrzebanym przedłużeniu autostrady byli zakutani w swetry z kapturem i mieli grube rękawice dla ochrony przed zimnem. Piłem kawę w czasie jazdy i słuchałem albumu północnoafrykańskiej muzyki protestu. Ściągnęło to na mnie spojrzenia pełne dezaprobaty, kiedy zatrzymałem się, by zatankować benzynę w New Hampshire, gdzie dźwięk piosenek śpiewanych bardzo głośno po arabsku był widocznie odbierany jako dowód mało patriotycznych skłonności. Te piosenki pozwalały mi nie myśleć o postaci zauważonej poprzedniego wieczoru między drzewami na Ferry Beach. Jej wspomnienie wywoływało dziwną reakcję, jak gdybym był świadkiem czegoś, czego tak naprawdę nie miałem widzieć, albo jakbym naruszył jakieś tabu. Najdziwniejsze było to, że postać ta wydawała mi się prawie znajoma, jak gdybym wreszcie spotkał dalekiego krewnego, o którym słyszałem dużo, ale go nigdy wcześniej nie widziałem.

Zjechałem z międzystanowej autostrady na drogę nr 1, w brzydkim obszarze niekontrolowanego rozwoju zabudowy komercyjnej, jakich pełno na całym Północnym Wschodzie, a potem pojechałem północną drogą nr 107, prowadzącą przez Revere i Saugus w stronę Lynn. Minąłem ogromną fabrykę zagospodarowania odpadów Wheelabrator po prawej stronie, potem zakłady GE-Aviation, zatrudniające wielu okolicznych mieszkańców. Parkingi z używanymi samochodami wystawionymi na sprzedaż i puste parcele zajmowały sporą przestrzeń przy wjeździe do Lynn, latarnie ozdobione transparentami z

narodową flagą USA witały wszystkich przybyszy, a każdy transparent był sponsorowany przez jedną z lokalnych firm. Kancelaria Eldritch i Spółka nie figurowała wśród nich i kiedy dotarłem do ich biura, stało się jasne, dlaczego firma nie sprawiała wrażenia szczególnie kwitnącej. Zajmowała dwa górne piętra w brzydkim, szarym budynku, który przykucnął bezczelnie jak kundel w rzędzie domów między przecznicami. Okna były paskudnie brudne i od dawna nie odświeżano złotych liter anonsujących obecność prawnika w środku. Nieruchomość była wciśnięta pomiędzy bar Tulleya - który sam w sobie był miejscem raczej surowym, pozbawionym ozdób i zbudowanym tak, by odeprzeć obłężenie - a kilka szarzielonych bloków z mieszkaniami oraz zakładami i sklepami na niższych piętrach: salonem manikiuru, sklepem wielobranżowym Angor z szyldem w języku khmerskim i meksykańską restauracją reklamującą pupusas, tortas i tacos. Na końcu pierzei był jeszcze jeden bar, który sprawiał, że bar Tulleya wyglądał, jakby był zaprojektowany przez Gaudiego. Miał tylko drzwi i dwa okna, i nazwę nad wejściem namalowaną trzęsącymi się białymi literami przez kogoś, kto mógł cierpieć w tamtej chwili na głębokie delirium tremens i zaproponował wykonanie szyldu za drinka stabilizującego drżenie ręki. Bar nazywał się Eddys, bez apostrofu. Może gdyby go nazwali Steady Eddys - Niezachwiany Eddys, można by im wybaczyć ten szyld na zasadzie żartu.

Nie miałem wielkich nadziei w związku z firmą Eldritch i Spółka, kiedy zostawiałem samochód na parkingu baru Tulleya. Z doświadczenia wiedziałem, że prawnicy nie są wylewni wobec prywatnych detektywów, a wczorajsza rozmowa ze Starkiem potwierdziła tę opinię. Prawdę mówiąc, jak się nad tym zastanowić, moje spotkania z prawnikami były prawie zawsze tak samo nieudane. Może nie spotykałem ich wystarczająco często. Ale możliwe też, że spotkałem ich zbyt wielu.

Drzwi wejściowe z ulicy w budynku Eldritcha były niezamknięte, a na wyższe piętra prowadziły wąskie wydeptane schody. Żółta ściana po prawej stronie schodów miała rozległą tłustą smugę na poziomie mojego ramienia, gdzie niezliczone

rękawy płaszczy i marynarek ocierały się o nią przez lata. Czuć było stęchły zapach, który wzmagał się, im wchodziłem wyżej. Był to zapach starego, powoli butwiejącego papieru, narastających warstw kurzu, rozpadającej się wykładziny i spraw sądowych ciągnących się od dziesięcioleci. To był świat z Dickensa. Gdyby sprawy *Jarndyce i Jarndyce* potrafiły przekroczyć Atlantyk, z radością odnalazłyby tutaj znajome środowisko w towarzystwie Eldritch i Spółka.

Dotarłem do drzwi z napisem „WC” na półpiętrze. Przede mną, na piętrze były drzwi z matową szybą i nazwą firmy wytrawioną w szkłe. Wspiąłem się dalej, stąpając nieufnie po wykładzinie, gdyż brakowało gwoździ, które powinny przytrzymywać ją na miejscu. Po mojej prawej dalszy odcinek schodów prowadził w ciemność na ostatnim piętrze. Wykładzina tam była mniej zużyta, co nie znaczy, że w dobrym stanie.

Z grzeczności zapukałem w szklane drzwi, zanim wszedłem. Staroświecka galanteria ze Starego Świata podpowiadała, że należy to zrobić. Nikt nie odpowiedział, więc otworzyłem drzwi i wszedłem. Po mojej lewej stronie stał niski drewniany kontuar. Za nim było duże biurko, za którym siedziała duża kobieta z szopą czarnych włosów niebezpiecznie spiętrzonych na głowie, jak brudne lody w rożku. Miała na sobie jasnozieloną bluzkę z falbankami koło szyi i sznur żółkających sztucznych pereł. Jak wszystko wokół niej, wyglądała staro, ale wiek nie przytępił jej upodobania do kosmetyków i farby do włosów, chociaż pozbawił ją niektórych umiejętności wymaganych do tego, by stosować makijaż i farbę tak, by efekt końcowy wyglądał na manifestację miłości własnej, a nie na akt wandalizmu. Paliła papierosa. Jeśli wziąć pod uwagę otaczającą ją ilość papieru, był to gest prawie samobójczej odwagi, jak również podziwu godnego lekceważenia prawa, nawet jak na kogoś, kto pracował dla prawnika.

- Czym mogę służyć? - spytała. Miała głos jak duszone szczeniaki, wysoki i dyszący.

- Chciałbym rozmawiać z panem Eldritchem - powiedziałem.

- Starszym czy młodszym?
- Którymkolwiek.
- Starszy zmarł.
- Z młodszym więc.
- Jest zajęty. Nie przyjmuje nowych klientów. Jesteśmy już bardzo zabiegani.

Próbowałem wyobrazić ją sobie, jak chociażby wstaje od biurka i nie mogłem, a co dopiero mówić o bieganiu. Na ścianie za nią wisiał obraz tak bardzo spłowiały od słońca, że można było zobaczyć na nim tylko wspomnienie po drzewie w jednym rogu. Ściany były żółte, takie same jak na klatce schodowej, ale gromadzony przez dziesięciolecia dym nikotynowy zabarwił je na niepokojący brąz. Sufit może kiedyś był biały, jednak tylko szalencie postawiłby na to. I wszędzie walały się papiery: na wykładzinie, na biurku kobiety, na drugim wolnym biurku obok, na drewnianym kontuarze, na dwóch starych krzesłach z prostymi oparciami, które kiedyś może oferowano klientom, a teraz spełniały pilniejszy obowiązek przechowywania papierów, tak jak i pełnej długości półki, które stały wzdłuż ścian. Do diabła, gdyby mogli znaleźć sposób na składowanie papierów na suficie, to by go też pewnie zapełnili. Żaden z dokumentów nie wyglądał na ruszony od czasu, kiedy gęsie pióro wyszło z mody.

- Chodzi o kogoś, kto może być aktualnie klientem - odpowiedziałem. - Nazywa się Merrick.

Mrużąc oczy, popatrzyła na mnie poprzez smugę dymu.

- Merrick? Nic mi to nie mówi.
- Jeździ autem zarejestrowanym na tę firmę.
- Skąd pan wie, że to jedno z naszych aut?
- No, trudno było powiedzieć z początku, bo nie było dokumentów, ale w końcu dało się sprawdzić.

Zmrużyła oczy jeszcze bardziej. Podałem jej numer rejestracyjny.

- Merrick - powtórzyłem jeszcze raz. Wskazałem na jej telefon. - Może zechce pani zadzwonić do kogoś, kto jeszcze nie umarł.

- Proszę usiąść - powiedziała.

Rozejrzałem się.

- Nie ma na czym.

Prawie się uśmiechnęła, potem zmieniła zdanie, żeby nie rujnować makijażu.

- No to będzie pan musiał stać.

Westchnąłem. Jeszcze jeden dowód, jeżeli w ogóle dowody były potrzebne, że nie wszyscy tędy ludzie są pogodni. Święty Mikołaj ma tu dużo na sumieniu.

Podniosła słuchawkę i nacisnęła parę przycisków na swoim beżowym telefonie.

- Nazwisko?

- Parker. Charlie Parker.

- Jak ten śpiewak?

- Saksofonista.

- Wszystko jedno. Ma pan jakiś dowód?

Pokazałem jej swoje prawo jazdy. Popatrzyła na nie z wyraźnym niesmakiem, jakbym wyciągnął penisa i kazał mu robić sztuczki.

- Zdjęcie jest stare - oświadczyła.

- Dużo rzeczy jest starych - odpowiedziałem. - Nie można być zawsze młodym i pięknym.

Stukała palcami w biurko, czekając aż z drugiej strony ktoś odbierze telefon. Jej paznokcie były polakierowane na różowo. Ten kolor doprowadzał mnie do bólu zębów.

- Jest pan pewien, że on nie śpiewał?

- Całkiem pewny.

- Hm. To który śpiewał? Wypadł przez okno.

- Chet Baker.

- Aha.

Dalej bębniła palcami.

- Pani lubi Cheta Bakera? - zapytałem.

Budowaliśmy kontakt.

- Nie.

Albo może nie budowaliśmy. Na szczęście gdzieś nad nami odebrano telefon.

- Panie Eldritch, jest tutaj - zrobiła dramatyczną pauzę - pewien pan, który pyta o niejakiego Merricka.

Słuchała odpowiedzi, kiwając potakująco głową. Kiedy odłożyła słuchawkę, wyglądała na jeszcze bardziej nieszczęśliwą niż przedtem. Myśle, że miała nadzieję dostać polecenie, żeby poszczuć mnie psami.

- Może pan iść na górę. Drugie drzwi na końcu schodów.
- Miło mi się z panią gawędziło - powiedziałem.
- Tak - odrzekła. - Niech pan szybko wraca.

Zostawiłem ją, niby jakąś Joannę d'Arc z nadwagą, czekającą, kiedy zapłonie stos, i poszedłem na ostatnie piętro. Drugie drzwi były już otwarte i niewysoki, stary człowiek, około siedemdziesiątki albo więcej stał, czekając na mnie. Miał jeszcze większość swoich włosów albo większość czyichś włosów. Ubrany był w popielate prążkowane spodnie i czarną marynarkę na białą koszulę i popielatą kamizelkę też w prążki. Krawat był z czarnego jedwabiu. Wyglądał smętnie, jak przedsiębiorca pogrzebowy, który właśnie zapodział zwłoki. Osiadła na nim delikatna warstwa kurzu składająca się z lupieżu i cząsteczek papieru, głównie papieru. Był tak pomarszczony i wyblakły, jakby sam został zrobiony z papieru i powoli kruszył się razem z nagromadzonymi pozostałościami życia strawionego w służbie prawa.

Wyciągnął rękę na powitanie i wyczarował uśmiech. W porównaniu z jego sekretarką, to było jak przywitanie z ofiarowaniem kluczy do miasta.

- Jestem Thomas Eldritch - powiedział. - Proszę wejść.

Jego biuro było małe. I tu też wały się papiery, ale mniej. Niektóre z nich wyglądały, jakby je niedawno przekładano, a segregatory były ułożone alfabetycznie na półkach, każdy ze starannie zaznaczonym kompletem dat. Sięgały bardzo dawnych czasów. Eldritch zamknął za mną drzwi i czekał, aż usiądę, zanim zajął miejsce za biurkiem.

- No, więc - powiedział, składając palce dłoni w wieżyczkę przed sobą. - O co chodzi z tym panem Merrickiem?
- Pan go zna?
- Wiem, o kim pan mówi. Wynajęliśmy mu samochód na prośbę jednego z naszych klientów.
- Czy mogę poprosić o nazwisko tego klienta?

- Obawiam się, że to niemożliwe. Czy pan Merrick ma jakieś kłopoty?
 - Będzie miał. Zostałem wynajęty przez kobietę, którą on się interesuje. Chodzi za nią. Rozbił okno w jej domu.
Eldritch cmoknął niezadowolony.
 - Czy zawiadomiła policję?
 - Zawiadomiła.
 - Nie kontaktowali się z nami. Przecież skarga tego rodzaju, już by została nam przekazana.
 - Policji nie udało się jeszcze z nim porozmawiać. Mnie się udało. Spisałem numer rejestracyjny z jego samochodu i w ten sposób dotarłem do pana kancelarii.
 - Wykazał się pan inicjatywą. A teraz, zamiast poinformować policję, jest pan tutaj. Czy mogę zapytać, dlaczego?
 - Zainteresowana dama nie jest przekonana, że policja może jej pomóc.
 - A pan może.
- To brzmiało jak stwierdzenie, a nie jak pytanie i miałem niejasne przeczucie, że Eldritch wiedział, kim jestem, zanim tu się zjawiłem. Potraktowałem to jednak jako pytanie.
- Staram się. Może będziemy musieli włączyć w to policję, jeżeli obecna sytuacja nie ulegnie zmianie, co jak sobie wyobrażam, może stać się krępujące albo jeszcze gorzej dla pana i dla pana klienta.
 - Ani ja, ani mój klient nie odpowiadamy za zachowanie pana Merricka, nawet jeżeli to, co pan mówi, jest prawdą.
 - Policja może nie zgodzić się z takim poglądem, jeżeli pan działa jako jego osobisty dostawca usługi w zakresie wynajmu samochodu.
 - I policja otrzyma taką samą odpowiedź, jak ta, którą właśnie panu dałem. Dostarczyliśmy samochód dla niego na życzenie klienta i nic więcej.
 - Więc nie może mi pan powiedzieć zupełnie nic o Merricku?
 - Tak, wiem o nim bardzo niewiele.
 - A może pan zna chociaż jego imię?
- Eldritch zastanowił się. Miał sprytne i bystre spojrzenie. Zorientowałem się, że go to bawi.

- Chyba ma na imię Frank.
- Czy myśli pan, że „Frank” mógł spędzić jakiś czas w więzieniu?
 - Tego nie mógłbym w żaden sposób powiedzieć.
 - Nie za dużo tego, co pan w ogóle może powiedzieć.
 - Jestem prawnikiem, więc moi klienci mogą oczekiwać, że obowiązuje mnie dyskrekcja. W przeciwnym wypadku nie utrzymałbym się w zawodzie tak długo, jak w nim jestem. Jeżeli to, co pan mówi, jest prawdą, to należy przyjąć postępowanie Merricka z ubolewaniem. Być może, gdyby pana klientka usiadła i przedyskutowała z nim sprawę, wtedy sytuacja ta mogłaby być wyjaśniona ku zadowoleniu wszystkich zainteresowanych, bo jak rozumiem, pan Merrick uważa, że ona może mu w czymś pomóc.
 - Innymi słowy, jeżeli ona mu powie, co wie, to on ją zostawi w spokoju?
 - Takie przypuszczenie wydaje się logiczne. A czy ona wie o czymś?
- Zostawiłem to pytanie bez odpowiedzi. Rzucił mi przynętę, a wszędzie, gdzie jest przynęta, można na pewno spodziewać się haczyka ukrytego gdzieś w środku.
 - Zdaje się, że on tak uważa.
 - Wobec tego to by było naturalne rozwiązanie. Jestem pewny, że pan Merrick jest rozsądnym człowiekiem.
- Eldritch w czasie całej naszej rozmowy pozostał niewiarygodnie nieruchomy. Poruszały się tylko jego usta. Nawet okiem nie mrugnął. Ale kiedy wymawiał słowo „rozsądny”, leciutko się uśmiechnął, przydając słowu znaczenia, które było całkowicie odwrotne do tego właściwego.
 - Czy pan poznał pana Merricka, panie Eldritch?
 - Tak, miałem tę przyjemność.
 - Wydaje się pełen gniewu.
 - Być może ma uzasadniony powód.
 - Widzę, że pan nie pyta o nazwisko kobiety, która mnie wynajęła, co sugeruje, że pan je już zna. To z kolei może świadczyć o tym, że Merrick kontaktował się z panem.

- Owszem, rozmawiałem z panem Merrickiem.
- Czy on też jest pana klientem?
- Był, w pewnym sensie. Działaliśmy w jego imieniu w pewnej sprawie. Teraz już nie jest naszym klientem.
- Teraz mu pan pomaga, bo jakiś inny pana klient pana o to poprosił?
- Tak właśnie jest.
- Dlaczego pana klient interesuje się Danielem Clayem, panie Eldritch?
- Mój klient nie interesuje się jakimś Danielem Clayem.
- Nie wierzę panu.
- Nie będę mówić panu nieprawdy, panie Parker. Jeżeli nie będę mógł odpowiedzieć na jakieś pytanie, powiem to panu, ale nie będę kłamać. Powtórzę: z tego, co wiem, mój klient nie interesuje się żadnym Danielem Clayem. Sposób, w jaki pan Merrick prowadzi swoje śledztwo, jest wyłącznie jego sprawą.
- A co z jego córką? Czy pana klient interesuje się nią?
- Eldritch wyglądał, jakby rozważał, czy to potwierdzić, a potem się rozmyślił, ale jego milczenie wystarczyło.
- Zupełnie nie wiem. To jest sprawa, którą musiałby pan omówić z panem Merrickiem.
- Nos mnie swędział. Czulem, jak cząsteczki papieru i kurzu osadzają się w nim, jak gdyby kancelaria Eldritch'a powoli mnie pochłaniała, zamieniała mnie w część siebie tak, że za parę lat jakiś obcy człowiek, wchodząc tu, mógłby zastać nas, Eldritch'a i mnie, ciągle tak przerzucających się pytaniami i odpowiedziami, tam i z powrotem bez celu, pokrytych cienką warstwą białej materii, pod którą my sami zamienilibyśmy się w proch.
- Chciałby pan wiedzieć, co ja myślę, panie Eldritch?
- No, cóż by to mogło być, panie Parker?
- Myślę, że Merrick jest niebezpiecznym człowiekiem i że ktoś go napuścił na moją klientkę. Pan wie, kto to jest, więc może przekaże mu pan wiadomość ode mnie. Proszę mu powiedzieć; lub jej, że jestem bardzo dobry w tym, co robię i że jeżeli coś stanie się kobiecie, którą mam ochraniać, to wtedy

wrócę tutaj i ktoś będzie musiał wziąć odpowiedzialność za to, co się stało. Czy wyrażam się jasno?

Wyraz twarzy Eldritcha pozostał bez zmiany. Ciągłe uśmiechał się łagodnie, jak mały pomarszczony Budda.

- Całkiem jasno, panie Parker - powiedział. - Cóż, to tylko moja obserwacja, nic więcej, ale wydaje mi się, że przyjął pan wrogą postawę wobec pana Merricka. Może gdyby przestał pan być tak negatywnie nastawiony, mógłby pan zobaczyć, że ma pan z nim więcej wspólnego, aniżeli pan przypuszcza. Może być tak, że pana i jego łączą pewne wspólne cele.

- Nie mam innego celu, niż dopilnować, by żadna krzywda nie stała się kobiecie, która jest pod moją opieką.

- Och, nie wydaje mi się, żeby to była prawda, panie Parker. Myśli pan o szczegółach, a nie o całości. Pana Merricka, tak jak pana, może interesować pewien rodzaj sprawiedliwości.

- Dla niego czy dla kogoś innego?

- Czy próbował pan go o to zapytać?

- Nie za bardzo się to udało.

- Może gdyby pan spróbował bez broni za pasem?

Tak więc Merrick rozmawiał z nim nie tak dawno. W przeciwnym wypadku, skąd Eldritch mógłby wiedzieć o moim spotkaniu z nim i o broni?

- Wie pan, chyba wolę nie spotykać Merricka, nie mając broni pod ręką.

- To, naturalnie, jest pana decyzja. I jeżeli to już wszystko... - Wstał, podszedł do drzwi i otworzył je. Najwyraźniej nasze spotkanie dobiegło końca. Ponownie podał mi rękę.

- Było mi miło - powiedział poważnie. Dziwne, ale zabrzmiało to szczerze. - Jestem zachwycony, że wreszcie mieliśmy okazję się spotkać. Tyle o panu słyszałem.

- Również od swojego klienta? - zapytałem, i na moment jego uśmiech prawie opadł, kruchy jak kryształowy kieliszek chwiejący się na brzegu stołu. Udało mu się go uratować, ale to mi wystarczyło. Był gotowy odpowiedzieć, ale go wyręczyłem.

- Proszę mi pozwolić zgadnąć - ciągnąłem. - Pan tego nie może w żadnym wypadku powiedzieć.

- Właśnie - przyznał. - Ale jeżeli to pana pocieszy, to spodziewam się, że wkrótce znów go pan spotka.

- Znów?

Ale drzwi już się zamknęły, odcinając mnie od Thomasa Eldritch'a i jego wiedzy tak zdecydowanie, jakby zatrasnęły się przed nim drzwi do grobowca, zostawiając mu do towarzystwa tylko jego papiery, kurz i tajemnice.

9

Wizyta u Thomasa Eldritch'a nie poprawiła znacząco mojego samopoczucia, chociaż przynajmniej dowiedziałem się, jak Merrick ma na imię. Eldritch nie zaprzeczył też mojemu przypuszczeniu, że Merrick mógł być w więzieniu, co świadczyło, że gdzieś w kartotekach prawdopodobnie kryje się jakaś śmierzcząca sprawa, która tylko czeka, by ją ruszyć. Jednak twierdzenie Eldritch'a, że znam jego klienta, zaniepokoiło mnie. Miałem wystarczającą liczbę duchów w swojej przeszłości, by wiedzieć, że nie cieszyłoby mnie przywoływanie żadnego z nich.

Zatrzymałem się na kawę i kanapkę w restauracji Bel Air Diner przy drodze nr 1. (Oddam drodze nr 1 sprawiedliwość: przynajmniej nie brakuje na niej miejsc, gdzie człowiek może coś zjeść.) Restauracja Bel Air Diner przetrwała w swoim obecnym miejscu przez ponad pół wieku, a duży, stary szyld „Diner”, z nazwą wypisaną odręcznie oryginalną kursywą z lat pięćdziesiątych, reklamował ją ze szczytu słupa wysokiego na dwanaście metrów. Ostatnio, jak słyszałem, facet nazwiskiem Harry Kallas kierował restauracją Bel Air, którą przejął od swego ojca. W środku były winylowe boksy w kolorze burgunda, do kompletu pasujące stołki przy ladzie i podłoga wyłożona szaro-białymi kafelkami, mogąca się pochwalić zużyciem, na które pracują pokolenia klientów. Były pogłoski, że restauracja ma zostać zamknięta z powodu remontu, który, jak przypuszczałem, był konieczny, ale i w pewnym sensie przygnębiający. Odbiornik telewizyjny wbudowano w ścianę na jednym końcu sali, ale nikt telewizji nie oglądał. Z kuchni

dobiegały hałasy, kelnerki, robotnicy budowlani i miejscowi zamawiający dania firmowe byli hałaśliwi.

Kończyłem drugą filiżankę kawy, kiedy zadzwonił telefon. Był to Merrick. Od razu poznałem go po głosie, ale w mojej komórce nie wyświetlił się żaden numer.

- Cwany skurwysyn z ciebie - powiedział.

- Czy to ma być komplement? Jeżeli tak, to musisz popracować nad stylem. Przez ten długi czas w pudle zaśnie-działeś.

- Próbujesz w ciemno. Prawnik nic ci nie powiedział?

Nie zdziwiło mnie, że Eldritch zatelefonował do paru osób. Byłem tylko ciekawy, kto pierwszy skontaktował się z Merrickiem: adwokat czyjego klient?

- Chcesz mi powiedzieć, że jeżeli poszukam w kartotekach, to nie znajdę niczego?

- Szukaj sobie. Ale ja nie mam zamiaru ci tego ułatwiać.

Zaczekałem chwilę, zanim zadałem następne pytanie. To było tylko przeczcucie i nic więcej.

- Jak ma na imię dziewczynka z fotografii, Frank?

Nie było odpowiedzi.

- To z jej powodu tu jesteś, prawda? Czy ona była jednym z dzieci skierowanych do Daniela Claya? Czy ona jest twoją córką? Powiedz mi, jak ma na imię, Frank. Podaj mi jej imię i może będę ci mógł pomóc.

Kiedy Merrick odezwał się ponownie, miał zmieniony głos. Brzmiała w nim cicha, ale zarazem śmiertelna groźba i wiedziałem już na pewno, że jest to człowiek nie tylko zdolny zabić, ale taki, który już zabijał i że została przekroczona pewna granica, kiedy wspomniałem o dziewczynce.

- Posłuchaj mnie - odezwał się. - Już raz ci powiedziałem, że to jest moja osobista sprawa. Dałem ci czas, żebyś namówił małą damulkę na szczerą, a nie żebyś węszył w sprawach, które ciebie nie dotyczą. Lepiej wracaj tam, skąd przyszedłeś, i przekonaj ją.

- Albo co? Jestem pewien, że ten, kto ci dał znać o mojej wizycie u Eldritch, kazał ci się trochę uspokoić. Jak będziesz dalej nękał Rebecę Clay, to twoi przyjaciele przestaną cię

chronić. Wylądujesz z powrotem w pudle, Frank, i wtedy już nie będziesz nikomu potrzebny.

- Tracisz czas - powiedział. - Zdaje ci się, że żartuję z tym nieprzekraczalnym terminem.

- Jestem coraz bliżej - skłamałem. - Jutro coś będę miał dla ciebie.

- Dwadzieścia cztery godziny - warknął. - Tylko tyle czasu ci zostało, a i tak jestem hojny dla ciebie. Pozwól, że ci powiem jeszcze jedną rzecz: ty i ta twoja paniusia lepiej zaczniście się martwić, co będzie, jak mnie spuszczą ze smyczy. W tej chwili to jedyna rzecz, która mnie powstrzymuje, pomijając mój ogólnie dobry charakter.

Wyłączył się. Zapłaciłem rachunek i zostawiłem resztę kawy, pozwalając jej wystygnąć. Jakby nagle okazało się, że nie ma tyle czasu, by go tracić na siedzenie przy kawie.

Tym razem pojechałem złożyć wizytę Jerry'emu Legere'owi, byłemu mężowi Rebecki Clay. Skontaktowałem się z firmą A-Secure instalującą alarmy, gdzie powiedziano mi, że Legere był na zleceniu w Westbrook z Raymonem Langiem i tylko chwilę zajęło mi, by przymilnymi komplementami wyciągnąć od recepcjonistki dokładny adres.

Firmową furgonetkę wypatrzyłem zaparkowaną na zrujnowanym przemysłowym terenie, pełnym błota i najwidoczniej opustoszałych budynków, między którymi wila się pozbiona koleinami droga. Nie było jasne, czy ten plac jest w trakcie zabudowy czy ostatecznej rozbiórki. Prace budowlane wstrzymano jakiś czas temu przy paru niedokończonych budynkach i pozostawiono stalowe wsporniki, które wystawały z betonu jak kości z kikutów okaleczonych rąk i nóg. Kałuże brudnej wody śmierdziały benzyną i odpadami, a mała żółta betoniarzka leżała na boku w kępie chwastów, powoli zjadana przez rdzę.

Tylko jeden magazyn był otwarty i tam, w środku, znalazłem dwóch mężczyzn na parterze pustego, dwupiętrowego budynku, klęczących nad planem technicznym instalacji rozłożonym na podłodze. Ten magazyn przynajmniej był wykończony i w jego oknach wstawiono nowe siatki ochraniające

szyby przed kamieniami, które mogły polecieć w ich stronę. Zapukałem w stalowe drzwi, a obydwaj mężczyźni podnieśli głowy i popatrzyli w górę.

- Czym możemy służyć? - spytał jeden.

Był z pięć lat starszy ode mnie, duży i silny, ale mocno łysiejący na czubku głowy, chociaż kazał strzyć włosy na tyle krótko, by ukryć najgorsze. Wiem, że to małostkowe i dziecinne, ale zawsze czuję falę ciepła w środku, kiedy spotykam kogoś mniej więcej w swoim wieku, kto ma mniej włosów niż ja. Można być królem świata i mieć na własność tuzin firm, ale każdego ranka, kiedy patrzysz w lustro, od razu myślisz: cholera, szkoda, że nie mam już włosów.

- Szukam Jerry'ego Legere'a - powiedziałem.

Odpowiedział mi ten drugi mężczyzna. Miał srebrnisiwe włosy i rumiane policzki. Rebecca jest sześć albo siedem lat młodsza ode mnie, jak się domyślam, a ten człowiek był z kolei dobrych dziesięć albo piętnaście lat starszy. Miał małą nadwagę i obwisłe policzki. Jego głowa była duża, kwadratowa i robiła wrażenie trochę zbyt ciężkiej w stosunku do ciała, a usta skore do okazywania grymasu niezadowolenia wobec czegoś: kobiet, dzieci, nowoczesnej muzyki, pogody. Miał na sobie flanelową koszulę w kratę wetkniętą w stare džinsy i zabłocone buty robocze ze sznurówkami nie do pary. Rebecca jest atrakcyjną kobietą. To prawda, że nie zawsze możemy wybierać tych, w których się zakochujemy i wiem, że wygląd to nie wszystko, ale związek, choćby krótkotrwały, domów Clay i Legere sugerował, że czasami wygląd może faktycznie być prawdziwą wadą.

- Nazywam się Charlie Parker - przedstawiłem się. - Jestem prywatnym detektywem. Chciałbym porozmawiać z panem, jeżeli znajdzie pan parę minut.

- To ona pana wynajęła?

Sądząc z tonu jego głosu, „ona” nie była osobą, wobec której żywił pozytywne uczucia.

- Pracuję dla pana byłej żony, jeżeli o to panu chodzi - odpowiedziałem.

Jego twarz rozchmurzyła się, ale tylko trochę. Przynajmniej lekko złagodniał ten jego grymas niezadowolenia. Legere

miał kłopoty z kimś innym, nie z Rebeccą. Jednak ten efekt nie trwał długo. Jeżeli można było coś powiedzieć o Jerry'ym Legerze, to tyle, że nie jest człowiekiem, który potrafi ukryć myśli i pokazuje twarz pokerzysty. Wyraz jego twarzy ujawnił kolejno obawę, ulgę, a potem zmartwienie graniczące z paniką. Każda zmiana była wyraźnie czytelna w jego rysach. Był jak postać z komiksu, a jego twarz brała udział w nieustannej grze, by dotrzymać kroku emocjom.

- Po co mojej byłej żonie detektyw? - zapytał.

- O tym właśnie chciałbym z panem porozmawiać. Czy moglibyśmy wyjść na zewnątrz?

Legere popatrzył na młodszego mężczyznę, który kiwnął głową i wrócił do sprawdzania planu instalacji. Niebo było czysto niebieskie, słońce świeciło na nas, dając światło i żadnego ciepła.

- Więc? - spytał.

- Pana żona wynajęła mnie, bo nęka ją jakiś mężczyzna.

Spodziewałem się, że twarz Legere'a wyczaruje wyraz zdziwienia, ale się zawiodłem. Zamiast tego wybrał chytre, pożądliwe spojrzenie czarnego charakteru prosto z wiktoriańskiego melodramatu.

- Jeden z jej chłopaczków? - zapytał.

- Czy ona miewa chłopaczków?

Legere wzruszył ramionami.

- Jest dziwką. Nie wiem, jak ich dziwki nazywają.

- Dlaczego nazywają pan dziwką?

- No, bo tym właśnie jest. Zdradzała mnie, kiedy byliśmy małżeństwem, a potem wszystkiego się wypierała. Ona stale kłamie. Ten facet, o którym pan mówi, to pewnie jakiś głupek, który miał obiecaną dobrą zabawę i potem się wściekł, jak jej nie dostał. Głupio zrobiłem, żeniąc się z taką zepsutą kobietą, ale było mi jej żal. Nie powtórzę tego błędu. Pieprzę je teraz, ale się nie ożenię.

Znowu przybrał pożądliwy wyraz twarzy. Czekałem, że da mi kuksańca w bok, albo westchnie „Cóż, my światowi mężczyźni” i mrugnie, jak w tym skeczu Monty'ego Pythona. Twoja żona, co? Kłamczucha i dziwka. Wszystkie takie są. Tak powiedziane, nie było wcale śmieszne. Przypomniałem sobie

wcześniejsze pytanie Legere'a: „To ona pana wynajęła?” - i ulgę na jego twarzy, kiedy mu powiedziałem, że pracuję dla jego żony. Coś ty zrobił, Jerry? Kogo jeszcze tak zirytowałeś, że może potrzebować usług prywatnego detektywa?

- Nie sądzę, że ten człowiek jest odrzuconym konkurentem - powiedziałem.

Legere wyglądał, jakby już miał zapytać, co to jest konkurent, ale postarał się i sam zrozumiał.

- Pytał o ojca Rebecki - mówiłem dalej. - Uważa, że Daniel Clay może jeszcze ciągle żyć.

Coś błysnęło w oczach Legere'a. Tak jakbym widział dzina próbującego wydostać się na moment z butelki i zobaczył, że tylko mocniej wbito korek na miejsce.

- To bzdury - powiedział Legere. - Jej ojciec nie żyje. Wszyscy o tym wiedzą.

- Wszyscy?

Legere odwrócił wzrok.

- Wie pan, co chcę powiedzieć.

- Jest zaginiony, a nie martwy.

- Ona załatwiła uznanie go za zmarłego. Jednak za późno, jak dla mnie. Ma pieniądze w banku, ale ja ich już nie zobaczę. A przydałoby mi się trochę nawet teraz, w tej chwili.

- Ciężkie czasy?

- Czasy są zawsze ciężkie dla pracującego człowieka.

- Powinien pan napisać muzykę do tych słów.

- Chyba już to zrobiono. To nic nowego.

Odwrócił się na pięcie i popatrzył w stronę magazynu, najwyraźniej chcąc pilnie skończyć rozmowę ze mną i wrócić do pracy. Nie miałem mu tego za złe.

- Dlaczego jest pan taki pewny, że Daniel Clay nie żyje? - spytałem.

- Nie podoba mi się pański ton - odpowiedział. Jego pięści zacisnęły się bezwiednie. Zdał sobie sprawę z tego odruchu i pozwolił pięściom się rozluźnić, a potem wytarł dłonie w boczne szwy dżinsów.

- Mój ton jest normalny. Chciałem tylko powiedzieć, że pan jest bardzo pewny, że on nie wróci.

- Przecież go już bardzo długo nie ma, prawda? Nikt go nie widział od sześciu lat i z tego, co słyszałem, wyszedł tak jak stał, w tym co miał na sobie i nic więcej. Nawet nie zapakował podręcznej torby.

- Była żona powiedziała to panu?

- Jeżeli nie ona, to czytałem o tym w gazetach. To żadna tajemnica.

- Czy spotykał się pan z nią, kiedy zaginął jej ojciec?

- Nie, poznaliśmy się później, ale to nie trwało dłużej niż pół roku. Dowiedziałem się, że spotyka się z innymi mężczyznami za moimi plecami, i zostawiłem sukę.

Nie wyglądał na zażenowanego, gdy o tym mówił. Zazwyczaj, kiedy mężczyźni opowiadają o niewierności swych żon czy przyjaciółek, robią to z większym wstydem niż Legere, wspomnienia dotyczące takich związków naznaczone są nieprzemijającym piętnem zdrady. Zazwyczaj uważają też na to, komu powierzają swoje sekrety, bo najbardziej obawiają się tego, że ktoś ich obarczy odpowiedzialnością, uzna, że to ich niedostatki pchnęły ich żony do tego, by szukać przyjemności gdzie indziej, że po prostu nie potrafili ich zadowolić. Mężczyźni mają tendencję, by rozpatrywać kwestię zdrady przez pryzmat seksu. Znałem kobiety, które zbłądziły z pożądania, ale znałem więcej takich, które zdradzały, bo dostawały uczucie i czułość, których nie miały w domu. Mężczyźni szukają głównie seksu. Kobiety prowadzą handel wymienny.

- Ja też pewnie nie byłem niewinny - powiedział - ale tacy są mężczyźni. Miała wszystko, czego potrzebowała. Nie miała powodu, by zrobić to, co zrobiła. Wyrzuciła mnie z domu, kiedy sprzeciwiłem się jej zachowaniu. Jak powiedziałem: to dziwka. Takie dochodzą do pewnego wieku i tyle. Stają się dziwkami. Ale zamiast się przyznać, ona skierowała atak na mnie. Powiedziała, że to ja byłem tym, kto źle zrobił, nie ona. Suka.

Nie byłem pewny, czy to moja sprawa, ale trudności małżeńskie w wersji przedstawionej przez Rebecę Clay różniły

się bardzo od tego, co mówił jej były mąż. Legere twierdził, że był poszkodowaną stroną, ale historia Rebecki wydawała się bardziej prawdopodobna, może po prostu dlatego, że Legere przyprawiał mnie o dreszcz obrzydzenia. Ale nie widziałem powodu, dla którego miałby kłamać. Ta historia nie świadczyła dobrze o nim i jego gorycz była oczywista. Była gdzieś szczypta prawdy w tym, co mówił, bez względu na to, jak zniekształcona w trakcie opowiadania.

- Czy słyszał pan kiedyś o człowieku nazwiskiem Frank Merrick, panie Legere? - zapytałem.

- Nie, nie mogę powiedzieć, że słyszałem - odrzekł. - Merrick? Nie, nic mi to nie mówi. Czy to ten facet, który ją niepokoi?

- Tak jest.

Legere znowu odwrócił wzrok. Nie widziałem jego twarzy, ale jego postawa zmieniła się, jak gdyby spał się wewnątrz, by uniknąć ciosu.

- Nie - powtórzył. - Nie wiem, o kim pan mówi.

- Dziwne - powiedziałem.

- Co takiego?

- Zdaje się, że on pana zna.

Teraz skupił całą swoją uwagę na mnie. Nawet nie zadał sobie trudu, żeby ukryć swój niepokój.

- Jak to?

- To on mi powiedział, żeby z panem porozmawiać. Twierdzi, że pan może wiedzieć, dlaczego on szuka Daniela Claya.

- To nieprawda. Powiedziałem już, Clay nie żyje. Ludzie tacy jak on nie znikają z powierzchni ziemi tylko po to, by potem pojawić się gdzieś indziej pod zmienionym nazwiskiem. On nie żyje. A gdyby żył, nie ma mowy, żeby się skontaktował ze mną. Nawet go nie znałem.

- Merrick jest zdania, że pańska żona mogła panu powiedzieć o sprawach, o których nie powiedziała władzom.

- Myli się - odparł szybko. - Ona mi nic nie powiedziała. Nawet nie mówiła o nim wiele.

- Nie sądzi pan, że to dziwne?

- Nie. Co miała mówić? Chciała o nim zapomnieć. Nic dobrego by nie wynikło z mówienia o nim.

- Czy mogła kontaktować się z nim bez pana wiedzy, zakładając, że on jeszcze żył?

- Wie pan - powiedział Legere. - Nie myślę, żeby była aż taka cwana. Jak pan znowu spotka tego człowieka, niech mu pan powie to wszystko.

- Z tego jak mówił o panu, wygląda na to, że będzie pan sam miał szansę mu to powiedzieć.

Taka perspektywa nie ucieszyła go zbyt. Splunął na ziemię, potem wdeptał ślinę butem w piach, żeby tylko znaleźć sobie jakieś zajęcie.

- Jeszcze jedno, panie Legere: co to był Projekt?

Jeżeli dźwięk słowa mógłby zmrozić człowieka, to Jerry Legere właśnie zastygł.

- Gdzie pan to słyszał?

Wypowiedział te słowa zupełnie bezwiednie i natychmiast zauważyłem, że tego pożałował i chciał je odwołać. Już nie czuło się gniewu. Znikł kompletnie, przytłoczony czymś, co mogło być zdumieniem. Potrząsał głową, jak gdyby nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał.

- Nieważne. Chciałbym tylko się dowiedzieć, co to jest, czy może co to było?

- Usłyszał pan to od tego faceta, Merricka, prawda? - Powoli wracał jego wojowniczy nastrój. - Pojawia się pan tutaj, rzuca oskarżenia, mówi o ludziach, których nigdy nie widziałem, słucha pan kłamstw od obcych, od tej suki, z którą się ożeniłem. Ma pan tupet.

Prawą ręką pchnął mnie mocno w pierś. Zrobiłem krok w tył, a on ruszył do przodu. Widziałem, że przygotowuje nowy cios, mocniejszy i wyżej niż pierwszy. Podniosłem obie ręce w pojednawczym geście i ustawiłem stopy, prawą trochę bardziej do przodu przed lewą.

- Ja ci pokażę...

Wystartowałem z lewej stopy i uderzyłem go w brzuch wyrywającym drzwi kopniakiem, dopełniając reszty całym ciężarem ciała. Siła uderzenia pozbawiła go oddechu i rzuciła na plecy, rozciągniętego w piachu. Leżał tam, łapiąc powietrze i przyciskając ręce do brzucha. Twarz wykrzywił mu ból.

- Ty skurwielu - jęknął. - Zabiję cię za to.

Stałem nad nim.

- Projekt, panie Legere. Co to było?

- Odwal się. Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

Siłą przepchnął słowa przez zaciśnięte zęby. Wyjąłem jedną ze swoich wizytówek z portfela i upuściłem na niego. Drugi mężczyzna pojawił się przy wejściu do magazynu. W rękę miał łom. Podniosłem ostrzegawczo palec i facet się zatrzymał.

- Jeszcze porozmawiamy. Może pan się zastanowić nad Merrickiem i tym, co on powiedział. W końcu i tak trzeba będzie znowu to przedyskutować z jednym z nas, czy się to panu podoba, czy nie.

Zacząłem wracać w stronę auta. Słyszałem, jak on się podnosi. Zawołał za mną. Odwróciłem się. Lang stał w wejściu do magazynu i pytał Legere'a, czy mu się nic nie stało, ale Legere go zignorował. Wyraz jego twarzy znowu się zmienił. Była ciągle czerwona, miał trudności z oddychaniem, ale pojawił się na niej wyraz podłej przebiegłości.

- Myślisz, że taki jesteś mądry? - powiedział. - Myślisz, że taki jesteś twardy? Może powinieneś popytać, dowiedzieć się, co się stało z poprzednim facetem, który zaczął zadawać pytania o Daniela Claya. Też był prywatnym fiutem, tak jak ty.

Bardzo zaakcentował słowo „fiut”.

- I wiesz, gdzie on jest? - kontynuował Legere. - Jest w tym samym pieprzonym miejscu, gdzie Daniel Clay ot, co. Gdzieś jest jakiś dół w tej jebanej ziemi, a w środku jest Daniel Clay, a zaraz obok jest drugi dół z pierdolonym szpiegiem, który szczerze w piekle. Więc rób swoje dalej, nadal pytaj o Daniela Claya i projekty. Zawsze się znajdzie miejsce dla jeszcze jednego. To nie wymaga wielkiego wysiłku wykopać dół i jeszcze mniej potrzeba, żeby go zakopać, kiedy ciało jest już w środku.

Podszedłem do niego. Z przyjemnością zobaczyłem, że zrobił krok w tył.

- A pan znowu swoje - powiedziałem. - Bardzo pan pewny, że Daniel Clay nie żyje.

- Nie mam nic więcej do powiedzenia.

- Kto to był ten detektyw? - zapytałem. - Kto go wynajął?
- Pierdol się. Ty - powiedział, ale potem zmienił decyzję. Szeroki, gorzki uśmiech zmiął mu twarz. - Chcesz wiedzieć, kto go wynajął? Ta suka go wynajęła, tak jak i ciebie. Z nim też się pieprzyła. Wiedziałem to. Czulem od niej jego zapach. Założę się, że tobie też tak płaci, ale nie myśl, że jesteś pierwszy.

I on też zadawał te same pytania co ty, o Claya i projekty, i o to, co ona powiedziała, czy nie powiedziała do mnie, i ty pójdziesz w jego ślady. Bo to się przydarza ludziom, którzy się naprzykrzają i dopytują o Daniela Claya.

Strzelił palcami.

- Oni znikają. - Strzepnął kurz z džinsów. Część jego pozornej odwagi zaczęła znikać, kiedy adrenalina opadła i przez moment wyglądał jak człowiek, który zajrzał w swoją przyszłość, a to, co zobaczył, go przestraszyło. - Oni znikają...

10

Po powrocie do domu pogadałem z Jackiem Garnerem. Powiedział mi, że był zupełny spokój. Wydawał się lekko zadowolony. Rebecca Clay powiedziała to samo, kiedy do niej zadzwoniłem. Nie było śladu Merricka. Wyglądało na to, że dotrzymuje słowa i trzyma się z daleka, pomijając telefon do mnie.

Rebecca pracowała w biurze, więc pojechałem tam z nią porozmawiać. Obecność Jacka na zewnątrz skwitowałem lekkim ruchem dłoni po przybyciu. Zamówiliśmy kawę w małym centrum handlowym koło biura nieruchomości i usiedliśmy przy jedynym stoliku na zewnątrz, by ją wypić. Przejeżdżający kierowcy patrzyli na nas ze zdziwieniem. Było zbyt zimno, żeby jeść na powietrzu, ale chciałem porozmawiać z nią, kiedy jeszcze rozmowa z jej byłym mężem była ciągle świeża w mojej pamięci. Nadszedł moment, by oczyścić atmosferę.

- On to wszystko powiedział? - Rebecca Clay wyglądała na autentycznie zaszokowaną, kiedy jej opowiedziałem, co zaszło między Jerrym a mną. - To same kłamstwa! Ja nigdy go nie zdradziłam, nigdy. To nie dlatego się rozeszliśmy.

- Ja nie twierdzę, że mówił prawdę, ale w jego słowach była prawdziwa gorycz.

- Chciał pieniędzy. Nie dostał ich.

- Czy pani myśli, że dlatego się z panią ożenił? Dla pieniędzy?

- Na pewno nie z miłości.

- A u pani? Co panią do tego skłoniło?

Poruszyła się na krześle, jej skrzypowanie tematem rozmowy objawiło się fizycznie. Wyglądała na bardziej zmęczoną i

spiętą niż wtedy, kiedy ją widziałem po raz pierwszy. Nie wyobrażałem sobie, że mogłaby znosić napięcie związane z tym, co się działo, jeszcze dłużej bez jakiegoś załamania.

- Część już panu opowiedziałam - kontynuowała. - Po tym, jak zniknął mój ojciec, czułam się po prostu bardzo samotna. Byłam jak parias z powodu pogłosek krążących o nim. Poznałam Jerry'ego przez Raymona, który instalował system alarmowy w domu mojego ojca. Firma wraca raz w roku, by sprawdzić, czy wszystko sprawnie działa i właśnie Jerry przyszedł przeprowadzić kontrolę parę miesięcy po tym, jak ojciec odszedł. Chyba czułam się samotna, no i tak to się potoczyło. Na początku był okay. To znaczy, nigdy właściwie nie był czarujący, ale dobrze traktował Jennę, no i nie był próżniakiem. Był też zadziwiający, na swój sposób. Dużo czytał, znał się na muzyce i starych filmach. Nauczył mnie wielu rzeczy. - Zaśmiała się niewesoło. - Patrząc wstecz, chyba zastąpiłam autorytet ojca drugim autorytetem.

- A potem?

- Pobraliśmy się tak jakoś prędko i wprowadził się ze mną do domu ojca. Sprawy układały się dobrze przez parę miesięcy. Jednak Jerry zawsze miał obsesję na punkcie pieniędzy. To była zawsze wielka sprawa dla niego. Uważał, że nigdy nie dano mu dobrego startu. Miał różne wielkie plany i żadnych możliwości ich realizacji, dopóki mnie nie spotkał. Czuł pieniądze, ale nie było żadnych pieniędzy, przynajmniej takich, na których mógłby położyć łapę. Zaczął stale o tym mówić i to powodowało nieporozumienia.

Potem, wróciłam kiedyś do domu wieczorem, a on kąpał Jennę. Miała wtedy sześć albo siedem lat. Nigdy tego wcześniej nie robił. No i to nie było tak, że ja mu wyraźnie powiedziałam, że nie powinien, ani nic takiego, tylko po prostu przyjełam, że on tego nie robi. Ona była rozebrana w wannie, a on klęczał koło niej, na zewnątrz wanny. Miał bose stopy. To dlatego tak spanikowałam: przez te jego bose stopy. To nie ma sensu, prawda? No, ale nawrzeszczałam na niego, Jenna zaczęła płakać, a Jerry wypadł jak burza i wrócił późno. Próbowałam z nim rozmawiać o tym, co się stało, ale on

się zaciął i był wściekły, wlał w siebie dużo alkoholu i uderzył mnie. To nie było mocne ani bolesne uderzenie, ale ja nie miałam zamiaru godzić się na policzek od żadnego mężczyzny. Powiedziałam mu, żeby się wynosił i on się wyniósł. Wrócił dzień albo dwa później, przeprosił i chyba się pogodziliśmy. Potem bardzo się pilnował wobec mnie i Jenny, ale ja nie mogłam się otrząsnąć, pozbyć wspomnienia jego widoku z moją rozebraną córką obok niego. Miał komputer, którego czasem używał do pracy, a ja znałam jego hasło. Podpatrzyłam je kiedyś przypadkiem, gdy wchodził do Internetu, by pokazać coś Jennie. Weszłam do jego dokumentów i tam było pełno pornografii. Wiem, że mężczyźni oglądają takie rzeczy. Przypuszczam, że niektóre kobiety też oglądają, ale tego było tak dużo w komputerze Jerry'ego, tak strasznie dużo.

- Dorosłych czy dzieci?

- Dorosłych - odpowiedziała. - Tylko dorośli. Próbowalam nic nie mówić, ale nie mogłam. Powiedziałam mu, co zrobiłam i co zobaczyłam. Zapytałam go, czy ma jakiś problem. Z początku był zażenowany, potem się zirytował, wściekł okropnie. Wrzeszczał i krzyczał. Rzucił rzeczami. Zaczął mi wymyślać tymi słowami, których użył, kiedy rozmawiał z panem. Powiedział mi, że byłam „zepsuta”, że miałam szczęście, że ktoś w ogóle chciał mnie dotknąć. Mówił też inne rzeczy, również o Jennie. Powiedział, że skończy tak jak ja, bo jabłko nigdy nie pada daleko od jabłoni. I to był koniec, jeżeli chodzi o mnie. Wyniósł się tego wieczoru i wszystko się skończyło. Przez jakiś czas miał adwokata i próbował zdobyć nakaz o podział majątku, ale ja tak naprawdę nie miałam żadnego majątku. Po jakimś czasie wszystko ucichło i ani on, ani jego adwokat nie odezwali się więcej. On nie próbował zaskarżyć rozwodu. Wyglądało na to, że jest zadowolony, że się mnie pozbył.

Skończyłam kawę. Zawiał wiatr, rozpędzając martwe liście, które rozbiegły się jak dzieci, uciekające przed nadchodzącym deszczem. Wiedziałem, że nie powiedziała mi wszystkiego, że pewne aspekty tego, co się wydarzyło, pozostaną tajemnicą, ale część tego, co mi powiedziała, wyjaśniła wrogość Jerry'ego Legere'a wobec jego byłej żony, szczególnie

jeżeli czuł, że to, co się stało, nie było wyłącznie jego winą. Jednak prawda i kłamstwa były splątane razem w tym, co każde z nich mówiło, a Rebecca Clay nie była od początku całkowicie ze mną szczerą.

- Zapytałem pani byłego męża o Projekt, o którym wspominał Merrick - powiedziałem. - Wygląda na to, że słyszał o Projekcie już wcześniej.

- To mogło być jakieś prywatne przedsięwzięcie, którym zajmował się mój ojciec: on zawsze robił badania, czytał profesjonalne pisma, starał się dotrzymać kroku nowym sprawom w swoim zawodzie, ale to mało prawdopodobne, by Jerry miał o tym jakieś informacje. Chcę powiedzieć, że oni się nie znali, a ja nie pamiętam, żeby Jerry przychodził sprawdzić system alarmowy przedtem, zanim zmarł mój ojciec. Oni się nigdy nie spotkali.

Ale wzmianka o Projekcie przywiodła mnie do ostatniego pytania, tego, które niepokoiło mnie najbardziej.

- Jerry powiedział mi też coś innego - oznajmiłem. - Podobno już raz wcześniej wynajęła pani prywatnego detektywa, by zbadał zniknięcie pani ojca. Jerry powiedział, że człowiek, którego pani wynajęła, sam też zniknął. Czy to prawda?

Rebecca Clay odgryzła kawałek suchej skórki z dolnej wargi.

- Myśli pan, że okłamałam pana, prawda?

- Przez pominięcie. Nie mam pretensji, ale chciałbym wiedzieć, dlaczego?

- Elwin Stark podpowiedział mi, że powinnam kogoś wynająć. Było to jakieś półtora roku po zniknięciu ojca, a policja uznała, że już nic więcej nie może zrobić. Rozmawiałam z Elwinem, bo martwiłam się adwokatem Jerry'ego i nie wiedziałam, co można zrobić, by ochronić majątek ojca. Nie miałam testamentu, więc sprawa była i tak trudna, ale Elwin powiedział, że pierwszym krokiem, gdyby ojciec nie wrócił, byłoby prawne uznanie go za zmarłego po pięciu latach. Elwin uważał, że przydatne byłoby wynajęcie kogoś, kto by zbadał sprawę dokładniej, jako że sędzia mógłby to wziąć pod uwagę przy podejmowaniu decyzji. Ale nie miałam zbyt dużo pieniędzy. Właśnie zaczęłam pracować jako młodszy agent

nieruchomości. To zadecydowało o rodzaju osoby, na której wynajęcie mogłam sobie pozwolić.

- Kto to był?

- Nazywał się Jim Poole. On też właśnie zaczynał w zawodzie. Pracował dla kogoś, kogo znałam: to była moja przyjaciółka April, którą pan spotkał u mnie; podejrzewała, że mąż ją zdradza. Okazało się, że nie zdradza, ale za to jest hazardzistą, więc nie wiadomo, co gorsze, ale w każdym razie była zadowolona z pracy Jima. Dlatego zleciłam mu sprawę i poprosiłam, żeby przyjrzał się temu, zobaczył, czy potrafi odkryć coś nowego. Rozmawiał z niektórymi z tych ludzi, z którymi i pan rozmawiał, ale nie dowiedział się niczego więcej ponad to, o czym już wiedzieliśmy. Jim mógł wspomnieć coś o jakimś „Projekcie”, ale ja pewnie nie zwróciłam na to uwagi. Mój ojciec zawsze miał jakieś artykuły czy eseje odkładane na później. Nigdy mu nie brakowało tematów do pisania czy badań.

Potem, po paru tygodniach, Jim zadzwonił do mnie, mówiąc, że wyjeżdża na parę dni z miasta i że może będzie miał jakieś wiadomości dla mnie po powrocie. Czekałam więc na jego telefon, ale on już się nie odezwał. Jakiś tydzień później odwiedziła mnie policja. Dziewczyna Jima zgłosiła jego zaginięcie i policja rozmawiała z jego przyjaciółmi i klientami, chociaż nie miał zbyt wielu ani jednych, ani drugich. Znaleźli moje nazwisko w kartotekach w jego mieszkaniu, ale nie potrafiłam im pomóc. Jim mi nie powiedział, dokąd miał jechać. Nie byli zadowoleni, ale nic więcej nie mogłam zrobić. Samochód Jima znaleziono wkrótce potem w Bostonie, zaparkowany na jednym z długoterminowych parkingów w pobliżu międzynarodowego lotniska Logan. Znaleziono jakieś narkotyki w samochodzie - torebkę koki, chyba - ilość sugerującą, że robił dilerskie interesy na boku. Doszli do wniosku, że wpadł w jakieś kłopoty z powodu narkotyków: może z dostawcą i albo uciekł z tego powodu, albo został zabity. Jego dziewczyna powiedziała policji, że nie był tego rodzaju facetem i znalazłby sposób, żeby się do niej odezwać, nawet gdyby musiał przed czymś uciekać, ale się nigdy nie odezwał.

- A co pani o tym myśli?

Potrząsnęła głową.

- Przestałam po tym szukać mojego ojca - odparła. - Czy to wystarczy panu za odpowiedź?

- I nie powiedziała mi pani o Poole'u, bo myślała pani, że mogłoby to zniechęcić mnie do udzielenia pani pomocy?

- Tak.

- Czy pani znajomość z Jimem Poole'em była wyłącznie zawodowa?

Wstała szybko, prawie przewracając swoją filiżankę. Kawa chlusnęła na stolik między nami i przeciekła przez otworki w blacie, zostawiając ślady na ziemi.

- Co to za pytanie? Jestem pewna, że też pochodzi od Jerry'ego, prawda?

- Prawda, ale nie czas unosić się teraz oburzeniem.

- Jim mi się podobał - powiedziała, jakby to miała być odpowiedź na moje pytanie. - Miał problemy z dziewczyną. Rozmawialiśmy, parę razy poszliśmy na drinka. Jerry zobaczył nas w barze: on miał zwyczaj dzwonić do mnie po pijaku, prosząc o jeszcze jedną szansę i uznał, że Jim mu przeszkadza, ale Jim był młodszy i silniejszy. Były jakieś krzyki, rozbito butelkę, ale nikomu nie stała się żadna krzywda. Jerry chyba jeszcze ma o to pretensje, nawet teraz.

Wyglądziła spódnicę od swego służbowego kostiumu.

- Proszę posłuchać, jestem wdzięczna za to, co pan dla mnie zrobił, ale nie mogę pozwolić, by to trwało dłużej. - Wskazała Jackiego takim gestem, jakby to on utożsamiał całe zło w jej życiu. - Chcę, żeby córka wróciła do domu, i chcę, żeby Merrick zostawił mnie w spokoju. Teraz, kiedy już pan wie o Jimie Poole'u, nie wiem też, czy chcę, by pan nadal zadawał pytania o mojego ojca. Nie chcę czuć się winna i mieć na sumieniu jeszcze innych ludzi, a poza tym każdy dzień pana pracy pochłania chyba mój całodzienny zarobek. Byłabym wdzięczna, gdybyśmy mogli zakończyć całą tę sprawę najszybciej jak to możliwe, nawet jeżeli będzie to znaczyło, że oddamy sprawę do sądu.

Powiedziałem, że ją rozumiem, że porozmawiam z pewnymi ludźmi o jej warunkach i zadzwonię do niej, by je omówić. Poszła do biura po swoje rzeczy. Pogawędziłem z

Jackiem i opowiedziałem mu o telefonie Merricka.

- Co będzie, kiedy nasz czas się skończy? - spytał Jackie.
- Będziemy czekać na niego, aż zrobi ruch?

Powiedziałem mu, że do tego nie dojdzie. Upowiedziałem też, że moim zdaniem Rebecca Clay nie chce nam dłużej płacić i że mam zamiar sprowadzić nadzwyczajną pomoc.

- Taką pomoc, która przychodzi z Nowego Jorku? - zapytał Jackie.

- Możliwe - odpowiedziałem.

- Jeżeli ta kobieta nie chce ci płacić, to dlaczego chcesz dalej pracować?

- Bo Merrick się nie odczepi bez względu na to, czy zostanie od Rebecki Clay to, czego chce, czy nie. Poza tym, przez dzień czy dwa chcę dokładniej pogrzebać w jego życiu, co mu się wcale nie spodoba.

Jackiego to rozbawiło.

- No, jakbyś czegoś potrzebował, daj mi znać. Za nudną robotę musisz mi płacić. Interesujące sprawy biorę za darmo.

Kiedy wróciłem do domu, Walter był jeszcze mokry od słonej wody po spacerze na plaży z Bobem Johnsonem i zadowolony spał w koszyku, z dala od chłodu. Miałem parę godzin, które trzeba było jakoś wypełnić przed spotkaniem z June Fitzpatrick i kolacją, więc wszedłem na stronę internetową miejscowej gazety codziennej „Press-Herald” i przejrzałem archiwum, poszukując czegoś, co mogło mieć związek ze zniknięciem Daniela Claya. Według reporterów, zarzuty wykorzystania zgłoszone zostały przez kilkoro dzieci, które wcześniej były pacjentami Doktora Claya. Nigdy w żaden sposób nie sugerowano, że miał on z tym jakiś związek, choć oczywiście pytano o to, jak mógł nie dostrzec, że dzieci, którym pomagał - a każde z nich było uprzednio wykorzystywane - są ponownie krzywdzone. Clay odmówił komentarza poza stwierdzeniem, że jest mu „nadzwyczaj przykro” z powodu zarzutów, zapowiedział że wyda pełne oświadczenie w stosownym czasie i dodał, że sprawą bezwzględnie najważniejszą dla niego jest teraz wspieranie policji i opieki

społecznej w ich śledztwie mającym na celu znalezienie winnych. Paru specjalistów wystąpiło, nieco niechętnie, w obronie Clay, podkreślając, że czasami muszą minąć miesiące lub lata, zanim uda się nakłonić ofiarę wykorzystywania, by odsłoniła przed światem bezmiar cierpienia, które musiała znieść. Nawet policja dokładała starań, by nie obciążać Clay zarzutami, ale czytając między wierszami historii, można było się domyślić, że Clay i tak sam brał część winy na siebie. Szokował się tak straszny skandal, że trudno sobie wyobrazić, jak Clay mógłby kontynuować praktykę, bez względu na to, jaki byłby wynik śledztwa. W pewnym artykule był opisywany jako człowiek o „ziemistej cerze”, z „głęboko osadzonymi oczami”, to znów „wychudły” i „bliski łez”. Obok artykułu było zdjęcie Clay, zrobione przed jego domem. Był chudy i pochylony, jak zraniony bocian.

Detektyw, którego cytowano w jednym z artykułów gazetowych, nazywał się Bobby O'Rourke. Wciąż jeszcze zatrudniał go wydział policji w Portland, chociaż pracował w sekcji spraw wewnętrznych. Złapałem go przy biurku, tuż przed jego wyjściem z pracy i zgodził się spotkać ze mną na piwie w Geary's za godzinę. Zaparkowałem na Commercial i znalazłem go usadowionego w rogu, przeglądającego jakieś fotokopie i zjadającego hamburgera. Spotkaliśmy się już parę razy w przeszłości, pomogłem mu uzupełnić luki w sprawie dotyczącej policjanta z wydziału policji w Portland, nazwiskiem Baron, który zmarł przed paru laty w „tajemniczych okolicznościach”, jak to bywa eufemistycznie określane. Nie zazdrościłem O'Rourkemu jego roboty. To, że pracował w sekcji spraw wewnętrznych, znaczyło, że był dobry w tym, co robi. Niestety, niektórzy jego koledzy gliniarze nie chcieli, żeby dobrze wykonywał swoją robotę.

Wytarł ręce w serwetkę i przywitaliśmy się.

- Jesz coś? - zapytał.
- Nie. Idę na kolację za mniej więcej godzinę.
- Coś interesującego?
- W domu u Joela Harmona.
- Jestem pod wrażeniem. Będziemy czytać o tobie w rubrykach towarzyskich.

Rozmawialiśmy chwilę o dorocznym raporcie sekcji spraw wewnętrznych, który miał być niedługo ogłoszony. Jak zwykle chodzi głównie o zarzuty użycia siły i skargi na działania operacyjne policyjnych samochodów. Sprawy te wykazują pewną prawidłowość. Powód to zwykle młody mężczyzna, a przypadki dotyczące użycia siły w większości dotyczą kładzenia kresu bójkom. Policjanci używali tylko rąk do poskromienia uczestników bójek, a faceci biorący w nich udział to głównie biali przed trzydziestką, więc nie można powiedzieć, że szykanowano emerytów czy członków drużyny Harlem Globetrotters. Nikt nie był zawieszony na dłużej niż dwa dni w rezultacie skarg. W sumie to nie był zły rok dla sekcji spraw wewnętrznych. Tymczasem wydział policji w Portland miał nowego szefa. Stary szef ustąpił ze swego stanowiska na początku roku i rada miejska rozważała dwie kandydatury: jeden kandydat był biały i miejscowy, drugi czarny i z Południa. Gdyby rada wybrała czarnego kandydata, zwiększyłoby to liczbę czarnych policjantów w Portland o sto procent, ale zamiast tego wybrano kandydata z miejscowym doświadczeniem. Nie była to zła decyzja, ale kilku przywódców mniejszości ciągle jeszcze żywiło urazę. O starym szefie natomiast krążyły pogłoski, że rozważa start w wyborach na gubernatora.

O'Rourke skończył burgera i wypił łyk piwa. Był szczupłym, sprawnym facetem, którego wygląd nie świadczył o tym, że burgery i piwo zwykle dostarczają mu większość przyjmowanych kalorii.

- Więc chodzi o Daniela Claya - zagaił.
- Pamiętasz go?
- Pamiętam sprawę, a to, czego nie pamiętałem, sprawdziłem, zanim tu przyszedłem. Spotkałem Claya tylko dwa razy, zanim zaginał i to wyznacza granice tego, co ci mogę o nim powiedzieć.
- Co o nim wtedy myślałeś?
- Wydawał się naprawdę poruszony tym, co się stało. Wyglądał, jakby był w szoku. Cały czas mówił o nich „dzieciaki”. Rozpoczęliśmy śledztwo, razem z policją stanową, szeryfami, miejscowymi policjantami i opieką społeczną. Resztę prawdopodobnie już wiesz: po pewnym czasie pojawiły się pewne punkty wspólne i kilka z tych przypadków prowadziło do Claya.

- Czy myślisz, że to był zbieg okoliczności, że Clay pracował w tymi dzieciakami?

- Nic nie wskazuje na to, że nie. Niektóre dzieci były szczególnie zagrożone. Wykorzystywano je już wcześniej, a większość z nich dopiero rozpoczęła terapię. Jeszcze nawet nie zaczęły rozmawiać o pierwszych przypadkach molestowania, gdy rozpoczęły się kolejne.

- Czy kiedykolwiek byliście blisko aresztowania?

- Nie. Znaleziono trzynastoletnią dziewczynkę wędrującą po polach za Skowhegen o trzeciej w nocy. Szła boso, ubranie miała podarte, była pokrwawiona, bez bielizny. Znajdowała się w szoku, mamrotała coś o mężczyznach i ptakach. Była zdezorientowana, nie wiedziała, gdzie ją przetrzymywano, ani z jakiego kierunku przyszła, ale miała jasność co do szczegółów: trzech mężczyzn, wszyscy zamaskowani, byli z nią kolejno, w nieumeblowanym pokoju w jakimś domu. Zdobyliśmy kilka próbek DNA od niej, ale większość była całkiem nieczytelna. Tylko parę było dobrych, ale nie odpowiadały niczemu w bazie danych. Mniej więcej rok temu próbowaliśmy znowu w ramach powrotu do nierozwiązanych spraw i ciągle nic. Powinniśmy byli lepiej sobie z tym poradzić, ale nie wiem jak.

- A co z tymi dzieciakami?

- Nie śledziłem losów ich wszystkich. Niektóre pojawiły się ponownie w polu naszego widzenia. To były pokręcone dzieci i stały się pokręconymi dorosłymi. Mnie ich zawsze było żal, kiedy widziałem ich powracające nazwiska. Jakie, do diabła, mogły mieć szanse po tym, co im zrobiono?

- A Clay?

- On dosłownie zniknął. Jego córka zadzwoniła do nas i powiedziała, że się martwi o niego, że od dwóch dni nie ma go w domu. Znaleziono jego auto pod Jackman, przy kanadyjskiej granicy. Myśleliśmy, że może uciekł przed sądem, ale nie miał powodu, by zrobić coś takiego, poza wstydem, może. Więcej go nie widziano.

Odchyliłem się do tyłu i opadłem na oparcie krzesła. Nie byłem o wiele mądrzejszy, niż zanim na nim usiadłem. O'Rourke dostrzegł moje niezadowolenie.

- Przykro mi - powiedział. - Pewnie miałeś nadzieję na jakąś rewelację.

- Tak, oślepiający strumień światła.

- Dlaczego interesujesz się tą sprawą?

- Córka Claya mnie wynajęła. Ktoś ją pytał o ojca. Zaniepokoiło ją to. Słyszałeś kiedyś o człowieku nazwiskiem Frank Merrick?

Bingo. Twarz Bobby'ego rozjaśniła się jak niebo Czwartego Lipca*. [Czwarty Lipca, czyli Święto Niepodległości, amerykańskie święto narodowe, obchodzone dla uczczenia podpisania Deklaracji Niepodległości w 1776 r. Zwykle towarzyszą mu spektakularne pokazy fajerwerków (przyp. red.).]

- Frank Merrick - powiedział. - O, tak. Wiem wszystko o Franku Merricku. Nazywali go Fatalny Frank. To o niego chodzi, to on niepokoi córkę Claya?

Kiwnąłem głową.

- To nawet ma sens - przyznał O'Rourke.

Zapytałem go, dlaczego.

- Bo córka Merricka też była pacjentką Daniela Claya, i jej los się tak samo potoczył. Lucy Merrick, tak się nazywała, chociaż on się nigdy nie ożenił z jej matką.

- Córka znikła?

- Zgłoszono zaginięcie dwa dni po Clayu, ale zdaje się, że mogło jej nie być dłużej. Jej opiekunowie z rodziny zastępczej to bydłęta. Powiedzieli pracownikom opieki społecznej, że stale uciekała i już ich zmęczyło szukanie jej. Z tego, co sobie przypominali, wynikało, że widzieli ją cztery albo pięć dni wcześniej. Miała czternaście lat. Nie wątpię, że był z nią kłopot, ale wiesz, była jednak dzieckiem. Mówiło się o wniesieniu oskarżenia przeciwko tym opiekunom, ale nigdy tego nie zrobiono.

- A gdzie był Merrick, kiedy to wszystko się działo?

- W więzieniu. Coś ci powiem: Frank Merrick jest interesującym facetem. - Bobby O'Rourke rozluźnił krawat. - Zamów mi jeszcze jedno piwo - poprosił. - I dla siebie też coś weź. To niezła historia.

Frank Merrick jest zabójcą.

To słowo tak się zdewaluowało przez nadmierne użycie, że każdy podły smarkacz, który dźgnął w brzuch swojego kumpla od kieliszka z powodu jakiejś dziewczyny w zbyt obcisłej sukience, każdy bezrobotny nieudacznik, który zrobił napad w sklepie monopolowym i potem zastrzelił faceta zarabiającego za ladą siedem dolarów na godzinę, czy to z paniki, czy z nudów, czy tylko dlatego, że miał broń w rękę i żał było nie spróbować, co ona potrafi, każdy z nich był nazywany zabójcą. Tego słowa używano w gazetach, by podnieść sprzedaż, w salach sądowych, by zwiększyć wyroki, w celach bloków więziennych, by budować reputację i zdobyć chwile wytchnienia od ataków i wyzwania. Ale ono, tak naprawdę, nic nie znaczy. Zabicie kogoś nie czyni z ciebie zabójcy, nie w świecie, w którym porusza się Frank Merrick. To nie jest coś, co robisz raz wszystko jedno, czy przez przypadek, czy naumyślnie. To nie jest wybór stylu życia, jak wegetarianizm czy nihilizm. To jest coś, co znajduje się w twoich komórkach i czeka na moment przebudzenia, odkrycia. W ten sposób można być zabójcą, zanim się odbierze życie po raz pierwszy. To jest część twojej natury, która z czasem wyjdzie na jaw. Potrzebny jest tylko katalizator.

Frank Merrick żył, jak mogło się wydawać, życiem normalnego faceta przez pierwszych dwadzieścia pięć lat swego życia. Dorastał w niebezpiecznej części miasta Charlotte w Północnej Karolinie, trzymał z grupą trudnej młodzieży, ale wyszedł na prostą. Został mechanikiem i żadne chmury nie szły za nim przez życie ani cienie nie wlokły się jego śladem, chociaż wiadomo było, że utrzymuje kontakty z typami z przeszłości i jeśli zajdzie taka potrzeba, dostarcza albo pozbywa się samochodu od ręki. Dopiero później, kiedy jego prawdziwe ja, tajemne ja, zaczęło się objawiać, ludzie przypominali sobie mężczyzn, którzy zadarli z Merrickiem, a potem znikli w szczelinach między płytami chodnika i nikt o nich więcej nie słyszał ani ich więcej nie widział. Opowiadano historie o dziwnych telefonach, o podróżach na Florydę, do Atlanty i Nowego Orleanu, o broni raz użytej, potem rozbieranej i wrzucanej do kanałów i z nadbrzeża.

Ale to były tylko historie, a ludzie lubią opowiadać...

Ożenił się ze zwykłą dziewczyną i mógł pozostać jej mężem, gdyby nie wypadek, który zmienił Franka Merricka nie do poznania, a może tylko pozwolił mu zrzucić maskę spokojnego mężczyzny, introwertyka, który miał zręczne ręce i umiał obchodzić się z samochodami, i stać się kimś, ogólnie mówiąc, bardziej osobliwym i przerażającym.

Pewnego wieczoru Frank Merrick został potrącony przez motocykl, kiedy przechodził przez ulicę na przedmieściu Charlotte, gdzie mieszkał. Niósł pudełko lodów, które kupił dla żony. Powinien był poczekać na światło, ale bał się, że lody się roztopią, zanim je przyniesie do domu. Kierowca motocykla nie miał kasku, pił wcześniej, ale nie był pijany. Palił również trochę trawy, ale nie był naćpany. Peter Cash powiedział sobie to wszystko, zanim wsiadł na motor, opuszczając swoich kumpli, którzy oglądali porno na Betamax.

Cashowi wydawało się, że Frank Merrick zmaterializował się jakby znikąd, nagle przyjmując ludzki kształt na pustej ulicy, montując swoją postać z cząsteczek nocy. Motor uderzył Merricka całym impetem, łamiąc mu kości i kalecząc ciało. Uderzenie wyrzuciło motocyklistę na maskę zaparkowanego auta. Cash miał szczęście, wyszedł z tego tylko z pękniętą miednicą, ale gdyby uderzył w przednią szybę głową nieochronioną kaskiem, a nie siedzeniem, to najpewniej zmarłby tam na miejscu. A tak, pozostał przytomny na tyle długo, żeby widzieć poturbowane ciało Merricka wstrząsane konwulsjami, jak ryba wyrzucona na piasek.

Merricka wypisano ze szpitala po dwóch miesiącach, kiedy jego połamane kości się zrosły, a organy wewnętrzne nie były już bezpośrednio zagrożone niewydolnością czy zapaścią. Rzadko odzywał się do żony i jeszcze mniej mówił do swoich przyjaciół, aż ci przyjaciele w końcu przestali niepokoić go swoją obecnością. Spał mało, rzadko odważał pojawić się w małżeńskim łóżu, a kiedy już tam był, traktował żonę z taką gwałtownością, że zaczęła się bać jego obecności i bólu, który jej zadawał. W końcu uciekła z domu i po roku albo dwóch wystąpiła o rozwód. Merrick podpisał wszystko bez komentarza czy skargi, pozornie zadowolony, że może pozbyć się

każdego aspektu swego dawnego życia, podczas gdy coś w nim konsolidowało się, podlegając przemianie. Jego żona zmieniła później nazwisko i wyszła ponownie za mąż w Kalifornii, nigdy nie mówiąc drugiemu mężowi prawdy o człowieku, który kiedyś dzielił z nią życie.

A Merrick? Uważano, że Cash był pierwszą ofiarą tego zmienionego człowieka, chociaż nigdy nie przedstawiono żadnych dowodów łączących go z tą zbrodnią. Cash został zakłuty nożem w swoim własnym łóżku, ale Merrick miał alibi przedstawione przez czterech ludzi z Philly, którym Merrick świadczył w zamian pewne usługi. W następnych latach dostawał trochę robót od różnych grup, głównie na Wschodnim Wybrzeżu i wreszcie stał się facetem, do którego się szło, kiedy trzeba było udzielić komuś tej ostatniej, przemiennej w skutki lekcji, a konieczność zatarcia śladów zmuszała, by zlecać robotę na zewnątrz. Lista osób, które zginęły z jego ręki, zaczęła się wydłużać. Oddał się w końcu swemu naturalnemu talentowi do zabijania i talent ten służył mu znakomicie.

Miał też jednak inne potrzeby. Lubił kobiety i jedna z nich, kelnerka z Pittsfield, w stanie Maine, zaszła w ciążę po nocy spędzonej w jego towarzystwie. Dobijała do czterdziestki i zamartwiała się, czy kiedykolwiek znajdzie mężczyznę i będzie jeszcze miała dziecko. Wcale nawet nie brała pod uwagę możliwości usunięcia ciąży, nie miała też jak skontaktować się z mężczyzną, który ją zapłodnił i w końcu urodziła pozornie zwykle dziecko. Kiedy Frank Merrick wrócił do Maine i odwiedził kelnerkę, ona obawiała się, jak zareaguje na wiadomość, że został ojcem, ale on wziął dziecko na ręce i zapytał, jak ma na imię (Lucy, po mojej mamie, usłyszał w odpowiedzi), uśmiechnął się, powiedział, że Lucy to piękne imię, i zostawił pieniądze w kołysce. Potem gotówka pojawiała się regularnie, czasem dostarczana osobiście przez Merricka, kiedy indziej w formie przekazu pieniężnego. Matka dziecka zorientowała się, że jest coś niebezpiecznego w tym człowieku, coś, o co nie należy się dopytywać i zawsze zadziwiała ją uczucie, jakie okazywał małej dziewczynce, chociaż nigdy nie

pozostawał z nią długo. Jego córka podrosła i czasem miewała złe sny. Po pewnym czasie jednak te złe sny zaczęły przesączać się do jej życia na jawie. Stała się trudna, nawet niezrównoważona. Robiła sobie krzywdę i usiłowała krzywdzić innych. Kiedy zmarła jej matka - na rozległy zator płucny, gdy pływała w morzu, tak że jej ciało zabrał odpływ i znaleziono je po kilku dniach na plaży, rozdęte i do połowy nadjedzone przez padlinożerne zwierzęta - Lucy Merrick została umieszczona w ośrodku opiekuńczo-wychowawczym. Po jakimś czasie skierowano ją do Daniela Claya, usiłując ograniczyć jej agresję i skłonność do samookaleczania, i wydawało się, że terapeuta zaczął osiągać pewne postępy, ale wkrótce obydwoje, i on, i dziewczyna, zaginęli.

Wtedy jej ojciec przebywał w więzieniu już od czterech lat. Szczęście odwróciło się od niego, kiedy dostał pięć lat za agresywne zachowanie z użyciem niebezpiecznego narzędzia, pięć lat za karalne pogrożki przy użyciu niebezpiecznego narzędzia i dziesięć lat za napad z bronią w rękę, wszystko do odbycia jednocześnie po tym, jak jednej z jego potencjalnych ofiar udało się uwolnić z jego domu. Facet strzelił do niego w obronie własnej, kiedy Merrick już miał zaatakować go nożem, po czym w czasie ucieczki został potrącony przez policyjny wóz patrolowy. Merrick uniknął dalszych czterdziestu lat lub dożywocia, bo władze stanowe nie mogły mu udowodnić, że działał z premedytacją, poza tym nie był uprzednio karany za nastawianie na czyjeś życie. To w tym czasie zaginęła jego córka. Merrick odbywał wyrok nie tylko w więzieniu o normalnym rygorze. Część wyroku, według tego, co mówił O'Rourke, odsiedział w Supermax i tam było naprawdę ciężko.

Po zwolnieniu został wysłany na proces w Wirginii za zabójstwo księgowego nazwiskiem Barton Riddick, który zginął od jednego strzału w głowę z czterdziestkiczwórki w 1993 roku. Merricka oskarżono na podstawie analizy pocisku dokonanej przez FBI, które zbadało pociski znalezione w jego samochodzie po tym, jak go zaaresztowano w Maine. Nic nie wskazywało na to, że był obecny na miejscu zabójstwa w Wirginii, ani że coś go łączyło z Riddickiem oprócz tego, że chemiczny skład pocisku, który przeszył ofiarę, zabierając ze

sobą część czaszki i mózgu na wyjściu, pasował do pocisków w pudełku amunicji znalezionym w bagażniku Merricka. Merrickowi groziło, że spędzi resztę życia w więzieniu albo nawet zostanie wyrok śmierci, ale jego przypadek był jednym z kilku przejętych przez jakieś kancelarie prawne, które uważały, że analitycy FBI w kilku przypadkach przecenili wyniki analizy pocisków. Oskarżenie przeciwko Merrickowi zostało jeszcze bardziej podważone, kiedy z broni użytej w morderstwie zabito później prawnika w Baton Rouge. Aczkolwiek niechętnie, prokurator z Wirginii postanowił nie podtrzymać oskarżeń przeciwko Merrickowi, a FBI ogłosiło potem, że rezygnuje z analizy pocisku. Merrick został zwolniony w październiku i był teraz, praktycznie rzecz biorąc, wolnym człowiekiem, jako że odbył cały wyrok w stanie Maine i nie narzucono mu żadnych warunków przy zwolnieniu, zakładając, że zarzuty w sprawie Riddicka gwarantują, iż nigdy więcej nie będzie miał szans na ani jeden oddech na wolności.

- No i teraz tu wrócił - zakończył O'Rourke.

- I pyta o doktora, który leczył jego córkę - odpowiedziałem.

- Wygląda na faceta, który ma pretensje. Co chcesz zrobić?

Wyjąłem portfel i położyłem parę banknotów na stole, by zapłacić za nasz rachunek.

- Chcę, żeby go zgarnęli.

- Czy pani Clay złoży skargę?

- Porozmawiam z nią o tym. Nawet jeżeli tego nie zrobi, groźba aresztowania może wystarczyć, żeby Merrick trzymał się od niej z daleka. Nie będzie chciał wrócić do więzienia. Kto wie, policjanci mogą nawet coś znaleźć w jego aucie.

- Czy on jej w ogóle groził?

- Tylko słownie i to w dość niejasny sposób. Ale wybił u niej szybę, więc może zrobić coś więcej.

- Widziałeś u niego broń?

- Nie, wcale.

- Frank to taki facet, który bez broni czuje się trochę jak bez ubrania.

- Kiedy go spotkałem, powiedział, że jest nieuzbrojony.

- Uwierzyłeś mu?
 - Myślę, że jest zbyt cwany, żeby mieć broń przy sobie. Jako przestępca z wyrokiem, nie może dać się złapać z bronią, a już i tak zwraca dużo uwagi na siebie. Nie dowie się, co się stało z jego córką, jak go znowu zamkną.
 - No, to brzmi wiarygodnie, ale głowy bym za to nie dał. Pani Clay ciągle mieszka w mieście?
 - South Portland.
 - Mogę zadzwonić tu i tam, jak chcesz.
 - Wszystko się przyda. Dobrze byłoby mieć tymczasowy nakaz pod ręką, kiedy zgarną Merricka.
- O'Rourke powiedział, że to nie będzie stanowić problemu. Prawie zapomniałem o Jimie Poole'u. Zapytałem O'Rourkego o niego.
- Coś sobie przypominam. Był amatorem, detektywem z uczelni oferującej kursy korespondencyjne. Zdaje się, że trochę próbował trawki. Policjanci w Bostonie uznali, że jego śmierć mogła mieć związek z narkotykami, a naszym ludziom tutaj chyba odpowiadała ta wersja.
 - Pracował dla Rebecki Clay, kiedy zginął - powiedziałem.
 - Nie wiedziałem o tym. Nie zajmowałem się jego sprawą. Wygląda na to, że przebywanie w jej pobliżu przynosi pecha. Więcej ludzi przy niej znika, aniżeli w Trójkącie Bermudzkim.
 - Nie sądzę, aby szczęściarze przyciągali uwagę takich facetów jak Frank Merrick.
 - A jeżeli tak jest, to szybko przestają mieć szczęście. Chciałbym być przy tym, jak go doprowadzą na komisariat. Dużo o nim słyszałem, ale nigdy go nie spotkałem osobiście.
- Jego szklanka od piwa zostawiła okrągły mokry ślad na stoliku. Kreślił w nim wzory wskazującym palcem.
- Co ci chodzi po głowie?
 - Myślę sobie, że szkoda, że twoja klientka obawia się jakiegoś zagrożenia.
 - Dlaczego?
 - Nie lubię, jak wzór się powtarza. Niektórzy pacjenci Claya byli wykorzystywani. Córka Merricka była jedną z jego pacjentek.

- Więc córka Merricka była wykorzystywana? To jest możliwe, ale niekoniecznie musiało do tego dojść.

- Zniknęła w tym samym czasie co Clay.

- I nigdy nie znaleziono sprawców.

Wzruszył ramionami.

- Chcę tylko powiedzieć, że taki facet jak Merrick z jego pytaniami o stare zbrodnie może zaniepokoić pewnych ludzi.

- Tych, którzy popełnili te stare zbrodnie.

- No właśnie. Może się przydać. Nigdy nie wiadomo, kto może uznać, że go to obraża i się przy okazji ujawnić.

- Kłopot polega na tym, że Merrick to nie pies na smyczy. Jego się nie da kontrolować. Dlatego wziąłem trzech facetów do pilnowania mojej klientki. Głównym celem jest ochrona jej bezpieczeństwa.

O'Rourke wstał.

- No to porozmawiaj z nią. Wyjaśnij, co masz zamiar zrobić. Potem go zgarniemy i zobaczymy, co się będzie działo.

Ponownie uściśliśmy sobie dłonie i podziękowałem mu za pomoc.

- Niech cię nie ponosi - powiedział. - Wchodzę w to z powodu dzieci. I wybaczone, że będę szczery, ale jak ta sprawa spali na panewce i zobaczę, że ty to skopałeś, to cię osobiście zaarrestuję.

Była już pora jechać w stronę posiadłości Joela Harmona. Po drodze zadzwoniłem do Rebecki, podzieliłem się większością informacji o Merricku i poinformowałem ją, co mam nadzieję zrobić następnego dnia. Wydawało mi się, że trochę się uspokoiła od czasu naszej ostatniej rozmowy, chociaż nadal była zdecydowana możliwie szybko zakończyć sprawę zlecenia i mojej pracy dla niej.

- Umówimy spotkanie, potem damy go zgarnąć policji - powiedziałem. - Przepisy stanowe o ochronie przed nękaniami lub zagrożeniami mówią, że jeżeli było się zastraszonym czy zaatakowanym trzy lub więcej razy przez tę samą osobę, wtedy policjanci muszą podjąć działanie. Myślę, że incydent z

oknem może też być potraktowany jako terroryzowanie, a ja również zauważyłem, jak Merrick panią obserwował tego dnia na skwerze Longfellowa, tak więc i to też mamy na niego. Każde z takich zachowań wystarczy, żeby dostać ochronę prawną.

- Czy to znaczy, że będę musiała wnieść sprawę do sądu?
- spytała.

- Proszę jutro rano zgłosić doniesienie na niego o nękanie. Doniesienie i tak musi być zgłoszone, zanim można złożyć skargę w sądzie. Potem możemy starać się, żeby Sąd Okręgowy wydał tymczasowy nakaz o ochronie w sytuacji specjalnej po tym, jak pani złoży doniesienie. Już o tym z kimś rozmawiałem i wszystko powinno być gotowe do jutra wieczorem. - Podąłem jej nazwisko O'Rourkego i numer telefonu. - Wyznaczony zostanie dzień i godzina przesłuchania, i trzeba będzie Merrickowi dostarczyć wezwanie i skargę. Mogę to zrobić albo, jak pani woli, możemy się postarać, że załatwi to wydział szeryfa. Jeżeli po wydaniu zakazu Merrick znowu zbliży się do pani, wówczas jest to przestępstwo zagrożone karą do roku więzienia i grzywną do tysiąca dolarów. Po trzykrotnym złamaniu zakazu może dostać nawet pięć lat.

- Wciąż mi się wydaje, że to nie wystarczy - powiedziała.
- Nie mogą zamknąć go od razu?

- To delikatna sprawa - odparłem. - On przekroczył granicę, ale nie na tyle, żeby to pozwalało wsadzić go do więzienia. Myślę, że pobyt w więzieniu to ostatnia rzecz, którą chciałby zaryzykować. Jest niebezpiecznym człowiekiem, ale miał też całe lata, żeby myśleć o swojej córce. Zawiódł ją, a teraz chce, żeby ktoś inny ponosił winę. Myślę, że postanowił zacząć od pani ojca, bo słyszał pogłoski o nim i zastanawia się, czy coś podobnego mogło wydarzyć się jego córce, kiedy on się nią opiekował.

- A ponieważ mojego ojca już nie ma, zabrał się do mnie.
- Westchnęła. - Czy będę musiała być przy jego aresztowaniu?

- Nie. Policja jednak może chcieć rozmawiać z panią później. Jackie będzie w pobliżu, tak na wszelki wypadek.

- Gdyby nie poszło tak, jak pan zaplanował?

- Na wszelki wypadek - powtórzyłem, nie konkretyzując. Czuję, że ją zawiodłem, ale nie wiedziałam, co można było więcej zrobić. Prawda, mogłem do spółki z Jackiem Garnerem i braćmi Fulcis stłuc Merricka na miazgę, ale to byłoby niżanie się do jego poziomu. A teraz, po rozmowie z O'Rourke, jeszcze coś powstrzymywało mnie od użycia siły w stosunku do Franka Merricka.

W jakiś dziwny sposób było mi go żal.

11

Tego wieczoru rozdzwoniły się telefony. Może o to właśnie chodziło Merrickowi od początku? Może to dlatego pozwolił, by jego obecność koło domu Rebecki Clay była tak widoczna, dlatego zostawił krew na jej oknie, i dlatego napuścił mnie na Jerry'ego Legere'a. Były też inne incydenty, o których jeszcze nie wiedziałem. Poprzedniego wieczoru cztery martwe wrony zostały związane razem i powieszono na zewnątrz kancelarii zajmowanej przez byłego adwokata Rebecki, Elwina Starka. Tej samej nocy ktoś włamał się do ośrodka Midlake. Niczego nie skradziono, ale ktoś musiał spędzić wiele godzin, przeglądając kartoteki, do których był dostęp i długo potrwa, zanim będzie się można zorientować, co zostało usunięte, jeżeli w ogóle się to uda. Do byłego lekarza Claya, doktora Caussure'a, który był w drodze na turniej brydżowy, zbliżył się w samochodzie człowiek odpowiadający rysopisowi Merricka. Człowiek ten przyblokował auto Caussure'a, potem otworzył szybę w swoim czerwonym fordzie i zapytał Caussure'a, czy lubi ptaki i czy był świadom tego, że jego nieżyjący pacjent i przyjaciel, doktor Daniel Clay, zadawał się z pedofilami i dewiantami.

Dla Merricka nie miało znaczenia, czy te osoby były zamieszane w sprawę, czy nie. Chciał stworzyć atmosferę strachu i wątpliwości. Chciał pojawiać się w życiu innych i znikać, siać pogłoski i półprawdy, wiedząc, że w tak małym mieście jak Portland, wieści szybko się rozejdą i ludzie, na których polował, wkrótce zaczną wrzeć jak pszczoły, czując, że ich ulowi zagraża niebezpieczeństwo. Merrick myślał, że ma wszystko

pod kontrolą albo że poradzi sobie ze wszystkim, co nastąpi, ale się mylił. Był manipulowany, tak samo jak ja, i właściwie nikt nie kontrolował niczego, nawet tajemniczy klient Eldritch. Wkrótce zaczną ginąć ludzie.

Joel Harmon mieszkał w wielkim domu niedaleko Bays-hore Drive w Falmouth, miał własną prywatną przystań i biały jacht zacumowany w pobliżu. Miasto Portland kiedyś nazywało się Falmouth, od końca siedemnastego wieku kiedy to Bask, Baron St. Castin, poprowadził tubylców w serii ataków przeciwko angielskim osadom, co w rezultacie skończyło się spaleniem miasta. Pod koniec osiemnastego wieku miasto się usamodzielniało. Teraz obszar, który nosił starą nazwę, plasował się wśród najbardziej zamożnych przedmieść Portland i stanowił centrum żeglarskiego życia. Jachtklub Portland, jeden z najstarszych w kraju, znajdował się na Falmouth Foreside, terenie nadmorskim Falmouth, osłoniętym przez długą, wąską wyspę Clapboard Island. Na niej znajdowały się dwie prywatne posiadłości, relikty pochodzące z końca dziewiętnastego wieku, kiedy to magnat kolejowy Henry Hustons zbudował na wyspie letnią wiejską chatkę o powierzchni trzech tysięcy metrów kwadratowych. Był to jego mały wkład w to, żeby określenie „wiejska chatka” straciło znaczenie w tej części świata.

Dom Harmona stał na wzniesieniu, zielony trawnik opadał do brzegu wody. Po obu stronach był mur broniący prywatności i mnóstwo krzewów różanych w starannie zaprojektowanych i osłoniętych rabatach. June powiedziała mi, że Harmon jest zapalonym hodowcą róż, zafascynowanym krzyżowaniem gatunków i że ziemia w jego ogrodzie jest nieustannie monitorowana i dostosowywana, tak by mógł rozwijać swoje obsesyjne hobby. Mówiono, że na jego rabatach rosną róże, które po prostu gdzie indziej nie istnieją. Harmon nie widział powodu, żeby dzielić się swoimi odkryciami z innymi. Róże miały sprawiać przyjemność wyłącznie jemu i nikomu innemu.

Noc była niezwykle łagodna, podstęp pory roku, żeby usnąć tych, którzy nie byli czujni, fałszywym poczuciem

bezpieczeństwa i kiedy June i ja staliśmy w ogrodzie z innymi gośćmi, popijając drinki przed kolacją, ja chłonałem wzrokiem dom Harmona, jego jacht, róże i żonę, która nas przywitała, kiedy przybyliśmy, jako że Harmon był zajęty innym aspektem przyjęcia. Była trochę po sześćdziesiątce, co czyniło ją niemal rówieśnicą męża, jej siwe włosy były przeplecione starannie ufarbowanymi na blond pasemkami. Z bliska jej cera wyglądała jak odlany w formie plastik. Wydawało się, że ma kłopot, by ruchem nadać twarzy jakikolwiek wyraz, chociaż jej chirurg najwyraźniej przewidział ten problem i wyciął usta w stałym półuśmiechu tak, że nawet gdy ktoś jej opowiadał o systematycznym topieniu szczeniaków i kociąt, to ona wyglądała na lekko rozbawioną tą całą sprawą. Widać jeszcze było w jej twarzy resztki dawnej urody, którą kiedyś mogła mieć, ale została ona zdewaluowana przez ponurą determinację, by ją zachować. Jej oczy miały tępe i szkliste spojrzenie, a przy jej talencie do konwersacji nawet dziecko mogłoby uchodzić za Oskara Wilde'a.

Jej mąż natomiast był wzorem doskonałego pana domu, miał na sobie niezobowiązującą, ale kosztowną granatową wełnianą marynarkę i popielate spodnie oraz czerwony fular dodający akcentu troskliwie pielęgnowanej ekscentryczności do ogólnego wyglądu. Towarzyszyła mu, w trakcie powitalnych uścisków dłoni i wymiany ploteczek, piękna dziewczyna pochodzenia azjatyckiego, młoda i szczupła, a jej figura powodowała, że męskie szczęki spontanicznie opadały. Według June, była ona najnowszą zdobyczą Harmona, a oficjalnie jego osobistą asystentką. Miał zwyczaj podrywać młode kobiety, oszalać je swoim bogactwem i porzucać, kiedy tylko pojawiały się nowe okazje na horyzoncie.

- Zdaje się, że jej obecność nie zanedbto przeszkadza żonie - powiedziałem. - Ale też mało co ją obchodzi poza perspektywą następnej dawki leków na receptę.

Puste spojrzenie pani Harmon przesuwano się po gościach w regularnych odstępach, nigdy nie zatrzymując się dłużej na żadnym z nich, jedynie obejmując ich matowym światłem jej wzroku, tak jak promień światła latarni morskiej odkrywa

statki w swoim polu widzenia. Nawet kiedy witała nas przy wejściu, prawie nie nawiązywała kontaktu wzrokowego, a jej ręka była jak zimne, uschnięte szczątki dawno nieżyjącego ptaka w mojej dłoni.

- Żał mi jej - powiedziała June. - Lawrie zawsze była kobietą predestynowaną do tego, by wyjść za mąż za człowieka z pozycją i dać mu dzieci, ale nie miała żadnego życia wewnętrznego, przynajmniej takiego, które ktoś zdołałby odkryć. W tej chwili jej wszystkie dzieci są już dorosłe i ona wypełnia dni, jak potrafi najlepiej. Kiedyś była piękna, ale uroda to wszystko, co miała. Teraz siedzi bez ruchu na spotkaniach zarządów różnych organizacji charytatywnych i wydaje pieniądze męża, a on nie protestuje, dopóki ona nie wtrąca się w jego życie.

Czułem, że wiem o Harmonie wszystko w każdym szczególe: był lubiącym sobie dogadzać człowiekiem, który miał wystarczającą ilość pieniędzy, by móc pozwolić sobie na pogoń za swoimi zachciankami i ich zaspakajanie, nawet jeżeli jego potrzeby rosły z każdym nowym kęsem. Pochodził z rodziny o dobrych koneksjach politycznych, jego ojciec był doradcą Demokratów, chociaż kilka niepowodzeń w biznesie pozostało na nim cieniem skandalu tak, że nigdy nie udało mu się zbliżyć do koryta i korzystać z niego z tymi naprawdę największymi. Sam Harmon, jako młody człowiek w 1971, był raz bardzo aktywny, pracując w trakcie kampanii Eda Muskiego i nawet pojechał z nim do Moskwy dzięki staraniom jego ojca. Okazało się jednak, że Muskie nie tylko nie zdobył nominacji, ale i prawdopodobnie dobrze się stało, że McGovern zabrał mu wszystko w prawyborach. Muskie nie potrafił utemperować swojego temperamentu. Wściekał się na dziennikarzy i pracowników i robił to publicznie. Gdyby zdobył nominację, ta strona jego charakteru wnet stałaby się znana tym, którzy na niego głosowali. Tak więc, Joel Harmon i jego rodzina szybko i cicho porzucili Muskiego, a cały idealizm polityczny, który mógł być udziałem Joela został porzucony na poboczu drogi, kiedy on sam zajął się pilnie sprawą akumulowania bogactwa, by nadrobić biznesowe niepowodzenia ojca.

Ale zdaniem June, Harmon był o wiele bardziej skomplikowany, aniżeli mógł się wydawać na pierwszy rzut oka: dawał szczodre datki na działalność charytatywną nie tylko oficjalnie, ale i prywatnie. Jego poglądy na temat systemu ubezpieczeń i opieki społecznej czyniły zeń prawie socjalistę według amerykańskich standardów i zawsze miał znaczący, chociaż dyskretny, głos w tych sprawach, ciesząc się zaufaniem kolejnych gubernatorów i reprezentantów stanowych. Był entuzjastą miasta i stanu, w których mieszkał i wiadomo było, że jego dzieci lekko się niepokoją łatwością, z jaką trwonili to, co uważały za swoją własność, bo ich sumienie społeczne było znacznie słabiej rozwinięte aniżeli u ich ojca.

Chciałem zachować jasną głowę, więc sączyłem małymi łykami sok pomarańczowy, podczas gdy inni goście pili szampana. Rozpoznałem jedną czy dwie osoby wśród tych, które zaprosił Harmon. Jedną z nich był pisarz, Jon Lee Jacobs, autor powieści i wierszy o poławiaczach homarów i zewie morza. Miał dużą rudą brodę i ubierał się jak postaci w jego książkach, tyle tylko że sam pochodził z rodziny księgowych z Massachusetts i plotka głosiła, że dostawał choroby morskiej już wtedy, gdy wdepnął w kałużę. Drugą znajomą osobą był doktor Byron Russel, młody psychoanalityk, który pojawiał się od czasu do czasu na falach radia publicznego stanu Maine i w programach miejscowych kanałów telewizyjnych, kiedy tylko potrzebny był głos poważnej „gadającej głowy” na temat zdrowia psychicznego. Na plus Russelowi trzeba zapisać to, że przemawiał na ogół głosem rozsądku, często kosztem jakiejś pani o przesłodzonym głosie, która zdobyła lipny stopień z psychologii w jakimś college’u funkcjonującym w przyczepie kempingowej i wierzyła w cklive komunały, wobec których depresja i samobójstwo mogły się wydać atrakcyjniejszą możliwością aniżeli konieczność słuchania tej pani. Co ciekawe, na przyjęciu obecny był również Elwin Stark, adwokat, który tak bardzo nie chciał ze mną rozmawiać parę dni wcześniej w tym tygodniu. Miałem ochotę powiedzieć mu o Eldritch, który rozmawiał ze mną o wiele dłużej, ale właściwie nie powiedział mi nic więcej, niż

dowiedziałem się w ułamku czasu spędzonego na rozmowie ze Starkiem, a od razu było widać, że osobiste spotkanie ze mną było mu równie nie w smak, jak rozmowa ze mną przez telefon. Niemniej jednak w końcu postarał się być grzeczny przez parę minut. Nawet przeprosił, tak jakby, za to, że był wcześniej szorstki. Czułem od niego whisky, chociaż miał szampan w kieliszku. Najwyraźniej zaczął wcześniej niż reszta gości.

- Miałem diabelnie ciężki dzień, kiedy pan zadzwonił - powiedział. - To nie była odpowiednia pora.

- Często zdarza mi się nieodpowiednia pora - odparłem. - A wycucie czasu jest najważniejsze.

- Prawda. Ciągłe jeszcze pan węszy koło tej sprawy Clay-a?

Potwierdziłem, że tak. Zrobił minę, jakby ktoś go właśnie poczęstował kawałkiem zepsutej ryby. I wtedy powiedział mi o tych martwych wronach.

- Strasznie to przeraziło mają sekretarkę - powiedział. - Myślała, że to robota satanistów.

- A pan co pomyślał?

- No, to było coś nowego, muszę przyznać. Najgorsza rzecz, która mnie spotkała przed tym, to kij golfowy, który wbito mi w przednią szybę mojego lexusa.

- Domyśla się pan, kto mógł to zrobić?

- Mogę przypuszczać, kogo pan typuje: tego samego face-ta, który prześladowuje Rebecę Clay. Wiedziałem, że pan przynosi pecha w momencie, kiedy usłyszałem pana głos. - Próbowałem to zmienić w żart, ale było jasne, że tak myślał.

- Dlaczego miałby wziąć pana na cel?

- Bo jest zdesperowany, a moje nazwisko figurowało w całej dokumentacji związanej ze sprawą ojca Rebecki. Jednak przekazałem zatwierdzenie testamentu komu innemu. Co za dużo, to niezdrowo.

- Czy jest pan zaniepokojony?

- Nie, nie jestem. Już pływałem z rekinami i przeżyłem. Mam ludzi, do których mogę się zwrócić, jeżeli będę musiał. Rebecca natomiast tylko tak długo ma ludzi, jak długo będzie ją stać, żeby im płacić. Powinien pan dać sobie spokój z tą

całą sprawą, Parker. Tylko pan pogarsza sytuację, grzebiąc w mule na dnie sadzawki.

- Nie interesuje pana prawda?

- Jestem adwokatem - odpowiedział. - Co tu ma do rzeczy prawda. Moim obowiązkiem jest ochrona interesów moich klientów. Czasami prawda tylko przeszkadza.

- To jest bardzo, hmm, pragmatyczne podejście.

- Jestem realistą. Nie prowadzę spraw kryminalnych, ale gdybym musiał pana bronić w sprawie z zarzutem o morderstwo i pan zdecydowałby się twierdzić, że jest niewinny, to czego by pan oczekiwał po mnie? Że powiem sędziemu, że tak naprawdę uważam, że pan to zrobił, bo taka jest prawda? Niech pan będzie poważny. Prawo nie wymaga prawdy, tylko pozorów prawdy. Większość spraw opiera się na wersji, która jest do przyjęcia przez obydwie strony. Pan chce wiedzieć, jaka jest jedna, najprawdziwsza prawda? Że wszyscy kłamią. Tak jest. To jest prawda. Może pan to opatentować.

- Ma pan więc klienta, którego interesy pan chroni w sprawie Daniela Claya?

Pogroził mi palcem. Nie podobał mi się ten gest, tak ja mi się nie podobało, że zwrócił się do mnie po nazwisku.

- Niezły z pana numer - powiedział. - Daniel był moim klientem. Również klientką była, krótko, jego córka. Teraz Daniel nie żyje. Sprawa skończona. Niech spoczywa w spokoju, gdziekolwiek jest.

Zostawił nas i poszedł porozmawiać z pisarzem Jacobsem.

June powtórzyła gest Starka i pogroziła mi palcem.

- On ma rację - powiedziała. - Naprawdę niezły numer z ciebie. Czy zdarzają ci się rozmowy, które kończą się przyjemnie?

- Tylko z tobą - odpowiedziałem.

- Dlatego, że ja nie słucham tego, co mówisz.

- Może tak być - przyznałem, gdy kelner dał dzwonkiem sygnał wzywający nas na kolację.

Wyglądało na to, że w kolacji ma brać udział dwanaście osób, łącznie z Harmonem i jego żoną, ale pojawili się dodatkowo goście: artystka tworząca kolaże, o której nawet June

nie słyszała i trzech bankierów, przyjaciół Harmona z dawnych lat. Harmon rozmawiał z nami pierwszy raz, dopiero gdy wchodziliśmy do jadalni i przeprosił, że nie dotarł do nas wcześniej.

- No, June - powiedział - już się zaczynałem martwić, czy zobaczę cię jeszcze kiedyś na którymś z moich wieczorków. Bałem się, że cię czymś obrażem.

June z uśmiechem skinęła dłonią.

- Znam cię o wiele za dobrze na to, żeby w ogóle się obrażać o cokolwiek poza tym, że sporadycznie zawodzi cię twój smak artystyczny.

Przesunęła się lekko w bok, pozwalając, byśmy z Harmonem mogli uścisnąć sobie dłonie. Posiadł tę umiejętność i doprowadził do wirtuozerii. Mógłby dawać lekcje na temat właściwego czasu trwania, siły uścisku, szerokości towarzyszącego uśmiechu.

- Słyszałem bardzo dużo o panu, panie Parker. Prowadzi pan interesujące życie.

- Nie jest tak twórcze, jak pana. Ma pan piękny dom i fascynującą kolekcję.

Ściany były ozdobione niewiarygodnie różnorodnymi dziełami sztuki, umiejscowienie każdego dzieła było wyraźnie rezultatem głębokich przemyśleń tak, że obrazy i rysunki zdawały się dopełniać czy odzwierciedlać wzajemnie, a czasem właśnie kontrastować w wypadkach, gdzie takie zestawienie mogło zrobić szczególne wrażenie na widzu. Na prawo od miejsca, w którym staliśmy, wisiał piękny, chociaż nieco ponury akt młodej kobiety leżącej na łóżku, umieszczony naprzeciwko o wiele starszego obrazu przedstawiającego starca w momencie śmierci na bardzo podobnym łóżku. W ostatnich chwilach towarzyszą starcowi lekarz oraz grupa krewnych i przyjaciół, niektórzy z nich zrozpaczeni, niektórzy smutni, a niektórzy po prostu chciwi. Wśród nich jest młoda kobieta, której twarz niepokojąco przypomina rysy kobiety z aktu naprzeciwko. Podobne łóżka, podobne kobiety pozornie oddzielone przez stulecia, a teraz stanowiące część tej samej historii z powodu bliskości obu obrazów.

Harmon rozpromienił się z zadowolenia.

- Gdyby sprawiło to panu przyjemność, chętnie oprowadzę pana po kolacji. Jedną z korzyści trochę eklektycznego gustu, bez względu na opinię June o kierunku, w którym mój gust czasem podąża, jest to, że w takiej kolekcji zazwyczaj każdy znajdzie coś satysfakcjonującego. Bardzo mnie interesuje i chciałbym zobaczyć, co panu się spodoba, panie Parker, to naprawdę ciekawe. Chodźmy teraz, zaraz podadzą kolację.

Zajęliśmy miejsca przy stole. Siedziałem pomiędzy przyjaciółką Harmona, która miała na imię Nyoko, a artystką od kolażów. Artystka miała blond włosy poprzetykane zielonymi pasemkami, była smukła i atrakcyjna w dość niepokojący sposób. Wyglądała na dziewczynę, która ma wpisany potencjał do cięcia przegubów i to nie tylko swoich własnych. Powiedziała mi, że ma na imię Summer - lato.

- Summer - powtórzyłem. - Naprawdę?

Zmarszczyła brwi. Ledwie usiadłem, a już kogoś unieszczęśliwiłem.

- To moje prawdziwe imię - powiedziała. - Moje nadane imię zostało mi narzucone. Odrzucenie go na korzyść mojej prawdziwej tożsamości pozwoliło mi zająć się dążeniem do sztuki.

- Aha - mruknąłem. Dziwadło.

Nyoko była w trochę lepszym kontakcie z obiektywną rzeczywistością. Ukończyła historię sztuki i właśnie niedawno wróciła do Maine po dwóch latach spędzonych w Australii, gdzie pracowała. Kiedy zapytałem ją, jak długo zna Harmona, zażenowanie kazało jej się lekko zarumienić.

- Poznaliśmy się na otwarciu galerii parę miesięcy temu. I wiem, co pan sobie myśli.

- Wie pani?

- No, wiem, co ja bym sobie pomyślała, gdybyśmy zamienili się miejscami.

- To znaczy, gdybym ja się spotykał z Joelem Harmonem? On raczej nie jest w moim typie.

Zachichotała.

- Pan wie, co chciałam powiedzieć. On jest starszy ode mnie, żonaty, powiedzmy. Jest bogaty, a ja jeżdżę samochodem pewnie tańszym niż koniak, który Joel każe podać po

kolacji. Ale on mi się podoba: jest zabawny, ma dobry gust, zna życie. Pozwalam ludziom myśleć, co chcą.

- Nawet jego żonie?

- Czy nie jest pan nadto obcesowy?

- Przecież siedzę koło pani. Jeżeli jego żona zacznie rzucać wkoło nożami po drugim kieliszku wina, chciałbym być pewny, że noże są wymierzone w panią, a nie we mnie.

- Jej jest obojętne, co robi Joel. Nie wiem, czy ona w ogóle zwraca na to uwagę.

Jakby na zawołanie, Lawrie Harmon spojrzała w naszym kierunku i zdołała wykrzesać parę dodatkowych milimetrów uśmiechu. Jej mąż, który siedział u szczytu stołu, pogłaskał jej lewą dłoń w zamyśleniu tak, jak mógłby pogłaskać psa. Ale na moment, zdawało mi się, że ten tępy wyraz znikł z jej spojrzenia i coś przebiło się przez mgłę, jak obiektyw kamery koncentrujący się na momencie doskonałej ostrości przed zwolnieniem migawki. Po raz pierwszy tego wieczoru jej wzrok zatrzymał się, ale tylko na Nyoko. Potem uśmiech delikatnie wyrównał się i jej uwaga przeniosła się na coś innego. Nyoko tego nie zauważyła, ponieważ była zajęta czymś, co powiedziała do niej Summer, chociaż zastanawiałem się, czy w ogóle zauważyłaby różnicę, gdyby patrzyła.

Harmon skinieniem dał znak jednemu z kelnerów, którzy stali dookoła nas w kręgu, jak białe wskazówki kompasu i natychmiast zaczęły pojawiać się przed nami dania, rozstawiane bezszelestnie i sprawnie. Na końcu stołu były jeszcze dwa puste miejsca.

- Czy jeszcze kogoś brakuje, Joel? - spytał Jacobs. Miał opinię kogoś, kto jeżeli tylko ma okazję, może bez końca perorować o tym, jaki to z niego wizjoner, znawca natury i piewca dostojeństwa zwykłego człowieka. Najwyraźniej podsumował resztę z nas i uznał, że nie będziemy stanowić konkurencji, ale nie chciał, by jacyś nieznani przybysze go przyćmili. Jego broda drgnęła, jakby jakieś żywe stworzenie zmieniło wewnątrz niej swoją pozycję, a potem jego uwagę zaprzątnęła przystawka z zapiekanej w ceramicznym naczyniu kaczki.

Harmon popatrzył na krzesła, jakby je dopiero teraz po raz pierwszy zobaczył.

- Naszych dzieci - powiedział. - Mieliśmy nadzieję, że może do nas dołączą, ale wiesz, jak to jest z dziećmi. W jachtklubie jest zabawa. Bez obrazy wobec tu obecnych, myślę, iż uznali, że tam będą mieli więcej okazji do brojenia aniżeli na kolacji z rodzicami i ich gośćmi. Proszę, częstujcie się.

Zaproszenie to przyszło trochę za późno dla Jacobsa, który był już w połowie dania. Trzeba przyznać, że na chwilę się speszył, a potem wrzucił lekko ramionami i wrócił do pałaszowania kaczki. Jedzenie było dobre, chociaż zapiekanki raczej nie robią na mnie wrażenia. Danie główne z sarniny było w porządku, chociaż podane jako *navarin* z ziarnami jałowca. Na deser był mus czekoladowy z limetą i kawa z pufkami na zakończenie. Wino, Duhart-Milon '98, Harmon określił jako *costaud* albo potężnie zbudowane, o złożonym bukicie, a pochodziło z jednej z mniejszych posiadłości Lafitte. Jacobs mądrze kiwał głową, jakby rozumiał to, o czym Harmon mówi. Wypiłem niewiele, małymi łykami, z grzeczności. Jak dla mnie wino było trochę za mocne, pod każdym względem.

Konwersacja zesłała ze spraw miejscowej polityki na sztukę i jak było do przewidzenia, na literaturę, przy czym tę ostatnią zmianę zainicjował Jacobs, który w tym momencie zaczął gładzić swoje piórka, czekając na pytania o swoje ostatnie wielkie dzieło. Nikt nie chciał zaryzykować otwarcia zapory przeciwpowodziowej, ale w końcu Harmon zapytał, najwiśdziej raczej z poczucia obowiązku niż prawdziwego zainteresowania. Sądząc po streszczeniu, które nastąpiło, Jacobs nie znużył się jeszcze mitologizowaniem zwykłego człowieka, chociaż nie zaczął go jeszcze rozumieć ani lubić.

- Ten człowiek - szepnęła June, kiedy zebrano talerze i goście zaczęli przechodzić przez podwójne drzwi do pokoju umebłowanego wygodnymi fotelami i kanapami - jest nieznośnym nudziarzem.

- Ktoś dał mi kiedyś jedną z jego książek - odpowiedziałem.

- Przeczytałeś ją?

- Zacząłem, ale potem dotarło do mnie, że na łożu śmierci będę chciał dostać ten czas z powrotem i mi go nie oddadzą. Więc wolałem zgubić książkę. Chyba wrzuciłem ją do morza.

- Mądra decyzja.

Harmon pojawił się u mojego boku.

- Może teraz obejrzymy obrazy, panie Parker? June, czy będziesz nam towarzyszyć?

June nie miała ochoty.

- Zaczniemy się zaraz spierać, Joel. Pozwolę twojemu nowemu gościowi podziwiać kolekcję i nie psuć mu przyjemności swoimi uprzedzeniami.

On skłonił się jej i potem zwrócił do mnie.

- Czy mogę zaproponować panu nowego drinka, panie Parker?

Podniosłem swój do połowy pełny kieliszek wina.

- Mam jeszcze, dziękuję.

- Zapraszam.

Przechodziliśmy z pokoju do pokoju, a Harmon wskazywał obrazy, z których był szczególnie dumny. Nie rozpoznałem wielu nazwisk, głównie chyba z powodu swojej ignorancji. Jednak nie mógłbym powiedzieć, że kolekcja Harmona przypadła mi do gustu i prawie słyszałem, jak June wyraża przeżalenie na widok niektórych dziwacznych prac.

- Słyszałem, że pan ma kilka obrazów Daniela Claya - powiedziałem, kiedy patrzyliśmy na coś, co mogło być zachodem słońca albo szwem chirurgicznym.

Harmon uśmiechnął się.

- June mi powiedziała, że pan może o nie zapytać - odparł. - Mam dwa w gabinecie na tyłach domu. Inne są w magazynie. Wystawa mojej kolekcji jest często zmieniana. Zbyt wiele obrazów i zbyt mało miejsca, nawet w takim dużym domu.

- Znał go pan dobrze?

- Byliśmy razem na studiach i utrzymywaliśmy kontakt po dyplomie. Gościł tu wielokrotnie. Bardzo go lubiłem. Był wrażliwym człowiekiem. To, co się zdarzyło, było po prostu straszne i dla niego, i dla dzieci, których to dotyczyło.

Poprowadził mnie do pokoju na tyłach domu z wysokimi oknami w wykuszach wychodzącymi na morze. Była to kombinacja gabinetu i małej biblioteki z dębowymi półkami od podłogi do sufitu i ogromnym biurkiem do kompletu. Harmon powiedział, że Nyoko używa tego gabinetu w dni, kiedy pracuje w domu. Były w nim tylko dwa obrazy na ścianach: jeden może sześćdziesiąt centymetrów na metr pięćdziesiąt, drugi o wiele mniejszy. Ten drugi przedstawiał wieżę kościoła na tle rozmytych sosen. Był zamglony, brzegi miał nieostre, jakby cała scena została przefiltrowana przez obiektyw posmarowany wazeliną. Większy obraz przedstawiał ciała mężczyzn i kobiet splątane razem, tak że całe płótno ukazywało zagadkową masę wijących się ciał. Było zaskakująco nieprzyjemne, tym bardziej że świadczyło o pewnym stopniu artyzmu włożonego w jego stworzenie.

- Chyba wolę krajobraz - powiedziałem.

- Większość ludzi go wybiera. Krajobraz jest późniejszą pracą, stworzony został może dwie dekady po tamtym. Obydwa są bez tytułu, ale większe płótno jest typowe dla wczesnego okresu prac Daniela.

Skupiłem uwagę z powrotem na krajobrazie. Było coś prawie znajomego w kształcie wieży.

- Czy to miejsce istnieje naprawdę?

- To jest Gilead - odpowiedział Harmon.

- Związane z „dziećmi z Gilead”?

Harmon skinął głową, potwierdzając.

- Jeszcze jedno ciemne miejsce w historii naszego Stanu. Dlatego trzymam to tutaj. Przypuszczam, że zachowałem je raczej, by oddać hołd pamięci Claya, aniżeli z innego powodu, ale to nie jest coś, co chciałbym wystawić w bardziej uczęszczanej części domu.

Wspólnota Gilead, nazwana od jednego z biblijnych miejsc ucieczki, założona została w latach pięćdziesiątych przez Benetta Lumleya, niewielkiego potentata przemysłu drewnianego. Lumley był bogobojnym człowiekiem, który troszczył się o życie duchowe mężczyzn pracujących w lasach pod kanadyjską granicą. Uważał, że jeżeli założy miasto, w którym

ci ludzie będą mogli mieszkać wraz z rodzinami, miasto bez takich rozrywek jak alkohol i dziwki, to pomoże im utrzymać się na uczciwej drodze życia. Utworzył plan budowy, którego najbardziej uderzającym elementem był ogromny kościół z kamienia zaprojektowany w centrum osady jako symbol oddania jej mieszkańców Bogu. Stopniowo domy zbudowane przez Lumleya zaczęły zapełniać się robotnikami leśnymi i ich rodzinami i prawdopodobnie niektórzy z nich byli szczerze zaangażowani w życie swojej społeczności oparte na chrześcijańskich zasadach.

Niestety, nie wszyscy podzielali te poglądy. Zaczęły się rozchodzić pogłoski o Gilead i o niektórych sprawach, które tam się działy pod osłoną nocy, ale to były inne czasy i policja niewiele mogła zrobić, szczególnie, że Lumley utrudniał jakiegokolwiek dochodzenia w trosce o zachowanie dobrej opinii swojej idealnej społeczności.

Potem, w 1959 roku, myśliwy podążający śladem jelenia przez las koło Gilead, natrafił na płytki grób, częściowo naruszony przez zwierzęta. Odkryto szczątki nowo narodzonego dziecka: był to chłopiec mający zaledwie jeden dzień w chwili śmierci. Został on wielokrotnie ukłuty, jak później stwierdzono, drutami do robótek ręcznych. Jeszcze dwa podobne groby zostały znalezione w pobliżu, a każdy zawierał małe zwłoki, jedno męskie i jedno żeńskie. Tym razem policja zjawiała się w pełnym składzie. Zadawano pytania; odbyły się delikatne i mniej delikatne przesłuchania, ale kilkoro dorosłych mieszkańców osady zdążyło ją wcześniej opuścić. Trzy dziewczyny, jedna w wieku czternastu lat i dwie piętnastolatki, zostały zbadane przez lekarzy, którzy stwierdzili, że urodziły one dzieci w ostatnich dwunastu miesiącach. Lumley został zmuszony do działania. Zwołano spotkania i wpływowi dżentelmeni przeprowadzali rozmowy w zacisznych kątach swoich klubów. Cicho i bez zamieszania, ludzie opuścili Gilead, wszystkie budynki albo zostały zburzone, albo zaczęły się rozpadać, z wyjątkiem wielkiego, niedokończonego kościoła, który stopniowo poddał się w końcu lasowi, a jego wieża zmieniła się w kolumnę zieleni pod warstwami oplatającego

ją bluszczu. Tylko jedna osoba została skazana na więzienie w związku z tym, co się stało: człowiek nazwiskiem Mason Dubus, który uchodził za ważną postać w tej społeczności. Odbył karę za uprowadzenie dziecka i stosunki z nieletnimi po tym, jak jedna z dziewcząt, która urodziła dziecko, powiedziała policji, że była praktycznie więziona przez Dubusa i jego żonę przez siedem lat, a wcześniej została uprowadzona w pobliżu domu rodzinnego w Zachodniej Wirginii, kiedy wyszła zbierać jagody. Żona Dubusa uniknęła więzienia, zeznając, że była zmuszona przez swojego męża do tego wszystkiego, co się zdarzyło, a przedstawione przez nią dowody pozwoliły doprowadzić do jego skazania. Odmówiła albo nie była w stanie nic więcej powiedzieć policji o tym, co działo się w Gilead, ale z zeznań niektórych dzieci, zarówno chłopców, jak i dziewcząt, jasno wynikało, że były wciąż molestowane przed, jak i po założeniu osady Gilead. Był to, jak wcześniej powiedział Harmon, ciemny rozdział w historii Stanu.

- Czy Clay stworzył dużo takich obrazów jak ten? - spytałem.

- Clay nie stworzył wielu obrazów, i kropka - odpowiedział Harmon - ale wśród tych, które ja widziałem, pewna liczba przedstawia Gilead.

Gilead leżała na skraju Jackman, a Jackman to było właśnie to miejsce, gdzie znaleziono porzucony samochód Clay'a. Przypomniałem Harmonowi o tym fakcie.

- Myślę, że Gilead na pewno interesowała Daniela - powiedział ostrożnie.

- Tylko interesowała, czy coś więcej?

- Pyta pan, czy Daniel miał obsesję na punkcie Gilead? Nie uważam, ale biorąc pod uwagę naturę jego pracy, wcale nie dziwi, że był zaciekawiony historią tego miejsca. Przeprowadził wywiad z Dubusem, wie pan. Powiedział mi o tym. Daniel miał jakiś pomysł na projekt związany z Gilead, zdaje mi się.

- Jakiś projekt?

- Tak, książkę o Gilead.

- Czy to było to słowo, którego użył? Projekt?

Harmon zastanowił się przez moment.

- Nie mógłbym powiedzieć z całą pewnością, ale mogło tak być. - Skończył resztę swojej brandy i postawił kieliszek na biurku.

- Obawiam się, że zaniedbuję swoich gości. Powinniśmy wrócić do towarzystwa.

Otworzył drzwi, przepuścił mnie, potem zamknął i przekreślił klucz za sobą.

- Jak pan myśli, co się stało z Danielem Clayem? zapytałem go, kiedy zbliżaliśmy się do pokoju, w którym zebrani byli goście i skąd dobiegał narastający szum ich rozmów.

Harmon zatrzymał się przy drzwiach.

- Nie wiem - oświadczył. - Mogę panu powiedzieć jedno, panie Parker: Daniel nie był człowiekiem, który by popełnił samobójstwo. Mógł się oskarżyć o to, co spotkało te dzieci, ale nie odebrałby sobie życia z tego powodu. Jednak, gdyby jeszcze żył, wierzę, że nawiązałby z kimś kontakt przez te lata, które upłynęły od jego zaginięcia, albo ze mną, albo ze swoją córką, albo z którymś ze swoich kolegów. Ale tego nie zrobił, ani razu.

- Więc myśli pan, że on nie żyje?

- Myślę, że został zabity - poprawił mnie Harmon. - Tylko nie mam pojęcia, dlaczego.

12

Przyjęcie, jeżeli to właściwa nazwa dla owego spotkania, skończyło się wnet po dziesiątej wieczorem. Większość czasu spędziłem w towarzystwie June, Summer i Nyoko, próbując odzywać się tak, jakbym trochę znał się na sztuce i ponosząc klęskę, znacznie mniej czasu spędziłem z Jacobsem i dwoma bankierami, usiłując robić wrażenie, że znam się trochę na finansach i tu też poniosłem klęskę. Jacobs, pisarz zwykłych ludzi, był bardzo biegły w sprawach akcji wysokiego ryzyka i spekulacji walutą jak na kogoś, kto głosi, że posiada umiejętność trafiania do serca zwykłego człowieka. Jego hipokryzja była tak wybujała, że prawie godna podziwu.

Powoli goście zaczęli kierować się w stronę swoich samochodów. Harmon stał na werandzie, chociaż nagle zrobiło się chłodno, i dziękował każdemu z nas za przybycie. Jego żona wycofała się, życząc nam uprzejmie dobrej nocy. Nyoko nie brała udziału w pożegnaniach, a ja raz jeszcze zdałem sobie sprawę, że pomimo pozorów, Lawrie Harmon nie była tak całkiem wyłączona z normalnego życia, jak chciała wierzyć młoda przyjaciółka pana domu.

Kiedy nadeszła moja kolej, by wyjść, Harmon położył swoją lewą dłoń na moim przedramieniu, a prawą uściśnął moją rękę.

- Proszę powiedzieć Rebecce, że jeżeli jest coś, co mógłbym dla niej zrobić, to niech tylko da mi znać - rzekł. - Jest sporo osób, które chciałyby dowiedzieć się, co stało się z Danielem. - Jego twarz pociemniała i głos stał się cichszy. - I to nie tylko wśród jego przyjaciół - dodał.

Czekałem, co powie dalej. Lubił być zagadkowy.

- Pod koniec, zanim zaginał, Daniel się zmienił - kontynuował Harmon. - I to nie z powodu kłopotów: sprawy Mullera, ujawnienia molestowania. Było jeszcze coś innego. Ostatnim razem, kiedy go widziałem, był czymś głęboko przejęty. Może chodziło o jakieś badania, ale jak badania mogłyby tak nim wstrząsnąć?

- Kiedy widział go pan po raz ostatni?

- Mniej więcej tydzień przed jego zaginięciem.

- I w żaden sposób nie dał panu do zrozumienia, co go gnębi, poza wiadomymi już sprawami?

- Nie. To tylko ja miałem takie wrażenie.

- Dlaczego nie wspomniał pan o tym wcześniej, w pana gabinecie?

Harmon posłał mi spojrzenie, które dało znać, że nie zwykł tolerować, żeby kwestionowano jego decyzje.

- Jestem ostrożnym człowiekiem, panie Parker. Gram w szachy i jestem w tym raczej dobry. Prawdopodobnie dlatego jestem też dobrym biznesmenem. Wiem, że warto zastanowić się chwilę przed wykonaniem ruchu. Wtedy w gabinecie, jakaś część mnie nie chciała mieć nic więcej do czynienia z Danielem Clayem. Był moim przyjacielem, ale po tym, co się stało, po tych pogłoskach i szeptanych oskarżeniach, czułem, że najlepiej zdystansować się od niego.

- A teraz zmienił pan zdanie.

- Nie, nie zmieniłem. Podejrzewam, że nic dobrego nie może wyniknąć z tego pańskiego węszenia dokoła tej sprawy, ale jeżeli odkryje pan prawdę o Danielu i to rozwieje podejrzania, i przy okazji pozwoli jego córce zaznać spokoju umysłu, no to wtedy może dowiedzie pan, że się myliłem.

Puścił moją dłoń i zwolnił uścisk na przedramieniu. Wyglądało na to, że skończyliśmy. Harmon patrzył, jak samochód pisarza wyjeżdża ze swojego miejsca postojowego na podjeździe. Był to stary dodge, ciężarówka - a powiadano, że jeździł mercedesem w Massachusetts, gdzie miał mieszkanie w pobliżu Harwardu - i Jacobs manewrował nią, jakby to był czołg przeciwpancerny. Harmon potrząsnął głową w pełnym konsternacji rozbawieniu.

- Wspomniał pan o innych ludziach, którzy mogliby się interesować tym, co się stało z Clayem, to znaczy nie jego przyjaciółmi i znajomymi.

Harmon nie popatrzył na mnie.

- Tak. Nietrudno się tego domyślić. Istnieją ludzie, którzy uważają, że Clay współdziałał w krzywdzeniu dzieci. Mam dwoje dzieci. Wiem, co bym zrobił każdemu, kto by je skrzywdził, czy też temu, kto by pozwolił innym to zrobić.

- I co by pan zrobił, panie Harmon?

Odwrócił wzrok od coraz bardziej gwałtownych manewrów Jacobsa, który próbował nawrócić bez pomocy układu kierowniczego ze wspomaganiami.

- Ja bym go zabił - powiedział w tak dziwnie rzeczowy sposób, że nie wątpiłem w jego słowa ani przez moment. Zdałem sobie wtedy sprawę z tego, że pomimo tej całej jego serdeczności, dobrych win i ładnych obrazów, Joel Harmon jest człowiekiem, który bez wahania zniszczyłby każdego, kto by mu się naraził. No i przez moment zastanawiałem się, czy Daniel Clay nie był takim właśnie człowiekiem, i czy zainteresowanie Joela Harmona Clayem jest rzeczywiście tak całkowicie niewinne. Zanim mogłem pójść dalej tropem tej myśli, przyszła Nyoko i szepnęła coś Harmonowi na ucho.

- Jesteś pewna? - zapytał Harmon.

Skinęła głową.

Harmon natychmiast zawołał do tych, którzy dotarli już do swoich samochodów, żeby się zatrzymali. Russel, psychoanalityk, poklepał maskę ciężarówki Jacobsa, dając mu znak, że ma zgasić silnik. Jacobs wyglądał, jakby to przyjął prawie z ulgą.

- Zdaje się, że mamy intruza na naszym terenie - powiedział Harmon. - Będzie lepiej, jak wszyscy wejdziecie na chwilę do domu, dla bezpieczeństwa.

Wszyscy zrobili, jak prosił Harmon, i tylko Jacobs narzekał, najwyraźniej czuł, że nachodzi go jakiś wiersz i chciał powierzyć go kartce papieru, zanim będzie stracony dla potomnych, a może próbował ukryć zażenowanie, z tego powodu że sknocił prosty skręt. Wszyscy powlekliśmy się z powrotem do biblioteki. Jacobs i Summer podeszli do jednego z

okien, skąd rozpościerał się widok na starannie przycięty trawnik na tyłach domu.

- Nikogo nie widzę - oświadczył Jacobs.

- Może powinniśmy trzymać się z daleka od okien - powiedziała Summer.

- To jest intruz, a nie snajper - zauważył Russel.

Summer nie wyglądała na przekonaną. Jacobs położył uspakajająco rękę na jej ramionach i zostawił ją tam. Ona nie protestowała. Jak to jest z tymi poetami?, zastanawiałem się. Zdaje się, że istnieje pewien typ kobiet, które po prostu poddają się na samą sugestię rymu wewnętrznego.

Kierowca Harmona, gospodyni i pokojówka mieszkali w pomieszczeniach dla służby przylegających do głównego budynku. Kelnerzy, którzy zbili się w stadko jak przestraszone gołębie, byli wynajęci na ten wieczór, a kucharka mieszkała w Portland i codziennie dojeżdżała do pracy w domu Harmona. Kierowca, który miał na imię Todd, dołączył do nas w hallu. Był ubrany zwyczajnie: miał na sobie dżinsy i koszulę. Miał też skórzaną kurtkę i broń. Był to smith & wesson, dziewięć milimetrów z efekciarskim wykończeniem, ale trzymał go w sposób, który sugerował, że wie, jak go użyć.

- Nie przeszkadza panu, że się przyłączę? - spytałem Harmona.

- W najmniejszym stopniu - odpowiedział. - To pewnie nic poważnego, ale lepiej się upewnić.

Poszliśmy do kuchni, gdzie kucharka i pokojówka stały przy zlewie i przerażone patrzyły na ogród przez małe okno nad zlewem.

- O co tu chodzi? - spytał Harmon.

- Maria zobaczyła kogoś - odpowiedziała kucharka.

Była atrakcyjną, starszą kobietą, miała ciemne włosy związane z tyłu, nakryte białym czepkiem, ciało szczupłe i wysportowane. Pokojówka była Meksykanką, też szczupłą i ładną. Joel Harmon najwyraźniej pozwalał, by względy estetyczne miały wpływ na procedury zatrudniania personelu.

- Tam, koło drzew, przy wschodniej ścianie. - Maria wskazała to miejsce ręką. - Chyba jakiś mężczyzna.

Wyglądała na jeszcze bardziej przestraszona niż Summer, drżały jej ręce.

- Czy pani też kogoś widziała? - spytał Harmon kucharkę.

- Nie, ja pracowałam. Maria mnie zawołała do okna. On mógł odejść, zanim ja tam podeszłam.

- Gdyby tam ktoś był, włączyłyby się czujniki ruchu - zauważył Harmon. Zwrócił się ponownie do Marii. - Czy włączyły się światła?

Potrząsnęła głową.

- Tam jest dość ciemno - powiedział Todd. - Jesteś pewna, że się nie mylisz?

- Nie myślę się - powiedziała. - Widziałam go.

Todd popatrzył na Harmona bardziej zrezygnowany niż zatroskany.

- Niczego tu się nie dowiemy - powiedziałem.

- Zapal wszystkie światła - polecił Harmon Toddowi.

Todd podszedł do skrzynki rozdzielczej na jednej ze ścian kuchni i wcisnął cały rząd przełączników. Natychmiast cały teren został oświetlony. Todd poprowadził nas na zewnątrz. Poszedłem za nim, biorąc po drodze latarkę z półki na ścianie. Harmon trzymał się z tyłu. Przecież nie miał broni. Niestety, ja też nie. Wydawało się niestosowne przynosić broń na kolację w domu nieznanego.

Światła rozjaśniły większą część ogrodu, jednak było jeszcze parę ciemnych miejsc pod drzewami rosnącymi przy murze. Poświeciłem tam latarką, żeby je sprawdzić, ale nic nie zobaczyliśmy. Ziemia była miękka, ale nie dostrzeżliśmy żadnych śladów stóp. Otaczający mur miał ponad dwa i pół metra wysokości i był pokryty bluszczem. Człowiek wspinający się po murze zniszczyłby bluszcz, a on wyglądał na nietknięty. Przeszukaliśmy pobieżnie resztę terenu i Todd uznał, że Maria musiała się pomylić.

- Ona jest taka roztrzęsiona nawet w najbardziej sprzyjających okolicznościach - powiedział, kiedy szliśmy do miejsca, gdzie Harmon na nas czekał. - Wszystko jest „Jesus” i „Madre de Dios”. Jest bardzo ładna, przynajmniej, ale większe szanse by człowiek miał z autobusem pełnym zakonnic.

Harmon podniósł ręce do góry w geście „I co się dzieje?”.

- Ani śladu - powiedział Todd.

- Dużo hałasu o nic - mruknął Harmon. Wrócił do kuchni, posłał Marii spojrzenie pełne dezaprobaty, a potem poszedł uwolnić gości. Todd ruszył za nim. Ja zostałem. Maria wkładała talerze do dużej zmywarki. Jej podbródek lekko drżał.

- Czy możesz mi powiedzieć, co widziałaś?

Wzruszyła ramionami.

- Może pan Harmon ma rację. Może nic nie widziałam - powiedziała, chociaż widziałem z wyrazu jej twarzy, że nie wierzy w to, co mówi.

- Powiedz mi - poprosiłem.

Przerwała to, co robiła. Starła łzę, która zaczęła się na rzęsie.

- To był mężczyzna. W ubraniu. Chyba brązowym. *Muy sucio*. Jego twarz? Biała. *Palido, si?*

- Błada?

- *Si*, błada. I jeszcze...

Teraz znowu wyglądała na przerażoną. Dotknęła dłońmi twarzy i ust.

- Tutaj i tutaj, *nada*. Pusto. *Hueco*.

- *Hueco?* Nie rozumiem.

Maria spojrzała ponad moim ramieniem. Obróciłem się i zobaczyłam, że kucharka nam się przygląda.

- *Della* - powiedziała Maria - *ayudame explicarle lo que quiere decir „hueco”*.

- Pani mówi po hiszpańsku? - zapytałem.

- Trochę - odpowiedziała.

- Więc wie pani, co *hueco* może znaczyć?

- Nie jestem pewna. Spróbuję się dowiedzieć.

Della zamieniła parę słów z Marią, która wykonywała gesty i dawała znaki, żeby jej pomóc. W końcu wzięła pomalowane jajo strusia, w którym trzymano długopisy i postukała lekko w skorupę.

- *Hueco* - powiedziała Maria i twarz kucharki rozjaśniła się na moment, zanim znów przybrała zatroskany wyraz, tak jakby źle zrozumiała to, co usłyszała.

- *Hueco* znaczy pusty, wydrążony - powiedziała. - Maria mówi, że to był wydrążony człowiek.

W hallu czekała na mnie June. Harmon czuwał w pobliżu, jakby już pilnie chciał pozbyć się nas wszystkich. Todd rozmawiał przez telefon. Słyszałem, że dziękuje komuś, zanim się rozłączył. Najwyraźniej chciał Harmonowi coś powiedzieć, ale nie był pewny, czy nie powinien poczekać, aż wyjdziemy. Zdecydowałem się go przycisnąć.

- Coś nie w porządku?

Zerknął na Harmona, prosząc o pozwolenie, by mówić w obecności innych.

- No i co? - spytał jego szef. - Co powiedzieli?

- Zadzwoń na policję w Falmouth - powiedział Todd, kierując wyjaśnienie zarówno do mnie, jak i do swego chlebo-dawcy. - Wydawało się, że warto sprawdzić, czy zauważyli coś niezwykłego. Zazwyczaj dobrze pilnują domów w tej okolicy.

- Mówiąc to, przypuszczam, miał na myśli fakt, że dobrze pilnowali domu Joela Harmona. Mógł kupić i sprzedać większość swoich sąsiadów dziesięć razy. - Ktoś zgłosił, że widział samochód krążący po okolicy, może nawet parkujący przy wschodniej ścianie posiadłości i nabrał podejrzeń. Kiedy policjanci przyjechali, samochodu już nie było, ale możliwe, że to miało związek z tym, co widziała Maria.

- Mają markę samochodu i numer? - zapytałem go. Todd pokręcił przecząco głową.

- Wiem tylko, że to średniej wielkości czerwone auto - odpowiedział.

Harmon musiał coś dostrzec w mojej twarzy.

- Coś to panu mówi? - zapytał.

- Być może - powiedziałem. - Frank Merrick, człowiek, który niepokoi Rebeccę Clay, jeździ czerwonym autem. Jeżeli ja potrafiłem znaleźć związek między panem i Clayem, to on też mógł.

- Przyjaźń - poprawił mnie Harmon - a nie związek. Daniel Clay był moim przyjacielem. I jeżeli ten człowiek, Merrick, chce porozmawiać o nim ze mną, to powiem mu to, co właśnie powiedziałem panu.

Podszedłem do drzwi i wyjrzałem na wyłożony kamieniami podjazd, oświetlony światłem z domu i lampami, które stały wzdłuż brzegu. To był Merrick. To musiał być on. Ale rysopis Merricka nie odpowiadał opisowi człowieka zobaczonego w ogrodzie, który podała Maria. Merrick przyszedł tu, ale nie był sam.

Wydrążony.

- Na pana miejscu byłbym ostrożny przez kilka następnych dni, panie Harmon - powiedziałem. - Gdy będzie pan wychodził, lepiej by Todd panu towarzyszył. Radziłbym też sprawdzić system alarmowy.

- I to wszystko z powodu tego jednego człowieka? - spytał Harmon. W jego głosie pobrzmiewało lekkie niedowierzanie.

- On jest niebezpieczny, a poza tym może nie być sam. Jak pan sam powiedział, lepiej uważać.

Po tych słowach June i ja wyszliśmy. Ja prowadziłem, elektroniczna brama bezszelestnie otworzyła się przed nami, gdy zostawialiśmy dom Harmona za sobą.

- No, no - mruknęła June - ale ty prowadzisz interesujące życie.

Popatrzyłem na nią.

- Myślisz, że to moja robota?

- Powiedziałeś Joelowi, że człowiek w samochodzie mógł znaleźć te same powiązania, które ty znalazłeś, albo raczej, ja ci ułatwiłam - ale istnieje jeszcze inna możliwość.

W jej głosie był tylko ślad wyrzutu. Nie musiała mi mówić, dlaczego. Sam się domyśliłem, chociaż nie chciałem tego powiedzieć przy Harmonie i wcisnąłem to sobie do gardła z powrotem, jak żółć. Tak jak ja wysledziłem Merricka, tak, być może, teraz Merrick śledzi mnie i to ja przywiódłem go prosto do Joela Harmona.

Ale martwiło mnie też pojawienie się mężczyzny w ogrodzie Harmona. Wyglądało na to, że śledztwo Merricka przyciągnęło też coś innego, człowieka, nie, kilkoro ludzi - poprawiłem się, przypominając sobie wrażenie podobne do cuchnących powiewów rozstępujących się przede mną i litery

krzywo napisane na warstwie kurzu, jak gdyby dziecinną ręką - towarzyszących działaniom Merricka, jak cienie. Czy jest świadom ich obecności albo może ich obecność ma coś wspólnego z klientem Eldritch'a? Jednak trudno sobie wyobrazić ledwo dostrzegalnych ludzi wspinających się po chwiejnych schodach do kancelarii starego prawnika albo prowadzących konszachty z wiedźmą, która broniła dostępu do wyższych poziomów firmy Eldritch'a. Coś, co wyglądało z początku na prosty przypadek nękania, stało się czymś nieskończenie dziwniejszym i bardziej złożonym. Ostateczny termin wyznaczony przez Merricka zbliżał się nieubłaganie; chociaż uruchomiłem plan uporania się z nim, wiedziałem też, że jest on, w pewnym sensie, moim najmniejszym zmartwieniem. Z Merrickiem mogłem sobie poradzić. Był niebezpieczny, ale był znanym złem. Wydrażeni Ludzie byli niewiadomą.

Następnego dnia wcześniej rano stałem koło parkingu przy centrum handlowym w Portland. Temperatura spadła gwałtownie w nocy i prezenterzy prognozy pogody podawali, że prawdopodobnie będzie zimno przez jakiś czas, co w warunkach stanu Maine znaczy, że ocieplenie przyjdzie dopiero w kwietniu. Był to wilgotny chłód, taki, który sprawiał, że ubranie wydawało się mokre w dotyku, a okna kawiarni, restauracji i nawet przejeżdżających samochodów były zaparowane, bo ogrzewanie powodowało, że wilgoć parowała, tworząc nieprzyjemnie klaustrofobiczną atmosferę we wszystkich wnętrzach z wyjątkiem tych najmniej zatłoczonych

Choć większość ludzi znajdowała schronienie pod dachem, byli tacy, którzy nie mieli tyle szczęścia. Właśnie formowała się kolejka przed ośrodkiem pomocy na Preble Street, gdzie codziennie rano zbierali się najbiedniejsi mieszkańcy miasta na śniadanie podawane przez wolontariuszy. Niektórzy mogą mieć nadzieję na prysznic albo pranie, kiedy już tam są, albo mogą dostać czyste ubranie czy korzystać z telefonu. Pracujący biedni, którzy nie mogą wrócić w południe, dostają drugie śniadanie zapakowane, żeby nie byli głodni później. W ten sposób ośrodek i jego partnerzy, stołówki dla bezdomnych, Wayside i St. Luke, wydają ponad trzysta tysięcy posiłków każdego roku dla ludzi, którzy w przeciwnym wypadku mogliby zginać z głodu albo musieliby wziąć pieniądze z tych przeznaczonych na czynsz czy wykup podstawowych leków, żeby jakoś przeżyć.

Przyglądałem im się z miejsca, w którym stałem: kolejka składała się głównie z mężczyzn, kilku z nich było najwyraźniej weteranami ulicy, mieli na sobie warstwy brudnej odzieży i

rozczochrane włosy, podczas gdy innych dzieliło od bezdomności jeszcze parę kroków. Nieliczne kobiety, które też czekały w kolejce, miały twarze o surowych rysach i były duże, ich rysy zostały zniekształcone przez alkohol i trudne życie, a ciała spuchnięte od taniego, tłustego żarcia i taniego alkoholu. Można też było wyłowić nowo przybyłych, tych, którzy musieli się dopiero przyzwyczaić do tego, żeby utrzymywać siebie i rodzinę z datków i jałmużny. Nie rozmawiali, ani nie przyłączali się do reszty, głowy mieli spuszczone albo odwrócone do ściany w obawie przed kontaktem wzrokowym z tymi dokoła nich, jak nowi więźniowie w celi bloku więziennego. Być może oni też się obawiali podnieść wzrok i spotkać znajomego albo sąsiada, czy nawet szefa, który mógłby uznać, że dawanie pracy komuś, kto musi żebrać o śniadanie, jest niekorzystne dla firmy. Prawie wszyscy w kolejce byli około trzydziestki lub starsi. Dawało to fałszywy obraz obszaru biedy w mieście, gdzie jeden z pięciu nieletnich żył poniżej minimum socjalnego.

W pobliżu znajdował się Ośrodek Rehabilitacji Dorosłych prowadzony przez Armię Zbawienia, Śródmiejski Ośrodek Współpracy Policji ze Społecznością Lokalną i miejski wydział do spraw nadzoru kuratorskiego i zwolnień warunkowych. Obszar ten był wąską ścieżką, na której większość tych, którzy mieli problemy z prawem, musiała nieuchronnie się znaleźć. Tak więc stałem tam sobie, pijąc kawę z centrum handlowego, żeby się ogrzać, i czekałem, aż pokaże się znajoma twarz. Nikt nie zwracał na mnie specjalnej uwagi. W końcu, było zbyt zimno, żeby troszczyć się o kogoś więcej niż tylko o siebie.

Po dwudziestu minutach zobaczyłem człowieka, na którego czekałem. Nazywał się Abraham Shockey, ale na ulicy był znany jako „Posłaniec”. Był zawodowym przestępcą. Fakt, że nie był zbyt dobry w swoim fachu, nie miał znaczenia dla sądów. W swoim czasie był oskarżony o posiadanie narkotyków z zamiarem sprzedaży, kradzież przez oszustwo, kradzież, prowadzenie pod wpływem alkoholu i kłusownictwo, między innymi. Posłaniec miał szczęście, że przemoc nigdy nie grała

żadnej roli w jego działalności, tak że w wielu wypadkach korzystał z faktu, że jego wykroczenia należały do kategorii wątpliwych lub przestępstw, które niebyły statutowo zdefiniowane jako ciężkie przestępstwa, tak że niektóre zostały później zredukowane do występków przez sąd pierwszej instancji. Miejscowi policjanci też wystawiali mu dobrą opinię, kiedy ich o to proszono, bo Posłaniec był przyjacielem wszystkich. Znał ludzi. Słuchał. Pamiętał. Nie był donosicielem. Miał swoje standardy zachowania, swoje zasady i stosował się do nich najlepiej jak potrafił. Posłaniec nie doniósłby na nikogo, ale był człowiekiem, którego można poprosić o przekazanie wiadomości komuś, kto starał się nie zwracać na siebie uwagi, albo jeżeli chciało się znaleźć indywiduum o marnej reputacji dla innego celu niż wsadzenie go za kraty. Posłaniec działał również jako wysłannik tych, którzy mieli kłopoty i chcieli zawrzeć umowę z policjantem albo kuratorem sądowym. Był małym, ale użytecznym trybikiem w mechanizmie nieoficjalnego systemu sprawiedliwości i sądów cieni, w których dobijano targu i przymykano oko tak, że cenny czas można było poświęcić na pilniejsze sprawy.

Zauważył mnie, gdy zajął miejsce w kolejce. Skinąłem do niego głową, potem powoli poszedłem w dół Portland Street. Po kilku minutach usłyszałem kroki zbliżające się z tyłu i Posłaniec dołączył do mnie. Był pod pięćdziesiątkę, jego ubranie wyglądało na czyste, choć zniszczone. Miał na sobie żółte tenisówki, dzinsy, dwa swetry i płaszcz z rozcięciem z tyłu sięgającym do połowy pleców. Rudobrazowe włosy Posłańca były nierówno obcięte: ludzie w jego sytuacji nie marnowali pieniędzy na fryzjerów. Mieszkał za darmo w jednopokojowym pomieszczeniu w suterenie niedaleko Forest Avenue z łaski nieobecnego gospodarza, który polegał na nim, że przypilnuje jego bardziej niesfornych lokatorów i nakarmi domowego kota rezydenta.

- Śniadanie? - zaproponowałem.
- Tylko u Bintliffa - odpowiedział. - Podobno robią tam wspaniałe jajka sadzone na grzance z homarem.
- Ty naprawdę masz dobry gust i smak na lepsze życie - powiedziałem.

- Urodziłem się w czepku.
- Czyżby? Raczej go rąbnałeś dzieciakowi z sąsiedniej kołyski.

Na ich korzyść muszę powiedzieć, że nikt nawet nie popatrzył na nas u Bintliffa. Siedliśmy w boksie na górze i Posłaniec zamówił mnóstwo jedzenia, żeby nasycić się na cały dzień: owoce i sok pomarańczowy na początek, potem jajka sadzone z homarem na grzankach, o których tyle słyszał, dodatkowo ziemniaki smażone w plasterkach, i kilka drożdżówek, z których trzy powędrowały do kieszeni płaszcza „dla moich kumpli”, jak wyjaśnił. Przy jedzeniu rozmawialiśmy o książkach i miejscowych wiadomościach i wszystkim, co nam przyszło do głowy z wyjątkiem sprawy, która była przyczyną naszej wizyty tutaj. Był to dżentelmeński sposób prowadzenia interesów, a Posłaniec był zawsze dżentelmenem, nawet kiedy próbował ukraść podeszwę czyjegoś buta.

- No - powiedział, kończąc piątą kawę - przyprowadził mnie pan tutaj tylko dla przyjemności przebywania w moim towarzystwie?

Kawa go nie rozdygotała, w każdym razie nie bardziej niż był sam rozdygotany. Gdyby dać mu do potrzymania w dłoniach miseczkę śmietany, zmieniłby ją w masło w czasie potrzebnym do nakręcenia zegarka. Miał tyle nerwowej energii, że przebywanie w jego bezpośredniej bliskości przez dłuższy czas było męczące.

- Nie tylko dlatego - odrzekłem. - Chciałbym, żebyś popytał, zorientował się, czy uda się znaleźć kogoś, kto poznał niejakiego Franka Merricka podczas odsiadki w Thomason albo w Supermax. Siedział dziesięć lat, ostatnie dwa lub trzy w Maksie, potem go zwolnili i posłali na rozprawę do Wirginii.

- To ktoś wyjątkowy?
- To nie jest facet, którego się łatwo zapomina. Ma opinię wykonawcy wyroków.
- Pogłoski czy fakt?
- Jestem skłonny wierzyć w to, co słyszałem.
- Gdzie jest teraz?
- Właśnie tutaj.
- Odświeża stare znajomości?
- Możliwe. I jeżeli to prawda, chciałbym poznać nazwiska.

- Popytam. Nie powinno mi to zająć wiele czasu. Ma pan jakieś ćwierćdolarówki, żebym mógł do pana zadzwonić?

Dałem mu swój bilet wizytowy, drobne z kieszeni i pięćdziesiąt dolarów w dziesiątkach, piątkach i jednodolarowych banknotach, żeby mógł kupić piwo i kanapki, i ułatwić sobie zdobywanie informacji. Wiedziałem, jak działał Posłaniec. Pomagał mi już kiedyś. Gdy znajdzie kogoś, kto mógłby rzucić jakieś światło na Merricka, a byłem pewny, że znajdzie, wtedy zwróci mi drobne i garść paragonów i dopiero wtedy będzie oczekiwał zapłaty. W taki właśnie sposób Posłaniec funkcjonował w swym „urzędowym” wydaniu, kierując się jedną prostą zasadą: nie obrabia się nikogo, kto wygląda, jakby mógł być po twojej stronie.

Merrick zadzwonił do mnie w południe. Cały ranek rozglądałem się, szukając jakichś jego śladów, ale nie zobaczyłem ani Merricka, ani jego czerwonego samochodu. Jak był bystry, to zmienił auto, ale tu trzeba by założyć, że Eldritch i jego klient ciągle jeszcze chcą go finansować. Przedsięwzięłem wszystkie środki ostrożności, w razie gdyby Merrick albo ktoś inny miał mnie na oku. Uznałem, że nikogo takiego nie ma, nie tego dnia. Co więcej, Jackie Garner potwierdził, że u Rebecki Clay wszystko w porządku. A teraz dzwonił Merrick i groził, że zburzy jej spokój.

- Czas się skończył - powiedział.

- Czy pomyślałeś kiedyś, że mógłbyś więcej osiągnąć miodem niż octem?

- Nakarm człowieka miodem, a dostaniesz jego miłość. Podaj człowiekowi ocet, a zacznie się z tobą liczyć. Dobrze też złapać go za jaja i trochę przycisnąć.

- To bardzo głębokie. W więzieniu cię tego nauczyl?

- Mam nadzieję, że nie zmarnowałeś całego czasu na szukanie informacji o mnie, bo będziemy mieli problem.

- Nie znalazłem wiele ani o tobie, ani o Danielu Clayu. Jego córka nie wie więcej niż ty, ale już ci to powiedziała. Tylko ty nie chciałeś słuchać.

Merrick parsknął powietrzem przez nos, imitując rozba-
wienie.

- No, to pech. Powiedz swojej panience, że jestem nią
rozczarowany. Albo może powiem jej to sam.

- Poczekaj. Nie powiedziałem, że nic nie znalazłem. - Po-
trzebny był jakiś środek perswazji, coś, co pomogłoby go
wciągnąć. - Mam kopię policyjnej kartoteki Daniela Clay -
skłamałem.

- I co?

- Wymieniona jest w niej twoja córka.

Teraz Merrick zamilkł.

- Zawiera jakieś informacje, których nie rozumiem. My-
śle, że policjanci też tego nie rozumieli.

- Co to jest? - Jego głos brzmiał ochryple, jak gdyby coś
nagle utknęło mu w gardle.

Powinienem mieć wyrzuty sumienia za swoje kłamstwo.
Grałem na uczuciach Merricka dla zaginionego dziecka. By-
łyby konsekwencje, gdyby się dowiedział prawdy.

- Hmm... - powiedziałem. - Nie przez telefon.

- To co proponujesz? - zapytał.

- Spotkamy się. Dam ci popatrzeć na papiery. Powiem ci,
czego się dowiedziałem. Potem pójdziesz i zrobisz, co bę-
dziesz musiał zrobić, byle to nie miało nic wspólnego z Re-
becca Clay.

- Nie ufam ci. Widziałem jaskiniowców, których postawi-
łeś na straży tej kobiety. Co cię powstrzyma, jak zechcesz na-
słać ich na mnie? To żaden problem zabić ich, jak będę mu-
siał, ale to mogłoby, w pewnym sensie, przeszkodzić w moim
dochodzeniu.

- Ja też nie chcę ich krwi na swoich rękach. Spotkamy się
w publicznym miejscu, przeczytasz dokumenty i się rozej-
dziemy. Ostrzegam cię jednak: daję ci spokój z powodu twojej
córki. Pokaż się znowu koło Rebecki Clay i wszystko się zno-
wu zaogni.

Merrick wydał z siebie teatralne westchnienie.

- No, jak już skończyłeś te zawody, kto dalej sika, może
podasz miejsce.

Powiedziałem mu, żeby spotkał się ze mną w Big 20 Bow-
ling Centre - w kregielni przy drodze nr 1. Podąłem mu nawet,
jak tam dojechać. Potem zacząłem telefonować do różnych

osób. Posłaniec skontaktował się ze mną o trzeciej po południu tego samego dnia.

- Znalazłem kogoś dla pana. Ma swoją cenę.
- To znaczy?
- Bilet na dzisiejszy mecz hokejowy i pięćdziesiąt dolarów. Spotka pana na miejscu.
- Zgoda.
- Niech pan zostawi bilet dla niego do odebrania i poda moje nazwisko na kopercie. Ja załatwię resztę.
- Ile jestem winien?
- Może być sto dolarów?
- W porządku.
- Mam też jakąś resztę dla pana. Dam ją panu, jak mi pan zapłaci.
- Czy ten facet nazywa się jakoś?
- Nazywa, ale może mu pan mówić Bill.
- Czy to nerwowy typ?
- Nie był, dopóki nie wspomniałem o Merricku. Do zobaczenia.

Kręglarstwo odmiany *candlepin* to tradycyjna gra w Nowej Anglii. Kule są mniejsze i lżejsze niż w dziesięciofigurowych kręglach, a kręgle są cieńsze: trochę ponad siedem i pół centymetra w środku i po niecałe cztery centymetry na górze i na dole. Zbicie wszystkich kręgli pierwszą kulą jest raczej sprawą szczęścia aniżeli umiejętności i nie słyszano, żeby komukolwiek udało się doskonały rzut zbijający wszystkie dziesięć kręgli. Najlepszy wynik zarejestrowany w Maine to 231 z 300 możliwych. Mnie się nigdy nie udało rzut powyżej 100.

Kręgielnia Big 20 w Scarborough istnieje od 1950 roku, kiedy Mika Anton, urodzony w Albanii, założył tę wówczas największą i najbardziej nowoczesną kręgielnię w Maine. Nie zmieniła się wiele od tamtego czasu. Siedziałem na różowym, plastikowym krzeselku, popijałem jakiś napój gazowany i czekałem. Była czwarta trzydzieści w piątkowe popołudnie i

wszystkie tory były już zajęte przez graczy w różnym wieku, od nastolatków do seniorów. Rozlegał się śmiech i rozchodził zapach piwa i smażonego jedzenia, dominował łoskot kul toczących się po drewnianych torach. Przyglądałem się dwóm starszym facetom, którzy zamienili ze sobą może z dziesięć słów, a każdy z nich zdobył dwieście punktów i kiedy nie udało im się pokonać tej dwusetki, jeden z nich wyraził rozczarowanie prostym „Oj”.

Siedziałem w milczeniu, jedyny samotny mężczyzna wśród grup mężczyzn i kobiet, i wiedziałem, że wstępuję na ścieżkę wojenną z Merrickiem.

Moja komórka zadzwoniła krótko przed piątą i głos powiedział: „Mamy go”.

Na zewnątrz były dwa radiowozy policji Scarborough i trzy nieoznakowane auta po jednym z komendy policji w Portland, komendy policji w South Portland i policji w Scarborough. Zebrała się garstka osób, które przyglądały się scenie. Merrick leżał twarzą do ziemi na parking, ręce miał skute z tyłu. Podniósł na mnie oczy, gdy się zbliżałem. Nie był zły. Wydawał się rozczarowany. Zobaczyłem O'Rourkego w pobliżu, opierał się o samochód. Kiwnąłem do niego głową i wybrałem numer telefoniczny. Rebecca Clay była w sądzie i sędzia miał właśnie wydać tymczasowe postanowienie o ochronie przeciwko Merrickowi. Powiedziałem jej, że go mamy i że będę w komendzie głównej policji w Scarborough, gdyby chciała się ze mną skontaktować, jak wyjdzie z sądu.

- Były jakieś problemy? - spytałem O'Rourkego.

Potrząsnął głową.

- Wszedł w sam środek. Nawet nie otworzył ust, żeby zapytać, co się dzieje.

Przyglądaliśmy się, jak podniesiono Merricka na nogi i wsadzono na tylne siedzenie jednego z nieoznakowanych wozów. Patrzył prosto przed siebie, gdy auto ruszyło.

- Staro wygląda - powiedział O'Rourke. - Jednak coś w nim jest. Nie chciałbym mu się narazić. I z przykrością ci powiem: zdaje się, żeś ty właśnie z nim zadarł.

- Cóż, nie miałem wyboru.
- No, przynajmniej możemy go chwilę potrzymać i zobaczymy, co się uda z niego wydusić.

To, na jak długo można zatrzymać Merricka, zależy od zarzutów wniesionych przeciwko niemu. Chodzenie za kimś, określane jako zachowanie powodujące u prześladowanej osoby zastraszenie, niezadowolenie, przerażenie czy strach przed zranieniem ciała albo tej osoby, albo najbliższego członka rodziny, jest sklasyfikowane jako przestępstwo kategorii D. Podobnie, terroryzowanie to kategoria D, a nękanie kategoria E. Zawsze można by dodać do tej listy wkroczenie na teren prywatny i zniszczenie własności, ale wszystko w sumie znaczyło, że Merricka można zatrzymać tylko do najbliższego wtorku, zakładając, że nie poprosiłby o adwokata, ponieważ przestępstwa D i E pozwalały zatrzymać podejrzanego bez postawienia zarzutów tylko na czterdzieści osiem godzin, nie wliczając weekendów i świąt.

- Myślisz, że twoja klientka będzie chciała to przeprowadzić do końca? - spytał O'Rourke.

- Chcesz, żeby to zrobiła?

- To niebezpieczny człowiek. Może nie wypada zamykać go tylko na sześćdziesiąt dni, bo tyle właśnie dostanie, jeżeli sędzia przyjmie wszystkie argumenty na rzecz zapuszkowania go. To może nawet przynieść skutek odwrotny do zamierzonego, chociaż jeżeli ktoś zapyta, to ja tego nie powiedziałem.

- Nigdy nie uważałem, że jesteś typem hazardzisty, wiesz o tym?

- To nie hazard. To kalkulowane ryzyko.

- Oparte na czym?

- Na przeświadczeniu, że Frank nie chce iść do więzienia i że ty potrafisz ochronić swoją klientkę.

- No a na czym polega kompromis?

- Dajemy mu ostrzeżenie, dopilnujemy, żeby nakaz był gotowy do wręczenia i puszczamy go wolno. To jest małe miasto. On nie zniknie. Postaramy się, żeby ktoś go pilnował przez jakiś czas i zobaczymy, co się stanie.

Nie brzmiało to jak idealny plan. Niemniej jednak wyglądało na to, że właśnie dostałem w najlepszym razie dziewięćdziesiąt sześć dodatkowych godzin bez Merricka na karku. To lepsze niż nic.

- Posłuchajmy najpierw, co on powie na swoje wytłumaczenie - powiedziałem. - Załatwiłeś pozwolenie dla mnie i mogę się przyglądać?

- Nie było trudno. Masz jeszcze przyjaciół w Scarborough. Jak zwrócisz uwagę na coś szczególnego w jego zeznaniu, to daj mi znać. Myślisz, że on wezwie adwokata?

Zastanowiłem się nad tym. Gdyby chciał wesprzeć się adwokatem, musiałby to zrobić przez Eldritch'a, zakładając, że staruszek ma licencję na wykonywanie zawodu w Maine albo miał kogoś w tym stanie, kto był gotowy wykonać małą robotkę, kiedy zaszła taka potrzeba. Ale coś czułem, że wsparcie Eldritch'a dla Merricka było zawsze warunkowe i ostatnie działania Merricka mogły zmusić prawnika do ponownego przemyślenia stanowiska.

- Nie sędzę, żeby chciał dużo mówić.

O'Rourke wzruszył ramionami.

- Możemy go walnąć książką telefoniczną.

- Ty mógłbyś, ale ja musiałbym złożyć raport na ciebie do Wydziału Spraw Wewnętrznych.

- Taak, właśnie. A ja musiałbym zgubić ten raport na mnie. Ale w końcu to jest teren Scarborough i problem South Portland. My możemy stać z boku i patrzeć, jak oni to załatwiają.

Wsiadł do samochodu. Radiowozy Scarborough ruszały, a policjanci z Portland byli zaraz za nimi.

- Jedziesz? - zapytał.

- Pojadę za tobą.

On odjechał, tłum się rozszedł i nagle byłem jedyną osobą na całym parkingu. Samochody przejeżdżały obok po drodze nr 1 i duży neon Big 20 oświetlał parking, ale za moimi plecami była ciemność moczarów. Obróciłem się, patrząc w ich stronę i nie mogłem pozbyć się wrażenia, że z ich najodleglejszej głębi coś gapi się na mnie. Poszedłem w stronę samochodu, zapaliłem silnik i starałem się zostawić to wrażenie za sobą.

Merricka posadzono w małym kwadratowym pokoju wyposażonym w przyśrubowany do podłogi biały stół. Dokoła stołu stały trzy niebieskie krzesła i Merrick siedział na tym, znajdującym się przodem do drzwi, a dwa puste miał naprzeciwko. Łatwa w czyszczeniu tablica była przytwierdzona do jednej ze ścian, jej powierzchnia pogryzmołona dziecięcymi rysunkami. Koło drzwi stał telefon i wysoko w jednym kącie była kamera. Pokój był też okablowany do nagrywania dźwięku.

Jedną ręką Merricka była w kajdankach, które przypięto do uchwyty przytwierdzonego do stołu. Podano mu napój gazowany z automatu koło biura technika badającego dowody, ale nawet go nie tknął. Pokój nie miał lustra weneckiego, ale mogliśmy oglądać Merricka na monitorze komputera w biurze za przepierzeniem blisko pokoju przesłuchań. Nie byliśmy sami. Chociaż wnęka mogła pomieścić najwyżej cztery osoby, to prawie trzy razy tyle stłoczyło się dokoła ekranu, próbując zobaczyć nowego gościa.

Sierżant wydziału dochodzeniowo-śledczego Wallace MacArthur był jedną z nich. Znałem go z dawnych czasów. Za pośrednictwem Rachel, przedstawiłem go jego przyszej żonie, Mary. W pewnym sensie byłem odpowiedzialny za jej śmierć, ale MacArthur nigdy mnie o to nie obwinił, co w sumie było bardzo po chrześcijańsku z jego strony.

- Nieczęsto zdarza się nam mieć tu żywą legendę - powiedział. - Nawet federalni do nas dołączyli.

Wskazał kciukiem w kierunku drzwi, gdzie Pender, nowy agent małego terenowego biura, rozmawiał z drugim mężczyzną, którego nie znałem, ale przypuszczałem, że też jest agentem. Zostałem przedstawiony Penderowi kiedyś na imprezie charytatywnej dla jakiegoś policjanta w Portland. Jak na federalnego, wydawał się w porządku. Pender skinął mi głową. Odkłoniłem się. Przynajmniej nie kazał mnie wyrzucić, co już było powodem do wdzięczności.

MacArthur niemal z podziwem potrząsnął głową.

- Merrick to stara szkoła - powiedział. - Już nie ma takich teraz.

O'Rourke wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- No, do czegośmy doszli, że patrząc na kogoś takiego jak on, myślimy: cholera, nie jest wcale taki zły. On tylko strzelał precyzyjnie i gładko. Nie stosował tortur. Ani sadyzmu. Nie atakował dzieci. Tylko mężczyzn, o których ktoś zdecydował, że im się należało.

Merrick miał spuszczoną głowę. Nie popatrzył w kamerę, chociaż musiał wiedzieć, że go obserwujemy.

Dwóch oficerów wydziału dochodzeniowo-śledczego w Scarborough weszło do pokoju: jeden muskularny, nazwiskiem Conlough i kobieta, Frederickson, która dokonała formalnego aresztowania w kręgielni Big 20. Kiedy tylko zaczęli go przesłuchiwać, Merrick, przeciwnie do oczekiwań, podniósł głowę i odpowiadał cichym, grzecznym tonem. Prawie mogło się wydawać, że czuje potrzebę usprawiedliwienia i chce się bronić. Może ma rację. Stracił córkę. Ma prawo zapytać, gdzie ona może być.

Conlough: Dlaczego interesuje pana Rebecca Clay?

Merrick: Ona wcale, chodzi o jej ojca.

C: A co pan ma do jej ojca?

M: Leczył moją córkę. A teraz ona zaginęła. Chcę się dowiedzieć, gdzie ona jest.

C: Myśli pan, że się dowie czegoś, grożąc kobiecie? Naprawdę twardy facet, co? Śledzi bezbronną kobietę.

M: Ja nikomu nie groziłem. Nie śledziłem nikogo. Chciałem tylko zadać jej parę pytań.

C: I żeby to zrobić, próbował pan włamać się do jej domu, rozbijając okno?

M: Nie próbowałem włamać się do jej domu, a okno to był przypadek. Zapłacę za szkody.

C: Kto panu to zlecił?

M: Nikt. Nikt nie musi mi mówić, że to, co się stało, jest nie w porządku.

C: Co jest nie w porządku?

M: To, że moja córka mogła zniknąć i nikt jej nie szuka.

Frederickson: Może pańska córka uciekła. Z tego, co wiemy, miała kłopoty.

M: Powiedziałem jej, że będę się nią opiekował. Nie miała powodu, żeby uciekać.

C: Był pan w więzieniu. Jak pan chciał opiekować się nią z celi?

M: (nic nie mówi)

F: Kto dał panu samochód?

M. Adwokat.

F: Jaki adwokat?

M: Adwokat Eldritch z Massachusetts.

F. Dlaczego?

M: Jest dobrym człowiekiem. On uważa, że mam prawo zadawać pytania. Wydobył mnie z tarapatów w Wirginii, potem mi pomógł, kiedy tu wróciłem.

C: Więc on daje panu samochód tak z dobrego serca? Kim on jest? Adwokatem św. Wincentego a Paulo?

M: Może powinniście jego zapytać.

C: Niech pan się nie martwi, zapytamy.

- My porozmawiamy z adwokatem - powiedział O'Rourke.

- Niewiele z niego wydobędziesz - odpowiedziałem mu.

- Znasz go?

- Tak. To też jest stara szkoła.

- Jak stara?

- Tak stara, że wtedy budowali szkoły z plecionki obrzuconej gliną.

- Co ci powiedział?

- Prawie to samo co Merrick w tej chwili.

- Wierzysz mu?

- Że to dobry facet, który użycza samochodu w słusznej sprawie? Nie. Niemniej jednak powiedział, że Merrick był jego klientem i prawo nie zabrania wypożyczać auta klientowi.

Nie powiedziałem O'Rourke'emu, że Eldritch miał innego klienta, który płacił wydatki Merricka. Uważałem, że może sam do tego dojść.

Zadzwoił technik badający dowody. Samochód Merricka był czysty. Nie było w nim żadnej broni, żadnych obciążających dokumentów, nic. Frederickson wyszła z pokoju przesłuchań na konsultację z O'Rourke'em i człowiekiem z FBI,

Penderem. Mężczyzna, który rozmawiał z Penderem, przysłuchiwał się, ale nic nie mówił. Jego spojrzenie skierowało się na mnie, zatrzymało na chwilę i wróciło do Frederickson. Nie podobało mi się to, co wyrażało owo spojrzenie. O'Rourke spytał mnie, czy jest coś, o co, moim zdaniem, należało zapytać Merricka. Zaproponowałem, by go spytać, czy pracuje sam, czy też ma jakichś wspólników. O'Rourke zdawał się zaskoczony, ale zgodził się przekazać pytanie Frederickson.

F: Pani Clay ma nakaz sądowy przeciwko panu. Czy pan rozumie, co to znaczy?

M: Rozumiem. To znaczy, że nie mogę zbliżyć się do jej domu, inaczej wsadzicie mnie z powrotem do więzienia.

F: Zgadza się. Czy ma pan zamiar zastosować się do tego nakazu? Jeżeli nie, to może nam pan wszystkim oszczędzić trochę czasu już w tej chwili.

M: Zastosuję się.

C: Może też pomyśli pan o opuszczeniu stanu. Chcielibyśmy, żeby pan to zrobił.

M: Nie mogę nic obiecać w tej sprawie. Jestem wolnym człowiekiem. Odsiedziałem swoje. Mam prawo iść, gdzie mi się podoba.

C: To dotyczy również kręcenia się koło domów Falmouth?

M: Nigdy nie byłem w Falmouth. Ale słyszałem, że tam ładnie. Lubię być nad wodą.

C: Samochód podobny do pańskiego był widziany tam wczoraj wieczorem.

M: Jest dużo takich aut jak moje. Czerwony jest bardzo popularnym kolorem.

C: Nikt nie powiedział, że to był czerwony samochód.

M: (nic nie mówi)

C: Pan mnie słyszy? Skąd pan wie, że to był czerwony samochód?

M: Samochód podobny do mojego, to co innego by to było? Gdyby to był niebieski samochód albo zielony samochód,

toby nie był podobny do mojego. Musiał być czerwony, jeżeli był podobny do mojego, tak jak pan powiedział.

F: Pan pożyczą swoje auto innym osobom, panie Merrick?

M: Nie, nie pożyczam.

F: Więc jeżeli dowiedziemy, że to był pana samochód - a możemy to zrobić, pan wie: możemy zrobić odlewy, przepytąć świadków - to za kierownicą mógłby być tylko pan, prawda?

M: Chyba tak, ale ponieważ mnie tam nie było, to kwestia do dyskusji, nic pewnego.

C: Nic pewnego?

M: Taak, pani wie, co „nic pewnego” znaczy, pani oficer. Nie muszę tego pani tłumaczyć.

F: Kim są ci inni ludzie z panem?

M: (szezony) Inni ludzie? O czym, do diabła, pani mówi?

F: Wiemy, że nie jest pan tutaj sam. Kogo pan przywiózł ze sobą? Kto panu pomaga? Nie robi pan tego wszystkiego bez pomocy innych.

M: Ja zawsze pracuję sam.

C: A cóż to jest za praca?

M: (uśmiecha się) Rozwiązywanie problemów. Mam niekonwencjonalny sposób myślenia.

C: Wie pan, uważam, że nie współpracuje pan, jak należy.

M: Odpowiadam na pytania, prawda?

F: Może odpowie pan lepiej po kilku nocach w areszcie.

M: Nie możecie tego zrobić.

C: Pan nam mówi, co możemy i czego nie możemy robić? Proszę posłuchać, może kiedyś pan był grubą rybą, ale tutaj to się wcale nie liczy.

M: Nie macie powodu, żeby mnie zatrzymać. Powiedziałem, że zastosuję się do tego zakazu.

F: Uważamy, że potrzebuje pan trochę czasu, żeby przemyśleć to, co pan robił, żeby, hm, pomedytować nad swoimi grzechami.

M: Skończyłem rozmowę z wami. Chcę zatelefonować do swojego adwokata.

Przesłuchanie się skończyło. Merrickowi umożliwiono dostęp do telefonu. Zadzwoił do Eldritch, który, jak się okazało, miał zdany stanowy egzamin adwokacki w Maine, jak również jego ekwiwalenty w New Hampshire i Vermont. Powiedział Merrickowi, żeby nie odpowiadał na żadne pytania i załatwił przeniesienie Merricka do więzienia okręgowego Cumberland, jako że Scarborough nie miało już własnych cel areztanckich.

- Adwokat najwcześniej będzie go mógł wydostać w poniedziałek rano - powiedział O'Rourke. - Sędziowie bardzo lubią mieć spokój w weekendy.

Nawet gdyby Merrickowi postawiono zarzuty, Eldritch prawdopodobnie załatwi mu zwolnienie za kaucją, jeżeli jest to w interesie tego drugiego klienta Eldritch, O'Rourke chyba też byłby zadowolony, gdyby go wypuścili. Jediną osobą, której wolność Merricka mogłaby nie posłużyć za dobrze, była Rebecca Clay.

- Mam paru facetów, którzy pilnują pani Clay - powiedziałem O'Rourkemu. - Ona chce, żebym ich odwołał, ale przypuszczam, że będzie musiała rozważyć to na nowo, dopóki nie zobaczymy, jak Merrick ma zamiar zareagować na to wszystko.

- Kogo tam postawiłeś?

Poruszyłem się niepewnie na krześle.

- Braci Fulcis i Jackiego Garnera.

O'Rourke roześmiał się, przyciągając zdziwione spojrzenia ludzi dookoła.

- Daj spokój! To jakbyś zatrudnił parę tajnych słoni i ich tresera.

- Właściwie to chciałem, żeby ich widział. Celem było odstraszenie go.

- Do diabła, oni mnie też by odstraszyli. Pewnie nawet ptaki wypłoszyli. Ty to wybierasz rozrywkowych przyjaciół.

Tak, pomyślałem, tylko że to jeszcze nie koniec. Ci naprawdę rozrywkowi właśnie dopiero wrócili.

Kiedy wróciłem ze Scarborough i jechałem do centrum kultury, rozrywki i sportu hrabstwa Cumberland, ulice były zapchane autobusami: żółtymi szkolnymi autobusami, autobusami firmy Piotruś Pan, właściwie prawie wszystkim, co miało koła i mogło pomieścić więcej niż sześć osób. Powodem była drużyna Piratów. Z trenerem Kevinem Dineenem doszli na szczyt Atlantyckiego Oddziału Wschodniej Konferencji - Amerykańskiej Ligi Hokeja. Wcześniej w tym tygodniu pobili swoich najbliższych rywali, Stado Wilków z Hartford, 7:4. Teraz przyszła kolej na drużynę Sokoły ze Springfield i wyglądało na to, że około pięciu tysięcy kibiców przybyło do centrum na mecz.

Wewnątrz hali Stuknięty Pan Papuga zabawiał tłum. Dokładnie mówiąc, zabawiał większość tłumu. Bo było parę osób, które nie chciały być zabawiane.

- To musi być najgłupszy mecz na świecie - powiedział Louis.

Miał na sobie popielaty kaszmirowy płaszcz, pod nim czarną marynarkę i spodnie, ręce wcisnął głęboko w kieszenie płaszcza, a podbródek schował w fałdy czerwonego szala. Zachowywał się, jakby go właśnie siłą wysadzono z pociągu gdzieś na środku Syberii. Jego lekko diaboliczna broda została zgolona, a włosy ostrzyżone jeszcze krócej niż zwykle, tak że ślady siwizny były ledwo widoczne. Louis i Angel przyjechali dzisiaj rano. Kupiłem kilka biletów więcej na wypadek, gdyby chcieli iść na mecz ze mną, ale Angelowi udało się złapać zaziębienie i został u mnie w domu, użalając się nad sobą. W rezultacie Louis niechętnie zgodził się towarzyszyć mi tego wieczoru.

Sytuacja między nami zmieniła się w ciągu zeszłego roku. W pewnym sensie zawsze byłem bliżej z Angelem. Wiedziałem więcej o jego przeszłości i kiedy byłem, wprawdzie krótko, policjantem, robiłem, co mogłem, żeby mu pomóc i go chronić. Teraz trudno byłoby mi wyjaśnić, co wzbudziło moją sympatię do niego. Może jego przyzwoitość, empatia, zrozumienie dla tych, którzy cierpieli, pomimo że przefiltrowane przez jego własny kryminalny kod - ale to do mnie przemawiało. Dostrzegłem też coś w jego partnerze, ale to była zupełnie inna sprawa. Na długo zanim po raz pierwszy użyłem broni w gniewie, Louis już zabił. Pierwszy raz zrobił to, bo sam wpadł w szal, ale szybko zorientował się, że ma do tego talent i zawsze znaleźli się tacy, którzy chcieli mu zapłacić za wykorzystanie tego talentu w ich imieniu. Kiedyś, jak myślałem, niewiele różnił się od Franka Merricka, chociaż jego zasady moralne stały się pewniejsze niż zasady, jakie Merrick w ogóle kiedykolwiek miał.

Ale wiedziałem, że Louis nie różnił się też tak bardzo ode mnie. On uosabiał tę stronę mojego ja, której długo nie chciałem uznać - pragnienie, żeby zaatakować, nagłą potrzebę przemocy - i jego obecność w moim życiu zmusiła mnie do pogodzenia się z nią i poprzez to pogodzenie, pozwoliła mi ją kontrolować. Czuję, że ja z kolei pomogłem mu uporać się z jego własnym gniewem i wskazałem sposób, jak poradzić sobie ze światem i zmieniać świat, by był go wart, jako człowieka. Widzieliśmy wiele w tym minionym roku, co zmieniło nas obojgu, potwierdzając podejrzenia, które obaj mieliśmy o charakterze świata, przypominającego plaster miodu, ale rzadko dzieliliśmy się nimi. Znaleźliśmy wspólny grunt, bez względu na to, jak pusty dźwięk mógł on wydawać pod naszymi stopami.

- Wiesz, dlaczego nie widzi się żadnych czarnych mężczyzn grających w tę grę? - kontynuował. - (A) Bo jest wolna, (B) bo jest głupia. I (C) bo jest tu zimno. Popatrz tylko na tych facetów. - Przerzucił strony oficjalnego programu. - Większość z nich to nawet nie są Amerykanie. Są Kanadyjczykami. Tak jakby tu nie było dosyć powolnych dupków, białych mężczyzn i trzeba było ich importować z Kanady.

- Lubimy dawać pracę Kanadyjczykom - odpowiedziałem mu. - To im daje szansę na zarobienie prawdziwych dolarów.

- Taak, założę się, że oni wysyłają te pieniądze do swoich rodzin, jak w Trzecim Świecie. - Patrzył z otwartą pogardą, jak maskotki - komicy w strojach - bawili się na lodzie.

- Pan Papuga jest lepszym sportowcem niż oni.

Siedzieliśmy na miejscach w Bloku E, dokładnie w środku z widokiem na taflę. Nie było śladu Billa, człowieka, z którym skontaktował mnie Posłaniec, chociaż z tego, co mówił, wynikało, że Bill mógł zachowywać się bardzo ostrożnie, bo chodziło o Merricka. Jak był taki sprytny, to już nawet teraz mógł nas obserwować. Poczuje się lepiej, jak się dowie, że Merrick jest za kratkami i zostanie tam przez parę dni. Dało nam to trochę więcej czasu, za co byłem wdzięczny, przynajmniej do momentu, kiedy musiałem wyjaśniać subtelne niuanse gry w hokeja człowiekowi, który myślał, że sport zaczyna się i kończy na koszykówce i lekkoatletyce.

- Daj spokój - powiedziałem. - To niesprawiedliwe. Poczekał, aż wejdą na lód. Niektórzy z tych facetów są naprawdę całkiem szybcy.

- Spadaj do cholery - warknął Louis. - Carl Lewis był szybki. Jesse Owens był szybki. Nawet Ben Johnson był szybki na swoim gównianym koksie. „Lizaki” natomiast nie są szybkie. Są jak bałwany na płaskich metalowych puszkach.

Usłyszeliśmy przez megafony ogłoszenie informujące widzów, że „nieprzyzwoity i obraźliwy język” nie będzie tolerowany.

- Nie można kląć? - spytał Louis z niedowierzaniem. - Co to jest za zasrane sport?

- To tylko dla pozorów - powiedziałem, kiedy jakiś mężczyzna z rzędu poniżej nas z dziećmiakami po obu bokach popatrzył z dezaprobatą na Louisa, chciał coś powiedzieć, potem zrezygnował i wystarczyło mu, że naciągnął dziećmiakom czapki głębiej na uszy.

Zagrano „We Will Rock You” zespołu Queen, a potem Republiki „Ready to Go”.

- Dlaczego tyle tej gównianej sportowej muzyki? - spytał Louis.

- To muzyka białych - wyjaśniłem. - Ma wciągać. W ten sposób czarni nie mogą ich zawstydzić, tańcząc przy niej.

Drużyny wyszły na lód. Było jeszcze więcej muzyki. Jak zwykle, rozdawano nagrody przez całą pierwszą tercję: darmowe burgery i rabaty na zakupy w centrum handlowym, czasem T-shirt albo czapkę.

- Daj spokój - prychnął Louis. - Muszą rozdawać te gówna, żeby zatrzymać ludzi na widowni.

Pierwsza tercja zakończyła się wynikiem 2:0 dla Piratów zdobytych przez Zenona Konopkę i Geoffa Petersa. Facet od Poślańca jeszcze się nie pokazał.

- Może gdzieś śpi - podpowiedział Louis. - Na przykład tutaj.

Kiedy drużyny wyszły na drugą część, niewysoki mężczyzna o twardych rysach w starej bluzie Piratów wszedł do naszego rzędu z prawej strony. Miał hiszpańską bródkę i okulary w srebrnej oprawie. Na głowie miał czarną czapkę Piratów, ręce głęboko schowane w kieszeniach bluzy. Wyglądał jak każdy inny z setek ludzi w tłumie.

- Parker, tak? - powiedział.

- Zgadza się. Ty jesteś Bill? - Skinął głową, ale nie wyjął rąk z kieszeni.

- Jak długo nas obserwowaleś? - zapytałem.

- Od początku pierwszej części - odpowiedział.

- Jesteś bardzo ostrożny.

- Uważam, że to nie przeszkadza.

- Frank Merrick jest zatrzymany - powiedziałem.

- No, dobra, przecież nie wiedziałem o tym, prawda? Za co go zwinęli?

- Śledzenie kogoś.

- Mają zamiar oskarżyć Franka Merricka o śledzenie kogoś? - Parsknął z niedowierzaniem. - Dajcie spokój. Dlaczego nie dorzucili mu niewłaściwego przechodzenia przez ulicę albo braku licencji na psa?

- Chcieliśmy go zatrzymać na chwilę - powiedziałem. - „Za co” nie było ważne.

Bill spojrzął za mnie, tam gdzie siedział Louis.

- Bez obrazy, ale czarny facet raczej zwraca uwagę na meczu hokeja.

- Tu jest stan Maine. Czarny facet prawie wszędzie zwraca uwagę.

- Racja, ale mógł pan go trochę lepiej ukryć w tłumie.

- A czy on wygląda jak ktoś, kto nałoży piracki kapelusz i będzie wywijać plastikowym kordem?

Bill odwrócił spojrzenie od Louisa.

- Chyba nie. Może prawdziwym kordem.

Usiadł wygodnie, oparł się i nic więcej nie mówił przez dobrą chwilę. Na trzy minuty i osiemnaście sekund przed końcem drugiej części, Shane Hynes oddał mocny strzał z dobrego miejsca. Półtorej minuty później Jordan Smith dołożył i było 4:0. Wygrali.

Bill wstał.

- Chodźmy napić się piwa - powiedział. - To czwarte zwycięstwo z rzędu, dziewięć zwycięstw w dziesięciu meczach. Najlepszy start od inauguracyjnej gry w sezonie dziewięćdziesiąt cztery na pięć, a ja musiałem to oglądać w więzieniu.

- I to uchodzi za okrutną i niezwykłą karę? - zapytał Louis.

Bill popatrzył na Louisa.

- On nie jest kibicem - powiedziałem.

- Serio?

Wyszliśmy na zewnątrz i wzięliśmy trzy piwa w plastikowych kubkach. Nieprzerwany tłum ludzi już opuszczał halę, bo wyglądało na to, że Piraci zakończą mecz zwycięsko.

- Dziękuję za bilet, wie pan - powiedział. - Teraz już nie zawsze mogę tu przychodzić.

- Żaden kłopot - odpowiedziałem.

Czekał pełen nadziei, oczy utkwiał w wypchanym miejscu mojej marynarki, gdzie widoczny był portfel. Wyjąłem go i zapłaciłem mu umówione pięćdziesiąt. Złożył banknoty starannie i schował do kieszeni dzinsów. Już miałem go zapytać o Merricka, kiedy z hali doleciał nas charakterystyczny odzew na bramkę strzeloną przez Sokoły.

- Cholera jasna! - powiedział Bill. - Przynieśliśmy im pecha, wychodząc.

Wróciliśmy więc na nasze miejsca i czekaliśmy na rozpoczęcie trzeciej części, ale przynajmniej Bill zgodził się tymczasem opowiedzieć o tym, jak odbywał karę więzienia w Supermax. System Supermax miał na celu oddzielenie od ogółu więźniów tych, którzy zostali uznani za szczególnie agresywnych, i tych, którzy mogli podjąć próbę ucieczki albo zagrażać innym. Często system ten był stosowany jako forma kary dla więźniów, którzy nie przestrzegali dyscypliny lub u których znaleziono szmuglowaną kontrabandę. Supermax w stanie Maine otwarto w 1992 w Warren. Więzienie miało sto pojedynczych cel o najwyższym stopniu zabezpieczenia. Po zamknięciu starego więzienia stanowego w Thomaston na początku wieku, nowe więzienie na tysiąc sto więźniów zostało w końcu wybudowane dokoła Supermax, jak mury fortecy wokół cytadeli.

- Byliśmy obydwaj z Merrickiem w Maksie w tym samym czasie - powiedział. - Ja dostałem dwadzieścia za włamanie. No, włamania. Uwierzycie w to? Dwadzieścia lat. Przekłęci zabójcy wychodzą szybciej. No, ale gliny zapuszkowały mnie za posiadanie śrubokrętu i jakiegoś drutu. Miałem to przy sobie tylko po to, żeby naprawić swoje zasmarkane radio. Powiedzieli mi, że mogę podjąć próbę ucieczki i posłali mnie do Maksa. Potem sprawy wymknęły się spod kontroli. Uderzyłem gliniarza. Byłem wściekły na niego. Ale zapłaciłem za to. Zostałem w Maksie na cały wyrok. Zastrani gliniarze. Nie nawidzę ich.

Więźniowie rutynowo mówią o strażnikach więziennych „gliniarze”. W końcu, są oni częścią tej samej struktury ochrony porządku publicznego jak policja, prokuratorzy i sędziowie.

- Założę się, że nigdy nie widział pan tego więzienia od środka - powiedział Bill.

- Nie - odrzekłem.

Więzienie Supermax jest niedostępne dla prawie każdego, kto nie jest więźniem albo strażnikiem, ale słyszałem o nim dość, żeby wiedzieć, że nie jest to miejsce, w którym chciałbym się kiedykolwiek znaleźć.

- Jest straszne - powiedział Bill, i ze sposobu, w jaki to

powiedział, zrozumiałem, że nie usłyszę jakiejś przesadzonej historii o pechu uzalającego się nad sobą byłego więźnia. On nie próbował wcisnąć mi jakiejś bajeczki. Chciał tylko, żeby go ktoś wysłuchał.

- Śmierdzi gównem, krwią i rzygowinami. Są na podłodze, na ścianach. W zimie szparą pod drzwiami wiatr nawiewa śnieg. Wentylatory hałasują cały czas i coś jest w tym hałasie. Nie daje się go uniknąć. Ja zapychałem uszy papierem toaletowym, żeby przestać go słyszeć. Myślałem, że oszaleję. Tam jest się zamkniętym przez dwadzieścia trzy godziny na dobę i ma jedną godzinę w psiej budzie dziennie przez pięć dni w tygodniu. Tak nazywamy plac ćwiczeń: szeroki na metr osiemdziesiąt i długi na dziewięć metrów. Światło pali się przez dwadzieścia cztery godziny na dobę przez siedem dni w tygodniu. Nie ma telewizji, nie ma radia, tylko hałas i białe światło. Nie pozwalają człowiekowi mieć nawet szczoteczki do zębów. Dają tylko pieprzony kawałek plastyku na palec, ale to nic niewarte.

Bill otworzył usta i wskazał na puste miejsca między żółtymi zębami.

- Straciłem tam pięć zębów - powiedział. - One po prostu wypadły. Jak się dobrze zastanowić, to Max jest rodzajem tortury psychicznej. Wiesz, dlaczego tam jesteś, ale nie wiesz, co możesz zrobić, żeby się stamtąd wydostać. I to jeszcze nie jest najgorsze. Jak coś ostro spieprzysz, posyłają cię na krzesło.

O tym wiedziałem. „Krzesło” to metoda stosowana do poskramiania tych, którzy doprowadzili strażników do ostateczności. Czterech albo pięciu strażników w kamizelkach kuloodpornych z tarczami i gazem łzawiącym bierze szturmem celę więźnia i dokonuje „wyprowadzenia”. Więzień jest obezwładniony gazem łzawiącym, rzucony na podłogę albo na łóżko, potem skuty kajdankami. Kajdanki są połączone z łańcuchami na nogach, ubranie porozcinane i zdjęte z jego ciała i potem więzień jest przeniesiony, nagi i wrzeszczący, do pokoju obserwacyjnego, przywiązany pasami do krzesła i zostawiony na całe godziny w zimnie. To nie do wiary, ale władze więzienne twierdzą, że krzesło nie jest stosowane jako kara

tylko jako środek kontroli wobec więźniów, którzy stanowią zagrożenie dla siebie samych lub innych. Miejscowa gazeta „Feniks” Portlandu zdobyła nagranie z takiego „wyprowadzenia”, jako że wszystkie te operacje były rejestrowane przez władze więzienne, pozornie jako dowód, że więźniowie nie byli źle traktowani. Zdaniem tych, którzy widzieli nagranie, trudno było sobie wyobrazić, jak „wyprowadzenie” i „krzesło” mogły być kwalifikowane inaczej niż usankcjonowana przez państwo przemoc granicząca z torturą.

- Zrobili mi to raz - powiedział Bill - po tym, jak oszukałem strażnika. Nigdy więcej. Nie narażałem się później. Tak się nie traktuje człowieka. Zrobili to też Merrickowi, więcej niż raz, ale nie udało im się Franka złamać. I to zawsze było z tego samego powodu. Nigdy nic innego.

- Jak to?

- Merrick był zawsze karany za to samo. Był tam taki dzieciak, nazywał się Kellog, Andy Kellog. Był porąbany, ale to nie była jego wina. Wszyscy o tym wiedzieli. Był molestowany jako dziecko i nigdy nie odzyskał równowagi. Mówił cały czas o ptakach. O ludziach jak ptaki.

Przerwałem Billowi.

- Chwileczkę, ten dzieciak, Kellog, był molestowany?

- Tak, właśnie.

- Seksualnie molestowany?

- No, tak. Zdaje się, że mężczyźni, którzy to robili, mieli nałożone maski, czy coś. Pamiętałem Kelloga jeszcze z czasów, kiedy był w Thomaston. Niektórzy inni w Maksie też go pamiętali, ale nikt nie wiedział na pewno, co mu się przydarzyło. Wiedzieliśmy tylko, że został zabrany przez „mężczyzn jak ptaki” i to nieraz. I to już po tym, jak i inni go dręczyli. Co z niego zostało, kiedy go puścili, to szkoda gadać. Dzieciak był ciągle nafaszerowany lekami. Jedyńm, któremu udało się nawiązać z nim kontakt, był Merrick i muszę wam powiedzieć, że to było dla mnie niespodzianką. Był twardy. Ale z tym dzieciakiem, rany, Merrick próbował się nim opiekować.

I to nie były żadne pedalskie zagrywki. Pierwszy, który powiedział coś takiego do Merricka, był również ostatni. Merrick prawie mu głowę urwał, próbując przepchnąć ją przez kraty celi. I prawie mu się udało, zanim przyszli strażnicy i przerwali tę bójkę. Potem Kelloga przeniesiono do Maksa za rzucanie gównem w strażnika i Merrick znalazł sposób, żeby też tam się dostać.

- Merrick specjalnie dał się przenieść do więzienia Supermax?

- Tak, tak mówią. Przed odejściem Kelloga, Merrick pilnował swojego nosa, nie wychylał się, z wyjątkiem tych wypadków, kiedy ktoś się wyrwał i groził dzieciakowi, albo był na tyle tępy, żeby próbować zmienić hierarchię, wchodząc w konflikt z Merrickiem. Ale po tym, jak przeniesiono Kelloga, Merrick robił wszystko, żeby wkurzyć strażników, aż nie mieli wyboru i musieli go posłać do więzienia Supermax w Warren. Niewiele mógł tam zrobić dla chłopaka, ale nie rezygnował. Rozmawiał ze strażnikami, starał się, żeby wezwali psychoterapeutę, który zbadałby Kelloga, nawet udało mu się rozmową uspokoić dzieciaka, raz albo ze dwa razy, kiedy wydawało się, że znowu posła go na krzesło. Strażnicy wzięli go wtedy z celi, żeby mógł porozmawiać z dzieciakiem, ale to nie zawsze działało. Mówię wam, Kellog żył na tym krześle. Myślę, że może nadal tam siedzieć.

- Kellog ciągle tam jest?

- Nie sądzę, że kiedykolwiek stamtąd wyjdzie, nie za życia. Zdaje mi się, że ten dzieciak chce umrzeć. To cud, że on jeszcze żyje.

- A co z Merrickiem? Rozmawiał pan z nim? Czy on coś panu o sobie powiedział?

- Nie, to samotnik. Jedyne człowiek, dla którego miał czas, to był Kellog. Udało mi się z nim trochę porozmawiać, kiedy nasze ścieżki się skrzyżowały w drodze do gabinetu lekarskiego i ze spaceru, ale w ciągu tych lat rozmawialiśmy tyle, ile my tu rozmawiamy dzisiaj wieczoru. Ale dowiedziałem się o jego córce. Myślę, że dlatego opiekował się Kellogiem.

Zaczęła się ostatnia część. Zauważyłem, że uwaga Billa natchmiast przeniosła się na taflę.

- Nie rozumiem - powiedziałem. - Co córka Merricka miała wspólnego z Kellogiem?

Bill niechętnie i po raz ostatni odwrócił się od akcji na tafli.

- No, jego córka zaginęła - powiedział. - Nie miał wiele pamiątek po niej. Parę fotografii, i jeden albo dwa rysunki, które dziewczynka posłała mu do więzienia, zanim zaginęła. To te rysunki zwróciły jego uwagę na Kelloga, bo Kellog i córka Merricka narysowali to samo. Oni obydwójce narysowali ludzi z głowami ptaków.

III

Ja sam jestem Piekłem, nikogo innego tu nie ma...

Robert Lowell, *Skunk Hour*

Szybko udało się znaleźć nazwisko prawniczki, która reprezentowała Andy'ego Kelloga podczas jego ostatnich potyczek z prawem. Nazywała się Aimee Price i miała kancelarię w South Freeport, około czterech i pół kilometra od gwarnej pułapki na turystów, jaką było samo Freeport. Kontrast między miastami Freeport i South Freeport był uderzający. Podczas gdy Freeport oddało się głównie rozkoszom zakupów, zamieniając boczne uliczki w rozległe parkingi, to South Freeport, które rozciągało się od przystani Porter Landing do parku Winslow, zachowało większość starych, dziewiętnastowiecznych domów zbudowanych wtedy, gdy stocznie na rzece Harraseeket kwitły. Price miała kancelarię w małym kompleksie utworzonym z dwóch starannie odrestaurowanych kapitańskich domów na Park Street w centrum miasta, które stanowił kwadrat o boku dwóch przecznic usytuowany tuż przy porcie miejskim we Freeport. Dzieliła budynek z księgowym, usługą restrukturyzacji długu i salonem akupunktury.

Chociaż była sobota, Price powiedziała mi, że będzie pracować nad dokumentami prowadzonych spraw aż do pierwszej. Kupiłem kilka świeżych drożdżówek w wiejskim sklepie Carharta i tuż przed południem powędrowałem do jej kancelarii. Wszedłem do recepcji i młoda kobieta za biurkiem skierowała mnie do korytarza po lewej stronie, zadzwoniwszy uprzednio do sekretariatu Price, że jestem. Jej sekretarzem był mężczyzna ledwie po dwudziestce. Miał szelki i czerwoną muszkę. U kogoś innego w jego wieku mogłoby to wyglądać

jak imitacja ekscentryczności, ale w jego zmiętej bawełnianej koszuli i kleksach atramentu na jasnobrązowych spodniach było coś, co sugerowało, że jego ekscentryczność jest całkiem autentyczna.

Sama Price miała około czterdziestki, rude, kręcone włosy krótko ścięte w stylu, który lepiej odpowiadałby kobiecie o dwadzieścia lat starszej. Żakiet od jej granatowego kostiumu leżał przerzucony przez oparcie fotela i wyglądała na zmęczoną, jak ktoś, kto walczy ze straconej pozycji w zbyt wielu utarczkach z systemem. Jej biuro było ozdobione obrazami koni, no i pomimo różnych teczek dokumentów rozłożonych na podłodze, na parapecie i na jej biurku, wyglądało o wiele bardziej zachęcająco niż kancelaria Eldritch'a, głównie dlatego, że ludzie tutaj nauczyli się używać komputerów i pozbyli się przynajmniej części starych papierów.

Zamiast siedzieć przy biurku, Price zrobiła trochę miejsca na kanapie i zaprosiła mnie, bym tam usiadł, a sama siadła obok na krześle z oparciem. Między nami był mały stolik. Sekretarz, który miał na imię Ernest, postawił na nim filiżanki i dzbanek z kawą i poczęstował się jedną drożdżówką. Takie wyznaczenie miejsc ulokowało mnie trochę niżej i trochę mniej wygodnie, niż siedziała Price. Wiedziałem, że to było dokładnie zaplanowane. Wyglądało na to, że Aimee Price na błędach nauczyła się zawsze oczekiwać najgorszego i wykorzystywać każdą dostępną okazję, przewidując bitwy, które miały nadejść. Na palcu miała ogromny pierścionek zaręczynowy z diamentami. Błyszczał w zimowym słońcu, jak gdyby świetliste żywe stworzenia poruszały się wewnątrz kamieni.

- Ładny kamyk - powiedziałem. Uśmiechnęła się.

- Jest pan nie tylko detektywem, ale również rzeczoznawcą?

- Mam wiele talentów. Jeżeli praca detektywa zawiedzie, to będę miał coś w rezerwie.

- Zdaje się, że dobrze pan sobie radzi - powiedziała. - Dużo piszą o panu w gazetach.

Rozważyła to, co właśnie powiedziała.

- Nie, myślę, że to nie jest prawda. Raczej, jak już piszą o

panu, to w pewnym sensie zwraca to uwagę. I założę się, że ma pan wszystkie wycinki prasowe oprawione w ramki.

- Zbudowałem sobie kapliczkę.

- No, to życzę powodzenia w zdobywaniu współwyznawców. Chciał pan rozmawiać ze mną o Andym Kellogu?

To było rzeczowo i na temat.

- Chciałbym się z nim spotkać - powiedziałem.

- On jest w Maksie. Tam nikt nie ma wstępu.

- Z wyjątkiem pani.

- Jestem jego adwokatem i nawet ja muszę pokonać przeszkody, by dostać się tam do niego. Dlaczego interesuje się pan Andym?

- Daniel Clay.

Twarz Price przybrała kamienny wyraz.

- Dlaczego Clay?

- Jego córka mnie wynajęła. Miała kłopoty z pewnym człowiekiem, który pilnie chce znaleźć jej ojca. Zdaje się, że ten człowiek był znajomym Andy'ego Kelloga w więzieniu.

- Merrick - powiedziała Price. - Chodzi o Franka Merricka, prawda?

- Pani wie o nim?

- Nie mogłam nie zauważyć jego obecności. On blisko znał Andy'ego.

Czekałem. Price oparła się, odchyliła na krzesło.

- Od czego by tu zacząć? - powiedziała. - Wzięłam sprawę Andy'ego Kelloga pro bono. Nie wiem, w jakim stopniu jest pan zaznajomiony z jego sytuacją, ale dam panu krótkie streszczenie. Porzucony w niemowlęctwie, przygarnięty przez siostrę matki, brutalnie traktowany, znieprawiony przez nią i jej męża i potem przekazany kumplom męża w celu wykorzystywania seksualnego. Zaczął uciekać w wieku ośmiu lat; miał poważne trudności w nauce; nie skończył nawet trzeciej klasy. W końcu znalazł się w ośrodku przejściowym dla poważnie zaburzonych dzieci, utrzymywany dzięki improwizacji i modlitwie przy minimalnym finansowaniu ze strony państwa, i wtedy właśnie został skierowany do Daniela Claya. Była to część pilotażowego programu.

Doktor Clay specjalizował się w traumach dziecięcych, a szczególnie zajmował się dziećmi, które były ofiarami fizycznej przemocy lub seksualnego wykorzystania. Kilkoro dzieci wybrano do programu i Andy był jednym z nich.

- Kto decydował, które dzieci zostaną przyjęte?

- Zespół psychoterapeutów, pracowników opieki społecznej i sam Clay. Wyglądało na to, że od samego początku nastąpiła pewna poprawa w stanie Andy'ego. Sesje z doktorem Clayem dawały dobre rezultaty. Uznano, że korzystny byłby dla Andy'ego kontakt z rodziną poza terenem środowiska zakładu państwowego, więc zaczął spędzać parę dni w tygodniu z rodziną w Bingham. Oni prowadzili hotelik dla uczestników zajęć na świeżym powietrzu: wie pan, polowania, piesze wędrówki, spływ tratwami, tego rodzaju rzeczy. W końcu pozwolono Andy'emu zamieszkać u nich, a psychoterapeuci i pracownicy ochrony dzieci mieli utrzymywać z nim stały kontakt. No, takie było założenie, ale oni zawsze są przeciążeni, więc dopóki nie pakował się w żadne kłopoty, zostawili go prawie całkiem samopas i zajęli innymi przypadkami. Przyznano mu pewien zakres swobody, ale głównie wolał być blisko hotelu i rodziny. To było podczas sezonu letniego. Potem wszyscy byli bardzo zajęci i nie zawsze mieli czas, by pilnować Andy'ego przez dwadzieścia cztery godziny i siedem dni w tygodniu i...

Przerwała opowieść.

- Czy pan ma dzieci, panie Parker?

- Tak.

- Ja nie mam. Myślałam kiedyś, żeby je mieć, ale już pewnie tak się nie stanie. Może to i lepiej, kiedy się widzi, co ludzie potrafią im zrobić. - Zwilżyła językiem usta. - Andy został uprowadzony w pobliżu schroniska. Nie było go przez parę godzin jednego popołudnia, a kiedy wrócił, był bardzo cichy. Nikt nie zwracał na to uwagi. Wie pan, Andy nie był taki jak inne dzieci. Miewał różne nastroje i ludzie, którzy się nim opiekowali, nauczyli się zostawiać go w spokoju, aż mu przejdzie. Uważali, że to nie zaszkodzi, jak mu pozwolą zwiedzać las samemu. To byli dobrzy ludzie. Myślę jednak, że osłabili czujność, jeżeli chodzi o Andy'ego.

Tak czy inaczej, zwrócono uwagę na to dopiero, kiedy zdarzyło się po raz trzeci czy czwarty. Ktoś, zdaje mi się, że była to matka, poszła zobaczyć, jak się Andy ma i on ją po prostu zaatakował. Wściekł się, szarpał za włosy i rzucił z pazurami na jej twarz. W końcu musieli przywołać go do porządku, unieruchomić, dopóki nie przyjechała policja. Nie chciał wrócić do Claya, a pracownikom opieki nad dziećmi udało się skłonić go do opowiedzenia tylko części tego, co się wydarzyło. Odesłano go z powrotem do zakładu, gdzie pozostał do siedemnastego roku życia. Potem poszedł na ulicę i się zatracił. Nie stać go było na lekarstwa, których potrzebował, więc wpadł w dilerkę, rabunek i przemoc. Odsiaduje wyrok piętnastu lat, ale Max to nie jest właściwe miejsce dla niego. Czyniłam starania, by go przyjęto do szpitala psychiatrycznego Riverview. To tam powinien naprawdę być. Ale dotychczas mi się nie udało. Państwo zadecydowało, że on jest przestępcą, a państwo nigdy nie myli.

- Dlaczego nie powiedział nikomu o tym, że był wykorzystywany?

Price skubała drożdżówkę. Zauważyłem, że jej dłonie poruszały się, kiedy myślała, stale wystukiwała jakiś rytm palcami na skraju krzesła, patrzyła na swoje paznokcie czy, tak jak w tej chwili, drobila drożdżówkę przed sobą. Był to element jej procesu myślowego.

- To skomplikowane - powiedziała. - Częściowo był to rezultat wcześniejszego wykorzystywania, kiedy dorośli odpowiedzialni za niego nie tylko byli świadomi tego, co się działo, ale i czynnie brali w tym udział. Andy miał niewiele albo wcale nie miał zaufania do autorytetów, a rodzina zastępcza w Bingham dopiero zaczęła przełamywać jego bariery obronne, kiedy został wykorzystany na nowo. Powiedział mi, że mężczyźni, którzy go wykorzystywali, zagrozili, że zrobią krzywdę ośmioletniej córce tego małżeństwa, jeżeli on coś powie o tym, co go spotkało. Ona miała na imię Michelle i Andy bardzo ją polubił. W pewnym sensie starał się ją chronić. Dlatego tam wracał.

- Wracał?

- Mężczyźni powiedzieli Andy'emu, gdzie ma na nich czekać w każdy wtorek. Czasami przyjeżdżali, czasami nie, ale

Andy zawsze tam był, w razie gdyby przyjechali. Nie chciał, żeby coś się stało Michelle. Niecały kilometr od domu była polana i strumyk w jej pobliżu, od szosy prowadziła do niej polna droga, dość szeroka, żeby mógł po niej przejechać jeden samochód. Andy tam siedział i jeden z nich przychodził po niego. Kazano mu zawsze siedzieć twarzą do strumyka i nigdy nie obracać się, kiedy słyszał, że ktoś przyjeżdża. Zawiązywano mu oczy, prowadzono do samochodu i odjeżdżano.

Poczułem coś w gardle i oczy mnie zapiekły. Odwróciłem spojrzenie od Price. Przed oczami miałem obraz chłopca siedzącego na kłodzie, szum wody pobliskiego strumyka, słońce prześwietlające pomiędzy drzewami, śpiew ptaków, potem zbliżające się kroki i ciemność.

- Słyszałem, że brano go na krzesło parę razy.

Popatrzyła na mnie, może zdziwiona, że tak dużo wiem.

- Więcej niż parę razy. To jest błędne koło. Andy dostaje leki, ale kuracja powinna być kontrolowana i dawki dostosowywane na bieżąco. Jednak nie jest kontrolowana, więc leki przestają działać tak dobrze, jak powinny. Andy cierpi, wybuchają, strażnicy karzą go i w rezultacie jest jeszcze bardziej zaburzony, a lekarstwa pomagają jeszcze mniej niż przedtem. To nie jest wina Andy'ego, ale proszę spróbować wytłumaczyć to strażnikowi, który właśnie został cały obłany moczem. I Andy nie jest wcale nietypowy: w Supermax następuje pewien cykl eskalacji. Każdy to widzi, ale nikt nie wie, co z tym zrobić albo nikt nawet nie chce nic z tym zrobić. Wybiera się psychicznie niestabilnego więźnia, który narusza zasady regulaminu, będąc w ogólnej grupie więźniów. Zamyka się go w jasno oświetlonej celi, żeby nie zakłócał spokoju, gdzie jest otoczony przez innych więźniów, może jeszcze bardziej zaburzonych. W stresie łamie więcej przepisów regulaminu. Dostaje karę krzesła i staje się jeszcze bardziej gwałtowny niż przedtem. Popełnia poważne wykroczenia regulaminowe albo atakuje strażnika i dostaje zwiększony wyrok. Rezultat końcowy w przypadku kogoś takiego jak Andy jest taki, że doprowadza się go do obłądzenia, a nawet myśli samobójczych. A co daje zagrożenie samobójstwem? Więcej czasu na krzesło.

Winston Churchill powiedział kiedyś, że można ocenić społeczeństwo po tym, jak traktuje więźniów. Wie pan, tyle się mówiło o Abu Ghraib, i o tym, co robimy Muzułmanom w Iraku i w Guantanamo, i w Afganistanie, i wszędzie, gdzie postanawiamy zamknąć tych, których postrzegamy jako zagrożenie. Ludzie byli tym zdziwieni, a wystarczyło, żeby popatrzyli dokoła siebie. Robimy to naszym własnym obywatelom. Sądzimy dzieci jak dorosłych. Zamykamy i nawet przeprowadzamy egzekucję na psychicznie chorych. I przywiązujemy nagich ludzi do krzesel w lodowato zimnych pokojach, bo przepisane im leki nie działają. Jeżeli możemy to robić tutaj, to jak, do diabła, może ktoś się dziwić, że nie traktujemy naszych wrogów ani trochę lepiej?

Mówiła o wiele głośniejszym głosem i widać było jej rosnący gniew. Ernest zapukał do drzwi i wstawił głowę.

- Wszystko w porządku, Aimee? - zapytał, patrząc na mnie, jakby to zakłócenie to była moja wina i w pewnym sensie tak było.

- Oczywiście, Ernest.

- Podać jeszcze kawy?

Potrząsnęła głową.

- Już jestem wystarczająco nakręcona. Kawa dla pana?

- Nie, dziękuję.

Poczekala, aż drzwi zamknęły się, zanim zaczęła mówić dalej.

- Przepraszam za to - powiedziała Aimee.

- Za co?

- Za to bojowe przemówienie. Czuję, że pan nie zgadza się ze mną.

- Dlaczego pani tak mówi?

- Z powodu tego, co o panu czytałam. Pan zabijał ludzi. Wydaje się pan surowym sędzią. - Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Byłem trochę zdziwiony jej słowami, może nawet porytowany nimi, jednak nie było w nich złości. Po prostu powiedziała o swoich odczuciach.

- Sądziłem, że nie mam wyboru - odpowiedziałem. - Przynajmniej wtedy. Może teraz, wiedząc to, co wiem, mógłbym postąpić inaczej w niektórych wypadkach, ale nie we wszystkich.

- Pan zrobił to, co uważał za właściwe.

- Zaczynam wierzyć, że większość ludzi robi to, co uważa za słuszne. Problemy zaczynają się, kiedy robią to, co jest dobre dla nich, ale nie dla innych.

- Egoizm?

- Może. Interes własny. Instynkt samozachowawczy. Całe mnóstwo słów dotyczących ja człowieka.

- Popęlniał pan błędy, kiedy robił pan to, co robił?

Zrozumiałem, że w pewnym sensie jestem poddawany jakimś testowi, że pytania Price mają dać odpowiedź na to, czy można mi pozwolić spotkać się z Andym Kellogiem. Staralem się odpowiadać jak najbardziej szczerze.

- Nie, w ostatecznym rozrachunku, nie.

- Więc pan nie popełnia błędów?

- Takich nie.

- Chce pan przez to powiedzieć, że nigdy nie zastrzelił nikogo, kto nie miał broni w ręku?

- Nie, bo to też nie jest prawdą.

Wtedy nastąpiła cisza, aż Aimee Price przyłożyła dłonie do czoła i wydała jęk frustracji.

- Właściwie to nie moja sprawa - powiedziała. - Przepraszam. Znowu.

- Ja zadaję pani pytania. Nie rozumiem, dlaczego pani też nie miałyby zadać mnie paru pytań. Zmarszczyła pani brwi, kiedy wymieniłem nazwisko Daniela Claya. Dlaczego?

- Ponieważ wiem, co ludzie o nim mówią. Słyszałam te historie.

- I wierzy pani w nie?

- Ktoś zdradził Andy'ego Kelloga tym ludziom. To nie był przypadek.

- Merrick też tak uważa.

- Frank Merrick ma obsesję. Coś w nim pękło, kiedy znikła jego córka. Nie wiem, czy przez to jest bardziej niebezpieczny, czy mniej niebezpieczny, niż był.

- Co może mi pani o nim powiedzieć?

- Niewiele. Pan prawdopodobnie wie wszystko, co można wiedzieć o jego skazaniu, sprawie w Wirginii: zabójstwie Bartona Riddicka i teście na zgodność pocisku, który połączył

Merricka ze strzelaniną. Nie interesuje mnie to zaudto, szczerze mówiąc. Moją główną sprawą był i jest nadal Andy Kellog. Kiedy Merrick zaczął nawiązywać jakiś kontakt z Andym, pomyślałam to, co większość ludzi by pomyślała: wie pan, narażony na niebezpieczeństwo młody człowiek i starszy zatwardziały więzień, ale to nie było tak. Merrick naprawdę opiekował się Andym najlepiej, jak potrafił.

Zacząła coś bazgrać w notesie, który miała na kolanach. Chyba nawet nie była w pełni świadoma tego, co robiła. Nie patrzyła w dół na notes i nie patrzyła na mnie, zatrzymała spojrzenie na chłodnym zimowym świetle za oknem.

Rysowała głowy ptaków.

- Słyszałem, że Merrick spowodował swoje przeniesienie do Supermax po to, żeby nadal być blisko Kelloga - powiedziałem.

- Chciałabym znać pańskie źródło informacji, bo oczywiście tak było. Merrick dał się przenieść i jasno postawił sprawę, że ktokolwiek zaczepi Andy'ego, będzie miał z nim do czynienia. Nawet w takim miejscu jak Max są sposoby i środki. Tylko że jedyną osobą, przed którą Merrick nie mógł ochronić Andy'ego, był sam Andy.

Tymczasem biuro prokuratora generalnego w Wirginii zaczęło nadawać bieg sprawie aktu oskarżenia przeciwko Merrickowi za zabójstwo Riddicka. Spierali się o to długo i kiedy zaczęła się zbliżać data zwolnienia Merricka z Maksa, wręczono wezwanie i zawiadomiono go o ekstradycji. Potem zdarzyło się coś dziwnego: inny prawnik interweniował w imieniu Merricka.

- Eldritch - powiedziałem.

- Zgadza się. Interwencja była z wielu względów kłopotliwa. Nie wyglądało na to, że Eldritch miał kiedykolwiek wcześniej kontakt z Merrickiem i Andy mi powiedział, że to prawnik pierwszy nawiązał kontakt. Ten starszy mężczyzna po prostu pojawił się i zaproponował, że weźmie sprawę Merricka, ale z tego, co dowiedziałam się później, wynikało, że Eldritch nie specjalizował się w sprawach kryminalnych. Prowadził sprawy dotyczące spółek akcyjnych, nieruchomości, więc był niezwykle kandydatem na wojującego pełnomocnika. Niemniej jednak do sprawy Merricka dołączył

sprzeciw wobec testu na porównanie pocisku przygotowany przez grupę liberalnych prawników i dostarczył dowody wskazujące na to, że doszło do strzelaniny z użyciem tej samej broni, z której zabito Riddicka, kiedy Merrick był za kratkami. Federalni zaczęli wycofywać się z testów na porównanie pocisku i Wirginia zdała sobie sprawę z tego, że nie ma dostatecznych dowodów, żeby skazać Merricka za zabójstwo Riddicka. A prokurator nienawidzi prowadzić spraw od początku skazanych na przegraną. Merrick spędził kilka miesięcy w celi w Wirginii, potem go zwolniono. Odbył pełny wyrok w Maine, więc był wolny i czysty.

- Czy myśli pani, że było mu żal zostawiać Andy'ego Kelloga w Maksie?

- Na pewno, ale wtedy już chyba uznał, że są sprawy, które musi zrobić za murami.

- Na przykład, dowiedzieć się, co się stało z jego córką?

- Tak.

Zamknąłem notes. Będę jeszcze miał inne pytania, ale na razie skończyłem.

- Nadal chciałbym porozmawiać z Andym Kellogiem - powiedziałem.

- Popytam.

Podziękowałem jej i dałem swój bilet wizytowy.

- Jeżeli chodzi o Franka Merricka - odezwała się, gdy już miałem wychodzić. - Myślę, że to on zabił Riddicka i wielu innych też.

- Wiem, jaką ma opinię - przyznałem. - Uważa pani, że Eldritch źle zrobił, interweniując?

- Nie wiem, dlaczego Eldritch się włączył, ale na pewno nie zrobił tego z troski o sprawiedliwość. Jednak zrobił coś dobrego, chociaż bezwiednie. Test na porównanie pocisku był błędny. Oskarżenie przeciwko Merrickowi również zawierało błędy. Jeżeli pozwoli się na to, żeby chociaż jedna taka rzecz przeszła, wtedy cały system załamuje się, albo kruszy jeszcze bardziej, niż już jest zrujnowany. Gdyby Eldritch nie wziął tej sprawy, wtedy być może postarałabym się o nakaz *pro hac* w sprawie błędu i wzięła to sama. - Uśmiechnęła się. - Podkreślałam słowo „może”.

- Nie chciałyby pani, żeby Frank Merrick był pani klientem.

- Jak słyszę, że wrócił do Maine, to już się denerwuję.

- Nie próbował kontaktować się z panią w związku z Andym?

- Nie. Wie pan może, gdzie on się zatrzymał po przyjeździe tutaj?

To było dobre pytanie i zapoczątkowało bieg myśli. Jeżeli Eldritch dostarczył Merrickowi auto i może też pieniądze, to mógł zapewnić mu również miejsce, gdzie się zatrzymał. Jeżeli tak było, to może jest sposób, żeby to sprawdzić i być może dowiedzieć się więcej zarówno o Merricku, jak i kliencie Eldritch.

Wstałem i skierowałem się do wyjścia. Przy drzwiach swojej kancelarii Aimee Price powiedziała:

- Więc to córka Claya płaci panu, żeby pan robił to wszystko?

- Nie, nie za to - odpowiedziałem. - Płaci mi, żebym ją chronił przed Merrickiem.

- To dlaczego jest pan tutaj?

- Z tego samego powodu, dla którego pani rozważała możliwość przyjęcia sprawy Merricka. Coś tu jest nie w porządku. Nie daje mi to spokoju. Chciałbym się dowiedzieć, co to jest.

Skinęła głową.

- Skontaktuję się z panem w sprawie Andy'ego - powiedziała.

Rebecca Clay zadzwoniła do mnie, a ja przekazałem jej najświeższe szczegóły dotyczące Merricka. Eldritch poinformował swojego klienta, że nie będzie mógł nic dla niego zrobić do poniedziałku i wtedy złoży wniosek do sędziego, jeżeli Merrick będzie nadal pozostawał w areszcie bez postawienia zarzutów. O'Rourke nie był przekonany, czy jakkolwiek sędzia pozwoli policjantom ze Scarborough przetrzymać go dłużej, jeżeli już spędzi czterdzieści osiem godzin za kratkami, nawet biorąc pod uwagę fakt, że litera prawa upoważnia ich do tego, żeby go przetrzymać na dalsze czterdzieści osiem.

- I co potem? - spytała Rebecca.

- Jestem pewny, że on nie będzie już pani więcej niepokoił. Widziałem, co się stało, kiedy mu powiedzieli, że będzie aresztowany przez weekend. On się nie obawia więzienia, ale

boi się stracić swobodę konieczną do prowadzenia poszukiwań córki. Ta swoboda jest teraz związana ze stałym spokojem i dobrym samopoczuciem pani. Ja mu doręczone zakaz sądowy, jak tylko go zwolnią, ale jeżeli pani się zgodzi, to zapewnimy pani ochronę przez dzień albo dwa po jego zwolnieniu, tak na wszelki wypadek.

- Chcę, żeby Jenna wróciła do domu - powiedziała.
- Nie polecałbym tego na razie.
- Martwię się o nią. Myślę, że ta cała sprawa ma niedobry wpływ na nią.

- Dlaczego?
- Znalazłam obrazki w jej pokoju. Rysunki.
- Jakie rysunki?
- Ludzi, ludzi o bladych twarzach i bez oczu. Powiedziała, że ich widziała czy śniła jej się, czy coś takiego. Chcę ją mieć przy sobie.

Nie powiedziałem Rebecce, że inni też widzieli tych ludzi, że mną włącznie. Wydawało mi się, że lepiej pozwolić jej na razie wierzyć, że ludzie ci są tworem niespokojnej wyobraźni jej córki i niczym więcej.

- Już niedługo. Proszę dać mi jeszcze parę dni.

Zgodziła się niechętnie.

Tego wieczoru Angel, Louis i ja jedliśmy kolację na Fore Street. Louis poszedł do baru wybrać trunki, pozostawiając mnie i Angela przy rozmowie.

- Schudłeś - zauważył Angel, pociągając nosem i śmiejąc drobinami papierowej chustki do nosa na stół. Nie miałem pojęcia, co on wyprawiał w dolinie Napa, żeby nabawić się kataru, ale byłem całkiem pewny, że nie chciałem, by mi o tym opowiadał. - Dobrze wyglądasz. Nawet twoje ubranie jest w porządku.

- To moje nowe ja. Jem dobrze, ciągle jeszcze chodzę na siłownię, wprowadzam psa.

- Noo tak. Eleganckie ubranie, dobre jedzenie, chodzenie do siłowni, posiadanie psa. - Zamyślił się na chwilę. - Jesteś pewny, że nie jesteś gejem?

- Nie. Ale jestem bardzo zajęty.

- Może dlatego cię lubię - powiedział. - Jesteś gejoyem nie-gejem.

Angel przyszedł, mając na sobie jedną z moich wyrzucanych kurtek skórzanych, ze skórą miejscami wytartą do białego. Jego znoszone wranglery miały wyszyty falujący wzór na tylnych kieszeniach, a podkoszulek był firmy Hall and Oates, co w sumie oznaczało, że czas w sferze Angela datował się mniej więcej na kwartał po 1981.

- Czy gej może być homofobem? - zapytałem.

- Jasne. To jak bycie nienawidzącym siebie Żydem, tylko jedzenie jest lepsze. - Wrócił Louis.

- Właśnie mu wyjaśniałem, jak bardzo jest gejoy - powiedział Angel, smarując kawałek chleba masłem. Wiórek masła spadł mu na podkoszulek. Starannie zebrał go palcem i oblizał do czysta. Twarz Louisa pozostała nieporuszona, tylko jego oczy zwięzły się minimalnie, wskazując głębię odczuwanych emocji.

- Mhm - mruknął. - Nie uważam, żebyś się nadawał na lidera kampanii rekrutacyjnej.

Jedząc, rozmawialiśmy o Merricku i o tym, czego dowiedziałem się od Aimee Price. Wcześniej tego dnia zadzwoniłem do Matta Mayberry'ego, znajomego pośrednika w handlu nieruchomościami w Massachusetts, którego firma robiła interesy w całej Nowej Anglii. Zapytałem go, czy byłby w stanie sprawdzić nieruchomości w Portland i okolicy, z którymi kancelaria Eldritch i Spółka miała do czynienia w ostatnich latach. Większość popołudnia spędziłem, telefonując po hotelach i motelach, ale za każdym razem było pudło, kiedy prosiłem o połączenie z pokojem Franka Merricka. Jednak przydałoby się wiedzieć, gdzie Merrick będzie chciał się schować, jak już go wypuszczą.

- Widziałeś się ostatnio z Rachel? - spytał Angel.

- Parę tygodni temu.

- Jak mają się sprawy między wami?

- Nie za dobrze.

- To szkoda.

- No, tak.

- Musisz się bardziej starać, wiesz o tym?

- Dzięki za dobrą radę.
- Może powinienes pojechać i zobaczyć się z nią teraz, kiedy Merrick siedzi bezpiecznie za kratami?

Zastanawiałem się nad tym, kiedy przyniesiono rachunek. Wiedziałem, że chcę je obie zobaczyć. Chciałem przytulić Sam i porozmawiać z Rachel. Miałem dość słuchania o mężczyznach, którzy dręczyli dzieci i o rozbitym życiu, które zostawiali za sobą.

Louis zaczął liczyć banknoty.

- Może pojedę zobaczyć się z nimi - oświadczyłem.
- Będziemy wyprowadzać twojego psa - zapewnił Angel. - Jeżeli jest kryptogejem, tak jak ty, to nie będzie miał nic przeciwko temu.

16

Podróż do Vermont, gdzie Rachel zatrzymała się teraz z Sam w domu swych rodziców, była długa. Większość trasy prowadziłem w ciszy, analizując wszystko, czego dowiedziałem się o Danielu Clayu i Franku Merricku i próbując domyślić się, na czym polega związek klienta Eldritch z tą całą sprawą. Eldritch powiedział mi, że jego klient nie interesuje się Danielem Clayem, ale obydwaj pomagali Merrickowi, który miał obsesję na punkcie Clay'a. No i jeszcze ci Wydrążeni Ludzie, kimkolwiek oni byli. Widziałem ich, albo może bliżej prawdy byłoby powiedzieć, że to oni weszli w moją strefę postrzegania. Pokojówka w domu Joela Harmona też ich widziała i jak się dowiedziałem z krótkiej rozmowy z Rebecca Clay poprzedniego wieczoru, jej córka Jenna narysowała ich na swoich obrazkach, zanim wyjechała z miasta. Wyglądało na to, że Merrick jest tu łącznikiem, ale zapytany w czasie przesłuchania, czy działa sam lub czy ma współników, wydawał się szczerze zdziwiony i odpowiedział przecząco. Nie było odpowiedzi na pytanie, kim oni są i jaka jest ich rola i cel.

Rodzice Racheli wyjechali na weekend i mieli wrócić dopiero w poniedziałek, więc siostra Racheli przyjechała, by pomóc przy Sam. Sam bardzo wyrosła w ciągu tych kilku tygodni od naszego ostatniego spotkania albo tak się tylko wydawało ojcu, który był świadomy faktu, że, odseparowany od córki, będzie teraz śledzić etapy jej rozwoju w skokach raczej niż krokach.

A może byłem pesymistą? Nie wiem. Nadal rozmawialiśmy z Rachel regularnie przez telefon. Tęskniłem za nią i myślałam, że ona też za mną tęskni, ale podczas ostatnich spotkań albo byli obecni jej rodzice, albo Sam zachowywała się

nieznośnie, albo coś innego nie pozwoliło nam porozmawiać o sobie i o tym, jak to się stało, że sprawy między nami tak się pogorszyły. Nie wiedziałem, czy pozwalamy zaistnieć tym wszystkim przeszkodom po to, żeby uniknąć ostatecznej konfrontacji, czy były one rzeczywiście tylko tym, czym były. Ten czas spędzony osobno, który miał umożliwić nam obojgu przemyślenie tego, jak chcemy żyć, przedłużał się i stał się bardziej skomplikowaną sprawą, robił wrażenie bardziej ostateczne. Rachel i Sam wróciły na krótko do Scarborough, ale kłóciliśmy się z Rachel i był między nami dystans, który dawniej nie istniał. Ona czuła się nieswojo w domu, gdzie kiedyś łatwiej dzieliliśmy życie, a Sam miała kłopoty ze spaniem w swoim pokoju. A może po prostu przyzwyczailiśmy się do bycia bez siebie, chociaż wiedziałem, że ciągle jej pragnę, a ona pragnie mnie? Żyliśmy w jakimś stanie napiętego zawieszenia i zostawialiśmy myśli niedopowiedziane w obawie, że wymówienie ich na głos spowoduje, że cała krucha budowla runie dokoła nas.

Rodzice Rachel przerobili stare stajnie na terenie swojej posiadłości na duży dom gościnny i to w nim mieszkała Rachel z Sam. Zaczęła znowu pracować, zatrudniona na zlecenie na Wydziale Psychologii Uniwersytetu Stanowego Wirginii w Burlington, prowadzi seminaria i wykłady z psychologii kryminalnej. Opowiedziała mi trochę o tym, kiedy siedziałem przy jej kuchennym stole, ale tak mimochodem, od niechcenia, jak się opisuje swoje zajęcia komuś obcemu na kolacji: kiedyś wtajemniczała mnie we wszystkie szczegóły, ale teraz już nie.

Sam siedziała w kucki na podłodze między nami i bawiła się dużymi plastikowymi zwierzętami domowymi. Złapała dwie owce w swoje pulchne rączki i uderzyła je głowami o siebie, potem podniosła oczy i podała nam po jednej. Były śliskie od dziecięcej śliny.

- Czy myślisz, że to metafora o nas? - zapytałem Rachel. Wyglądała na zmęczoną, ale wciąż była piękna. Zauważyła moje spojrzenie i odgarnęła kosmyk włosów za ucho, lekko się rumieniąc.

- Nie sędzę, aby zderzenie nas głowami mogło coś pomóc - odparła. - Chociaż prawdę mówiąc, odczułabym satysfakcję, gdybym mogła uderzyć twoją głową o coś.

- No, pięknie.

Wyciągnęła rękę i palcem dotknęła wierzchu mojej dłoni.

- Nie chciałam, żeby to zabrzmiało tak nieprzyjemnie.

- Nie szkodzi. Na pocieszenie powiem ci, że często też mam ochotę tłuc głową o ścianę.

- A może i moją też?

- Za ładna jesteś. I bałbym się zrujnować ci fryzurę.

Odwróciłem dłoń i przytrzymałem jej palec.

- Chodźmy na spacer - zaproponowała. - Moja siostra zajmie się Sam.

Wstaliśmy i Rachel zawołała siostrę. Pam weszła do kuchni, zanim zdążyłem puścić palec Rachel i posłała nam znaczące spojrzenie. Nie dostrzegłem w nim jednak dezaprobaty, a to już było coś. Gdyby ojciec Rachel nas tak zobaczył, sięgnąłby pewnie po strzelbę. Nie lubił mnie i zapewne liczył na to, że, że związek między jego córką i mną skończył się już na dobre.

- Może wezmę Sam na przejażdżkę? - spytała Pam. - I tak muszę jechać do sklepu, a ona tak lubi przyglądać się ludziom. - Pam przyklękała przed Sam. - Chcesz pojechać z ciocią Pammie na spacer? Zaprowadzę cię do działu kosmetyków i pokażę wszystko, co ci się przyda, kiedy będziesz nastolatką i chłopcy zaczną przychodzić do ciebie. Może popatrzymy też na broń, co?

Sam pozwoliła cioci wziąć się na ręce bez protestu. Rachel poszła za nimi i pomogła Pam ubrać Sam i zapiąć w foteliku. Sam zapłakała na chwilę, kiedy zobaczyła, że mama nie jedzie z nimi, ale wiedzieliśmy, że to nie potrwa długo. Sam uwielbiała samochód i będąc w nim, przez większość czasu gapiała się na niebo albo spała, ukołysana ruchem pojazdu. Patrzyliśmy za nimi, dopóki nie odjechały, a potem poszedłem za Rachel przez ogród na pola za domem jej rodziców. Ręce miała skrzyżowane z przodu, jakby czuła się teraz nieswojo, że wcześniej trzymała mnie za rękę.

- Co u ciebie? - spytała.
- Dużo pracy.
- Coś ciekawego?

Opowiedziałem jej o Rebecce Clay, jej ojcu i pojawieniu się Franka Merricka.

- Jaki to jest człowiek? - zapytała Rachel.

To było dziwne pytanie.

- Niebezpieczny i trudny do rozgryzienia - odpowiedziałem. - Myśli, że Clay wciąż żyje i wie, co się stało z jego córką. Nikt nie potrafi stwierdzić, że jest inaczej, ale ogólnie uważa się, że Clay nie żyje; no i albo to jest prawda, albo jego córka jest najlepszą aktorką, jaką w życiu spotkałem. Merrick podziela raczej tę ostatnią opinię. Był kiedyś samodzielnie pracującym płatnym mordercą. Siedział w więzieniu przez długi czas, ale nie robi wrażenia, że jest zresocjalizowany. Jednak jest w nim coś więcej. Opiekował się jednym z pacjentów Claya, kiedy był w pudle i nawet doprowadził do własnego przeniesienia do Maksa, cięższego więzienia o zaostrowym rygorze, żeby być blisko tamtego chłopaka. Myślałem z początku, że to taka typowa więzienna historia: starszy facet i młodszy facet, ale nie wygląda na to, że tak było. Córka Merricka była pacjentką Claya, kiedy zaginęła. Może właśnie dlatego tak bliska więź łączyła Merricka z tym dzieciakiem, Kellogiem.

- Może Merrick miał nadzieję, że dowie się od Kelloga czegoś, co zaprowadzi go do córki - powiedziała Rachel.

- Możliwe, ale on chodził jak cień za tym chłopakiem przez lata i ochraniał go. Wyciągnięcie informacji z Kelloga nie zajęło mu dużo czasu, ale go nie opuścił. Trwał przy nim. Opiekował się najlepiej, jak potrafił.

- Nie mógł ochronić własnej córki, to ochraniał Kelloga?
- To skomplikowany człowiek.
- Mówisz tak, jak byś czuł dla niego szacunek.

Potrząsnąłem głową.

- Żał mi go. Nawet myślę, że go trochę rozumiem. Ale nie mam szacunku dla niego, nie w taki sposób, jak myślisz.

- Jest jakiś inny sposób?

Nie chciałem tego wymówić na głos. Przecież to prowadzi-
łoby nas z powrotem do jednej z przyczyn, które spowodowa-
ły nasze rozstanie.

- No? - nalegała, a ja czułem, że już się domyślała, co po-
wiem. Chciała to usłyszeć, jakby szukając potwierdzenia dla
czegoś smutnego, ale koniecznego.

- On ma dużo krwi na rękach - powiedziałem. - Nie prze-
bacza.

Mogłem równie dobrze mówić o sobie i jeszcze raz zdałem
sobie sprawę, jak byłem kiedyś podobny do Merricka, a może
jeszcze i teraz też. Jak gdyby dano mi szansę zobaczyć siebie
za parę dekad, starszego i bardziej samotnego, siłą
próbującego naprawić zło i wyrządzającego krzywdę innym.

- I teraz sprzeciwiłeś mu się. Sprowadziłeś policję. Prze-
szkodziłeś mu w jego staraniach, by dowiedzieć się prawdy o
zniknięciu córki. Szanujesz go tak, jakbyś szanował zwierzę,
w przeciwnym razie znaczyłoby to, że go nie doceniasz. My-
ślisz, że będziesz musiał znowu stanąć z nim twarzą w twarz,
prawda?

- Tak.

Zmarszczyła czoło i w jej oczach pojawił się ból.

- Nic się nie zmienia, prawda?

Nie odpowiedziałem. Co mogłem powiedzieć? Rachel nie
nalegała, by dać jej odpowiedź. Zapytała natomiast:

- Czy Kellog jest ciągle w więzieniu?

- Tak.

- Masz zamiar z nim porozmawiać?

- Chcę spróbować. Rozmawiałem z jego adwokatką. Z te-
go, co słyszę, nie radzi sobie dobrze. Z drugiej strony, on nig-
dy za dobrze sobie nie radził, ale jeżeli zostanie w więzieniu,
to się go już nie uratuje. Był zaburzony, zanim tam się dostał.
Teraz jest na granicy obłądka.

- Czy to prawda, co mówią o tym miejscu?

- Tak, to prawda.

Nie odzywała się przez dobrą chwilę. Szliśmy po opadłych,
zeschniętych liściach. Momentami wydawało to taki dźwięk

jak rodzic uciszający dziecko, uspokajający, pocieszający. A chwilami był to pusty hałas i suchy trzask zawierający zapowiedź przemijania wszystkiego.

- A ten psychiatra, Clay? Mówisz, że pojawiły się podejrzenia, że to on mógł dostarczać informacji o dzieciach tym zwyrodnialcom. Czy było coś, co wskazywałoby wprost na jego udział w wykorzystywaniu dzieci?

- Nic, albo ja nie potrafiłem niczego takiego znaleźć. Zdanem córki nie był w stanie żyć z poczuciem winy, że nie zdołał temu zapobiec. Uważał, że powinien zauważyć, co się dzieje. Te dzieci zostały skrzywdzone, zanim rozpoczął ich terapię, jak to było w wypadku Kelloga. Clay miał trudności z dotarciem do nich, ale jego córka pamięta, że czynił postępy, albo przynajmniej myślał, że tak jest. Potwierdziła to adwokatka Kelloga. Działanie Claya przynosiło rezultaty. Rozmawiałem też z kimś ze środowiska Claya, doktorem Christianem, który prowadzi klinikę dla wykorzystywanych dzieci. Głównie krytykuje on Claya za to, że z niepokojem i niecierpliwością wszędzie doszukiwał się wykorzystywania. Miał pewien przypadek, z którym były problemy i przestano mu zlecać dalsze badania przypadków dla państwowej służby zdrowia.

Rachel zatrzymała się i przyklękała. Zerwała polną koniżynę, która jeszcze miała jeden puszysty, szaroróżowy kwiatek.

- To podobno przestaje kwitnąć we wrześniu czy październiku - powiedziała. - No i proszę, jeszcze tu jest i kwitnie. Świat się zmienia. - Podała mi kwiatek. - Na szczęście - dodała.

Potrzymałem go na dłoni, a potem delikatnie włożyłem do plastikowej przegródki w portfelu.

- Pozostaje jeszcze pytanie: jeżeli ci sami ludzie byli zamieszani w wykorzystywanie dzieci, to jak je znajdowali? - zapytała. - Z tego, co mi mówiłeś, wybierali najbardziej zagrożone. Skąd wiedzieli?

- Ktoś im o nich mówił - powiedziałem. - Ktoś im je nagał.

- Jeżeli nie Clay, to kto to mógł być?

- Zorganizowano komisję do typowania dzieci, które miały być posłane do Claya. Składała się z pracowników służby zdrowia i opieki społecznej. Gdybym musiał wybierać, powiedziałbym, że to jeden z nich. Ale jestem pewny, że policja zbadała ten aspekt. Musiała. Ludzie Christiana też to badali. Nic nie znaleźli.

- Ale Clay znikł. Dlaczego? Z powodu tego, co stało się dzieciom, czy dlatego, że był w to zamieszany? Bo czuł się odpowiedzialny za to, czy dlatego, że był odpowiedzialny?

- To duża różnica.

- Coś jest nie w porządku w tym, że Clay znikł. Zawsze istnieją jakieś wyjątki, ale nie wyobrażam sobie lekarza w takiej sytuacji, który by zareagował w ten sposób. Jest psychiatrą, specjalistą, nie jakimś zwykłym człowiekiem. On by się nie załamał, nie w ciągu paru dni.

- Więc albo uciekł, bo nie chciał być w to zamieszany...

- Co też nie ma za wiele sensu. Jeżeli byłby w to zamieszany, to miałby dość rozumu, żeby potrafić zacierać ślady za sobą.

- ...albo ktoś się postarał, żeby on „zniknął”. Jeden człowiek, albo kilku z tych zamieszanych w wykorzystywanie dzieci.

- I potrafili zatrzeć swoje ślady.

- Dlaczego miałyby zrobić coś takiego?

- Szantaż. Albo on sam mógł mieć takie skłonności.

- Uważasz, że mógł uczestniczyć w wykorzystywaniu? To byłoby ryzykowne.

- Zbyt ryzykowne - zgodziła się. - Ale to go nie wyklucza, jeżeli był pedofilem. To również nie wyklucza szantażu.

- Ciągłe zakładamy, że był winny.

- Rozważamy sprawę, i tyle.

To było ciekawe, ale coś się tu jeszcze nie zgadzało. Nie potrafiłem zrozumieć, co było nie w porządku w tej całej sprawie. Skierowaliśmy się z powrotem w stronę domu, na przedwieczornym niebie wschodził księżyc nad nami. Czekala mnie długa jazda do domu i nagle poczułem się nieznośnie samotny. Nie chciałem odjeżdżać od tej kobiety i naszego wspólnego dziecka. Nie chciałem zostawiać spraw w takim stanie, nie mogłem.

- Rach - powiedziałem. I przystanąłem.

Zatrzymała się i obejrzała na mnie.

- Co się z nami stało?
- Już o tym rozmawialiśmy.
- Myślisz?
- Wiesz przecież - powiedziała. - Myślałam, że potrafię poradzić sobie z tobą i tym, co robiłeś, ale być może myliłam się. Coś we mnie reagowało na to, ta część mnie, która czuła gniew i ból, ale w tobie jest to tak ogromne, że mnie to prze-raża. Ja...

Czekałem.

- Kiedy wróciłam do domu, wtedy w maju, kiedy my... nie chcę powiedzieć: byliśmy znowu razem, bo to nie trwało na tyle długo, żeby to tak nazwać, kiedy mieszkaliśmy znowu razem, zrozumiałam, jak bardzo nienawidziłam tam być. Nie zauważyłam tego, dopóki nie wyjechałam i nie wróciłam, ale coś jest nie w porządku z tym domem. Nie potrafię tego wyjaśnić. Chyba nigdy nie próbowałam, nie na głos, ale wiem, że są sprawy, o których mi nie powiedziałaś. Czasami słyszałam, jak wymawiałaś czyjeś imiona przez sen. Widziałam, jak szedłeś przez dom w półśnie, prowadząc rozmowy z ludźmi, których ja nie mogę zobaczyć, ale wiem, kim są. Przyglądałam ci się, kiedy rozprawiłaś z cieniami, myśląc, że jesteś sam. - Zaśmiała się smutno. - Do diabła, nawet widziałam, jak pies to robił. On przy tobie też panikuje. Nie wierzę w duchy. Może dlatego ich nie widzę. Myślę, że biorą się z wnętrza, nie z zaświatów. To ludzie kreuja duchy. Wszystkie te opowieści o duchach i niedokończonych sprawach, ludziach, którzy odeszli przedwcześnie, nawiedzających jakieś miejsca. Nie wierzę w to wszystko. To żywi mają niezłatwione sprawy, nie potrafią pozwolić odejść przeszłości. Twój dom jest nawiedzony. Jego duchy, to twoje duchy. Ty je stworzyłeś i ty też możesz ich się pozbyć. Dopóki tego nie zrobisz, nikt inny nie może stać się częścią twego życia, bo demony w twojej głowie i duchy w twoim sercu zmuszą tych ludzi do odejścia. Rozumiesz to? Ja wiem, co przeżywałeś przez te wszystkie lata. Czekałam, żebyś mi powiedział, ale nie potrafiłeś. Może obawiasz się tego, że jak mi powiesz, to będziesz musiał pozwolić im odejść, a ty tego wcale nie chcesz. One napędzają ten gniew w

tobie. I dlatego patrząc na tego faceta, Merricka, czujesz, że ci go żal, a nawet więcej, wczuwasz się w jego sytuację.

Nagle wyraz jej twarzy się zmienił tak samo jak ton głosu, a policzki zaróżowiły się od gniewu.

- No, to pamiętaj, żeby mu się dobrze przyjrzeć, bo sam taki się staniesz, jeżeli nie skończysz z tym wszystkim, będziesz wypaloną skorupą napędzaną nienawiścią, zemstą i straconą miłością. W końcu, nie jesteśmy razem nie dlatego, że martwię się o Sam i o siebie, że boję się o ciebie i o to, co może się stać z nami wszystkimi w konsekwencji twojej pracy. Ja ciebie się boję, boję się tego, że część ciebie skłania się w stronę zła, bólu i niedoli, że gniew i krzywda, które czujesz, stale trzeba będzie podsycać. To się nigdy nie skończy. Mówisz, że Merrick jest człowiekiem, który nie potrafi przebaczać. Ty też tego nie potrafisz. Nie potrafisz przebaczyć sobie, że cię tam nie było i nie mogłeś ochronić żony i dziecka, nie możesz im przebaczyć, że opuściły cię, umierając. I może myślałam, że to się da zmienić, bo to, że masz nas w swoim życiu, pozwoli ci trochę zaleczyć rany, znaleźć spokój przy nas, ale nie będzie żadnego spokoju. Chcesz tego, ale nie jesteś w stanie tego przyjąć. Ty po prostu...

Zaczęła płakać.

Poruszyłem się w jej kierunku, ale ona się odsunęła.

- Nie - powiedziała cicho. - Zostaw.

Odeszła, i ja jej na to pozwoliłem.

Eldritch przyjechał do Maine wczesnym rankiem w poniedziałek w towarzystwie młodego człowieka o wyglądzie rozkojarzonego i lekko zdesperowanego alkoholika, który zapomniał, gdzie schował butelkę. Eldritch zdał się na swego kolegę w kwestii przedstawienia całego wniosku do sędziego, sam zadowolony z dodaniem kilku słów w imieniu swego klienta na końcu wniosku. Z jego łagodnej, sensownej przemowy wynikało, że Merrick jest miłym spokojnym człowiekiem, którego czyny zrodzone z troski o dobro jego zaginionego dziecka zostały opacznie zrozumiane przez okrutny, obojętny świat. Niemniej jednak, zaręczył w imieniu Merricka - bo sam Merrick nie odzywał się w trakcie przesłuchania - że zastosuje się on do wszystkich warunków wyroku sądu, który zostanie wkrótce wydany i poprosił, z całym należnym szacunkiem, żeby jego klient został niniejszym niezwłocznie zwolniony.

Sędzia, pani Nola Hight, nie była naiwna. W trakcie swoich piętnastu lat pracy w sądzie zdążyła usłyszeć prawie każdy możliwy wykręt znany ludziom i nie miała zamiaru wziąć ani Merricka, ani słów Eldritch'a za dobrą monetę.

- Pana klient spędził dziesięć lat w więzieniu za usiłowanie morderstwa, panie Eldritch - powiedziała.

- Napaść czynną, Wysoki Sądzie - poprawił młody asystent Eldritch'a.

Sędzia Hight spiorunowała go wzrokiem tak mocno, że jego włosy mogły zacząć się tlić.

- Z całym szacunkiem, Wysoki Sądzie, nie jestem pewny, czy to ma związek ze sprawą teraz sądzoną - powiedział Eldritch, próbując załagodzić gniew sędzi samym swoim tonem.

- Mój klient odbył wyrok za tamto przestępstwo. Jest innym człowiekiem, zdyscyplinowanym przez swoje doświadczenia.

Sędzia Hight rzuciła Eldritchowi spojrzenie, które człowieka mniejszego kalibru zamieniłoby w zwęglone szczątki. Eldritch tylko drgnął na swoim miejscu, jakby jego kruchą postać dotknął delikatny powiew lekkiego wiatru.

- Zostanie zdyscyplinowany maksymalnym wyrokiem dopuszczonym przez prawo, jeżeli jeszcze raz znajdzie się w tym sądzie w związku z rozpatrywaną sprawą - powiedziała. - Czy wyrażam się jasno, panie mecenasie?

- Bez wątplenia - powiedział Eldritch. - Zdanie Wysokiego Sądu jest równie uzasadnione, jak roztropne.

Sędzia Hight zastanawiała się przez chwilę, czy oskarżyć go o obrazę sądu przez sarkazm, ale zrezygnowała.

- Wynoście się z mojej sali sądowej - powiedziała.

Było jeszcze wcześniej, ledwie po dziesiątej. Merrick miał zostać zwolniony o jedenastej, kiedy tylko będą gotowe jego dokumenty. Kiedy wypuszczono go z aresztu stanowego hrabstwa Cumberland, wręczyłem mu zakaz sądowy zabraniający dalszego kontaktu z Rebecca Clay pod karą więzienia i/lub grzywny. Wziął go ode mnie, przeczytał starannie i schował do kieszeni marynarki. Był sponiewierany i zmęczony, tak, jak wygląda większość ludzi po paru nocach w celi.

- To, co zrobiłeś, było podłe - powiedział.

- Masz na myśli nasłanie na ciebie gliniarzy? Terroryzowałeś młodą kobietę. To też może wydać się podłe. Musisz przemyśleć swoje zasady. Są kompletnie pochrzanione.

Mógł mnie słyszeć, ale tak naprawdę wcale mnie nie słuchał. Nawet na mnie nie patrzył. Gapił się gdzieś w jakiś punkt nad moim prawym ramieniem, dając mi do zrozumienia, że nie jestem nawet wart tego, żeby mi spojrzeć w oczy.

- Mężczyźni powinni załatwiać swoje sprawy jak mężczyźni - mówił dalej, a rumieniec podnosił się na jego twarzy, jakby go gotowano od dołu. - Spuściłeś na mnie psy, kiedy ja tylko chciałem porozmawiać. I ty, i panienka, oboje nie macie żadnego honoru.

- Daj sobie postawić śniadanie - powiedziałem. - Może coś wykombinujemy.

Merrick machnął ręką, odmawiając.

- Schowaj sobie swoje śniadanie i rozmowy. Czas na rozmowy z tobą się skończył.

- Możesz mi nie wierzyć, ale mam trochę zrozumienia dla ciebie - powiedziałem. - Chcesz się dowiedzieć, co się stało z twoją córką. Wiem, jak to jest. Jeżeli będę mógł ci pomóc, to pomogę, ale nie załatwisz tego, strasząc Rebeccę Clay. Jeżeli znowu zbliżysz się do niej, zgarną cię i wsadzą za kratki: do aresztu stanowego hrabstwa Cumberland, jak będziesz miał szczęście, albo do Warren, jak ci go zabraknie. To może być jeszcze jeden rok twojego życia, jeszcze jeden rok minie, a ty nie przybliżysz się do poznania prawdy o zaginięciu twojej córki.

Merrick po raz pierwszy popatrzył na mnie od początku rozmowy.

- Skończyłem z tą Clay - powiedział. - Ale nie skończyłem z tobą. Dam ci radę, w rewanżu za to, co ty mi tu dałeś. Trzymaj się od tego z daleka, to może potraktuję cię litościwie, kiedy nasze drogi kiedyś znowu się przetną.

Po tych słowach precyzyjnie się koło mnie i zaczął iść do przystanku autobusowego. Wydawał się mniejszy niż przedtem, miał lekko zgarbione ramiona i dżinsy brudne po pobycie w celi. Znowu zrobiło mi się go żal. Pomimo tego wszystkiego, co wiedziałem o nim i tego, o co go podejrzewano, że zrobił, był jednak ojcem szukającym swego zaginionego dziecka. Może tylko to mu jeszcze zostało, ale wiedziałem, jakie zniszczenie może spowodować tego rodzaju pełne determinacji napięcie. Wiedziałem, bo sam kiedyś je rozpętałem. Rebecce Clay mogło już nic nie grozić z jego strony, przynajmniej na razie, ale Merrick nie miał zamiaru zrezygnować. Będzie dalej szukał, aż dowie się prawdy, albo ktoś zmusi go, żeby przestał. W każdym wypadku, to się może skończyć tylko śmiercią.

Zadzwoiłem do Rebecki i powiedziałem jej, że moim zdaniem Merrick nie będzie jej na razie niepokoił, ale nie mogę tego zagwarantować.

- Rozumiem - odrzekła. - Ale nie chcę już dłużej mieć ludzi koło domu. Nie mogę tak żyć. Czy może im pan podziękować w moim imieniu i przesłać mi rachunek?

- Jeszcze jedna, ostatnia sprawa, pani Clay - powiedziałem. - Gdyby pani miała wybór, czy chciałaby pani, żeby znaleziono pani ojca?

Zastanowiła się nad moim pytaniem.

- Gdziekolwiek jest, doprowadziła go tam jego decyzja - powiedziała cicho. - Mówiłam już panu wcześniej: myślę czasem o Jimmym Poole'u. Wyjechał i nigdy nie wrócił. Wolę myśleć, że nie wiem, czy to się stało z mojego powodu, czy przypadek dlatego, że go poprosiłam, by szukał mojego ojca, czy też stało się z nim coś innego, coś równie straszego. Ale kiedy nie mogę spać, kiedy leżę sama w swoim ciemnym pokoju, wiem, że to moja wina. W dzień potrafię przekonać siebie, że nie, ale wiem, jaka jest prawda. Nie znam pana, panie Parker. Poprosiłam, żeby mi pan pomógł i pan to zrobił, zapłacę za pana czas i starania, ale my się nie znamy. Gdyby panu miało się coś stać, bo zadaje pan pytania o mojego ojca, to by nas związało, a ja nie chcę być związana z panem, nie w taki sposób. Próbuję to zostawić w spokoju. Chcę, żeby pan zrobił to samo.

Odłożyła słuchawkę. Może ma rację. Może powinno się zostawić Daniela Claya tam, gdzie jest, czy to na ziemi, czy pod ziemią. Ale to już teraz nie zależy od niej ani ode mnie. Jest Merrick i jest też osoba, która poleciła sfinansowanie go. Rola Rebecki Clay w tej sprawie mogła już być skończona, moja nie.

Kiedy więzienie stanowe stanu Maine miało siedzibę w Thomaston, trudno go było nie zauważyć. Stało przy głównej drodze do miasta, potężna budowla na drodze nr 1, której nie zniszczyły dwa pożary, i nawet po odbudowie, renowacji, rozbudowie i od czasu do czasu przeprowadzanej modernizacji, ciągle przypominała karny zakład wychowawczy z początku dziewiętnastego wieku, którym kiedyś była. Mogło się wydawać, że miasto rozwinęło się dokoła więzienia, chociaż prawdę mówiąc, placówka wymiany towarowej istniała w

Thomaston od siedemnastego wieku. Niemniej jednak więzienie górowało nad krajobrazem zarówno fizycznie, jak i być może psychologicznie. Kiedy ktoś wspomniał o Thomaston, każdemu w Maine od razu przychodził na myśl ten zakład karny. Zastanawiałem się czasem, jak to jest żyć w miejscu, którego głównym powodem do chwały jest więzienie istot ludzkich. Może jest tak, że po jakimś czasie po prostu zapomina się o tym albo nie dostrzega, jaki to ma wpływ na mieszkańców i miasto. Może tylko ci, którzy odwiedzają Thomaston natychmiast czują przytłaczające miazmaty wiszące nad tym miejscem tak, jakby nieszczęście ludzi zamkniętych za murami więzienia przesączyło się do atmosfery, przydając jej szarości i ciężaru, jak cząsteczki ołowiu w powietrzu. Ale z drugiej strony, to pozwala utrzymać współczynnik przestępczości na niskim poziomie. Thomaston to takie miejsce, gdzie brutalne przestępstwo zdarza się raz na dwa albo trzy lata i wskaźnik przestępczości osiąga około jednej trzeciej wartości przeciętnej krajowej. Być może obecność wielkiego więzienia za progiem sprawia, że ci, których kusi świat zbrodni, są skłonni rozważyć ponownie swoje plany życiowe.

A Warren to coś innego. Miasto jest trochę większe od Thomaston i jego tożsamość nie jest tak związana z zakładem karnym. Nowe więzienie stanowe rosło stopniowo: początek dało otwarcie Supermax, potem był oddział stabilizacji zdrowia psychicznego i na koniec przeniesienie ogółu więźniów z Thomaston do nowych pomieszczeń. W porównaniu ze starym więzieniem, było trudniejsze do znalezienia, schowane na drodze nr 97, no, powiedzmy schowane na tyle, na ile da się schować miejsce z tysiącem więźniów i czterema setkami pracowników. Jechałem Cushing Road, minąłem obiekt więzienny Bolduc po lewej, aż dotarłem do znaku z cegieł i kamienia po prawej stronie drogi, z napisem: Węzienie Stanowe stanu Maine, pod którym widniały dwie daty 1824 i 2001, ta pierwsza upamiętniała założenie pierwotnego więzienia, a druga otwarcie nowego budynku.

Węzienie Warren wyglądało raczej na nowoczesny zakład przemysłowy aniżeli zakład karny, a wrażenie to było spotęgowane obecnością dużego terenu obsługi technicznej, na

którym postawiono więzienną elektrownię. Karmniki dla ptaków zrobione z boi rozstawiono na trawnikach przed głównym wejściem i wszystko wyglądało na nowe i świeżo pomalowane. Cisza i nazwa: białe litery na zielonym tle nad drzwiami, i drut kolczasty na górze podwójnego ogrodzenia, obecność na granatowo umundurowanych strażników w pasiastych spodniach i zgębnione twarze ludzi czekających w holu, którzy przyszli odwiedzić swoich najbliższych zdradzały prawdziwy charakter tego miejsca. W sumie, nie trzeba było zbyt się wyęźać, by zobaczyć, że bez względu na wszystkie kosmetyczne poprawki na fasadzie, było to ciągle takie samo więzienie jak dobry, stary Thomaston.

Aimee Price najwyraźniej użyła swoich wpływów, by umożliwić mi spotkanie z Andym Kellogiem. Czekanie na zezwolenie na widzenie może czasem zająć nawet do sześciu tygodni. Ale z drugiej strony, Price miała prawo widzieć się ze swoimi klientami, kiedy tylko chciała, no i ja też nie byłem całkiem obcy władzom więzienia. Odwiedziłem kaznodzieję Faulknera, kiedy siedział w Thomaston i było to spotkanie pamiętne, pomimo że odbyte z niedobrych powodów. Jednak w nowym pomieszczeniu byłem po raz pierwszy.

Nie zdziwiło mnie więc zbyt, kiedy koło Price zobaczyłem znajomą postać, kiedy już sprawdzony przez strażników, w końcu wszedłem do środka: był to Joe Long, komendant straży. Nie zmienił się wiele od naszego ostatniego spotkania. Był wciąż ogromny, wciąż małowówny i wciąż bił od niego ten rodzaj autorytetu, który utrzymuje tysiąc przestępców w ryzach należnego respektu. Miał wykrochmalony i wyprasowany mundur i wszystko, co miało błyszczeć, błyszczało spektakularnie. Było teraz trochę więcej siwizny w jego włosach, ale postanowiłem tego nie podkreślać. Pod srogim wyglądem zewnętrznym wyczuwałem wrażliwą duszę dziecka, które czekało, by je przytulić. Nie chciałem urazić jego uczuć.

- Znowu tutaj - powiedział tonem, który sugerował, że zwracam mu głowę, pukając do jego drzwi o każdej porze dnia i nocy, domagając się, by mnie wpuścił i pozwolił bawić się z innymi dziećmiakami.

- Nie potrafię trzymać się z daleka od ludzi w więzieniach - powiedziałem.

- Tak, sporo ich tutaj mamy - odpowiedział.

Ach, ten Joe Long. Zawsze żartuje. Z takim sarkazmem i ironią to tylko do kabaretu.

- Podoba mi się to nowe miejsce - pochwaliłem. - Jest surowe w wystroju, ale proste i domowe. Widzę, że przyłożyłeś rękę do urządzania: surowe szarości, kamień, drut. To wszystko bije w oczy.

Pozwolił spojrzeń zatrzymać się na mnie o moment czy dwa dłużej, aniżeli było to konieczne, potem wykonał zgrabny zwrot na pięcie i kazał nam iść za sobą. Aimee Price dostosowała się do mojego kroku, a drugi strażnik, nazwiskiem Wooldbury, zamykał pochód.

- Pan po prostu wszędzie ma przyjaciół, prawda? - powiedziała.

- Jeżeli tu kiedykolwiek wyląduję, to mam nadzieję, że będzie się mną opiekował.

- Tak, życzę tego. Jeżeli kiedykolwiek znajdzie się pan w takich opałach, to przyda się wtyka.

Nasze kroki odbijały się echem w korytarzu. Teraz panował wokół hałas: niewidoczni mężczyźni rozmawiali i krzyczeli, otwierano i zamykano stalowe drzwi, z oddali dobiegał odgłos odbiorników radiowych i telewizyjnych. Tak jest w więzieniach: w środku nigdy nie ma ciszy, nawet w nocy. Zawsze jest się boleśnie świadomym obecności uwięzionych dokoła ludzi. Jeszcze gorzej bywa po ciemku, po zgaszeniu światła, kiedy rodzaj dźwięków się zmienia. To wtedy samotność i rozpacz uderzają więźniów, a chrapanie i gwizdy są przerywane krzykami mężczyzn nawiedzanych przez koszmary i płaczem tych, którzy się jeszcze nie pogodzili z perspektywą spędzenia wielu lat w takim miejscu, i tych, którzy nigdy się z nią nie pogodzą. Poślaniec powiedział mi, że podczas swego najdłuższego pobytu - dwa lata z trzyletniego wyroku za włamanie i wejście - nie zdarzyła mu się ani jedna noc przespana bez przerwy. Właśnie to go wyczerpało. Ironia polegała na tym, że kiedy go wypuszczono, też nie mógł spać, nieprzyzwyczajony do względnej ciszy w mieście.

- Andy będzie przyprowadzony na nasze spotkanie do osobnego pokoju. Nie będziemy mieć z nim bezpośredniego kontaktu - powiedziała Aimee. - Nie jest to idealna sytuacja i nie zobaczy pan osobiście, jak to jest w Maksie, ale tylko tyle udało mi się załatwić. Andy jest ciągle uważany za niebezpiecznego dla siebie i innych.

Price przeprosiła i zanim spotkaliśmy się z Kellogiem, poszła do toalety. Zostałem sam z Joe Longiem. Woodbury trzymał się na uboczu, zadowolając się wpatrywaniem w podłogę i w ściany.

- Trochę czasu minęło, od kiedy cię ostatnio widziałem - powiedział Long. - Ile to... trzy, cztery lata?

- Mówisz to prawie z żalem.

- Tak, prawie. - Long poprawił krawat, starannie strzeżąc parę pyłków kurzu, które śmiały przyczepić się do niego. - Słyszałeś coś kiedyś o tym kaznodziei Faulknerze? - zapytał. - Mówią, że on po prostu zniknął.

- Chodzą takie słuchy.

Long, skończywszy z krawatem, przyjrzał mi się zza okularów i w zamyśleniu pogłaskał wąs.

- Dziwne, że nigdy się więcej nie pokazał - ciągnął. - Przecież taki człowiek nie może tak po prostu zniknąć, kiedy tyle osób go szuka. Można się zastanawiać, czy nie szukają w złym kierunku. W górze, powiedzmy, zamiast w dole. Na ziemi zamiast pod ziemią.

- Pewnie się nigdy nie dowiemy - powiedziałem

- Pewnie nie. Może to i lepiej. Nie płakalibyśmy po kaznodziei, ale prawo to prawo. Człowiek mógłby znaleźć się za kratkami za coś takiego, i to nie byłoby dobre miejsce dla niego.

Jeżeli Long oczekiwał, że pęknę i wyznam mu coś, to się rozczarował.

- Tak, słyszę właśnie, że to nie jest dobre miejsce dla Andy'ego Kelloga - powiedziałem. - Ma problemy z przystosowaniem.

- Andy Kellog ma mnóstwo problemów. Niektóre sam sobie stwarza.

- Nie pomoże mu, jak go się będzie traktowało gazem łzawiącym w środku nocy i nagiego przywiązywało do krzesła.

Wydaje mi się, że ktoś się tutaj minął z powołaniem. Proszę bardzo, wydajemy pieniądze podatnika na loty dla niegrzecznych chłopców do Egiptu i Arabii Saudyjskiej, żeby zmiękli, a moglibyśmy ich załadować do autobusów Trailways i przysłać ich tutaj. Po raz pierwszy na twarzy Longa pojawił się cień emocji.

- Stosuje się to w celu uspokojenia - powiedział - a nie torturowania.

Powiedział to bardzo cicho, prawie jakby nie wierzył w to, co mówi, na tyle, żeby powiedzieć to głośno.

- To jest tortura, jeżeli doprowadza człowieka do obłądu - odpowiedziałem

Long otworzył usta, żeby powiedzieć coś jeszcze, ale zanim zdążył, wróciła Aimee Price.

- No, dobrze - powiedziała. - Chodźmy do niego.

Drzwi naprzeciwko nas otworzył Woodbury i weszliśmy do pokoju przedzielonego grubą taflą pleksiglasu. Rzędy kabin, każda z własnym mikrofonem i słuchawką zapewniały pewien stopień prywatności odwiedzającym, ale dzisiaj to nie było potrzebne. Po drugiej stronie szyby stał tylko jeden więzień, a za nim czaiło się dwóch strażników z kamiennymi twarzami. Miał na sobie pomarańczowy kombinezon i łańcuch typu kolarz i krawat, który skuwał mu ręce i nogi. Był niższy ode mnie i, w przeciwieństwie do większości więźniów, nie przytył z powodu diety i braku ruchu. Wręcz przeciwnie, kombinezon był na niego za duży, rękawy opadały prawie do drugiego rzędu kostek na każdej dłoni. Miał bladą cerę i piękne czarne włosy nierówno obcięte tak, że grzywka opadała ukośnie z lewa na prawo przez czoło. Oczy były osadzone głęboko w czaszce, ocienione wąskimi brwiami. Jego nos został złamany więcej niż raz i zrósł się krzywo. Usta miał małe, wargi bardzo cienkie. Dolna szczęka drżała nieustannie, jakby był na granicy łez. Kiedy zobaczył Aimee, uśmiechnął się szeroko. Nie miał jednego z przednich zębów. Inne zęby były szare od kamienia.

Usiadł, kiedy my siedliśmy i pochylił się do jednego z mikrofonów.

- Jak się pani ma, panno Price? - zapytał.

- Dobrze, Andy. A ty?

Pokiwał kilkakrotnie głową, ale nic nie powiedział, jak gdyby ona ciągle jeszcze mówiła, a on wciąż jeszcze słuchał. Z bliska mogłem dostrzec siniaki pod lewym okiem i na lewej kości policzkowej. Prawe ucho było poranione i zaschnięta krew mieszała się z woskiem u wlotu do ucha.

- W porządku - odpowiedział w końcu.

- Miałeś jakieś kłopoty?

- Hm, hm. Biorę lekarstwa, jak pani prosiła i mówię strażnikom, kiedy nie czuję się dobrze.

- Czy reagują jakoś na to?

Przelknął i prawie się obejrzał przez ramię na mężczyzn stojących za nim. Aimee dostrzegła ten ruch i zwróciła się do strażników.

- Czy mogłabym prosić, byście dali nam trochę swobody? - spytała.

Popatrzyli na Longa, szukając potwierdzenia, że to jest dozwolone. On się zgodził i strażnicy wycofali się z naszego pola widzenia.

- Niektórzy z nich, ci dobrzy - mówił dalej Kellog. Wskazał z szacunkiem na Longa. - Pan słucha, kiedy uda mi się spotkać pana. Jednak inni, inni mają coś do mnie. Staram się nie wchodzić im w drogę, ale czasem mnie po prostu wściekają, wie pani? Złoszczą mnie, potem mam kłopoty.

Zerknął na mnie. Był to już trzeci albo czwarty raz, kiedy to zrobił, ale nigdy nie patrzył na tyle długo, żeby spojrzeć mi w oczy, jednak za każdym razem skinął głową, uznając moją obecność. Po wstępnych uprzejmościach, Aimee mnie przedstawiła.

- Andy, to jest pan Parker. Jest prywatnym detektywem. Chciałby z tobą porozmawiać o pewnych sprawach, jeżeli nie masz nic przeciwko temu.

- Chętnie - powiedział Kellog. - Miło mi pana poznać.

Teraz, gdy już dokonano prezentacji, chętnie patrzył mi w oczy. Było w nim coś dziecinnego. Nie wątpiłem, że bywa trudny, nawet niebezpieczny w niekorzystnych warunkach, ale nie rozumiałem, jak ktokolwiek, kto spotkał Andy'ego Kelloga, znał jego historię i zapoznał się z raportami specjalistów, mógł nie widzieć, że jest to młody człowiek, który ma

ciężkie problemy nie z własnej winy, człowiek, który tak naprawdę nigdy nigdzie nie znajdzie miejsca, niemniej jednak nie zasługuje na to, by być zamknięty w celi, albo gorzej, nago przywiązany do krzesła w lodowato zimnym pokoju, bo nikomu się nie chce zadać sobie trudu i sprawdzić, czy dawki jego leków są w porządku.

Pochyliłem się bliżej w stronę szyby. Chciałem zapytać Kelloga o Daniela Claya i co się wydarzyło w lesie koło Bingham, ale wiedziałem, że to będzie dla niego trudne i należało liczyć się z tym, że się kompletnie zamknie albo wybuchnie i wtedy nie miałbym już możliwości zapytać go o nic innego. Postanowiłem więc zacząć od Merricka, a dopiero potem poruszyć kwestię molestowania.

- Spotkałem kogoś, kto cię zna - zacząłem. - Nazywa się Frank Merrick. Pamiętasz go?

Kellog pokiwał głową z ożywieniem. Uśmiechnął się, znowu odsłaniając swoje szare zęby. Niedługo już ich nie będzie miał. Jego dziąsła były mocno zaczerwienione i zainfekowane.

- Lubiłem Franka. Opiekował się mną. Przyjdzie mnie odwiedzić?

- Nie wiem, Andy. Nie jestem pewny, czy on będzie chciał tu wrócić, rozumiesz?

Twarz Kelloga posmutniała.

- Chyba pan ma rację. Kiedy ja stąd wyjdę, też już nigdy tu więcej nie wrócę.

Zaczął skubać palce, otwierając jakąś ranę, która natychmiast zaczęła krwawić.

- Jak Frank się tobą opiekował, Andy?

- On był ostry. Nie bałem się go - no, może na początku, ale potem nie - a inni się go bali. Zwykle mi dokuczali, ale potem przyszedł Frank i przestali. Wiedział, jak ich dorwać, nawet w Maksie. - Znowu uśmiechnął się szeroko. - Niektórym dał naprawdę mocno w kość.

- Czy on ci kiedykolwiek powiedział, dlaczego się tobą opiekuje?

Kellog wyglądał na zakłopotanego.

- Dlaczego? Bo był moim przyjacielem, to dlatego. Lubił mnie. Nie chciał, żeby mi się coś złego stało. - Potem, patrząc na niego, zobaczyłem, że krew zaczęła zabarwiać mu twarz i przypomniałem sobie Merricka z obawą, że coś z niego przeszło na tego młodszego mężczyznę w czasie, kiedy byli razem w więzieniu. Zobaczyłem, jak jego dłonie zaciskają się w pięści. Z jego ust wydobywał się dziwny miarowy odgłos i pojąłem, że ssie jeden ze swoich kiwających się zębów, wypełniał zębodół śliną i opróżniał go, tworząc to rytmiczne tykanie, jak bomba gotowa do wybuchu.

- On nie był pedalem - powiedział Kellog, podnosząc głos lekko. - Jeżeli to ma pan na myśli. Mówię panu teraz, że to nie jest prawda. Nie był pedziem. Ja też nie. Bo jeżeli to pan próbuje powiedzieć...

Kątem oka zobaczyłem, że Long zrobił gest prawą ręką i strażnicy szybko pojawili się w kadrze za Kellogiem.

- Już dobrze, Andy - powiedziała Aimee. - Nikt nie myśli niczego podobnego.

Kellog lekko drżał, próbując opanować gniew.

- No, nie był i to wszystko. Nigdy mnie nie dotknął. Był moim przyjacielem.

- Ja rozumiem, Andy - powiedziałem. - Przepraszam, o niczym takim nie myślałem. Chciałem ci zapytać, czy on dał ci kiedyś do zrozumienia, że możecie mieć coś wspólnego ze sobą. Czy mówił ci kiedyś o swojej córce?

Kellog zaczął się uspokajać, ale teraz w jego oczach tlił się wrogi błysk podejrzliwości. Wiedziałem, że sporo czasu będzie potrzebna, żeby to minęło.

- Taa, trochę.

- To było po tym, jak zaczął się tobą opiekować?

- Zgadza się.

- Ona była pacjentką doktora Claya, tak jak ty, prawda?

- Taa. Zaginęła, kiedy Frank był w więzieniu.

- Czy Frank powiedział ci kiedyś, co myślał o tym, co się z nią stało?

Kellog potrząsnął głową.

- On nie lubił o niej mówić. Robił się smutny.
- Czy pytał, co tobie się stało tam na północy?

Kellog przełknął z wysiłkiem i odwrócił wzrok. Tykający dźwięk pojawił się znów, ale nie brzmiał gniewnie.

- Tak - powiedział cicho.

Nie powiedział „taa” tylko „tak”. To sprawiło, że wydał się młodszy, jak gdybym, przywołując temat molestowania, cofnął go fizycznie do czasu dzieciństwa. Jego twarz zwiotczała, źrenice się zwęziły. Wydawało się, że jeszcze zmalął, ramiona miał zgarbione, a dłonie rozłożył w podświadomym geście błagania. Umęczony dorosły znikł, zostawiając miejsce widmu dziecka. Nie musiałem pytać, co mu zrobiono. Ujawniło się to w rysach jego twarzy serią drgnień, grymasem bólu i wzdrygnięć, w niemym odtworzeniu zapamiętanego bólu i poniżenia.

- Chciał wiedzieć, co zobaczyłem, co zapamiętałem - odparł. Był to ledwie szept.

- I co mu powiedziałaś?

- Powiedziałem, co mi zrobili - wyznał po prostu. - Pytał mnie, czy widziałem ich twarze albo słyszałem jakieś wymówione imię, ale oni mieli maski i nigdy nie używali imion. - Popatrzył prosto na mnie.

- Wyglądali jak ptaki - ciągnął. - Każdy inny. Był tam orzeł i wrona. Gołąb. Kogut. - Wzdrygnął się. - Każdy inny - powtórzył. - Zawsze mieli maski na twarzy i nigdy ich nie zdjęli.

- Czy pamiętasz coś o miejscu, gdzie to się zdarzyło?

- Było ciemno. Zwykle wkładali mnie do bagażnika, wzięli mi ręce i nogi, zakładali worek na głowę. Jechali samochodem przez jakiś czas, potem mnie wynosili. Kiedy zdejmowano mi worek, byłem w jakimś pokoju. Miał okna, ale one były zupełnie zasłonięte. Był tam gazowy grzejnik i latarnie sztormowe. Starłem się mieć zamknięte oczy. Wiedziałem, co będzie, bo to już zdarzyło się wcześniej. Było tak, że to zawsze będzie mnie spotykać i nigdy się nie skończy.

Zamrugał parę razy, potem zamknął oczy, znowu przeżywając to wspomnienie.

- Andy - szepnąłem.

Miał dalej zamknięte oczy, ale kiwnął głową, dając znak, że słyszy.

- Ile razy to się zdarzyło?
- Przestałem liczyć po trzech.
- Dlaczego nie powiedziałeś o tym nikomu?
- Powiedzieli, że mnie zabiją, a potem wezmą Michelle i jej to zrobią. Jeden z nich powiedział, że jest im wszystko jedno, czy robią to chłopcu, czy dziewczynce. Powiedział, że jest po prostu inaczej, i to wszystko. Lubilem Michelle. Nie chciałem, żeby coś złego jej się stało. Mnie to już dawniej zrobiono i wiedziałem, co będzie. Nauczyłem się trochę nie myśleć o tym. Myślałem o czym innym, kiedy to się działo. Wyobrażałem sobie, że jestem gdzie indziej i że to nie jestem ja. Czasem leciałem nad lasem i patrzyłem w dół, i widziałem wszystkich ludzi, i znajdowałem Michelle i szedłem do niej, i bawiliśmy się nad rzeką. Potrafiłem to zrobić, ale Michelle nie dałaby rady. Byłaby tam z nimi cały czas.

Opadłem na oparcie krzesła. On się poświęcił dla drugiego dziecka. Aimee mi to już powiedziała, ale usłyszeć to od samego Kelloga, to była inna sprawa. Nie było żadnego przechwalania się w jego historii o poświęceniu. Zrobił to z miłości do mniejszego dziecka i był to jego naturalny odruch. Znowu zdałem sobie sprawę z tego, że jest to chłopiec uwięziony w ciele mężczyzny, dziecko, którego rozwój został zatrzymany niemal całkowicie, zahamowany przez to, co mu zrobiono. Aimee nie odzywała się wcale, jej wargi były zaciśnięte tak mocno, że aż zbieleły. Pomyślałem, że musiała już słyszeć to wcześniej, ale tego nigdy nie będzie łatwo słuchać.

- Jednak dowiedziano się w końcu - powiedziałem. - Ludzie zorientowali się, co ci zrobiono.

- Wściekłem się. Nic nie mogłem na to poradzić. Zaprowadzili mnie do lekarza. Zbadał mnie. Chciałem, żeby dał spokój. Nie chciałem, żeby tamci przyszli po Michelle. Potem doktor zadawał mi pytania. Próbowałem kłamać, dla Michelle, ale on mnie łapał. Nie potrafiłem zapamiętać wszystkich odpowiedzi. Zaprowadzono mnie z powrotem do doktora Claya, ale ja już nie chciałem z nim rozmawiać. Nie chciałem

z nikim rozmawiać, więc siedziałem cicho. Wsadzili mnie z powrotem, ale potem zrobiłem się za stary i musieli mnie puścić. Przyłączyłem się do takich jednych ludzi, narozrabialiśmy ciężko i wsadzono mnie do Castle.

Tak nazywano stary poprawczy zakład dla trudnej młodzieży zbudowany w połowie dziewiętnastego wieku w South Portland. Już go zamknięto i nie była to wielka strata. Zanim zbudowano nową siedzibę dla młodzieżowego ośrodka w South Portland i Charleston, wskaźniki recydywy wśród młodych więźniów wynosiły pięćdziesiąt procent. Teraz spadły do dziesięciu albo piętnastu procent, głównie dlatego, że instytucje były obecnie mniej skoncentrowane na posyłaniu do więzienia i karze, a raczej starały się pomagać dzieciakom, które często miały ledwie jedenaście czy dwanaście lat, w rozwiązywaniu ich problemów. Jednak zmiany nadeszły zbyt późno dla Andy'ego Kelloga. On był chodzącą, żywą encyklopedią wszystkich błędów i zaniedbań w kontaktach pomiędzy państwem i dzieckiem w trudnej sytuacji.

Teraz odezwała się Aimee.

- Czy mogę pokazać panu Parkerowi twoje rysunki, Andy?

Otworzył oczy. Nie było w nich łez. Myślę, że już wszystkie wypłakał wcześniej.

- Jasne - powiedział.

Aimee otworzyła aktówkę i wyjęła teczkę z kartonu. Podała mi ją. W środku było osiem, może dziewięć rysunków, większość zrobionych kredką, parę akwarelami. Niektóre z nich były bardzo ciemne, namalowane w odcieniach szarości, czerni i czerwieni, wypełnione niezgrabnymi nagimi postaciami z głowami ptaków. To były te rysunki, o których opowiedział mi Bill.

Reszta obrazków przedstawiała wariacje na temat tego samego krajobrazu: drzewa, goła ziemia, rozpadające się budynki. Były prymitywne, nie świadczyły o wielkim talencie, równocześnie jednak po niektórych było widać, że w ich wykonanie włożono wiele starań, podczas gdy inne były gniewnymi krechami czerni i zieleni, nadal rozpoznawalne jako wersja tego samego miejsca, ale tworzone w wybuchu gniewu i żalu. Na każdym obrazku dominował kształt wielkiej kamiennej wieży. Znałem to miejsce, bo już je widziałem na obrazie. To było Gilead.

- Dlaczego narysowałeś to miejsce, Andy? - zapytałem.
 - To tam się to stało - odpowiedział Kellog. - Tam mnie zawieźli.
 - Skąd wiesz?
 - Za drugim razem worek zsunął się, kiedy mnie wnosili. Kopalem ich i on prawie spadł mi z głowy. Zobaczyłem to, zanim naciągnęli mi go z powrotem. Zobaczyłem kościół. Namalowałem go, żeby pokazać Frankowi. Potem przenieśli mnie do Maksa i nie pozwolili więcej malować. Nawet nie mogłem zabrać tych rysunków ze sobą. Poprosiłem pannę Price, żeby je dla mnie przechowała.
 - Więc Frank widział te rysunki?
 - Aha.
 - I nic sobie nie przypominasz o ludziach, którzy cię tam zabrali?
 - Nie o ich twarzach. Mówiłem panu: mieli maski.
 - A inne znaki? Może tatuaż albo blizny?
 - Nie. - Zmarszczył twarz. - Chwileczkę. Jeden z nich miał ptaka tutaj. - Wskazał na lewe przedramię. - To była głowa orła z żółtym dziobem. Myślę, że dlatego miał maskę orła. On mówił innym, co mają robić.
 - Powiedziałeś o tym policji?
 - Taa. Jednak nigdy się więcej nie odezwali. Chyba się to nie przydało.
 - A Frank? Powiedziałeś mu o tatuażu?
 - Zmarszczył twarz.
 - Chyba tak. Nie pamiętam. - Jego twarz się odprężyła. - Czy ja mogę zadać pytanie?
 - Aimee popatrzyła ze zdziwieniem.
 - Oczywiście, że możesz, Andy.
 - Zwrócił się do mnie.
 - Pan ma zamiar znaleźć tych ludzi? - zapytał.
- W jego głosie było coś, co mi się nie spodobało. Mały chłopiec już zniknął, a to, co zajęło jego miejsce, nie było ani dzieckiem, ani dorosłym, tylko jakimś przewrotnym tworem łączącym obu. Jego ton był prawie ironiczny.

- Tak - odpowiedziałem.
- To musi się pan bardzo spieszyć - powiedział.
- Dlaczego?

Teraz wrócił uśmiech i ta wrogość w spojrzeniu.

- Bo Frank obiecał ich zabić. On obiecał zabić ich wszystkich, kiedy już stąd wyjdzie.

I potem Andy Kellog wstał i rzucił się twarzą w przód na przegrodę z pleksiglasu. Złamał natychmiast nos i zostawił smugę krwi na powierzchni. Uderzył jeszcze raz, otwierając ranę na czole tuż poniżej linii włosów. A potem krzyczał i wrzeszczał, kiedy strażnicy zbiegli się do niego, a Aimee Price wołała go po imieniu i prosiła ich, żeby nie robili mu krzywdy, jak włączono alarm i zjawiało się coraz więcej ludzi, i Andy zniknął pod stosem ciał, wciąż kopiąc i krzycząc, sprowadzając na siebie nowy ból, by pogrążyć wspomnienie starego.

Gdy wracaliśmy do holu recepcyjnego, komendant straży buzował cichą złością. Zostawił nas tam na chwilę. Aimee usiadła i czekaliśmy w milczeniu, aż Long wróci do nas z wieściami o stanie Andy'ego Kelloga. Wokół było zbyt wielu ludzi, żebyśmy mogli swobodnie rozmawiać o tym, co się zdarzyło. Patrzyłem na nich, wszyscy zdawali się zagłębieni we własnym bólu i nieszczęściu tych, których przyszli odwiedzić. Mało kto rozmawiał. Starsi mężczyźni mogli być ojcami, braćmi, przyjaciółmi. Niektóre kobiety przyprowadziły ze sobą dzieci, ale nawet i one zachowywały się cicho i grzecznie. Wiedziały, co to za miejsce i to je przerażało. Gdyby zaczęły biegać, a nawet gdyby odezwały się za głośno, mogłyby tu zostać, jak ich ojcowie. Nie pozwolono by im iść do domu i jakiś człowiek zabrałby je i zamknął w ciemnościach, bo taki właśnie los czekał niegrzeczne dzieci. Były zamykane, psuły im się zęby i rozbijały sobie twarze o ekrany ochronne z pleksiglasu, żeby uciec od bólu, tracąc przytomność.

Long pojawił się przy recepcji i wezwał nas gestem. Powiedział, że nos Andy'ego jest poważnie złamany, że Andy stracił jeszcze jeden ząb i został potłuczony w czasie próby obezwładnienia go, ale ogólnie jego stan jest nie najgorszy. Na rozcięte czoło musiano założyć pięć szwów i pozostawiono go w izbie chorych. Nawet nie zastosowano wobec niego gazu obezwładniającego, może dlatego, że jego prawniczka stała po drugiej stronie szyby. Nie było oznak wstrząśnienia mózgu, ale na wszelki wypadek przez noc Andy miał zostać pod obserwacją. Jest jednak skrupowany, by nie mógł skaleczyć

się ponownie, ani zrobić krzywdy komuś innemu. Aimee odeszła od nas, żeby zatelefonować gdzieś spokojnie z komórki, zostawiając mnie samego z Longiem, który ciągle był zły na siebie i ludzi, za których odpowiadał, za to, co się stało Andy'emu Kellogowi.

- On już robił takie rzeczy wcześniej - powiedział. - Kazałem im dobrze go pilnować. - Rzucił ukradkiem spojrzenie w stronę Aimee, sugerując, że częściowo obwinia ją za to, że jego ludzie musieli się odsunąć.

- On tu nie powinien być - odpowiedziałem.

- Decydował sędzia, nie ja.

- To źle zdecydował. Wiem, że pan słyszał, co było mówione. Nie miał za wielkich szans w życiu, ale ci ludzie odebrali mu wszystko. Max doprowadza go do coraz większego obłądzenia, a sędzia nie skazał go na stopniowe pograżanie się w szaleństwo. Nie można trzymać człowieka zamkniętego w takim miejscu bez możliwości zwolnienia i oczekiwać, że będzie zrównoważony, a Andy Kellog od początku ledwie się trzymał.

Long miał na tyle przyzwoitości, by wyglądać na zażenowanego.

- Robimy dla niego, co możemy.

- To nie wystarcza.

Atakowałem go, ale wiedziałem, że nie jest niczemu winien. Kellog został skazany i uwięziony, a Long nie miał obowiązku kwestionować tej decyzji.

- Może myśli pan, że było mu lepiej wtedy, kiedy jego kumpel Merrick był w pobliżu - powiedział Long.

- Przynajmniej trzymał stado wilków na dystans.

- Sam był jak zwierzę.

- Pan chyba tak nie myśli naprawdę.

Podniósł brew, patrząc na mnie znacząco.

- Zaczyna pan mieć w sercu czułe miejsce dla Merricka. Niech pan lepiej będzie ostrożny, bo może pan znaleźć tam nóż.

Long zarówno miał rację, jak i mylił się co do Merricka. Nie miałem wątpliwości, że on potrafiłby zranić albo zabić bez skrępowań, ale działał inteligentnie. Problem polegał na tym, że Merrick był również bronią, którą można się posłużyć

i ktoś znalazł sposób, by go użyć. Jednak słowa Longa trafiły w sedno, tak jak słowa Rachel. Ja rzeczywiście współczułem Merrickowi. Jak mogłem nie współczuć? Też byłem ojcem. Sam straciłem dziecko i nie cofnąłem się przed niczym, by dopaść człowieka odpowiedzialnego za jego śmierć. Wiedziałem też, że zrobiłbym wszystko, by ochronić Sam i jej matkę. Jak więc mogłem osądzać Merricka za to, że chciał dowiedzieć się prawdy o przyczynach zaginięcia swojej córki.

Jednak pomijając tego rodzaju wątpliwości, wiedziałem teraz więcej niż godzinę temu. Niestety, Merrick też miał dostęp do tej samej wiedzy. Zastanawiałem się, czy zaczął już szukać w okolicy Jackman i ruin Gilead śladów ludzi, którzy jego zdaniem byli odpowiedzialni za zniknięcie jego córki oraz czy już prowadził poszukiwania człowieka z wytatuowanym orłem. Będę musiał pojechać do Gilead. Każdy kolejny krok, który robiłem, zdawał się prowadzić mnie do tego miejsca.

Wróciła Aimee.

- Załatwiłam parę rozmów telefonicznych - powiedziała. - Myślę, że uda nam się znaleźć pełnego współczucia sędziego, który nakaze przeniesienie do Riverview. - Następnie zwróciła się do Longa: - W najbliższych dniach postaram się, by przeprowadzono niezależne badanie psychiatryczne Andy'ego Kelloga. Byłabym wdzięczna, gdyby pan mógł ułatwić całą procedurę najbardziej, jak to możliwe.

- To musi przejść normalną drogą służbową, ale kiedy dostanę zgodę naczelnika, to osobiście podam płaszcz psychiatrze, jeżeli by to miało pomóc.

Aimee wydała się dość zadowolona i dała mi znak, że powinniśmy wyjść. Ruszyłem, by iść za nią, a wtedy Long lekko złapał mnie za ramię.

- Dwie sprawy - powiedział. - Po pierwsze, to, co mówiłem o Merricku, było na serio. Widziałem, do czego jest zdolny. Prawie zabił faceta, który kiedyś chciał zabrać deser Andy'ego Kelloga, zostawił go nieprzytomnego nad plastikową miseczką tanich lodów. Ma pan rację: słyszałem, co Andy Kellog tam opowiedział. Do diabła, ja już słyszałem takie rzeczy. To nic nowego dla mnie. Chce pan wiedzieć, co myślę?

Myślę, że Frank Merrick posłużył się Kellogiem. Trzymał się blisko niego, żeby się dowiedzieć, co tamten wie. Stale próbował wydobyć z niego informacje, kazał mu przypominać sobie wszystko, co tylko potrafi, o tym, co ci ludzie mu zrobili. W pewnym sensie był odpowiedzialny za to, że Kellog wciąż się nakręcał nerwowo. Niepokoił go, doprowadzał do szału, a my musieliśmy radzić sobie z konsekwencjami.

Na meczu hokeja usłyszałem zupełnie inną historyjkę, ale wiedziałem, że wśród byłych skazanych istnieje tendencja, żeby sentymentalnie ubarwiać wspomnienia o niektórych spotkanych współwzięniach. Poza tym w miejscu, gdzie gesty przyjaźni są na wagę złota, nawet małe uczynki wynikające z ludzkiej przyzwoitości przybierają monumentalne proporcje. Prawda, jak we wszystkich sprawach, leży na niezbadanym obszarze pomiędzy tym, co mówił Bill, a tym, co powiedział Long. Sam widziałem, jak Andy Kellog zareagował na pytania dotyczące molestowania. Może Merrickowi udawało się czasem go uspokoić, ale nie miałem wątpliwości, że były inne okazje, kiedy nie potrafił tego zrobić i Andy Kellog w rezultacie wtedy cierpiał.

- Po drugie, tatuaż, o którym ten chłopiec wspomniał. Może trzeba szukać wśród wojskowych. To wygląda na kogoś, kto mógł służyć w wojsku.

- Ma pan jakiś pomysł, gdzie mógłbym zacząć?

- Ja nie jestem detektywem - zauważył Long. - Ale gdybym był, mógłbym rozejrzeć się na południu. Fort Campbell, może. Siły powietrznodesantowe.

Powiedziawszy to, opuścił nas, jego zwalista sylwetka skierowała się do wewnątrz więzienia.

- O co mu chodziło? - spytała Aimee, ale nic jej nie odpowiedziałem.

Fort Campbell, usytuowany na samej granicy Kentucky i Tennessee, baza 101 Dywizji Powietrznodesantowej.

Wrzeszczące Orły.

Pożegnaliśmy się na parkingu. Podziękowałem Aimee za pomoc i poprosiłem, żeby mnie zawiadomiła, gdyby było coś, co mógłbym zrobić dla Andy'ego Kelloga.

- Pan wie, co może zrobić - powiedziała. - Proszę znaleźć tych ludzi i dać mi znać, kiedy to się stanie. Polecę wtedy najgorszego prawnika, jakiego się da.

Próbowałem się uśmiechnąć. Uśmiech zamarł gdzieś między wargami i oczami. Aimee wiedziała, o czym myślę.

- Frank Merrick - powiedziała.

- Taa, Merrick.

- Uważam, że powinien pan ich znaleźć, zanim Merrick to zrobi.

- Mam ochotę zostawić ich dla niego.

- Mógłby pan, tylko że nie chodzi o niego, ani nawet o Andy'ego. W tym wypadku musi być widać, że sprawiedliwości stało się zadość. Ktoś musi odpowiedzieć na forum publicznym. Tam były wykorzystywane inne dzieci. Musimy znaleźć sposób, żeby im też pomóc, albo pomóc tym dorosłym, którymi się stali. Nie będziemy mogli tego zrobić, jeżeli sprawcy zostaną wytropieni i zabici przez Franka Merricka. Ma pan jeszcze mój bilet wizytowy?

Sprawdziłem w portfelu. Był tam. Popukała w niego palcem.

- Jak pan wpadnie w kłopoty, proszę do mnie zadzwonić.

- Dlaczego pani myśli, że wpadnę w kłopoty?

- Jest pan recydywistą, panie Parker - powiedziała, wsiadając do samochodu. - Kłopoty to pańska specjalność.

Doktor Robert Christian wydawał się rozkojarzony i nie-swój, kiedy niespodziewanie złożyłem mu wizytę w jego gabinecie w drodze powrotnej z Warren, ale zgodził się poświęcić mi parę minut swojego czasu. Kiedy przyjechałem, przed budynkiem zaparkowany był radiowóz, na tylnym siedzeniu widać było mężczyznę: głowę oparł na szybie dzielącej wnętrze radiowozu, a pozycja ramion wskazywała, że został skuty. Policjant rozmawiał z kobietą około trzydziestki, która poruszała głową po trójkacie od jednego punktu do następnego: od policjanta do dwójki dzieci siedzących w dużym nissanie po jej prawej stronie, a potem do mężczyzny na tylnym siedzeniu radiowozu. Policjant, dzieci, mężczyzna. Policjant, dzieci, mężczyzna. Widać było, że wcześniej płakała. Jej dzieci jeszcze płakały.

- Ciężki dzień dzisiaj - powiedział Christian, zamknął drzwi swojego gabinetu i osunął się na fotel za biurkiem - nawet jeszcze nie jadłem lunchu.

- To przez tego faceta na zewnątrz?

- W żaden sposób nie mogę tego skomentować - zaczął Christian, ale potem złagodniał trochę. - Żaden aspekt tego, co tu robimy, nie jest łatwy, a do najtrudniejszych, takich, które wymagają najdelikatniejszego podejścia, należy moment, kiedy ktoś musi się skonfrontować z oskarżeniami. Przeprowadzono parę dni temu wywiad policyjny i dzisiaj matka i dzieci przybyły tutaj na spotkanie z nami i zastały ojca czekającego na nich przed wejściem. Ludzie reagują na zarzut wykorzystywania w różny sposób: niewiarą, zaprzeczeniem, gniewem. Jednak rzadko jesteśmy zmuszeni wzywać

policię. To była... szczególnie trudna chwila dla wszystkich, których to dotyczyło.

Zaczął zbierać papiery z biurka, układał jedne na drugich i chował do teczek.

- Tak więc, panie Parker, czym mogę panu służyć? Nie mam wiele czasu, niestety. Jestem umówiony na spotkanie w Auguście za dwie godziny z senatorem Harknessem, z którym mamy przedyskutować sprawę obligatoryjnych wyroków skazujących, a ja się nie przygotowałem do tego tak dobrze, jak bym chciał i jak powinienem.

Senator stanowy James Harkness był pravicowym politykiem i reprezentował bezlitosną postawę wobec prawie wszystkich spraw, z którymi miał do czynienia. Ostatnio znalazł się wśród tych, którzy najgłośniej poparli obligatoryjne wyroki w wysokości dwudziestu lat dla tych, których uznano winnymi poważnej napaści seksualnej wobec osoby nieletniej, nawet dla tych, którzy przyznali się do winy, aby uniknąć wyższej kary.

- Czy pan jest za, czy przeciw?

- Razem z większością oskarżycieli jestem przeciwko temu, ale dla dżentelmenów takich, jak nasz szanowny senator, to trochę tak, jakby człowiek kwestionował święta Bożego Narodzenia.

- Czy mogę zapytać, dlaczego?

- To całkiem proste: jest to symboliczny gest wobec wyborców, który spowoduje więcej złego niż dobrego. Proszę posłuchać: obecnie na każde sto zgłoszeń wykorzystania, blisko połowa kończy się w sądzie. Z tego w około pięćdziesięciu albo czterdziestu sprawach jest postawiony zarzut. Z tego czterdzieści lub trzydzieści pięć osób przyznaje się, żeby mieć mniejszy wyrok, a pięć ma rozprawę; i z tych pięciu, dwie są skazane, a trzy uniewinnione. Tak więc z tych stu na początku mamy może trzydziestu, czterdziestu przestępców seksualnych, których możemy zarejestrować i mieć pod kontrolą.

W wypadku wprowadzenia obligatoryjnych wyroków, domniemani sprawcy nie będą mieli żadnej motywacji, by współpracować za niższy wyrok. Równie dobrze będą mogli

próbować ryzykować w sądzie, i na ogół oskarżenie woli nie stawiać przed sądem pod zarzutem wykorzystywania, chyba że ma dobrze udokumentowany przypadek. Jak powiedziałem panu, kiedy spotkaliśmy się poprzednim razem, nasz problem polega na tym, że może być bardzo trudno przedstawić taki rodzaj dowodów, które są konieczne, żeby uzyskać wyrok skazujący w sądzie karnym. Więc, jeżeli zostaną wprowadzone wyroki obligatoryjne, istnieje bardzo duże prawdopodobieństwo, że więcej przestępców wymknie się prawu. My nie będziemy ich mieli w swojej kartotece i oni wrócą do tego, co robili i to się będzie ciągnąć, dopóki ich ktoś nie przyłapie. Wyroki obligatoryjne pozwalają politykom robić wrażenie, że są twardzi wobec przestępstwa, ale to w istocie przynosi efekt przeciwny do zamierzonego. Jednak szczerze mówiąc, mam większe szanse na to, że prędzej zrozumiałby to szympans, aniżeli że uda mi się przekonać Harknessa.

- Szympansom nie zależy na reelekcji - powiedziałem.

- W każdej chwili zagłosowałbym prędzej na szympansa niż na Harknessa. Szympans przynajmniej mógłby kiedyś osiągnąć wyższy stopień rozwoju. No więc, panie Parker, czy zrobił pan jakieś postępy?

- Niewielkie. Co pan wie o Gilead?

- Przyjmuje, że nie sprawdza pan mojej znajomości szczegółów biblijnych - odpowiedział - więc rozumiem, że chodzi panu o lokalną społeczność w Gilead i „dzieci z Gilead”.

Opisał mi w zarysie historię miejsca, mówiąc mniej więcej to, co już wiedziałem, jednak uważał, że skala przestępstwa była większa, niż wcześniej przypuszczano.

- Znam niektóre z ofiar i wiem, o czym mówię. Myślę, że większość ludzi w Gilead wiedziała, co działo się z tymi dziećmi i więcej mężczyzn uczestniczyło w tym, niż zrazu stwierdzono.

Rodziny rozproszyły się po tym, jak znaleziono ciała i o wielu z nich już więcej nie słyszano. Jednak niektóre pojawiły się w kontekście innych przypadków. Jedna z ofiar, dziewczyna, której zeznania doprowadziły do skazania Masona Dubusa, człowieka uważanego za lidera przestępców, dołożyła wszelkich starań, by nie tracić ich z oczu. Paru siedzi w

więzieniach w innych stanach, a reszta nie żyje. Dubus jest jedynym żyjącym, albo jedynym, o którym wiemy; jeżeli inni, o których nie wiemy, też przeżyli, to są już teraz bardzo starzymi mężczyznami i kobietami.

- Co się stało z dziećmi?

- Niektóre zostały zabrane przez rodziców lub opiekunów, kiedy społeczność się rozpadła. Nie wiemy, dokąd poszły. Te, które uratowano, oddano pod opiekę do rodzin zastępczych. Parę przyjęto do Good Will-Hinckley.

Good Will-Hinckley to instytucja w pobliżu między stanowej drogi 1-95, zapewniająca dom i szkołę dzieciom w wieku od dwunastu do dwudziestu jeden lat, które doznały molestowania, są bezdomne albo dotknięte problemem nadużywania niedozwolonych substancji czy alkoholu, bezpośrednio lub w rezultacie uzależnienia członka rodziny. Istnieje od końca dziewiętnastego wieku i umożliwia ukończenie szkoły dziewięciu czy dziesięciu absolwentom rocznie, którzy inaczej mogliby znaleźć się w więzieniu albo w ziemi. Nie ma nic dziwnego w tym, że kilkoro dzieci z Gilead tam się znalazło. Było to prawdopodobnie najlepszą rzeczą, która mogła im się przydarzyć w ich sytuacji.

- Jak mogło dojść do czegoś takiego? - zapytałem. - Bo skala tego zjawiska wydaje się po prostu niewiarygodna.

- Była to odizolowana, tajemna społeczność w stanie, gdzie było pełno odizolowanych, tajemnych społeczności - powiedział Christian. - Z tego, co teraz wiemy, w tym wypadku również chodziło o to, że główne rodziny zamieszane w sprawę znały się przed przybyciem do Gilead i pracowały razem lub utrzymywały kontakt przez parę lat. Innymi słowy, powstała gotowa struktura, która mogła ułatwiać tamte nikczemne praktyki. Na pewno istniał wyraźny rozdział między czterema czy pięcioma rodzinami stanowiącymi trzon a tymi, które przybyły tam później: kobiety nie utrzymywały ze sobą kontaktów, dzieci nie bawiły z innymi i mężczyźni utrzymywali jak największy dystans, z wyjątkiem tych sytuacji, kiedy praca zmuszała ich do bycia razem. Zwyrrodnialcy działali planowo i możliwe, że nawet potrafili się porozumieć z tymi, którzy mieli podobne upodobania, tak że zawsze znaleźli nowe ofiary. To była koszmarna sytuacja, ale było też coś w tym

Gilead: pech, zły moment, złe miejsce albo, och, nazwijmy to niegodziwością aury i tyle, co zaogniało sprawę. Trzeba też wziąć pod uwagę, że ludzie wtedy nie zdawali sobie tak sprawy z istoty problemu wykorzystywania dzieci, jak to się dzieje obecnie. Dopiero w 1961 roku doktor Henry Kempe napisał pracę zatytułowaną „Syndrom dziecka bitego” i rozpoczął rewolucję przeciwko wykorzystywaniu dzieci, ale ta praca koncentrowała się głównie na fizycznym maltretowaniu, i nawet na początku lat siedemdziesiątych, kiedy zacząłem swoje studia, rzadko wspomniano o wykorzystywaniu seksualnym. Potem pojawił się feminizm i zaczęto rozmawiać z kobietami i dziećmi o wykorzystywaniu. W 1977 Kempę opublikował „Wykorzystanie seksualne: jeszcze jeden problem pediatryczny” i świadomość, że istnieje realny problem, z którym należy się zmierzyć, prawdopodobnie pochodzi mniej więcej z tego okresu.

Niestety, trzeba przyznać, że wahadło wysunęło się zbyt daleko w drugą stronę. Stworzono atmosferę stałych podejrzeń, bo nauka nie nadążała za pragnieniem rozwiązania tego problemu. Był entuzjazm, ale nie było wystarczającej dozy sceptycyzmu. To doprowadziło do gwałtownej reakcji i spadku zgłoszeń w latach dziewięćdziesiątych, ale teraz wygląda na to, że zbliżamy się do pewnego rodzaju równowagi nawet, jeżeli czasami ciągle koncentrujemy się na wykorzystaniu seksualnym kosztem innych rodzajów przemocy. Ocenia się, że dwadzieścia procent dzieci jest wykorzystywanych seksualnie przed osiągnięciem dojrzałości, ale konsekwencje długotrwałego zaniedbania i przemocy fizycznej są faktycznie o wiele bardziej dotkliwe. Na przykład, dziecko, które doznało przemocy fizycznej i zaniedbania jest o wiele bardziej narażone na to, że w dorosłym życiu zaangażuje się w zachowania kryminalne, aniżeli dziecko, które było wykorzystane seksualnie. Równocześnie wiemy z danych, że niektórzy zwyrodnialcy wykorzystujący seksualnie dzieci najprawdopodobniej byli sami wykorzystywani, ale większość pedofilów nie. Proszę bardzo - zakończył. - Teraz już pan wie wszystko. A dla czego interesuje pana Gilead?

- Daniel Clay też interesował się Gilead. Umieścił je na swoich obrazach. Ktoś mi mówił, że nawet przeprowadził

wywiad z Masonem Dubusem i że mógł planować napisanie książki o tym, co się tam wydarzyło. Poza tym jego porzucony samochód znaleziono w Jackman, a to niedaleko od Gilead. Wydaje się również, że jeden z byłych pacjentów Claya był skrzywdzony w Gilead albo gdzieś w pobliżu przez mężczyzn w ptasich maskach. Wszystko to sprawia na mnie wrażenie czegoś więcej niż serii zbiegów okoliczności.

- Być może to nie jest wcale dziwne, że Clay interesował się Gilead - powiedział Chrystian. - Większość specjalistów pracujących w naszej dziedzinie w Maine, w którymś momencie badała dostępne materiały, i kilku przeprowadzało wywiad z Dubusem, łącznie ze mną - zamyślił się na chwilę. - Nie przypominam sobie żadnych opisów Gilead w materiałach ze sprawy Claya, chociaż były tam wspomniane wiejskie okolice. Niektórym dzieciom udało się zobaczyć drzewa, trawę, ziemię. Były też podobieństwa w opisach miejsca, gdzie były wykorzystywane: gołe ściany, materac na podłodze, takie rzeczy, chociaż większość ofiar miała zawiązane oczy przez większość czasu, więc mówimy tu o ukradkiem dostrzeżonych szczegółach i niczym więcej.

- Czy tych mężczyzn mogło przyciągać do Gilead to, co tam się działo w przeszłości? - zapytałem.

- To możliwe - przyznał Christian. - Mam przyjaciela, który zajmuje się zapobieganiem samobójstwom. Mówi on o „skupisku miejsc”, które stają się lokalizacjami z wyboru, głównie dlatego, że innym udało się popełnić samobójstwo w tych miejscach. Jedno samobójstwo ułatwia drugie albo dostarcza bodźca do niego. Podobnie, może też być tak, że miejsce naznaczone historią krzywdzenia dzieci może okazać się atrakcyjne dla innych zwyrodnialców, ale byłoby to związane ze sporym ryzykiem.

- Czy ryzyko może być częścią składową atrakcyjności?

- Możliwe. Dużo o tym myślałem od czasu pana wizyty u mnie. Jest to niezwykle przypadek. Wygląda na wykorzystanie przez obcych na znaczną skalę, co samo w sobie jest niezwykle. Dzieci, inaczej niż dorośli, rzadko są krzywdzone przez obcych. Pięćdziesiąt procent przypadków molestowania dziewcząt i dziesięć do dwudziestu procent molestowania

chłopców rejestruje się w rodzinach. Na ogół też niekazirodzicy sprawcy dzielą się na sześć kategorii w zależności od stopnia fiksacji: począwszy od tych, którzy mają częsty nie-seksualny kontakt z dziećmi do sadystycznych przestępców, którzy rzadko mają nieseksualny kontakt z nimi. To są ci, którzy zazwyczaj traktują dzieci nieznane sobie jako ofiary, ale stopień przemocy narzuconej dzieciom, które mówiły o ptasich maskach, był minimalny. Tylko jedno dziecko odniosło poważne obrażenia fizyczne i dziewczynka ta mówiła, że mężczyzna, który to zrobił - zaczął ją dusić do momentu, kiedy prawie straciła przytomność - został natychmiast zganiony przez innego z tam obecnych. To wskazuje na znaczny stopień kontroli. Ci mężczyźni nie byli zwykłymi przestępcami, w żadnym wypadku. W ich działaniu było planowanie, współpraca, no i w braku lepszego określenia, opanowanie. Te elementy czynią to, co się stało, szczególnie niepokojącym.

- Jest pan pewny, że nie było podobnych zgłoszeń po zaginięciu Claya?

- Ma pan na myśli zgłoszenia molestowania, które zgadzałyby się z tymi opisami? Jestem jak najbardziej pewny na podstawie dostępnej informacji. To była jedna z przyczyn, dlaczego podejrzenia padły na Claya, jak przypuszczam.

- Czy ci mężczyźni mogli po prostu przestać wykorzystywać dzieci?

- Nie przypuszczam. Możliwe, że niektórzy z nich poszli do więzienia za inne przestępstwa, co może wyjaśniać ustanie zdarzeń, ale poza tym nie, nie wierzę, że skończyli z tym procederem. Ci mężczyźni to pedofile z naturą drapieżcy. Mógł się zmienić ich sposób popełniania przestępstwa, ale ich pragnienia nie znikły.

- Dlaczego mieliby zmienić swoje sposoby?

- Coś mogło się wydarzyć, coś, co ich wystraszyło, albo sprawiło, że zrozumieli, iż ryzykują zwrócenie większej uwagi na siebie, jeżeli będą nadal popełniać te przestępstwa w ten sposób.

- Córka człowieka o nazwisku Frank Merrick narysowała obrazki mężczyzn z głowami ptaków - powiedziałem.

- I córka Merricka wciąż jest zaginiona - dodał Christian, kończąc moją myśl. - Znam ten przypadek.

- Data zaginięcia Claya mniej więcej zbiega się z okresem, kiedy ostatni raz widziano Lucy Merrick - zauważyłem. - A pan mi właśnie mówi, że nie było więcej zgłoszeń molestowania dzieci przez mężczyzn w maskach ptaków po tym czasie.

- Żadnych zgłoszeń, o których ja bym wiedział - uściślił Christian. - Powiedziałem panu jednak wcześniej: nie ma łatwych sposobów, by znaleźć tych, którzy mogli być ofiarami. Możliwe, że nadal zdarzały się przypadki wykorzystania, ale my się o nich nie dowiedzieliśmy.

Im dłużej rozważałem wszystkie fakty, tym bardziej powiązania wydawały się sensowne. Był związek między zniknięciem Claya i zaginięciem Lucy Merrick oraz, być może, związek pomiędzy jej zniknięciem i faktem, że żadne inne dzieci nie zgłosiły wykorzystania ich przez mężczyzn w maskach ptaków po tym czasie.

- Śmierć dziecka: czy to by wystarczyło, by ich na tyle wystraszyć, że zaprzestaliby robienia tego, co robili? - zapytałem.

- Gdyby była przypadkowa to wtedy tak, całkiem możliwe - powiedział Christian.

- A gdyby nie była?

- To wtedy mielibyśmy do czynienia z inną sprawą: nie zwyrodnialców wykorzystujących dzieci, ale morderców dzieci.

Zamilkliśmy. Christian zapisał coś w notesie. Ja patrzyłem, jak dzień zaczyna niknąć, kąt promieni światła padających przez żaluzje na oknie zmieniał się, gdy słońce zachodziło. Cienie wyglądały jak kraty więzienne, co przypomniało mi o Andym Kellogu.

- Czy Dubus ciągle mieszka w naszym stanie? - zapytałem.

- Ma dom koło Caratunk. Daleko od świata. Jest praktycznie więźniem we własnym domu: nosi satelitarne urządzenie tropiące przy kostce nogi, jest na lekach osłabiających popęd płciowy, ma zakaz dostępu do Internetu i telewizji kablowej. Nawet jego poczta jest kontrolowana i billingi telefonu sprawdzane, co jest jednym z warunków jego nadzoru kuratorskiego. Pomimo tego, że jest stary, ciągle stanowi potencjalne zagrożenie dla dzieci. Pewnie pan wie, że odbył karę więzienia za to, co zdarzyło się w Gilead.

Był potem więziony trzykrotnie z oddzielnymi wyrokami za, powiedzmy tak z głowy, bez sprawdzania, dwa przypadki molestowania seksualnego, trzy przypadki ryzyka spowodowania urazu u osoby nieletniej, posiadanie pornografii dziecięcej, i całego łańcuszka innych przestępstw, wszystkich dotyczących tego samego. Dostał dwadzieścia lat ostatnim razem, zawieszono go na dziesięć, z dożywotnim nadzorem kuratorskim, gwarantującym, że będzie surowo monitorowany aż do samego grobu. Czasami magistranci i doktoranci albo specjaliści medycyny przeprowadzają z nim wywiady. Dostarcza przydatnego tematu. Jest inteligentny, jasno myśli, jak na człowieka po osiemdziesiątce, no i chętnie rozmawia. Nie ma zbyt wielu innych sposobów na spędzenie czasu, przypuszczam.

- Ciekawe, że został tak blisko Gilead. - Caratunk jest tylko około czterdziestu pięciu kilometrów na południe od Gilead.

- Wydaje mi się, że nigdy nie wyjechał poza granice stanu, gdy już tu wrócił - powiedział Christian. - Kiedy przeprowadzałem z nim wywiad, opisał Gilead jako pewnego rodzaju raj. Miał na podorędziu wszystkie typowe argumenty: że dzieci były świadome seksu w o wiele większym stopniu, aniżeli my byliśmy gotowi im to przyznać; że inne społeczeństwa i kultury patrzyły bardziej przychylnie na związek dzieci i dorosłych; że związki w Gilead były pełne miłości i seks odbywał się za obopólną zgodą. Stale słyszę te argumenty w różnych odmianach. Ale przy Dubusie miałem wrażenie, że on wie, że to wszystko jest tylko zasłoną dymną. On rozumie, kim jest i to mu bardzo odpowiada. Nigdy nie było żadnej nadziei, że on może zostać zresocjalizowany. Teraz staramy się trzymać go pod kontrolą i korzystamy z niego, żeby dowiedzieć się więcej o naturze takich ludzi jak on. W tym sensie był nam przydatny.

- A zabite dzieci?

- On oskarżał o to kobiety, chociaż nie chciał podać żadnych nazwisk.

- Czy pan mu wierzył?

- Ani przez moment. On był dominującym mężczyzną w tej społeczności. Jeżeli sam nie dzierżył broni, która zabiła te

dzieci, to dał rozkaz ich zabicia. Ale, jak już powiedziałem, to były inne czasy i wcale nie trzeba daleko cofać się w przeszłość, by znaleźć podobne historie dzieci z nieprawego łoża czy kazirodczego związku, które niby przypadkiem umierały. Niemniej jednak Dubus miał szczęście, że uszedł z życiem, kiedy ludzie w Jackman odkryli, co się tam działo. Wcześniej mogli coś podejrzewać, ale kiedy odkryto ciała dzieci, to zmieniło wszystko. Wiele domów w osadzie zniszczono. Zostawiono tylko parę z nich i szkielet do połowy wykończonego kościoła. Może teraz ich już nie ma. Nie wiem. Nie byłem tam bardzo dawno, od studenckich czasów.

Ktoś zapukał do drzwi jego gabinetu. Weszła recepcjonistka z plikiem wiadomości i filiżanką kawy dla Christiana.

- Co mam zrobić, żeby porozmawiać z Masonem Dubusem? - zapytałem.

Christian wziął potężny łyk kawy na stojąco, myśлами będąc już gdzie indziej, przy pilniejszych sprawach, takich jak despotyczni senatorzy, którzy cenią sobie głosy bardziej od rezultatów.

- Mogę zadzwonić do jego kuratora - powiedział, odprowadzając mnie do drzwi. - Nie powinno być żadnych kłopotów z umówieniem wizyty.

Kiedy wyszedłem na zewnątrz, radiowozu policyjnego już nie było. Nie było też nissana, ale zobaczyłem go parę minut później, jadąc z powrotem do Scarborough. Był zaparkowany przed sklepem z pączkami i zdawało mi się, że przez okno widzę dzieci jedzące różowe i żółte ciastka z pudełka. Kobieta siedziała plecami do mnie. Miała zgarbione ramiona i pomyślałem, że mogła płakać.

Musiałem tego dnia odwiedzić jeszcze jedną osobę. Myślałem o tatuażu, o którym wspomniał Andrew Kellog i o opinii Joe Longa, że tatuaż ten mógł wskazywać na kogoś, kto służył w wojsku, być może w dywizji powietrznodesantowej. Wiedziałem z doświadczenia, że ciężko dotrzeć do tego rodzaju informacji. Większość akt dotyczących przebiegu służby przechowuje się w Państwowym Centrum Dokumentów Kadry w St. Louis, w stanie Missouri, ale nawet gdybym miał

sposób na uzyskanie dostępu do jego bazy danych, co już samo w sobie było trudne, to dostęp ten byłby nieprzydatny bez jakiejś wskazówki dotyczącej potencjalnej tożsamości poszukiwanego człowieka. Gdybym miał jakieś podejrzenia, to mogło tak się zdarzyć, że znalazłbym kogoś, kto wyciągnąłby odpowiednią teczkę, ale musiałbym się wokół tego zakręcić. Również Urząd do spraw Kombatantów był surowy w sprawie udzielania informacji, nie było wielu chętnych, gotowych narazić swoją federalną posadę z emeryturą za udostępnianie po cichu akt jakiemuś detektywowi.

Ronald Straydeer był Indianinem ze szczepu Penobscot z Oldtown, który służył w korpusie kwatermistrzowskim z psami K-9 podczas wojny w Wietnamie. Dożywał swoich dni w domu niedaleko torów wyścigowych w pięknej okolicy wzgórz Scarborough Downs, stojącym koło przyczepy kempingowej w kształcie naboju, która kiedyś była domem człowieka o nazwisku Billy Purdue, ale teraz służyła jako ośrodek resocjalizacji dla różnych takich, co to nigdzie nie mogą zagrześć miejsca, nieudaczników i byłych towarzyszy broni, którzy dotarli do drzwi Ronalda. Zwolniono go ze służby wojskowej z przyczyn zdrowotnych, bo został ranny w pierś i lewe ramię przez eksplodującą oponę w dniu, kiedy opuszczał Wietnam. Nie wiedziałem, co bolało go bardziej: rany, które otrzymał, czy to, że zmuszono go, by zostawił swojego niemieckiego owczarka, Elbę, jako „zbędne wyposażenie”. Był przekonany, że Wietnamczycy zjedli Elbę. Zdaje mi się, że nie cierpiał ich za to bardziej niż za to, że stale strzelali do niego, kiedy był w mundurze.

Wiedziałem, że Ronald znał kogoś, oficera armii amerykańskiej, Toma Hylanda, który pracował dla Niepełnosprawnych Weteranów Ameryki, i który pomógł Ronaldowi złożyć wniosek o zasiłek przez Urząd do spraw Kombatantów. Hyland działał jako pełnomocnik Ronalda, kiedy ten czynił starania, żeby przeprowadzić sprawę przez system i Ronald zawsze mówił o nim z wielkim szacunkiem. Spotkałem go raz, kiedy on i Ronald nadrabiali zaległości nad talerzem zupy z owoców morza w knajpie nazwanej „Homarowa Buda” koło parku stanowego Two Lights. Ronald przedstawił mi go jako

„człowieka honoru”, co było najwyższą pochwałą, jaką kiedykolwiek obdarzył przy mnie inną istotę ludzką.

Z racji swojej funkcji, jako oficer armii amerykańskiej, Hyland mógł mieć dostęp do dokumentów wszystkich weteranów, którzy składali wnioski o zasiłki przez Urząd do spraw Kombatantów, łącznie z tymi, którzy mogli służyć w jednostce powietrzno-desantowej i zgłosili się z adresu w stanie Maine albo pobierali zasiłki tutaj. Z kolei Niepełnosprawni Weterani Ameryki współpracowali z innymi grupami służb, jak Wietnamscy Weterani Ameryki, Legion Amerykański i Weterani Wojen na Obcej Ziemi. Gdybym mógł przekonać Ronalda, żeby wykorzystał Hylanda, i Hyland z kolei byłby skłonny wyświadczyć mi przysługę, wtedy może udałoby mi się ułożyć listę potencjalnych kandydatów.

Było już prawie ciemno, kiedy dotarłem do mieszkania Ronalda, jego drzwi wejściowe były otwarte. Ronald siedział w dużym pokoju przed telewizorem, otoczony puszkami piwa, niektóre z nich były pełne, ale większość już pusta. W telewizorze leciało DVD z koncertem Hendriksa, dźwięk był bardzo ściszony. Na kanapie naprzeciwko niego siedział mężczyzna, który wyglądał młodziej niż Ronald, ale był o wiele bardziej zniszczony. Jak na swój wiek, Ronald Straydeer jest w dobrej formie, ma krótkie ciemne włosy tylko bardzo lekko przyprószone siwizną i dzięki ciężkiej, fizycznej pracy nie wyhodował sobie wałka tłuszczu w pasie, typowego dla późnego wieku średniego. Jest potężnym facetem, ale jego przyjaciel był jeszcze większy, jego ciemnobłond włosy opadały na twarz pokrytą trzydniowym zarostem. Był naćpany do granic możliwości i zapach trawki w powietrzu zakręcił mi w głowie. Ronald wydawał się trochę bardziej przytomny, ale to było tylko kwestią czasu, kiedy się podda wyziewom.

- Stary - powiedział jego kumpel - szczęście, że ty to nie policja.

- Lepiej zamknąć drzwi na klucz - zauważyłem - albo chociaż przymknąć. Trudniej im wtedy wejść.

Przyjaciel Ronalda pokiwał głową ze zrozumieniem.

- To prawda - przyznał. - Szczeeeeera prawda.
- To mój przyjaciel Stewart - odezwał się Ronald. - Byłem w wojsku z jego ojcem. A Stewart walczył w Zatoce za pierwszym razem. Rozmawiamy o dawnych czasach.

- A nich to szlag - powiedział Stewart. Podniósł piwo.
- Za stare czasy.

Ronald poczęstował mnie piwem, ale podziękowałem. Zerwał zatyczkę z jeszcze jednej puszką i prawie całą opróżnił, zanim odjął puszkę od ust.

- Co mogę dla ciebie zrobić?
- Szukam kogoś - powiedziałem. - Mógł być w wojsku.

Ma wytatuowanego orła na prawym ramieniu i upodobanie do dzieci. Pomyślałem, że jeżeli niczego ci to nie przypomina, to może mógłbyś trochę popytać albo szepnąć słówko swojemu przyjacielowi z armii, Hylandowi. Ten, którego szukam, to zły gość, Ronald. Inaczej bym cię nie prosił.

Ronald zastanowił się nad pytaniem. Stewart zmrużył oczy, próbując skoncentrować się na tym, co słyszy.

- Mężczyzna, który ma upodobanie do dzieci, nie będzie o tym rozpowiadał - powiedział Ronald. - Nie pamiętam, że bym słyszał o kimś, kto miałby takie skłonności. Ten wytatuowany orzeł może trochę to przybliżyć. Skąd wiesz o tym?

- Jedno z dzieci widziało to na jego ramieniu. Mężczyzna był zamaskowany. To jest jedyna wskazówka na temat jego tożsamości.

- Czy dzieciak widział lata?
- Lata?

- Lata służby. Jeżeli był w armii, nawet jak tylko czyścił latryny, to dodał swoje lata.

Nie przypominałem sobie, żeby Andy Kellog wspominał o jakichkolwiek cyfrach wytatuowanych pod orłem. Postanowiłem poprosić Aimee Price, żeby to u niego sprawdziła.

- A jeżeli nie ma lat?

- No, to pewnie nie był w armii - oświadczył Ronald po prostu. - Tatuaż jest tylko po to, żeby się popisywać.

- Popytasz jednak?

- Zrobię to. Tom może coś wiedzieć. On raczej przestrzega przepisów, ale wiesz, jeśli chodzi o dzieci...

Stewart wstał jakąś chwilę temu i teraz oglądał rzeczy Ronald na półkach, kiwając się lekko do ledwie słyszalnej muzyki Hendriksa, w ustach miał świeżego jointa. Znalazł fotografię: na niej był Ronald w mundurze kucający koło Elsy.

- Ron, stary, to twój pies? - zapytał Stewart.

Ronald nawet nie musiał się odwrócić.

- Tak - odpowiedział. - To jest Elsa.

- Ładny pies. Straszna szkoda, że stało się z nią coś tak okropnego.

Pomachał fotografią w moją stronę.

- Wie pan, oni zjedli jego psa. Oni zjedli jego psa.

- Słyszałem - odpowiedziałem mu.

- Chcę powiedzieć - ciągnął - jacy cholerni ludzie zjadają psa człowiekowi? - Łza pokazała się w jego oku i potoczyła po policzku. - To wszystko to jedna straszna, cholerna szkoda.

I to była prawda.

Merrick powiedział policji, że najczęściej sypia w samochodzie, ale mu nie uwierzyli, ja zresztą też nie. Dlatego Angel został odkomenderowany do śledzenia Merricka, gdy ten wyjdzie. Zgodnie z relacją Angela Merrick wziął taksówkę z postoju koło przystanku autobusowego, potem zameldował się w motelu niedaleko centrum handlowego Maine, zaciągnął zasłony i najwidoczniej poszedł spać. Jednak nie widać było jego czerwonego samochodu koło motelu, więc kiedy minęło sześć godzin, a Merrick ciągle się nie pojawiał, Angel postanowił sprawdzić, co się dzieje. Kupił pizzę na wynos, zaniósł do motelu i zapukał do drzwi pokoju Merricka. Kiedy nie było odpowiedzi, włamał się do pokoju i zobaczył, że Merricka nie ma. Koło motelu stał policyjny radiowóz, prawdopodobnie wysłany w tym samym celu co Angel, ale policjantowi nie powiodło się ani trochę lepiej niż Angelowi.

- Wiedział, że ktoś może mu doczepić ogon - powiedział Angel, kiedy już siedzieli z Louistem w mojej kuchni, a Walter, który powrócił od Johnsonów, obwąchiwał stopy Angela i podgryzał końce jego sznurówek.

- Tam musiały być jeszcze trzy albo cztery oddzielne wyjścia z tego motelu. Pewnie dlatego go wybrał.

Nie zdziwiłem się za bardzo. Przed aresztowaniem Merrick na pewno nie ukrywał się w motelu dla klientów centrum handlowego. Zadzwoiłem do Matta Mayberry'ego, by dowiedzieć się, czy znalazł coś przydatnego.

- Byłem zajęty, dlatego do ciebie nie dzwoniłem - przywitał się Matt, kiedy mnie w końcu z nim połączono. Powiedział, że najpierw zawęził swoje poszukiwania do biur rzeczoznawców podatkowych w mieście Portland i jego najbliższym sąsiedztwie, potem rozszerzył poszukiwania do obszaru o promieniu dziewięćdziesięciu kilometrów.

- Znalazłem dwie nieruchomości, jak dotąd. Jedna znajduje się w Saco, ale od czterech lat jest przedmiotem sporu. Wygląda na to, że miasto ogłosiło informację o mającej nastąpić sprzedaży z powodu zaległości podatkowych dotyczących własności jakiegoś człowieka w średnim wieku, podczas gdy on był w trakcie kuracji przeciwnowotworowej, a potem bez uprzedzenia i przed terminem przeprowadziło sprzedaż licytacyjną. I posłuchaj dalej: kiedy facet odmówił opuszczenia domu po powrocie ze szpitala, posłali tam brygadę antyterrorystyczną, by usunąć go siłą. A ten człowiek nie miał nawet włosów! Co wy, do diabła, wyprawiacie w tym Maine? Cała sprawa jest w Sądzie Najwyższym, ale posuwa się jak artretyczny żółw. Mam kopie raportów sprzed rozprawy, jakbyś chciał je zobaczyć, ale nie powiedzą ci wiele więcej.

- W jaki sposób Eldritch jest z tym związany?

- Jest tam zarejestrowany jako zarządca. Przejrzałem jeszcze kilka dodatkowych informacji na jego temat i zobaczyłem, że jego nazwisko pojawia się w różnych aktach sprzedaży nieruchomości stąd aż do samej Kalifornii, ale to wszystko stare informacje i kiedy je prześledziłem, okazało się, że tytuł własności został następnie przekazany dalej. Te sprzedaże w Maine są najświeższe i różnią się od tych innych.

- W jaki sposób?

- No, nie mógłbym przysiąc, ale wygląda na to, że przynajmniej część operacji Eldritch'a polega albo polegała na tym, żeby załatwiać nieruchomości osobom indywidualnym albo firmom, które nie chciały, żeby ich nazwisko czy nazwy figurowały w aktach własności. Ale, jak ci już powiedziałem, większość informacji, które udało się znaleźć, pochodzi z prehistorycznych czasów, co nasuwa przypuszczenie, że Eldritch zabrał się potem do innych spraw albo nie ma już tych

spraw tak dużo, albo po prostu nauczył się lepiej zacierać ślady. Niektóre z tych posiadłości mają taki łańcuszek dokumentów, że byś nie uwierzył i to może być sposobem na ukrycie faktu, że pomimo mnóstwa dodatkowych sprzedaży i transferów własność danej nieruchomości pozostawała *de facto* w tych samych rękach. Jest to jednak tylko przypuszczenie i potrzeba by było całego zespołu ekspertów z mnóstwem wolnego czasu, żeby tego dowieść.

- Sprzedaż w Saco wygląda na błędną decyzję. Może Eldritchowi polecono znaleźć nieruchomość dla klienta, a ta wyglądała na świetną okazję, ale potem wszystko spaliło na panewce, bo miasto nieudolnie przeprowadziło cały interes. To mógł być po prostu przypadek niedogadania się, ale w rezultacie Eldritch został zamieszany w takie tarapaty prawne, jakich zawsze starał się unikać, nie szczczędząc czasu i wysiłku.

- I tu mamy teraz tę drugą nieruchomość, kupioną parę tygodni po tym, jak czarne chmury zebrały się nad transakcją w Saco. Jest położona w pobliżu miejscowości Welchville. Słyszałeś o niej kiedyś?

- Coś mi się obilo o uszy. Leży gdzieś między Mechanic Falls i Oxfordem.

- Wszystko jedno. Nie mogłem jej nawet znaleźć na normalnej mapie.

- Takich miejsc ludzie nie umieszczają na normalnej mapie. Tam właściwie nic nie ma. W Mechanic Falls też właściwie nic nie ma, a przy Welchville wygląda jak metropolia.

- Dobra, przypomnij mi, żeby szukać gdzieś indziej miejsca na dom, kiedy pójde na emeryturę. Tak czy inaczej, znalazłem to w końcu. Nieruchomość znajduje się przy Sevenoaks Road, blisko Willow Brook. Słyszałem, że w pobliżu nie ma innych nieruchomości, co pokrywa się z tym, co mi właśnie powiedziałaś, więc będzie łatwo ten dom znaleźć. Numer tysiąc sto osiemdziesiąt. Nie wiem, co się stało z numerami od jeden do tysiąc sto siedemdziesiąt dziewięć, ale domyślam się, że gdzieś tam są. Te dwie posiadłości to na razie wszystko w Maine. Jeżeli chcesz, bym poszerzył poszukiwania, z braku czasu będę musiał przekazać sprawę komuś innemu, kto może nie chce pracować za darmo, tak jak ja.

Powiedziałem Mattowi, że dam mu znać, ale ta nieruchomości w Welchville stanowiła dobry początek. Welchville znajdowało się na tyle blisko Portland, że i miasto, i okolica były stamtąd łatwo dostępne, ale było również na tyle odległe, że gwarantowało prywatność, a nawet kryjówkę, jeżeli zaszła taka potrzeba. Ludzie w takich miejscach jak Welchville i Mechanic Falls nie wtykali nosa w cudze sprawy, chyba że ktoś dał im powód do tego, żeby to zrobili.

Dzień się kończył, ale nam to odpowiadało. Było rozsądniej zbliżyć się do domu w Welchville pod osłoną nocy. Jeżeli był tam Merrick, istniała mała szansa, że nie zobaczy naszego przybycia. Ale mnie interesował również czas zakupu domu. Merrick przebywał jeszcze w więzieniu, kiedy dom został kupiony, i było daleko do jego ostatecznego zwolnienia, co oznaczało, że albo Eldritch planował bardzo daleko w przyszłość, albo nabył dom w całkiem innym celu. Według Matta Eldritch był zarejestrowany jako właściciel, ale nie sądziłem, że spędza dużo czasu w Welchville, co nasuwało pytanie: kto korzystał z tego domu przez ostatnie cztery lata.

Wzięliśmy mustanga, skierowaliśmy się w stronę przeciwną do wybrzeża, ominęliśmy Auburn i Lewiston, aż pozostawiliśmy większe miasta za sobą, wjechaliśmy w sielską część Maine, chociaż było to ciągle w niewielkiej odległości od największego miasta stanu. Portland zaczęło wprawdzie się rozrastać, połykając mniejsze społeczności i zagrażając tożsamości innych, ale tutaj mogło się wydawać, że miasto jest oddalone o setki kilometrów. Był to inny świat, pełen wąskich dróg i rozrzuconych domów, małych miasteczek z pustymi ulicami, których spokój zakłócał tylko łoskot przejeżdżających ciężarówek i przypadkowego samochodu, a i one stawały się coraz rzadsze, im dalej podróżowaliśmy na zachód. Czasem pojawiała się linia lamp ulicznych, oświetlających odcinek drogi, pozornie niczym nieróżniący od innych, a jednak obdarzony wyróżniającą go cechą na koszt hrabstwa.

- Dlaczego? - zapytał Angel.
- Co dlaczego? - powiedziałem.

- Dlaczego ktoś miałby chcieć tu mieszkać?

Ledwie opuściliśmy drogę nr 495, a jemu już brakowało światel miasta. Siedział na tylnym siedzeniu, ręce miał skrzyżowane na piersi, jak nadąsane dziecko.

- Nie każdy chce mieszkać w mieście.

- Ja chcę.

- Nie każdy chce mieszkać koło takich ludzi jak ty.

Droga nr 121 wiała się leniwie przez Minot i Hackett Mills, dalej przez Mechanic Falls, zanim skrzyżowała się z 26. Niecałe półtora kilometra dzieliło nas od celu. Siedzący koło mnie Louis wyciągnął glocka z fałd płaszcza. Za sobą usłyszałem charakterystyczny dźwięk załadowywania magazynku. Jeżeli ktoś mieszkał przy Sevenoaks Road - Merrick czy jakiś inny nieznaną człowiek - nie oczekiwaliśmy, że się ucieszy na nasz widok.

Dom stał w pewnym oddaleniu od drogi tak, że był niewidoczny i prawie go minęliśmy. Dojrzałem go we wstecznym lusterku: był to prosty, jednopiętrowy dom mieszkalny z centralnie umiejscowionymi drzwiami i dwoma oknami po obu stronach. Nie był ani nadmiernie zaniedbany, ani nadzwyczajnie dobrze utrzymany. On po prostu... tam był.

Przejechaliśmy kawałek dalej drogą pod górę, aż byłem pewny, że z domu już nie słychać dźwięku naszego silnika. Zatrzymaliśmy się i czekaliśmy. Żadne inne samochody nie wyprzedziły nas na drodze. W końcu zawróciłem, pozwoliłem samochodowi stoczyć się z powrotem ze wzniesienia i zahamowałem, kiedy ciągle jeszcze nie było widać domu. Zatrzymałem się na skraju drogi i resztę odległości przeszliśmy piechotą.

W domu nie świeciło się żadne światło. Kiedy ja i Louis czekaliśmy, Angel zbadał teren na obrzeżach, szukając światel, które mogły być aktywowane przez ruch. Nie znalazł żadnych. Okrążył dom, zanim latarką dał znak Louisowi i mnie, żebyśmy dołączyli do niego: światło osłonił dłonią, tak, że było widoczne tylko dla nas.

- Nie ma alarmu - powiedział - nic nie znalazłem.

To miało sens. Ktokolwiek wynajmował ten dom, obojętne czy to był Merrick, czy osoba finansująca go, nie chciał dawać

policjantom powodu, żeby wpadali tu, kiedy dom stał pusty. A włamania w tej okolicy można pewnie i tak policzyć na palcach jednej ręki.

Zbliżyliśmy się do domu. Zauważyłem, że dachówki naprawiano w zeszłym roku, albo w ciągu ostatnich dwóch lat, ale farba na zewnątrz była tu i ówdzie popękana i zniszczona. Chwasty przejęły większość podwórka, ale podjazd wysypano świeżym żwirem i było miejsce bez chwastów na jeden albo dwa samochody. Garaż z jednej strony budynku miał nowy zamek na drzwiach. Sam budynek nie był odmalowany, ale też nie wymagał jakichś pilnych napraw. Innymi słowy, zrobiono wszystko, co konieczne, żeby nieruchomość była gotowa do zamieszkania, ale nic więcej. Nie było nic, co by zwracało uwagę, nic, co by przyciągnęło powtórne spojrzenie. Dom był bez wyrazu, jakby naumyślnie usuwał się w cień.

Sprawdziliśmy dom jeszcze raz; unikając żwiru, szliśmy po trawie, żeby wyciszyć kroki, ale nie było żadnych oznak, że ktoś jest w środku. Angel popracował parę minut grabiami i kilofem i otworzył tylne drzwi, co pozwoliło nam wejść do małej kuchni z pustymi półkami, szafkami i lodówką, której jedynym zadaniem, jak się zdawało, było dodanie uspokajającego szumu do zupełnie poza tym cichego domu. Kosz na śmieci zawierał resztki smażonego kurczaka i pustą plastikową butelkę po wodzie. Zapach sugerował, że kurczak leżał tam już jakiś czas. Obok była też zmięta paczka papierosów American Spirit, ulubionej marki Merricka.

Przeszliśmy do holu głównego. Przed nami były drzwi wejściowe. Po lewej znajdowała się mała sypialnia, której umeblowanie stanowiła zniszczona sofa i mały stolik. Rożek białego prześcieradła wystający z wnętrza sofy był jedynym jasnym akcentem widniejącym w ponurym mroku. Koło sypialni mieścił się duży pokój dzienny, zupełnie pozbawiony mebli. Wbudowane w ścianę półki na książki zajmowały wnęki po obu stronach zimnego kominka, a jedyną książką, która zakłócała ich pustkę, była zniszczona Biblia oprawna w skórę. Wziąłem ją do ręki i przekartkowałem, ale nie znalazłem żadnych zaznaczonych fragmentów ani notatek, ani

nazwiska na karcie tytułowej, które pozwoliłoby poznać tożsamość właściciela.

Angel i Louis poszli dalej do pomieszczeń po prawej stronie: łazienki, która kiedyś mogła być drugą sypialnią, teraz też pustej, poza wydrążonymi pancerzykami insektów uwieczonych w resztkach zeszlórocznych pajęczyn, jak bożonarodzeniowe dekoracje niepozbrane w porę, i jadalni, w której widoczne były oznaki przeszłości w formie śladów stołu i krzeseł w kurzu, jak gdyby meble wyniesione zostały bez żadnej ludzkiej pomocy, znikając w powietrzu, jak dym.

- Tutaj - powiedział Angel. Stał w holu i wskazywał pistoletem kwadratową klapę w podłodze blisko bocznej ściany domu. Była zamknięta na kłódkę, ale Angel szybko się jej pozbył, potem podniósł klapę za mosiężne koło umocowane w drewnie. Ukazały się schody w głębi niknące w ciemnościach. Angel popatrzył na mnie, jakby to była moja wina.

- Dlaczego wszystko jest zawsze pod ziemią? - wyszeptał.

- Dlaczego szepcesz? - odpowiedziałem.

- Cholera - powiedział Angel na głos. - Nienawidzę, kiedy to robię.

Louis i ja uklękliśmy koło niego.

- Czujesz to? - spytał Louis.

Powąchałem. Powietrze na dole miało zapach przypominający trochę smród kurczaka w kuchennym koszu na śmieci, ale był on bardzo nikły, jak gdyby coś kiedyś tam zgniło, a potem zostało usunięte i pozostało tylko wspomnienie zgnilizny uwiecznione w bezruchu.

Zszedłem na dół pierwszy, Angel za mną. Louis został na górze, w razie gdyby ktoś zbliżał się do domu. Na pierwszy rzut oka, piwnica wydawała się jeszcze bardziej pusta niż reszta pomieszczeń. Na ścianach nie wisiały żadne narzędzia, nie było żadnych stołów, przy których można by pracować, nie składowano pudeł, nie było żadnych pamiątek po dawnych żywotach, spoczywających w zapomnieniu pod głównym budynkiem. Zamiast tego, stała tylko miotła oparta o jedną ze ścian, a w podłodze z ubitej ziemi widniał dół o średnicy może półtora metra i na metr osiemdziesiąt głęboki.

Jego ściany były wyłożone cegłą, a dno zasypane kawałkami potłuczonych dachówek.

- Wygląda jak stara studnia - powiedział Angel.
- Kto buduje dom na studni? Wciągnął powietrze.
- Zapach idzie tam z dołu. Może coś zakopano pod kamieniami.

Wziąłem miotłę i podałem mu ją. Pochylił się do środka i poruszył dachówki na dole, ale okazało się, że warstwa ma tylko kilka centymetrów. Pod spodem był lity beton.

- Hm - powiedział. - To dziwne.

Ale ja już nie słuchałem, bo zauważyłem, że piwnica wcale nie jest tak pusta, jak się zrazu wydawało. W kącie za schodami, prawie niewidoczna w mroku, stała ogromna dębowa szafa, o drewnie tak ciemnym i starym, że zdawało się prawie czarne. Poświeciłem latarką i zobaczyłem, że szafa jest bogato rzeźbiona, ozdobiona liśćmi i pnączami winorośli. Nie wyglądała na mebel wyrzeźbiony przez człowieka, raczej na część samej natury, utrwalonej w obecnym kształcie. Gałki przy drzwiach były zrobione z rżniętego szkła, mały mosiężny klucz lśnił w swojej dziurce. Oświetliłem latarką całe wnętrze piwnicy i próbowałem wykombinować, jak zniesiono tak wielki mebel na dół. Drzwi i schody były za wąskie. Kiedyś w przeszłości mogły istnieć zewnętrzne drzwi do piwnicy z podwórka, ale teraz nie potrafiłem dojrzeć, gdzie były usytuowane. To stworzyło niepokojące wrażenie, jakby cała piwnica została skonstruowana dokoła tego kawałka starego dębu po to tylko, żeby dać mu ciche, ciemne miejsce, gdzie może odpoczywać.

Wyciągnąłem rękę i ująłem klucz. Wydawało mi się, że drży lekko w moich palcach. Dotknąłem ręką drewna. Ono też drżało. To uczucie drżenia pochodziło i z szafy, i z ziemi pod moimi nogami, jak gdyby gdzieś głęboko pod domem jakaś wielka maszyna pracowała, krusząc coś i warcząc w niewiadomym celu.

- Czujesz to? - spytałem, ale nagle Angel, choć niby był blisko, wydał mi się również punkcikiem w oddali, jakby na moment nastąpiło zakrzywienie czasoprzestrzeni. Widziałem,

jak bada otwór w podłodze piwnicy, sprawdza dachówki, żeby znaleźć przyczynę zapachu, ale kiedy się odezwałem, nie słyszał mnie, a mój głos brzmiał słabo nawet dla mnie. Przekręciłem klucz. Szczęknął głośno w zamku, zbyt głośno jak na tak mały mechanizm. Ująłem w dłonie obie gałki i pociągnąłem, a drzwi otworzyły się cicho i łatwo, odkrywając, co znajdowało się wewnątrz.

Coś się poruszyło w środku. Szarpnąłem się w tył, prawie potykając o własne stopy. Wycelowałem broń, latarkę trzymałem wysoko, jak najdalej od broni i natychmiast zostałem oślepiony odbitym światłem.

Patrzyłem na własne odbicie, zniekształcone i ocienione czernią. Na tylnej ścianie szafy wisiało małe lustro w pozłacanej ramce. Poniżej były przegródki na buty i bieliznę, wszystkie wbudowane w przestrzeń szafy i wszystkie puste, obie części oddzielone poziomą deską, która była prawie całkowicie pokryta pozornie przypadkową kolekcją przedmiotów: były tam srebrne kolczyki wysadzone czerwonymi kamieniami; złota obrączka z datą wygrawerowaną wewnątrz - 18 maja 1969; zniszczone autko zabawka, prawie całkiem odrapane z czerwonej farby, pochodzące prawdopodobnie z lat pięćdziesiątych; wyblakła fotografia kobiety wprawiona w tani medalion, kręglarskie trofeum bez zaznaczonej daty czy imienia zdobywcy; oprawna w płótno książka z wierszami dla dzieci otwarta na stronie tytułowej, gdzie słowa: „Dla Emily, ucałowania od mamusi i tatusia, Boże Narodzenie 1955” napisane były niewprawnym, kulawym pismem; szpilka do krawata; stara czterdziestkapiątka Carla Perkinsa z autografem artysty w poprzek nalepki wytwórni płytowej; złoty naszyjnik z zerwanym łańcuszkiem, jakby go zerwano z szyi właścicielki; i portfel, pusty, poza fotografią młodej kobiety w birecie i todze, stroju akademickim świeżej absolwentki.

Ale te przedmioty były jedynie drobiazgami, chociaż wszystko wskazywało na to, że właściciele je kiedyś cenili. Moją uwagę przyciągnęło lustro. Jego powierzchnia odbijająca została poważnie uszkodzona, zapewne przez ogień albo żar tak, że drewniana tylna ścianka była widoczna w samym

środku. Szkło się wygięło, na brzegach widniały brązowe i czarne plamy, a jednak lustro nie pękło i drewno z tyłu nie wyglądało na nadpalone. Żar, który spowodował zniszczenia, był tak mocny, że lustro po prostu stopiło się od niego, a jednak drewniany spód pozostał nietknięty.

Wyciągnąłem rękę, żeby dotknąć lusterka i zatrzymałem się. Już kiedyś widziałem to lustro i nagle uprzytomniłem sobie, kto manipuluje Frankiem Merrickiem. Poczulem skurcz w żołądku i mdłości. Mogłem nawet coś powiedzieć, ale i tak nie dałoby się zrozumieć tych słów. W pamięci przemknęły mi obrazy, wspomnienie pewnego budynku...

To nie jest jakiś taki sobie budynek. To jest dom.

Znaki na ścianie w dawno opuszczonym domostwie, odkryte dopiero, kiedy tapeta zaczęła się łuszczyć i zalegać w holu, jak pasy wielkich jeziorów. Mężczyzna w znoszonym płaszczu, poplamionych spodniach i z odłóżką zelówką w jednym bucie, domagający się zwrotu długu zaciągniętego przez kogoś, kto już dawno nie żył.

To jest stary i zły świat.

I małe lustro w pozłacanej ramce, w zabarwionych nikotyną palcach, odbicie w nim przedstawiało kogoś wyjącego, być może to byłem ja, a może ktoś inny.

On został przeklęty i jego dusza stracona...

Angel pojawił się koło mnie, patrzył obojętnie na przedmioty w szafie.

- Co to jest? - zapytał.

- To jest kolekcja - odpowiedziałem. Zbliżył się i sięgnął po autko. Podniosłem rękę.

- Nie ruszaj tego. Nie ruszaj niczego. Musimy stąd spaść. Natychmiast.

Wtedy zobaczył lustro.

- Co się stało z...

- To jest z domu Grady'ego - powiedziałem.

Cofnął się z obrzydzeniem, potem spojrzął za siebie, jakby spodziewał się, że zobaczy mężczyznę, który przyniósł to lustro tutaj, nagle wyłaniającego się ze swojej kryjówki, jak

jeden z zimujących tu pajaków w pokojach na górze, obudzony przez pojawienie się pierwszych wiosennych insektów.

- Ty chyba sobie żartujesz - powiedział Angel. - Dlaczego nigdy nic nie jest normalne?

Zamknąłem drzwi szafy, klucz ciągle jeszcze drżał w zamku, gdy go przekręcałem, ukrywając kolekcję z powrotem. Wyszliśmy z piwnicy, założyliśmy zasuwę i kłódkę na miejsce. Potem opuściliśmy dom. Nie zostawiliśmy żadnych śladów po swoim wtargnięciu i kiedy Angel zamknął za nami tylne drzwi, budynek wyglądał tak jak przed naszym przybyciem.

Ale czułem, że to na nic.

On będzie wiedział, że myśmy tam byli.

Egzekutor będzie wiedział i przyjdzie.

21

Podróż powrotną do Scarborough odbyliśmy prawie w milczeniu. Zarówno Angel, jak i Louis byli już wcześniej w domu Grady'ego. Wiedzieli, co się tam wydarzyło i jak to się skończyło.

John Grady był zabójcą dzieci w Maine i jego dom stał niezamieszkały przez wiele lat po jego śmierci. Kiedy tak myślę o tym teraz, to, być może, słowo „niezamieszkały” nie jest właściwym słowem. Określenie „w stanie uśpienia” byłoby stosowniejsze, bo coś pozostało w domu Grady'ego, jakiś ślad człowieka, który dał mu nazwę. Przynajmniej ja tak to widzę, chociaż równie dobrze mogły to być cienie i opary, demoralizujące wpływy historii tego domu i wspomnienie straconych tam żywotów łączące się, by tworzyć urojenia w moim umyśle.

Ale tylko ja podejrzewałem, że coś wzięło dom Grady'ego w posiadanie. Pojawił się Egzekutor, obdarty mężczyzna z żółtymi paznokciami, który poprosił, żeby mu pozwolono wziąć pamiątkę z domu: lustro i nic więcej. Nie wyglądało na to, żeby chciał czy był w stanie sam wejść do domu, a ja sądziłem, że co najmniej jeden człowiek, pomniejszy opryszek, Chris Tierney, zginął z ręki Egzekutora po tym, jak odważył się stanąć na drodze tego dziwnego, ponurego człowieka. Jednak pozwolenie, o które prosił Egzekutor, nie leżało w mojej gestii i kiedy zobaczył, że nie dostanie tego, o co prosi, wziął to i tak, zostawiając mnie krwawiącego na ziemi.

Ostatnią rzeczą, którą zobaczyłem, gdy leżałem tam z potężnym bólem w czaszce po silnym uderzeniu Egzekutora,

była wizja Johna Grady'ego uwięzionego za szkłem lusterka, które wziął Egzekutor, i wrzeszczącego bezsilnie, kiedy w końcu dosięgła go sprawiedliwość.

Teraz to samo lusterko, nadwęglone i pogięte, leżało w piwnicy opuszczonego domu, odbijając kolekcję niezwiązanych ze sobą przedmiotów, symboli innych żywotów, sprawiedliwości wymierzonej przez tę wyniszczoną postać. W przeszłości, przynajmniej raz podpisał się imieniem „Kusziel”: czarny żart, imię zapożyczone od strażnika więziennego w piekle, niemniej jednak jest to wskazówka dotycząca jego natury albo tego, co uważał za swoją naturę. Byłem pewny, że każdy przedmiot w tej starej szafie reprezentował odebrane życie, w pewien sposób spłacony dług. Przypomniałem sobie smród wiszący nad dołem w piwnicy. Powinienem zadzwonić, myślałem. Powinienem ściągnąć mu policjantów na kark. Ale co mogę powiedzieć? Że czuję krew, której nie widać? Że w piwnicy jest szafa pełna drobiazgów, ale zdradzają one tylko czasem imię chrzestne albo datę i jak je połączyć z prawdziwymi właścicielami?

„A co pan robił tam w tej piwnicy, proszę pana? Pan wie, że włamanie z wejściem to przestępstwo, prawda?”

Była jeszcze jedna sprawa, którą należało rozważyć. W przeszłości spotkałem ludzi, którzy byli tak samo niebezpieczni jak Egzekutor, a poza tym zdeprawowani, zdolni do wielkiego zła. Ale Egzekutor był inny. Jego motywowało coś innego, niż tylko zadawanie bólu. Wydawało się, że zajmuje obszar poza konwencjonalną moralnością, zajęty działaniem, które nie traci czasu na pojęcia należnego procesu, prawa i litości. Jego zdaniem, ci, których szukał, już zostali osądzeni. On jedynie wykonywał wyrok. Był jak chirurg usuwający rakowate narośle z ciała, wycinający je precyzyjnie i wyrzucający chore części do ognia.

Teraz manipulował Merrickiem, używając go do wyciągnięcia nieznanych ludzi z cienia, tak żeby odkryli się przed nim. Merrick był tam w domu, nawet jeżeli tylko na krótko: powiedziały mi to wyrzucone opakowanie od papierosów i gnijący kurczak. Egzekutor też palił, ale jego upodobania były trochę bardziej egzotyczne. Przez Eldritch'a wyposażył Merricka w samochód, być może również fundusze i także miejsce,

gdzie może się zatrzymać, bazę, z której może prowadzić działalność, ale prawie na pewno z zastrzeżeniem zakładającym, że nie wolno mu wchodzić do żadnej zamkniętej części domu. I nawet jeżeli Merrick złamał zakaz i szedł na dół do piwnicy, to czy te przedmioty w szafie miałyby dla niego jakiegokolwiek znaczenie? Wydałyby mu się jedynie przypadkowym zbiorem, ekscentryczną mieszaniną niedających się połączyć przedmiotów, trzymanyh w starej szafie, drżącej pod dotknięciem, upchanej w kącie piwnicy, w której unosił się lekki smród starych gnijących rzeczy.

Stało się jasne, że Egzekutor szuka kogoś, kto miał związek z Danielem Clayem, jednak, jeżeli można wierzyć Eldritchowi, nie samego Claya. Tu mogła być tylko jedna odpowiedź: on chciał dotrzeć do tych, którzy wykorzystywali pacjentów Claya, mężczyzn, którzy byli odpowiedzialni za to, co się stało z Lucy Merrick. Zaangażowany zostaje więc Eldritch, który dokłada starań, żeby Frank Merrick został zwolniony i skierowany we właściwym kierunku. Jednak Merrick nie jest człowiekiem, który by składał sprawozdanie z każdego swojego kroku stareńkiemu adwokatowi w biurze pełnym papierów. On chciał zemsty i Egzekutor musiał wiedzieć, że w pewnym momencie Merrick zacznie działać zupełnie poza jego kontrolą. Trzeba go będzie śledzić, ujawnić jego ruchy, tak żeby każda informacja, którą on zdobędzie, była automatycznie dzielona z tym, który go uwolnił i umożliwił poszukiwania. A kiedy mężczyźni, których szuka, w końcu zrobią swój ruch, wtedy Egzekutor będzie już czekał, bo jest dług do spłacenia.

Ale kto śledzi Merricka? Znowu, tylko jedna odpowiedź wydaje się możliwa.

Wydrążeni Ludzie.

Angel zastanawiał się nad niektórymi sprawami, o których myślałem.

- Wiemy, gdzie on jest - powiedział. - Jeżeli on jest z tym powiązany, możemy go znaleźć, jeśli trzeba.

Potrząsnąłem głową.

- To przechowalnia, nic więcej. Merrickowi pozwolono tam się na chwilę zatrzymać, ale założę się, że nigdy nie dostał się do piwnicy i że nigdy nie widział nikogo związanego z domem, z wyjątkiem tego adwokata.

- Zamek na drzwiach od tyłu był nowy - przypomniał Angel. - Czułem to. Był zmieniony niedawno, w ciągu ostatniego dnia albo dwóch.

- Mogli odebrać Merrickowi przywilej dostępu do kluczy. Nie uważam, żeby mu na tym zależało. Nie było go tam od jakiegoś czasu, a i tak jest podejrzliwy. Przypuszczam, że się urwał, jak tylko nadarzyła się okazja. Nie chciał, żeby adwokat miał dokładne bieżące informacje o nim, ale nie miał pojęcia, kto finansował jego poszukiwania. Gdyby wiedział, nigdy by się nawet nie zbliżył do tego domu.

- Ale my i tak jesteśmy do przodu, przed tym facetem, prawda? Zostawiliśmy to miejsce tak, jak było. Wiemy, że on jest w to zamieszany, ale on nie wie, że my wiemy.

- A ty, kim do cholery jesteś? - spytał Louis. - Nastoletnią panną detektyw Nancy Drew? Niech on sobie przyjdzie. Jest szurnięty. Mieliliśmy już do czynienia z takimi wcześniej. Jeden więcej nie stanowi problemu.

- On nie jest taki jak reszta - powiedziałem.

- Dlaczego?

- Bo on się nie angażuje po niczyjej stronie. Jest ponad to. On bierze to, co chce wziąć.

- A co to jest?

- Dodatek do swojej kolekcji.

- Myślisz, że on chce dostać Daniela Claya? - zapytał Angel.

- Myślę, że chce dorwać mężczyzn, którzy wykorzystywali pacjentów Claya. W każdym razie Clay jest kluczem. Egzekutor używa Merricka, próbując ich zmusić do ujawnienia się.

Louis poruszył się na siedzeniu.

- Jakie są opcje z Clayem?

- Takie same, jak z każdym innym: albo żyje, albo nie żyje. Jeżeli nie żyje, to albo popełnił samobójstwo, jak przypuszcza jego córka, i wtedy pytanie brzmi: dlaczego to zrobił;

albo ktoś go wspomógł z tym samym skutkiem. Jeżeli został zamordowany, to możliwe, że domyślał się tożsamości mężczyzn, którzy wykorzystywali te dzieci, no i zabili go, żeby umilkł na zawsze.

- Ale jeżeli żyje, to dobrze się ukrył. Został do tego zmobilizowany. Nie skontaktował się ze swoją córką albo ona tylko tak mówi, a to wcale nie jest to samo.

- Jednak wierzysz jej na słowo - zauważył Louis.

- Jestem skłonny jej wierzyć. No i jest też ta sprawa Poole'a. Wynajęła go, żeby spróbował znaleźć jej ojca, a Poole nie wrócił. Według tego, co mówi O'Rourke z wydziału policji w Portland, Poole był amatorem, niewykluczone, że nawiązał jakieś niestosowne przyjaźnie. Jego zniknięcie może nie wiązać się z Clayem, ale jeżeli tak jest, to albo pytania doprowadziły go do kontaktu z człowiekiem, który zabił Claya, i zapłacił życiem za dobrze zrobioną robotę, albo znalazł Claya i to Clay go zabił. W rezultacie są tylko dwie możliwości: Clay nie żyje i ktoś nie chce, żeby o niego pytano, albo żyje i nie chce, żeby go znaleziono. Ale jeżeli chce tak bardzo pozostać w ukryciu, że gotów jest zabić po to, żeby chronić siebie, to przed czym się broni?

- To się wiąże z dziećmi - powiedział Louis. - Martwy czy żywy, on wiedział więcej, niż mówił o tym, co się z nimi stało.

Byliśmy przy drodze wyjazdowej ze Scarborough. Wjechałem na nią i ruszyłem drogą nr 1, potem skierowałem się w stronę wybrzeża przez oświetlone księżycem moczary, w stronę czekającego ciemnego morza za nimi. Przejechałem koło swojego domu i wróciły do mnie słowa Rachel. Może miała rację. Może ja sam dręczyłem siebie. Nie była to zbyt pocieszająca myśl, ale nie podobała mi się też druga możliwość: że tak jak w domu Grady'ego, coś znalazło sposób, by wypełnić te przestrzenie, które jeszcze pozostały.

Angel zauważył, że patrzyłem na swój dom.

- Chcesz, żebyśmy weszli na chwilę?

- Nie, zapłaciliście za swój elegancki pokój w zajezdzie. Lepiej nacieszcie się nim, póki możecie. Nie ma wykwinnych noclegów w Jackman.

- Gdzie jest Jackman? - zapytał Angel.

- Północny zachód. Następny przystanek, Kanada.
- A co jest w Jackman?
- My będziemy, od jutra albo pojutrze. Jackman jest ostatnim przyczółkiem cywilizacji przed Gilead, a w Gilead albo gdzieś tam blisko jest miejsce, gdzie Andy Kellog był wykorzystywany i gdzie znaleziono samochód Claya. Kelloga nie dręczono w lesie, co znaczy, że ktoś miał dostęp do jakiejś nieruchomości w okolicy. Albo Merrick już tam był i nie powiodło mu się, więc musiał dręczyć Rebecę Clay w Portland, albo nie dotarł tam jeszcze. Jeżeli nie, to wkrótce tam będzie, ale my możemy być o krok szybsi.

Sylwetka zajazdu Black Point pojawiła się przed nami, w oknach migotały światła. Zapytali, czy chcę przyłączyć się do nich i zjeść razem kolację, ale nie byłem głodny. To, co zobaczyłem w piwnicy tego domu, odebrało mi apetyt. Patrzyłem, jak wchodzi po schodach do głównego holu i znikają w barze, potem zawróciłem i pojechałem do domu.

Z notki od Boba dowiedziałem się, że Walter jest u Johnsonów. Postanowiłem go tam zostawić. Mieli zwyczaj kłaść się wcześniej, choć Shirley, żona Boba, nigdy nie mogła przespać całej nocy bez przerwy z powodu bólów artretycznych i często widziałem ją, jak czyta przy oknie w świetle małej lampki nocnej przyklepionej do książki, żeby nie budzić Boba, albo po prostu obserwuje, jak ciemność nocy powoli ustępuje światłu dnia. Jednak nie chciałem ryzykować i budzić ich tylko dla wątpliwej przyjemności dodatkowego spaceru z moim psem w zimową noc. Zamknąłem więc drzwi i nastawiłem muzykę: z kolekcji Bacha, którą kupiła mi Rachel, starając się poszerzyć moje muzyczne zainteresowania. Zrobiłem sobie kawy i siadłem przy oknie w swoim pokoju dziennym, patrząc na las i wodę, świadom ruchu każdego drzewa, kołysania każdej gałęzi, przesunięcia każdego cienia, i zadumałem się nad tym, jakimi to drogami świat prowadzi sprawy, że znowu doprowadził do skrzyżowania mojej ścieżki ze ścieżką Egzekutora. Matematyczna precyzja muzyki kontrastowała z niespokojną ciszą domu i gdy tak siedziałem w ciemności, zdałem sobie sprawę z tego, że Egzekutor mnie

przeraża. Był myśliwym, jednak jego skupienie na celu i bezwzględność miały w sobie coś bestialskiego. Odbierałem go jako człowieka obojętnego na moralność, ale to nie była prawda: właściwsze byłoby stwierdzenie, że powodowała nim jakaś dziwna moralność, jego własna, która została zdeprecjonowana i stała się niesmaczna przez tę kolekcję zgromadzonych pamiątek. Zastanawiałem się, czy lubił je dotykać w ciemności, wspominając życie tych, których reprezentowały i zakończone egzystencje. Była jakaś zmysłowość w tym, jak na niego działały, przejaw pragnienia o prawie seksualnej naturze. Znajdował przyjemność w tym, co czynił, a jednak nie godziło się nazwać go po prostu zabójcą. Było to bardziej skomplikowane. Ci ludzie zrobili coś, co go do nich sprowadziło. Jeżeli byli jak John Grady, to popełnili grzech, który jest nie do przyjęcia.

Ale nie do przyjęcia dla kogo? Dla Egzekutora, tak, ale ja czułem, że we własnym przekonaniu jest tylko przedstawicielem innej potęgi. Mógł się mylić w tym przeświadczeniu, niemniej jednak to ono dawało mu władzę i siłę, uświadomioną lub nie.

Było jasne, że Eldritch jest kluczem, bo wyszukiwał dla niego nieruchomości, bazy, z których mógł wyruszać w świat i wykonywać robotę, do której, w swoim przekonaniu, został powołany. Posiadłość w Welchville została nabyta na długo, zanim szansa na zwolnienie Merricka stała się oczywista. Prawdą było, że po drodze interweniował w sprawie Grady'ego i odzyskał lusterko, które teraz wisiało w piwnicznej szafie, odbijając zniekształcony obraz świata, który mógł bardzo dobrze pasować do obrazu świata Egzekutora, a inne przedmioty w jego skarbcu sugerowały, że był również zajęty gdzie indziej, ale żaden nie wyjaśniał, dlaczego Egzekutor sprawiał, że czułem się tak niepewnie, ani dlaczego przez niego zacząłem obawiać się o swoje bezpieczeństwo.

W końcu opuściłem fotel i poszedłem do łóżka i dopiero, kiedy już miałem zasypiać, zrozumiałem swój strach przed Egzekutorem. On zawsze patrzył i szukał. Nie wiedziałem, jak doszedł do tej umiejętności widzenia grzechów innych ludzi, ale obawiałem się, że mogę zostać osądzony tak jak inni. Okazałoby się, że jestem nie w porządku i on wymierzyłby mi karę.

Tej nocy śnił mi się stary sen. Stałem nad jeziorem, jego wody płonęły, ale poza tym krajobraz był płaski i pusty, ziemia twarda i szerniała. Przede mną stał mężczyzna, korpulentny i uśmiechnięty, jego kark był spuchnięty, miał wielkie fioletowe wole, ale jego skóra poza tym była blada, jakby krew nie płynęła w żyłach pod nią, na co potrzebna krew zmarłym?

Jednak ten obrzydliwy stwór nie był całkiem martwy, bo nigdy nie był naprawdę żywy, a kiedy mówił, to głos, który słyszałem, nie pasował do ruchu jego warg, słowa wylewały się potokiem starych języków, dawno zapomnianych przez ludzi.

Inne postaci stały za nim i ja znałem ich imiona. Znałem je wszystkie.

Słowa wylewały się z niego w tych ostro brzmiących językach, ale jakoś je rozumiałem. Popatrzyłem za siebie i zobaczyłem swoje odbicie w płonących wodach jeziora. Bo byłem jednym z nich, a oni mówili do mnie „Bracie”.

W małym miasteczku odległym o kilkanaście kilometrów pewien osobnik pojawił się na zwirowanym podjeździe i podchodził do skromnego domu od strony drogi po drugiej stronie, chociaż odgłos silnika samochodu nie zapowiedział jego przybycia. Miał tłuste, szesane do tyłu włosy. Ubrany był w ciemny, znoszony płaszcz i ciemne spodnie, w jednej ręce trzymał żarzące się papierosa.

Kilka kroków przed domem zatrzymał się. Przykląkł i przeciągnął palcami po żwirze, odnajdując ledwie widoczne wgłębienia, potem wstał i poszedł wzdłuż ściany domu do ogrodu na tyłach, palcami lewej dłoni delikatnie dotykał drewna, wyrzuciwszy przedtem papierosa w chwasty. Dotarł do tylnych drzwi i zbadał zamek, potem wyjął komplet kluczy z kieszeni i użył jednego, żeby wejść.

Chodził po domu, palcami cały czas szukał, dotykał, badał, głowę miał lekko podniesioną, kiedy węchem sprawdzał powietrze. Otworzył pustą lodówkę, przewrócił strony starej Biblii. Patrzył w milczeniu na ślady w kurzu w miejscu, które kiedyś było jadalnią, aż w końcu dotarł do kłapy prowadzącej do piwnicy.

Otworzył ją i zszedł na dół do ostatniego miejsca, swego miejsca, ale nie okazywał żadnych oznak gniewu z powodu najścia, które wcześniej nastąpiło. Przesunął palcami po kiju miotły, zatrzymując się, kiedy znalazł punkt, gdzie trzymały ją obce ręce. Znowu pochylił się, wachając ślady potu, wybierając zapach mężczyzny, żeby móc go rozpoznać następnym razem. Nie znał tego zapachu, tak jak i drugiego, który poczuł przy klapie do piwnicy.

Jeden z nich tam czekał. Jeden czekał, kiedy dwóch zeszło na dół.

Ale jeden z tych, którzy zeszli...

W końcu ruszył w stronę wielkiej szafy w kącie. Przekreślił klucz w zamku i otworzył drzwi. Przyjrzał się dokładnie kolekcji, stwierdzając, że niczego nie brakuje ani że żaden przedmiot nie zmienił miejsca. Kolekcja była w porządku. Będzie musiał ją teraz przenieść, naturalnie, ale to nie pierwszy raz, że część jego skarbu została odkryta w taki sposób. To była niewielka niewygodna i nic więcej.

Tafla zniszczonego lusterka znalazła go, a on na chwilę zatrzymał wzrok na swoim częściowym odbiciu: tylko włosy i skraje skroni były widoczne w tym, co zostało z lustra, a jego rysy zostały zastąpione gołym drewnem i stopionym szkłem. Palce pozostawił na kluczu, pieszcząc go i odbierając wibracje, które przepływały przez klucz z głębi poniżej. Wziął ostatni oddech i wreszcie rozpoznał trzeci zapach.

I Egzekutor się uśmiechnął.

Obudziłem się. Było ciemno i w domu panowała cisza, ale nie były to pusta ciemność i przyjemna cisza. Coś dotknęło mojej prawej ręki. Spróbowałem nią poruszyć, ale zdołałem przesunąć nadgarstek tylko o parę centymetrów, coś mnie zatrzymało.

Otworzyłem oczy. Moja prawa ręka była przykuta do ramy łóżka. Frank Merrick siedział na krześle z prostym oparciem, które postawił koło łóżka, lekko pochylony do przodu, dłonie w rękawiczkach trzymał między kolanami. Miał na sobie niebieską koszulę z poliestru, nieco przyciasną, napięte guziki wyglądały jak zapięcie na zbyt mocno wypchanej kanapie. Między jego stopami leżała mała skórzana torba na ramię, miała rozpięte paski. Nie zaciągnąłem zasłon i padające z góry światło księżycy oświetlało oczy Merricka, zmieniając je w dwa lustra w ciemności. Natychmiast poszukałem swojej broni na nocnym stoliku, ale jej nie było.

- Mam twojego gnata - powiedział. Sięgnął za siebie i wyjął smitha 10 zza paska, potem ważył go w ręce, przyglądając mi się. - Piękna rzecz. Człowiek musi serio traktować zabijanie, jak nosi taką broń. To nie jakieś tam damskie cacko, hm.

Przesunął go w dłoni, oplatając palcami uchwyt i podnosząc tak, że wylot lufy był wycelowany we mnie.

- Jesteś zabójcą, tak? Jeśli tak myślisz, to mam dla ciebie złe wieści. Twoje dni zabijania już się kończą.

Wstał szybko i mocno przycisnął wylot lufy do mojego czoła. Palcem lekko postukał w spust. Odruchowo zamknąłem oczy.

- Nie rób tego - powiedziałem. Usiłowałem zachować spokojny głos. Nie chciałem, żeby brzmiał tak, jakbym błagał o życie. W profesji Merricka byli faceci, którzy żyli dla takiej chwili: łamiący się głos ofiary, przyznanie, że umieranie już nie jest abstrakcyjną koncepcją, mającą się sprawdzić w przyszłości, że śmiertelność otrzymała formę i cel. W takim momencie nacisk palca na spust zwiększa się i kurek opada, ostrze rozpoczyna swoją tnącą robotę, sznur zaciska się wokół szyi i wszystko przestaje istnieć. Starłem się więc trzymać strach w ryzach, nawet jeżeli słowa drapały w gardle jak papier ścierny, a język zaczepiał o zęby. Jedna część mnie desperacko próbowała znaleźć wyjście z sytuacji, podczas gdy druga koncentrowała się tylko na ucisku na czole, wiedząc, że zapowiada nadejście jeszcze większego nacisku, kiedy kula przedrze się przez skórę, kość i wniknie w mózg, a potem ból zniknie i ja umrę.

Nacisk zelżał, gdy Merrick zdjął wylot lufy z mojego czoła. Kiedy otworzyłem oczy, wpadły do nich krople potu. Jakoś znalazłem dość śliny w ustach, żeby móc odezwać się znowu.

- Jak się tu dostałeś?
- Frontowymi drzwiami, jak każdy normalny człowiek.
- Dom ma założony alarm.
- Coś takiego? - Był zdziwiony. - Więc chyba będziesz musiał kazać go sprawdzić.

Lewą ręką sięgnął do torby przy nogach. Wyjął drugi komplet kajdanków i rzucił je w moją stronę. Wylądowały na mojej piersi.

- Załóż jedną z tych bransoletek na lewy przegub, potem wyciągnij lewą rękę do nogi łóżka z drugiej strony. I żebyś to robił powoli. Nie miałem czasu sprawdzić siły nacisku tego cuda, boś się tak nagle obudził i w ogóle nie wiem właściwie, ile tu potrzeba, żeby wystrzeliło. Kula z takiej broni narobiłaby straszego kramu, nawet gdybym celował porządnie i zabił cię na miejscu. Ale gdybyś mnie zdenerwował, to nie wiadomo, jak by się to skończyło. Znałem kiedyś faceta, którego dosięgła kula z dwudziestkidwójki i dostał w czoło, tu.

Postukał się w czoło nad prawym okiem.

- Muszę przyznać, że nie wiem, co ona tam narobiła.

Chyba musiała tłuc się w środku. To draństwo tak robi. Nie zabiło go to. Ale nie mógł mówić, był sparaliżowany. Cholera, nie mógł nawet mrugnąć. Musieli płacić komuś, żeby zakrapiał mu oczy, bo wysychały. Patrzył na mnie intensywnie przez chwilę, jakbym ja też już był takim człowiekiem.

- W końcu - mówił dalej - wróciłem tam i dokończyłem robotę. Patrzyłem w te niemrugające oczy i przysięgam, że coś z tego, jaki był, pozostało w nich żywe. Było uwięzione w pułapce przez to, co ja z niego zrobiłem, ale ja to uwolniłem. To się chyba liczy za dobry uczynek, nie? Nie mogę obiecać, że zrobię to samo dla ciebie, więc bądź naprawdę ostrożny z tymi kajdankami.

Zrobiłem, jak mi kazał, pochylając się niezdarnie w poprzek łóżka, żeby uwięziona prawa ręka mogła zapiąć kajdanki na lewym przegubie. Potem wyciągnąłem lewą rękę do nogi z drugiej strony łóżka. Merrick obszedł łóżko dokoła, nie spuszczał mnie z muszki ani na moment, trzymając palec na spuście. Prześcieradło pode mną było całe mokre od potu. Ostrożnie, używając tylko lewej ręki, przymocował kajdanki i zostałem tak, rozciągnięty, w pozycji jak na krzyżu. Podszedł bliżej.

- Szanowny pan wygląda na przerażonego - szepnął mi do ucha. Lewą ręką odsunął mi włosy z czoła. - Pocisz się, jak mięso na grillu.

Szarpnąłem głową, odsuwając ją. Broń, nie broń, nie chciałem, żeby mnie dotykał. Uśmiechnął się i zrobił krok do tyłu.

- Możesz na razie spokojnie oddychać. Jak udzielisz właściwej odpowiedzi, to może dożyjesz do następnego wschodu słońca. Ja nie robię krzywdy nikomu, ani człowiekowi ani zwierzęciu, jak nie muszę.

- Nie wierzę w to.

Zastygł, napiął całe ciało, jakby gdzieś jakiś niewidoczny lalkarz nagle szarpnął jego sznurkami. Potem zdarł ze mnie przykrycie, odsłaniając mnie nagiego.

- Myślę, że powinieneś uważać, na to, co mówisz - warknął. - To niezbyt mądre, żeby facet z fiutem na wierzchu, pysskował komuś, kto może mu zrobić przykrość, jak będzie chciał.

Może to niedorzeczne, ale bez tego cienkiego, bawełnianego przykrycia czułem się bardziej bezbronny niż przedtem. Bezbronny i upokorzony.

- Czego chcesz?

- Porozmawiać.

- Mogłeś to zrobić w dzień. Nie musiałeś się po to wla-
mywać do mojego domu.

- Jesteś pobudliwym człowiekiem. Martwiłem się, że przesadnie zareagujesz. No i jest ten mały szczegół, że kiedy mieliśmy się spotkać ostatnim razem, oszukałeś mnie i zaro-
biłem kolano policjanta w plecy. Powiedzmy, że chcę się za to odegrać.

Szybko przełożył broń do lewej ręki, potem ukląkł na mo-
ich nogach i uderzył mnie mocno w nerkę. Mając unierucho-
mione ciało, w żaden sposób nie mogłem się ruszyć, żeby
amortyzować ból. Przeszył mnie całego i poczułem zapowiedź
torsji w ustach.

Ciężar z nóg ustąpił. Merrick wziął szklankę wody ze stoli-
ka nocnego, napił się z niej, potem resztą chlapnął mi na
twarz.

- To jest nauczka i nie trzeba było mnie zmuszać, bym ci
jej udzielił. Jak się robi człowiekowi na złość, to można się
spodziewać, że wróci, mhm, tak, można.

Podszedł do krzesła i usiadł. Potem ruchem, który był
prawie czuły, starannie naciągnął prześcieradło na moje cia-
ło.

- Chciałem jedynie porozmawiać z tą kobietą - powie-
dział. - Potem ona wezwała ciebie i zacząłeś wtykać nos w nie
swoje sprawy.

Odzyskałem głos. Wracał powoli, jak przestraszony zwierz,
wyłaniający się z swojej nory, który sprawdza zagrożenie wi-
szące w powietrzu.

- Bała się. Wygląda na to, że słusznie.

- Nie krzywdź kobiet. Już ci to wcześniej mówiłem.

Puściłem owo zapewnienie mimo uszu. Nie chciałem go
znowu rozżłościć.

- Nie wiedziała, o czym mówisz. Jest przeświadczona, że
jej ojciec nie żyje.

- Tak twierdzi.

- Myślisz, że kłamie?

- Myślę, że wie więcej, aniżeli mówi. Mam pewną sprawę do wyjaśnienia z panem Danielem Clayem, hm. Nie dam za wygraną, dopóki go nie zobaczę, żywego czy martwego. Chcę rekompensaty. Mam do niej prawo, tak jest, proszę pana.

Skinął głową raz, solennie, jakby właśnie podzielił się ze mną jakąś głęboką prawdą. Sposób, w jaki mówił i zachowywał się, uległ zmianie: te „hm, hm” i „tak jest, proszę pana” wtrącane do rozmowy. Zorientowałem się, że Merrick wymyka się spod kontroli, nie tylko Eldritch i Egzekutora, ale również samego siebie.

- Dajesz się wykorzystywać - powiedziałem. - Twój ból i gniew są wyzyskiwane przez innych.

- Dawniej też mnie już wykorzystywano. Ważne, by zdać sobie z tego sprawę i otrzymać godziwą zapłatę.

- Co jest tym razem twoją zapłatą? Pieniądze?

- Informacja.

Pozwolił opaść lufie pistoletu, która teraz była wycelowana w podłogę. Dosięła go fala zmęczenia i rozbijając się o jego twarz, zmieniła jego rysy, pozostawiając w nich obraz splątanych wspomnień. Mocno przyłożył palce do kącików oczu, potem przesunął dłoń po twarzy. Przez chwilę wydawał się stary i kruchy.

- Informacje o twojej córce - powiedziałem. - Co podał ci ten adwokat? Nazwiska?

- Może. Nikt inny nie ofiarował mi pomocy. Nikt inny się nią nie zainteresował. Wiesz, co to było dla mnie, być uzimionym w tym więzieniu, wiedząc, że coś się stało mojej małej dziewczynce, wiedząc, że nie mogę nic zrobić, żeby ją znaleźć, żeby jej pomóc? Pracownik pomocy społecznej przyszedł do więzienia, powiedział mi, że moja mała dziewczynka zaginęła. Już samo to było straszne, ale jak się zorientowałem, co z nią zrobiono, to było jeszcze gorzej. Zaginęła, wiedziałem, że ma kłopoty. Masz pojęcie, co to robi z człowieka? Prawie mnie to złamało, ale w końcu wziąłem się w garść. Nie przydałbym się jej wtedy, o, nie, proszę pana, więc czekałem na właściwy moment i czekałem na swoją szansę. Staralem się trzymać dla niej i nie dałem się złamać.

Ale był złamany. Coś głęboko w nim pękło, i rysa rozszerzała się na całe jego jestestwo. Już nie był taki jak kiedyś, ale jak Aimee Price zauważyła, nie dało się stwierdzić, czy w rezultacie nie stał się śmiertelnie groźny i bardziej niebezpieczny. Bo były to dwie różne rzeczy i gdyby ktoś mnie spytał w tamtym momencie, kiedy leżałem ubezwłasnowolniony we własnym łóżku, patrząc w lufę własnej broni, to powiedziałbym, że był bardziej niebezpieczny, ale mniej śmiertelnie groźny. Stracił ostrość, ale to, co ją zastąpiło, uczyniło go bardziej nieprzewidywalnym. Był teraz więźniem swego własnego gniewu i smutku, i to uczyniło go bezbronnym na różne sposoby, których się nawet nie spodziewał.

- Moja mała dziewczynka nie rozplęnęła się tak po prostu w powietrzu - powiedział. - Zabrano mi ją i znajdę tego, kto jest za to odpowiedzialny. Ona może jeszcze gdzieś czekać, aż przyjdę i zabiorę ją do domu.

- Wiesz, że to nieprawda. Jej nie ma.

- Zamknij gębę. Tego nie wiesz.

Było mi już wszystko jedno. Miałem dość Merricka, dość ich wszystkich.

- Była małą dziewczynką - powiedziałem. - Wzięli ją. Coś poszło nie tak. Ona nie żyje, Frank. Tak ja to widzę. Ona nie żyje tak samo jak Daniel Clay.

- Nie wiesz tego na pewno. Skąd możesz to wiedzieć.

- Bo przestali - odparłem. - Po niej przestali. Wystraszyli się.

Mocno potrząsnął głową.

- Nie, nie uwierzę w to, dopóki jej nie zobaczę. Dopóki nie pokażą mi jej ciała, ona żyje dla mnie. Jeszcze raz powiesz, że nie, to cię zabiję, tu gdzie leżysz, przysięgam. Zapamiętaj to! Tak, dobrze to sobie zapamiętaj.

Stał teraz nade mną, broń trzymał wycelowaną, gotową do strzału. Drżała lekko, bo gniew serca przekazywał energię do pistoletu w jego rękę.

- Widziałem się z Andym Kellogiem - oznajmiłem.

Broń przestała drżeć, ale nie odsunął jej.

- Spotkałeś Andy'ego. No, przypuszczam, że prędzej, czy później dowiedziałbyś się, gdzie byłem. Jak on się ma?

- Niedobrze.
- Nie powinien tam być. Tamci mężczyźni go zniszczyli. Złamali mu serce. To, co on robi, to nie jego wina.

Znowu spuścił oczy na podłogę, jeszcze raz nie potrafiąc powstrzymać napływu wspomnień.

- Twoja córka rysowała obrazki takie jak Andy, prawda?
- zapytałem go. - Obrazki mężczyzn z głowami ptaków.

Merrick potaknął.

- Tak jest, takie same jak Andy. To było po tym, jak zaczęła terapię u Claya. Przysłała mi je do więzienia. Próbowала mi coś powiedzieć o tym, co się z nią dzieje, ale ja nie rozumiałem, dopóki nie spotkałem Andy'ego. To byli ci sami mężczyźni. I tu nie chodzi tylko o moją małą dziewczynkę. Ten chłopiec był mi jak syn. Oni zapłacą też za to, co jemu zrobili. Mecenias Eldritch rozumiał to. Tu nie chodziło tylko o jedno dziecko. To dobry człowiek. On chce, żeby znaleziono tych ludzi, tak samo, jak ja tego chcę.

Usłyszałem, że ktoś się zaśmiał, i zdałem sobie sprawę, że to byłem ja.

- Myślisz, że on to robi z dobroci serca? Czy zastanowiłeś się kiedyś, kto płaci Eldritchowi, kto go zatrudnił, żeby dopilnować twojego zwolnienia, dostarczyć ci informacji? Czy rozejrzałeś się po tym domu w Welchville? Czy odważyłeś się zejść do piwnicy?

Merrick lekko otworzył usta, a jego rysy zaciemnił wyraz wątpienia. Być może nigdy mu nawet nie przyszło do głowy, że ktoś inny niż Eldritch był też zainteresowany całą tą sprawą.

- O czym ty mówisz?

- Eldritch ma klienta. Ten klient manipuluje tobą za pośrednictwem adwokata. On jest właścicielem domu, do którego się włamałeś. On cię śledzi, czekając, kto zareaguje na twoje poczynania. Kiedy ci ludzie się pojawią, on ich zgarnie, nie ty. Jemu jest obojętne, czy znajdziesz córkę, czy nie. On chce...

Przestałem mówić. Zrozumiałem, że nie ma sensu wyjaśniać, czego on chce. Dodawać eksponaty do swojej kolekcji? Wymierzać inną formę sprawiedliwości, ponieważ prawo nie

potrafi działać skutecznie przeciwko tym mężczyznom? To były elementy składowe tego, czego on pragnął, ale to nie wystarczyło, żeby wyjaśnić jego istnienie.

- Nie wiesz, czego on chce, nawet jeżeli on istnieje, a to i tak jest bez znaczenia - powiedział Merrick. - Kiedy nadejdzie czas, nikt nie powstrzyma mnie przed własnoręcznym wymierzeniem sprawiedliwości. Ja chcę rekompensaty. Już mówiłem. Chcę, żeby mężczyźni, którzy zabrali moją małą dziewczynkę, zapłacili za to, co zrobili, żeby mi zapłacili.

- Rekompensaty? - Próbowałem ukryć obrzydzenie w głosie, ale nie mogłem. - Mówisz o swojej córce, a nie o jakimś... używanym samochodzie, który odmówił posłuszeństwa półtora kilometra przed parkingiem. Tu nie chodzi o nią. Chodzi o ciebie. Chcesz kogoś dorwać. Ona jest tylko pretekstem.

Gniew znowu wybuchł, jeszcze raz ujrzałem to podobieństwo między Frankiem Merrickiem i Andym Kellogiem i gniew, który wrzał u nich pod powierzchnią. Merrick miał rację: w jakiś dziwny sposób on i Kellog byli podobni jak ojciec i syn.

- Zamknij się, do cholery! - warknął Merrick. - Nie masz pojęcia, o czym mówisz.

Przełożył broń do lewej ręki i prawa pięść znalazła się nagle nade mną, gotowa opaść na moją twarz. Nagle coś poczuł, bo zatrzymał się i obejrzał przez ramię, i wtedy ja też to odczułem.

W pokoju zrobiło się chłodniej i było słyhać jakiś hałas w holu za drzwiami. Był delikatny, jak kroki dziecka.

- Jesteś tu sam? - spytał Merrick.

- Tak - odpowiedziałem, i nie potrafiłbym powiedzieć, czy kłamałem.

Odwrócił się i poszedł powoli do otwartych drzwi, potem dał szybko krok do holu, trzymając broń blisko siebie na wypadek, gdyby ktoś chciał mu ją wytrącić. Znikł z mojego pola widzenia i słyszałem, jak otwierał drzwi i przeszukiwał schowki. Jego sylwetka pojawiła się znowu, kiedy mijał moje drzwi i poszedł na dół, sprawdzając, czy we wszystkich pokojach jest cicho i pusto. Kiedy wrócił, wyglądał na zakłopotanego, a w pokoju było jeszcze zimniej. Zadrżał.

- Co, do cholery, jest z tym domem?

Ale ja już go nie słuchałem, bo teraz dotarł do mnie jej zapach. Krew i perfumy. Była blisko. Pomyślałem, że Merrick też mógł ją poczuć, bo lekko zmarszczył nos. Zaczął mówić, ale wydawał się nieobecny, prawie roztargniony. W jego głosie była odrobina szaleństwa i pomyślałem wtedy, że mnie na pewno zabije. Próbowałem poruszyć wargami, modlić się, ale nie mogłem przypomnieć sobie żadnych słów i żadne modlitwy nie przyszły.

- Nie chcę, żebyś się więcej mieszał w moje sprawy, rozumiesz? - powiedział.

Jego ślina wylądowała na mojej twarzy.

- Myślałem, że jesteś człowiekiem, z którym można się porozumieć, ale się myliłem. Już dość mi narobiłeś kłopotów i muszę dopilnować, żeby tego więcej nie było.

Sięgnął do torby na podłodze i wyjął rolkę taśmy izolacyjnej. Odłożył broń i użył taśmy, by zakleić mi usta, zanim związał mi nogi mocno nad kostkami. Na głowę założył mi worek jutowy i umocował taśmą wokół szyi. Używając żyłki, wyrwał dziurę w worku tuż pod moim nosem, żebym mógł łatwiej oddychać.

- Posłuchaj mnie teraz - powiedział. - Narobię ci trochę kłopotów, żeby mieć pewność, że jesteś zajęty i nie myślisz o mnie. Lepiej, pilnuj swojego nosa, a ja dopilnuję, żeby sprawiedliwości stało się zadość.

Potem mnie zostawił, a z nim wyszło trochę chłodu z pokoju, jakby coś szło za nim przez dom, obserwując jego drogę, i pilnując, żeby wyszedł. Ale drugie zostało, mniejsza obecność, mniej zagniewana niż pierwsza, ale bardziej wystraszona.

Zamknąłem oczy, jak poczułem jej rękę głaszczącą worek.

Tatusiu

Odejdź.

tatusiu, jestem tutaj

Chwilę później pojawiła się ta druga w pokoju. Czułem, jak się zbliża. Nie mogłem porządnie oddychać. Pot zalewał mi oczy. Próbowałem powstrzymać krople, mrugając. Dopadała mnie panika, dusiłem się, a jednak prawie mogłem ją widzieć

przez prze-cięcia w worku, ciemność na tle ciemności, i czuć jej zapach, kiedy przyszła.

Tatusiu, już dobrze, jestem tutaj

Ale nie było dobrze, bo zbliżała się ta druga, pierwsza żona, czy coś podobnego do niej.

cicho

Nie. Odejdźcie ode mnie. Proszę, proszę, zostawicie mnie w spokoju.

cicho

Nie.

I potem moja córka już nic nie mówiła, a usłyszałem głos tej drugiej.

cicho, jesteśmy tutaj.

Ricky Demarcian, według wszelkich zewnętrznych oznak, był nieudacznikiem. Mieszkał w podwójnej szerokości przyczepie, w której od początku swego rezydowania zimą trząsał się z zimna, a latem był delikatnie podpiekany jak na żywym ogniu, smażąc się we własnym sosie i wypełniając każdy kąt smrodem pleśni, brudu i niepranych ubrań. Przyczepa niegdyś była zielona, ale wpływ warunków atmosferycznych spleciony z nieudolnym talentem malarskim Ricky'ego odbił się tak niekorzystnie, że spłowiła i była teraz w kolorze obrzydliwego, spranego błękitu, jak jakieś umierające stworzenie na dnie zanieczyszczonego morza.

Przyczepa stała na północnym obrzeżu parku zwanego Tranquility Pines*, [ang. *pine* - sosna; *tranquility* - spokój, cisza (przypr. red.)] co z miejsca było reklamą opartą na kłamstwie, bo nie ma tam ani jednej sosny - nie lada wyczyn w szacownym, starym, stanie Maine - no, a samo miejsce było tak spokojne, jak kopiec mrówek tonących w kofeinie. Było usytuowane we wgłębieniu, otoczone zboczami porośniętymi krzewami, jakby sam park zapadał się powoli w ziemię pod ciężarem rozczarowania, frustracji i zawiści, które były brzemieniem dźwiganym przez jego mieszkańców.

Park Tranquility Pines był pełen ludzi z pokreconymi życiorysami i wielu z nich, co ciekawe, to były kobiety: groźnie napastliwe, wulgarne wiedźmy, które ciągle wyglądały i ubierały się tak samo jak w latach osiemdziesiątych, od stóp do głów w startym, marmurkowym dzinsie i z szopą trwalej; były równocześnie i myśliwymi, i ofiarami polowania, przeczesującymi bary South Portland, Old Orchard i Scarborough w

poszukiwaniu facetów - drani z kasą albo muskularnych damskich bokserów w T-shirtach, których nienawiść do kobiet dawała im tymczasowym partnerkom chwilowe wytchnienie od ich własnej nienawiści do samych siebie. Niektóre miały dzieci, a te płci męskiej były na najlepszej drodze do tego, by stać się takie jak mężczyźni, którzy dzielili łóżce z ich matkami, a których one same nienawidziły, nie rozumiejąc, jak blisko są tego, by iść w ich ślady. Dziewczęta tymczasem próbowały uwolnić się od warunków sytuacji rodzinnej i swoich pogardzanych matek, tworząc własne rodziny, w ten sposób skazując siebie na los takich właśnie kobiet, jakie najmniej pragnęły naśladować.

W Pines mieszkali również mężczyźni, ale oni głównie byli tacy jak Ricky niegdyś: przegrani, żałujący zmarnowanego życia, niektórzy na zasiłku z opieki społecznej, a niektórzy mieli pracę, chociaż ich zajęcie związane było głównie z patroszeniem albo dzieleniem tusz, a zapach psujących się ryb i skór kurczaków działał jako rodzaj powszechnego identyfikatora rezydentów parku.

Ricky kiedyś miał taką robotę. Jego lewa ręka była uschnięta i bezużyteczna, nie mógł uchwycić niczego palcami ani nimi poruszać wskutek jakiejś wrodzonej wady rozwojowej, ale Ricky nauczył się radzić sobie z uszkodzoną ręką, głównie ukrywając ją i zapominając o niej do takiej chwili każdego dnia, kiedy życie posyłało podkręconą piłkę w jego stronę i przypominało mu, o ile wszystko byłoby łatwiejsze, gdyby miał dwie ręce, by ją złapać. Nie przyczyniało się też to do polepszenia perspektyw Ricky'ego na zdobycie pracy, chociaż gdyby nawet miał dwie funkcjonujące ręce, to brak, obojętne, w jakiej kolejności: wykształcenia, ambicji, energii, pomysłowości, talentów towarzyskich, uczciwości, spolegliwości i ogólnie człowieczeństwa, uniemożliwiłby mu zdobycie jakiegokolwiek pracy, która nie polegała na, hm, patroszeniu i dzieleniu tusz. Ricky zaczął na najniższym szczeblu drabiny w fabryce przetwórstwa kurczaków, która dostarczała mięso do knajp sieci fast foodów: za pomocą węża zmywał krew, pióra i kurze łajno z podłóg, a jego dni wypełniało spanikowane gdakanie; zdawkowe okrucieństwo mężczyzn obsługujących linie, którzy z przyjemnością torturowali ptaki, powiększając

ich cierpienie w ostatnich momentach przez łamanie skrzydeł i nóg; syczenie prądu, kiedy kurczaki wiszące głowami w dół na pasie transmisyjnym były krótko zanurzone w wodzie pod napięciem, czym czasem udawało się ogłuszyć je, a często nie, bo ptaki walczyły zaciekle, gdacząc i rzucając się, i często ich głowy wcale nie trafiały do wody i były jeszcze przytomne, kiedy wielostrzowe maszyny rzeźnicze rozcinały im gardła, a ich ciała drgały, gdy wrząca woda pozbawiała je piór, przygotowując ich parujące tusze do pokrojenia na porcjowane kęsy kawałków mięsa, które surowe czy gotowane nie miało żadnego smaku.

Śmieszne było to, że Ricky ciągle jeszcze jadał kurczaki, nawet te z fabryki, w której pracował. Cała sprawa nie niepokoiła go nadmiernie: ani okrucieństwo, ani niedbałe traktowanie zasad bezpieczeństwa, ani nawet ten obrzydliwy smród, bo prawdę mówiąc, za higienę osobistą Ricky nie zdobyłby żadnych nagród, no i rzecz cała polegała na przyzwyczajeniu się do całej gamy nowych odorów. Jednak Ricky uznał, że bycie sprzątaczem przy kurczakach nie może uchodzić za symbol udanego, spełnionego życia, więc zaczął szukać mniej upokarzającego sposobu zarobkowania. Znalazł go w komputerach, bo Ricky miał naturalny talent do maszyn, który to talent, gdyby został odkryty i pielęgnowany w dzieciństwie, mógł uczynić go w istocie bardzo bogatym człowiekiem, co lubił sobie powtarzać, nie biorąc pod uwagę wielu wad osobowości, które doprowadziły go do aktualnego skromnego statusu w bez-sosnowych, niespokojnych warunkach, gdzie znalazł miejsce do życia na parkingu przyczep. Zaczęło się od zdobycia starego macintosha, potem poszło dalej przez szkołę wieczorową i książki o komputerach kradzione w sieci domów towarowych, aż w końcu Ricky ściągał podręczniki fachowe i pochłaniał je za jednym posiedzeniem, przy czym nieporządek otaczający go w życiu codziennym był w jawnym kontraście do czystych linii i uporządkowanych wykresów powstających w jego umyśle.

Większość jego sąsiadów nie miała pojęcia, że Ricky Demarcian jest prawdopodobnie najbogatszym rezydentem w

parku, do tego stopnia, że mógł z łatwością pozwolić sobie na przeprowadzkę do o wiele przyjemniejszego domu. Stosunkowe bogactwo Ricky'ego pochodziło w niemałej części z promocji działalności, do której internet był jakby stworzony, dokładnie mówiąc działalności, która polegała na sprzedaży różnych usług seksualnych. A ponieważ Tranquility Pines jakby przypadkowo pozwoliły mu na otwarcie biznesu, uczucie wdzięczności zrodziło przywiązanie do miejsca i nie pozwoliło mu się wyprowadzić.

Mieszkała tam kobieta, Lila Mae, która przyjmowała mężczyzn za pieniądze w swojej przyczepie. Dała ogłoszenie w jednej z darmowych miejscowych gazet, ale pomimo jej przebiegłych starań, by zmylić pogoń policjantów obyczajówki poprzez nieużywanie prawdziwego nazwiska i niezdradzenie adresu do czasu, aż klient znajdzie drogę do jej sąsiedztwa, wielokrotnie robiono u niej naloty i nakładano na nią karę grzywny. Jej nazwisko przedostało się do prasy i było to dla niej krępujące, bo w takich miejscach jak Pines, może nawet bardziej niż w eleganckich okolicach, każdy potrzebuje kogoś, na kogo może patrzeć z góry, a dziwka z przyczepy doskonale się do tego nadaje zdaniem większości sąsiadów Liii Mae.

Była atrakcyjną kobietą, przynajmniej według standardów parku i nie miała zamiaru zrezygnować ze swojej dość lukratywnej profesji, żeby przyłączyć się do Ricky'ego Demarciana i zmywać z nim rzeźnię kurczaków. Ricky, który znał sytuację Liii Mae, znajdował przyjemność w buszowaniu po sieci w poszukiwaniu wszelkiego autoramentu materiałów związanych z seksem, a co więcej, posiadał pozazdrosczenia godną znajomość tajemnic witryn internetowych i ich tworzenia. Zasugerował jej więc przy piwie pewnego wieczoru, że mogłaby rozważyć inne sposoby reklamowania swoich usług. Wrócili do jego przyczepy, gdzie Ricky pokazał jej dokładnie, co miał na myśli, po tym, jak Lila Mae otworzyła wszystkie okna i perfumami obficie skropiła chusteczkę, którą dyskretnie trzymała przy nosie. Była pod takim wrażeniem tego, co zobaczyła, że natychmiast poleciła Ricky'emu, aby zaprojektował coś podobnego dla niej i obiecała ogólnikowo, że gdyby

kiedykolwiek zdecydował się porządnie wykapać, mogłaby go przyjąć ze zniżką w jego następne urodziny.

Tak więc Lila Mae była pierwsza, ale wkrótce inne kobiety, skierowane przez nią, zaczęły zgłaszać się do Ricky'ego, a on umieścił informacje o nich wszystkich na jednej witrynie internetowej, podając szczegóły dotyczące oferowanych usług, ceny, a nawet wstawił zdjęcia tych kobiet, które chciały, i co ważniejsze tych, które prezentowały się na tyle dobrze, żeby nie odstraszyć klientów ujawnionymi tajemnicami ich kobiecych kształtów. Na nieszczęście Ricky odniósł tak wielki sukces, że jego osiągnięcia zwróciły uwagę kilku bardzo niezadowolonych mężczyzn, którzy zorientowali się, że ich pozycja drugorzędnych sutenerów została zagrożona przez Ricky'ego, od kiedy kobiety, które mogłyby w innej sytuacji korzystać z ochrony oferowanej przez takie jak oni indywidua, teraz działały na własną rękę.

Przez jakiś czas wyglądało na to, że Ricky może zostać pozbawiony możliwości użytkowania pozostałych mu jeszcze sprawnych członków, ale pewni dżentelmeni, wschodnioeuropejskiego pochodzenia, z kontaktami w Bostonie, odwiedzili go i zaproponowali kompromis. Dżentelmeni ci byli zainteresowani rodzajem działalności gospodarczej prowadzonej przez Ricky'ego i kobietami, których sprawami się opiekował. Dwóch z nich przyjechało do Maine, żeby z nim porozmawiać i szybko osiągnięto porozumienie, na mocy którego Ricky wprowadził zmiany w sposobie prowadzenia biznesu w zamian za umożliwienie mu dalszego użytkowania jedynej zdrowej ręki i gwarancję ochrony przed tymi, którzy w innej sytuacji mogliby siłą wyrazić swą dezaprobatę wobec niego. Następnie dżentelmeni ci wrócili, tym razem z prośbą, żeby Ricky zaprojektował podobną witrynę dla kobiet będących pod ich opieką oraz prezentującą również kilka bardziej „wyspecjalizowanych” opcji, które mogli zaoferować. Nagle Ricky był naprawdę bardzo zajęty i miał do czynienia z materiałami, które nie byłyby dobrze widziane przez służby ochrony porządku publicznego, jako że część tych materiałów dotyczyła dzieci.

W końcu Ricky został pośrednikiem i od reklamowania kobiet, a w niektórych wypadkach dzieci, przeszedł do ułatwiania działania tym, którzy byli zainteresowani bardziej

aktywnym kontaktem z obiektami swoich fascynacji. Ricky nigdy nie widział kobiet i dzieci, które brały w tym udział. Był tylko pierwszym ogniwem kontaktu. Nie obchodziło go, co działo się później. Człowiek innego kalibru mógłby się martwić, a nawet cierpieć z powodu wyrzutów sumienia, ale Ricky'emu Demarcianowi wystarczyło wspomnienie o umierających kurczakach, żeby przepędzić wszelkie takie wątpliwości z myśli.

Tak więc, choć Ricky mógł wyglądać na nieudacznika, żyjącego na nieodpowiednio nazwanym parkingu przyczep, którego mieszkańcy często dobrze znali biedę osobiście, on był w rzeczywistości całkiem dobrze sytuowany, egzystując w tym swoim brudnym kramie. Wydawał pieniądze na nieustanne usprawnianie oprzyrządowania i nowe programy, DVD i gry komputerowe, na powieści fantastycznonaukowe i komiksy i od czasu do czasu na jakąś prostytutkę, której szczegółowe dane zwróciły jego uwagę. Utrzymywał swoją przyczepę w takim stanie, jak była, żeby nie przyciągać niepożądaney uwagi właścicieli parkingu, urzędu skarbowego, czy stróżów porządku. Nawet częściej brał prysznic po tym, jak jeden z dżentelmenów z Bostonu narzekał, że jego nowy garnitur śmierdział przez całą drogę powrotną po wizycie u Ricky'ego i powiedział, że jeżeli taka sytuacja powtórzy się jeszcze raz, to Ricky będzie się musiał nauczyć dziobać w klawiaturę pałeczką od chińskiego jedzenia, przytwierdzoną do czoła, bo ten dżentelmen z Bostonu zrealizuje swoją pierwotną groźbę i złamie Ricky'emu jego drugą rękę i wetknie mu ją do dupy.

Tego wieczoru Ricky Demarcian, wcale nie taki nieudacznik, siedział sobie w swojej przyczepie, stukając w klawiaturę. Długie palce jego prawej dłoni były rozpostarte w poprzek klawiatury, kiedy wprowadzał informację, która miała doprowadzić użytkownika mającego dostęp do właściwego hasła i poprawnej kombinacji kropek i kliknięć do materiałów o bardzo wątpliwej wartości. System polegał na zastosowaniu pewnych haseł znanych tym, których upodobania dotyczyły dzieci, najbardziej znanym było słowo „Lolly” - lizak, które pedofile odczytywali jako wskazówkę. Zwykle Ricky dawał

imię Lolly jakiejś zwykłej, niczym nieodznaczającej się prostytutce, która tak naprawdę nie istniała, a jej dane i nawet wygląd były fikcją utkaną z historii i ciał innych kobiet. Gdy potencjalny klient wyraził zainteresowanie Lolly, na ekranie pojawiał się następny kwestionariusz z pytaniami o „preferencje wiekowe” z opcjami od „60+” do „ledwie legalne”. Jeżeli zaznaczano tę ostatnią kategorię, pozornie niewinny e-mail był wysyłany z powrotem do klienta, tym razem z innym słowem-hasłem - Ricky lubił „hobby”, jeszcze jedno słowo znane pedofilom - i tak dalej, aż w końcu proszono o szczegóły karty kredytowej klienta i przepływ zdjęć i informacji zaczął się na serio.

Ricky lubił pracować późną nocą. W Tranquility Pines było wówczas prawie spokojnie, bo nawet kłócące się pary i wrzaskliwi pijacy już zazwyczaj cichli około trzeciej nad ranem. Usadowiony w ciemności swego domu, oświetlony tylko odbłaskiem z ekranu i gwiazdami czasem widocznymi na nocnym niebie przez okno w dachu nad jego głową, mógł się czuć, jakby płynął w przestrzeni i to było wielkie marzenie Ricky'ego: płynąć po nieboskłonie wielkim statkiem, nic nie ważyć i bez przeszkód, dryfować w pięknie i kompletnej ciszy.

Ricky nie wiedział, ile lat miały dzieciaki na ekranie przed nim, przypuszczał, że najwyżej dwanaście albo trzynaście; nigdy nie potrafił określić wieku, chyba że chodziło o te naprawdę malutkie, ale Ricky starał się nie spędzać zbyt wiele czasu na oglądaniu tych zdjęć, bo były na nich pewne rzeczy, nad którymi nie można zastanawiać się zbyt długo, zresztą nie zamierzał oceniać upodobań innych ludzi. Klik, klik, klik i zdjęcie za zdjęciem znajdowało właściwe miejsce w wielkim projekcie Ricky'ego, wstawione na pozycję w wirtualnym wszechświecie seksu i pożądania, który stworzył. Był tak zagłębiany w dźwięku i rytmie tego, co robił, że pukanie do drzwi jego przyczepy wtopiło się w ogólną kakofonię i dopiero, kiedy gość zapukał mocniej, Ricky zarejestrował nowy hałas. Przerwał swoje zajęcie.

- Kto tam? - spytał.

Nie było odpowiedzi.

Podszedł do okna i odsunął zasłony w jednym rogu. Lekko padało i na szkle były ślady deszczu, ale i tak widział, że nie ma nikogo przed drzwiami.

Ricky nie miał broni. Nie przepadał za nią. Nie był porywczą osobą. Miał się na baczności, jeśli chodzi o broń. Jego zdaniem, wszędzie kręciło się pełno ludzi, którzy nie powinni mieć prawa nosić przy sobie nawet zaostrzonego ołówka, nie wspominając o naładowanym pistolecie. Zgodnie z pokrętną logiką, Ricky sformułował równanie, w którym broń równała się przestępcy, a przestępca równał się broni. Ricky nie uważał siebie za przestępcę i wobec tego nie miał broni. I odwrotnie: nie miał broni, a z tego wynikało to, że nie był przestępcą.

Ricky odsunął się od okna i popatrzył na zaryglowane drzwi. Mógł je otworzyć, ale teraz nie było powodu, żeby to robić. Ktokolwiek był przy drzwiach, już odszedł. Skubnął wargę, potem wrócił do komputera. Właśnie zaczął sprawdzać część hasła, kiedy znów usłyszał pukanie, tym razem w okno, od którego przed chwilą odszedł. Ricky zaklął i wyjrzał w noc za oknem. Teraz przed drzwiami zauważył jakiś kształt. Był to mężczyzna, przysadzisty, wyglądający na silnego, z plerezą czarnych włosów, wypomadowanych brylantyną.

- Czego pan chce? - zapytał Ricky.

Mężczyzna skinął głową, dając Ricky'emu znać, że powinien podejść do drzwi.

- Cholera - mruknął Ricky. Mężczyzna nie przypominał żadnego z tych policjantów, których Ricky widział w życiu. Właściwie wyglądał raczej jak jeden z dżentelmenów z Bostonu, którzy mieli zwyczaj pojawiać się nieoczekiwanie o najdziwniejszych porach. Jednak nigdy za wiele ostrożności, gdy chodzi o te sprawy. Ricky wrócił do komputera i wklepał serię poleceń. Natychmiast okna zaczęły się zamykać, uruchomił się system ściany zaporowej, obrazy zostały zakodowane i wprowadzająca w błąd seria fałszywych tropów została uruchomiona tak, że ktokolwiek, kto by chciał uzyskać dostęp do materiałów w jego komputerze, szybko znalazłby się w labiryncie nieprzydatnych kodów i plików pamięci buforowej.

Gdyby nadal usiłowano coś z niego wydobyć, komputer wykazałby, że nastąpił wirtualny krach. Ricky wiedział zbyt wiele o komputerach, by wierzyć, że materiały, które zawiera jego maszyna, będą zawsze niedostępne, ale przewidywał, że ekipa ekspertów musiałaby pracować parę miesięcy, zanim uzyskałaby cokolwiek, co warte byłoby dalszego śledztwa.

Odszedł od biurka i ruszył w stronę drzwi. Nie bał się. Ochroniał go Boston. To zostało ustalone dawno temu. Nie miał się czego bać.

Człowiek na progu ubrany był w ciemnogramatowe dżinsy, niebieską koszulę z poliestru, która opinała jego ciało, i znożoną czarną skórzaną marynarkę. Miał trochę za dużą głowę, jak na swoją sylwetkę, chociaż robiła ona także wrażenie, jakby była ściśnięta w jednym miejscu, jakby ją włożono w imadło od podbródka do czubka głowy. Ricky pomyślał, że przybysz wygląda jak oprych, co, o dziwo, jeszcze bardziej skłoniło go do zmniejszenia czujności. Jedyne oprychy, z którymi miał do czynienia, pochodziły z Bostonu. Jeżeli człowiek na jego progu wyglądał jak oprych, to musiał być z Bostonu.

- Fajnie tu - powiedział mężczyzna.

Ricky zmieszał się i zrobił zdziwioną minę.

- Wolne żarty - odparł.

Mężczyzna wycelował ogromny pistolet w Ricky'ego. Miał rękawiczki. Ricky się na tym nie znał, ale był to Smith 10 przeznaczony do użytku przez FBI. Dziwne, że prywatna osoba posiadała taką broń. Chociaż Ricky nie miał o tym pojęcia, to człowiek trzymający pistolet doskonale to wiedział. Właściwie dlatego właśnie zdecydował się pożyczyć tę broń wcześniej tego wieczoru.

- Kim pan jest? - zapytał Ricky.

- Mniejsza z tym - odparł mężczyzna. - Cofnij się.

Ricky zrobił, jak mu kazano.

- Nie rób niczego, czego byś potem żałował - poradził Ricky, kiedy mężczyzna wszedł do przyczepy i zamknął za sobą drzwi. - W Bostonie są ludzie, którym się to nie spodoba.

- W Bostonie, he? - mruknął mężczyzna.

- Zgadza się.

- No, a myślisz, że ci ludzie z Bostonu dotrą do ciebie prędzej niż kula?

Ricky rozważył pytanie.

- Chyba nie.

- No, więc - ciągnął mężczyzna - uważam, że nie przydadzą się ci na wiele w tej chwili. - Popatrzył na komputer i sprzęt zgromadzony dokoła niego. - Robi wrażenie - przyznał.

- Znasz się na komputerach? - spytał Ricky.

- Nie bardzo - odpowiedział mężczyzna. - Ominęło mnie to. Masz tam zdjęcia?

Ricky przełknął.

- Nie wiem, o czym mówisz.

- O, myślę, że wiesz. Przecież nie będziesz mi tu kłamał. Jak skłamiesz, to, hm, mogę stracić cierpliwość, tak jest; no i jak widzisz, ja mam broń, a ty nie, więc to nie jest w twoim interesie. Zapytam jeszcze raz: masz tam zdjęcia?

Ricky, zdając sobie sprawę z tego, że jak ktoś zadaje takie pytanie, to już zna odpowiedź, postanowił być uczciwy.

- Może. Zależy, o jakie ci chodzi.

- No wiesz jakie. Zdjęcia dziewczynek, takie jak w czasopismach.

Ricky próbował odetchnąć z ulgą, ale tak żeby nie było nic widać.

- Jasne, że mam zdjęcia dziewczynek. Chcesz zobaczyć?

Mężczyzna skinął głową i Ricky z zadowoleniem zobaczył, że zatknął sobie pistolet za pasek spodni. Ricky usiadł przy klawiaturze i przywrócił sprzęt do życia. Na moment przed tym jak monitor się włączył, zobaczył, że mężczyzna zbliża się do niego z tyłu, jego sylwetka odbiła się na ciemnym tle. Potem zaczęły się pojawiać zdjęcia: kobiety w kolejnych fazach rozbierania, w różnych pozach, prezentujące jakieś scenki.

- Mam różne rodzaje - powiedział Ricky, stwierdzając oczywistą rzecz.

- A zdjęcia dzieci? - spytał mężczyzna.

- Nie - skłamał Ricky. - Nie, dzieci tu nie ma.

Mężczyzna wydał z siebie ciepłe westchnienie rozczarowania.

Pachniało cynamonową gumą do żucia, ale to nie mogło zamaskować mieszaniny zapachów, które go otaczały: taniej wody kolońskiej i czegoś śmierdzącego, co niepokojąco przypomniało niektóre miejsca w fabryce przetwórstwa kurczaków.

- Co jest z twoją ręką?
- Mam to od urodzenia. Nie mogę nic nią robić.
- Ale jest w niej czucie?
- No, tak, tyle że nie nadaje się do...

Ricky nie skończył zdania. Poczul piekący ból, jak ogień, w górnej części ręki. Otworzył usta, żeby wrzasnąć, ale dłoń mężczyzny mocno przylgnęła do jego twarzy, tłumiąc dźwięk, podczas gdy lewa ręka wbijała cienkie, długie ostrze w ciało Ricky'ego, obracając je po drodze. Ricky miotał się na krześle, jego wrzaski wypełniały tylko jego własną czaszkę, bo w powietrzu nocy wydobywały się tylko najcichsze jęki.

- Nie rób ze mnie głupca - powiedział mężczyzna. - Ostrzegłem cię raz i nie będę więcej tego robił.

Potem ostrze zostało wyciągnięte z ramienia Ricky'ego i dłoń zdjęta z jego twarzy. Ricky odchylił się w tył na krześle, prawą ręką instynktownie dotknął rany i natychmiast ją odsunął, gdy ból wzmocnił się przy dotyku. Płakał i wstydził się tego.

- Zapytam jeszcze raz: czy tam są zdjęcia dzieci?
- Tak - powiedział Ricky. - Tak. Pokażę ci. Powiedz tylko, jakie chcesz: chłopców, dziewczęta, młodsze, starsze. Pokażę ci wszystko, tylko proszę, nie rób mi więcej krzywdy.

Mężczyzna wyjął fotografię z czarnego skórzanego portfela.

- Poznajesz ją?

Dziewczynka była ładna, z ciemnymi włosami. Miała różową sukienkę i taką samą wstążkę we włosach. Uśmiechała się. Brakowało jej zęba w górnej szczęce.

- Nie - powiedział Ricky.

Ostrze poruszyło się w jego kierunku i tym razem Ricky prawie wyrzeczył swoje zaprzeczenie.

- Nie! Mówię ci, nie znam jej. Jej tam nie ma. Pamiętałbym. Przysięgam na Boga, pamiętałbym. Mam dobrą pamięć do tych rzeczy.

- Skąd dostajesz zdjęcia?

- Z Bostonu, głównie. Przysyłają mi je. Czasem muszę je zeskanować, ale zazwyczaj już są na dysku. Są też filmy. Przychodzą na dyskach komputerowych albo na DVD. Ja tylko zamieszczam je na stronach. Nigdy nie skrzywdziłem żadnego dziecka w całym swoim życiu. Wcale mi się to wszystko nie podoba. Robię tylko, co mi każą

- Powiedziałaś „głównie”.

- Co?

- Powiedziałaś „głównie” z Bostonu. Skąd jeszcze?

Ricky próbował znaleźć sposób, żeby skłamać, ale jego mózg nie pracował zbyt sprawnie. Ból w ręce trochę stępsiał, to samo robił jego umysł. Było mu niedobrze, obawiał się, że zemdleje.

- Czasami inni ludzie przynosili mi różne rzeczy - powiedział. - Teraz już nie.

- Kto?

- Mężczyźni. To znaczy, jeden mężczyzna. Był taki facet, przyniósł dobry materiał. Wideo. To było dawno temu. Lata całe.

Ricky kłamał przez niedopowiedzenie. W dziwny sposób, malejący ból w ramieniu pomagał mu zachować jasną głowę, a to pozwoliło mu zrozumieć, że więcej bólu może się pojawić, jeżeli nie rozegra tego we właściwy sposób. Prawda, że facet przyniósł mu materiał, najwyraźniej kręcony w domu, ale bardzo dobrej jakości, nawet jeżeli był zbyt statyczny w ruchach kamery. Był on jednym z pierwszych, którzy skontaktowali się bezpośrednio z Rickym, mając nadzieję, że pomoże im wynająć dziecko na parę godzin. Kierował ich do niego wspólny znajomy z tej części stanu, człowiek dobrze znany tym, którzy mieli takie upodobania.

Dżentelmeni z Bostonu powiedzieli mu, że to się zdarzy i tak było.

- Jak on się nazywał?

- Nie podał mi nazwiska, a ja nie pytałem. Po prostu mu zapłaciłem. To był dobry materiał.

Więcej półprawd, więcej kłamstw, ale Ricky ufał swoim umiejętnościom. Nie był głupi i wiedział o tym.

- Nie bałeś się, że to policjant?

- To nie był policjant. Wystarczyło raz na niego popatrzeć, żeby to wiedzieć.

Smarki kapąły mu z nosa, mieszając się z łzami.

- Skąd przyjeżdżał?

- Nie wiem. Gdzieś z północy.

Mężczyzna obserwował Ricky'ego skrupulatnie i zauważył, jak jego spojrzenie przesunęło się znowu, kiedy kłamał. Dave „Zgadula” Glovsky mógłby być z niego dumny.

- Słyszałeś kiedyś o miejscu o nazwie Gilead?

Znowu pojawił się znaczący sygnał, kiedy ciało zdradziło trudności, jakie miał mózg w tuszowaniu kłamstwa.

- Nie, nigdy, chyba, że w szkółce niedzielnej, kiedy byłem dzieckiem.

Mężczyzna milczał przez chwilę. Ricky zastanawiał się, czy nie posunął się o jedno kłamstwo za daleko.

- Masz listę osób, które płacą za to wszystko?

Ricky potrząsnął głową.

- Płacone jest kartami kredytowymi. Ludzie z Bostonu się tym zajmują. Mam tylko adresy e-mailowe.

- Kim są ci ludzie z Bostonu?

- Pochodzą z Europy Wschodniej, Rosji. Ja tylko znam ich imiona. No i mam parę numerów telefonicznych, by dzwonić, jak są kłopoty.

Ricky zaklął. Pomyślał, że popełnił błąd, mówiąc jeszcze raz temu człowiekowi, który go zaatakował, że poniesie konsekwencje swego czynu, że Ricky musi zadzwonić gdzie trzeba, jeżeli pojawiłoby się zagrożenie dla całej operacji. Ricky nie chciał przypominać temu mężczyźnie, że byłoby lepiej nie zostawiać go przy życiu. Mężczyzna rozumiał niepokój Ricky'ego.

- Nie martw się - powiedział. - Wiem, że będziesz musiał im dać znać o tym. Domyślam się, że i tak w jakiś sposób się dowiedzą, hm. Wcale mnie to nie martwi. Niech sobie przyjdą. A teraz możesz wykasować te materiały na monitorze.

Ricky przełknął. Zamknął na moment oczy z wdzięczności. Odwrócił się z powrotem do swojego komputera i zaczął wykasowywać zdjęcia. Jego usta się rozchyliły.

- Dziękuję...

Kula wybiła dużą dziurę w tyle głowy Ricky'ego i wyrwała jeszcze większą w twarzy, wychodząc. Rozbiła ekran i coś w monitorze wybuchło z głuchym trzaskiem i zaczęło się palić, wydzielając drażniący dym. Krew syczała i krople skakały po odkrytym wnętrzu. Łuska wystrzelonego pocisku odbiła się od szafki z kartotekami i leżała blisko krzesła Ricky'ego. Jej pozycja była prawie zbyt doskonała, więc gość stuknął ją bokiem stopy, posyłając ją w kierunku kosza na śmieci. Na linoleum były ślady jego butów, więc znalazł szmatę w schowku, położył ją na podłodze i użył prawej stopy, żeby wytrzeć te ślady. Kiedy uznał, że wszystko jest czyste, uchylił lekko drzwi i przysłuchiwał się. Dźwięk wystrzału był bardzo głośny, ale mimo to przyczepy po obydwu stronach Demarciana były ciągle ciemne, a gdzie indziej mógł dostrzec poświatę odbiorników telewizyjnych, mógł nawet słyszeć, co nadawały, bo dźwięk był nastawiony tak bardzo głośno. Opuścił przyczepę, zamykając drzwi za sobą i zniknął pod osłoną nocy, zatrzymując się tylko na stacji benzynowej, by zgłosić, że oddano strzał w Tranquility Pines i widać było mignięcie czegoś, co wyglądało jak stary mustang szybko oddalający się z miejsca zdarzenia.

Frank Merrick nie lubił ludzi, którzy mu przeszkadzali, ale miał pewną dozę szacunku dla prywatnego detektywa. Ponadto, zabicie go spowodowałoby dodatkowe problemy, jednak zastrzelenie kogoś innego bronią detektywa mogło go na trochę zająć, a Merrickowi niewiele zaszkodzić.

Bo Merrick wiedział, że jest teraz zupełnie sam. Było mu wszystko jedno. Miał dosyć starego prawnika i jego ostrożnych pytań, poza tym Eldritch, kiedy przyjechał do Portland po aresztowaniu Merricka, wyraźnie dał do zrozumienia, że ich zawodowy kontakt dobiegł końca. Uwagi prywatnego detektywa na temat motywów Eldritch'a i osoby, która zleciła prawnikowi wspomaganie Merricka, tylko pogłębiły jego wątpliwości. Nadszedł czas, by zakończyć tę sprawę. Miał jeszcze coś do załatwienia tutaj, ale potem pojedzie na północny zachód. Powinien tam pojechać już o wiele wcześniej,

ale uważał, że niektóre z odpowiedzi, których szukał, można znaleźć tu, w tym małym miasteczku na wybrzeżu. Teraz nie był już tego tak pewny, a Gilead go wzywał.

Merrick wziął taśmę izolacyjną i przymocował broń detektywa pod fotelem kierowcy. Z przyjemnością trzymał ją w rękach. Dużo czasu upłynęło, od kiedy strzelał z broni, i jeszcze więcej, od kiedy robił to w gniewie. Teraz znowu miał na to ochotę. Był ostrożny i nie nosił broni z sobą, w razie gdyby policjanci przyszli po niego. Nie chciał być znowu uwięziony. Ale nadszedł czas, by działać, a broń detektywa jest bardziej niż stosowna, by wykonać planowaną robotę.

- Już dobrze, kochanie - szepnął Merrick, zostawiając światła stacji benzynowej za sobą i kierując się na wschód. - To długo nie potrwa. Tatuś już jedzie.

Straciłem poczucie czasu. Godziny stawały się minutami, a minuty godzinami. Skóra mnie cały czas swędziała od dotyku worka i wciąż miałem uczucie, że zaraz się uduszę. Szepty napływały z mroku, czasem blisko, a czasem z oddali. Parę razy zaczynałem drzemać, ale taśma na ustach utrudniała oddychanie i w momencie, kiedy zasypiałem, budziłem się natychmiast, oddychając ciężko przez nos, jak koń pełnej krwi po ciężkim biegu, moje tętno przyspieszało, zrywałem głowę z poduszki, gdy z wysiłkiem starałem się wciągnąć więcej tlenu. Dwa razy myślałem, że coś dotknęło mojego karku, zanim się obudziłem, i dotknięcie było tak zimne, że skóra mnie piekła. Kiedy to się zdarzyło, próbowałem zdjąć worek z głowy, ale Merrick dobrze go przymocował. Do czasu, kiedy usłyszałem, jak otwierają i zamykają się drzwi frontowe, a potem nastąpiło ciężkie, rozważne stąpanie po schodach, byłem zupełnie zdezorientowany, ale nawet przy tym zaburzonem postrzeganiu byłem świadomy wycofującej się obecności, odchodzącej ode mnie, kiedy zbliżył się obcy.

Ktoś wszedł do sypialni. Odczułem ciepło ciała blisko siebie i zapachniało Merrickiem. Jego palce rozsuptały taśmę wokół mojej szyi, potem worek został usunięty i w końcu mogłem znowu widzieć. Małe białe słońca eksplodowały w moim polu widzenia tak, że przez chwilę nie rozróżniałem rysów Merricka. Jego twarz była pustą plamą, na której mogłem przykleić każdego demona, jakiego tylko bym chciał, tworząc wizerunek wszystkiego, czego się boję. Potem plamki przed oczami zaczęły znikać i znowu mogłem go wyraźnie widzieć.

Był zmartwiony i nieswój, już nie tak pewny siebie, jak wtedy, kiedy obudziłem się i po raz pierwszy zobaczyłem go przy swoim łóżku, teraz jego spojrzenie błądziło po ciemniejszych kątach pokoju. Zauważyłem, że już nie stawał plecami do drzwi. Zamiast tego, starał się mieć je stale na widoku, jak gdyby nie chciał być zaskoczony atakiem od tyłu.

Merrick wpatrywał się we mnie, ale nic nie mówił. Zamyślony, lewą ręką skubał dolną wargę. Nigdzie nie było widać mojej broni. W końcu powiedział:

- Dzisiaj wieczorem zrobiłem coś, czego, być może, nie powinienem był robić. No, ale jest, jak jest, na dobre, czy na złe. Znudziło mi się czekanie. Nadszedł czas, żeby ich sprowokować. Będziesz miał przez to trochę kłopotu, uprzedzam, ale wygrzebiez się. Powiesz policji, co się tu wydarzyło i policja w końcu ci uwierzy. Przez ten czas wieści się rozejdą i oni się ujawnią.

Potem Merrick zrobił coś dziwnego. Podszedł powoli do jednej z wbudowanych szaf w sypialni, i wtedy zobaczyłem swoją broń wetkniętą u niego za pasek, oparł lewą dłoń o drzwi zbudowane z listewek, a prawą dobył smitha 10. Wyglądało na to, że prawie zerka przez te listewki, jakby był pewny, że ktoś ukrywa się w środku. Kiedy wreszcie otworzył drzwi, zrobił to nieufnie, powoli uchylając je lewą dłonią i używając lufy broni do sprawdzenia przestrzeni między marynarkami, koszulami i kurtkami wiszącymi wewnątrz.

- Na pewno mieszkasz tu sam? - zapytał.

Skinąłem głową.

- Nie czuję, żebyś był sam - powiedział.

Nie było w tym ani cienia groźby, nie dał mi do zrozumienia, że podejrzewa mnie o kłamstwo, wyraził jedynie niepokój wobec czegoś, czego nie rozumiał. Zamknął delikatnie szafę i podszedł z powrotem do łóżka.

- Nic do ciebie nie mam - powiedział. - Teraz mamy wyrównane rachunki. Wierzę, że robisz to, co uważasz za właściwe, ale wszedłeś mi w drogę i nie mogłem na to pozwolić. Co gorsza, myślę, że jesteś człowiekiem, który pozwala, by głos sumienia nie dawał mu spokoju, a sumienie to tylko mucha brzęcząca w głowie. To niewygoda, rozproszenie uwagi. Nie mam na to czasu. Nigdy nie miałem.

Powoli wycelował broń. Wylot lufy przyglądał mi się wściekle, jak puste, niemrugające oko.

- Mógłbym cię teraz zabić. Wiesz o tym. Kosztowałoby mnie to tyle, co splunąć. Ale zamierzam darować ci życie.

Odetchnąłem głośno, nie byłem w stanie opanować uczucia, które graniczyło z wdzięcznością. Nie umrę, nie z ręki tego człowieka, nie dzisiaj. Merrick wiedział, co znaczy ten dźwięk.

- Zgadza się, będziesz żył, ale teraz posłuchaj i nie zapomnij tego: miałem cię na muszce i puściłem cię wolno. Znam takich ludzi jak ty, z sumieniem czy bez. Będziesz teraz kipiał z wściekłości, bo wszedłem do twojego domu, zadałem ci ból, upokorzyłem we własnym łóżku. Będziesz chciał się odegrać, ale ostrzegam, że następnym razem, kiedy będę miał cię na muszce, nawet nie powiem słowa i pociągnę za spust. To wszystko skończy się już niedługo i potem wyjadę. Zostawiam ci dość spraw do przemyślenia. Daj sobie spokój z gniewem. Przyda ci się na inne okazje.

Odłożył broń i jeszcze raz sięgnął do swojej małej torby. Wyjął małą szklaną buteleczkę i żółtą szmatkę, potem odkręcił nakrętkę z buteleczki i nasączył szmatkę jej zawartością. Znałem ten zapach. Nie był zły i prawie byłem w stanie odczuć słodycz płynu. Potrząsnąłem głową, otworzyłem szeroko oczy, gdy Merrick pochylił się nade mną ze szmatką w prawej ręce, zapach chloroformu sprawił, że już zacząłem mieć zawroty głowy. Próbowałem szarpnąć ciałem, uderzyć go nogami, ale się nie udało. Złapał mnie za włosy, unieruchomił głowę i przycisnął mi szmatkę do nosa.

A ostatnie słowa, które od niego usłyszałem, to było:

- Okazuję ci litość, Parker.

Otworzyłem oczy. Światło wlewało się przez zasłony. Igły przeszywały mi czaszkę. Spróbowałem usiąść, ale głowa była za ciężka. Ręce miałem wolne i nie było taśmy na ustach. Czulem krew na wargach, gdzie usuwana taśma zerwała naskórek. Przechyliłem się i sięgnąłem po szklanę z wodą na nocnym stoliku. Widziałem jak przez mgłę i prawie zrzuciłem ją na podłogę. Poczekałem, aż pokój przestanie wirować i

zniknie podwójne widzenie, zanim spróbowałem ponownie. Uchwyciłem niepewnie szklanę i podniosłem ją do ust. Była pełna. Merrick musiał ją napelnić i zostawić w zasięgu ręki. Piłem łapczywie, rozlewając wodę po poduszce, potem leżałem przez chwilę. Zamknąłem oczy i próbowałem opanować nudności. W końcu poczułem się na tyle mocny, żeby przeto-
czyć się w poprzek łóżka, aż spadłem na podłogę. Odczułem chłód desek na twarzy. Poczłogałem się do łazienki i oparłem głowę na sedesie. Po minucie albo dwóch zwymiotowałem, potem znowu zapadłem w zatruty sen.

Obudził mnie dźwięk dzwonka. Światło miało inną barwę. Musiało już być po południu. Stałem, opierając się o ścianę łazienki, dopóki nie byłem pewny, że nogi mnie nie zawiodą, potem chwiejnym krokiem dotarłem do krzesła, na którym zostawiłem ubranie poprzedniego wieczoru. Naciągnąłem dżinsy i T-shirt, narzuciłem też bluzę z kapturem, żeby chronić się przed zimnem i boso zszedłem na dół po schodach do drzwi. Przez szybę widziałem trzy sylwetki osób stojących na zewnątrz i dwa nieznajome samochody na moim podjeździe. Jeden z nich był radiowozem wydziału policji w Scarborough.

Otworzyłem drzwi. Na progu stali Conlough i Frederickson, dwaj oficerowie wydziału dochodzeniowo-śledczego, którzy przesłuchiwali Merricka, oraz trzeci człowiek, którego nazwiska nie znałem, ale pamiętałem jego twarz z przesłuchania Merricka. To był ten facet, który rozmawiał z człowiekiem z FBI, Penderem. Za nimi, Ben Ronson, jeden z policjantów ze Scarborough, opierał się o radiowóz. Zwykle Ben i ja wymienialiśmy parę słów, kiedy mijaliśmy się na drodze, ale teraz jego twarz była zamknięta i bez wyrazu.

- Panie Parker - powiedział Conlough. - Czy możemy wejść? Pamięta pan oficera dochodzeniowego Frederickson? Chcielibyśmy panu zadać parę pytań.

Wskazał na trzeciego człowieka.

- To jest oficer dochodzeniowy Hansen z policji stanowej w Gray. Można powiedzieć, prowadzi sprawę.

Hansen był przystojnym mężczyzną o bardzo czarnych włosach i ciemnym cieniu na policzkach, świadczącym o wieloletnim używaniu taniej, elektrycznej golarki. Jego oczy były

zielononiebieskie, a zrelaksowana, lecz pewna siebie postawa nasuwała skojarzenie z dzikim kotem gotowym do skoku na łatwą zdobycz. Miał na sobie dobrze skrojoną granatową marynarkę. Jego koszula była bardzo biała, a jego ciemnoniebieski krawat miał złote paski.

Cofnąłem się i pozwoliłem im wejść. Zauważyłem, że żadne z nich nie odwróciło się plecami do mnie. Na zewnątrz ręka Ronsona mimochodem skierowała się w stronę broni.

- W kuchni, dobrze? - powiedziałem.

- Jasne - odpowiedział Conlough. - Proszę przodem. Poszli za mną do kuchni. Usiadłem przy stole śniadaniowym.

Normalnie bym nie usiadł, żeby im nie dawać żadnej przewagi, ale ciągle jeszcze czułem się słaby i niepewnie stałem na nogach.

- Nie wygląda pan za dobrze - powiedziała Frederickson.

- Miałem ciężką noc.

- Może nam pan o tym opowiedzieć?

- Mogą panowie najpierw powiedzieć, dlaczego tu są?

Ale i tak wiedziałem. Merrick.

Conlough zajął miejsce po przeciwnej stronie stołu, a inni nadal stali.

- Proszę posłuchać - zaczął - możemy wyjaśnić to wszystko tu i teraz, jeżeli tylko będzie pan szczerzy wobec nas. W przeciwnym razie - spojrzał znacząco w kierunku Hansena - sprawy się skomplikują.

Powinienem być zażądać adwokata, ale to pociągnęłoby za sobą wyjazd do wydziału policji w Scarborough albo może do Gray, czy nawet Augusty. Żądanie adwokata oznaczałoby całe godziny w celi albo w pokoju przesłuchań, a ja nie byłem pewny, czy mam się na tyle dobrze, żeby stawić temu czoło. W końcu będę potrzebował adwokata, ale na razie byłem we własnym domu, przy własnym stole kuchennym i nie miałem zamiaru ruszać się, chyba żeby mnie bezwzględnie zmusili.

- Frank Merrick włamał się do mojego domu wczorajszej nocy - powiedziałem. - Przykuł mnie kajdankami do łóżka - pokazałem im ślady na przegubach - potem mnie zakneblował, zawiązał mi oczy i zabrał moją broń. Nie wiem, na jak

długo tak mnie zostawił. Kiedy wrócił, powiedział, że zrobił coś, czego nie powinien był zrobić, potem uśpił mnie chloroformem. Kiedy doszedłem do siebie, kajdanków i taśmy nie było. Merrick też zniknął. Myślę, że ciągle ma moją broń.

Hansen oparł się o blat kuchenny, ręce miał założone z przodu.

- Co za historia - powiedział.
- Jaką broń zabrał? - spytał Conlough.
- Smith&wesson, 10 milimetrów.
- Jakie naboje?
- Cor-Bon. 1.80 granów.
- Delikatne, jak na dziesiątkę - powiedział Hansen. -

Obawiał się pan, że lufa pęknie?

Pokręciłem głową z niedowierzaniem.

- Żartuje pan, tak? Co to, do diabła, ma teraz za znaczenie?

Hansen wzruszył ramionami.

- Tylko pytam.
- To mit. Zadowolony?

Nie odpowiedział.

- Ma pan pudełko od amunicji do tych pocisków Cor-Bon? - zapytał Conlough.

Wiedziałem, do czego to zmierzało. Domyśliłem się w momencie, kiedy zobaczyłem policjantów na swoim progu i gdybym nie był taki wykończony, podziwiałbym pewnie osobliwą strategię Merricka. Użył broni do zabicia kogoś, ale ją zatrzymał. Gdyby odnaleziono kulę, to można byłoby ją porównać z pudełkiem amunicji, które ja miałem. To odzwierciedlało dokładnie sposób, w jaki on został powiązany z zabójstwem Bartona Riddicka w Wirginii. Testy na zgodność naboju mogły zostać zdyskredytowane, ale tak jak mi zapowiedział, i tak udało mu się wpakować mnie w duże kłopoty. To był taki żarcik Merricka moim kosztem. Nie wiem, jak trafili do mnie tak szybko, ale podejrzewałem, że to też robota Merricka.

- Będę musiał wezwać adwokata - powiedziałem. - Nie odpowiadam na dalsze pytania.

- Ma pan coś do ukrycia? - spytał Hansen. Próbował się

uśmiechnąć, ale to było nieprzyjemne, jak pęknięcie w starym marmurze. - Dlaczego nagle domaga się pan adwokata? Niech pan się odpręży. My sobie tu tylko rozmawiamy.

- Naprawdę? Wybacz pan, ale mnie ta rozmowa nie bardzo odpowiada.

Popatrzyłem na Conlougha. Wzruszył ramionami.

- Ma pan prawo do adwokata - powiedział.

- Jestem aresztowany? - spytałem.

- Jeszcze nie - odparł Hansen. - Ale możemy przyjąć taką możliwość, jak pan chce. Więc: areszt czy rozmowa?

Posłał mi spojrzenie gliny, pełne fałszywego rozbawienia i pewności, że to on kontroluje sytuację.

- Myśmy się chyba wcześniej nie spotkali - zauważyłem. - Jestem pewny, że bym to zapamiętał, po to chociażby, żeby nie powtarzać tej przyjemności.

Conlough kaszlnął, zakrywając usta dłonią i odwrócił twarz do ściany. Wyraz na twarzy Hansena nie zmienił się.

- Jestem nowy - oznajmił Hansen. - Ale pracuję tu już od pewnego czasu, odbywałem służbę w dużych miastach tak jak pan, więc pańska reputacja nic dla mnie nie znaczy. W tej dziurze tutaj pan z pańskimi historiami z wojny i krwią na rękach może robić wrażenie wielkiego faceta, ale ja nie uznaję ludzi, którzy biorą prawo w swoje ręce. Oni świadczą o rysie w systemie, o błędzie w funkcjonowaniu. W pana wypadku mam zamiar naprawić ten błąd. To jest pierwszy krok.

- Nie jest grzecznie okazywać brak szacunku człowiekowi w jego własnym domu.

- Dlatego wszyscy teraz wychodzimy, żebym mógł okazać panu brak szacunku gdzie indziej.

Machnął palcami, polecając mi, że mam wstać. Wszystko w jego postawie wobec mnie wyrażało najwyższą pogardę, i na razie nic nie mogłem zrobić, musiałem się podporządkować. Gdybym w jakiś sposób zareagował, zirytowałbym się, a nie chciałem dać Hansenowi okazji do skucia mnie kajdanami.

Pokiwałem głową i wstałem, potem założyłem stare tenisówki, które zawsze trzymałem przy drzwiach kuchni.

- No to chodźmy - powiedziałem.
- Najpierw niech się pan oprze tam o ścianę - rozkazał Hansen.
- Pan chyba żartuje - prychnąłem.
- Tak, jestem żartownisiem - odpowiedział Hansen. - Tak jak pan. Pan wie, co trzeba zrobić.

Stałem na rozstawionych stopach, z rękami płasko na ścianie, a Hansen mnie sprawdził. Kiedy stwierdził, że nie ukrywam żadnego arsenału broni, dał krok w tył i wyszedłem za nim z domu, a za mną Conlough i Frederickson. Na zewnątrz Ben Ronson już otworzył tylne drzwi radiowozu dla mnie. Usłyszałem szczekanie psa. Walter pędził przez pole oddzielające moją posiadłość od Johnsonów. Bob Johnson był spory kawalek za Walterem, ale mogłem dostrzec wyraz zatroskania na jego twarzy. Kiedy pies zbliżył się jeszcze bardziej, czułem, że policjanci dokoła mnie robią się czujni. Ręka Ronsona znowu powędrowała w kierunku broni.

- W porządku - powiedziałem. - On nic nie robi.

Walter wyczuł, że mężczyźni we frontowym ogródku go nie lubią. Zatrzymał się w przerwie między drzewami górującymi nad ogródkiem od frontu i zaszczekał niepewnie, potem powoli podszedł w moim kierunku, machał delikatnie ogonem, ale uszy położył płasko po sobie. Spojrzałem na Conlougha, a on przyzwalająco skinął głową. Podszedłem do Waltera i pogłaskałem go po głowie.

- Będziesz musiał zostać z Bobem i Shirley na trochę, szczeniaku - powiedziałem.

Przytulił głowę do mojej piersi i zamknął oczy. Bob teraz stał tam, gdzie Walter był minutę wcześniej. Miał na tyle przytomności umysłu, żeby nie pytać, czy wszystko jest w porządku. Złapałem Waltera za obrożę i zaprowadziłem go do Boba, Hansen śledził mnie przez cały czas.

- Zajmiesz się nim na parę godzin?
- Oczywiście - odpowiedział. Był niewysokim, żwawym człowiekiem, jego oczy spoglądały bystro zza okularów. Popatrzyłem w dół na psa i kiedy pogłaskałem go jeszcze raz, cicho poprosiłem Boba, żeby zadzwonił do zajazdu Black Point.

Dałem mu numer pokoju, w którym zatrzymali się Angel i Louis, i poprosiłem, by im powiedział, że facet o nazwisku Merrick złożył mi wizytę.

- Jasne. Czy mogę jeszcze coś dla ciebie zrobić?

Popatrzyłem na policjantów.

- Wiesz, Bob, chyba nic.

Powiedziawszy to, wsiadłem na tylne siedzenie do biało-czarnego wozu i Ronson zawiózł mnie do wydziału policji w Scarborough.

Trzymali mnie w pokoju przesłuchań komendy głównej policji w Scarborough, kiedy czekaliśmy na przyjazd Aimee Price i znowu czułem się tak, jakbym szedł po śladach Merricka. Hansen chciał mnie zabrać do Gray, ale Wallace MacArthur wszedł, gdy usłyszał, że mnie przesłuchują i wstawił się za mną. Słyszałem przez drzwi, jak ręczył za mnie, nalegając, by Hansen powstrzymał się na razie z informowaniem o sprawie wyższych szczebli. Byłem mu niewypowiedzianie wdzięczny nie tyle za uratowanie mnie od nieprzyjemnej podróży do Gray z Hansenem, ile za to, że wspierał mnie, choć sam musiał mieć wątpliwości.

Nic się nie zmieniło w pokoju przesłuchań od czasu, kiedy Merrick zajmował to miejsce. Nawet dziecinne bazgroły na białej tablicy były te same. Nie miałem kajdanek i Conlough dał mi filiżankę kawy i suchego pączka. Głowa ciągle mnie bolała, ale stopniowo docierało do mnie, że prawdopodobnie powiedziałem w domu za dużo. Ciągle jeszcze nie wiedziałem, co Merrick zrobił, ale byłem prawie pewny, że w rezultacie ktoś nie żył. Tymczasem ja się przyznałem, że moja broń została użyta do dokonania zbrodni. Jeżeli Hansen postanowi grać twardziela i oskarży mnie, mogę się znaleźć za kratami z nikłą nadzieją na zdobycie pieniędzy na kaucję. W najlepszym razie może mnie tu zatrzymać na parę dni, pozwalając Merrickowi siał zniszczenie za pomocą smitha 10.

Po godzinie, którą spędziłem sam na sam ze swoimi myślami, otworzyły się drzwi pokoju przesłuchań i wpuszczono Aimee Price. Miała na sobie czarną spódnicę, czarny żakiet i białą bluzkę. Jej błyszcząca teczka była zrobiona z kosztownej

skóry. Wyglądała bardzo profesjonalnie. A ja, przez kontrast, wyglądałem okropnie, i nie omieszkała mi o tym powiedzieć.

- Czy mniej więcej wie pani, o co chodzi? - spytałem.
- Wiem tylko tyle, że prowadzą śledztwo w sprawie zabójstwa. Jedna ofiara. Mężczyzna. Sądzę chyba, że będzie pan mógł im pomóc w wyjaśnieniu paru szczegółów.
- Na przykład, jak go zastrzeliłem.
- Założę się, że jest pan zadowolony, że zachował pan mój bilet wizytowy - powiedziała.
- Myślę, że przyniósł mi pecha.
- Powie mi pan, jak wielkiego?

Przerobiłem z nią wszystko jeszcze raz, od pojawienia się Merricka u mnie w domu do tego, jak Ronson załadował mnie na tylne siedzenie radiowozu. Niczego nie pominąłem, z wyjątkiem głosów. Tego Aimee nie musiała wiedzieć.

- Aż tak pan jest tępy? - powiedziała, kiedy skończyłem. - Nawet dzieci wiedzą, że nie należy odpowiadać na pytania policjanta bez adwokata.

- Byłem zmęczony. Głowa mnie bolała.

Zdałem sobie sprawę z tego, jak żałośnie to zabrzmiało.

- Głuptas z pana. Proszę nie mówić więcej ani słowa bez mojej zgody.

Podeszła do drzwi i zapukała, dając znak, że policjanci mogą wejść. Wszedł Conlough, Hansen za nim. Zajęli miejsca naprzeciwko nas. Zastanawiałem się, ile osób tłoczy się przy monitorze komputera na zewnątrz, słuchając pytań i odpowiedzi, które były przekazywane z pokoju, obserwując gesty i wyraz twarzy rozmawiających.

Aimee podniosła rękę.

- Najpierw musicie nam powiedzieć, o co chodzi - oświadczyła.

Conlough popatrzył na Hansena.

- Niejaki Ricky Demarcian zmarł zeszłej nocy. Dostał strzał w głowę na parkingu dla przyczep Tranquility Pines. Mamy świadka, który twierdzi, że mustang odpowiadający opisowi tego, którego właścicielem jest pani klient, opuszczał miejsce zdarzenia. Świadek podał nam nawet numer rejestracyjny.

Mogłem sobie wyobrazić, co się działo w Tranquility Pines, podczas gdy my rozmawialiśmy tutaj. Grupa operacyjna ze stanowego wydziału kryminalnego na pewno tam jest, jak też lokalny technik operacyjny ze Scarborough, którego biała furgonetka zyskała osobisty charakter przez umieszczenie powiększeń odcisków jego kciuków na tylnych drzwiach. Jest uznawany za jednego z najlepszych techników operacyjnych w całym stanie, nieznośnie skrupulatny facet, i nie do pomyslenia byłoby, żeby policja stanowa próbowała zniechęcić go do wykonywania obowiązków. Biało-czerwony punkt ruchomego dowodzenia, działający we współpracy ze strażą ogniową, jest także na miejscu. Podobnie jak widzowie, gapie, potencjalni świadkowie, którzy zostaną przesłuchani, samochody ciężarowe przedstawiciele różnych miejscowych sieci, cały cyrk zlatujący się do jednej małej przyczepy na żalonym parkingu. Zrobią odlewy śladów na miejscu przestępstwa z nadzieją dopasowania ich do biegnikowania na oponach mojego mustanga. Nie znajdą żadnego potwierdzenia śladów, ale to nie będzie miało znaczenia. Mogą dowodzić, że samochód był zaparkowany na drodze, daleko od drogi ziemnej. To, że brak będzie powiązania z moim samochodem, nie dowiedzie mojej niewinności. Tymczasem Hansen pewnie uruchomił już procedury konieczne do uzyskania nakazu na przeszukanie mojego domu i garażu, jeżeli już wcześniej nie miał takiego. Będzie chciał mieć dostęp do mojego samochodu i broni. W wypadku nieznaalezienia tej ostatniej, zadowolili się pudełkiem po nabojach Cor-Bon.

- Świadek? - powiedziała Aimee. - Doprawdy?

Wypowiedziała to słowo w sposób, który sugerował, że jest to tak wiarygodne, jak plotka, że Wróżka od Ząbków została przyskrzyniona z workiem mleczaków.

- Kto jest tym świadkiem?

Hansen nawet nie drgnął, ale Conlough ledwie dostrzegalnie poruszył się w krześle. Nie ma świadka. Informacja była anonimowa, więc pochodziła od Merricka. Jednak to nie wyjaśniało mojej sytuacji. Wiedziałem z ich pytań o amunicję, że Merrick użył mojej broni, żeby zabić Demarciana, i że

prawdopodobnie zostawił dowody na miejscu zbrodni. Czy to była tylko kula, czy łuska, czy zostawił też broń? Jeżeli ją zostawił, to wszędzie będą na niej moje odciski, nie jego.

Zapowiedział przecież, że narobi mi trochę kłopotów, żeby mieć pewność, że jestem zajęty i nie myślę o nim.

- Nie możemy w tej chwili powiedzieć - odparł Hansen. - No i bardzo nie chciałbym, żeby to zabrzmiało jak w marnym filmie, ale to my zadajemy pytania.

Aimee wzruszyła ramionami.

- Proszę zadawać. Najpierw jednak chciałabym, by panowie wezwali tutaj lekarza. Chcę, by sfotografowane zostały stłuczenia na boku mojego klienta. Zobaczą panowie, że wiadać tam ślady jak od uderzenia pięścią. Lekarz będzie w stanie określić, kiedy one powstały. Klient mój również ostatnio stracił skórę z warg w wyniku usuwania taśmy z jego twarzy. Chcemy, żeby te okaleczenia również zostały sfotografowane. Chciałabym także zlecić pobranie próbek krwi i moczu do analizy, by potwierdzić obecność ponadnormatywnych poziomów trójchlorometanu we krwi mojego klienta.

Wystrzeliła te żądania jak pociski. Na Conlougha padł cały ich impet.

- Trójchło-co? - zapytał, prosząc Hansena spojrzeniem o pomoc.

- Chloroform - wyjaśnił chłodno Hansen. - Mogła pani powiedzieć po prostu chloroform - zwrócił uwagę Aimee.

- Mogłam, ale to nie brzmiałoby nawet w połowie tak imponująco. Poczekamy na lekarza, a potem panowie mogą zacząć zadawać swoje pytania.

Dwaj oficerowie śledczy wyszli, nie mówiąc nic więcej. Po-tem, gdy minęła jeszcze jedna godzina, w czasie której Aimee i ja siedzieliśmy w milczeniu, przybył lekarz z centrum zdrowia Maine w Scarborough. Eskortował mnie do męskiej toalety, gdzie dałem próbkę moczu, i pobrał mi krew z ręki. Kiedy skończył, zbadał stłuczenie na moim boku. Aimee weszła z cyfrowym aparatem i zrobiła zdjęcia stłuczeń i pęknięć na moich wargach. Kiedy skończyła, zostaliśmy odprowadzeni do pokoju przesłuchań, gdzie Conlough i Hansen już na nas czekali.

Przerobiliśmy ponownie większość wcześniejszych pytań. Za każdym razem czekałem, zanim otworzyłem usta, aż Aimee da znak, że można bezpiecznie odpowiadać. Jednak kiedy doszli do sprawy amunicji, podniosła do góry swoje pióro.

- Mój klient już panom powiedział, że pan Merrick ukradł jego broń.

- Chcemy być pewni, że amunicja się zgadza - powiedział Hansen,

- Naprawdę? - zapytała Aimee, i znowu dał się słyszeć ten ton, osłodzony sceptycyzm, jak kawałek cytryny w cukrze pudrze. - Dlaczego?

Hansen nie odpowiedział. Nie odezwał się też Conlough.

- Panowie nie mają broni, prawda? - ciągnęła Aimee. - I nie mają też panowie świadka. Domyślam się, że macie tylko łuskę i być może samą kulę. Czy mam rację?

Hansen próbował spieszyć ją wzrokiem, ale w końcu zrezygnował. Conlough gapił się na swoje paznokcie.

- Czy mam rację? - spytała ponownie Aimee.

Hansen pokiwał głową. Wyglądał jak skarcony uczeń.

Jak się domyślałem, Merrick bardzo zreżymnie to sobie wykombinował. Zostawił ten sam rodzaj dowodu na miejscu zbrodni, który omal nie został użyty w jego skazaniu. Żaden sąd nie skazałby obecnie na takiej podstawie, ale Merrickowi i tak udało się zmacić wodę.

- Możemy dostać nakaz - powiedział Hansen.

- Proszę bardzo - odrzekła Aimee.

- Nie.

Aimee popatrzyła na mnie ostro. Hansen i Conlough spojrzeli na mnie.

- Nakaz nie będzie potrzebny.

- Co pan... - zaczęła Aimee, ale jej przerwałem, kładąc rękę na ramieniu.

- Oddam amunicję. Róbcie sobie test na zgodność. On zabrał moją broń i użył jej do zabicia Demarciana, potem zostawił łuskę i zadzwonił po to, żebyście przyszli i zapukali do moich drzwi. To taki jego żarcik. Merricka czekał proces o zabójstwo w Wirginii na podstawie właśnie takiego testu na

zgodność i niczego więcej, ale sprawa upadła, kiedy FBI zaczęło wpadać w panikę z powodu wątpliwości na temat wiarygodności testów. Nawet bez tego, tamta sprawa by się nie utrzymała. Merrick zrobił to, żeby ściągnąć na mnie kłopoty, to wszystko.

- I dlaczego miałyby to zrobić? - zapytał Conlough.

- Pan zna odpowiedź. Przesłuchiwał go pan w tym pokoju. Jego córka zaginęła, kiedy on był w więzieniu. Chce się dowiedzieć, co się z nią stało. Uważał, że mu przeszkadzam.

- Dlaczego pana po prostu nie zabił? - zapytał Hansen. Z jego tonu wynikało, że wybaczyłyby to Merrickowi.

- To nie byłoby w porządku, nie w jego pojęciu. On przestrzega zasad, pewnego rodzaju.

- Nie na tyle, żeby go to powstrzymało od wpakowania kuli w głowę Ricky'ego Demarciana, zakładając, że pan mówi prawdę - powiedział Hansen.

- Dlaczego miałbym chcieć zabić Demarciana? - zapytałem. - Nigdy o nim nie słyszałem, aż do dziś rano.

Conlough i Hansen wymienili spojrzenia. Po paru sekundach, Hansen wypuścił głębokie westchnienie i zrobił prawą ręką gest „no, dobra”. Zaczynał wyglądać, jakby miał zrezygnować. Jego wcześniejsza pewność zniknęła. Stłuczenia i analizy potwierdzające obecność chloroformu go zirytowały. I myślę, że tak w głębi duszy wiedział, że mówię prawdę. Nie chciał w nią jednak wierzyć. Zamknięcie mnie sprawiłoby mu na pewno przyjemność. Stanowiłem obrazę dla jego poczucia porządku. Jednak bez względu na to, jak mnie nie znosił, nie chciał manipulować dowodami i ryzykować, że oskarżenie rozsypałoby się w proch już na rozprawie wstępnej.

- Przyczepa Demarciana była po sufit wyładowana sprzętem komputerowym - powiedział Conlough.

- Uważamy, że miał kontakty z przestępczością zorganizowaną z Bostonu. Wygląda na to, że zajmował się stronami internetowymi agencji towarzyskich.

- Dla Włochów?

Conlough potrząsnął głową.

- Dla Rosjan.

- Niedobrzy ludzie.
- No. Dotarło do nas też, że nie były to tylko dorosłe osoby do towarzystwa.

- Dzieciaki?

Conlough znowu popatrzył na Hansena, ale Hansen ukrył się za demonstracyjnym milczeniem.

- Jak mówiłem, były to tylko pogłoski, brakowało dowodów. Bez dowodów nie mogliśmy uzyskać nakazu. Pracowaliśmy nad tym, próbowaliśmy znaleźć dojście do Demarciana, ale szło powoli.

- Wygląda na to, że wasz problem się rozwiązał - zauważyłem.

- Jest pan pewny, że nigdy nie słyszał o Demarcianie? - zapytał Hansen. - To jeden z tych facetów, którym pan bez wahania strzeliłby w głowę.

- Co pan chce przez to powiedzieć? - zapytałem.

- Nie byłyby to pierwszy raz, kiedy pańska broń podziurawiłaby kogoś. Mógł pan po prostu uważać, że Demarcian na to zasługuje.

Poczułem, jak dłoń Aimee delikatnie dotyka mojej nogi pod stołem, ostrzegając mnie, żebym się nie dał Hansenowi wprowadzić z równowagi.

- Chce mnie pan o coś oskarżyć, to proszę bardzo - powiedziałem.

Zwróciłem się z powrotem do Conlougha.

- Czy rana postrzałowa była jedynym urazem u Demarciana?

Conlough nie odpowiedział. Nie mógł, jak przypuszczałem, ujawnić nawet najmniejszego dowodu, jaki mogli mieć przeciwko mnie. Drażyłem dalej.

- Jeżeli Merrick najpierw go torturował, to być może Demarcian powiedział mu coś ważnego, zanim zmarł.

- A co Demarcian mógł wiedzieć? - zapytał Conlough.

Zmienił się ton przesłuchania. Conlough mógł od początku nie być przekonany o moim udziale, ale teraz przesłuchanie zmieniło się w wymianę myśli. Niestety, Hansenowi wcale się nie podobał ten nowy kierunek. Wymamrotał coś, co brzmiało jak „bzdura”. Pomimo że Hansen rzekomo nadzorował

przesłuchanie, Conlough posłał mu ostrzegawcze spojrzenie, Hansen jednak nie miał zamiaru tak łatwo mi odpuścić, chyba żeby nie miał wyjścia. Spróbował jeszcze raz.

- Bzdury - powtórzył. - To pańska broń. Pański samochód odjeżdżający z miejsca zdarzenia widział świadek. To pański palec...

- Chwileczkę! - przerwał mu Conlough. Wstał i podszedł do drzwi, dając znak Hansenowi, żeby poszedł za nim. Hansen odtrącił swoje krzesło i poszedł. Drzwi zamknęły się za nimi.

- Nie przepada za tobą? - spytała Aimee.

- Poznałem go dopiero dzisiaj. Stanowi policjanci z zasady nie przepadają za mną, ale on jest śmiertelnie uprzedzony.

- Może będę musiała podwyższyć honorarium. Wygląda na to, że nikt pana nie lubi.

- Ryzyko zawodowe. Jak nam idzie?

- Chyba dobrze, poza tym, że nie potrafi pan siedzieć cicho. Przyjmijmy, że Merrick użył pańskiej broni, żeby zabić Demarciana. Przyjmijmy też, że to on zatelefonował i powiadził o pańskim samochodzie. Wszystko, co mają, to dowody balistyczne i żadnego bezpośredniego związku sprawy z panem poza pudełkiem amunicji. To nie wystarczy, by pana oskarżyć o cokolwiek, chyba że zdobędą dowód na balistyczną zgodność albo odcisk z łuski. Ale nawet wtedy nie wyobrażam sobie, żeby biuro prokuratora generalnego chciało prowadzić dalej tę sprawę, chyba że policjanci dostarczą więcej dowodów łączących pana z miejscem przestępstwa. Nie będą mieli kłopotu z uzyskaniem nakazu na przeszukanie pańskiego mieszkania, żeby znaleźć pudełko amunicji, więc być może miał pan rację, przekazując im to pudełko. Jeżeli sprawy przyjmą zły obrót, to może nam pomóc w oczach sędziego, że współpracował pan od początku. Jeżeli jednak mają broń, możemy znaleźć się w prawdziwych opałach.

- Dlaczego miałbym zostawić broń na miejscu przestępstwa?

- Pan wie, że oni nie przyjmą tego toku rozumowania. Jeżeli by to miało wystarczyć do zatrzymania pana, to tego użyją. Poczekamy i zobaczymy. Jeżeli mają broń, niedługo nam o tym powiedzą. Jednak ja uważam, sądząc z pana kontaktu z Conloughem przy stole, że broń jest u Merricka.

Postukała piórem w stół.

- Conlough też nie lubi Hansena.

- Conlough jest w porządku, ale nie uważam, żeby był przekonany, że nie mógłbym zabić kogoś takiego jak Demarcian. On myśli tylko, że lepiej bym się postarał zatrzeć ślady, gdybym go zabił.

- I może poczekałby pan, aż tamten chwyci za broń - dodała Aimee. - Boże, to jest jak Dziki Zachód.

Minęło dziesięć minut. Piętnaście. Dwadzieścia. Trzydzieści. Aimee popatrzyła na zegarek.

- Co do licha oni tam robią?

Już miała wstać i iść się dowiedzieć, co się dzieje, kiedy usłyszałem szczególnie, ale znajomy dźwięk. Było to szczekanie psa. Bardzo podobne do Waltera.

- To chyba mój pies - powiedziałem.

- Przeprowadzili tu pańskiego psa? Jako świadka?

Drzwi do pokoju przesłuchań otworzyły się i wszedł Conlough. Jego twarz wyrażała prawie ulgę.

- Ma pan wreszcie święty spokój - powiedział. - Trzeba tylko, żeby pan podpisał oświadczenie i jest pan wolny.

Aimee próbowała ukryć zaskoczenie, ale jej się nie udało. Wyszliśmy za Conloughem z pokoju przesłuchań. Bob i Shirley Johnsonowie byli przy recepcji. Bob stał i trzymał Waltera na smyczy, Shirley siedziała na twardym plastikowym krześle, jej balkonik na kółkach stał obok niej.

- Starsza pani nie sypia za dobrze - powiedział Conlough.

- Lubi siedzieć przy oknie, kiedy stawy ją bolą. Widziała tego pańskiego faceta, jak wychodził z domu o trzeciej nad ranem i wrócił o piątej. Zeznała pod przysięgą, że pański samochód wcale nie opuszczał garażu, a pan nie wychodził z domu. Ten przedział czasowy od trzeciej do piątej odpowiada czasowi śmierci Demarciana. - Uśmiechnął się ponuro. - Hansen jest wściekły. On chciał pana dostać za to strzelanie. - Potem uśmiech znikł. - Nie muszę panu przypominać, ale i tak to zrobię. Merrick ma pańską broń. Użył jej, żeby zabić Demarciana. Na pana miejscu poszukałbym go i odzyskał ją, zanim jej znowu użyje. Tymczasem powinien pan nauczyć się lepiej dbać o swoją własność.

Odwrócił się na pięcie. Podszedłem do Johnsonów, żeby im podziękować. Jak było do przewidzenia, Walter zupełnie oszalał. Chwilę później moje oświadczenie zostało podpisane i pozwolono mi wyjść. Aimee Price zawiozła mnie do domu. Johnsonowie pojechali naprzód z Walterem, głównie dlatego, że Aimee nie chciała mieć psa w samochodzie.

- Są jakieś wiadomości o przeniesieniu Andy'ego Kello-ga? - zapytałem.

- Staram się o przesłuchanie w ciągu dwóch najbliższych dni.

- Czy zapytała go pani o tatuaż?

- Powiedział, że nie było dat, żadnych cyfr. Tylko głowa orła.

Zakląłem cicho. To znaczy, że kontakt Ronalda Straydeera okaże się nieprzydatny. Jeszcze jedna linia dochodzenia utknęła w martwym punkcie.

- Co u Andy'ego?

- Dochodzi do siebie. Jego nos jeszcze źle wygląda.

- A jego stan psychiczny?

- Mówił o panu i o Merricku.

- Coś ciekawego?

- Myśli, że Merrick ma zamiar pana zabić.

- No, niewiele się pomylił, ale Merrick już miał taką okazję. Nie skorzystał z niej.

- Co nie znaczy, że nie spróbuje znowu. Nie rozumiem, dlaczego on tak bardzo chce się pana pozbyć?

- Jest mścicielem. Nie chce, żeby go ktoś pozbawił szansy wymierzenia kary.

- Myśli, że jego córka nie żyje?

- Tak. Nie chce przyznać się do tego, ale wie, że to prawda.

- Czy pan myśli, że ona nie żyje?

- Tak.

- Co ma pan zamiar teraz zrobić?

- Muszę odwiedzić jeszcze jednego prawnika, potem jadę do Jackman.

- Dwóch prawników w jeden dzień. Pan się starzeje.

- Przeszedłem swoje, nic mi nie będzie.

Prychnęła, ale nie odpowiedziała.

- Dziękuję, że pani mnie tu odwiozła - powiedziałem. - Doceniam to.

- Wystawię panu rachunek. To nie była działalność charytatywna.

Zatrzymaliśmy się przed moim domem. Wsiadłem z samochodu i podziękowałem Aimee jeszcze raz.

- Proszę tylko zapamiętać - odezwała się na pożegnanie. - Jestem prawnikiem, a nie lekarzem. Jeżeli znowu pan się uwikła w coś z Merrickiem, to moje usługi nie na wiele się panu przydadzą.

- Jeżeli znowu uwikłam się w coś z Merrickiem, to jeden z nas nie będzie potrzebował ani lekarza, ani adwokata. Nie pomoże mu ani jeden, ani drugi.

Pokręciła głową.

- No, proszę, znowu to pańskie podejście jak na Dzikim Zachodzie. Niech pan dba o siebie. Nie widzę nikogo innego, kto by to chciał robić.

Odjechała, a ja poszedłem do Johnsonów i wypilem z nimi filiżankę kawy. Walter będzie musiał zostać z nimi jeszcze przez kilka dni. Nie robiło im to różnicy. Walter też się zgodził. Karmili go lepiej niż ja. Co tam, jadł lepiej ode mnie. Potem poszedłem do domu, wziąłem prysznic, żeby zmyć z siebie zapach i atmosferę pokoju przesłuchań. Włożyłem marynarkę i koszulę. Conlough miał rację. Musiałem znaleźć Merricka, zanim ponownie użyje mojej broni. I wiedziałem, gdzie zacznę. Na Commonwealth był prawnik, który będzie musiał odpowiedzieć na parę pytań. Unikałem spotkania z nim aż do teraz, ale już dłużej nie mogłem tego odkładać. Kiedy się ubierałem, myślałem o tym, dlaczego tak zwlekałem przed ponowną rozmową z Eldritchem. Częściowo dlatego, że byłem przekonany, iż on niewiele zechce pomóc, chyba że stawki pójdą w górę, a Merrick, zabijając Demarciana, spowodował to niewątpliwie. Ale wiedziałem również, że jest jeszcze inna przyczyna mej niechęci: jego klient. Wbrew rozsądkowi i w niezgodzie ze wszystkimi swoimi najsilniejszymi przeczuciami, czułem się nieodwołalnie wciągany w orbitę spraw Egzekutora.

IV

W ciemną noc
Z rezygnacją idę,
Nie obawiam się tak ciemnej nocy
Jak przyjaciół, których nie znam,
Nie boję się nocy nade mną,
Tak, jak się boję przyjaciół pode mną.

Stevie Smith, *Dirge*

26

Telefonując do Louisa, wsunąłem szybką ładowarkę od trzydziestkiósemki do kieszeni marynarki. Louis odpowiedział po drugim dzwonku. Louis z Angelem dotarli do domu Egzekutora w ciągu godziny od telefonu Boba Johnsona do zajazdu, a potem zostawili mi wiadomość na komórce, że są według słów Angela „na wsi”.

- Wypuścili cię jednak z pudła - powiedział Louis.

- Tak, wielkie widowisko. Wybuchy, strzelanina, wszystko. Powinniście byli tam być.

- Wszędzie byłoby lepiej niż tutaj.

Zabrzmiało to zgryźliwie. Długotrwałe przebywanie z partnerem w zamkniętym pomieszczeniu zwykle tak go nastrajało. Przypuszczam, że ich życie domowe to coś fascynującego.

- Teraz tak mówisz. Jestem pewny, że zanim się to skończy, spojrzysz łaskawszym okiem na ten czas spędzony w samochodzie. Znaleźliście coś?

- Nic nie mamy, bo tu nie można niczego znaleźć. Dom jest pusty. Sprawdziliśmy, zanim zaczęliśmy odmrażać tu sobie tyłki. Nic się nie zmieniło od wtedy. A my ciągle odmrażamy sobie tyłki. Wszystko wygląda tak samo, oprócz szafy w piwnicy, która jest pusta. Wygląda na to, że dziwak zabrał swoją kolekcję.

Egzekutor wiedział, że ktoś był w jego domu; w sobie tylko wiadomy sposób odkrył wtargnięcie i naruszenie swej własności.

- Zostawcie to - powiedziałem. - Jeżeli Merrick nie pojawił się tam do teraz, to już nie przyjedzie.

Od początku ten pomysł miał małe szanse powodzenia. Merrick wiedział, że ten dom to pierwsze miejsce, gdzie go będziemy szukać. Dlatego przyczaił się gdzie indziej. Powiedziałem Louisowi, żeby Angel go wysadził w Auguście, potem żeby wynajął samochód i wrócił do Scarborough. Angel miał pojechać na północ do Jackman, zobaczyć, co tam mógłby znaleźć, jak również rozglądać się nadal za Merrickiem, bo byłem pewny, że Merrick w końcu pojedzie do Jackman i Gilead.

- Dlaczego on ma jechać do Jackman, a ja mam przyjechać do ciebie? - spytał Louis.

- Wiesz, co się dzieje, jak kawałek węgla spadnie na śnieg?

- No, wiem.

- Dlatego nie jedziesz do Jackman.

- Jesteś ukrytym rasistą, człowieku.

- Wiesz, czasem prawie zupełnie zapominam, że jesteś czarny.

- Tak? No, ja nigdy nie zapominam, że jesteś biały. Widziałem, jak tańczysz.

Powiedziawszy to, rozłączył się.

Następnie zadzwoniłem do Rebecki Clay, której powiedziałem, że Merrick z całą pewnością zerwał się ze smyczy. Nie przyjęła dobrze tej wiadomości, ale wyraziła zgodę, żeby Jackie Garner ochraniał ją znowu, mając braci Fulcis do towarzystwa. Nawet gdyby się nie zgodziła, w końcu wymusiłbym to na niej.

Parę chwil po tym, jak skończyłem rozmawiać z Rebeccą Clay, odebrałem zaskakujący telefon. Na linii był Joel Harmon: nie jego sekretarka, nie Todd, kierowca, który potrafił trzymać broń, ale sam wielki Harmon.

- Ktoś włamał się do mojego domu dziś nad ranem - powiedział. - Byłem wczoraj wieczorem w Bangor, więc zdarzyło się to pod moją nieobecność. Todd odkrył wybite okno dziś rano.

- Dlaczego pan mi to mówi, panie Harmon?

Nie byłem na liście płac Joela Harmona i wciąż bolała mnie głowa od chloroformu.

- Przetrząsnięto moje biuro. Próbuję się zorientować, czy coś zabrano. Zainteresuje pana, jak sądzę fakt, że jeden z obrazów Daniela Clay'a został zdewastowany. Niczego innego

nie zniszczono w podobny sposób ani nie tknięto żadnego z innych obrazów, tylko krajobraz z Gilead został rozdarty.

- Nie ma pan systemu alarmowego?
- Jest połączony z telefonem. Linia została przecięta.
- I nikogo nie było w domu?
- Tylko moja żona. - Tu nastąpiła pauza. - Ona przespała całą sprawę.

- To musiał być bardzo mocny sen, panie Harmon.
- Niech pan nie zgrywa takiego mądrali. Widział ją pan.

Nie muszę panu mówić, że była nafaszerowana lekami po dziurki w nosie. Przespałaby koniec świata.

- Czy są jakieś przypuszczenia, co do sprawy?
- Pan mówi jak jakiś pieprzony adwokat, wie pan?

Prawie było słyhać, jak ślina lądowała na słuchawce.

- Oczywiście, że mam pieprzone przypuszczenie! On odłączył alarm, niszcząc linię telefoniczną, ale jedna z kamer ochrony na terenie złapała go. Policjanci ze Scarborough przyjechali tu i zidentyfikowali go jako Franka Merricka. To ten sam facet, który niepokoił Rebeccę Clay, prawda? Teraz się dowiaduję, że to on mógł odstrzelić głowę jakiemuś dewiantowi na parkingu przyczep w tę samą noc, kiedy włamał się do domu, gdzie spała moja żona. Czego on, do diabła, chce ode mnie?

- Był pan przyjacielem Daniela Claya. Chce go znaleźć. Może myśli, że pan wie, gdzie on jest?

- Gdybym wiedział, gdzie on jest, już bym dawno powiadził policji. Jak on mnie znalazł?

- Dowiedziałem się o panu i Clayu bez problemu. Merrick też mógł.

- Tak? No to dlaczego w ten wieczór, kiedy pan mnie odwiedził, widziano samochód Merricka koło mojego domu? Wie pan, co ja myślę, pieprzony mądralo? Myślę, że on pana śledził. Pan go doprowadził do moich drzwi. Pan naraził moją rodzinę i to dla człowieka, który dawno nie żyje. Co za kutas z pana!

Wyłączyłem się. Harmon mógł mieć rację, ale ja nie chciałem tego słuchać. Miałem dość swoich spraw i za dużo na głowie, żeby martwić się z powodu jego obrazu albo jego

gniewu. Przynajmniej zniszczenie płótna potwierdziło moje podejrzenie, że Gilead było ostatecznym celem Merricka. Czuję się, jakbym spędził cały tydzień, brodząc w błocie i z żalem myślałem o dniu, kiedy Rebecca Clay zadzwoniła do mnie. Teraz już nie byłem nawet pewny, czego szukałem. Rebecca wynajęła mnie, żeby się pozbyć Merricka, a zamiast tego on włóczył się, szalejąc. Ricky Demarcian nie żył i użycie mojej broni czyniło mnie współwinnym jego zabójstwa. Według policji, Demarcian był zamieszany w rozpowszechnianie pornografii dziecięcej i może nawet dostarczanie kobiet i dzieci do klientów. Ktoś go sypnął Merrickowi, który mógł go zabić po prostu w przyпадку furii, znajdując w zastrzeleniu Demarciana dogodnie ujęcie dla własnego gniewu wobec ludzi odpowiedzialnych za to, co stało się z jego córką, albo może dowiedział się czegoś od Demarciana, zanim ten zmarł. Jeżeli tak było, to Demarcian też stanowił część układanki, był powiązany z Clayem i Gilead, i przestępcami z twarzami ptaków, ale mężczyzna z tatuażem orła, jedyny konkretny ślad pozwalający zidentyfikować tych, którzy molestowali Andy'ego Kelloga i, być może, Lucy Merrick, pozostawał nieuchwytny. Nie mogłem rozmawiać z innymi ofiarami, bo były chronione przez formalne zobowiązanie o poufności danych osobowych albo przez prosty fakt, że nikt nie wiedział, kim one były. I nic mnie nie przybliżyło do odkrycia prawdy o zniknięciu Daniela Claya, ani o zakresie jego zaangażowania w wykorzystywanie jego pacjentów, chociaż akurat o to i tak nikt mnie nie prosił. Nigdy nie czułem się bardziej sfrustrowany, nie wiedziałem, co dalej mam robić.

Dlatego postanowiłem włożyć głowę w paszczę lwa. Zatelefonowałem i powiedziałem pewnej kobiecie, że mam zamiar spotkać się z jej szefem. Ona nie odpowiedziała, ale to było bez znaczenia. Egzekutor i tak wnet się dowie.

Kancelaria Eldritch i Spółka nadal tonęła w starych papierach i brak było współników, kiedy tam dotarłem. Brak było również Eldritcha.

- Nie ma go - oznajmiła sekretarka. Jej fryzura była ciągle ogromna i czarna, ale tym razem miała na sobie ciemnoniebieską bluzkę z białym falbaniastym kołnierzem. Na jej

szyi dyndał nadzwyczajnie duży srebrny krzyż na łańcuszku. Wyglądała jak tandetny duchowny specjalizujący się w słu-
bach lesbijek.

- Gdyby pan się tak szybko nie rozłączył, powiedziałabym panu, że zmarnuje pan czas, przyjeżdżając tutaj.

- Kiedy spodziewa się pani jego powrotu?

- Jak wróci. Jestem jego sekretarką, a nie stróżem.

Włożyła arkusz papieru do starej elektrycznej maszyny i zaczęła pisać list. Papieros ani drgnął w kąciku jej ust. Do perfekcji doprowadziła sztukę palenia go bez dotykania ręką, ale czasem musiała to zrobić, żeby długi, zwisający słupek popiołu nie wysłał jej z piekła płonącego papieru na spotkanie ze stwórcą, zakładając, że stwórca był gotowy przyznać się do niej i ją wezwać.

- Może mogłaby pani zadzwonić do niego i zawiadomić, że tu jestem - zasugerowałem po paru minutach nieprzyjaznej ciszy.

- Nie używa telefonu komórkowego. Nie lubi ich. Mówi, że powodują raka. - Popatrzyła na mnie spod przymrużonych powiek. - Pan używa komórkowego telefonu?

- Tak.

- To dobrze.

Wróciła do pisania.

Rozejrzałem się po inkrustowanych nikotyną ścianach i suficie.

- Bezpieczne miejsce pracy jest szczęśliwym miejscem pracy - zauważyłem. - Mogę tu czekać.

- Nie, tu pan nie może. Zamykamy na lunch.

- Trochę późno na lunch.

- Było dziś dużo pracy.

Skończyła pisanie, potem starannie wyjęła list z maszyny. Następnie dołożyła go do stosu podobnych dokumentów w drucianym koszyku, które nie wyglądały na to, że kiedykolwiek zostaną wysłane. Niektóre z tych na spodzie już pożółkły.

- Czy pozbywa się pani kiedyś chociaż części tych papierów? - zapytałem, wskazując na stosy dokumentów i zakurzonych teczek.

- Czasami ludzie umierają - odparła. - Wtedy przenosimy ich teczki do magazynu.

- Mogliby tu umrzeć i być po prostu pochowani pod papierem.

Wstała i zdjęła smętny oliwkowy płaszcz ze sfatygowanego wieszaka.

- Musi pan teraz wyjść - powiedziała. - Zbyt pan zabawny, jak na mnie.

- Wrócę po lunchu.

- Proszę tak zrobić.

- Wie pani, kiedy to może być, mniej więcej?

- Nie. To może potrwać.

- Będę czekać na pani powrót.

- Mhm. Nie ruszaj się, serdeńko.

Otworzyła drzwi kancelarii i czekała, aż wyjdę, a potem przekreśliła w zamku mosiężny klucz, który trzymała w torebce. Potem zeszała za mną schodami, zamknęła główne drzwi na dwa zamki i wsiadła do zardzewiałego brązowego cadillaca zaparkowanego na parkingu przy Tulley. Mój samochód był o przecznicę dalej. Nie wyglądało na to, że mógłbym zrobić coś więcej, niż zjeść i czekać w nadziei, że Eldritch się zmaterializuje, chyba żebym zrezygnował i pojechał do domu. Nawet gdyby Eldritch się pokazał, to nie on był głównym powodem mojej tu obecności. Chodziło mi o człowieka, który płacił jego rachunki. Nie mogłem zmusić Eldritch, żeby mi coś więcej o nim powiedział. No, mogłem, ale trudno mi było wyobrazić sobie, jak się mocuję ze starym adwokatem, usiłując zmusić go, żeby mi powiedział, co wie. W najgorszym razie, zobaczyłem go, jak rozpada się na drobiny kurzu w moich rękach, brudząc mi marynarkę resztkami siebie.

Nagle uderzył mnie w nozdrza ostry zapach nikotyny, przyniesiony przez wiatr. Zapach był szczególnie gryzący, ciężki od trucizny i prawie poczułem, jak wszystkie komórki mego ciała zaprotestowały. Obróciłem się. Obskurny bar naprzeciwko był czynny, a przynajmniej na taki wyglądał pomimo okien pokrytych drucianą siatką i porysowanych drzwi oszpeconych rysami i dolną połową szerniałą po próbie podpalenia. Napis na wysokości oczu informował, że każdy,

kto wygląda na mniej niż dwadzieścia jeden lat, będzie proszony o okazanie dowodu tożsamości. Ktoś zmienił cyfrę dwa tak, że wyglądała jak jeden.

Na zewnątrz stał mężczyzna, jego ciemne włosy były zaczesane do tyłu, koniuszki tłustych loczków zebrane w niestaryanny kucyk opadający poniżej kołnierzyka. Jego niegdyś biała koszula pożółkła, niezapięty kołnierzyk miał po wewnętrznej stronie ciemne ślady, których nie zdołałoby usunąć żadne pranie. Czarny płaszcz mężczyzny był wystrzępiony na krańcach, powyciągane nitki poruszały się powoli na wietrze, jak nogi umierających insektów. Jego spodnie były za długie, dotykały ziemi i niemal całkowicie zasłaniały buty na grubych podszwach. Palce, w których ścisnął papierosa, były przypalone na ciemnożółto na koniuszkach. Paznokcie miał długie i pobrużdżone z wbitym brudem pod spodem.

Egzekutor zaciągnął się ostatni raz papierosem, potem strzelił nim zręcznie do ścieku. Zatrzymał dym, jakby chciał wyciągnąć z niego całą nikotynę, co do joty, potem wypuścił go smugami przez nos i kąciki ust i wyglądał, jakby się palił od środka. Przyjrzał mi się bez słowa przez dym, następnie otworzył drzwi do baru i rzuciwszy mi ostatnie spojrzenie, zniknął wewnątrz.

Po chwili poszedłem za nim.

Wnętrze baru nie było wcale tak okropne, jak mógł przypuszczać przypadkowy obserwator, sądzący po fasadzie. Z drugiej strony, wygląd fasady sugerował, że wnętrze może być okupowane przez odurzonych dwunastolatków i sfrustrowanych podpalaczy, więc niewiele było trzeba, żeby przewyższyć te oczekiwania. Ciemne wnętrza rozświetlały nieco jedynie migocące lampy na ścianach, bo okna wychodzące na ulicę zasłonięto grubymi, czerwonymi firanami. Barman w zdumiewająco białej koszuli kroczył wzdłuż długiego baru w prawą stronę, gdzie trzy albo cztery stołki były zajęte przez tę co zawsze zbieraninę pijących już w dzień moczymord, mrużących oczy z pogardą na niemile widziane światło słońca wpadające przez otwierane drzwi. Bar był niezwykle bogato ozdobiony, a za nim, odbijając rzędy butelek z alkoholem, znajdowały się zmatowiałe lustra z nazwami rodzajów whisky i piwa, które dawno przestały istnieć. Podłoga z surowych desek, zdartych przez dziesięciolecia deptania, spalona tu o ówdzie przez rzucone pety zmarłych już palaczy, była jednak czysta i, jak się zdawało, świeżo polakierowana. Ozdoby mosiężne przy stołkach barowych, oparcia dla stóp przy barze i wieszaki na okrycia - to wszystko błyszczało, a każdy stół lśnił czystością i miał świeże podstawki pod piwo. Było tak, jakby zewnętrzny wygląd z rozmysłem zaprojektowano tak, by zniechęcić przypadkowych klientów, podczas gdy wnętrze zachowało pewien stopień wyrafinowania, świadczący o szlachetnej przeszłości.

Ścianę po lewej stronie zajmował rząd boksów, a pomiędzy nimi i barem były rozstawione okrągłe stoliki i stare krzesła. Trzy boksy były zajęte przez urzędników jedzących

apetycznie wyglądające sałatki i kanapki. Istniał milczący podział pomiędzy klientami baru i innymi konsumentami, a okrągłe stoliki pomiędzy nimi stanowiły pewnego rodzaju ziemię niczyją, na której równie dobrze mogło być pełno drutu kolczastego i rowy przeciwczołgowe.

Idący przede mną Egzekutor kroczył ostrożnie w stronę boksu na tyłach baru. Kelnerka wyszła z pobliskiej kuchni z wielką tacą potraw opartą na lewym ramieniu. Nie spojrzała na Egzekutora, ale dała mu szerokie przejście, usuwając się w lewo w stronę baru, kiedy on nadszedł i, zręcznie przecinając dwa boki trójkąta, dotarła do boksu najbliższej drzwi. Właściwie, w żadnym momencie nikt nawet na niego nie spojrzał, kiedy szedł przez całą długość sali i chociaż to nie miało dla mnie sensu, gdyby mnie ktoś zapytał, powiedziałbym, że ich decyzja, żeby go nie zauważyć, była podświadoma. Jakaś część ich świadomości rejestrowała jego obecność; przecież miał coś do picia w boksie i ktoś mu to musiał podać. Jego pieniądze zawędrują do kasy. Lekki zapach nikotyny będzie odczuwalny koło boksu, kiedy już go nie będzie. Jednak podejrzewam, że gdybym zapytał o niego w minutę po jego wyjściu, wszystkie osoby w tym barze miałyby trudności z przypomnieniem go sobie. Bo ta część ich mózgu, która była świadoma jego obecności, zarejestrowałaby nawet wspomnienie o nim jako groźbę - nie, może nie groźbę, ale rodzaj zanieczyszczenia duszy - i szybko i skutecznie zajęłaby się wymazywaniem wszelkich jego śladów ze swoich dysków.

Siedział w boksie, czekał na mnie, bym podszedł bliżej, a ja musiałem opanować nagłą chęć, by się odwrócić i odejść od niego na stronę słońca. *Ohyda*. Słowo to pojawiło się z siłą, jak gniew i nienawiść. Prawie mogłem odczuć, jak się formowało na moich ustach. *Ohydna rzecz*.

I kiedy znalazłem się przed boksem, Egzekutor wymówił to słowo do mnie.

- Ohyda - powiedział.

Robił wrażenie, jakby próbował tego słowa, kosztował je jak nieznaną jedzenie, niepewny czy okaże się, że mu będzie odpowiadać, czy nie. W końcu dotknął swojego języka tymi

swoimi zażółconymi palcami i zdjął z niego kawałeczek tytoniu, jakby nadał formę słowu i zdecydował się odrzucić. Za nim było lustro, w którym mogłem zobaczyć tyse miejsce na tyle jego głowy. Było lekko spłaszczone, co sugerowało, że w pewnym momencie w odległej przeszłości otrzymał cios na tyle mocny, że czaszka ustąpiła i pękła. Zastanawiałem się, jak dawno mogło to się zdarzyć: może w dzieciństwie, kiedy czaszka była jeszcze miękka. Potem próbowałem sobie wyobrazić tę kreaturę jako dziecko i stwierdziłem, że nie potrafię.

Gestem wskazał mi siedzenie naprzeciwko siebie, nakazując mi usiąść, potem podniósł lewą rękę i poruszył lekko palcami w powietrzu, jakby sprawdzał przynętę na końcu swojej wędki. Wezwał w ten sposób kelnerkę, która już zbliżała się do boksu powoli i z obawą, na jej twarzy jakby zaczął już pojawiać się uśmiech, ale mięśnie nie chciały posłuchać. Nie popatrzyła na Egzekutora. Za to mocno skoncentrowała spojrzenie na mnie, odwracając się nawet lekko tyłem do niego, jakby chciała go wyłączyć ze swojego pola widzenia.

- Co podać? - zapytała.

Jej nozdrza drgnęły. Koniuszki palców, w których trzymała pióro, były białe. Kiedy czekała na moją odpowiedź, lekko zwróciła oczy i głowę w prawo. Uśmiech walczący o przetrwanie, zaczął zamierać. Egzekutor utkwiał wzrok nieruchomo w tyle jej głowy. Uśmiechnął się. Kelnerka zmarszczyła czoło. W roztargnieniu odsunęła kosmyk włosów. Egzekutor poruszył bezgłośnie wargami, formułując słowo. Prze czytałem je na jego ustach.

Dziwka.

Kelnerka też poruszyła ustami, powtarzając to słowo. *Dziwka.* Potem potrząsnęła głową, próbując pozbyć się obełgi, jak robaka, który wpełzł jej do ucha.

- Nie - powiedziała. - To jest...

- Kawę - powiedziałem, trochę za głośno. - Sama kawa wystarczy.

Przez chwilę wyglądało na to, że będzie nadal próbowała protestować przeciwko temu, co usłyszała albo zdawało się jej, że usłyszała. Jednak powstrzymała słowa. Wysilek sprawił, że łzy napłynęły jej do oczu.

- Kawę - powtórzyła. Drżącą ręką zapisała w notesiku. Wyglądała, jakby miała się zaraz rozplakać.

- Jasne, zaraz przyniosę.

Ale wiedziałem, że nie przyniesie. Widziałem, jak poszła do baru i szeptem powiedziała coś do barmana. Zaczęła rozwiązywać fartuch i poszła do kuchni. Na tyłach była tam pewnie łazienka dla personelu. Domyślałem się, że posiedzi tam, aż przejdzie jej płacz i drżenie, aż poczuje, że może bezpiecznie wyjść. Również może spróbować zapalić papierosa, ale jego zapach przypominałby jej tego mężczyznę z boksu, tego, który był tam i jakby go nie było, obecny i nieobecny, obdartego mężczyznę, który starał się nie zwracać na siebie uwagi.

I kiedy dotarła do drzwi kuchni, znalazła siłę w sobie, by popatrzeć prosto na człowieka w boksie i jej oczy zmatowiały od strachu, gniewu i wstydu, zanim znikła.

- Co pan jej zrobił? - zapytałem.

- Zrobiłem? - zapytał ze szczerym zdziwieniem. Jego głos był zdumiewająco cichy. - Nic nie zrobiłem. Ona jest tym, kim jest. Jej zasady moralne są zbyt słabe. Tylko jej o tym przypominałem.

- A skąd pan o tym wie?

- Są sposoby i środki.

- Ona nic panu nie zrobiła.

Egzekutor ściągnął usta z dezaprobatą.

- Pan mnie rozczarowuje. Może pańskie zasady moralne są tak słabe jak i jej. To, czy zrobiła mnie coś złego, czy nie, jest nieistotne. Fakt pozostaje faktem: jest dziwką i będzie sądzona jako taka.

- Przez pana? Nie uważam, żeby pan się nadawał do sądzienia kogokolwiek.

- Nie udaję, że mogę sądzić. Odwrotnie niż pan - dodał z odrobiną złośliwości. - Nie jestem sędzią, ale wykonawcą wyroku. Ja nie skazuję, lecz wymierzam karę.

- I zachowuje pan pamiętki po swoich ofiarach.

Egzekutor rozłożył ręce przede mną.

- Jakie ofiary? Proszę mi je pokazać. Proszę mi zaprezentować kości.

Pomimo, że już wcześniej rozmawialiśmy, to po raz pierwszy zauważyłem staranny sposób, w jaki się wyrażał i dziwne zwroty, które sporadycznie pojawiały się u niego. *Proszę mi*

zaprezentować kości. Było też coś jakby cudzoziemskiego w jego akcencie, ale nie dało się tego zidentyfikować. Mógł ten akcent pochodzić skądkolwiek, albo znikąd, tak jak on sam.

Zwinał dłonie w pięści. Zostawił tylko prawy wskazujący palec wyprostowany w moją stronę.

- A pan... Wyczułem pana w swoim domu. Zaznaczyłem miejsca, gdzie pan się zatrzymał, pan i ci inni, którzy przyszli z panem.

- Szukaliśmy Merricka. - Zabrzmiało to, jakbym próbował usprawiedliwić najście. Może i próbowałem.

- Ale nie znaleźliście go. Z tego, co słyszę, to on znalazł pana. Ma pan szczęście, że pan żyje po zadarciu z takim człowiekiem.

- Czy to pan nasłał go na mnie, tak jak nasłał go pan na Daniela Claya i na jego córkę? Jak nasłał go pan na Ricky'ego Demarciana?

- Czy ja go naslałem na Daniela Claya? - Egzekutor dotknął wskazującym palcem dolnej wargi, w geście udawanego zamyślenia. Jego usta rozchyliły się lekko i zobaczyłem jego krzywe zęby, czerniejące od korzeni. - Może ja się wcale nie interesuję Danielem Clayem ani jego córką. Jeżeli chodzi o Demarciana, no cóż, niestety zawsze szkoda, kiedy ktoś traci życie, ale w niektórych wypadkach mniej szkoda niż w innych. Podejrzewam, że niewielu będzie opłakiwać jego nieobecność na tym świecie. Jego pracodawcy znajdą mu następcę, wokół którego zbrojeńcy zbiorą się jak muchy na ranie.

Ale rozmawialiśmy o pańskim naruszeniu mojej prywatności. Z początku, muszę przyznać, byłem niezadowolony. Zmusił mnie pan do przeniesienia części mojej kolekcji. Ale kiedy rozważyłem sytuację, byłem wdzięczny. Wiedziałem, że przeznaczone nam było spotkać się znowu. Można powiedzieć, że poruszamy się w tych samych kręgach.

- Jestem panu dłużny za ostatni raz, kiedy spotkaliśmy się w jednym z tych kręgów.

- Nie chciał mi pan dać tego, czego chciałem - nie, tego, czego *potrzebowałem*. Nie miałem wyboru. Niemniej jednak, przepraszam za wszelki zadany ból. Nie wydaje się, żeby wyraził jakieś trwałe szkody.

To było dziwne. Powinienem był dopaść go wtedy tam od razu. Powinienem był stłuc go w odwecie. Chciałem złamać mu nos i wybić zęby. Chciałem cisnąć nim o podłogę i zmiażdżyć mu czaszkę obcasem. Chciałem zobaczyć, jak jest palony, a jego prochy rozrzucone na cztery wiatry. Chciałem poczuć jego krew na swoich rękach i twarzy. Chciałem zlizać ją ze swoich warg koniuszkiem języka. Ja...

Przestałem. Głos w mojej głowie należał do mnie, ale jak echo odpowiadał mu inny. Jedwabiste tony prowokowały mnie.

- Widzi pan? - powiedział Egzekutor, chociaż jego usta nie poruszyły się. - Widzi pan, jak by to mogło być łatwe? Chce pan spróbować? Chce mnie pan ukarać? No, dalej, niech pan to zrobi. Jestem sam.

Ale to było kłamstwo. Bo nie tylko Egzekutora postanowili ignorować ludzie siedzący przy barze, jeżeli w ogóle byli świadomi obecności tych innych. Teraz dał się zauważyć ruch w mroku, ciemnego na jasnym. Twarze pojawiały się na obrzeżach pola widzenia, potem znikaly, ich czarne oczy były nieruchome, ich zniszczone usta otwarte, bruzdy na skórze świadczyły o zaniku i pustce wewnątrz. W lustrze dostrzegłem, jak niektórzy biznesmeni odsuwają swoje niedojedzone potrawy. Jeden z popołudniowych pijaków przy barze oganiał się od czyjejs obecności koło swego ucha, próbując pacnąć to, jak się bije komara. Zobaczyłem, jak jego usta poruszały się, kiedy powtarzał coś, co tylko on słyszał. Ręka mu drżała, kiedy sięgał po kieliszek, palce nie zdołały go uchwycić, wyślizgnął się, przewrócił na bok i bursztynowy płyn rozlał się po drewnianym blacie.

Oni tu byli. Wydrażeni Ludzie byli tu.

I nawet gdyby był sam, a nie był, nawet gdyby nie miało się wrażenia, że te na wpół dostrzegalne postaci ciągną się za nim jak widma jego samego, tylko szalenięc spróbowałby zmierzyć się z Egzekutorem. Z niego emanowało zło. Był zabójcą, miałem co do tego pewność. Był zabójcą, takim jak Merrick, tyle że Merrick odbierał życie za pieniądze, a teraz z zemsty, nigdy nie oszukiwał siebie, myśląc, że to, co robi, jest właściwe czy usprawiedliwione, a Egzekutor kładł kres życiu,

ponieważ był przekonany, że dano mu pozwolenie, by to robić. Obu mężczyzn łączyło wspólne przeświadczenie o absolutnej błahości tych, których wysyłali z tego świata.

Wziąłem głęboki oddech. Zobaczyłem, że siedzę na brzegu siedzenia. Wsunąłem się głębiej, oparłem i spróbowałem rozluźnić napięcie w karku i ramionach. Egzekutor wydawał się prawie rozczarowany.

- Pan myśli, że jest dobrym człowiekiem? - spytał. - Jak można odróżnić dobrego człowieka od złego, skoro stosują takie same metody?

Nie odpowiedziałem.

- Czego pan chce? - zapytałem zamiast tego.

- Chcę tego, czego i pan chce: znaleźć tych, którzy wykorzystywali Andy'ego Kelloga i innych.

- Czy oni zabili Lucy Merrick?

- Tak.

- Wie pan to na pewno?

- Tak.

- Skąd?

- Żywi zostawiają inny ślad na świecie, a zmarli inny. Sprawa polega na tym, żeby nauczyć się czytać takie znaki jak... – szukał właściwego porównania i strzelił palcami, kiedy je znalazł – jak słowa napisane na szkle, jak odciski palców na warstwie kurzu.

Czekał na moją reakcję, ale się rozczarował. A dokoła nas poruszały się cienie.

- I pomyślał pan, że użyje Franka Merricka, żeby wykuczyć z ukrycia winnych - powiedziałem, jak gdyby on nie wymówił tamtych słów, jak gdyby nie wiedział o sprawach, o których w żadnym wypadku nie powinien mieć pojęcia.

- Myślałem, że się przyda. Pan Eldritch, rzecz jasna, miał wątpliwości, ale jako dobry adwokat, spełnił życzenia klienta.

- Wygląda na to, że Eldritch miał rację. Merrick wyrwał się spod kontroli.

Egzekutor potwierdził opinię młasińciem języka.

- Na to wygląda. Mimo to może mnie jeszcze doprowadzić do nich. W tej chwili jednak nie wspomagamy go już w jego poszukiwaniach. Eldritch już musiał odpowiadać na

pewne trudne pytania policji. To go niepokoi. Został zmuszony do założenia nowego rejestru, no i pomimo tego, że kocha dokumenty, w obecnej sytuacji ma ich wystarczającą ilość. Eldritch lubi... *stare sprawy*.

Obracał słowa w ustach, jakby rozkoszując się ich smakiem.

- Czy szuka pan Daniela Claya?

Egzekutor uśmiechnął się chytrze.

- Dlaczego miałbym szukać Daniela Claya?

- Ponieważ dzieci, którymi się zajmował, były wykorzystywane. Ponieważ informacje, które doprowadziły do tego przestępstwa, mogły pochodzić od niego.

- A pan wierzy, że jeżeli ja go szukam, to musi być winny, nieprawdaż? Pomimo wstrętu do mnie zdaje się pan ufać mojemu osądowi.

Miał rację. Ta świadomość zaniepokoiła mnie, ale nie dało się zaprzeczyć prawdziwości tego, co powiedział. Z jakiegoś powodu wierzyłem, że jeżeli Clay jest winny, to Egzekutor będzie go szukał.

- Pytanie nadal aktualne: czy pan go szuka?

- Nie - powiedział Egzekutor. - Nie szukam.

- Ponieważ on nie brał w tym udziału albo już pan wie, gdzie on jest?

- Tego nie mogę wyjawić. Czy pan chce, żebym odwalił za pana całą robotę?

- No to, co teraz?

- Chcę, żeby pan zostawił Eldritch'a w spokoju. On nie wie nic, co mogłoby się panu przydać, a i tak by panu nic nie powiedział, nawet gdyby coś wiedział. Chcę wyrazić ubolewanie z powodu tego, co zaszło między Merrickiem i panem. To nie była moja wina. I w końcu, chcę panu powiedzieć, że pracujemy w tym samym celu. Ja chcę, żeby ci mężczyźni zostali zidentyfikowani. Chcę wiedzieć, kim oni są.

- Dlaczego?

- Żeby zająć się nimi.

- Sądy się nimi zajmą.

- Ja odpowiadam wobec wyższego sądu.

- Ja ich panu nie przekażę.

Wzruszył ramionami.

- Jestem cierpliwy. Mogę czekać. Ceną są ich dusze. Tylko to się liczy.

- Co pan powiedział?

Rysował wzory palcem po stole. Wyglądały jak litery, ale z jakiegoś alfabetu, który był mi nieznanym.

- Niektóre grzechy są tak straszne, że nie może być za nie przebaczenia. Dusza jest stracona. Wraca do Tego, który ją stworzył, a On rozporządza nimi według swojego uznania. Wszystko, co zostaje po niej, to pusta skorupa, świadomość bez łaski.

- Wydrążeni - powiedziałem i poczułem, że coś w mroku zareagowało na to słowo, jak pies, który słyszy swoje imię wołane przez obcego.

- Tak - powiedział Egzekutor. - To jest właściwe słowo.

Rozejrzał się wkoło siebie, pozornie przyglądając się barowi i obecnym w nim ludziom, ale nie skupił się ani na ludziach, ani na przedmiotach, lecz na przestrzeniach pomiędzy nimi, znajdując poruszenie tam, gdzie powinien być tylko bezruch, dostrzegając bezkształtne widma. Kiedy odezwał się znowu, mówił innym tonem, zamyślonym, prawie pełnym żalu.

- I kto mógłby dostrzec takie rzeczy, gdyby istniały? - spytał. - Wrażliwe dzieci, być może, opuszczone przez ojców i bojące się matek. Szaleńcy boży, którzy reagują na takie sprawy. Ale pan nie jest ani jednym, ani drugim. - Zwrócił oczy na mnie i popatrzył chytrze. - Dlaczego pan widzi rzeczy, których inni nie widzą? Gdybym był w pana sytuacji, pewnie by mnie to martwiło.

Oblizwał wargi, ale jego język był suchy i nie zwilżył ich. Były popękane głęboko w niektórych miejscach, a częściowo zagojone pęknięcia ciemniały na różowym tle.

- Wydrążeni - powtórzył to słowo, przedłużając ostatnią sylabę. - Czy jest pan wydrążonym człowiekiem, panie Parker? Przecież, nieszczęście kocha mieć towarzystwo. Można by znaleźć miejsce w szeregach dla odpowiedniego kandydata.

Uśmiechnął się i jedno z pęknięć na dolnej wardze otworzyło się. Czerwona perła krwi pojawiła się na krótko, zanim popłynęła z powrotem do ust.

- Ale nie, panu brak... *ducha*, no i może być tak, że są inni, bardziej pasujący do tej roli. Poznacie ich po ich uczynkach.

Wstał do wyjścia, zostawiając dwadzieścia dolarów na stole za swój napój. Pachniał jak whisky Jim Beam, jednak pozostał nietknięty przez cały czas.

- Szczodry napiwek dla naszej kelnerki - powiedział. - Przecież pan uważa, że zasłużyła na to.

- Czy ci ludzie, to jedyni, których pan szuka? - zapytałem.

Chciałem wiedzieć, czy są też inni i czy ja jestem wśród nich.

Przekrzywił głowę jak sroka, której uwagę odwraca błyskotka lśniąca w słońcu.

- Ja zawsze szukam - odparł. - Jest tak wielu, którymi trzeba się zająć. Tak wielu.

Zaczął odchodzić.

- Być może spotkamy się znowu, niech się dzieje, co chce. Już czas się zbierać i niepokoi mnie myśl, że mógłby pan chcieć deptać mi po piętach. Najlepiej będzie, jak znajdziemy sposób na współistnienie na tym świecie. Jestem pewny, że można osiągnąć porozumienie, zawrzeć umowę.

Poszedł w stronę drzwi, cienie pociągnęły za nim wzdłuż ścian. Zobaczyłem je w lustrze, białe maźnięcia na czarnym, tak, jak zobaczyłem kiedyś w lustrze twarz Johna Grady'ego wyjącego nad własnym potępieniem. Dopiero kiedy drzwi się otworzyły i na krótko wpadło do środka światło, zobaczyłem kopertę, którą Egzekutor zostawił na siedzeniu naprzeciw mnie. Sięgnąłem po nią. Była cienka i niezamknięta. Zajrzałem do środka. Zawierała biało-czarną fotografię. Wyjąłem ją i położyłem na stole. Gdy drzwi do baru się zamknęły, w migocącym świetle lampy zobaczyłem zdjęcie swojego domu z chmurami zbierającymi się nad nim i mężczyznami stojącymi koło samochodu na moim podjeździe: jeden wysoki, czarny i groźny, drugi mniejszy, uśmiechnięty i wyglądający niechlujnie.

Przyglądałem się zdjęciu przez chwilę, potem włożyłem z powrotem do koperty i schowałem do kieszeni marynarki. Zza drzwi kuchni wyszła kelnerka. Miała czerwone oczy. Popatrzyła na mnie i poczułem ukłucie jej pretensji. Wyszedłem

z baru, zostawiłem Eldritch'a i jego sekretarkę, i jego kancelarię pełną starych dokumentów i nazwisk zmarłych ludzi. Zostawiłem ich wszystkich na zawsze.

Kiedy jechałem na północ, Merrick był zajęty swoją robotą. Podszedł do domu Rebecki Clay. Później, kiedy wszystko skończyło się we krwi i strzelaninie, sąsiad przypomniał sobie, że zauważył jego obecność, ale na razie udało mu się pozostać niezauważonym. Posiadał taki dar, umiejętność wtopienia się w tło, kiedy to było konieczne, żeby uniknąć zwracania uwagi na siebie. Zobaczył dwóch dużych mężczyzn w ich ogromnej ciężarówce i samochód trzeciego mężczyzny, zaparkowany na tyłach domu. Samochód był pusty, co znaczyło, że mężczyzna prawdopodobnie jest w domu. Merrick był pewny, że mógłby go załatwić, ale to spowodowałoby hałas i przyciągnęło tych dwóch innych. Mógłby ich też zabić, ale ryzyko było zbyt wielkie.

Wobec tego wycofał się. Zdobył nowy samochód, wyprowadzony z garażu domu letniego w Higgins Beach, i pojechał nim do magazynu na zrujnowanym terenie przemysłowym koło Westbrook i tam znalazł Jerry'ego Legere'a pracującego samotnie. Wetknął moją broń w usta Legere'a i poinformował go, że kiedy zabierze broń, Legere albo powie mu wszystko, czego dowiedział się od żony o jej ojcu i wszystko, co wiedział, albo podejrzewał o wydarzeniach poprzedzających zniknięcie Daniela Claya, albo będzie miał odstrzelony tył głowy. Legere był pewny, że zginie. Opowiedział Merrickowi o swojej żonie, dziwce. Sprzedał mu czyste fantazje: kłamstwa i półkłamstwa, nieprawdę na wpół wiarygodną i prawdy, które były mniej warte niż kłamstwa.

Ale Merrick nie dowiedział się od niego niczego przydatnego i nie zabił byłego męża Rebecki Clay, ponieważ Legere nie dał mu ku temu powodu. Merrick odjechał, zostawiając Legere'a leżącego na ziemi, płaczącego z ulgi i wstydu.

A mężczyzna, który przyglądał się temu z lasu, ocenił całą sytuację i zaczął telefonować.

Jechałem na północ drogą 1-95, kiedy odezwał się telefon. Dzwonił Louis. Kiedy wrócił do Scarborough, zastał nieznany samochód na moim podjeździe. Parę telefonów później już nie był nieznany.

- Masz tu towarzystwo - powiedział.
- Ktoś znajomy?
- Nie, chyba, że planujesz inwazję na Rosję.
- Ilu ich jest?
- Dwóch.
- Gdzie?
- Siedzą na środku twojego ogródka. Wygląda na to, że po rosyjsku nie ma słowa „subtelny”.
- Miej ich na oku. Dam ci znać, jak będę zjeżdżał z drogi nr 1.

Spodziewałem się, że kiedyś w końcu się zjawią i będą zadawać pytania. Nie mogli pozwolić na to, żeby śmierć Demarciana przeszła bez echa czy dochodzenia. Miałem tylko nadzieję, że mnie już nie będzie, kiedy oni przyjadą.

Nie wiedziałem wiele o Rosjanach poza tym, czego dowiedziałem się dawniej od Louisa i co przeczytałem w gazetach. Wiedziałem, że byli mocni w Kalifornii i w Nowym Jorku i że główne grupy w każdym z tych miejsc utrzymywały kontakt z podobnymi sobie w Massachusetts, Chicago, Miami, New Jersey i w kilkunastu lub więcej stanach, jak również ze swoimi ludźmi w Rosji, tworząc coś, co w rezultacie było ogromnym syndykatem przestępczym. Tak jak indywidualne grupy, całość miała luźną strukturę i pozornie słabą organizację, ale uważano, że to podstęp mający na celu zmylenie śledczych i utrudnienie im infiltracji syndykatu.

Szeregowi członkowie byli oddzieleni od szefów warstwami ochrony tak, że ci zajmujący się narkotykami czy prostytucją na poziomie ulicy nie mieli pojęcia, gdzie ostatecznie idą pieniądze, które oni zarabiają. Demarcian pewnie nie mógł wiele powiedzieć Merrickowi o mężczyznach, z którymi miał do czynienia poza ich imionami, a i te najprawdopodobniej i tak nie były prawdziwe.

Wyglądało też na to, że Rosjanie chętnie pozostawili handel narkotykami na wielką skalę innym, chociaż uważano, że ustanowili kontakty z Kolumbijczykami. Głównie zajmowali się szwindlami w ubezpieczeniach, kradzieżą tożsamości, praniem pieniędzy i oszustwami podatkowymi na paliwie, wszelkiego rodzaju złożonymi oszustwami, które były trudne do wykrycia dla władz i ścigania sądowego. Ciekawy byłem, jak wielu z klientów korzystających ze stron porno Demarciana zdawało sobie sprawę z tego, jakiego rodzaju indywiduom udostępniali szczegóły swoich kart kredytowych.

Spodziewałem się, że przyjechali tutaj tylko po to, żeby zadawać pytania. Gdyby chodziło o coś poważniejszego, nie byłiby tak głupi, żeby parkować na moim podjeździe i czekać na mnie, aż przyjadę. Z drugiej strony jednak, takie myślenie zakładało, że oni się przejmowali tym, czy ich samochód został zauważony albo czy w pobliżu znajdują się jacyś potencjalni świadkowie. Rosjanie to był kłopot. Mówiono, że kiedy upadł Związek Radziecki, Włosi posłali paru facetów do Moskwy, żeby ocenić potencjalne szanse wepchnięcia się na nowy rynek. Ci rzucili jedno spojrzenie na to, co działo się na ulicach i wrócili pędem do domu. Niestety, Rosjanie pojechali za nimi, przyłączając się do Odessa Mafia, która działała w Brighton Beach od połowy lat siedemdziesiątych, no i teraz Włosi czasami wydawali się prawie staroświeccy w porównaniu z nowo przybyłymi. Moim zdaniem, było to w pewnym sensie ironiczne, że Rosjan przywiódł do nas w końcu nie komunizm, ale wiara w kapitalizm. Joe McCarthy musi się przewracać w grobie.

Dojechałem do Scarborough czterdzieści minut później i zadzwoniłem do Louisa, kiedy byłem na Oak Hill. Poprosił mnie, żeby dać mu pięć minut i potem jechać prosto na dół w równomiernym tempie czterdziestu pięciu kilometrów. Zobaczyłem ich samochód, gdy tylko wyjechałem zza zakrętu. Był

to duży czarny Chevrolet 4x4, ten rodzaj samochodu zazwyczaj posiadają ludzie, którzy by się rozplakali, gdyby się naprawdę zabrudził. Jak na potwierdzenie tej stereotypowej opinii, Chevrolet był skrupulatnie czysty. Zawróciłem, przejeżdżając koło swojego domu i zatrzymałem się za chevroletem tak, że drzwi pasażera były najbliżej niego, skutecznie blokując go przed wyjazdem z podjazdu. Był większy od mustanga i gdyby mieli dość siły, mogliby zepchnąć mój samochód z drogi, ale w trakcie tego, zdemolowaliby tył swego pojazdu. Najwidoczniej, nikt jeszcze nie pomyślał o założeniu orurowania na tył 4x4, ale byłem pewny, że to tylko kwestia czasu. Otworzyły się przednie drzwi z obu stron i pojawiło się dwóch mężczyzn. Odziani byli w klasycznym stylu żulii: czarne skórzane marynarki, czarne dżinsy i czarne swetry. Jeden z nich, łysy mężczyzna zbudowany jak egzemplarz architektury Bloku Wschodniego, sięgał do marynarki po broń, kiedy głos za nim powiedział tylko jedno słowo:

- Nie.

Ręka Rosjanina zamarła. Louis stał w cieniu mojego domu, z glockiem w dłoni. Byli jak w pułapce między nami. Zostałem tam, gdzie byłem, wyciągnąłem swoją .38 i wycelowałem w nich.

- Wyjmij rękę - powiedziałem łysemu Rosjaninowi. - Powoli. Kiedy ją zobaczę, lepiej, żeby tylko paznokcie były na końcach palców.

Rosjanin zrobił, jak mu kazano. Jego partner już podniósł ręce do góry. Wyszedłem zza samochodu i ruszyłem w ich kierunku.

- Na ziemię - powiedział Louis.

Zrobili to. Potem Louis przeszukał obu mężczyzn, a ja trzymałem ich na muszce. Obaj byli uzbrojeni w podobne kolty, dziewięć milimetrów, półautomatyczne. Louis opróżnił magazynki, potem sprawdził, czy nie było czegoś w podajniku. Kiedy się upewnił, że są puste, wyrzucił magazynki w krzaki i cofnął się pięć kroków od obu mężczyzn.

- Podnieście się i na kolana - powiedziałem im. - Ręce na kark.

Wygramolili się do pozycji klęczącej i patrzyli nieruchomo na mnie.

- Kim jesteście?

Nie odpowiedzieli.

- *Szestjorki* - powiedział Louis. - Tym jesteście, prawda? Chłopcami na posyłki.

- *Niet* - powiedział łysy. - *Bojeviki*.

- *Bojeviki*, akurat - powiedział Louis. - On mówi, że są szeregowymi żołnierzami mafii. Chyba trudno o dobry personel w tych czasach. Ten tu nie potrafi nawet odpowiedzieć na pytanie po angielsku. Co się stało, wypadliście z okrętu i nie pozbierali was?

- Ja mówię po angielsku - powiedział Rosjanin. - Ja mówię po angielsku dobry.

- Nie żartujesz? - powiedział Louis. - Co byś chciał za to, order? Złotą gwiazdę?

- Czego tu szukacie? - zapytałem, chociaż już wiedziałem.

- *Razborka* - powiedział. - Chcemy, hm... - poszukał angielskiego słowa - wyjaśnienia - dokończył.

- No, to dam wam wyjaśnienie - powiedziałem. - Nie życzę sobie uzbrojonych ludzi na terenie mojej posiadłości. Jeżeli was teraz zastrzelę, to waszym zdaniem, będzie wystarczające wyjaśnienie dla waszych szefów?

Rudy popatrzył na swojego partnera, potem się odezwał.

- Pan nas zabije, to będzie gorzej. Jesteśmy tu, żeby rozmawiać o Demarcianie. - Jego angielski był lepszy niż jego partnera. Miał tylko cień akcentu. Było jasne, że to on tu dowodzi, chociaż skrzętnie ukrył ten fakt do czasu, aż stało się oczywiste, że jego łysy kompan nie radzi sobie w aktualnych negocjacjach.

- Nic o nim nie wiem poza tym, że nie żyje.

- Policja pana przesłuchiwała. Plotka głosi, że do zabicia go użyto pańskiej broni.

- Moja broń została zabrana - powiedziałem. - Nie mam pewności, że użyto jej, by zabić Demarciana. Domyślałem się, że prawdopodobnie tak, ale ja nie wypożyczam broni do zabójstw. Człowiekowi, który ją zabrał, bardzo na tym zależało.

- To nieostrożne z pana strony, że zgubił pan broń - powiedział Rosjanin.

- Jak pan widzi, mam drugą. Jeżeli i tę zgubię, to zawsze mogę pożyczyć od mojego przyjaciela, który jest tam za panem. Ma mnóstwo broni. W każdym razie ja nie mam nic wspólnego ze śmiercią Demarciana, pomijając broń.

- To pan tak twierdzi - zauważył Rosjanin.

- Tak, ale my mamy broń, a wy nie, więc nasze słowo się liczy.

Rosjanin wzruszył ramionami, jak gdyby cała sprawa była i tak dla niego nieważna.

- No, to ja panu wierzę. Jednak nadal chcielibyśmy dowiedzieć się czegoś o człowieku, który zabił Demarciana, o tym Merricku. Proszę powiedzieć nam o Merricku.

- Musicie sami odrobić swoje lekcje. Chcecie go, to go znajdźcie.

- Ale my myślimy, że pan też go szuka. Pan chce odzyskać broń. Może my go znajdziemy i odzyskamy ją dla pana.

Jego łysy kompan zaśmiał się i powiedział coś pod nosem. To brzmiało jak *frajeri*. Louis w odpowiedzi uderzył go w tył głowy lufą glocka. Nie było to na tyle mocno, żeby stracił przytomność, ale położyło go twarzą do ziemi. Skóra jego głowy zaczęła krwawić.

- Nazwał nas frajerami - wyjaśnił Louis.

- To nieładnie.

Rudy nie ruszył się. Tylko potrząsnął głową, wyraźnie rozczarowany głupotą swego kolegi.

- Myślę, że pański kolega nie lubi za bardzo Rosjan - powiedział.

- Mój przyjaciel nikogo nie lubi za bardzo, ale wygląda na to, że ma szczególny problem z wami dwoma - przyznałem.

- Może on jest rasistą? Jest pan rasistą?

Odwrocił lekko głowę, próbując zobaczyć Louisa. Musiałem mu to przyznać: nie dał się łatwo zastraszyć.

- Nie mogę być rasistą, człowieku. Jestem czarny.

Nie była to odpowiedź wprost na pytanie Rosjanina, ale zadowolili się tym, co usłyszeli.

- Chcemy Franka Merricka - mówił dalej. - Może się to panu opłacić, jeżeli pan powie nam, co wie.

- Pieniądze?

- Jasne, pieniądze. - Twarz mu się rozjaśniła. Podobał mu się taki rodzaj negocjacji.

- Nie potrzebuję pieniędzy - oświadczyłem. - I tak mam już za dużo. Chcę natomiast, żebyś zabrał swojego przyjaciela i wyniósł się stąd. Krwawi na moim podjeździe.

Wyglądało na to, że Rosjanin szczerze żałował.

- Szkoda.

- To nic, zmyję to.

- Miałem na myśli pieniądze.

- Wiem. Wstawaj.

Podniósł się na nogi. Za nim Louis sprawdzał wnętrze chevroleta. Znalazł mały h&k P7 w schowku, i taktyczną, samopowtarzalną strzelbę z pistoletowym uchwytem i regulowanymi wojskowymi, widmowymi, skrzydełkowymi przyrządami celowniczymi w schowku pod tylnym siedzeniem. Opróżnił obydwie, potem otworzył tył chevroleta, wytarł swoje odciski palców z broni i wetknął je pod szarą wykładzinę bagażnika.

- Wracajcie do Bostonu - powiedziałem. - Tu wszystko załatwione.

- A co ja powiem swoim szefom? - spytał Rosjanin. - Ktoś musi odpowiedzieć za to, co się stało z Demarcianem. Mieliśmy przez to dużo problemów.

- Jestem pewny, że coś pan wymyśli.

Westchnął głęboko.

- Czy mogę już spuścić ręce na dół? - zapytał.

- Powoli - odpowiedziałem.

Spuścił ręce, a potem schylił się, żeby postawić towarzysza na nogi. Tył łysej głowy tego człowieka był mokry od krwi. Rudy popatrzył na Louisa po raz pierwszy. Wymienili skiniecie głową w wyrazie zawodowego szacunku. Louis wyjął nieskazitelnie białą chustkę z kieszeni marynarki i podał ją Rosjaninowi.

- Na głowę pańskiego przyjaciela.

- Dziękuję.

- Pan wie, co znaczy *blat*? - spytał Louis.

- Jasne - odpowiedział Rosjanin.

- No, więc mój przyjaciel ma największe *blat*. Pamiętaj i powiedz o tym waszym szefom.

Rosjanin znowu skinął głową. Łysy chwiejnie wsiadł na miejsce dla pasażera i oparł lewy policzek o chłodną skórę, zamknawszy oczy. Jego kolega odwrócił się do mnie.

- Do widzenia, *volk* - powiedział. - Do następnego spotkania.

Wsiadł do chevroleta, potem zaczął go wycofywać w dół po podjeździe, a Louis dotrzymywał mu kroku całą drogę, nie spuszczając go z muszki glocka. Wróciłem do swojego mustanga i zaparkowałem go na miejscu, potem śledziłem wzrokiem chevroleta, jak skierował się w stronę drogi nr 1, a Louis był przy moim boku.

- Ukraińcy - powiedział. - Może Gruzini. Ale nie Czeczeni.

- Czy to dobrze?

Wzruszył ramionami. To chyba było zaraźliwe.

- Oni wszyscy niedobrze - powiedział. - A Czeczeni to już bardzo niedobrze.

- Rudy nie wyglądał na szeregowego żołnierza mafii.

- Niższy rangą boss. To znaczy, że są naprawdę wściekli za Demarciana

- Czy naprawdę warto robić o niego taki szum?

- Tracą biznes. Policja zaczyna śledzić ich klientów, pytać o zdjęcia dzieci. Nie mogą sobie pozwolić, żeby to zaniedbać.

Ale wyglądał, jakby nie mówił wszystkiego.

- Co jeszcze?

- Nie wiem. Coś śmierdzi. Popytam i zobaczymy, czego się dowiem.

- Wróć?

- Mhm. Byłoby lepiej znaleźć Merricka, zanim oni go znajdą, dałoby nam to trochę przewagi.

- Nie mam zamiaru oddawać im Merricka.

- Może nie być wyboru. Zaczął iść w stronę domu.

- Co znaczy *blat*? - zapytałem.

- Kontakty - odpowiedział.

- I to nie te legalnego rodzaju.

- A *volk*?

- To jest slang, słowo oznaczające policjanta albo detektywa. Rodzaj komplementu. - Schował broń do kabury nożonej pod pachą. - To znaczy wilk.

Jechaliśmy na północ do Jackman późnym popołudniem przez Shawmur i Hinckley i Skowhegan, przez Solon i Bingham, Moscow i Caratunk, przez miejsca bez nazw i nazwy bez miejsc, gdzie droga prowadzi wzdłuż rzeki Kennebec, powtarzając jej zakola i zakręty. Brzegi rzeki są porośnięte nagimi drzewami, a poszycie leśne oszalałami kolorami opadłego listowia. Stopniowo las zaczyna się zmieniać i wiecznie zielone wznoszą się strzeliście, ciemne na tle światła odchodzącego dnia, a w wietrze nadchodzi zapowiedź śniegu. Gdy zimno zaczyna kasać, las staje się coraz cichszy, bo zwierzęta zapadają w zimowy sen i nawet ptaki stają się apatyczne, by zachować energię.

Byliśmy na szlaku Arnolda, który poprowadził swoją ekspedycję w górę rzeki Kennebec do Quebecu. Jego oddział w sile tysiąca dwustu ludzi maszerował z Cambridge do Newburyport, potem korzystał z transportu wodą, żeglując po krętym korycie rzeki Kennebec, aż do Gardinerstown. Tam przesiedli się na lekkie łódki, więcej niż dwieście, z których każda mogła zabrać sześciu albo siedmiu ludzi wraz z ich zaopatrzeniem i bagażem, w sumie być może do dwustu kilogramów. Łódki zbudowane były w pośpiechu i z mokrego drewna przez Reubena Colburna w Gardinerstown, szybko zaczęły przeciekać i rozlatywać się, rujnując żołnierskie zapasy prochu, chleba i mąki. Trzy kompanie pod dowództwem Daniela Morgana zostały wysłane naprzód do Great Carrying Place pomiędzy dwoma rzekami Kennebec i Dead River, reszta przemieszczała się powoli za nimi, korzystając z zaprzęgów

wołów pożyczonych od osadników, żeby przeciągać łódki dookoła wodospadów niemożliwych do przekroczenia powyżej Fort Western, wciągając je na strome, pokryte lodem brzegi w Skowhegan Falls, przy czym większość żołnierzy skazana była na marsz, żeby zmniejszyć obciążenie łódek, aż dotarli w końcu do bagnistych terenów przy Carrying Place. Żołnierze tonęli w głębokim mchu, który wyglądał na stały grunt z daleka, ale okazał się zdradziecki pod stopami: było to jak pewnego rodzaju gorączka tropikalna, efekt podobny do szaleństwa dopadającego marynarzy, którzy zbyt długo przebywali na morzu i mieli halucynacje, że widzą suchy ląd tam, gdzie nie było lądu i tonęli w falach, skacząc w nie, tak tu jak echem odbiło się to na ziemi, która była miękka i ustępowała pod stopami, jak woda. Potykali się o kłody i wpadali w szczeliny i z czasem wykarczowali drogę, żeby móc podróżować tak, że przez wiele lat można było odnaleźć ich drogę po różnicy w kolorze liści po obu stronach tego szlaku.

Poruszyło mnie to, że krajobraz nakłada się jakby warstwowo, przeszłość na teraźniejszość. Te rzeki i lasy były nierozzerwalnie związane ze swoją historią; różnica pomiędzy tym, co było teraz, i tym, co minęło, zdawała się krucha. W tym miejscu duchy zmarłych żołnierzy przechodziły przez lasy i strumienie, które niewiele zmieniły się w trakcie mijających lat, w tym miejscu nazwiska rodzin pozostały niezmienione, ludzie ciągle posiadali ziemię, którą ich pradziadowie kupili za złote i srebrne monety, stare grzechy nadal tu trwały, bo żadna wielka zmiana nie dotarła tu, żeby zmyć pamięć o nich.

Tak więc to była ziemia, którą przemierzali żołnierze Arnolda, wyposażeni w strzelby, siekiery i długie noże. Teraz inne bandy uzbrojonych ludzi poruszały się po tej ziemi, dodając swój zgiełk do pełzającej ciszy zimy, osaczając ją hukiem swej broni i rykiem silników ciężarówek i czterokołowców, które niosły ich w dzikie ostępy. Lasy były pełne na pomarańczowo odzianych głupców, biznesmenów z Massachusetts i Nowego Jorku, którzy odpoczywali od pola golfowego, strzelając do łosi, niedźwiedzi i jeleni, przewodnikami ich byli miejscowi, wdzięczni za pieniądze zostawiane przez obcych, ale i pełni urazy z tego powodu, że potrzebują ich, by przeżyć.

Zatrzymaliśmy się tylko raz po drodze, przy domu, który był tylko trochę lepszy od szałasu, miał trzy albo cztery izby w sumie, okna niemyte, a wewnątrz ukryte za tanimi zasłonami. Podwórko było zarośnięte. Szeroko otwarte drzwi od garażu ukazywały zardzewiałe narzędzia i stopy drewna na opał. Nie było samochodu, bo jednym z warunków zwolnienia warunkowego Masona Dubusa był zakaz prowadzenia pojazdów.

Louis czekał na zewnątrz. Myślę, że Louis nie byłby w stanie znieść towarzystwa Dubusa, bo Dubus był takim człowiekiem, jak ci, którzy maltretowali Angela i Louis najbardziej żałował, że nigdy nie miał okazji ukarać tych, którzy tak zranili duszę jego ukochanego. Oparł się więc o samochód, i przyglądał bez słowa, jak otworzyły się lekko drzwi, zapięte na łańcuch i ukazała się w nich twarz człowieka. Miał żółtą skórę i zaczerwienione oczy. Jedną ręką, którą było widać, drżała niekontrolowanie.

- Słucham? - powiedział.

- Panie Dubus, nazywam się Charlie Parker. Zadzwoniono do pana, zawiadamiając, że chciałbym z panem porozmawiać.

Jego oczy się zwały.

- Być może. Ma pan jakiś, jak to się nazywa? Dowód tożsamości? Prawo jazdy, czy coś?

Pokazałem mu swoją licencję prywatnego detektywa. Wziął ją ode mnie i podniósł blisko do twarzy, sprawdzając każde słowo na niej, potem mija oddał. Popatrzył za mnie tam, gdzie stał Louis.

- Kim jest ten drugi facet?

- To przyjaciel.

- Złapie katar, stojąc tam. Może wejść, jak chce.

- Myślę, że woli czekać tam, gdzie jest.

- To jego wybór. Nie mówcie, że nie zapraszałem.

Drzwi zamknęły się na moment i usłyszałem szcęk usuwanego łańcucha. Kiedy drzwi otworzyły się ponownie, mogłem pierwszy raz dokładnie zobaczyć Dubusa. Był pochylony przez wiek, chorobę i przez lata spędzone w więzieniu, ale ciągle jeszcze w pewnym stopniu przypominał dużego, mocnego mężczyznę, którym był kiedyś. Ubranie miał czyste i

starannie wyprasowane: ciemne spodnie, niebieską koszulę w prążki i ściśle zawiązany różowy krawat. Używał też staroświeckiej wody kolońskiej, która zawierała ślady zapachu drzewa sandałowego i kadzidła. Wnętrze domu zadawało kłam wszelkim pierwszym wrażeniom wywołanym przez wygląd zewnętrzny domu. Deski podłogi lśniły i pachniało tam woskiem do mebli i odświeżaczem powietrza. Na małej półce w przedpokoju były książki w miękkiej oprawie i na samej górze stał tam staroświecki telefon z okrągłą tarczą. Przybita gwoździem do ściany jeszcze wyżej wisiała kopia „Dezyderaty”, pewnego rodzaju dwunastostopniowego programu dla tych doświadczonych przez udręki współczesnego życia. Reszta ścian była ozdobiona reprodukcjami obrazów w tanich ramach - niektóre nowoczesne, inne dużo starsze - chociaż najwyraźniej wszystkie były starannie dobrane.

Poszedłem za Dubusem do dziennego pokoju. I tu znowu wszystko było czyste, mimo że meble pochodziły ze sklepów z używanymi rzeczami, były porysowane i podniszczone. Mały telewizor stał na sosnowym stoliku, z włączonym programem komediowym. Na ścianach wisiało jeszcze więcej reprodukcji, jak również parę oryginalnych obrazów, każdy przedstawiający krajobraz. Jeden był znajomy. Podszedłem bliżej, żeby się przyjrzeć. Z daleka wyglądał jak obraz lasu: linia zielonych drzew na tle czerwonego zachodu słońca, ale potem zobaczyłem, że jedno drzewo było wyższe niż inne i miało krzyż na wierzchołku. Sygnatura Daniela Claya widniała w prawym dolnym rogu. Gilead.

- On mi to dał - powiedział Dubus. Stał na przeciwległym końcu pokoju, utrzymując dystans pomiędzy nami. Był to prawdopodobnie skutek pobytu w więzieniu, gdzie człowiek uczy się nie naruszać przestrzeni drugiego, nawet w takim zamkniętym miejscu, albo ponosi konsekwencje.

- Dlaczego?

- Za to, że rozmawiałem z nim o Gilead. Czy możemy usiąść? Łatwo się męczę. Muszę wziąć to lekarstwo.

Wskazał ręką na słoiczki z pastylkami na gzymsie komin-ka, gdzie trzy polana syczały i sypały iskrami.

- Ono sprawia, że czuję się senny.
- Usiadłem na kanapie naprzeciwko niego.
- Jeżeli chce pan kawy, to mogę zrobić - powiedział.
- Nie, dziękuję.
- W porządku. - Bębnił palcami po poręczy fotela, a oczy uciekały mu w stronę telewizora. Najwyraźniej przeszkodziłem mu w oglądaniu. Potem widocznie pogodził się z faktem, że nie będzie mu dane oglądać programu w spokoju, nacisnął przycisk na pilocie i obraz znikł.
- Więc co pan chce wiedzieć? - zapytał. - Przyjeżdżają tu od czasu do czasu ludzie: studenci, lekarze. Nie ma takich pytań, których by mi już nie zadano sto razy.
- Ja chciałbym wiedzieć, o czym pan rozmawiał z Danielem Clayem.
- Rozmawiałem z nim o Gilead - powiedział. - Zawsze tylko o tym rozmawiam. Kiedyś robiono mi testy, pokazywano zdjęcia i takie tam rzeczy, ale teraz już tego mi nie robią. Przypuszczam, że myślą, że już wiedzą wszystko, co chcieli o mnie wiedzieć.
- A wiedzą?
- Jego jabłko Adama poruszyło się. Słyszałem dźwięk, który wywołało głęboko w jego gardle. Przyglądał mi się przez chwilę, a potem odniosłem wrażenie, że jakby podjął jakąś decyzję.
- Nie, nie wiedzą. - odpowiedział.
- Dlaczego Clay interesował się Gilead? - zapytałem. Nie chciałem zrazić Dubusa. Mógł być senny i pod wpływem leków, ale ciągle był inteligentny.
- Chciał wiedzieć, co się tam działo. Opowiedziałem mu. Niczego nie pominąłem. Nie muszę niczego ukrywać. Ja się nie wstydzę tego, co robiliśmy razem. To było wszystko - skrzywił twarz w niesmaku - źle zrozumiane, źle interpretowane. Zrobiono z tego coś, czym nie było.
- „To, co robiliśmy razem”, jakby to była wspólna decyzja pomiędzy dorosłymi i dziećmi, tak naturalna, jak łowienie ryb albo zbieranie jagód w lecie.
- Dzieci umierały, panie Dubus.
- Skinął głową.

- To było nie w porządku. Nie powinno się zdarzyć. Ale chodziło o niemowlęta, a czasy były wtedy ciężkie. To, co je spotkało, można niemal uznać za błogosławieństwo losu.

- O ile wiem, jedno zostało zakłute na śmierć drutem do robótek ręcznych. To szczególna definicja błogosławieństwa losu.

- Proszę pana, pan mnie osądza? - Popatrzył na mnie spod przymrużonych powiek, drżenie jego rąk mogło sprawić wrażenie, że walczył, ale nie mógł opanować wielkiego gniewu.

- To nie do mnie należy.

- Właśnie. To dlatego byłem w dobrych stosunkach z doktorem Clayem. On mnie nie osądzał.

- Czy Daniel Clay kiedykolwiek rozmawiał z panem o dzieciach, które miał pod opieką?

- Nie. - Coś nieprzyjemnego ożywiło na moment rysy jego twarzy. - Jednak ja próbowałem. Nie dał się złapać. - Dubus zachichotał.

- Ile razy tu przyjechał?

- Dwa albo trzy, o ile sobie przypominam. Odwiedził mnie też w więzieniu, ale tylko raz.

- I to było wszystko wyłącznie na płaszczyźnie zawodowej. On przeprowadzał wywiad, a pan opowiadał.

- Zgadza się.

- A jednak dał panu jeden ze swoich obrazów. Wiem, że był bardzo wymagający wobec tych, którym dał swoje obrazy. Bardzo starannie ich wybierał.

Dubus przesunął się w fotelu. Jego grdyka zaczęła znowu skakać, co przypomniało mi, jak Andy Kellog poruszał wypadającym zębem. Obydwa objawy wskazywały na napięcie.

- Może mu pomogłem. Może nie patrzył na mnie jak na jakiegoś potwora. Widziałem to w twarzy pańskiego przyjaciela tam na zewnątrz i widziałem to też w pana twarzy, kiedy otworzyłem drzwi. Pan próbował to zamaskować grzecznością i dobrymi manierami, ale czułem, co pan myślał. A potem pan wszedł tutaj, zobaczył obrazy on ścianach i jak wszystko jest czyste i uporządkowane. Nie tarzam się we własnym brudzie. Nie śmierdzą ani nie noszę niepranych, zniszczonych ubrań. Myśli pan, że chcę, żeby na zewnątrz mój

dom i otoczenie wyglądały tak, jak wyglądają? Pan myśli, że nie chcę tego dać pomalować i trochę naprawić? Nie mogę. Robię to, co daję radę tutaj, ale nie ma nikogo, kto chciałby pomóc takiemu człowiekowi jak ja utrzymać dom w porządku. Zapłaciłem za to, co powiedziano, że zrobiłem, zapłaciłem całymi latami swojego życia, i będą mi kazać płacić do końca moich dni, ale ja im nie dam satysfakcji, załamując się. Jak chcecie potworów, szukajcie gdzie indziej.

- Czy Daniel Clay był potworem?

To pytanie zaskoczyło go i uciszyło. Potem, po raz drugi zobaczyłem, jak inteligencja pracuje za uschniętą fasadą, ta pełzająca, obrzydliwa, niemoralna siła, która pozwoliła mu robić, to co robił i usprawiedliwić się przed sobą. Przyszło mi do głowy, że to mogło być to, co dostrzegły dzieci w Gilead, kiedy zbliżał się do nich, zatykając im ręką usta, by zdławić ich krzyk.

- Pan ma swoje podejrzenia wobec niego, tak jak ci inni - zauważył Dubus. - Pan chce, żebym panu powiedział, czy to prawda, bo jeżeli coś takiego byłoby naszym wspólnym udziałem, gdybyśmy obydwaj mieli takie same upodobania, wtedy może ja bym wiedział o tym, albo on by się otworzył przede mną. No, jeżeli pan tak myśli, to jest pan głupcem, panie Parker. Jest pan głupcem i pewnego dnia pan zginie przez swoją głupotę. Nie mam czasu rozmawiać z głupcami. Niech pan się lepiej już stąd zabiera. Niech pan pojedzie tam, bo wiem, dokąd pan się udaje. Może pan znajdzie odpowiedź w Gilead. To tam Daniel Clay znalazł odpowiedzi na swoje pytania. O, tak, znalazł to, czego szukał, ale nie wrócił stamtąd. Lepiej, żeby pan stąpał ostrożnie, bo też pan nie wróci. Mroczne Gilead, wdziera się do samego środka duszy.

Uśmiechał się teraz szeroko, ten strażnik tajemnicy Gilead.

- Czy spotkał pan człowieka nazwiskiem Jim Poole, panie Dubus?

Udał, że się głęboko zastanawia.

- A wie pan, że chyba spotkałem. Był głupcem, tak jak pan.

- On zaginął.

- Zgubił się. Gilead go zabrało.

- Tak pan myśli?
- Ja to wiem. Nie ma znaczenia, gdzie on jest, czy żyje, czy nie, bo jest więźniem Gilead. Kiedy człowiek postawi stopę w Gilead, to się zatracą. Spojrzenie Dubusa zapadło się do wewnątrz, przestał mrugać oczami.
- Mówili, że przynieśliśmy zło do tego miejsca, ale ono już tam było - powiedział, a w jego głosie był ślad zadziwienia.
- Poczulem to, kiedy tylko postawiłem tam stopę. Stary Lumley wybrał złe miejsce na swoje miasto schronienia. Ziemia była zatruta i my też byliśmy zatruci. Kiedyśmy wyjechali, las, albo coś pod nim, przejęło to miejsce z powrotem.
- Zaśmiał się krótko, chorobliwie.
- Za dużo mam czasu dla siebie - powiedział. - Za dużo czasu na rozmyślanie.
- Co to był „Projekt”, panie Dubus?
- Jego śmiech zgasł.
- „Projekt”. „Hobby”. „Gra”. Wszystkie te słowa znaczą tę samą rzecz.
- Wykorzystywanie dzieci.
- Potrzęsął głową.
- Może pan to tak nazwać, ale to dlatego, że pan nie rozumie. To piękna sprawa. To właśnie próbuję wyjaśnić tym, którzy tu przychodzą, ale oni nie słuchają. Nie chcą wiedzieć.
- Czy Daniel Clay słuchał?
- On był inny. On rozumiał.
- W jaki sposób?
- Ale Dubus nie odpowiedział.
- Czy pan wie, gdzie jest Daniel Clay? - zapytałem.
- Dubus pochylił się do przodu.
- Kto wie, dokąd idą zmarli ludzie - powiedział. - Jedzie pan na północ, to może pan się dowie. Czas na mój program.
- Kliknął pilotem, regulując równocześnie głośność i telewizor z rykiem wrócił do życia. Obrócił się w fotelu, nie siedział już twarzą do mnie. Sam wyszedłem.
- Kiedy odjeżdżaliśmy, zobaczyłem drgnienie zasłon w oknie Dubusa. Ręka wznosiła się w pożegnalnym geście, a ja

byłem przeświadczony, że w tym swoim czystym, uporządkowanym domu, stary człowiek śmieje się ze mnie.

W dniach, które nastąpiły, policja usiłowała sklecić ogniwa łańcucha wydarzeń, połączyć zwłoki ze sprawcami, kontakty z zabójstwami. W trakcie ostatnich godzin życia, Dubus zatelefonował dwa razy na ten sam numer. Po jego śmierci, telefon został znaleziony koło jego ciała. Przedtem ukrywał go pod obluzowaną deską pod łóżkiem i żeby zniechęcić tych, którym powierzono monitorowanie go, do szukania telefonu, trzymał na tym miejscu wpełniony nocnik, a jego smród gwarantował, że żaden wybredny kurator sądowy nie zaryzykowałby ruszania go, choć coś takiego powinno przecież wydać się podejrzane w tak nieskazitelnie czystym domu. Telefon komórkowy opłacono z góry i kupiono za gotówkę w hipermarkecie miesiąc wcześniej. Nie był to, jak przypuszczała policja, pierwszy raz, gdy ktoś pomógł Dubusowi w ten sposób obejść zakaz używania telefonu.

Dubus odbył swoją ostatnią rozmowę telefoniczną w życiu parę minut po tym, jak Louis i ja wyjechaliśmy stamtąd i potem, przypuszczalnie, schował telefon do kryjówki i wrócił do oglądania programu w telewizji. Tik-tak, tik-tak mijały sekundy, odliczając do momentu, kiedy Mason Dubus wreszcie odejdzie z padółu ziemskiego i stanie twarzą w twarz z wielkim sędzią, który czeka na każdego człowieka.

Ale to wszystko dopiero miało nadejść. W tej chwili, światło dnia odeszło. Nie było księżycy. Jechaliśmy dalej, niewiele rozmawiając. Cicho grała muzyka, samochodowe radio stereo nadawało piosenkę grupy The National, która śpiewała o gołębiach w umyśle i jastrzębiach w sercu, a ja myślałem o mężczyznach z głowami ptaków.

W końcu dojechaliśmy do Jackman i mroczne Gilead wdarło się do naszych dusz.

V

Zemsta staje się swoim własnym katem.

John Ford, *Złamane serce*

Często mówi się, że istnieją dwa różne stany Maine. Jest Maine od lata i turystów, Maine od rolady z homara i lodów, jachtów i klubów żeglarskich, Maine, który zajmuje porządny kawałek wybrzeża daleko na północ, aż do Bar Harbor, gdzie nadzieje szybują, a ceny nieruchomości im dorównują, jest także Maine tych miasteczek bez urody i szczęścia, które nie przyciągają turystycznego dolara, albo tych, które były świadkami upadku i śmierci swoich gałęzi przemysłu i pozostały bez środków do życia na oceanie dobrobytu. Pozostała część Maine prześmiewczo określa mieszkańców tego regionu jako tych z nizin albo, w jeszcze bardziej trudnych momentach, skreśla ich całkowicie, jako zamieszkałych w „północnym Massachusetts”.

Ten inny stan Maine różni się całkowicie. Jest to przede wszystkim Maine wielkich lasów, a nie oceanu, zdominowany przez „Hrabstwo”, albo Aroostook, które zawsze było odbierane jako oddzielna całość, chociażby z powodu samego rozmiaru. Leży na północy i wewnątrz lądu, jest wiejski i konserwatywny, a jego sercem jest Great North Woods.

Jednak lasy te zaczęły się zmieniać. Ogromne przedsiębiorstwa produkujące papier, niegdyś podstawa gospodarki, zaczęły wypuszczać z rąk ziemię, widząc, że nieruchomości przynoszą więcej pieniędzy, aniżeli hodowanie i ścinanie drzew. Plum Creek, największa amerykańska firma produkująca papier, która była właścicielem prawie pięciuset tysięcy akrów w okolicy jeziora Moosehead, przeznaczyła tysiące tych akrów pod jak najszerwsze zagospodarowanie komercyjne, pod parkingi dla samochodów kempingowych, domy,

letnie domki do wynajęcia i tereny przemysłowe. Dla tych z południa oznaczało to niszczenie największego terenu naturalnego środowiska stanu; ale dla tych w tym innym stanie Maine to oznaczało miejsca pracy i pieniądze i napływ świeżej krwi do zamierających społeczności.

Prawda jest taka, że baldachim lasu okrywał najszybciej rosnący wskaźnik ubóstwa w całym kraju. Miasta kurczyły się, szkoły stawały się coraz mniejsze i bystra młodzież z nadziejami na przyszłość wyjeżdżała do York i Cumberland, do Bostonu i Nowego Jorku. Kiedy zamknięto fabryki papieru, wtedy dobrze płatne stanowiska zostały zastąpione przez robocizną za płacę minimalną. Dochody z podatków spadły. Przestępstwa, przemoc w rodzinie i nadużywanie środków odurzających wzrosły. Long Pond, kiedyś większe od Jackman, praktycznie zamarło wraz z zamknięciem miejscowej fabryki papieru. W Hrabstwie Waszyngton, prawie w bezpośredniej bliskości letniego placu zabaw w Bar Harbor, jeden na pięciu mieszkańców żył w nędzy. W Somerset, gdzie leży Jackman, był to jeden na sześciu, a do Centrum Pomocy dla Młodzieży i Rodziny w Skowhegan ciągnął regularny pochód ludzi, potrzebujących żywności i ubrań. W niektórych okolicach były wieloletnie listy oczekiwania na przyznanie bonu na dopłaty za czynsz zgodnie z ustępem 8 ustawy, w czasie, kiedy pomoc i fundusze na dopłaty do czynszów na obszarach wiejskich równomiernie spadała.

Jednak miasto Jackman, dziwna rzecz, rozwinęło się w ostatnich latach, częściowo z powodu wydarzeń jedenastego września. Liczba mieszkańców gwałtownie tam spadła w latach dziewięćdziesiątych i połowa zasobów mieszkaniowych była pusta. Miasto miało jeszcze swoją fabrykę papieru, ale zmieniający się charakter turystyki oznaczał, że ci, którzy teraz przyjeżdżali na północ, przybywali w samochodach z częścią mieszkalną, albo wynajmowali domki letnie i gotowali sami, zostawiając niewiele pieniędzy w mieście. Potem samoloty uderzyły i nagle Jackman znalazło się na linii frontu w walce o obronę granic Stanów Zjednoczonych. Służba celna i Straż graniczna podwoiły zastępy. Ceny domów skoczyły w

górze i w sumie Jackson było teraz w lepszej sytuacji, aniżeli w ciągu wielu poprzednich lat. Ale nawet według standardów Maine, Jackman nadal było daleko od wszystkiego. Najbliższa siedziba administracji powiatu, mieściła się w Skowhegan, dziewięćdziesiąt kilometrów na południe, a policja musiała przyjeżdżać do Jackman z Bingham, z odległości prawie sześćdziesięciu kilometrów. Było to, na swój dziwny sposób, miejsce bezprawia.

Gdy tylko wyjechaliśmy z Solon, pojawiła się przed nami rzeka Kennebec. Na skraju drogi widniał napis: *Witajcie w Dolinie rzeki Moose. Jeżeli nie zatrzymujecie się, uśmiechnijcie się w czasie przejazdu.*

Popatrzyłem na Louisa.

- Nie uśmiechasz się - powiedziałem.
- Dlatego, że zatrzymujemy się tutaj.

Uznałem, że to stwierdzenie można rozumieć na parę różnych sposobów.

Nie skierowaliśmy się tego wieczoru do Jackman. Zamiast tego zjechaliśmy z drogi kawałek pod miastem. Był tam zajazd na małym wzniesieniu, z pokojami w motelowym stylu, małym barem obok recepcji i restauracją z długimi ławkami, gdzie karmiono myśliwych, którzy pozwalali mu egzystować w zimie. Angel już się zameldował, ale nigdzie nie było go widać. Poszedłem do swojego pokoju: miał proste umeblowanie, małą kuchenkę w kącie, podłogowe ogrzewanie. Było potwornie gorąco. Wyłączyłem ogrzewanie, ignorując ostrzegawczy napis, że ponowne nagrzanie pokoju do maksymalnej temperatury zajmie systemowi dwanaście godzin i potem wróciłem do głównego budynku.

Angel był w barze, przed nim stało piwo. Siedział na barowym stolku i czytał gazetę. Nie zareagował, gdy zobaczył, że wchodzi. Po jego lewej stronie było dwóch mężczyzn. Jeden z nich popatrzył na Angela i powiedział coś szeptem do swojego kumpla. Roześmiali się nieprzyjemnie, a mnie coś powiedziało, że ta wymiana zdań już chwilę trwała. Podeszedłem bliżej. Ten, który coś powiedział, był muskularny i wyraźnie to eksponował. Miał na sobie zielony podkoszulek, i pomarańczowe, myśliwskie impregnowane spodnie na szelkach.

Głowę miał gładko ogoloną, tylko cień włosów między głębokimi zakolami, odznaczał się jak strzała nad jego czołem. Jego kumpel był mniejszy i tęższy, jego podkoszulek za duży i luźny, żeby ukryć bandzioch. Zarost na twarzy wyglądał jak nieudana próba ukrycia braku podbródka. Wszystko w nim wyrażało chęć ukrywania, świadomość niepowodzeń. Chociaż uśmiechał się, jego spojrzenie niespokojnie przenosiło się z Angela na przyjaciela, jak gdyby przyjemność, której doświadczał z dręczenia kogoś innego, była zabarwiona ulgą, że to nie on jest ofiarą tym razem, ulgą ograniczoną świadomością, że umięśniony mężczyzna mógł z łatwością wziąć jego na cel, a gdyby tak zrobił, nie byłoby to pierwszy raz.

Duży mężczyzna postukał końcem palca w gazetę Angela.

- Jak leci, stary? - spytał.

- W porządku - odparł Angel.

- Jasne. - Mężczyzna zrobił nieprzyzwoity gest ręką i językiem. - Jestem pewny, że jesteś naprawdę w porządku.

Roześmiał się głośno. Jego przyjaciel dołączył, jak szczeniak szczekający z dużym psem. Angel nie spuszczał oczu z gazety.

- Słuchaj, nie chciałem nic przez to powiedzieć - zapewnił mężczyzna. - Trochę się tylko zabawiamy, to wszystko.

- Widzę - powiedział Angel. - Widzę, że jesteś zabawnym facetem.

Uśmiech mężczyzny zgasł, gdy dotarł do niego sarkazm.

- Co to ma znaczyć? - zapytał. - Coś ci nie pasuje?

Angel upił mały łyk piwa, złożył gazetę i westchnął. Jego główny napastnik zbliżył się, a przyjaciel wpychał za nim. Angel rozłożył ręce szeroko i poklepał obu mężczyzn po pierśsi. Barman dokładał starań, żeby nie dać się wciągnąć w drakę, ale widziałem, jak obserwuje, co się dzieje w lustrze nad kasą. Był młody, ale już zdążył widzieć to wszystko. Broń, piwo i zapach krwi to kombinacja, która gwarantuje wydobywanie najgorszych cech u prymitywnych ludzi.

- Zabieraj te swoje cholerne łapy ode mnie - powiedział pierwszy mężczyzna. - Zadałem ci pytanie - coś ci nie pasuje? - bo zdaje mi się, że masz jakiś problem. Więc jak, masz jakiś problem?

Angel jakby rozważał pytanie.

- No więc - odparł - boli mnie krzyż, utknąłem w pipid-
ówce z jakimiś uzbrojonymi świrami i nie zawsze jestem
pewny, czy jestem z właściwym mężczyzną.

Na moment powstało zamieszanie.

- Co? - powiedział duży facet.

Angel też przybrał zdziwiony wyraz twarzy, potem się roz-
pogodził.

- O - powiedział. - Pytasz, czy mam jakiś problem z wa-
mi?

Zrobił lekceważący ruch prawą ręką. - Nie mam z wami
wcale żadnego problemu - oświadczył. - Ale, z drugiej strony
myślę, że mój przyjaciel za tobą może mieć z wami duży pro-
blem.

Większy mężczyzna obrócił się. Jego kumpel już się wyco-
fał, ustępując Louisowi miejsca przy barze.

- Jak leci? - spytał Louis, który wszedł do baru zaraz po
mnie i zorientował się, co się dzieje tak samo szybko jak ja.
Stałem teraz koło niego, ale było jasne, że to on stanowił
główną atrakcję.

Dwaj mężczyźni popatrzyli na Louisa i rozważyli swoje
możliwości. Żadna nie wyglądała dobrze. A przynajmniej
jedna z nich mogła strasznie boleć.

Samiec alfa dokonał wyboru, decydując się na utratę
odrobiny godności zamiast podejmowania śmiertelnego ry-
zyka.

- Mam się dobrze - oświadczył.

- No, tośmy wszyscy szczęśliwi - powiedział Louis.

- Chyba tak.

- Wygląda na to, że będą podawać kolację.

- No, wygląda.

- Myślę, że lepiej żebyście już poszli. Nie chcecie przecież
przegapić swoich porcji wiktuałów.

- Mhm.

Próbował prześlizgnąć się koło Louisa, ale utknął na swo-
im grubym przyjacielu, który się nie ruszył, więc musiał go
zepchnąć z drogi. Jego twarz poczerwieniała z upokorzenia.
Przyjaciel zaryzykował jeszcze jedno spojrzenie na Louisa i
potruchtał za łysym.

- Dobrze miejsce wybrałeś - powiedziałem do Angela. -

Może trochę za dużo testosteronu, no i mogłyby być trudności z wypełnieniem karnetu tańców, ale jest słodziutkie.

- Cholernie długo jechaliście - zauważył Angel. - Niewiele jest tu do roboty, jak już zapadnie noc i robi się ciemno, jakby ktoś przekreślił wyłącznik. Nawet nie ma telewizora w pokoju.

Zamówiliśmy hamburgery i frytki i, nie chcąc się przyłączać do grup myśliwych w sali obok, wybraliśmy stolik przy barze.

- Dowiedziałeś się czegoś?

- Dowiedziałem się, że nikt nie chce rozmawiać o Gilead, tego się dowiedziałem. Najlepiej mi poszło z pewnymi starszymi paniami opiekującymi się cementarzem. Z tego co mówią, wynika, że pozostałość Gilead jest teraz na prywatnym terenie. Człowiek nazwiskiem Caswell kupił to piętnaście lat temu, razem z innymi pięćdziesięcioma akrami lasu dokoła. Mieszka blisko. Zawsze tu mieszkał. Nie prowadzi życia towarzyskiego. Nie jest rotarianinem. Pojechałem tam. Jest tam tablica i zamknięta brama. Najwyraźniej nie lubi myśliwych, intruzów i sprzedawców.

- Czy Merrick tam był?

- Jeżeli był, to nikt go nie widział.

- Może, Caswell?

Jest tylko jeden sposób, żeby się dowiedzieć.

- Tak.

Przyglądałem się jedzącym myśliwym i skupilem na dwóch mężczyznach, którzy przyczepili się do Angela. Siedzieli w kącie, ignorując innych dokoła siebie. Wszędzie było pełno broni i dużo agresywnej męskości do kompletu. To nie była dobra sytuacja.

- Twoi kumple z baru? - powiedziałem do Angela. Angel pokiwał głową.

- Phil i Steve. Z Hoboken.

- Myślę, że byłoby dobrze wyprawić ich w drogę.

- Z przyjemnością - odparł Angel.

- Nawiasem mówiąc, skąd znasz ich imiona?

Angel wsunął ręce do kieszeni marynarki. Wyłoniły się z dwoma portfelami.

- Stare nawyki.

Zajazd był zbudowany na nieckowatym terenie, budynek mieszczący bar i recepcję stał na wzniesieniu przy drodze a pokoje i domki u stóp stoku. Nie było trudno dowiedzieć się, gdzie mieszkały miejscowe homofoby, bo każdy gość musiał nosić swój klucz z przywieszką przyciętą z pnia małego drzewa. Klucz leżał przed dwoma facetami, kiedy dręczyli Angela. Byli w domku numer czternaście.

Wstali od stołu jakieś piętnaście minut po skończeniu posiłku. Angela i Louisa nie było. Dwaj mężczyźni nawet na mnie nie spojrzeli, gdy wychodzili, ale czułem, że się gotują z gniewu. Wypili do spółki siedem półlitrowych kufli piwa w trakcie i po jedzeniu i pewnie wkrótce zaczęliby szukać jakiejś formy odwetu za przegraną w barze.

Temperatura spadła nagle wraz z zapadnięciem nocy. W ocienionych miejscach poranny śnieg nie stopniał. Ci dwaj mężczyźni szli szybko do swojego domku, większy prowadził, a mniejszy z bródką podążał za nim. Weszli i zobaczyli, że ich strzelby myśliwskie zostały rozłożone na części, które leżą na podłodze. Ich torby stały koło broni spakowane i zamknięte.

Najbliżej nich, po ich lewej, stał Louis. Angel usadowił się przy stole koło pieca. Phil i Steve z Hoboken przyjrzeni się dwóm mężczyznom. Phil, większy i bardziej agresywny z nich dwóch, chciał coś powiedzieć, ale gdy zobaczył broń w rękach obu gości, powstrzymał się od tego.

- Wiecie, że nie ma domku numer trzynaście? - powiedział Angel.

- Co? - spytał Phil.

- Powiedziałem: wiecie, że nie ma domku numer trzynaście w tym zajeździe? Numery przeskakują z dwanaście do czternaście z tego powodu, że nikt nie chce być w numerze trzynaście. Ale to jest i tak nadal domek numer trzynaście, więc tak naprawdę jesteście jednak w numerze trzynaście i to dlatego macie takiego pecha.

- Dlaczego mamy pecha? - Naturalna wrogość Phila wracała, podbudowana trochę pijacką odwagą z baru. - Widzę tu dwóch gnojków, którzy zaleźli do obcego domku i zaczęli zaćpieć nie tych facetów. To wy macie pecha. Nie macie

pojęcia, komu wchodzicie w drogę.

Stojący koło niego Steve przestąpił nieswój z nogi na nogę. Pomimo mylących pozorów był na tyle mądry albo trzeźwy, żeby zdawać sobie sprawę, że nie należy drażnić dwóch facetów z bronią, kiedy samemu się jest zupełnie bez broni, albo przynajmniej bez takiej, którą dałoby się złożyć na tyle szybko, żeby była przydatna.

Angel wyjął portfele ze swojej kieszeni i pomachał nimi do obu facetów.

- Jednak wiemy - powiedział. - Wiemy dokładnie, kim jesteście. Wiemy, gdzie mieszkacie, gdzie pracujecie. Wiemy, jak wygląda twoja żona, Steve i wiemy, że Phil chyba jest w separacji z matką swoich dzieci. To smutne, Phil. Zdjęcia dzieciaków są, ale nie widać mamusi. No, ale taki kutas z ciebie, że trudno mieć do niej pretensje, że cię wyrzuciła.

Wy, natomiast, nic nie wiecie o nas poza tym, że stoimy teraz tutaj i jesteście niezadowoleni z powodu waszego gadulstwa. Tak więc proponujemy wam: wsadzacie swoje tyłki do samochodu i ruszacie na południe. Ten twój kumpel może prowadzić, Phil, bo ty wypiełeś o parę więcej niż on. Jak ujedziecie, no może ze sto pięćdziesiąt kilometrów, zatrzymacie się i znajdziecie sobie pokój. Dobrze prześpijcie całą noc. Jutro wrócicie do Hoboken i nigdy więcej nas nie zobaczycie. No, prawdopodobnie nigdy. Ale nigdy nic nie wiadomo. Może poczujemy ochotę, żeby was odwiedzić pewnego dnia. Może będzie trasa koncertowa Sinatry, na którą się zabierzemy. Będziemy mieć powód, żeby wpaść i powiedzieć „cześć” tobie i Steve'owi. Chyba że chcielibyście dać nam jakiś bardziej pilny powód, żeby tam za wami jechać.

Phil spróbował jeszcze jednej sztuczki. Jego upór był prawie godny podziwu.

- Mamy przyjaciół w Jersey - powiedział znacząco.

Angel wyglądał na szczerze zdziwionego. Odpowiedź, którą dał, mogła pochodzić tylko od mieszkańca Nowego Jorku.

- Dlaczego ktoś miałby przechwalać się czymś takim? - zapytał. - I kto by, do cholery, chciał jechać do Jersey?

- Człowiek mówi - powiedział Louis - że ma *przyjaciół* w Jersey.

- O - powiedział Angel.

- O, rozumiem. My też oglądamy „Rodzinę Soprano”. Zła wiadomość dla ciebie, Phil, jest taka, że nawet gdyby to była prawda, a ja wiem, że nie jest, to my jesteśmy tymi ludźmi, do których przyjaciele z Jersey dzwonią, jeżeli rozumiesz, o co mi chodzi. Łatwo to zrozumieć, jak się dobrze zastanowisz. Widzisz, my mamy pistolety. Wy macie myśliwskie strzelby. Przyjechaliście tutaj polować na jelenia. My nie przyjechaliśmy polować na jelenia. Nie poluje się na jelenia z glockiem. Poluje się na inne stworzenia, ale nie na jelenie.

Ramiona Phila opadły. Nadszedł czas, by przyznać się do porażki.

- Chodźmy - powiedział do Steve'a.

Angel rzucił mu portfele. Z Louisem przyglądali się, jak mężczyźni ładują swoje torby i kawałki rozebranych strzelb bez iglic, które Angel wyrzucił do lasu. Kiedy skończyli, Steve zajął miejsce kierowcy, a Phil stał przy drzwiach dla pasażera. Angel i Louis leniwie opierali się o poręcz ganku domku, tylko broń świadczyła, że nie był to taki sobie kwartet znajomych osób w trakcie pożegnania.

- I to wszystko dlatego, że trochę pozartowaliśmy z ciebie w barze - powiedział Phil.

- Nie - powiedział Angel. - Wszystko dlatego, że jesteście dupki.

Phil wsiadł do samochodu i odjechali. Louis zaczął, aż ich światła znikły, a potem poklepał Angela delikatnie po wierzchu dłoni.

- A my - powiedział - my przecież nigdy nie dostajemy telefonów z Jersey.

- Wiem - odpowiedział Angel. - Po co mielibyśmy chcieć rozmawiać z kimś w Jersey?

Skończywszy robotę, poszli się położyć.

Następnego ranka jechaliśmy na północ do Jackman. Utknęliśmy i musieliśmy czekać, żeby przy centrum handlowym Faktoria w Jackman mogła wykręcić ciężarówka. Choć był listopad, T-shirty wisiały przed sklepem na stojaku. Tuż obok stał stary, czarno-biały wóz policyjny z manekinem na siedzeniu kierowcy i to była jedyna szansa, żeby z bliska zobaczyć policjanta na tej dalekiej północy.

- Czy tu w ogóle mają policjantów? - zapytał Louis.
- Przypuszczam, że był tu jakiś jeden policjant w latach sześćdziesiątych czy siedemdziesiątych.
- Co się z nim stało? Umarł z nudów?
- Tu jest raczej spokojnie. O ile wiem, jest tu teraz jeden posterunkowy.
- Założę się, że długie, zimowe noce po prostu przelatują mu migiem.
- Mieli tu kiedyś raz zabójstwo.
- Raz?

Nie zrobiło to na nim wrażenia.

- To była całkiem znana historia w tym czasie. Facet nazwiskiem Nelson Bartley, który był właścicielem Moose River House dostał postrzał w głowę. Znaleźli jego ciało wepchnięte pod wyrwane z korzeniami drzewo.
- I kiedy to było?
- W tysiąc dziewięćset dziewiętnastym. Coś sobie przypominam, że miało to jakiś związek z przemytem rumu.
- Chcesz powiedzieć, że nic nie było od wtedy?

- Większość ludzi w tych stronach nie spieszy się z umiowaniem, jeżeli może - powiedziałem. - Może ci się to wydać niepokojące.

- Chyba się obracam w innych kręgach.

- Właśnie. Nie lubisz za bardzo życia na wsi, co?

- Miałem dość życia na wsi jako chłopiec. Nie podobało mi się wtedy zbyt. Nie sądzę, żeby coś się zmieniło od tamtych czasów.

Koło Faktorii były także bliźniacze toalety, jedna nad drugą. Na drzwiach górnej było napisane „Konserwatyści”. Na drzwiach niższej - „Liberałowie”.

- Twoi ludzie - odezwałem się do Louisa.

- Nie moi ludzie. Jestem liberalnym republikaninem.

- Nigdy tak naprawdę nie rozumiałem, co to znaczy.

- Znaczy, że uważam, że ludzie mogą robić wszystko, co tylko chcą, dopóki nie robią tego nigdzie blisko mnie.

- Myślałem, że to bardziej skomplikowane.

- Nie, to wszystko. Myślisz, że powinienem wejść tam i poinformować ich, że jestem gejem?

- Na twoim miejscu nie powiedziałbym im nawet, że jestem czarny - wtrącił Angel z tylnego siedzenia.

- Nie sądz tego miejsca po tych toaletach tam - poradziłem. - To jest tylko po to, żeby turyści mieli się z czego śmiać. Takie małe miasteczko jak to nie przetrwałoby, nie rozwinęło się ani trochę, gdyby ludzie, którzy tu żyją, byli bigotami i durniami. Nie dajcie się zwieść takiej opinii.

Dziwne, ale zamilkli.

Dalej za Faktorią, po lewej stronie, dwie bliźniacze wieże kościoła św. Antoniego, zbudowane z miejscowego granitu w 1930, majaczyły na tle jasnoszarego nieba. Taki kościół wyglądałby naturalnie w wielkim mieście, ale tutaj wydawał się osobliwy w tym miasteczku z tysiącem dusz. Jednak dostarczył Bennetowi Lumleyowi wzoru, do którego dążył, tworząc Gilead, bo zdecydował, że wieża jego kościoła przewyższy nawet wieżę św. Antoniego.

Miejscowość Jackman albo Holden, jak się wpieryw nazywała, została założona przez Anglików i Irlandczyków, a

Francuzi przyszli i dołączyli do nich później. Tam, gdzie dawniej była usytuowana Faktoria - punkt wymiany handlowej - kiedyś znajdowała się część terenu zwanego Little Canada i od tamtego miejsca do mostu, to była katolicka część miasta i dlatego kościół św. Antoniego stał na wschodnim brzegu rzeki. Po przejściu mostu wchodziło się na protestanckie terytorium. Znajdował się tam kościół kongregacyjny independystów i też episkopalny, których to protestantów można było lubić, będąc katolikiem, albo przynajmniej tak mówił mój dziadek. Nie wiedziałem, jak bardzo zmieniło się to miejsce od tamtych czasów, ale byłem całkiem pewny, że ten stary podział jeszcze istniał, z dokładnością do paru domów mniej lub więcej.

Czerwony budynek stacji kolejowej w Jackman stał obok linii kolejowej, która przecinała miasto, ale była teraz własnością prywatną. Główny most w mieście właśnie naprawiano, a objazd poprowadził nas przez tymczasową przeprawę i do powiatu Moose River. Po prawej stronie był skromny kościół kongregacyjny independystów w Moose River, który tak miał się do św. Antoniego, jak drużyna miejscowej Małej Ligi do Red Soksów.

W końcu dojechaliśmy do drogowskazu do cmentarza w Holden, naprzeciwko ośrodka rekreacyjnego Windfall, którego niebieskie szkolne autobusy, puste teraz, sennie stały w kolejce. Do cmentarza wiodła droga gruntowa utwardzona kamieniami, ale była stroma i obludzona, więc zostawiliśmy samochód w najwyższym punkcie drogi i poszliśmy dalej piechotą. Droga biegła między zamarznąłą sadzawką i kawałkiem mokradła bobrów, potem ukazały się kamienie nagrobne cmentarza na zboczu góry po lewej. Były małe, ogrodzony drucianym płotem z niezamkniętą małą bramką, którą mogła przejść tylko jedna osoba na raz. Groby miały daty idące wstecz aż do dziewiętnastego wieku, prawdopodobnie do czasów, kiedy ta miejscowość była tylko osadą.

Obejrzałem pięć nagrobków najbliższej bramy, trzy duże kamienie, dwa małe. Na pierwszym był napis: HATTIE E., ŻONA JOHNA CHILDSA, i daty jej urodzin i śmierci: 11 kwietnia 1865 i 26 listopada 1891. Obok stały dwa mniejsze kamienie: Clara M. i Vinal F. Według napisu na kamieniu,

Clara M. urodziła się 16 sierpnia 1895 i zmarła zaledwie miesiąc później, 30 września 1895. Czas dany Vinalowi F. na ziemi był jeszcze krótszy: urodzony 5 września 1903 zmarł 28 września. Czwarty nagrobek należał do Lilan L., drugiej żony Johna i przypuszczalnie matki Clary i Vinala. Urodziła się 11 czerwca 1873 i zmarła niecały rok po swoim synu 16 maja 1904. Ostatni nagrobek nosił nazwisko samego Johna F. Childsa, urodzonego 8 września 1860, który zmarł, przeżywszy swoje dwie żony i dwoje dzieci, 18 marca 1935. Nie było innych kamieni nagrobnych w pobliżu. Zastanawiałem się, czy John F. był ostatnim z rodu. Tu, na tym maleńkim cmentarzu, historia jego życia została wyryta na pięciu kawałkach kamienia.

Ale nagrobek, którego szukaliśmy, był w najodleglejszym południowym kącie cmentarza. Nie było na nim imion, ani dat urodzin i śmierci. Napis głosił: DZIECI Z GILEAD, po którym następowało to samo słowo wyryte trzy razy:

NIEMOWLĘ

NIEMOWLĘ

NIEMOWLĘ

i błaganie do Boga, żeby miał litość nad ich duszami. Jako nieochrzczone, dzieci były pierwotnie pochowane na zewnątrz cmentarza, ale kiedyś w przeszłości dyskretnie zmieniono położenie płotu w tym zakątku i Dzieci z Gilead leżały teraz w granicach cmentarza. Mówiło to wiele o ludziach tego, miasta, którzy spokojnie i bez zamieszania przytulili te stracone niemowlęta i pozwolili im spocząć na terenie cmentarza.

- Co się stało z mężczyznami, którzy to zrobili? - zapytał Angel.

Popatrzyłem na niego i zobaczyłem żal wyłobiony w jego twarzy.

- Mężczyznami i kobietami - poprawiłem go. - Kobiety musiały wiedzieć i z jakiegoś powodu brać udział w tym, co się stało. Dwoje z tych dzieci zmarło z nieznanых przyczyn, ale jedno był zakłute drutami do robótek ręcznych, wnet po narodzeniu. Słyszałeś kiedyś o mężczyźnie zakłuwającym dziecko drutami do robót ręcznych? Nie, kobiety tuszowały

to, czy to ze strachu, czy wstydu, czy jeszcze czegoś innego. Nie przypuszczam, żeby Dubus kłamał na ten temat. Nikomu nigdy nie przedstawiono zarzutów. Władze przeprowadziły badanie dwóch dziewcząt i potwierdziły, że ostatnio urodziły dzieci, ale nie było dowodów łączących te urodziny z ciałami, które odnaleziono. Społeczność skrzyknęła się i stwierdziła, że dzieci zostały oddane do prywatnej adopcji. Nie prowadzili dokumentacji urodzin, co już było przestępstwem samo w sobie, ale takim, że nikt nie był na tyle skrupulatny, żeby wnieść o to oskarżenie. Dubus powiedział śledczym, że dzieci zostały wysłane gdzieś do Utah. Opowiadał, że przyjechał samochód, zabrał je i znikł po nocy. Taką historię przedstawiono, i dopiero całe lata później, on odwołał zeznania i oświadczył, że to matki tych dziewczynek, które urodziły, zabiły te niemowlęta. Jakiś tydzień po odkryciu ciał społeczność się rozpadła i ludzie się rozeszli.

- Wolni, żeby krzywdzić gdzie indziej - dodał Angel.

Nie odpowiedziałem. Co można było powiedzieć, szczególnie do Angela, który sam był ofiarą takiego wykorzystania, przez własnego ojca oddany mężczyznom, którzy czerpali przyjemność z ciała dziecka? Właśnie dlatego był tu teraz, na tym zimnym cmentarzu w odległym mieście na północy. To dlatego oni obydwaj tu byli, ci myśliwi nad myśliwymi. Tym razem nie była to kwestia pieniędzy ani innych korzyści. Byli tutaj z tego samego powodu co ja: bo zignorować to, co się stało tym dzieciom w niedawnej i odległej przeszłości, bo odwrócić się i patrzeć w inną stronę, dlatego że tak łatwiej, znaczyłoby, że jest się współsprawcą zbrodni, które popełniono. Odmowa zgłębienia tego, co się stało, oznaczałoby współpracę z przestępcami.

- Ktoś opiekuje się tym grobem - zauważył Angel.

Miał rację. Nie było chwastów, a trawę przycięto tak, żeby nie przesłaniać napisu. Nawet litery w kamieniu zostały pociągnięte czarną farbą, żeby były wyraźniejsze.

- Kto się opiekuje pięćdziesięcioletnim grobem? - zapytał.

- Może człowiek, który jest teraz właścicielem Gilead? - odpowiedziałem.

- Chodźmy go zapytać.

Około siedem i pół kilometra wzdłuż drogi 201, za rzeką Moose River, i za Sandy Bay, znak wskazywał na północ do Bald Mountain Hiking Trail, a ja wiedziałem, że zbliżamy się do Gilead. Bez wcześniejszej wiedzy Angela samo to miejsce byłoby trudne do znalezienia. Droga, którą pojechaliliśmy, nie miała nazwy. Był przy niej znak informujący „Własność prywatna” i, jak Angel powiedział, zawierająca dalsze ostrzeżenie w postaci listy tych szczególnie niemile widzianych. Niecały kilometr dalej znajdowała się brama. Była zamknięta, a płot ginał w lesie po obu jej stronach.

- Gilead jest tam w środku - powiedział Angel, wskazując las na północ.

- Może jeszcze niecały kilometr, albo więcej.

- A dom?

- Taka sama odległość, ale prosto tą drogą.

Wskazał na drogę gruntową poślóbną koleinami, która szła wzdłuż płotu na południowy wschód.

Zjechałem na bok drogi. Wspięliśmy się na bramę, przeszliśmy na drugą stronę i weszliśmy do lasu.

Szliśmy dobre piętnaście albo dwadzieścia minut i dotarliśmy do polany.

Większość budynków ciągle istniała. W miejscu, gdzie drewno było głównym budulcem, Lumley wybrał kamień do budowy kilku domów, tak był pewny, że społeczność długo przetrwa. Domy mieszkalne różniły się wielkością, począwszy od dwuizbowych chatek do większych budowli wygodnie mieszczących sześćosobowe lub większe rodziny. Dużo domów popadło w ruinę, a niektóre najwyraźniej były spalone, ale jeden budynek został częściowo wyremontowany. Miał dach i cztery zakratowane okna. Frontowe drzwi, z solidnego, z grubsza ociosanego dębu były zamknięte. Społeczność nie mogła liczyć więcej niż tuzin rodzin w czasie największego rozkwitu. Było wiele takich miejsc w stanie Maine: zapomnianych wsi, miast, które przestały się rozwijać i niszczały, osad założonych przez ludzi, którzy zawierzili charyzmatycznemu przywódcy. Myślałem o ruinach Sanktuarium nad zatoką Casco Bay, i o wielebnym Faulknerze i jego wyrzniętym

stadku w Aroostook. Gilead było jeszcze jednym przedsięwzięciem na długiej i niesławnej liście nieudanych projektów, skazanych na niepowodzenie przez mężczyzn bez skrupułów i niskie instynkty.

Ponad tym wszystkim majaczyła wielka wieża kościoła Zbawiciela, który miał być stworzonym przez Lumleya rywalem kościoła św. Antoniego. Ściany zostały wybudowane, wieża wzniesiona, ale dachu nigdy nie położono i nikt nigdy się tam nie modlił. Był to nie tyle hołd dla Boga, ile pomnik próżności ludzkiej. Teraz las upomniał się o to miejsce i je zawłaszczył. Wszystko pokrył bluszcz tak, że mogło się wydawać, jak gdyby natura sama to zbudowała, tworząc świątynię z liści i wąsów roślin, jej podłogę z trawy i chwastów i tabernakulum z drzewa, bo orzesznik pięciolistkowy wyrósł tam, gdzie mógłby stać ołtarz, rozpościerając swoje nagie ramiona, jak szczątki szkieletu kaznodziei doprowadzonego do obłędu, pozbawionego ciała przez zimny wiatr, kiedy pomstował przeciwko światu, a jego kości zbrązowiały od słońca i deszczu.

Wszystko w Gilead świadczyło o stracie, upadku i rozkładzie. Nawet gdybym nie wiedział o zbrodniach, które tu zostały popełnione, o dzieciach, które cierpiały i niemowlętach, które zmarły, to i tak to miejsce sprawiało, że odczuwałem nieprzyjemny niepokój. W tym na wpół wykończonym kościele można dopatrzeć się swego rodzaju majestatyczności, ale brakowało w nim piękna i nawet sama natura wydawała się jakby zarażona przez kontakt z tym miejscem. Dubus miał rację. Lumley źle wybrał siedzibę dla swojej społeczności.

Kiedy Angel ruszył naprzód, by obejrzeć kościół z bliska, zatrzymałem go.

- Co jest? - spytał.
- Nie dotykaj żadnych roślin - powiedziałem.
- Dlaczego?
- Wszystkie są trujące.

I była to prawda: tak jakby każdy obrzydliwy chwast, każdy trujący kwiat znalazł tu dom, a niektórych z nich nigdy wcześniej tak daleko na północy i w tak dużych skupiskach nie widziałem.

Była tu kalmia szerokolistna ze swoją postrzępioną, rdzawą korą i różowo-białymi kwiatami w czerwone kropki, jak krew owadów, z pręcikami, które reagują na dotyk, jak zwierzęta, teraz nieobecne. Zobaczyłem sadziec pomarszczony - a niektóre z jego kwiatów jeszcze w pełnym rozkwicie - który sprawia, że mleko krowie staje się śmiertelnie niebezpieczne do picia, jeżeli pasące się zwierzę natrafi na tę roślinę. Koło skrawka bagna, zamrożonego wokół brzegu, wabił trujący szalejadowity ze swoimi ząbkowanymi liśćmi i prążkowanymi łodygami. Była też bieluń dziedzierzawa, której właściwe miejsce jest zwykle na polu, i niecierpek przyładkowy i piekące pokrzywy. Nawet bluszcz był trujący. Pomyślałem, że żadne ptaki tu nigdy nie przylecą, nawet w lecie. To miejsce zawsze będzie ciche i opuszczone.

Patrzyliśmy na potężną wieżę, której wierzchołek sięgał powyżej otaczających ją drzew. Widoczne fragmenty okien w niszach ponuro gapiły się na las przez warstwy bluszczu, a pusta przestrzeń, gdzie miał być zawieszony dzwon, teraz prawie całkowicie zarosła tą rośliną. Nie było drzwi, tylko prostokątne otwory u dołu wieży i po jednej stronie samego kościoła, brakowało szyb w oknach. Sama próba wejścia skończyłaby się skaleczeniami i poparzeniem przez chwasty i pokrzywy, które blokowały dostęp, chociaż, kiedy popatrzyłem uważniej, zobaczyłem, że ktoś, w jakimś momencie, wyciął przejście, bo chwasty były wyższe i gęstsze na bokach. Na zachód od kościoła zauważyłem pozostałości szlaku, który był wycięty przez las, a jego ścieżka oczyszczona z wysokich drzew. Tak właśnie transportowano materiały budowlane do lasu, ale pół wieku później wszystko, co pozostało, to był ślad przejścia wśród zwycięskich krzewów.

Podeszliśmy do nienaruszonego domu. Skinąłem głową do Angela, a on zabrał się do jego zamka.

- Jakiś czas go nie otwierano - powiedział. Wyjął małą puszkę smaru antykorozyjnego z kieszeni marynarki, rozpylił na zamek i skupił się na nim. Po kilku minutach usłyszeliśmy kliknięcie. Ramieniem nacisnął drzwi, które otworzyły się ze skrzypnięciem.

W środku były dwa pokoje, obydwie puste. Betonowa podłoga najwyraźniej nie należała do pierwotnej struktury. Słońce, które tak długo walczyło, żeby przedrzeć się przez brudne szyby, teraz skorzystało z szansy oferowanej przez otwarte drzwi i skąpało wnętrze światłem, ale tam nie było nic do oglądania i nic, co pomogłoby coś wyjaśnić. Louis lekko postukał kostkami dłoni w jedno z okien.

- To pleksiglas - oznajmił. Przejechał palcem dookoła brzegu ramy. Były tam ślady, jakby ktoś kiedyś próbował odkruszyć cement, w którym było osadzone. Niewiele się udało, ale dowód nieudanej próby pozostał.

Pochylił się bliżej do szyby, potem ukląkł, próbując lepiej dojrzeć coś, co zauważyły jego bystre oczy.

- Popatrz tutaj - powiedział.

Były tam małe znaczki wydrapane w dolnym, prawym rogu. Przysunąłem głowę, usiłując zobaczyć, co to może być, ale Angel odcyfrował znaczki pierwszy.

- L. M. - odczytał.

- Lucy Merrick - dodałem.

To musiała być ona. Nie zauważyliśmy innych znaków na ścianach ani na oknach. Gdyby te litery wyciął dzieciak, który chciał się bawić, to byłyby tam inne monogramy i inne imiona też. Ale Gilead nie było miejscem, które odwiedza się samemu z własnej woli.

I wtedy zrozumiałem, że to właśnie tutaj zabierano Andy'ego Kelloga i później córkę Merricka. Andy Kellog wrócił skrzywdzony, z urazami, ale ciągle żywy. Jednak Lucy Merrick nigdy nie wróciła. Nagle powietrze w domu wydało mi się stęchłe i nieruchome, skażone tym, co, jak mówiło mi moje serce, stało się w jego pokojach.

- Dlaczego tutaj? - spytał cicho Louis. - Dlaczego ich przywozili tutaj?

- Z powodu tego, co zdarzyło się tutaj wcześniej - odparł Angel.

Dotknął palcem znaczków pozostawionych przez Lucy na szybie, powtarzając kształt każdego delikatnie i z czułością w

geście wspomnienia. Ja myślałem o tym, co robiłem na strychu swojego domu, odczytując wiadomość napisaną na warstwie kurzu.

- To zwiększało przyjemność, ta świadomość, że powtarzali coś, co było robione w przeszłości, jakby kontynuowali tradycję.

W jego słowach zabrzmiało echo tego, co mówił Christian o „grupkach osób”. Czy to dlatego Clay fascynował się Gilead? Czy chciał odtworzyć wydarzenia z przed pół wieku, czy pomagał innym to zrobić? A może jednak jego zainteresowanie nie było chorobliwe i lubieżne. Może nie był winny w żaden sposób temu, co się stało i tylko zawodowa ciekawość przywiodła go do tego miejsca głęboko w lasach, prześladowała go w myślach i znalazła kształt w obrazie, który Merrick rozdarł na ścianie Joela Harmona, a Mason Dubus dumnie zaprezentował na swojej. Jeżeli ktoś usiłował odtworzyć pierwotne zbrodnie w tym miejscu, to może postarałby się odszukać ich pomysłodawcę, Dubusa. Zdawałem sobie sprawę z tego, że szliśmy tą samą ścieżką, którą kroczył Clay, szukając śladów, które on pozostawił, udając się na północ. Podarował jedno ze swoich cennych dzieł Dubusowi. Nie wyglądało to tylko na gest podziękowania. Było raczej świadectwem uznania, prawie uczucia.

Przeszedłem przez obydwa pokoje, szukając dalszych śladów obecności Lucy Merrick w tym domu, ale nic nie znalazłem. Były tam pewnie kiedyś materace, koce, może nawet jakieś książki czy czasopisma. Na ścianach znajdowały się wyłączniki światła, ale oprawki były puste, bez żarówek. Zobaczyłem jakieś ślady w górnym rogu drugiego pokoju, gdzie dawniej była przytwierdzona jakaś metalowa płytką, a poniżej tych znaków zauważyłem wyborowany zgrabny otwór. Większy otwór w ścianie, zamurowany teraz, ale ciągle widoczny, wskazywał miejsce, gdzie kiedyś stał piec, bo kominiek został zamurowany jeszcze dawniej. Lucy Merrick zagięła we wrześniu. Musiało już tu być zimno. Co robiła, żeby nie czuć zimna, jeżeli to tutaj ją trzymano? Nie mogłem znaleźć odpowiedzi. Wszystko zostało usunięte i było jasne, że tych pokoiów nie używano od wielu lat.

- Oni tu ją zabili, prawda? - zapytał Angel.

Ciągle jeszcze stał przy oknie i palcami podtrzymywał kontakt z literami wyciętymi w szkło, jak gdyby robiąc to, chciał dotknąć samej Lucy Merrick i pocieszyć ją, żeby, bez względu na to gdzie była, wiedziała, że ktoś znalazł ślady, które zostawiła i ją oplakuje. Literki były małe, ledwie widoczne. Nie chciała, żeby mężczyźni, którzy ją uprowadzili, je zobaczyli. Może wierzyła, że te literki będą stanowić dowód, który uwierzygodni jej historię, gdy ją uwolnią, albo może obawiała się, nawet wtedy, że nigdy się nie uwolni i miała nadzieję, że te literki mogą posłużyć jako znak, w wypadku, gdyby komuś zależało na niej na tyle, żeby spróbować odkryć jej los?

- Nikogo innego nie zabili - powiedziałem.

- To dlatego nosili maski, żeby móc ich puścić i nie martwić się, że zostaną rozpoznani. Może posunęli się o krok dalej albo stało się coś złego. Z jakiegoś powodu zmarła, oni zlikwidowali wszelkie ślady bytności kogokolwiek tutaj, potem zamknęli dom i nigdy więcej tu nie wrócili.

Angel zdjął palce z szyby.

- Caswell, ten facet, który jest właścicielem ziemi, musiał wiedzieć, co się działo.

- Tak - powiedziałem cicho. - On musiał wiedzieć.

Obróciłem się, żeby wyjść. Louis był przede mną. Stał w obramowaniu futryny drzwi, ciemna sylwetka na tle porannego słońca. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale tego nie zrobił. Dźwięk dotarł bez przeszkód do każdego z nas. Charakterystyczny odgłos pocisku ładowanego do broni. Potem jakiś głos powiedział:

- Nie ruszaj się, chłoptasiu, bo ci odstrzelę ten cholerny łeb.

Angel i ja staliśmy cicho w domu, nie mieliśmy zamiaru się ruszyć ani nic mówić. Louis tkwił bez ruchu w drzwiach, ręce wyciągnął na boki, żeby pokazać człowiekowi na zewnątrz, że nie ma w nich broni.

- Wychodź teraz powoli - powiedział głos. - Możesz położyć ręce na głowie. Ci faceci w środku mogą zrobić to samo. Nie zobaczycie mnie, ale ja was widzę. I mówię wam teraz: niech się jeden ruszy, to ten cwaniak tutaj w eleganckim płaszczu będzie miał dziurę tam, gdzie miał kiedyś twarz. Zrobiliście najście na teren własności prywatnej. Być może macie też broń. Żaden sędzia w tym stanie mnie nie skaże, jeżeli, będąc uzbrojeni, zmusicie mnie, żebym was zabił.

Louis powoli wyszedł z drzwi i stał z rękami na tyle głowy, twarzą do lasu. Nie mając wyboru, Angel i ja zrobiliśmy to samo. Próbowałem znaleźć źródło głosu, ale panowała cisza, kiedy wyszliśmy spod osłony domu. Potem z zagajnika parczeliny trójlistnej wyszedł mężczyzna. Miał na sobie zielone maskujące spodnie i kurtkę do kompletu, uzbrojony był w browninga kaliber dwanaście. Był po pięćdziesiątce, duży, ale nie mocny. Twarz miał bladą i czuprynę z za długich włosów, siedzącą mu na głowie niechlujnie jak obrzydliwy mop. Wyglądał, jakby od dawna nie wyspał się porządnie. Oczy prawie wypadały mu z głowy, nie mogąc znieść ciężaru czaszki, a oczodoły miały tak czerwone obwódki, że wydawało się, że skóra odłazi od ciała. Miał świeże skaleczenia na policzkach, brodzie i szyi, upstrzone na czerwono, gdzie się zaciął, próbując się ogolić.

- Coście za jedni? - zapytał. Broń trzymał pewnie, ale głos mu drżał, jak gdyby potrafił zademonstrować pewność siebie albo fizycznie, albo głosem, ale nie na oba sposoby naraz.

- Myśliwi - odpowiedziałem.

- Tak? - zadrwił. - I na co polujecie bez strzelby?

- Na ludzi - odpowiedział po prostu Louis.

Jeszcze jedna szczelina ukazała się w zewnętrznej warstwie ochronnej tego człowieka. Widziałem jego skórę pod ubraniem popękaną w krzyżujące się linie, jak u lalki z chińskiej porcelany, która ma rozprysnąć się na tysiące kawałków.

- Pan Caswell? - zapytałem.

- Kto pyta?

- Nazywam się Charlie Parker. Jestem prywatnym detektywem. To są moi pracownicy.

- A ja rzeczywiście nazywam się Caswell. To jest moja ziemia i nie macie tu nic do roboty.

- Jesteśmy tu, bo mamy pewien interes.

- Chcecie robić interesy, to idźcie do sklepu.

- Chcemy zadać panu parę pytań.

Caswell lekko uniósł wylot lufy i wystrzelił jeden nabój. Poszedł trochę nad naszymi głowami, ale ja i tak się uchyliłem. On załadował znowu i wycelował, trzymając nas cały czas na muszce.

- Nie słyszeliście, co powiedziałem? Nie macie prawa zadawać pytań.

- Może pan rozmawiać z nami albo z policją. Pański wybór.

Dłonie Caswella poruszyły się na kolbie i korpusie broni.

- O czym wy, do diabła, mówicie? Nie mam żadnych problemów z policją.

- Czy pan wyremontował ten dom? - Wskazałem na budynek za nami.

- I co z tego, nawet jeżeli? To moja ziemia.

- Może wydawać się dziwne, że ktoś remontuje ruinę w opustoszałej wiosce.

- Prawo tego nie zabrania.

- Nie, pewnie nie. Ale niezgodne z prawem może być to, co w tym domu robiono.

Rzykowałem. Caswell mógł próbować zastrzelić nas za samo prowokowanie go, ale nie przypuszczałem, że to zrobi. Nie wyglądał na to. Pomimo broni i ochronnego ubrania było w nim coś miękkiego, jak gdyby ktoś uzbroił ciastowego ludzika z reklam firmy Pillsbury.

- Nie wiem, o czym mówicie - powiedział, ale cofnął się o krok od nas.

- Mówię o tym, co się działo w Gilead - skłamałem - i o dzieciach, które tam zabito.

Szczególny przegląd uczuć objawił się w niemym przedstawieniu na twarzy Caswella. Przede wszystkim szok, potem strach, a następnie powoli docierająca świadomość, że mówiłem o odległej, a nie niedalekiej przeszłości. Patrzyłem z satysfakcją, jak nieskutecznie próbował ukryć ulgę. Wiedział. Wiedział, co się stało z Lucy Merrick.

- Tak - powiedział - rozumiem. To dlatego staram się nie dopuszczać ludzi tutaj. Nigdy nie wiadomo, kogo może to miejsce przyciągnąć.

- Jasne - przyznałem. - A jakich ludzi może to przyciągać?

Caswell nie zdołał odpowiedzieć na to pytanie. Wmanewrował się w narożnik i teraz chciał się z niego wyrwać.

- Ludzi, i tyle.

- Dlaczego kupił pan to miejsce, panie Caswell? Wydaje się dziwne, że pan to zrobił, wzięwszy pod uwagę jego historię.

- Prawo nie zabrania kupowania ziemi. Mieszkam tu przez całe życie. Ziemia była tania właśnie ze względu na swoją historię.

- I ta historia panu nie przeszkadza?

- Nie, wcale mi nie przeszkadza. Teraz...

Nie dałem mu skończyć.

- Tak się zastanawiam, bo widzę, że coś pana najwyraźniej martwi. Nie wygląda pan dobrze. Prawdę mówiąc, robi pan wrażenie zestresowanego. Właściwie wygląda pan po prostu na przestraszonego.

Trafiłem w dziesiątkę. Prawdziwość moich słów potwierdziła reakcja Caswella. Małe pęknięcia zrobiły się szersze i

głębsze, a broń pochyliła się lekko ku ziemi. Czułem, że Louis rozważa swoje opcje, jego ciało było napięte, kiedy przygotowywał się do ataku na Caswella.

- Nie - szepnąłem i Louis odprężył się bez wahania.

Caswell zdał sobie sprawę z wrażenia, które robił. Wyprostował się i podniósł broń do ramienia. Usłyszałem, jak Louis wydał cichy syk, ale już się nie martwiłem Caswellem. On był tylko przykrywką.

- Nie boję się was - powiedział. - Niech wam się nie здаje.

- To kogo pan się boi?

Caswell potrząsnął głową, żeby pozbyć się kropli wilgoci z koniuszków swoich włosów.

- Lepiej, żeby pan poszedł z powrotem do swojego samochodu, razem z pańskimi „pracownikami”. Trzymajcie ręce na głowie, idąc i nie wracajcie tu więcej. Dostaliście pierwsze i ostatnie ostrzeżenie.

Zaczekał, aż ruszyliśmy, potem zaczął wycofywać się do lasu.

- Słyszał pan kiedyś o Lucy Merrick, panie Caswell? - zawałęm za nim. Zatrzymałem się i popatrzyłem wstecz, ciągle trzymając ręce na głowie.

- Nie - odpowiedział. Potem zrobił pauzę, zanim się znów odezwał, jakby próbował przekonać siebie, że to imię i nazwisko nie zostało głośno wymówione. - Nigdy nie słyszałem tego nazwiska.

- A Daniel Clay? Potrząsnął głową.

- Idźcie stąd. Skończyłem z wami rozmawiać.

- Wrócimy tu, panie Caswell. Myślę, że pan to wie.

Caswell nie odpowiedział. Dalej wycofywał się, wchodząc coraz głębiej w las i już się nie interesował tym, czy my odchodzimy, czy nie, próbował tylko oddalić się od nas jak najbardziej. Zastanawiałem się, do kogo Caswell zadzwoni, jak już znajdzie się w bezpiecznym schronieniu swego domu. To już nie robiło teraz różnicy. Byliśmy blisko. Z jakiegoś powodu, Caswell się rozsypywał, a ja miałem szczerzy zamiar przyspieszyć ten proces.

Tego popołudnia porozmawiałem z młodym człowiekiem pracującym za barem w zajeździe, z tym, który był świadkiem sprzeczki pomiędzy Angelem i mężczyznami z Jersey. Skip ma dwadzieścia dwa lata i robi magisterium z planowania i zagospodarowania miejscowego na Uniwersytecie Południowego Maine. Ojciec Skipa jest współwłaścicielem interesu, a sam Skip pracuje tu w lecie i kiedy tylko może znaleźć czas w sezonie myśliwskim. Zamierza znaleźć pracę w hrabstwie Somerset, gdy już skończy studia. Inaczej niż niektórzy jego rówieśnicy, nie chce wyjechać. Raczej ma nadzieję znaleźć sposób na poprawę warunków życia na miejscu, chociaż jest na tyle bystry, by wiedzieć, że w tej chwili region jest bez szans.

Skip powiedział mi, że rodzina Caswella żyje w tych stronach od trzech albo czterech pokoleń, ale zawsze byli biedni jak mysz kościelna. Caswell czasem pracował jako przewodnik w sezonie, a przez resztę roku podejmował się różnych zajęć jako złota rączka, ale z latami zrezygnował z pracy przewodnika i tylko czasem bywał wzywany do wykonywania napraw w miejscowych domach. Kiedy kupił tereny Gilead, zapłacił za nie, biorąc pożyczki z banku. Ziemia wcale nie była taka tania, jak nam powiedział Caswell, chociaż z powodu swojej historii nie stanowiła zbyt atrakcyjnej propozycji. Caswell zapłacił za nią o wiele więcej niż na pozór był w stanie, ale on nie narzekał, ani nawet nie próbował negocjować ceny z pośrednikiem w handlu nieruchomościami, który sprzedawał nieruchomość w imieniu spadkobierców zmarłego Bennetta Lumleya. Potem wywiesił tablice „Nie ma przejścia” i trzymał się raczej na uboczu. Nikt go tam nie nachodził. Nikt nie miał powodu.

Rozważałem dwie możliwości, a żadna nie świadczyła dobrze o Caswellu. Pierwsza była taka, że ktoś mu dał pieniądze na kupno tej posiadłości, zachowując swój udział w transakcji w tajemnicy, po czym Caswell przymykał oczy na to, do czego służył odnowiony dom. Druga możliwość zakładała, że on sam był czynnym uczestnikiem tego, co działo się w domu. W obu wypadkach wiedział na tyle dużo, że warto było dalej się nim zajmować. Znalazłem jego numer w miejscowej książce

telefonicznej i zadzwoniłem do niego ze swojego pokoju. Podniósł słuchawkę po drugim dzwonku.

- Oczekuje pan telefonu, panie Caswell? - spytałem.

- Kto mówi?

- Spotkaliśmy się dzisiaj. Nazywam się Parker.

Wyłączył się. Wybrałem numer ponownie. Tym razem były trzy albo cztery dzwonki, zanim odebrał.

- Czego pan chce? - spytał. - Mówiłem już panu: nie mam nic do powiedzenia.

- Myślę, że pan wie, o co pytam, panie Caswell. Chcę, żeby mi pan powiedział, co się działo w tym opuszczonym domu z oknami z pleksiglasu i mocnymi drzwiami. Chcę, żeby mi pan powiedział o Andym Kellogu i Lucy Merrick. Jeżeli pan to zrobi, to być może, będę mógł pana uratować.

- Uratować mnie? Uratować od czego? O czym pan mówi?

- Od Franka Merricka.

Po drugiej stronie zapadła cisza.

- Niech pan tu więcej nie dzwoni - powiedział Caswell. - Nie znam żadnego Franka Merricka ani żadnego z innych nazwisk, które pan wymienił.

- On nadchodzi, Otis. Lepiej w to uwierz. On chce wiedzieć, co się stało z jego córką. I nie będzie tak rozsądny jak moi przyjaciele i ja. Myślę, że twoi kumple odetną się od ciebie i zostawią cię na jego łasce. Albo może uznają, że jesteś słabym ogniwnem i zrobią z tobą to, co zrobili z Danielem Clayem.

- Myśmy nie... - zaczął Caswell, potem zamilkł.

- Co wyście nie, Otis? Nic nie zrobili Danielowi Clayowi? Nie zabiliście go? Może mi o tym opowiesz?

- Pieprz się - powiedział Caswell. - Niech cię szlag.

Przerwał połączenie. Kiedy zadzwoniłem trzeci raz, nikt nie odbierał. Telefon dzwonił i dzwonił na drugim końcu, a ja wyobrażałem sobie Otisa Caswella w jego domu biednych białych ludzi, z rękami na uszach, żeby zagłuszyć dźwięk, aż w końcu dzwonienie przeszło w sygnał zajęte, kiedy wyłączył kontakt ze ściany.

Nadeszła noc. Nasze spotkanie z Caswellem było początkiem końca. Mężczyźni zmierzali na północny zachód, a wśród nich Merrick, jednak jego czas się kończył, piasek przesypywał się nie w jakiejś starej klepsydrze, ale sypał z jego własnej garści, jego palce były mocno przyciśnięte do skóry, kiedy suche ziarenka wymykały się przez szczelinę pod małym palcem. Zadając pytania o Daniela Claya, skrócił długość swej egzystencji. Otworzył dłonie i przyjął los, wiedząc, że nie będzie w stanie zatrzymać go na dłużej, że teraz wymknie się dwa razy szybciej. Miał tylko nadzieję, że będzie mógł żyć na tyle długo, by odkryć miejsce ostatniego spoczynku swojej córki.

Tak więc, kiedy zapadła ciemność, Merrick znalazł się w Old Moose Lodge, zajeździe „Pod Starym Łosiem”. Jego nazwa brzmiała uroczo staroświecko, przywołując obraz drewnianych podłóg, wygodnych foteli, przyjaznych gospodarzy z Maine witających gości, huczącego ognia na kominku w holu, pokoi, które są czyste i nowoczesne, a zarazem zachowują rustykalny charakter, śniadania zaś składają się z syropu klonowego, bekonu i naleśników, podawanych przez uśmiechnięte młode kobiety do stolików z widokiem na spokojne jezioro i całe kilometry zielonego lasu.

Tak naprawdę, to nikt nigdy nie zatrzymywał się na pobyt w Old Moose Lodge, a przynajmniej nie w łóżku. Dawniej mężczyźni mogli odsypiać swoje popijawy w pomieszczeniu na zapleczu, ale robili to na podłodze, tak oszołomieni alkoholem, że wygoda znaczyła mniej aniżeli miejsce, gdzie mogli się położyć i pozwolić, by owładnęło nimi otępienie, którego szukali. Teraz nawet to małe udogodnienie zostało zlikwidowane z obawy, że pozwolenie na sprzedaż alkoholu - którego odnowienie co roku dostarczało pożywki lokalnej gazecie i większości mieszkańców - mogłoby w końcu być cofnięte, gdyby się okazało, że zajazd funkcjonuje jako kąpiel dla pijaków. Jednak wrażenie wywołane przez nazwę nie było całkowicie bezpodstawne. Zajazd miał drewniane podłogi.

Merrick siedział przy dwuosobowym stoliku w głębi baru, tyłem do drzwi, ale z widokiem na lustro na ścianie, co

pozwalalo mu widziec wszystkich wchodzacych, przy czym jego nikt nie mogl natychmiast zauwazyć. Chociaz w barze bylo cieplo i pocil sie mocno, to jednak nie zdjal ciemnobrazowego, zamszowego plaszcza. Mogl trzymac broń w kieszeni, latwo dostepna. I to rowniez znaczylo, ze rana w boku, ktora zaczela znowu krwawic, nie bedzie widoczna, gdyby krew przeszla przez bandaże na koszule.

Wczesniej zabil Rosjan zaraz za Bingham, gdzie Stream Road odchodzila od drogi nr 201 i podazala Austin Stream w strone Mayfield Township. Wiedzial, ze przyjda. Juz samo zabojstwo Demarciana wystarczylo, by sciagnac ich sobie na glowe, ale byly jeszcze zalegle pretensje do niego, zwiazane z dwoma robotami na poczatku lat dziewiecdziesiatych, w Little Odessie i w Bostonie. Dziwil sie, ze nie dobrali sie do niego w wiazeniu, ale Supermax ochronil go, izolujac, a jego reputacja zrobila reszte. Po zabojstwie Demarciana wieść sie rozeszla. Ktos do kogos zadzwonil i poprosil o przysluge w zamian za wymazanie dlugow. Moze nie powinien zabijac Demarciana, ale malý czlowieczek z uschnietym ramieniem napelnil go odrazą i byl ogniwem w lancuchu zdarzen, ktore zabraly córke Merricka. Niewatpliwie mecenas Eldritch mial tu przynajmniej racje. Jezeli cena za smierc Demarciana byly dalsze zabojstwa, to Merrick byl sklonny ja zaplacic. Nie powstrzymaliby go od dotarcia do Gilead. Tam, byl o tym przekonany, znajdzie odpowiedzi, ktorych szukal.

Zastanawial sie nad tym, jak Rosjanom udalo sie znalezc go tak szybko. Przeciez zmienil samochod, a jednak sie zjawili, ci dwaj męzczyzni w swoim czarnym 4x4. Merrick pomyslal, ze byc moze nie nalezalo zostawiac bylego męża Rebecki Clay przy zyciu, ale Merrick nie zabijal bez konkretnego powodu, a o ile zdoal sie zorientowac, Legere nic nie wiedzial. Nawet jego byla zona nie ufala mu na tyle, zeby dzielic sie z nim informacjami dotyczacyimi jej ojca.

Ale Merrick byl tez pewny, ze prawie od poczatku poszukiwan, jego postepy byly sledzone, a kazdy jego ruch byl obserwowany. Myslal o starym adwokacie i jego pelnej

dokumentów kancelarii, i o swoim niewidzialnym dobroczyńcy, tym tajemniczym osobniku, który zlecił Eldritchowi, żeby mu pomógł, który dostarczył funduszy, miejsca do ukrycia i informacji. Mecenas nigdy nie podał zadowalającego wyjaśnienia dla swej gotowości, by pomagać Merrickowi, co szybko obudziło jego podejrzliwość, każąc mu zdystansować się od starego człowieka tak szybko, jak to tylko możliwe, pomijając okres niedawnego, krótkiego uwięzienia. Ale nawet potem, kiedy dokładał starań, by zatrzeć ślady za sobą, były momenty, kiedy czuł się obserwowany, czasami, kiedy przebywał w tłumie, próbując zgubić się w centrum handlowym, albo w barze, i kiedy indziej, kiedy był sam. Wydawało mu się, że raz dostrzegł przelotnie mężczyznę, obdartą postać w starym, czarnym płaszczu, który w zamyśleniu przyglądał się Merrickowi poprzez chmurę papierosowego dymu, ale kiedy spróbował iść za nim, człowiek ten znikł i Merrick więcej go nie widział.

Były też koszmary senne. Zaczęły się w kryjówce, krótko po tym, jak Eldritch przekazał Merrickowi samochód i pieniądze: wizje białych, wychudłych stworzeń z czarnymi oczodołami, ustami bez warg, pomarszczonych, ubranych w brudne brązowe płaszcze, stare płaszcze przeciwdeszczowe z brakującymi guzikami i czerwonawobrazowymi plamami na kołnierzach i rękawach. Merrick budził się w ciemnościach i w tym momencie między snem i jawą miał wrażenie, że ich widzi. Cofali się od niego tak, jakby pochylali się nad nim, kiedy spał, żaden oddech nie wydobywał się z ich ust, tylko stęchły zapach czegoś starego i obrzydliwego uwięzionego głęboko wewnątrz nich. Od kiedy opuścił kryjówkę, sny przychodziły rzadziej, ale ciągle jeszcze były noce, kiedy wychodził z głębi snu, czując coś pełzającego na skórze i lekki odór, którego nie było, gdy zamykał oczy.

Czyżby Eldritch, uważając Merricka za ciężar, powiedział Rosjanom, gdzie on jest, wspomożony jeszcze przez tego innego mężczyznę w poszarpanym czarnym płaszczu? Czy ten człowiek i klient Eldritch'a to była ta sama osoba? Merrick nie wiedział i to już nie miało znaczenia. Wszystko zbliżało się do końca i wkrótce zapanuje spokój.

Rosjanie byli nieostrożni. Zobaczył, jak nadjeżdżają, obserwował we wstecznym lusterku, jak trzymają się trzy lub cztery samochody za nim, czasem wyprzedzając, kiedy nie chcieli stracić go z pola widzenia. W pewnym momencie zjechał na pobocze, żeby zobaczyć, czy go wyprzedzą. Zrobili to ze wzrokiem utkwionym przed siebie, skrupulatnie go ignorując, kiedy nad mapą rozpostartą na kierownicy udawał, że palcem szuka swojej trasy, a obok przejeżdżało zbyt wiele tirów, co im uniemożliwiło zdjęcie go w czasie tego postoju. Pozwolił im odjechać i włączył się do ruchu po paru minutach. Zobaczył ich przed sobą, wlokących się po prawym pasie w nadziei, że ich znowu wyprzedzi i on tak zrobił. Po paru kilometrach skręcił w Stream Road i znalazł drogę gruntową, która odpowiadała jego celowi. Przejechał nią ponad półtora kilometra, minął opuszczone szopy odsunięte od drogi, następnie podwójnej szerokości przyczepę i auta zapadnięte na obręczach bez opon, potem nawet i te skromne pozostałości obecności ludzkiej znikły, droga stała się jeszcze bardziej wyboista, wytrzęsła go i spowodowała ból kręgosłupa. Kiedy był już tylko las przed nim i za nim, na północ i południe, wschód i zachód, wtedy zgasił silnik. Słyszał ich, gdy się zbliżali. Wsiadł z samochodu, zostawiając drzwi kierowcy otwarte, wszedł między drzewa i ruszył w kierunku, skąd przyjechał, aż ukazali mu się Rosjanie. Zatrzymali się, kiedy dojechali do jego porzuconego samochodu. Domyślał się prawie, jaka rozmowa się tam odbywa. Już wiedzieli, że pojechali za nim prosto w pułapkę. Teraz należało uwolnić się z niej i zabić Merricka, a uratować własną skórę. Ze swej kryjówki w zaroślach, Merrick zobaczył, że Rosjanin na siedzeniu pasażera, ten rudy, ogląda się przez ramię. Ich możliwości były ograniczone. Mogli wrzucić wsteczny bieg i odjechać, mając nadzieję, że zobaczą go znowu na drodze, gdy będzie próbował uciekać piechotą czy samochodem; albo mogli wysiąść, każdy po swojej stronie i próbować dopaść go bez auta. Najbardziej niebezpiecznym momentem dla nich byłoby otwarcie drzwi, ale pewnie myśleli, że gdyby zaczął strzelać do nich, to mógł trafić najwyżej jednego, gdyby mu się poszczęściło, a strzelając, ujawniłby gdzie jest.

W końcu Merrick nie czekał, aż otworzą drzwi. Gdy tylko rudowłosy się odwrócił, Merrick wyskoczył z krzaków i zaczął strzelać przez tylne okno; raz, dwa, trzy razy i kiedy szkło się rozprysnęło, zobaczył, że przednią szybę zalała krew, a kierowca upadł na bok. Jego partner otworzył drzwi po stronie pasażera i rzucił się na ziemię, strzelając do Merricka, kiedy ten szedł naprzód, bo teraz już nie było odwrotu. Merrick poczuł uderzenie w bok i uczucie zdrętwienia, po czym pojawił się palący jak ogień ból, ale dalej strzelał, doświadczając satysfakcji, kiedy ciało drugiego Rosjanina drgnęło konwulsyjnie na ziemi i strzelanie ustało.

Zbliżał się powoli, skulony, czując krew spływającą po boku, przesączającą się przez koszulę i spodnie. Kopnął broń Rosjanina na bok i stanął nad nim. Rudowłosy leżał na boku przy tylnym prawym kole. Miał ranę poniżej szyi i drugą prawie w samym środku piersi. Jego oczy były półprzymknięte, ale jeszcze oddychał. Z trudem łapiąc powietrze z bólu, Merrick pochylił się, podniósł kolta Rosjanina, potem przeszkukał kieszenie jego marynarki, aż znalazł portfel i dodatkowy magazynek do pistoletu. Prawo jazdy było na nazwisko Jevgenij Utarov. Nic mu to nie mówiło.

Merrick zabrał trzysta dwadzieścia sześć dolarów z portfela i wepchnął je do swojej kieszeni, potem wyrzucił portfel na kolana umierającego człowieka. Splunął na ziemię i był szczęśliwy, że nie ujrzał krwi w ślinie. Niemniej jednak był zły na siebie, że dał się zranić. Było to pierwszy raz od wielu, wielu lat. Przywodziło na myśl powolny upływ czasu, jego wiek i jego nieuchronną śmierć. Zachwiał się lekko na nogach. Ten ruch odwrócił uwagę człowieka o imieniu Jevgenij od jego własnego umierania. Otworzył oczy szerzej i próbował coś powiedzieć. Merrick stał nad nim.

- Podaj mi nazwisko - powiedział. - Jeszcze masz na to czas. Jak nie, zostawię cię tu, żebyś umarł. To będzie powolna śmierć, a ból, który czujesz, będzie gorszy. Powiesz mi nazwisko, to będzie ci łatwiej.

Utarov coś wyszeptał.

- Mów głośniej - rozkazał Merrick. - Nie będę się schylał, że by cię usłyszeć.

Utarov spróbował jeszcze raz. Tym razem słowa brzmiały, jakby mu głęboko w gardle ostrzono żelazo na chropowatym kamieniu.

- Dubus - wyrzeźbił.

Merrick strzelił Rosjaninowi jeszcze dwa razy w pierś, potem chwiejnie odszedł, zostawiając ślad krwi za sobą na drodze, jak rozdeptane jagody. Oparł się o swój samochód i rozbraił do pasa, odsłaniając ranę. Kula utknęła głęboko w ciele. W przeszłości miał ludzi, których mógł wezwać na pomoc, ale teraz oni wszyscy już nie żyli. Zawiązał koszulę w pasie, żeby zatamować krwawienie, potem nałożył marynarkę i płaszcz na nagi tors i wsiadł do samochodu. Schował smitha 10, teraz już tylko z trzema nabojami, z powrotem pod siedzenie kierowcy i włożył kolta do kieszeni płaszcza. Zawrócenie samochodu w stronę głównej drogi było męką i jadąc po drodze gruntowej, musiał zagryźć zęby, żeby nie słuchać własnych jęków, ale udało mu się. Jechał przez prawie pięć kilometrów, zanim znalazł gabinet weterynarza i tam bronią zmusił starego człowieka, którego nazwisko było na tabliczce na zewnątrz, do usunięcia kuli. Nie zemdłał z bólu, ale niewiele brakowało.

Merrick wiedział, kto to jest Dubus. Właściwie wszystko zaczęło się od niego, to on wykorzystał dziecko. Potem przywłókł swoje upodobania do Gilead i stamtąd one się rozprzestrzeniły. Merrick przystawił broń do głowy weterynarza i zapytał go, czy wie, gdzie mieszka Mason Dubus, a stary człowiek mu powiedział, bo Dubus był dobrze znany w okolicy. Merrick zamknął weterynarza w piwnicy z dwoma butelkami wody, jakimś chlebem i serem, żeby przetrwał. Obiecał weterynarzowi, że zadzwoni na policję w ciągu dwudziestu czterech godzin. Do tego czasu będzie musiał radzić sobie najlepiej, jak potrafi. Znalazł butelkę tylenolu, środka przeciwbólowego, w szafce z lekarstwami, wziął parę sztuk opatrunków i jedną świeżą parę bielizny z szafy starego człowieka, potem wyszedł i kontynuował podróż, ale prowadzenie samochodu było trudne. Tylenol złagodził trochę ból i koło Caratunk Merrick zjechał z drogi 201, tak, jak poradził mu weterynarz i w końcu dotarł do domu Masona Dubusa.

Dubus widział jego przyjazd. W pewnym sensie, Dubus spodziewał się go. Jeszcze rozmawiał przez komórkę, kiedy Merrick przestrzelił zamek w jego drzwiach wejściowych i wszedł do domu, kapiąc kroplami krwi na nieskazitelną podłogę. Dubus nacisnął czerwony przycisk, kończąc rozmowę, potem rzucił komórkę na krzesło obok siebie.

- Wiem, kim jesteś - powiedział.
- To dobrze - odrzekł Merrick.
- Twoja mała dziewczynka nie żyje.
- Wiem o tym.
- Wkrótce ty też nie będziesz żył.
- Być może, ale ty umrzesz wcześniej.

Dubus wyciągnął drżący palec w stronę Merricka.

- Myślisz, że będę cię prosił, byś darował mi życie? Myślisz, że ci pomogę?

Merrick wycelował kolta.

- Nie, nie myślę - odparł i strzelił do Dubusa dwa razy.

Kiedy stary człowiek leżał na podłodze w drgawkach, Merrick wziął telefon i ponownie wybrał numer. Odebrano po dwóch dzwonekach. Nikt się nie odezwał, ale Merrick słyszał oddech mężczyzny. Merrick odłożył telefon i opuścił dom, powoli cichy ostatnie oddechy Dubusa zostawionego śmierci.

Dubus słuchał kroków Merricka, potem hałasu odjeżdżającego samochodu. Na jego piersi leżał wielki ciężar, wzmocniony bólem, jak gdyby położono na niego łożo fakira pełne gwoździ. Patrzył nieruchomo w sufit. Czuł krew w ustach. Wiedział, że tylko chwile dzieli go od śmierci. Zaczął się modlić, prosić Boga o wybaczenie dla swoich grzechów. Jego usta poruszały się bezgłośnie, jakby próbował przypomnieć sobie właściwe słowa, ale rozpraszały go wspomnienia i gniew, że ma zginąć w taki sposób, jako ofiara zabójcy, który strzelał do nieuzbrojonego, starego człowieka.

Poczuł zimne powietrze, i usłyszał dźwięk za sobą. Ktoś się zbliżał i Dubus pomyślał, że to Merrick wrócił, żeby go dobić, ale kiedy poruszył głowę, zobaczył nie Merricka, lecz skraj brudnego brązowego płaszcza i stare brązowe buty

poplamione ziemią. W powietrzu unosił się smród, który nawet teraz w momencie śmierci spowodował, że Dubus się zakrztusił. Potem było więcej kroków po jego lewej stronie i czuł czyjaś obecność za sobą, obecność niewidocznych widm obserwujących go. Dubus przechylił głowę i zobaczył blade rysy i gapiące się czarne otwory rozdziawione w uschniętej skórze. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale zabrakło już słów i ciała zabrakło tchu na oddech.

Zmarł, mając Wydrążonych Ludzi w oczach.

Merrick przejechał wiele kilometrów, ale zaczął źle widzieć. Ból i utrata krwi bardzo go osłabiły. Dojechał do Old Moose Lodge, i tam się zatrzymał skuszony, jak wielu innych w przeszłości, fałszywą obietnicą noclegu.

Teraz siedział przy dwuosobowym stoliku, pijąc whisky Four Roses po tylenolu, drzemiąc trochę w nadziei, że może odzyska siły na tyle, żeby jechać dalej do Gilead. Nikt go nie niepokoił. Zajazd aktywnie zachęcał swoich klientów, by odpoczęli chwilę, jeżeli tylko wracali do picia po odpoczynku. Z szafy grającej leciała muzyka honky-tonk, a szklane oczy zwierząt patrzyły nieruchomo na klientów ze ścian, kiedy Merrick odpływał, niepewny, czy śpi, czy czuwa. Raz kelnerka zapytała go, czy wszystko w porządku i Merrick pokiwał głową, wskazując na szklankę, żeby zamówić następną whisky, pomimo że ledwie dotknął pierwszej szklanki. Obawiał się, że mogą mu powiedzieć, by się wynosił, a on jeszcze nie był gotowy, by to zrobić.

Budzenie. Spanie. Muzyka, potem nie ma muzyki. Głosy, Szepty.

Tatusiu

Merrick otworzył oczy. Naprzeciwko niego siedziała dziewczynka. Miała ciemne włosy, jej skóra była pęknięta tam, gdzie gaz wydostawał się spod spodu. Robak pełził przez jej czoło. Chciał go strzepnąć, ale nie mógł ruszyć rękami.

Cześć, kochanie - powiedział. - Gdzie się podziewałaś?

Dziewczynka miała ziemię na rękach i złamane dwa paznokcie.

czekałam

- Na co czekałaś, kochanie?

na ciebie.

Merrick skinął głową.

- Nie mogłem wcześniej przyjść. Byłem... Zamknęli mnie, ale zawsze myślałem o tobie. Nigdy nie zapomniałem o tobie.

wiem, byłeś za daleko, teraz jesteś blisko, teraz ja mogę przyjść do ciebie

- Co się działo z tobą, kochanie? Dlaczego odeszłaś?

zasnęłam, zasnęłam i nie mogłam się obudzić

Nie było emocji w jej głosie. Jej oczy patrzyły nieruchomo. Merrick zauważył, że lewa strona jej twarzy jest wiśniowa i fioletowa, połączona z kolorami sinej bladości.

- Już niedługo, kochanie - powiedział. Znalazł siły, żeby ruszyć ręką. Wyciągnął rękę do niej, natrafił palcami na coś zimnego i twardego. Szklanka whisky wywróciła się na stole, odwracając jego uwagę na chwilę tak, że gdy podniósł znowu wzrok, dziewczynki już nie było. Whisky rozpląnęła się dokoła jego palców i kapiała na podłogę, zjawiła się kelnerka i powiedziała:

- Myślę, że może powinien pan iść już do domu.

Merrick skinął głową i powiedział:

- Tak, chyba ma pani rację. Już czas iść do domu.

Wstał, czując, że krew chlupie mu w bucie. Bar zaczął wiorować dokoła niego i chwycił się stołu, żeby znaleźć jakieś oparcie. Uczucie zawrotu głowy przeszło i znowu poczuł ból w boku. Popatrzył w dół. Bok spodni był przesiąknięty na ciemnoczerwono. Kelnerka też zobaczyła plamę.

- Ojej - powiedziała. - Co...

Potem popatrzyła w oczy Merrickowi i zrezygnowała z zadawania pytań. Merrick sięgnął do kieszeni i wyciągnął kilka banknotów. Była tam dwudziestka i dziesiątka i rzucił je wszystkie na tacę kelnerki.

- Dziękuję, kochanie - powiedział i teraz miał w oczach życzliwość, a kelnerka nie była pewna, czy mówi do niej, czy do kogoś innego, kto zajął jej miejsce w jego myślach.

- Teraz jestem gotowy.

Wyszedł z baru, mijając szeregi tańczących par i głośnych pijaków, kochanków i przyjaciół, przemierzających się ze światła w ciemność, od życia tutaj do życia po drugiej stronie. Kiedy wyszedł na zewnątrz, chłód nocy sprawił, że zachwiał się na chwilę, ale potem otrzeźwiał. Wyjął kluczyki z kieszeni marynarki i skierował się w stronę samochodu, a każdy krok wzmagął krwawienie z rany, każdy krok przybliżał go powoli do końca.

Zatrzymał się przy samochodzie, lewą ręką oparł się o dach, prawą włożył kluczyk do stacyjki. Otworzył drzwi i zobaczył swoje odbicie w bocznej szybie, a potem dołączyło do tego inne odbicie, zawieszane nad jego ramieniem. Był to ptak, ogromny gołąb z białą twarzą i czarnym dziobem i ludzkimi oczami w głębokich oczodołach. Podniósł skrzydło, ale to skrzydło było czarne, nie białe, ze szponami na końcu, które trzymały coś długiego i metalowego w uścisku.

I potem to skrzydło zaczęło uderzać z cichym, świszczącym odgłosem, a on poczuł nowy, ostry ból, gdy złamano mu obojczyk. Obrócił się, próbując wyjąć broń z kieszeni, ale pojawił się inny ptak, tym razem jastrząb i ten ptak trzymał kij baseballowy, dobry, staroświecki Louisville Slugger tak zaprojektowany, że jeżeli jest trzymany przez dobre ręce, posyła piłkę prosto poza stadion, tyle tylko, że teraz ten Slugger był wycelowany w jego głowę. Nie mógł się pochylić, żeby uniknąć uderzenia, więc zamiast tego podniósł lewą rękę. Uderzenie strzaskało mu łokieć, a skrzydła były nadal i ciosy spadały na niego jak deszcz, upadł na kolana, kiedy coś w głowie mu pękło, jak rozłamany chleb i jego oczy napelniła czerwień. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale nie było słów, które mogłyby przywołać, i jego szczeka została prawie wyrwana z twarzy, kiedy łom zakołysał się leniwym łukiem, powalając go, jak ścinane drzewo tak, że leżał teraz płasko na zimnym żwirze, a krew płynęła i bicie nadal trwało i jego ciało wydawało dziwne, miękkie dźwięki, kości poruszały się w jego wnętrzu tam, gdzie nie miały prawa się ruszać, jego szkielet był łamany, miękkie organy pękały.

A on ciągle żył.

Ciosy ustały, ale ból nie przeszedł. Czyjaś stopa wślizgnęła się pod jego brzuch, podnosząc go do góry i odwracając na

plecy, opierając lekko o otwarte drzwi, w połowie w środku, w połowie na zewnątrz, jedna ręka leżała bezużytecznie wzdłuż jego boku, druga była odrzucona do tyłu do wnętrza. Widział cały świat przez czerwony pryzmat, był zdominowany przez ptaki przypominające ludzi i ludzi przypominających ptaki.

- Już po nim - powiedział jakiś głos, który brzmiał znajomo.

- Nie - odparł drugi. - Jeszcze nie.

Poczuł ciepły oddech przy uchu.

- Nie powinieneś być tu przychodzić - odezwał się ten drugi głos. - Powinieneś być po prostu o niej zapomnieć. Ona już dawno nie żyje, była dobra, była miła, ale się skończyła.

Był świadom ruchu ze swojej lewej strony. Łom uderzył go trochę powyżej ucha i światło rozbłysło przez pryzmat, załamując świat w czerwono zabarwionej tęczy, zmieniając go w drzazgi koloru w jego gasnącej świadomości.

tatusiu

Już niedługo, kochanie, już niedługo.

I ciągle jeszcze żył.

Palce jego prawej dłoni przeszukały podłogę samochodu. Znalazły lufę smitha 10, którego uwolniły z taśmy i krótkimi ruchami odwróciły go, aż poczuł kolbę i przyciągnął go do siebie, siłą woli odpędzając ciemność, chociaż na chwilę.

tatusiu

Zaraz, kochanie, tatuś musi coś najpierw zrobić.

Przyciągnął broń do siebie. Próbował ją unieść, ale strzaskana ręka nie mogła utrzymać jej wagi. Zamiast tego, pozwolił ciału opaść na bok i tu ból był prawie nie do zniesienia, kiedy złamana kość i rozdarte ciało zadrżały od uderzenia. Otworzył oczy, albo może one były cały czas otwarte i tylko nowe fale bólu spowodowane poruszeniem, kazały ustąpić zamgleniu na chwilę. Jego policzek leżał płasko na żwirze. Jego prawa ręka była wyciągnięta do przodu, broń leżała poziomo. Przed nim szły dwie postaci koło siebie, może z cztery i pół metra od miejsca, gdzie leżał. Przesunął rękę lekko, nie zważając na ból z przemieszczenia złamanych kości, aż broń była wycelowana w dwóch mężczyzn.

I w jakiś sposób Merrick znalazł w sobie siłę, żeby pociągnąć za spust, albo może była to siła kogoś innego dodana do jego własnej, bo zdawało mu się, że odczuł nacisk na kostkę wskazującego palca.

Mężczyzna po prawej zatańczył, potem potknął się i upadł, gdy jego zdruzgotana kostka nogi zawiodła. Krzyknął coś, czego Merrick nie mógł zrozumieć, ale jego palec już zaciskał się na spuście do drugiego strzału. Strzelił ponownie, cel był teraz większy, bo ranny mężczyzna leżał na boku, a jego przyjaciel próbował go podnieść, ale strzał był na oślep, broń szarpnęła się w jego ręce, posyłając kulę ponad leżącą postacią.

Merrick miał czas i siłę, by pociągnąć za spust jeszcze jeden ostatni raz. Strzelił, kiedy ogarniała go ciemność i kula rozpruła czoło rannego mężczyzny, wychodząc w czerwonej chmurze. Ten ocalały próbował odciągnąć ciało, ale stopa martwego mężczyzny zaczepiła się w kratce kanału burzowego. W drzwiach Old Moose Lodge pojawili się ludzie, bo nawet w takim miejscu odgłos strzelaniny zwracał uwagę. Słychać było głosy i jacyś ludzie zaczęli biec w jego kierunku. Ocalały uciekł, zostawiając martwego człowieka.

Merrick wydał ostatnie tchnienie. Stała nad nim kobieta, ta kelnerka z baru. Coś mówiła, ale Merrick nie słyszał, co powiedziała.

tatusiu?

jestem tutaj

Bo Merrick nie żył.

33

Kiedy Frank Merrick zmarł z imieniem córki na ustach, Angel, Louis i ja ustalaliśmy tryb postępowania, jaki należało przedsięwziąć wobec Caswella. Byliśmy w barze, resztki naszego posiłku rozstawione były jeszcze dokoła nas, ale nie piliśmy.

Podzielaliśmy opinię, że Caswell jest na skraju załamania nerwowego, spowodowanego budzącym się poczuciem winy, albo jakąś inną przyczyną. Angel sformułował to najlepiej, co często mu się zdarzało.

- Jeżeli on jest tak przepełniony poczuciem winy, to dlaczego? Lucy Merrick zaginęła lata temu. Chyba, że ją tu trzymali przez ten cały czas, co nie wydaje się zbyt prawdopodobne. Dlaczego więc teraz nagle gnębią go wyrzuty sumienia?

- Może przez Merricka?

- To znaczy, ktoś mu powiedział, że Merrick zadaje pytania?

- Niekoniecznie. Przecież Merrick się z tym nie kryje. Policja wie o nim i po zabójstwie Demarciana, Rosjanie też wiedzą. Demarcian był w jakiś sposób zamieszany w całą tę sprawę. Merrick nie wyciągnął jego nazwiska ot, tak sobie, z kapelusza.

- Myślisz, że może ci faceci wymieniali się zdjęciami wykorzystywanych i stąd jest zamiar na Demarciana - zapytał Angel.

- Doktor Christian powiedział, że nie słyszał o mężczyznach w maskach pojawiających się na zdjęciach, czy wideo, ale to nie znaczy, że czegoś takiego nie ma.

- Ryzykowałiby wiele, sprzedając je - powiedział Angel. - Mogliby zwrócić na siebie uwagę.

- Może potrzebowali pieniędzy - zastanawiał się Louis.

- Caswell miał dosyć, by kupić Gilead od ręki - przypomniałem. - Nie wygląda na to, że pieniądze stanowiły problem.

- Ale skąd się wzięły? - zapytał Angel. - Skądś musiały pochodzić, więc może oni to sprzedawali?

- No, ale ile można na tym zarobić? - powiedziałem. - Ty-le, żeby kupić kawałek niechcianej ziemi w lesie? Barman powiedział, że ziemia była oddana niezupełnie za darmo, ale też nie trzeba było płacić za nią fortuny. Mógł ją kupić za niewielkie pieniądze.

Angel wzruszył ramionami.

- Zależy, co sprzedawali. Zależy, jak okropne to było. Mam na myśli te dzieci.

Żaden z nas nie powiedział nic więcej przez dobrą chwilę. Próbowaliśmy porządkować elementy w myślach, układać kolejność wydarzeń, która miałyby sens, ale gubiłem się w sprzecznych stwierdzeniach i fałszywych tropach. Coraz bardziej byłem przekonany, że Clay brał udział w tym, co się wydarzyło, ale jak wobec tego zrównoważyć to z poglądem doktora Christiana, według którego Clay był człowiekiem prawie obsesyjnie szukającym dowodów wykorzystywania, nawet ze szkodą dla własnej kariery, albo z opisem Rebecki Clay przedstawiającym go jako kochającego ojca, oddanego dzieciom pod jego opieką? Potem byli ci Rosjanie. Louis popytał trochę i odkrył tożsamość rudowłosego mężczyzny, który przyszedł do mojego domu. Nazywał się Utarov i był jednym z najbardziej zaufanych liderów w operacji Nowa Anglia. Według Louisa, Merrick jest poszukiwany za jakąś niedokończoną sprawę związaną z jakimiś robotami, które się zobowiązał wykonać przeciwko Rosjanom w przeszłości, ale były też pogłoski o niepokoju w Nowej Anglii. prostytutki, głównie te pochodzenia azjatyckiego, afrykańskiego i wschodnioeuropejskiego zostały przeniesione ze stanów Massachusetts i Providence i kazano im przeczekać i nie zwracać na siebie uwagi, albo zostały do tego zmuszone przez mężczyzn, którzy je kontrolowali. Bardziej wyspecjalizowane usługi również zostały ograniczone, szczególnie te związane z dziecięcą pornografią i dziecięcą prostytutką.

- Nielegalny handel - uznał Louis. - To wyjaśnia, dlaczego zdjęli Azjatki i te inne z ulicy i pozwolili prawdziwej amerykańskiej kobiecości przejąć padnięte usługi. Oni czymś się martwią i to jest związane z Demarcianem.

Ich upodobania pozostały niezmienione, czyż nie to powiedział mi doktor Christian? Ci mężczyźni nie zrezygnowaliby ze swojego procederu wykorzystywania, ale mogli znaleźć inną możliwość realizacji swoich upodobań: małe dzieci, do których był dostęp przez Boston i, być może, Demarcian stanowił jedno ogniwo w łańcuchu kontaktów? I co dalej? Czy oni filmowali sceny molestowania i sprzedawali to z powrotem Demarcianowi i innym takim, jak on, przy czym jedna operacja finansowała drugą? Jaki był charakter ich szczególnego „Projektu”?

Caswell był częścią tego, był słaby i bezbronny. Jestem pewny, że zadzwonił gdzieś, gdy tylko nas spotkał, poprosił o pomoc tych, którym sam pomagał w przeszłości. To wzmogło presję na nich wszystkich, zmuszając ich do reakcji, i my już będziemy czekać na nich, kiedy przyjdą.

Angel i Louis pojechali do domu Caswella, zaparkowali tak, żeby ich nie było widać ani z drogi, ani z jego domu i rozpoczęli pierwszą wachtę. Idąc do swojego pokoju, żeby się zdrzemnąć, zanim nadejdzie moja kolej, prawie ich tam widziałem: samochód ciemny i spokojny, może jakaś cicha muzyka w radiu, Angel drzemie, Louis trwa w bezruchu i czujnie, część jego uwagi skupia się na drodze po drugiej stronie, podczas gdy druga tajemna część jego osobowości przemierza nieznanne rewiry umysłu.

We śnie szedłem przez Gilead i słyszałem głosy płaczących dzieci. Zwróciłem się w stronę kościoła i zobaczyłem, że są tam młode dziewczęta i chłopcy zawinięci w kłujący bluszcz, którego wąsy zaciskały się na ich nagich ciałach, wsysając ich w świat zieleni. Zobaczyłem krew na ziemi i szczątki niemowlęcia zawinięte w powijaki, z punktami czerwieni przesączającymi się przez materiał.

Z otworu w ziemi wypęzł chudy mężczyzna o twarzy zniszczonej butwieniem, jego zęby były widoczne przez otwory w policzkach.

- Dobre, stare Gilead - powiedział Daniel Clay. - Ono zabiera duszę...

Gdy spałem połączono rozmowę telefoniczną do mojego pokoju. Był to O'Rourke. Ponieważ brakowało zasięgu dla telefonu komórkowego w Jackman, uważałem, że trzeba zawiadomić kogoś, gdzie jestem, w razie gdyby się coś działo u nas na wschodzie, więc zarówno O'Rourke, jak i Jack Garner mieli numer telefonu do zajazdu. W końcu moja broń gdzieś tam ciągle jeszcze była i mogłem ponosić odpowiedzialność za to, do czego Merrick mógł jej użyć.

- Merrick nie żyje - powiedział O'Rourke.

Usiadłem. Ciągle jeszcze czułem zapach jedzenia w ustach, ale smakowało jak ziemia, a wspomnienie snu było bardzo wyraźne.

- Jak zmarł?

- Zabity na parkingu Old Moose Lodge. Wygląda na to, że miał obfityjacy w wydarzenia ostatni dzień. Był zajęty do samego końca. Masona Dubusa zastrzelono dziesięciomilimetrową kulą. Ciągle czekamy na testy balistyczne, ale tu nie strzela się do ludzi codziennie i zazwyczaj nie dziesiątką. Parę godzin temu zastępca szeryfa hrabstwa Somerset znalazł dwa ciała na bocznej drodze niedaleko Bingham. Rosjanie, zdaje się. Potem mieli telefon od kobiety, która znalazła swojego ojca zamkniętego w piwnicy, parę kilometrów na północ od miejsca zdarzenia. Starszy pan jest weterynarzem. Człowiek odpowiadający rysopisowi Merricka zmusił go do opatrzenia rany postrzałowej i podania drogi do domu Dubusa, zanim go zamknął. Z tego, co powiedział weterynarz, rana była całkiem poważna, ale zaszył ją i założył opatrunek uciskowy najlepiej, jak potrafił. Wygląda na to, że Merrick pojechał dalej na północny zachód, zabił Dubusa, a potem musiał zatrzymać się w zajezdzie. Bardzo już wtedy krwawił. Według tego, co mówią świadkowie, siedział w kącie, wypił trochę whisky, mówił do siebie, potem skierował się na zewnątrz. Czekali tam na niego.

- Ilu?

- Dwóch, obydwaj w maskach ptaków. Przypomina ci to coś? Załtukli go prawie na śmierć. Myśleli, że robota skończona, kiedy odchodzili.

- Jak długo jeszcze żył?

- Na tyle długo, żeby wyjąć twoją broń spod siedzenia kierowcy i zastrzelić jednego z napastników. Opieram się na tym, co mi powiedziano, ale policjanci na miejscu zdarzenia nie mogą pojąć, jak on był w stanie to zrobić. Miał połamane prawie wszystkie kości. Musiał naprawdę bardzo chcieć zabić tego faceta. Trafił go raz w kostkę, potem raz w głowę. Jego kumpel próbował go odciągnąć, ale stopa zabitego zaczepiła się o kratkę kanału burzowego i musiał go zostawić.

- Czy ofiara nazywa się jakoś?

- Jestem pewny, że tak, ale nie miał przy sobie portfela. Albo nie miał, albo kumpel zabrał portfel, zanim odszedł, żeby zatrzeć ślady. Jak chcesz, może będę mógł zatelefonować i załatwić ci oględziny. Zwłoki są teraz w Auguście. Lekarz sądowy ma przeprowadzić sekcję rano. Jak ci się podoba Jackman? Nigdy bym nie pomyślał, że lubisz polowania. W każdym razie, na zwierzęta.

Przestał mówić, potem powtórzył nazwę miasta.

- Jackman - powiedział w zamyśleniu. - Old Moose Lodge jest chyba tak jakoś przy drodze do Jackman.

- Chyba jest - powtórzyłem jak echo.

- I Jackman jest całkiem blisko Gilead, a Mason Dubus był szcżą, kiedy Gilead prowadziło działalność.

- Tak to mniej więcej było - odparłem neutralnie. Nie wiedziałem, czy O'Rourke wiedział o akcie wandalizmu Merricka w domu Harmona, i byłem pewny, że nie wiedział o rysunkach Andy'ego Kelloga. Nie chciałem, żeby policja tu przyjechała i zaczęła tańczyć po całym terenie, jeszcze nie teraz. Chciałem rozgryźć Caswella sam. Teraz czułem, że jestem to winien Frankowi Merrickowi.

- Jeżeli ja mogłem dojść do tego, możesz być pewny, że inni policjanci też się domyśla - powiedział O'Rourke. - Myślę, że będziesz miał tam towarzystwo. I wiesz, nie spodobałoby mi się, gdybym się dowiedział, że ukrywasz coś przede mną, ale tego byś nie zrobił, co?

- Jestem w trakcie roboty, i tyle - powiedziałem. - Nie chciałbym marnować twojego czasu, zanim nie dowiem się czegoś na pewno.

- Tak, wierzę - odparł O'Rourke. - Zadzwoń do mnie, jak obejrzysz ciało.

- Zadzwonię.

- I nie zapomnij, bo inaczej naprawdę zacznę brać to do siebie.

Odłożył słuchawkę.

Nadszedł czas. Zadzwoiłem do Caswella. Czekalem cztery dzwonki, zanim odebrał. Wydawał się półprzytomny. Nic dziwnego, biorąc pod uwagę godzinę.

- Kto mówi?

- Charlie Parker.

- Już panu mówiłem. Nie mam nic...

- Zamknij się, Otis. Merrick nie żyje. - Nie powiedziałem mu, że Merrick zdołał zabić jednego z napastników. Lepiej, żeby nie wiedział, jeszcze nie teraz. Jeżeli Merrick został zabity w Old Moose Lodge, to każdy, kto zamierzał dotrzeć do Jackman potem, już by tu był i natknąłby się na Angela i Louisa. Nie słyszeliśmy o niczym takim, co oznaczało, że zabicie przez Merricka jednego z tych ludzi, odstraszyło ich na chwilę. - Ich obława na ciebie się zacieśnia, Otis. Dwóch ludzi zaatakowało Merricka na drodze 201. Powiedziałbym, że zamierzali tu dojechać, kiedy go dopadli, i tutaj jest ich następny przystanek. Być może będą próbowali zlikwidować moich przyjaciół i mnie, ale nie myślę, żeby byli tak odważni. Zaszli Merricka od tyłu, z kijami baseballowymi i łomami. My jesteśmy uzbrojeni. Może oni też są, ale my jesteśmy lepsi niż oni, gwarantuję ci to. No i jest tak, jak ci powiedziałem, Otis: ty jesteś słabym ogniwiem. Pozbędą się ciebie i potem będą mogli na nowo utworzyć łańcuch, mocniejszy niż przedtem. W tej chwili ja jestem twoją jedyną nadzieją na to, że dożyjesz do rana.

Na drugim końcu linii zapanowała cisza, a potem rozległo się łkanie.

- Wiem, że nie chciałeś jej skrzywdzić, Otis. Nie wyglądasz na człowieka, który by skrzywdził małą dziewczynkę.

Tym razem płacz był wyraźniejszy. Nie ustawałem w wysiłkach.

- Ludzie, którzy zabili Franka Merricka, są inni niż ty. Nie jesteś taki jak oni, Otis. Nie pozwól, żeby cię ściągnęli do swojego poziomu. Ty nie jesteś zabójcą. Ty nie zabijasz ludzi i nie zabijasz małych dziewczynek. Wiem, że nie jesteś taki. Po prostu wiem.

Caswell wciągnął nierówny oddech.

- Ja bym nie skrzywdził dziecka - powiedział. - Ja kocham dzieci.

Powiedział to w taki sposób, że aż mnie skręciło z obrzydzenia, czułem się brudny na wylot. Miałem ochotę wykapać się w kwasie i potem wypić resztę, żeby oczyścić wnętrze.

- Wierzę - powiedziałem i musiałem siłą wydierać słowa z ust. - Jestem pewny, że to ty opiekujesz się tymi grobami nad rzeką Moose, prawda? Zgadłem, co?

- Tak - przyznał. - Oni nie powinni byli zrobić tego małym niemowlętom. Nie powinni byli ich zabić.

Staralem się nie myśleć o tym, dlaczego uważałem, że niemowlęta należało oszczędzić, pozwolić im stać się dziećmi. To by mi nie pomogło, nie w tej chwili.

- Otis, co się stało z Lucy Merrick? Ona tam była, prawda? W tym domu? Potem znikła. Co się stało, Otis? Dokąd poszła?

Słyszałem, jak pociąga nosem, prawie widziałem, jak wyciera nos w rękaw.

- To był wypadek - powiedział. - Przywieźli ją tutaj i...

Przestał mówić. Nigdy wcześniej nie musiał nazwać tego, co robił dzieciom, wobec osoby, która nie była taka jak on. To nie był moment, żeby go do tego zmuszać.

- Nie musisz mi tego mówić, Otis, nie teraz. Powiedz mi tylko, jak to się skończyło.

Nie odpowiedział i obawiałem się, że straciłem z nim kontakt.

- Źle zrobiłem - powiedział Caswell, jak dziecko, które się pobrudziło. - Źle zrobiłem i teraz oni przyszli.

- Co? - Nie rozumiałem.

- Tam są teraz jacyś ludzie? - Przeklinałem brak zasięgu tutaj. Może powinienem był pojechać prosto do Angela i

Louisa, ale przypomniałem sobie spocone ręce Caswella na jego broni. Może i był na skraju załamania nerwowego, ale zawsze istniało ryzyko, że będzie chciał zabrać kogoś ze sobą, kiedy się ostatecznie załamie. Angel powiedział, że jego dom miał zakratowane okna i ciężkie dębowe drzwi, jak dom, w którym była przetrzymywana Lucy Merrick. Włamanie się tam, bez ryzyka bycia postrzelonym, było tak trudne, że graniczyło z niemożliwością.

- Oni tu byli przez cały czas - Caswell mówił dalej, prawie szeptem - przynajmniej przez ten zeszły tydzień, albo dłużej. Nie pamiętam dokładnie. Czuję, jakby tu byli zawsze, no i już nie śpię tak dobrze teraz przez nich. Widzę ich w nocy, najczęściej kątem oka. Nic nie robią. Tylko tak sobie stoją, jakby czekali na coś.

- Kto to jest, Otis? - Ale już wiedziałem. To byli Wydrążeni Ludzie.

- Twarze w mroku. Stare brudne płaszcze. Próbowałem rozmawiać z nimi, pytałem, czego chcą, ale oni nie odpowiadają, a kiedy staram się patrzeć prosto na nich, to tak, jakby ich nie było. Muszę ich zmusić, żeby odeszli, ale nie wiem, jak.

- Moi przyjaciele i ja przyjdziemy do ciebie, Otis. Zabierzemy cię do jakiegoś bezpiecznego miejsca. Tylko wytrzymaj.

- Wiesz - powiedział w końcu Caswell - myślę, że oni mnie nie puszczą.

- Czy oni tam są z powodu Lucy, Otis? Czy dlatego przyszli?

- Z jej powodu. I innych.

- Ale ci inni nie zmarli, Otis. To prawda, tak?

- Byliśmy zawsze ostrożni. Musieliśmy być. To były dzieci.

Coś kwaśnego zabulgotało mi w gardle. Zmusiłem się, żeby przełknąć.

- Czy Lucy była z tobą kiedyś wcześniej?

- Nie tutaj. Parę razy gdzie indziej. Mnie tam nie było. Dawali jej prochy i alkohol. Podobała im się. Była inna, w jakiś sposób. Wymusili na niej obietnicę, że nic nie powie. Mieli na to sposoby.

Pomyślałem o Andym Kellogu, o tym, jak poświęcił siebie, żeby ochronić inną małą dziewczynkę. Mieli sposoby...

- Co się stało z Lucy, Otis? Co poszło nie tak?

- To był wypadek - powiedział. Uspokoił się, prawie jak-byśmy rozmawiali o lekkim wgięciu błotnika czy pomyłce w zeznaniu podatkowym. - Zostawili mnie z nią potem... potem.

Kaszlnął i mówił dalej, znowu opuszczając to, co zrobiono Lucy Merrick, czternastoletniej dziewczynie, która zagubiła drogę.

- Mieli wrócić następnego dnia albo po paru dniach. Nie pamiętam. Wszystko mi się myli teraz. Miałem się nią tylko opiekować. Miała koc i materac. Dałem jej jeść, dałem jej trochę oranżady i jakieś książki. Ale nagle zrobiło się zimno, naprawdę zimno. Chciałem ją zabrać do siebie, ale się bałem, że może coś zobaczyć, coś, co pomogłoby im mnie zidentyfikować, po tym, jak ją wypuścimy. Miałem mały grzejnik gazowy w domu, włączyłem go jej i poszła spać. Chciałem do niej zaglądać co kilka godzin, ale przysnąłem. Kiedy się obudziłem, leżała na podłodze.

Zaczął znowu płakać i zajęło mu prawie minutę, zanim mógł dalej mówić.

- Poczulem zapach, kiedy podszedłem do drzwi. Przyłożyłem szmatkę do twarzy, ale i tak ledwie mogłem oddychać. Leżała na podłodze i była cała czerwona i fioletowa. Wymiotowała na siebie. Nie wiem, jak długo nie żyła. Przysięgam, że grzejnik przedtem dobrze działał. Może ona próbowała go regulować. Nie mam pojęcia. Nie chciałem, żeby tak się stało. O, Boże, nie chciałem, żeby to się stało w taki sposób.

Zaczął zawodzić. Pozwoliłem mu płakać przez chwilę i potem mu przerwałem.

- Gdzie ją pochowałeś?

- Chciałem, żeby spoczywała gdzieś w ładnym miejscu, blisko Boga i aniołów. Pochowałem ją za wieżą starego kościoła. Tam było najbliżej poświęconej ziemi. Nie mogłem oznaczyć miejsca, ani nic, ale ona tam jest. Czasami kładę kwiaty na tym miejscu w lecie. Rozmawiam z nią. Mówię jej, że żałuję tego, co się stało.

- A ten prywatny detektyw? Co było z Poole'em?

- Nie miałem z tym nic wspólnego - w jego głosie zabrzmiało oburzenie. - Nie chciał się odczepić. Wciąż zadawał pytania. Musiałem zadzwonić. Pogrzebałem go też w kościele, ale daleko od Lucy. Jej miejsce jest wyjątkowe.

- Kto go zabił?
- Wyznam swoje własne grzechy, ale nie będę wyznawał grzechów innego człowieka. To nie moja sprawa.
- A Daniel Clay? Czy brał w tym udział?
- Nigdy go nie spotkałem - odpowiedział Otis. - Nie wiem, co się z nim stało. Słyszałem tylko to nazwisko. I niech pan zapamięta: nie chciałem, żeby to się stało tak, jak się stało. Chciałem tylko, żeby było jej ciepło. Mówilem panu: ja kocham dzieci.
- Co to jest „Projekt”, Otis?
- Dzieci były Projektem - odpowiedział. - Małe dzieci. Inni je znajdowali i przywozili tutaj. To nazywaliśmy „Projekt”. To była nasza tajemnica.
- Kim byli ci inni ludzie?
- Nie mogę panu powiedzieć. Nic już więcej nie powiem.
- Dobrze, Otis. My teraz przyjedziemy do ciebie. Zabierzemy cię gdzieś w bezpieczne miejsce.

Ale teraz, kiedy ostatnie minuty jego życia powoli mijały, bariery, które wzniosł Otis Caswell pomiędzy sobą i prawdą swoich uczynków, zaczynały się kruszyć.

- Nigdzie nie jest bezpiecznie - odparł. - Chcę tylko, żeby to się skończyło. Wziął głęboki oddech, dusząc jeszcze jedno łkanie. Dodało mu to trochę siły. - Muszę kończyć. Muszę tu wpuścić paru ludzi.

Odłożył słuchawkę i połączenie zostało zerwane. Byłem na drodze pięć minut później, a w miejscu, gdzie droga do domu Caswella łączyła się z główną drogą, po dziesięciu minutach. Dałem światłami sygnał tam, gdzie powinni stać Angel i Louis, ale nie było po nich ani śladu. Dalej ujrzałem otwartą bramę z rozwalonym zamkiem. Zbliżyłem się do domu. Stała tam zaparkowana ciężarówka, a obok lexus Louisa. Drzwi wejściowe do domu były otwarte, padało z nich światło.

- To ja - zawołałem.
- Tu jesteśmy - odpowiedział Louis, skądś po mojej prawej stronie.

Poszedłem za jego głosem do skąpo umeblowanej sypialni. Miała pobielone ściany. Odkryte belki biegnęły wzdłuż sufitu.

Otis Caswell zwiślał z jednej z nich. Na podłodze leżało przewrócone krzesło, krople moczu jeszcze spadały z jego bosych stóp.

- Wysiadłem, żeby się odlać - powiedział Angel. - Zobaczyłem... Z wysiłkiem szukał słów. - Zobaczyłem, że drzwi są otwarte i zdawało mi się, że widzę mężczyzn wchodzących do środka, ale kiedy tu wtargnęliśmy, nikogo nie było, tylko Caswell, który już nie żył.

Podszedłem do niego i podwinąłem rękawy jego koszuli. Na skórze nie dostrzegłem żadnych tatuaży. Bez względu na to, jaki był jego udział, Otis Caswell nie był mężczyzną z orłem na przedramieniu. Angel i Louis patrzyli na mnie, ale nic nie powiedzieli.

- On wiedział - oświadczyłem. - Wiedział, kim oni byli, ale nie chciał powiedzieć.

A teraz nie żył i ta wiedza zmarła razem z nim. Nagle przypomniałem sobie człowieka zabitego przez Franka Merricka. Jeszcze był czas. Najpierw jednak przeszukaliśmy dom, starannie przejrzelśmy szuflady i szafy, sprawdziliśmy podłogi i listwy przypodłogowe w poszukiwaniu kryjówek. Angel znalazł schowek. Za pustą do połowy biblioteczką była dziura w ścianie. Zawierała torby pełne fotografii, w większości wydrukowanych z komputera, a także tuziny nieoznaczonych kaset wideo i DVD. Angel przejrzał parę zdjęć, potem położył je i odsunął się. Rzuciłem na nie okiem, ale nie miałem ochoty przeglądać ich wszystkich. Nie było potrzeby. Wiedziałem, co zawierały. Tylko twarze dzieci się zmieniały.

Louis wskazał gestem na kasety i DVD. W jednym kącie stał metalowy stojak, na którym królował nowy, płaskoekranowy telewizor. Zupełnie nie pasował do domu Caswella.

- Chcesz na to popatrzeć?

- Nie. Muszę jechać - powiedziałem. - Wyczyścicie wszystko, czego dotykaliście i potem też wyjeżdżajcie.

- Zadzwoń na policję? - spytał Angel. Potrząsnąłem głową,

- Jeszcze nie, przez parę godzin.

- Co on ci powiedział?

- Że córka Merricka zmarła od zatrucia tlenkiem węgla. Pochował ją za wieżą w lesie.

- Uwierzyłeś mu?
- Nie wiem.

Popatrzyłem na twarz Caswella, fioletową od krwi. Nie wzbudzał we mnie żadnego współczucia, żałowałem jedynie, że zmarł, nie powiedziawszy nic więcej.

- Chcesz, żebyśmy trzymali się blisko ciebie?

- Wracajcie do Portland, ale nie jedźcie do Scarborough. Ja muszę obejrzeć zwłoki i potem zadzwonię do was.

Wyszliśmy na zewnątrz. Powietrze było nieruchome, las cichy. Poczulem obcy zapach. Usłyszałem, jak za mną Louis wciągnął powietrze.

- Ktoś tu palił - powiedział.

Przeszedłem obok ciężarówki Caswella po krótko ściętej trawie i małej grządce jarzyn, aż dotarłem do skraju lasu. Po kilku krokach znalazłem to: niedopałek ręcznie zwiniętego papierosa porzucony na ziemi. Podniosłem go ostrożnie i dmuchnąłem na koniuszek. Rozjarzył się na czerwono, potem zgasł.

Koło mnie pojawił się Louis, a Angel zaraz za nim. Obaj mieli broń w ręku. Pokazałem im papierosa.

- Był tutaj - powiedziałem.

- Myśmy go przyprowadzili do Caswella.

- Na małym palcu prawej ręki Caswella jest ślad - przypomniał sobie Angel. - Zdaje się, że tam był kiedyś pierścienek. Nie ma go teraz.

Patrzyłem nieruchomo w ciemność lasu, ale nie czułem niczyjej obecności. Egzekutor odszedł.

O'Rourke zrobił, jak obiecał. Zostawił wiadomość w gabinecie lekarza sądowego informującą, że może będę mógł zidentyfikować zmarłego człowieka. Byłem w gabinecie o siódmej i wkrótce potem dołączył do mnie O'Rourke z dwoma śledczymi z policji stanowej, jednym z nich był Hansen. Nie odezwał się, gdy mnie wprowadzono do chłodni, żebym zobaczył ciało. W sumie aż pięć ciał przygotowano pod nóż lekarza sądowego: ciała niezidentyfikowanego mężczyzny z Old Moose Lodge, Masona Dubusa, dwóch Rosjan i Merricka. Było tam tak mało miejsca, że Rosjan przechowywano w

pobliskim zakładzie pogrzebowym.

- Który to Merrick? - zapytałem asystenta lekarza sądowego.

Człowiek, którego nazwiska nie znałem, wskazał na ciało najbliższej ściany. Było przykryte białym, plastikowym prześcieradłem.

- Żal ci go? - To był Hansen. - Zabił pięciu ludzi swoją bronią. Powinno ci być przykro, ale nie z jego powodu.

Nic nie powiedziałem. Stałem natomiast nad ciałem zabójcy Merricka. Myślę, że mi się nawet udało zachować twarz bez wyrazu, kiedy odsłonięto twarz tego mężczyzny. Czerwona rana na prawej stronie jego czoła jeszcze nie została oczyszczona z ziemi i zaschniętej materii.

- Nie znam go - powiedziałem.

- Jesteś pewny? - zapytał O'Rourke.

- Tak, jestem pewny - odparłem, odwracając się od ciała Jerry'ego Legere'a, byłego męża Rebecki Clay.

Oczywiście, te wszystkie kłamstwa i półprawdy będą wracać i mnie prześladować. Będą mnie kosztować więcej, niż mogłem sobie wtedy wyobrazić, chociaż pozostawałem cudem przy życiu tak długo, że nie powinienem się dziwić konsekwencjom. Mogłem powiedzieć śledczym wszystko, co wiedziałem. Mogłem im powiedzieć o Andym Kellogu i Otisie Caswellu i ciałach, które mogły być pochowane w zrujnowanym kościele, ale nie zrobiłem tego. Nie wiem dlaczego. Może dlatego, że byłem bliski prawdy i chciałem ją sam odkryć.

Ale nawet i tym miałem być rozczarowany, bo co w końcu okazało się prawdą? Jak powiedział mecenas Elwin Stark, jedyną prawdą było to, że wszyscy kłamali.

Albo było tak z powodu Franka Merricka. Wiedziałem, co on zrobił. Wiedziałem, że zabił i byłby znowu zabił, gdyby dane mu było żyć. Ciągłe byłem posiniaczony i bolało mnie tam, gdzie mnie uderzył i zdawałem sobie sprawę z urazy za to, jak mnie upokorzył w moim własnym domu. Ale w jego

miłości do córki i prostolinijnej obsesji, żeby poznać prawdę o jej zaginięciu i w tym, jak karał odpowiedzialnych za to, widziałem odbicie części siebie.

Teraz, kiedy miejsce pochówku Lucy Merrick zostało odkryte, należało znaleźć resztę mężczyzn, którzy ją tam doprowadzili. Trzech z nich: Caswell, Legere i Dubus - nie żyli. Andy Kellog pamiętał cztery maski, a ja nie widziałem tatuażu na przedramieniu ani Caswella, ani Legere'a, kiedy dokonałem oględzin ciała w gabinecie lekarza sądowego. Mężczyzna z orłem, ten, którego Andy odbierał jako przywódcę, ten, który dominował, jeszcze ciągle żył.

Wsiadałem do samochodu, kiedy nagle zrozumiałem jeden element układanki. Myślałem o zniszczonym jednym rogu domu, w którym zmarła Lucy Merrick, o dziurach w ścianie i śladach po śrubach, które kiedyś coś tam trzymały przytwierdzonego i przypomniałem sobie słowa Caswella, które wypowiedział do mnie przez telefon. Zaintrygowały mnie one wtedy, ale byłem zbyt zajęty wydobywaniem z niego informacji, żeby zwrócić na to uwagę. Teraz wróciły do mnie: *Chciałem do niej zaglądać co kilka godzin, ale przysnąłem. Kiedy się obudziłem, leżała na podłodze - i znalazłem powiązanie.*

Trzech nie żyło, ale ja teraz miałem jeszcze jedno nazwisko.

Raymon Lang mieszkał między Bath i Brunswick, na małym skrawku ziemi tuż przy drodze nr 1, blisko północnego brzegu rzeki New Meadows River. Rzuciłem okiem na pleśnięte Langa, kiedy dotarłem tam krótko przed dziewiątą. Nie zagospodarował za dużo swojej posiadłości poza tym, że ustawił tam jasnobrązową przyczepę, która na pierwszy rzut oka wyglądała tak, jakby mogło ją zdmuchnąć każde silniejsze kichnięcie. Przyczepa była wysoko nad ziemią. W niedbałym holdzie estetyce, postawiono coś w rodzaju parkanu ze sztachetek pomiędzy dolnym brzegiem przyczepy i glebą, zakrywając ziemię i rury pod spodem.

Tamtej nocy przespałem tylko trzy albo cztery godziny, ale nie byłem zmęczony. Im dłużej myślałem o tym, co Caswell powiedział mi, zanim zmarł, tym bardziej upewniałem się, że Raymon Lang był zamieszany w uprowadzenie Lucy Merrick. Caswell powiedział mi, że zobaczył Lucy Merrick leżącą na podłodze, umierającą albo już zmarłą. Pytanie brzmiało: skąd Caswell wiedział? Jak mógł ją widzieć, kiedy się obudził? W końcu, gdyby był z nią w tym pomieszczeniu, to też by zmarł. On tam nie zasnął. Spał u siebie, co oznaczało, że był sposób na monitorowanie pomieszczenia z jego domu. Tam była kamera. Ślad w kącie na ścianie pomieszczenia wskazywał, gdzie ją umieszczono. A kto instalował kamery w różnych miejscach? Raymon Lang, wspomagany przez swojego dobrego kumpla Jerry'ego Legere'a, który niestety już nas opuścił. Firma A-Secure, w której Lang pracował, zainstalowała system alarmowy również w domu Daniela Claya, co teraz

mniej wyglądało na zbieg okoliczności aniżeli przedtem. Zastanawiałem się, jak Rebecca przyjmie wiadomość o śmierci swojego byłego męża. Wątpiłem, żeby pograżyła się w bólu, ale kto to mógł wiedzieć? Widziałem już żony, które zapłakiwały się na śmierć przy łożu boleści swoich brutalnych mężów i dzieci płaczące histerycznie na pogrzebach ojców, którzy je bili. Czasami myślałem, że wcale nie wiedzą, dlaczego płaczą, ale równie dobrze można było powiedzieć, że powodem ich łez był żal.

Przypuszczałem, że Lang był też tym drugim mężczyzną biorącym udział w zabójstwie Franka Merricka. Według relacji naocznych świadków, widziano jak srebrny albo szary samochód opuszczał miejsce zdarzenia, a stąd, gdzie teraz siedziałem, też było widać srebrną sierzę Langa prześwitującą pomiędzy drzewami. Policjanci nie zatrzymali go na drodze do Old Moose Lodge, kiedy jechali na północ, ale to nie miało znaczenia. W panice, jaka zapanowała po strzelaninie, trochę czasu zajęło policjantom przyjęcie zeznań od świadków i w tym czasie Lang mógł dojechać aż do autostrady. Nawet, jeżeli ktoś zgłosił, że widział taki samochód, w odpowiedzi na wezwanie 911, to Lang i tak miałby dość czasu, żeby dojechać aż do Bingham, i tam miałby do wyboru trzy trasy: 16 na północ, 16 na południe, albo dalej kontynuować drogą 201. Prawdopodobnie jechałby dalej na południe, ale było tam wiele bocznych dróg za Bingham, co pozwoliłoby mu uniknąć całych tuzinów policjantów, jeżeli miał szczęście i zachował spokój.

Zaparkowałem obok stacji benzynowej, około piętnaście metrów na zachód od podjazdu Langa, piłem kawę i czytałem Press Herald. Koło stacji była ciastkarnia z pączkami Dunkin' Donuts, gdzie było tylko parę miejsc siedzących dla klientów, więc nikogo nie dziwili ludzie jedzący i pijący w samochodach. To znaczyło, że nie wyróżniałem się, obserwując mieszkanie Langa. Po godzinie Lang wyszedł z przyczepy i srebrna plamka zaczęła się poruszać, kiedy ruszył w stronę Bath. Parę sekund później, Angel i Louis pojechali za nim lexusem. Miałem komórkę pod ręką, w razie gdyby się okazało, że to tylko krótki wyjazd, chociaż Lang miał ze sobą torbę z narzędziami, kiedy szedł do samochodu. Dałem mu jeszcze pół godziny na wypadek, gdyby wrócił z jakiegoś powodu,

potem zostawiłem samochód tam, gdzie był, i przeszedłem między drzewami do przyczepy.

Lang nie trzymał psa i to było dobre. Trudno jest zrobić małe włamanie i wejść do domu, kiedy pies próbuje ci przeżryć gardło. Drzwi do przyczepy nie robiły wielkiego wrażenia, ale ja jeszcze nie umiałem otwierać zamka wytrychem tak jak Angel. Szczerze mówiąc, jest to o wiele trudniejsze, niż się wydaje i nie chciałem spędzić pół godziny w kucki pod drzwiami Langa, próbując otworzyć je wytrychem i elektropikiem. Kiedyś miałem własny klucz dynamoelektryczny, który też dobrze się sprawował, ale przepadł, kiedy pozbyłem się parę lat temu starego mustanga, i nigdy nie zadałem sobie trudu, żeby kupić następny. Zresztą, jedyną przyczyną, dla której prywatny detektyw miałby trzymać klucz dynamoelektryczny w swoim samochodzie, byłby zamiar nielegalnego włamania, więc gdyby policja z jakiegokolwiek powodu przeszukiwała mój samochód, źle by to wyglądało, i mógłbym stracić licencję.

Nie potrzebowałem pomocy Angela, żeby włamać się do przyczepy Langa, bo nie chciałem, żeby Lang miał jakiegokolwiek wątpliwości, że jego mieszkanie zostało przeszukane. W przeciwieństwie do Caswella, Lang nie wyglądał na faceta, który by sięgnął po stryzyk w trudnej sytuacji. Raczej, jeżeli los Merricka mógł być jakąś wskazówką, był on facetem, który by zaatakował. Myśl, że Lang mógłby nie być winny, nawet nie przyszła mi do głowy.

Po to, żeby się włamać do przyczepy Langa, miałem łom pod kurtką. Siłą wcisnąłem go między drzwi i framugę, potem pchałem, aż zamek puścił. Po pierwsze, zaskoczyła mnie panująca w środku duchota. Po drugie to, że był tam porządek, a nie tego się spodziewałem po przyczepie samotnego mężczyzny. Na lewo była część kuchenna, jak na jachcie, ze stołem w głębi, otoczonym z trzech stron kanapowym siedziskiem, które zajmowało całą niższą część przyczepy. Po prawej, przed miejscem do spania, był rozkładany fotel z podnóżkiem i drogi szeroko-ekranowy telewizor sony, pod którym stało DVD tej samej firmy, nagrywarka DVD i dwukasetowy magnetowid. Na półce obok leżały kasety i DVD z filmami kina akcji, kilka komedii, nawet parę klasyków z

Bogartem i Cagneyem. Poniżej był wybór filmów porno na DVD i wideo. Przejrzałem parę tytułów, które wyglądały na to, co się przeciętnie ogląda. Nie było nic związanego z dziećmi, no, ale spodziewałem się, że większość materiałów z udziałem dzieci była prawdopodobnie i tak pakowana w taki sposób, żeby nie rzucać się w oczy, albo była ukryta na innych taśmach i dyskach, żeby nie znaleziono jej w wypadku pobieżnego przeszukania. Włączyłem telewizor i wybrałem na chybił trafił którykolwiek film porno, przewijając do przodu, żeby zobaczyć, czy nie zawiera niczego specjalnego, ale był zgodny z reklamowaną treścią. Mogłem spędzić tak cały dzień, próbując przeglądać wszystkie filmy w nadziei, że może coś znajdę, ale to nie miało większego sensu. Było też dość przygnębiające.

Obok telewizora było biurko do komputera z sieci hipermarketów Home Depot i nowy komputer. Próbowałem wejść, ale był chroniony hasłem. Zgasilem go i przejrzałem książki na półkach i czasopisma pod małym stolikiem w kącie. Znowu nic szczególnego tam nie było, nawet magazynów porno. Możliwe, że Lang miał te inne materiały ukryte gdzie indziej, ale po przeszukaniu całej przyczepy nie znalazłem ani śladu niczego. Został mi do przeszukania jedynie kosz na brudną bieliznę w nieskazitelnie czystej łazience, który był pełen brudnych T-shirtów Langa, bielizny i skarpetek. Wysypałem wszystko na podłogę na wszelki wypadek, ale był to tylko stos brudnej odzieży śmierdzącej starym potem. Pod każdym innym względem Lang robił wrażenie czystego. Byłem rozczarowany i po raz pierwszy zacząłem wątpić w to, co robię, w związku z nim. Może powinienem był wezwać policję. Jeżeli miał jakiś obciążający materiał w komputerze, oni potrafiliby to znaleźć. Naruszyłem przestrzeń przyczepy, więc gdyby nawet znaleziono dowody, że Lang brał udział w zabójstwie Merricka - kij baseballowy poplamiony krwią albo obрызгany łom - każdy adwokat argumentowałby, że to ja mogłem podłożyć te narzędzia zbrodni, zakładając, że zeznałbym policji to, co wiem. Na razie wyglądało na to, że Lang to ślepa uliczka. Będę musiał po prostu poczekać i zobaczyć, jak on zareaguje na włamanie.

Wyrząłem przez okno, by się upewnić, że nikt się nie zbliża, potem otworzyłem drzwi i byłem gotowy iść z powrotem do swojego samochodu, I dopiero wtedy, kiedy moja stopa dotknęła żwiru i spojrzałem na płotek, zdałem sobie sprawę z tego, że przeszukując wnętrze przyczepy, nie sprawdziłem jej pod spodem. Obszedłem ją i dostałem się na tyły, niewidoczny z drogi, potem ukląknłem i zajrzałem przez sztachety płotu.

Pod przyczepą zobaczyłem duży metalowy pojemnik o długości mniej więcej dwa metry trzydzieści i na metr dwadzieścia wysoki. Wyglądało na to, że jest przymocowany do przyczepy. Zrobiłem pełne kółko z latarką i nie znalazłem ani śladu żadnych drzwi, co znaczyło, że do środka można się dostać tylko z przyczepy. Wróciłem więc na górę i zbadałem podłogę. Od ściany do ściany była pokryta grubą brązową wykładziną, która wyglądała jak mokre psie futro. Przeczesalem ją palcami i wyczułem szorstkie miejsca i przerwy. Zagłębiłem palce w jedną z takich przerw i pociągnąłem. Zatrzeszczał odpinający się rzep i wykładzina się uniosła. Zobaczyłem przed sobą klapę, sześćdziesiąt na sześćdziesiąt, z zamkami po obydwu stronach. Zdjąłem kurtkę i zabrałem się do roboty z łomem, ale tym razem to nie było takie łatwe, jak z drzwiami. To była stal i bez względu na to, jak mocno próbowałem, nie byłem w stanie unieść klapy na tyle, żeby wetknąć pod nią łom. Usiadłem na podłodze, zastanawiając się, co robić dalej. Mogłem zostawić sprawy tak, jak były, położyć wykładzinę z powrotem i spróbować wrócić kiedy indziej, co dałoby Langowi dosyć czasu na to, żeby usunąć wszystkie obciążające dowody, gdyby już się zorientował, że ktoś się do niego włamał. Mógłbym wezwać policję i w tym wypadku na początek musiałbym wyjaśnić, co znaczyło to, że się włamałem do czyjejś przyczepy. Przyjmując, że policja byłaby w stanie i miała ochotę zdobyć nakaz na przeszukanie przyczepy Langa, ten pojemnik mógł zawierać rękopis jego wielkiej powieści albo suknie i biżuterię jego zmarłej matki, a mnie czekałoby więzienie.

Zadzwoń do Angela.

- Gdzie on jest?

- W Stoczni w Bath - powiedział. - Widzę go z miejsca, w którym jesteście. Zdaje się, że mają jakiś problem z monitorami systemu alarmowego. Sprawdza kable i spięprzone włączanie. To powinno potrwać.

- Unieruchomcie mu samochód - powiedziałem. - Dwie opony wystarczą. Potem przyjedźcie tutaj.

Pół godziny później byli ze mną u Langa. Skierowałem Angela do klapy w podłodze, a on się zabrał do roboty. Nie odezwał się ani razu, nawet kiedy pięć minut później otworzył pierwszy zamek i krótko potem, drugi. Nic nie mówił, kiedy pokazała się płaska metalowa półka skrytka, zawierająca nieoznaczone wideokasety, DVD, komputerowe dyski i plastikowe koszulki zawierające przeźrocza ze zdjęciami nagich dzieci, czasami z dorosłymi, czasami z innymi dziećmi. Nic nie mówił, kiedy wyjął półkę, zwalniając dwa zaciski na jej końcach, podniósł ją i odkrył pomieszczenie, podobną do pudła cełę, w której kuliła się mała dziewczynka, zawinięta w wiele warstw koców, mrugała oczami od światła, a dokoła niej były rozrzucone stare lalki, batoniki czekoladowe, herbatniki i pudełko płatków śniadaniowych. Nie odezwał się, kiedy zobaczył wiadro, którego musiała używać, jako toalety, ani okrągłego otworu, przysłoniętego kratką, przez który dochodziło powietrze do więzienia.

Odezwał się dopiero, kiedy schylił się na dół i wyciągnął rękę do wystraszonej dziewczynki.

- Już dobrze - powiedział. - Nie pozwolę nikomu już nigdy cię skrzywdzić.

I dziecko otworzyło buzię i zaskowyczało.

Wezwałem policję. Angel i Louis odjechali. Byłem tylko ja i dziesięcioletnia dziewczynka z ziemistą cerą, która, zdaje się, na imię miała Anja. Na jej szyi wisiał tani naszyjnik z tymi czterema literami w srebrze. Posadziłem ją na przednim siedzeniu w moim samochodzie i ona siedziała tam bez ruchu, z buzią odwróconą od przyczepy, oczami utkwionymi w jedno miejsce podłogi. Nie potrafiła mi powiedzieć, jak długo ją tam trzymano, i udało mi się tylko wydobyć z niej potwierdzenie jej imienia i wieku, wymówionego z bardzo mocnym akcentem, zanim znowu umilkła.

Powiedziała, że ma dziesięć lat. Sądziłem, że mi nie ufa i nie miałem jej tego za złe.

Kiedy ona siedziała w samochodzie, zatopiona w myślach, ja obejrzałem album z fotografiami należący do Langa. Niektóre z nich były bardzo świeże: Anja była wśród fotografowanych dzieci, ciała mężczyzn po obu jej stronach. Przyjrzałem się dokładnie jednej z fotografii i zdawało mi się, że widzę na ramieniu mężczyzny po prawej stronie, coś, co mogło być żółtym dziobem ptaka. Przerzuciłem karty albumu wstecz: odcienie i kolory zmieniały się wraz z wiekiem fotografii, zdjęcia z aparatu Polaroid zastąpiły komputerowe, a tamte z kolei ustąpiły najstarszym, czarno-białym fotografiom, prawdopodobnie wywoływanym przez samego Langa osobiście w domowej ciemni. Byli na nich chłopcy i dziewczęta, czasem fotografowani sami, kiedy indziej z mężczyznami, których tożsamość ukryta była pod ptasimi maskami. Była to historia wykorzystywania, która trwała całe lata, być może nawet dziesięciolecia.

Najstarsze zdjęcia w albumie były fotokopiami bardzo słabej jakości. Była na nich dziewczynka na łóżku, dwóch mężczyzn kolejno zmieniało się przy niej, zdjęcia obcięte, żeby usunąć ich głowy. Na jednym ze zdjęć, zobaczyłem tatuaż na przedramieniu jednego z mężczyzn. Był niewyraźny. Pomyślałem, że da się to wyczyścić i gdyby to zrobiono, ukazałby się orzeł.

Ale jedna z fotografii była inna niż reszta. Długo jej się przypatrywałem, potem wyjąłem ją z plastikowej koszulki i starannie ułożyłem resztę zdjęć, żeby zatuszować to, co zrobiłem. Schowałem zdjęcie pod gumową wykładzinę na podłodze mojego samochodu, potem usiadłem na zimnym, twardej żwirze, oparłem głowę na rękach i czekałem na przyjazd policji.

Przyjechali po cywilnemu w dwóch nieoznaczonych samochodach. Anja obserwowała ich przybycie i skuliła się w pozycji embrionalnej, powtarzając w kółko jedno słowo w języku, którego nie rozpoznawałem. Dopiero, kiedy otworzyły się drzwi pierwszego auta i wysiadły z niego dwie kobiety, Anja zaczęła wierzyć, że być może jest już bezpieczna. Dwie kobiety podeszły do nas. Drzwi po stronie pasażera w moim samochodzie były otwarte tak, że one widziały małą dziewczynkę

i ona je widziała. Nie chciałem, żeby Anja czuła, że po prostu przeniesiono ją z jednej celi do drugiej.

Pierwsza policjantka przykucnęła przed Anją. Była szczupła, miała długie rude włosy, ciasno związane do tyłu. Przypominała mi Rachel.

- Cześć - powiedziała. - Mam na imię Jill. A ty jesteś Anja, prawda?

Anja kiwnęła głową, poznając swoje imię nawet, jeżeli nie rozumiała reszty. Wyraz na jej buzi zaczął łagodnieć. Koniuszki ust opadły w kącikach i zaczęła płakać. Nie był to zwierzęcy odgłos, który powitał Angela. To było coś innego.

Jill rozpostarła ramiona do małej dziewczynki i ona wpadła w nie, chowając buzię między jej szyją i ramieniem, całym jej ciałem wstrząsało silne łkanie. Jill popatrzyła ponad ramieniem Anji na mnie i pokiwała głową. Odwróciłem się i zostawiłem je same.

Bath nie jest bardzo pięknym miastem, kiedy się patrzy na nie od morza, ale większość miejsc związanych z jedną gałęzią przemysłu ciężkiego rzadko grzeszy urodą i nikt jeszcze nie zaprojektował stoczni, biorąc pod uwagę estetykę. Jednak było coś majestatycznego w jej potężnych dźwigach i wielkich statkach, które stocznia jeszcze budowała w czasach, gdy większość jej konkurentów doświadczyło albo całkowitego upadku przemysłu okrętowego, albo upadku do poziomu zaledwie cienia swojej dawnej świetności. Stocznia mogła być brzydka, jednak była to brzydota zrodzona nie z rozpadu, ale ze wzrostu przez czterysta lat historii w tle, cztery wieki hałasu, pary i iskier, drewna zastąpionego stalą, synów idących w ślady ojców w zawodach, które były przekazywane przez pokolenia. Los Bath i los stoczni były na zawsze połączone więzią, która nigdy nie mogła być naruszona.

Jak w każdym mieście, gdzie dużo ludzi dojeżdża do pracy do jednego głównego pracodawcy, miejsca do parkowania stanowią problem i ogromny parking przy King Street na skrzyżowaniu z Commercial i najbliższej głównej, północnej bramy do stoczni, był zapchany samochodami. Niedługo miała kończyć się pierwsza zmiana i autobusy czekały w pobliżu, by przetransportować tych, którzy przyjechali zza miasta i woleli uniknąć niewygód parkowania, rezygnując z samochodów lub zostawiając je na przedmieściach. Tablica ostrzegała, że stocznia w Bath jest dostawcą dla sił obrony i wszelkie fotografowanie jest zakazane. Nad wejściem dla pracowników wisiała inna tablica z napisem: *Przez tę Bramę Wchodzą Najlepsi Stoczniowcy na Świecie.*

Policjanci zebrali się w Klubie Sportowym Riverside. W sumie było ich kilkunastu, połączone siły komendy policji w Bath i policji stanowej, wszyscy po cywilnemu. Ponadto dwa radiowozy czekały w ukryciu. Ochronę stoczni poinformowano, że ma nastąpić aresztowanie i na ich prośbę zdecydowano, że Raymon Lang zostanie zaaresztowany, gdy się pojawi na parkingu. Znajdował się pod stałą obserwacją i szef ochrony był w bezpośrednim kontakcie z Jill Carrier z wydziału dochodzeniowo-śledczego policji stanowej, tej policjantki, która wzięła Anję w ramiona i teraz dowodziła aresztowaniem Langa. Ja zaparkowałem na parkingu z dobrym widokiem na bramę. Pozwolono mi tam być pod warunkiem, że będę trzymał się na uboczu i nie wezmę udziału w niczym, co się wydarzy. Opowiedziałem policjantom całkiem treściwą historię, zeznając jak doszło do tego, że znalazłem małą dziewczynkę w przyczepie Langa, no i dlaczego w ogóle tam w tej przyczepie sam się znalazłem, ale w końcu musiałem przyznać się do kłamstwa w czasie oględzin ciała Legere'a. Miałem kłopoty, ale Carrier była na tyle uprzejma, że pozwoliła mi doprowadzić sprawę Langa do końca, chociaż jednym z warunków, jakie postawiła, była obecność nieumundurowanego oficera siedzącego obok mnie w moim samochodzie przez cały czas. Nazywał się Weintraub i nie odzywał się wiele, co mi całkiem odpowiadało.

O piętnastej trzydzieści brama otworzyła się z brzękiem i mężczyźni zaczęli wychodzić, wszyscy prawie identycznie ubrani - w czapkach baseballówkach, dżinsach, w rozpiętych koszulkach flanelowych w kratę, nałożonych na T-shirty, każdy z butelką i pojemnikiem na drugie śniadanie. Zobaczyłem Carrier, jak rozmawia przez komórkę i z pół tuzina policjantów odłącza się od głównej grupy, Carrier szła przodem, zaczęli powoli iść przez tłum mężczyzn. Po drugiej stronie, na prawo, zobaczyłem, jak Raymon Lang wychodzi przez obrotową barierkę, niosąc swoje długie metalowe pudło z narzędziami. Był ubrany jak stoczniowcy i palił końcówkę papierosa. Kiedy pociągnął ostatni raz i chciał wyrzucić niedopałek na ziemię, zobaczył Carrier i innych zbliżających się i w

sekundzie zorientował się, kim byli i po kogo przyszli: drapieżca natychmiast jest świadomy obecności innych, bardziej potężnych osaczających go drapieżców. Rzucił pudło z narzędziami i zaczął biec, kierując się na wschód od ścigających, ale pojawił się radiowóz policji w Bath i zagroził drogę z parkingu. Lang zmienił kierunek, klucząc między samochodami, nawet kiedy drugi radiowóz się pojawił i umundurowani dołączyli do pościgu. Carrier też się do niego zbliżała, szybsza i bardziej zręczna niż mężczyźni, z którymi była. W rękę miała broń. Rozkazała Langowi, by się zatrzymał. Lang obrócił się, i sięgnął za plecy, szukając ręką czegoś pod koszulą. Carrier dała mu ostateczne ostrzeżenie, by podniósł ręce do góry, ale on tego nie zrobił. Potem zobaczyłem, że broń szarpnęła w rękę Carrier i usłyszałem strzał, a Lang zakręcił się i upadł na ziemię.

Zmarł w drodze do szpitala. Nic nie mówił, kiedy sanitariusze walczyli, by uratować mu życie i niczego się od niego nie dowiedziano. Zdjęto mu koszulę, kiedy został położony na noszach na kółkach i zobaczyłem, że nie miał tatuaży na przedramionach.

Raymon Lang był nieuzbrojony. Nie miał powodu, by sięgać za plecy, nie miał powodu ściągać ognia Carrier na siebie. Myślę jednak, że po prostu nie chciał iść do więzienia, może z tchórzostwa, albo może dlatego, że nie mógłby znieść odseparowania od dzieci przez resztę życia.

VI

I kiedy zachowuję się najlepiej jak potrafię To jestem właściwie taki sam jak on Szukajcie pod podłogą Sekretów, które tam ukryłem.

Sufjan Stevens, *John Wayne Gacy Jr.*

Nacisnąłem dzwonek na drzwiach domu Rebecki Clay. W ciemnościach słyszałem fale rozbijające się o brzeg. Jackiego Garnera i braci Fulcis już tu teraz od dawna nie było, kiedy Merrick nie żył. Zatelefonowałem przed przyjściem i opowiedziałem jej, co się zdarzyło. Powiedziała mi, że dzwono do niej z policji, po tym, jak zeznałem, że kłamałem w sprawie Jerry'ego Legere'a i ona dopełniła procedury oficjalnej identyfikacji ciała wcześniej tego dnia. Przesłuchano ją na okoliczność śmierci jej byłego męża, ale niewiele mogła dodać do tego, co już wiedzieli. Ona i Legere pozostawali w zupełnej separacji i ani go nie widziała, ani nie miała od niego wiadomości przez długi czas, aż do chwili, kiedy ja zacząłem zadawać pytania i on zatelefonował do niej parę nocy przed śmiercią, pijany, natarczywie dopytując, co ona sobie wyobraża i wyprawia, nasyłając prywatnego detektywa na niego. Odłożyła słuchawkę, a on nie zadzwonił ponownie.

Do drzwi przysła w starym swetrze i luźnych dżinsach. Stopy miała bose. Słysząc było telewizor w pokoju dziennym i przez otwarte drzwi zobaczyłem Jenę, usadowioną na podłodze i oglądającą jakąś kreskówkę. Podniosła głowę, żeby zobaczyć, kto przyszedł, zdecydowała, że nie był to nikt, dla kogo warto tracić film i wróciła do oglądania.

Poszedłem za Rebeccą do kuchni. Chciała poczęstować mnie kawą czy czymś do picia, ale podziękowałem za wszystko. Powiedziała, że jutro wydadzą ciało Legere'a do pochowania. Okazało się, że miał brata przyrodniego w Północnej Dakocie, który przyleci i zajmie się przygotowaniami. Powiedziała mi też, że będzie na pogrzebie ze względu na przyrodniego

brata, ale nie weźmie córki ze sobą.

- To nie jest nic takiego, co powinna oglądać.

Usiadła przy kuchennym stole.

- I wreszcie się to skończyło.

- W pewnym sensie. Frank Merrick nie żyje. Pani były mąż nie żyje. Ricky Demarcian i Raymon Lang nie żyją. Otis Caswell nie żyje. Mason Dubus nie żyje. Wydział Szeryfa Hrabstwa Somerset i biuro lekarza sądowego kopią, szukając szczątków Lucy Merrick i Jima Poole w Gilead. Dużo osób straciło życie, ale pewnie pani ma rację: dla nich wszystkich to się skończyło.

- Ma pan tego dosyć.

Miałem dosyć. Chciałem znaleźć odpowiedzi i prawdę o Lucy Merrick i Andym Kellogu i tych innych dzieciach, które były wykorzystywane przez mężczyzn ukrytych za maskami ptaków. Za to miałem poczucie, że z wyjątkiem sprawy dziewczynki o imieniu Anja i wyeliminowaniu odrobiny zła z tego świata, wszystko było po nic. Zdobyłem niewiele odpowiedzi i przynajmniej jeden z prześladowców pozostawał na wolności: człowiek z wytatuowanym orłem. I wiedziałem także, że cały czas byłem okłamywany, szczególnie przez kobietę, która teraz siedziała przede mną, a jednak nie miałem serca, by brać jej to za złe.

Sięgnąłem do kieszeni i wyjąłem fotografię, którą znalazłem w albumie Raymona Langa. Twarz małej dziewczynki była prawie zasłonięta przez ciało mężczyzny, który klęczał nad nią na łóżku, a on sam był widoczny tylko od szyi w dół. Jego ciało było prawie absurdalnie szczupłe, kości widoczne przez skórę ramion i nóg, każdy mięsień i ścięgno odznaczające się w jego sylwetce. Fotografia była zrobiona więcej niż ćwierć wieku temu, sądząc po wieku dziewczynki. Nie mogła mieć więcej niż sześć czy siedem lat. Koło niej, wciśnięta między dwie poduszki, leżała lalka z długimi rudymi włosami, ubrana w niebieski fartuszek. Była to ta sama lalka, którą córka Rebecki Clay nosiła ze sobą, lalka przekazana jej przez matkę, lalka, która dawała Rebecce ukojenie przez wszystkie lata wykorzystywania.

Rebecca popatrzyła na fotografię. Jej oczy zaszkliły się, potem zwilgotniały od łez, kiedy patrzyła nieruchomo na dziewczynkę, którą kiedyś była.

- Gdzie pan to znalazł? - zapytała.
- W przyczepie Raymona Langa.
- Czy były tam inne zdjęcia?
- Tak, ale żadne nie było takie jak to. To było jedyne, na którym widać lalkę.

Położyła dłoń na zdjęciu, przysłaniając sylwetkę mężczyzny, który górował nad jej młodszym wcieleniem, zakrywając nagie ciało Daniela Claya.

- Rebecca - zapytałem. - Gdzie jest pani ojciec?

Wstała i podeszła do drzwi za kuchennym stołem. Otworzyła je i przekreśliła kontakt. Światło zaalało drewniane schody, które prowadziły do piwnicy. Nie oglądając się na mnie, zaczęła schodzić, a ja poszedłem za nią.

Piwnica ta służyła do składowania rzeczy. Był tam rowerek, już za mały dla jej córki, i różne pudła i kartony, ale nic, co by wyglądało na ruszane czy używane niedawno. Miejsce pachniało kurzem, a cementowa podłoga zaczęła pękać: długie, ciemne linie rozchodziły się, jak żyły, z miejsca na środku. Rebecca Clay wyciągnęła bosą stopę i wskazała podłogę polakierowanymi paznokciami.

- On jest tam, na dole. - powiedziała. - Tam go zostawiłam.

W tamten piątek pracowała w Saco i kiedy wróciła do mieszkania, zastała wiadomość na automatycznej sekretarce telefonu. Ellen, opiekunka do dziecka, która zajmowała się kilkorgiem dzieci każdego dnia, została zabrana do szpitala z powodu lekkiego ataku serca i mąż Ellen zadzwonił z informacją, że wobec tego, naturalnie, nie będzie mogła odebrać ze szkoły żadnego z powierzonych jej dzieci. Rebecca sprawdziła komórkę i zobaczyła, że bateria się wyladowała, kiedy była w Saco. Miała tak dużo pracy, że nawet tego nie zauważyła. Przez chwilę poczuła potworną panikę. Gdzie jest Jenna? Zadzwoniła do szkoły, ale tam już wszyscy poszli do domu. Potem zadzwoniła do męża Ellen, ale on nie wiedział, kto

odebrał Jennę ze szkoły. Podpowiedział jej, żeby zadzwoniła do dyrektora albo szkolnej sekretarki, bo obydwójce zostali poinformowani, że Jenna nie będzie odebrana tego dnia. Zamiast tego Rebecca zatelefonowała do swojej najlepszej przyjaciółki, April, której córka, Carole, też była w klasie Jenny. Jenny u nich nie było, ale April wiedziała, gdzie jest.

- Twój ojciec ją odebrał - powiedziała. - Szkoła znalazła jego numer telefonu w książce i zadzwonili do niego, kiedy dowiedzieli się, co z Ellen i nie mogli skontaktować się z tobą. On przyszedł i zabrał ją do siebie. Widziałam go w szkole, kiedy przyszedł ją odebrać. Wszystko jest w porządku, Rebecca.

Ale Rebecca pomyślała, że nic już nigdy nie będzie w porządku. Była tak przerażona, że wymiotowała w drodze do samochodu i jeszcze raz, kiedy jechała do domu ojca, wykaszlując chleb i żółć do pustej torebki ze sklepu spożywczego, gdy czekała na światłach. Kiedy dotarła do domu, jej ojciec był w ogrodzie, grabił zeschnięte liście, drzwi frontowe były otwarte. Przebiegła koło niego bez słowa i znalazła Jennę w dziennym pokoju robiącą to samo, co robiła w tej chwili: oglądającą telewizję na podłodze i zjadającą lody. Nie mogła zrozumieć, dlaczego jej mamusia była tak zdenerwowana, dlaczego ją przytulała i płakała, i gniewała się za to, że Jenna była z dziadkiem. Przecież już wcześniej bywała z dziadkiem, chociaż nigdy sama i zawsze z mamusią. To był dziadek. Kupił jej frytki i hot doga i oranżadę. Zabrał ją na plażę i zbierali muszelki. Potem dał jej dużą porcję czekoladowych lodów i zostawił, żeby oglądała sobie telewizję. Powiedziała mamusi, że spędziła przyjemny dzień, chociaż mógłby być jeszcze lepszy, gdyby mamusia była z nią.

A potem Daniel Clay pojawił się w drzwiach dziennego, pytając, co się stało, tak, jakby był zwykłym dziadkiem i zwykłym ojcem, a nie człowiekiem, który brał swoją córkę do łóżka od szóstego roku życia aż do piętnastego, zawsze delikatny i miły, starał się nie sprawiać jej bólu, a czasami, kiedy był smutny albo kiedy pił, przeproszał za noc, kiedy pozwalał innemu mężczyźnie ją dotykać. Bo ją kochał, wiesz. To jej właśnie zawsze mówił:

- Jestem twoim ojcem i kocham ciebie i nie pozwolę, żeby to się kiedyś powtórzyło.

Słyszałem, jak niskie dźwięki telewizji wibrują nad naszymi głowami. Potem ucichły i rozległy się kroki Jenny idącej na górę.

- Idzie spać - powiedziała Rebecca. - Nigdy nie muszę jej mówić, kiedy ma iść. Sama idzie do łóżka. Lubi spać. Zostawiam jej czas na mycie zębów i czytanie, potem całuję ją na dobranoc. Zawsze staram się ucałować ją na dobranoc, bo wtedy wiem, że jest bezpieczna.

Oparła się o ceglana ścianę piwnicy i palcami przeczeswała włosy, zbierając je z czoła i odsłaniając twarz.

- Nie dotknął jej - powiedziała. - Zrobił to, co mówiła, ale ja wiedziałam, co się działo. Był taki moment, zanim przeszłam koło niego, zabierając Jennę do domu, kiedy mogłam to zobaczyć w jego oczach i on wiedział, że ja to zobaczyłam. Pociągała go. To się znowu zaczynało. To nie była jego wina. To była choroba. On był chory. To było jak choroba, która miała czas remisji, a teraz wracała znowu.

- Dlaczego nie powiedziała pani o tym komuś? - zapytałem.

- Bo to był mój ojciec i go kochałam - odpowiedziała. Nie patrzyła na mnie, kiedy to mówiła. - Pewnie to brzmi głupio dla pana, po tym, co mi zrobił.

- Nie - powiedziałem. - Nic już teraz nie brzmi głupio dla mnie.

Wierciła stopą w podłodze.

- To prawda, cokolwiek to znaczy. Kochałam go. Kochałam go tak bardzo, że wróciłam do jego domu tamtego wieczoru. Zostawiłam Jennę z April. Powiedziałam jej, że mam coś do zrobienia w domu i zapytałam, czy pozwoliłaby Jennie spać u nich z Carole. One często tak robiły, więc to nie było nic nadzwyczajnego. Potem tu wróciłam. Kiedy ojciec otworzył drzwi, powiedziałam mu, że musimy porozmawiać o tym, co zdarzyło się tamtego dnia. Próbował zbyć to śmiechem. Robił coś w piwnicy i ja zesłam tu za nim. Chciał położyć nową podłogę i już zaczął rozbijać stary beton. W tym czasie

już się zaczęły rozchodzić pogłoski i został praktycznie zmuszony do odwołania wszystkich wyznaczonych wizyt. Stawał się kompletnym wyrzutkiem i zdawał sobie z tego sprawę. Próbował ukryć, że był z tego powodu nieszczęśliwy. Mówił, że wreszcie będzie miał czas, żeby zrobić w domu to wszystko, co zawsze chciał zrobić.

Więc on dalej rozłupywał podłogę, a ja wrzeszczałam na niego. Nie chciał słuchać. Tak jakbym ja to wszystko zmyślała, to wszystko, co mnie spotkało, to wszystko, co on robił i co jak byłam pewna, chciał znowu zrobić, tym razem z Jenną. Powiedział tylko, że to, co zrobił, było robione z miłości.

- Jesteś moją córką - powiedział. - Kocham cię. Zawsze ciebie kochałem. I Jennę też kocham.

Kiedy to powiedział, coś we mnie pękło. Miał kilof w rękach i próbował podważyć płytę cementu. Na półce koło mnie leżał młotek. Ojciec stał tyłem do mnie i uderzyłam go w czubek głowy. Nie upadł, nie od razu. Zgiął się tylko i położył rękę na skórze głowy, jakby się uderzył w belkę. Uderzyłam go znowu i upadł. Zdaje mi się, że uderzyłam go jeszcze dwa razy. Zaczął krwawić na ziemię i ja go tak zostawiłam. Poszłam na górę do kuchni. Krew pochlapała mi twarz i ręce, zmyłam ją. Młotek też wyczyściłam. Pamiętam, że przyczepił się do niego włos i musiałam wydłubać go palcami. Słyszałam, że się rusza w piwnicy i zdawało mi się, że próbował coś powiedzieć. Ale nie mogłam zejść tam z powrotem na dół. Po prostu nie mogłam. Zamiast tego zamknęłam drzwi na klucz i siedziałam w kuchni, aż się ściemniło i już nie było słychać, że się rusza. Kiedy otworzyłam drzwi, zobaczyłam, że doczołgał się do dołu schodów, ale nie był w stanie wspiąć się po nich. Zesłałam do niego wtedy, a on już nie żył.

Znalazłam w garażu jakieś płachty plastyku i zawinęłam go w nie. Kiedyś w ogrodzie za domem była szklarnia. Miała podłogę z ziemi. Wtedy już było ciemno i przeciągnęłam go tam. To było najtrudniejsze: wydostać go z piwnicy. Nie wyglądał, jakby ważył dużo, ale to były wszystko mięśnie i kości. Wykopałam dół i złożyłam go tam, potem zasypałam z powrotem. Chyba już wtedy planowałam, myślałam, co dalej.

Nigdy mi ani przez myśl nie przeszło, żeby wezwać policję czy wyznać, co zrobiłam. Wiedziałam tylko, że nie chcę być rozłączona z Jenną. Ona jest dla mnie wszystkim.

Kiedy skończyłam, poszłam do domu. Następnego wieczoru, poczekałam, aż się ściemni i potem odprowadziłam samochód ojca do Jackman i zostawiłam go tam. Zgłosiłam jego zaginięcie, kiedy zajęto się jego samochodem. Przyszła policja. Kilku policjantów oglądało podłogę w piwnicy, czego się spodziewałam, ale ojciec dopiero zaczął ją zrywać i było jasne, że niczego tam pod nią nie ma. Oni wiedzieli wszystko o moim ojcu i kiedy znaleziony został jego samochód w okolicy Jackman, doszli do wniosku, że uciekł.

Po paru dniach wróciłam i przeniosłam ciało. Miałam szczęście. Było strasznie zimno tego miesiąca. Chyba dzięki temu on, wie pan, prawie wcale się nie rozkładał, no i nie było zapachu, właściwie nie było. Zaczęłam kopać w piwnicy. Zajęło mi to większość nocy, ale on mnie nauczył, co robić. Zawsze mówił, że dziewczyna powinna wiedzieć, jak zajmować się domem, jak naprawiać rzeczy i utrzymywać je w porządku. Wyczyściłam gruz w jednym miejscu i kopałam, aż dół był odpowiednio duży, żeby go pomieścić. Przysypałam go i potem poszłam na górę i zasnęłam w swoim dawnym pokoju. Trudno wyobrazić sobie, że ktoś mógłby po prostu zasnąć po dokonaniu czegoś takiego, ale ja spałam aż do południa. Spałam tak głęboko, że nie pamiętam, żebym kiedykolwiek wcześniej tak spała. Potem poszłam na dół i pracowałam dalej. Wszystko, czego potrzebowałam, tam było, nawet taka mała mieszkarka do cementu. Wyniesienie gruzu zajęło trochę czasu i krzyż mnie bolał później przez całe tygodnie, ale jak już to było zrobione, reszta była całkiem łatwa. W sumie, zabrało mi to dzień albo dwa podczas weekendu. Jenna była u April. Wszystko się po prostu udało.

- A potem pani wprowadziła się do tego domu.
- Nie mogłam go sprzedać, bo nie był mój, a i tak obawiałabym się to zrobić, nawet gdybym mogła, w razie gdyby ktoś zdecydował się odnowić piwnicę i znalazł, co tam jest. Lepiej było się wprowadzić. Potem po prostu zostałyśmy tutaj. Jednak, wie pan, co tu jest dziwnego? Widzi pan te pęknięcia w

podłódze? Są nowe. Zaczęły pokazywać się w ciągu ostatnich paru tygodni, od kiedy Frank Merrick tu przyszedł, powodując kłopoty. Tak, jakby obudził coś tam na dole, jak gdyby mój ojciec słyszał, że on zadaje pytania i próbował znaleźć drogę z powrotem na ten świat. Zaczęły prześladować mnie koszmary. Śni mi się, że słyszę hałasy z piwnicy i kiedy otwieram drzwi, mój ojciec wspina się po schodach, wychodząc z ziemi, każe mi płacić za to, co zrobiłam, bo on mnie kochał, a ja go skrzywdziłam. W moim śnie on mnie ignoruje i zaczyna pełznąć w stronę pokoju Jenny, i ja go uderzam raz za razem, często, ale on nie chce się zatrzymać. Pełźnie dalej, jak robak, którego nie można dobić.

Dużym palcem stopy zaczęła badać jedno z pęknięć w podłódze. Cofnęła go szybko, kiedy zdała sobie sprawę z tego, co robi, a opis koszmarnych snów przypomniawszy, co leży pod spodem.

- Kto pomógł pani w tym wszystkim?
- Nikt - powiedziała. - Sama to zrobiłam.
- Pojechała pani samochodem ojca do Jackman. Jak pani wróciła z powrotem po tym, jak go pani porzuciła?
- Autostopem.
- Naprawdę?
- Tak, naprawdę.

Ale ja wiedziałam, że kłamie. Po tym wszystkim, co zrobiła, nie ryzykowałaby tak. Ktoś za nią jechał do Jackman, potem przywiózł ją z powrotem na wschód. Przypuszczałem, że to mogła być ta kobieta, April. Przypomniałem sobie, w jaki sposób popatrzyły na siebie tej nocy, kiedy Merrick rozbił szybę w oknie kuchni. Coś między nimi zaszło, gest współudziału, potwierdzenie wspólnego zrozumienia. Ale to nie miało znaczenia. Nic tak naprawdę nie miało znaczenia.

- Kim był ten drugi człowiek, Rebecco, ten, który robił zdjęcia?

- Nie wiem. Było późno. Słyszałam, że ktoś pił z moim ojcem, potem przyszli do mojego pokoju. Obydwaj paskudnie śmierdzieli. Jeszcze to pamiętam. To dlatego nigdy nie mogę pić whisky. Zaświecili nocną lampkę. Ten mężczyzna miał

założoną maskę, starą maskę ducha z Halloween, którą mój ojciec zakładał, żeby wystraszyć dzieci, gdy przychodzą zbierać słodycze pod groźbą psikusów. Ojciec powiedział mi, że ten mężczyzna jest jego przyjacielem i że ja powinnam zrobić to samo, co robiłam dla niego. Nie chciałam, ale... - Przestała mówić na moment. - Miałam siedem lat - wyszeptwała. To wszystko. Miałam siedem lat. Robili zdjęcia. Udawali, że to była zabawa, śmieszny żart. To był ten jedyny raz, kiedy to się zdarzyło. Następnego dnia mój ojciec płakał i przeprosił. Znowu mi powiedział, że mnie kocha i że nigdy nie chciał dzielić się mną z nikim innym. I nigdy więcej tego nie zrobił.

- I pani nie ma pojęcia, kto to mógł być?

Potrząsnęła głową, ale nie patrzyła na mnie.

- Było więcej zdjęć z tej nocy w przyczepie Raymona Langa. Kompan pani ojca od kieliszka był na nich, ale jego głowa nie była widoczna. Miał tatuaż orła na przedramieniu. Czy pani to pamięta?

- Nie. Było ciemno. Jeżeli to widziałam, to zapomniałam przez te lata.

- Jedno z innych dzieci, które były wykorzystywane, wspomniało o tym samym znaku. Ktoś mi podpowiedział, że to mógł być wojskowy tatuaż. Czy wie pani, czy którykolwiek z przyjaciół pani ojca służył w wojsku?

- Elwin Stark, on służył - powiedziała. - Myślę, że Eddie Haver też mógł być w wojsku. Ale nie zdaje mi się, żeby którykolwiek z nich miał taki tatuaż na przedramieniu. Czasami jeździli z nami na wakacje. Widziałam ich na plaży. Zauważyłabym to.

Dałem spokój. Nie wiedziałem, co jeszcze mogłem zrobić.

- Pani ojciec zdradził te dzieci, prawda? - zapytałam.

Skinęła głową.

- Tak myślę. Mieli te jego zdjęcia ze mną. Domyślam się, że w ten sposób zmusili go, żeby zrobił to, co zrobił.

- Skąd je mieli?

- Przypuszczam, że ten drugi mężczyzna z tamtej nocy przekazał je im. Ale, wie pan, mojemu ojcu naprawdę zależało na tych dzieciach, które leczył. Starał się dbać o nie. Ci

mężczyźni zmusili go, żeby sam wybrał te, które im przekazał, zmusili go, żeby wybrał dzieci, które miały być wykorzystane, ale on pracował podwójnie ciężko dla reszty z tego powodu. Wiem, że to nie może wydać się sensowne, ale prawie było tak, jakby istniało dwóch Daniela Clayów: zły i dobry. Był ten, który wykorzystywał swoją córkę i zdradził dzieci, by ratować swoją reputację i był ten drugi, który walczył zębami i pazurami, żeby uratować inne dzieci od wykorzystywania. Może to był jedyny sposób, w jaki mógł przetrwać, nie wpadając w szaleństwo: rozdzielając te dwa wcielenia i nazywając to wszystkim, co złe „miłością”.

- A Jerry Legere? Podejrzewała go pani po tym, jak go pani znalazła z Jenną, prawda?

- Zobaczyłam w nim coś, co widziałam u ojca - powiedziała - ale nie wiedziałam, że był zamieszany, aż do momentu, kiedy przyszła policja i powiedziała, jak zmarł. Nienawidzę go najbardziej ze wszystkich. Myślę, że musiał wiedzieć o mnie. Wiedział, co mój ojciec zrobił i w jakiś sposób to czyniło mnie bardziej atrakcyjną dla niego. - Otrząsnęła się. - Wygląda na to, że kiedy pieprzył się ze mną, wtedy też pieprzył dziecko, którym byłam.

Osunęła się na podłogę i oparła czoło na ramionach. Ledwie mogłem ją usłyszeć, kiedy znów się odezwała.

- Co teraz będzie? - zapytała. - Czy zabiorą mi Jennę? Czy pójdę do więzienia?

- Nic - powiedziałem. - Nic nie będzie.

Podniosła głowę.

- Pan nie zamierza powiedzieć policji?

- Nie.

Nic więcej nie przychodziło mi do głowy. Zostawiłem ją w piwnicy, u stóp grobu, który wykopała dla swojego ojca. Wsiadłem do samochodu i odjechałem przy dźwięku szemrzącego morza, jak nieskończonej liczbie głosów oferujących ciche pocieszenie. Był to ostatni raz, jak słyszałem morze w tym miejscu, bo już nigdy więcej nie wróciłem do Willard.

37

Zostało jeszcze jedno ogniwo, jeszcze jeden kontakt do sprawdzenia. Po Gilead wiedziałem, co łączyło Legere'a i Langa i co, z kolei, miał wspólnego Lang z Gilead i z Danielem Clayem. Nie był to jedynie osobisty kontakt, ale jak najbardziej profesjonalny: poprzez firmę A-Secure, instalującą systemy alarmowe.

Joel Harmon był w ogrodzie, kiedy przyjechałem i to Todd otworzył mi drzwi i poprowadził przez dom na spotkanie z nim.

- Widać po panu, że mógł pan spędzić czas w wojsku, Todd - powiedziałem.

- Powiniennem panu wypruć flaki za to - odpowiedział żartobliwie. - Marynarka wojenna. Pięć lat. Byłem sygnalistą i to diabelnie dobrym sygnalistą.

- Robiliście sobie tatuaże w marynarce wojennej?

- Jasne - powiedział. Podwinął prawy rękaw marynarki, odsłaniając gęsto splątany wzór kotwic i syren. - Jestem prawdziwym tradycjonalistą - dodał. - Pyta pan z jakiegoś specjalnego powodu?

- Tylko z ciekawości. Widziałem, jak pan się obchodzi z bronią w ten wieczór, kiedy było przyjęcie. Wyglądało na to, że już miał pan z nią wcześniej do czynienia.

- No, tak, pan Harmon jest zamożnym człowiekiem. Potrzebował kogoś, kto by go ochraniał.

- Czy musiał go już pan kiedyś ochraniać, Todd? - zapytałem.

Zatrzymał się, gdy dotarliśmy do ogrodu i utkwił we mnie nie ruchome spojrzenie.

- Jeszcze nie - odparł. - Tak nie musiałem.

Syn i córka Harmona byli tego dnia w domu, a stojący w połowie trawnika Harmon opowiadał o zmianach, które z nadejściem wiosny miał zamiar wprowadzić w kwietnikach i wśród krzewów.

- On kocha ogród - powiedział Todd, śledząc kierunek mojego spojrzenia i odniosłem wrażenie, że pilnie chce zejść z tematu broni i swoich obowiązków, aktualnych czy potencjalnych, u Harmona.

- Wszystko tam sam zasadził osobiście albo pomagał sadzić. Dzieciaki też pomagały. To w równym stopniu ich ogród, jak i jego.

Patrzyłem na kamery monitorujące, które miały w zasięgu trawnik i wejścia do domu.

- To wygląda na kosztowny system - powiedziałem do Todda.

- Owszem. Kamery same zmieniają obraz z kolorowego na czarno-biały, kiedy są słabe warunki oświetleniowe. Mają regulację ostrości i obiektyw o zmiennej ogniskowej, mogą panoramować i zmieniać kąt nachylenia i mamy przełączniki, które pozwalają nam oglądać obrazy z wszystkich kamer jednocześnie. Monitory są w kuchni, biurze pana Harmona, w sypialni i mojej kwaterze. Nigdy dość ostrożności.

- Też tak myślę. Kto instalował ten system?

- Firma, która nazywa się A-Secure z South Portland.

- Mhm. To ta firma, dla której pracował Raymon Lang, prawda?

Todd szarpnął się, jakby go właśnie lekko poraził prąd.

- No... no, chyba tak.

Informacja o zastrzeleniu Langa i znalezieniu dziecka pod jego przyczepą była we wszystkich gazetach. Todd nie mógł jej nie zauważyć.

- Czy on tu kiedyś był, może sprawdzał system? Jestem pewny, że wymaga przeglądu raz albo dwa razy w roku.

- Nie wiem - odparł Todd. Już zaczął zajmować pozycję obronną, zastanawiając się, czy nie powiedział za dużo. Firma A-Secure przysyła kogoś regularnie, zgodnie z umową, ale nie zawsze jest to ten sam człowiek.

- Pewnie. To jasne. Może zamiast niego przyjechał tu

Jerry Legere. Przypuszczam, że firma będzie musiała znaleźć teraz kogoś innego, skoro obydwaj nie żyją.

Todd nie odpowiedział. Wyglądało na to, że chce mnie odprowadzić aż do samego Harmona, ale oświadczyłem, że to nie jest konieczne. Otworzył usta, chcąc zaprotestować, ale zamknął je, kiedy podniosłem rękę. Był dostatecznie bystry, żeby wiedzieć, że dzieje się coś, czego nie rozumiał i najlepiej będzie patrzeć i słuchać i interweniować tylko wtedy, kiedy będzie to absolutnie konieczne. Zostawiłem go na ganku i poszedłem sam przez trawnik. Minąłem się z synem i córką Harmona, którzy wracali do domu. Popatrzyli na mnie z zaciekawieniem i syn Harmona już miał coś powiedzieć, ale obydwójce rozluźnili się trochę, kiedy uśmiechnąłem się do nich na powitanie. Byli ładnymi dzieciakami: wysocy, zdrowo wyglądający i schludnie, ale swobodnie ubrani w ciuchy firmy Abercrombie & Fitch.

Harmon nie usłyszał, że się zbliżam. Klęczał przy alpejskim ogródku udekorowanym omszałymi kawałkami wapienia. Niskie rośliny przebijały się w przerwach między kamieniami, ich liście były fioletowe i zielone, srebrne i brązowe.

Mój cień padł na Harmona i podniósł wzrok.

- Pan Parker - powiedział. - Nie spodziewałem się towarzysztwa, a pan zaszedł mnie od mojej złej strony. No, ale jak pan już tu jest, to mam chociaż okazję przeprosić pana za to, co powiedziałem przez telefon, kiedy ostatnio rozmawialiśmy.

Z wysiłkiem poruszył się, żeby wstać. Podałem mu prawą rękę i on ją przyjął. Kiedy pomagałem mu wstać, chwyciłem go za ramię lewą ręką, podciągnąwszy rękaw jego koszuli i swetra w górę na przedramieniu. Szpony ptaka ukazały się na chwilę na jego skórze.

- Dziękuję - powiedział.

Zobaczył, gdzie skoncentrowałem uwagę i ściągnął rękaw z powrotem w dół.

- Nigdy nie pytałem, w jaki sposób uszkodzony został pana słuch - powiedziałem.

- To trochę krępujące - odparł. - Lewe ucho zawsze miałem słabsze niż prawe, słuch odrobinę gorszy. Nie było to zbyt poważne i wcale mi nie przeszkadzało w życiu. Chciałem

służyć w Wietnamie. Nie zamierzałem czekać na powołanie. Miałem dwadzieścia lat i byłem pełen zapału. Zostałem skierowany do Fort Campbell na szkolenie zasadnicze. Miałem nadzieję, że dołączę do 173 jednostki powietrznodesantowej. Wie pan, 173 była jedyną jednostką atakującą z powietrza pozycje wroga w Wietnamie. Operacja Junction City w sześćdziesiątym siódmym. Mogło mi się udać tam dostać, tylko pocisk eksplodował zbyt blisko mojej głowy podczas szkolenia zasadniczego. Pękł mi bębenek. Prawie ogłuchłem i zakłócone zostało moje poczucie równowagi. Zostałem zwolniony i taki był mój najbliższy i ostatni kontakt z akcją bojową. Na tydzień przed ukończeniem szkolenia zasadniczego.

- Czy to tam zrobił pan sobie tatuaż?

Harmon potarł rękawem koszuli miejsce na przedramieniu, gdzie był tatuaż, ale nie odsłonił skóry ponownie.

- Tak. Byłem nadmiernie optymistyczny. Pospieszyłem się. Nigdy nie miałem okazji dodać żadnych lat służby pod nim. Jestem tym teraz zażenowany. Nie pokazuję go zbyt często. - Przyjrzał mi się czujnie. - Przyszedł pan tu z całą masą pytań na podorzędziu.

- Mam ich więcej. Czy znał pan Raymona Langa, panie Harmon?

Przyglądałem mu się, gdy zastanawiał się przez chwilę.

- Raymon Lang? Czy to nie ten facet, którego zastrzelono w Bath, ten, który miał dziecko schowane pod przyczepą? Skąd miałbym go znać?

- Pracował w firmie A-Secure, która zainstalowała pana system alarmowy. Prowadził serwis kamer i monitorów. Zastanawiałem się, czy pan go nie spotkał, kiedy wykonywał obowiązki służbowe.

Harmon wzruszył ramionami.

- Mogłem go spotkać. Dlaczego pan pyta?

Odwróciłem się i popatrzyłem w stronę domu. Todd rozmawiał z dziećmi Harmona. Cała trójka mi się przyglądała. Przypomniałem sobie uwagę doktora Christiana, że pedofil

może molestować dzieci innych ludzi, ale nie krzywdzić własnych dzieci, i że jego rodzina może być kompletnie nieświadoma jego popędów, pozwalając mu zachować pozycję kochającego ojca i męża. Obraz taki jest w pewnym sensie równocześnie prawdą i kłamstwem. Kiedy rozmawiałem z Christianem, miałem na myśli Daniela Claya, ale się myliłem. Rebecca Clay wiedziała doskonale, kim był jej ojciec, ale inne dzieci nie wiedziały. Mogło być wielu mężczyzn z tatuażem orła na prawym przedramieniu, nawet mężczyzn, którzy wykorzystywali dzieci, ale powiązania pomiędzy Langiem, Harmonem i Clayem, jakkolwiek niepewne, nie dały się wykluczyć. Jak do tego doszło? Byłem ciekaw, w jaki sposób Lang i Harmon wyczuli coś w sobie nawzajem, podobną słabość, potrzebę? Kiedy zdecydowali się zwrócić do Claya, wykorzystując jego prawo do kontaktu, by wybrać tych szczególnie bezbronnych, albo takich, którym by nie uwierzono, gdyby zgłosili skargę o molestowaniu? Czy Harmon po tej pijackiej nocy, kiedy Clay pozwolił mu wykorzystać Rebeckę, wywierał nacisk na psychiatrę? Bo to Harmon był tym drugim mężczyzną w domu tej nocy, kiedy Daniel Clay, po raz pierwszy i ostatni, podzielił się swoją córką z kimś innym i po pijanemu pozwolił, by zrobiono zdjęcia z tego spotkania. Jeżeli te zdjęcia były użyte z rozmysłem, Harmon mógł zniszczyć Claya z ich pomocą, dokładając starań, by jego własne ręce pozostały czyste. Nawet anonimowe przesłanie zdjęć na policję albo do komisji udzielającej licencji byłoby wystarczające.

Ale czy trzeba było w ogóle szantażować Claya? Czyż on też, wspólnie z nimi, nie ponosił winy za wykorzystywanie? Czy nie tak zaspokajał własne pragnienia w tych latach, kiedy przestał dręczyć swoją córkę, która dorosła, zanim znów pojawiły się jego dawne upodobania, co Rebecca zobaczyła w jego twarzy, gdy jej dziecko zaczęło rozkwitać?

Odwrociłem się do Harmona. Wyraz jego twarzy się zmienił. Teraz była to twarz człowieka, który kalkulował szanse, oceniał stopień ryzyka i zagrożenia.

- Panie Parker - powiedział - zadałem panu pytanie.
Zignorowałem go.

- Jak do tego doszło? - spytałem. - Jak trafiliście na siebie, pan, Lang, Caswell i Legere? Pech? Wzajemna sympatia? Co to było? Potem, gdy Clay zaginął, pańskie źródło wyschło, prawda? To dlatego musiał pan szukać gdzie indziej i to doprowadziło pana do Demarciana i jego przyjaciół w Bostonie, i może też do Masona Dubusa, albo złożył mu pan wizytę już dużo wcześniej, razem z Clayem? Czy zadeklarował pan pełną lojalność u jego stóp? Czy opowiedział mu pan o swoim Projekcie: systematycznym wykorzystywaniu najbardziej zagrożonych dzieci, tych, które miały kłopoty, albo tych, których opowieść nie wypadłaby wiarygodnie, a wszystkie namierzone dzięki profesjonalnemu wtajemniczeniu Clay'a?

- Ostrożnie - ostrzegł Harmon. - Niech pan będzie bardzo ostrożny.

- Widziałem zdjęcie - powiedziałem. - Było w przyczepie Langa. Było to zdjęcie mężczyzny krzywdzącego małą dziewczynkę. Wiem, kim jest ta dziewczynka. Samo zdjęcie to nie jest zbyt wiele, ale na początek wystarczy. Założę się, że policja ma różne możliwości, żeby porównać zdjęcie tatuażu z faktycznym znakiem na skórze.

Harmon uśmiechnął się. Był to brzydki, złośliwy grymas, jak otwarcie rany w jego twarzy.

- Czy pan w ogóle wie, co się stało z Danielem Clayem, panie Parker? - spytał. - Ja zawsze miałem swoje przypuszczenia na temat jego zaginięcia, ale nigdy ich nie wypowiadałem na głos z szacunku dla jego córki. Kto wie, co mogłoby się okazać, gdybym ja zaczął grzebać po kątach. Ja też mógłbym znaleźć jakieś zdjęcia i może też mógłbym rozpoznać na nich małą dziewczynkę. Gdybym się dobrze przyjrzał, mógłbym nawet rozpoznać jednego z jej prześladowców. Jej ojciec miał charakterystyczny wygląd, sama skóra i kości. Gdy znajdę coś takiego, to może będę musiał zwrócić się z tym do odpowiednich władz. W końcu, ta mała dziewczynka teraz już będzie kobietą, kobietą z różnymi problemami. Może potrzebować pomocy albo terapii. Różne rzeczy mogą wyjść na jaw, bardzo różne rzeczy. Kiedy pan zacznie dociekać, panie Parker, nie wiadomo, jakie trupy w szafie pan znajdzie.

Usłyszałem za sobą kroki i młody głos powiedział:

- Tu wszystko w porządku, tato?

- Wszystko świetnie, synu - odparł Harmon. - Pan Parker właśnie wychodzi. Zaprosiłbym go, żeby został na lunch, ale wiem, że ma sprawy do załatwienia. Jest zajęтым człowiekiem. Musi dużo przemyśleć.

Nie powiedziałem nic więcej. Odszedłem, zostawiając Harmona i jego syna za sobą. Jego córki nie było, ale ktoś stał w jednym z okien na górze, patrząc nieruchomo na nas wszystkich. Była to pani Harmon. Miała na sobie zieloną sukienkę i jej czerwone paznokcie odcinały się na tle białej zasłony, którą odsunęła z szyby. Todd szedł za mną przez cały dom, żeby upewnić się, że na pewno wyszedłem. Byłem prawie przy frontowych drzwiach, kiedy pani Harmon pojawiła się na podeście nad moją głową. Uśmiechnęła się do mnie obojętnie, pozornie zagubiona w swoim farmaceutycznym otumanieniu, ale uśmiech pojawił się tylko na jej ustach, a oczy były pełne niewypowiedzianych myśli.

VII

i jednego tylko jestem ciekaw
czy lubi pan swoich niebieskookich chłopców
Panie Śmierć

e. e. cummings, *Buffalo Bill* (przeł. A. Międzyrzecki)

Epilog

Przez parę dni nic więcej się nie wydarzyło. Życie w znacznej mierze wróciło do normy. Angel i Louis pojechali z powrotem do Nowego Jorku. Chodziłem na spacer z Walterem i przyjmowałem telefony od ludzi, którzy chcieli wynająć moje usługi. Odmawiałem im. Byłem zmęczony i czułem niesmak, którego nie mogłem się pozbyć. Nawet dom był spokojny i cichy, jak gdyby czujne zjawy czekały, co nastąpi.

Pierwszy list nie był całkowicie nieoczekiwany. Informowano mnie w nim, że moja broń została zatrzymana jako dowód w popelnieniu przestępstwa i może będzie zwrócona w późniejszym terminie. Było mi to obojętne. Nie chciałem jej z powrotem, nie teraz.

Następne dwa listy przyszły prawie równocześnie, ekspresem. Pierwszy, z biura komendanta policji stanowej, informował mnie, że został zgłoszony wniosek do sądu okręgowego o zawieszenie mojej licencji prywatnego detektywa ze skutkiem natychmiastowym z powodu oszustwa i wprowadzania w błąd w trakcie mojej pracy oraz składania fałszywych zeznań. Wniosek został złożony przez policję stanową. Sąd zarządził tymczasowe zawieszenie do momentu, kiedy nastąpi pełna rozprawa sądowa, która da mi możliwość wystąpienia w swojej obronie.

Drugi list był również od komendanta policji stanowej. Informował mnie, że moje pozwolenie na broń zostało odwołane do czasu wyniku procesu, i że powinienem ją zwrócić razem ze wszystkimi odnośnymi dokumentami do jego biura. Po tym, co się zdarzyło i po tym, co zrobiłem, wszystko się rozpadło w rezultacie sprawy, w której wcale nawet nie użyłem broni.

Czas po otrzymaniu listów spędziłem z dala od domu. Pojechałem do Vermont z Walterem i spędziłem dwa dni z Rachel i Sam, zatrzymawszy się w motelu parę kilometrów od domu. Wizyta minęła bez sprzeczek. Było tak, jakby słowa Rachel w ciągu naszego ostatniego spotkania trochę oczyściły atmosferę. Opowiedziałem jej o tym, co się wydarzyło, o utracie licencji i pozwolenia. Zapytała mnie, co mam zamiar zrobić i powiedziałem jej, że nie wiem. Pieniądze na razie nie stanowiły problemu, jeszcze nie. Kredyt hipoteczny był niewysoki, jako że przy zakupie większość sumy pokryłem gotówką, którą U. S. Postal Service zapłaciła za ziemię mojego dziadka i stary dom, który na niej stał. Jednak będą rachunki do płacenia i chciałem nadal pomagać Rachel w utrzymaniu Sam. Powiedziała mi, żebym się tym zbytnio nie martwił, chociaż rozumiała, dlaczego jest to dla mnie ważne. Kiedy się zbierałem do wyjazdu, Rachel przytuliła mnie i ucałowała lekko w usta i przypomniałem ją sobie, a ona przypomniała sobie mnie.

Następnego wieczoru u Nataszy była kolacja dla June Fitzpatrick. Joel Harmon się nie zjawił. Było tylko kilku przyjaciół June i Phil Isaacson, krytyk sztuki z gazety „Press Herald” oraz parę innych osób, które znałem ze słyszenia. Nie chciałem tam iść, ale June nalegała i w końcu okazało się, że był to całkiem przyjemny wieczór. Wyszedłem po paru godzinach, zostawiając ich, zanim skończyło się wino i zamówiono deser.

Od morza wiał ostry wiatr. Zakłuł mnie w policzki i sprawił, że łzawiły mi oczy, kiedy szedłem do samochodu. Zaparkowałem na Middle Street niedaleko Ratusza. Było dużo wolnych miejsc i po drodze minęło mnie niewielu ludzi.

Przed apartamentowcem, niedaleko komendy głównej wydziału policji w Portland stał mężczyzna. Palił papierosa. Widziałem jego żarzący się koniuszek w cieniu rzucanym przez daszek nad wejściem. Gdy doszedłem do niego, zastąpił mi drogę.

- Przyszedłem się pożegnać - powiedział. - Na razie.

Egzekutor był ubrany, jak zawsze, w ciemny płaszcz, pod którym miał granatową marynarkę i niemodną koszulę z szerokim kołnierzykiem, zapiętą pod szyję. Zaciągnął się ostatni raz papierosem i wyrzucił go.

- Słyszę, że ma pan kłopoty.

Nie chciałem rozmawiać z tym człowiekiem, bez względu na to, kim naprawdę był, ale nie wyglądało na to, że mam jakiś wybór. W każdym razie wątpiłem, że był tutaj tylko po to, by się pożegnać. Nie sprawiał wrażenia sentymentalnego faceta.

- Przynosisz mi pecha - powiedziałem. - Wybacz pan, ale nie uronię łzy, kiedy pan odjedzie.

- Myślę, że pan też przynosi mi pecha. Musiałem przemieścić część swojej kolekcji, straciłem bezpieczny dom i pan Eldritch był zmuszony znosić niechciany rozgłos. Obawia się, że to będzie jego koniec.

- Serce się kraje. Zawsze był taki pełen życia.

Egzekutor wyjął tytoń i bibułki z kieszeni, starannie zwinął, a potem zapalił kolejnego papierosa, kiedy pierwszy jeszcze żarzył się w rynsztoku. Robił wrażenie, jakby nie był w stanie myśleć sprawnie bez czegoś palącego się w jego palcach czy ustach.

- Skoro już pan tu jest, mam do pana pytanie - powiedziałem.

Zaciągnął się głęboko, a potem wypuścił chmurę dymu w nocne powietrze, wykonując ręką znak zachęty.

- Dlaczego akurat ci mężczyźni? - zapytałem. - Skąd zainteresowanie tym przypadkiem?

- To samo pytanie można by również zadać panu - odpowiedział. - W końcu panu nie płacono za to, żeby ich znaleźć. Być może właściwsze byłoby pytanie: dlaczego nie ci mężczyźni? Zawsze wydawało mi się, że są dwa rodzaje ludzi na tym świecie: ci, którzy czują się bezradni wobec zła istniejącego na świecie i odmawiają działania, bo nie widzą jego sensu, oraz ci, którzy wybierają swoje bitwy i walczą do końca, bo rozumieją, że o wiele gorzej jest nic nie robić, niż robić coś i spotkać się z niepowodzeniem. Tak jak pan, i ja zdecydowałem się na to dochodzenie i postanowiłem doprowadzić je do końca.

- Mam nadzieję, że pana wynik był bardziej zadowalający niż mój.

Egzekutor roześmiał się.

- Nie może pan być całkowicie zaskoczony tym, co się

panu stało - powiedział. - Cudem pozostawał pan przy życiu i nawet pana przyjaciele już nie mogli dłużej pana ochraniać.

- Moi przyjaciele?

- Mój błąd: pańscy niewidoczni przyjaciele, pańscy sekretni przyjaciele. Nie mam na myśli śmiertelnie zabawnych kumpli z Nowego Jorku. Och, i niech pan się o nich nie martwi. Będę ścigał inne, więcej warte obiekty swojej antypatii. Myślę, że tym dwóm pozwolę jeszcze pożyć, na razie. Oni naprawiają dawne zło i nie chciałbym pana kompletnie osamotnić. Nie, ja mówię o tych, którzy towarzyszyli pańskim postępom w cichości, o tych, którzy ułatwiali wszystko, co pan robił, którzy wyglądali destrukcję, zostawioną przez pana i delikatnie wpływali na tych, którzy raczej woleliby widzieć pana unieszkodliwionego za kratami.

- Nie wiem, o czym pan mówi.

- Zgoda, nie przypuszczam, żeby pan wiedział. Był pan tym razem nieostrożny: potknął się na własnych kłamstwach. Przeciwno panu kumulowały się przeciwności i teraz widać tego konsekwencje. Jest pan dziwnym, wrażliwym człowiekiem, który został pozbawiony licencji, umożliwiającej robienie tego, co pan umie najlepiej, gwałtowną jednostką, której zostały odebrane zabawki. Kto może powiedzieć, co stanie się z panem teraz?

- Proszę mi nie mówić, że pan jest jednym z tych „tajemnych sekretnych przyjaciół”, bo pomyślę, że mam więcej kłopotów, niż przypuszczałem.

- Nie, nie jestem ani pana przyjacielem, ani wrogiem i odpowiadam wobec wyższej mocy.

- Daje się pan zwodzić.

- Tak? Proszę bardzo, wobec tego jest to złudzenie, któremu obydwaj ulegamy. Właśnie wyświadczyłem panu przysługę, o której pan jeszcze nie wie. Teraz zrobię ostatnią uprzejmość. Przez lata przemieszcza pan się z jasności w mrok i z powrotem, poszukując odpowiedzi, ale im więcej czasu spędza pan w ciemności, tym większa jest szansa, że to, co jest obecne wewnątrz ciemności, wyczuje pana i zwróci się przeciwko panu. Wkrótce to nastąpi.

- Spotkałem już różne rzeczy w ciemności. Ich nie ma, a ja jestem tutaj.

- To nie jest „rzecz w ciemności” - odpowiedział. - *To jest ciemność. Teraz to już wszystko.*

Odwrócił się, żeby odejść, wyrzucając drugiego gasnącego papierosa za poprzednim. Wyciągnąłem rękę, żeby go zatrzymać. Chciałem więcej. Złapałem go za ramię i moja ręka otarła się o jego skórę...

I miałem wizję postaci skręcających się w męczarniach, i innych samotnych w opuszczonych miejscach płaczących do Tego, który ich opuścił. I zobaczyłem Wydrążonych Ludzi i w tym momencie pojąłem naprawdę, kim oni byli.

Egzekutor wykonał piruet, jak tancerz. Błyskawicznie strącił moją rękę, a potem znalazłem się pod murem, poczułem jego palce na swojej szyi, moje stopy z wolna opuszczały ziemię, gdy mnie podniósł do góry. Próbowałem go kopnąć, ale on zmniejszył odległość między nami i ucisk na mojej szyi wzrósł, dławiąc mnie do utraty tchu.

- Niech pan mnie nigdy nie dotyka - powiedział. - Nikt mnie nie dotyka.

Złuźnił uchwyt, ja zjechałem po murze i upadłem na kolana, z bólem łapiąc ogromne łyki powietrza przez otwarte usta. Skóra mnie swędziała i piekła tam, gdzie jego palce mnie trzymały i czułem na sobie nikotyne i zgniliznę.

- Niech no pan spojrzy na siebie - powiedział, a jego słowa ociekały współczuciem i pogardą. - Człowiek męczony pytaniami bez odpowiedzi, człowiek bez ojca i bez matki, człowiek, który pozwolił sobie utracić dwie rodziny.

- Miałem ojca - powiedziałem. - Miałem matkę i ciągle jeszcze mam swoją rodzinę.

- Ma pan? Nie na długo.

Coś okrutnego przemieniło jego rysy, jak u małego chłopca, który widzi szansę, by torturować nieme zwierzę.

- A jeżeli chodzi o ojca i matkę, to niech pan mi coś wyjaśni: ma pan grupę krwi B. Widzi pan, ile wiem o panu? No więc, teraz moje pytanie... - Pochylił się bliżej do mnie. - Jak

może dziecko z grupą krwi B mieć ojca, który miał grupę A i matkę, która miała grupę o. To zupełna zagadka.

- Pan kłamie.

- Tak? No to dobrze, niech będzie. Odstąpił ode mnie.

- Ale może pan ma inne sprawy, które zajmują pański czas: sprawy widziane kątem oka, zmarłe byty, dziecko, które szepcze w nocy i matkę, która szaleje w ciemności. Niech pan z nimi zostanie, jak pan tak chce. Niech pan żyje z nimi w miejscu, gdzie oni czekają.

- Gdzie jest moja żona i dziecko?

Słowa obdzierały mi uszkodzone gardło ze skóry i nienawidziłem siebie za poszukiwanie odpowiedzi u tego nikczemnego osobnika.

- Mówił pan o istotach odciętych od Boskości. Wiedział pan o pisaniu na kurzu. Pan *wie*. Proszę mi powiedzieć, czy one są właśnie tym, straconymi duszami? I ja też tym jestem?

- A czy pan w ogóle ma duszę? - szepnął. - Jeżeli chodzi o to, gdzie jest pana żona i dziecko, to są tam, gdzie pan je trzyma.

Przykucnął przede mną, owiewając mnie swoim odorem, kiedy mówił ostatnie słowa.

- Zabrałem go, gdy był pan na kolacji, żeby miał pan alibi. To mój ostatni prezent dla pana, panie Parker, i moja ostatnia przyjemność.

Wstał i odszedł, a zanim ja podniosłem się na nogi, jego już dawno nie było. Poszedłem do samochodu i pojechałem do domu, rozmyślając o tym, co powiedział.

Joel Harmon znikł tej nocy. Todd był chory i Harmon pojechał sam na spotkanie rady miejskiej w Falmouth, gdzie wręczył czek na 25 tysięcy dolarów, jako część sumy na realizację zakupu minibusów dla miejscowej szkoły. Jego porzucony samochód znaleziono w Wildwood Park, a jego nikt więcej nie widział.

Krótko po dziewiątej następnego ranka ktoś do mnie zadzwonił. Rozmówca się nie przedstawił, ale powiedział mi, że

nakaz przeszukania mojego domu został właśnie podpisany przez sędziego Highta. Upoważnia on policję stanową do szukania wszelakiego rodzaju niezarejestrowanej broni. Będą u mnie w przeciągu godziny.

Przyjechali pod dowództwem Hansena i przeszukali każdy pokój. Zdołali ruszyć panel w ścianie, za którym kiedyś trzymałem broń, zatrzymaną pomimo zawieszenia mojego pozwolenia, ale zapakowałem ją w ceratę i plastik i wpuściłem do błotnistej sadzawki na tyłach swojej posiadłości, zakotwiczyszy pakunek liną do kamienia na brzegu tak, że wszystko, co znaleźli, to był kurz. Przeszukali również poddasze, ale nie byli tam długo, a ja dostrzegłem ulgę w twarzach umundurowanych mężczyzn, którzy schodzili na dół zadowoleni, że mogli opuścić tamto zimne i ciemne miejsce. Hansen nie odezwał się do mnie od czasu, kiedy przedstawiono mi nakaz, do momentu zakończenia przeszukania. Pożegnał mnie słowami:

- To jeszcze nie koniec.

Kiedy wyszli, zacząłem opróżniać poddasze. Usuwałem pudła i kartony, nawet nie sprawdzając ich zawartości, zrzucałem je na podest, zanim wyniosłem je na skrawek gołej ziemi i kamieni na końcu ogródka. Otworzyłem okno na poddaszu i pozwoliłem, by załało je zimne powietrze, wytarłem kurz ze szkła i wyczyściłem słowa, które na nim zostały. Potem przeszedłem przez resztę domu, czyszcząc każdą powierzchnię, otwierając szafki i wietrząc pokoje, aż wszystko było w porządku, a w środku zrobiło się tak zimno jak na zewnątrz.

One są tam, gdzie ty je trzymasz.

Zdawało mi się, że czuję ich złość i gniew albo może to wszystko było wewnątrz mnie i nawet kiedy chciałem wszystko wyczyścić, to walczyło, żeby zostać. Kiedy zaszło słońce, podpaliłem stos i przyglądałem się, jak żal i wspomnienia wstępują do nieba, tworząc szary dym i zwęglone drobiny, które zmieniły się w kurz, kiedy unosił je wiatr.

- Przepraszam - szepnąłem. - Przepraszam za wszystkie razy kiedy was zawiodłem. Przepraszam, że nie było mnie tutaj, żeby was obronić albo zginąć razem z wami. Przepraszam, że trzymałem was tutaj u siebie tak długo, uwięzione w

moim sercu, spętane żalem i wyrzutami sumienia. Ja wam też wybaczam. Wybaczam, że zostawiłyście mnie, i wybaczam, że wróciłyście. Wybaczam wam wasz gniew i wasz żal. Niech to będzie ich koniec. Niech to będzie koniec tego wszystkiego. Musicie teraz odejść - powiedziałem głośno do cieni. - Nadszedł czas, żebyście odeszły. I przez płomień zobaczyłem, że moczary lśnią i światło księżyca padło na dwa kształty na wodzie błyszczące w gorącym ogniu. Potem się odwróciły, kiedy inni dołączyli do nich, zastępy podróżujące naprzód, dusza za duszą, aż w końcu znikły w tryumfalnym szumie ginących fal.

Tamtej nocy, jak gdyby wezwana przez ogień, Rachel zadzwoniła do drzwi domu, który kiedyś dzieliliśmy, doprowadzając Waltera do szaleństwa, kiedy ją poznał. Powiedziała, że martwi się o mnie. Rozmawialiśmy, jedliśmy i wypiliśmy trochę za dużo wina. Kiedy się obudziłem następnego ranka, ona spała koło mnie. Nie wiedziałem, czy to był początek czy koniec, ale za bardzo się bałem, by zapytać. Wyjechała przed południem, na naszych ustach został pocałunek i niewypowiedziane słowa.

Gdzieś daleko samochód zatrzymał się przed niezwracającym uwagi domem przy spokojnej wiejskiej drodze. Otwarto bagażnik i wyciągnięto ze środka człowieka, który upadł na ziemię, zanim go postawiono na nogi: oczy miał związane, usta zakneblowane, ręce związane z tyłu drutem, który już wrzynał się w nadgarstki i krew spływała na jego ręce, nogi były związane w ten sam sposób powyżej kostek. Próbował utrzymać się na nogach, ale prawie zasłabł, kiedy krew zaczęła płynąć przez jego osłabione, ściśnięte kończyny. Poczul ręce na nogach, potem drut został przecięty na nich tak, że mógł iść. Wtedy zaczął biec, ale podcięto mu nogi i jakiś głos powiedział jedno, niktyną śmierdzące słowo: „Nie”.

Podciągnięto go na nogi jeszcze raz i wprowadzono do domu. Otworzono drzwi i sprowadzono go na dół po drewnianych schodach. Jego stopy dotknęły kamiennej podłogi.

Szedł przez jakiś czas, aż ten sam głos kazał mu się zatrzymać i zmuszono go, by ukląkł. Słyszał, jakby coś poruszono, jakby deska była podniesiona z czegoś przed nim. Zdjęto mu opaskę z oczu, usunięto knebel i zobaczył, że jest w piwnicy, pustej z wyjątkiem starej szafy w jednym kącie, jej podwójne otwarte drzwi ukazywały świecidelka leżące w środku, chociaż były zbyt daleko, by mógł je wyraźnie dostrzec w mroku.

Przed nim był dół w ziemi i zdawało mu się, że czuje zapach krwi i nieświeżego mięsa. Dół nie był głęboki, może jakieś półtora metra do metr osiemdziesiąt i był wysypany na dnie kamieniami, odłamkami skalnymi i połamanymi dachówkami. Zamrugął i przez moment miał wrażenie, że dół jest głębszy, jak gdyby kamienne dno było w jakiś sposób zawieszono nad o wiele głębszą przepaścią pod spodem. Poczul ręce poruszające się koło jego przegubów i potem jego ukochany zegarek Patek Philippe został zdjęty.

- Złodziej! - powiedział. - Nie jesteś niczym więcej, jak tylko złodziejem.

- Nie - powiedział głos. - Jestem Egzekutorem.

- To weź go - powiedział Harmon. Głos miał ochrypliwy z braku wody i czuł się słabo i niedobrze po długiej podróży w bagażniku samochodu.

- Po prostu weź go i puść mnie. Mam też pieniądze. Mogę kazać przesłać ci je wszędzie, gdzie zechcesz. Możesz mnie trzymać, dopóki ich nie dostaniesz do ręki i obiecuję, że dostaniesz drugie tyle, jak mnie uwolnisz. Proszę, puść mnie. Cokolwiek ci zrobiłem, przepraszam.

Głos znowu zabrzmiał z jego dobrej strony. Nie widział jeszcze tego człowieka. Został uderzony od tyłu, gdy szedł do swojego samochodu i ocknął się w bagażniku. Wydawało mu się, że jechali przez wiele, wiele godzin, zatrzymując się tylko raz, kiedy wiozący go człowiek napełniał bak. Nawet wtedy nie zrobili tego na stacji paliw, bo nie słyszał dystrybutora paliwa ani hałasu innych samochodów. Domyślał się, że jego porywacz trzymał kanistry na tylnym siedzeniu pojazdu, żeby nie musieć tankować paliwa w publicznym miejscu i ryzykować, że jego więzień narobi hałasu i zwróci uwagę.

Teraz klęczał w zakurzonej piwnicy, patrząc nieruchomo w dół wykopany w ziemi, który był i płytki, i głęboki, a głos mówił:

- Jesteś stracony.
- Nie - powiedział Harmon. - Nie, nie jest tak.
- Jesteś nie w porządku i twoje życie podlega konfiskacie.

Twoja dusza podlega konfiskacie.

- Nie - powiedział Harmon, ton jego głosu podniósł się. - To jest pomyłka. Robisz błąd.

- Nie ma żadnego błędu. Wiem, co zrobiłeś. Oni wiedzą.

Harmon zajrzał do dołu, skąd cztery sylwetki patrzyły na niego nieruchomo. Ich oczy - ciemne otwory na tle cienkiego jak papier pokrycia czaszek, usta czarne i pomarszczone, szeroko otwarte. Jego włosy zostały pochwycone przez mocne palce, głowa odciągnięta do tyłu. Poczul coś zimnego przy skórze, potem ostrze przecięło mu gardło, rozbryzgując krew na podłogę i do dołu, ochlapując twarze mężczyzn poniżej.

I Wydrążeni Ludzie wzniesli ramiona do niego i przyjęli go w swoje szeregi.

Podziękowania

Książka ta nie mogłaby powstać bez cierpliwości i życzliwości wielu osób, które chętnie podzieliły się ze mną swoją wiedzą i doświadczeniem. Jestem szczególnie wdzięczny dr. Larry'emu Ricciemu, dyrektorowi Spurwink Child Abuse Program w Portland, w stanie Maine; Vickie Jacobs Fisher z Maine Committee to Prevent Child Abuse; i dr. Stephenowi Hermanowi, M. D., psychiatrze medycyny sądowej i miłośnikowi piór wiecznych z Nowego Jorku. Bez pomocy tych trzech osób, będących uosobieniem szczodrości, moja książka byłaby o wiele uboższa, o ile, w samej rzeczy, w ogóle by powstała.

Osoby wyszczególnione poniżej również dostarczyły mi cennych informacji w kluczowych momentach pisania powieści i jestem im za to bardzo wdzięczny. Są to: Matt Mayberry (nieruchomości); Tom Hyland (Wietnam i sprawy wojskowe); Philip Isaacson (problemy prawne); Vladimir Doudka i Mark Dunne (sprawy rosyjskie); Luis Urrea, mój kolega, nieskończenie bardziej utalentowany pisarz, który życzliwie poprawiał moje bardzo skromne próby w zakresie języka hiszpańskiego. Policjant Joe Giacomantonio z wydziału policji w Scarborough kolejny raz uprzejmie odpowiadał na moje pytania w sprawie procedur. Wreszcie, pani Jeanette Holden z Jackman Moose River Valley Historical Society, dostarczyła mi wspaniałych materiałów i dobrego towarzystwa na całe popołudnie. Zobowiązany jestem również Jackman Chamber of Commerce za wspomóżenie mnie i pomoc zespołu z biblioteki naukowej w Maine Historical Society w Portland. Jak zawsze, błędy, którym niewątpliwie udało się wkraść, są wyłącznie moje własne.

Kilka książek i artykułów okazało się szczególnie pożytecznych w celach badawczych: *The Yard* Michaela S. Sandersa (Perennial, 1999); *History of the Moose River Valley*

(Jackman Moose River Historical Society, 1994); *Arnold's Expedition up the Kennebec to Quebec in 1775* autorstwa H. N. Fairbanksa (archiwum The Maine Historical Society); *South Portland: A Nostalgie Look At Our Neighborhood Stores* napisane przez Kathryn Ones Di Phillip (Barren Mill Books, 2006) i nagrodzone reportaże *Portland Phoenix* na temat zastosowania „krzesła” w więzieniu o zaostrzonym rygorze the Maine Supei max, szczególnie „Torture in Maine's Prisons” autorstwa Lance Tapley (11 listopada, 2005).

Teraz w tonie osobistym, muszę wyznać, że mam nadal niezwykle szczęście do redaktorek, Sue Fletcher w Hodder & Stoughton i Emily Bestler w Atria Books, które mają świętą cierpliwość i umiejętności chirurgów literackich. Podziękowania należą się również kolejnym osobom, a są to: Jammie Hodder-Williams, Martin Neild, Lucy Hale, Kerry Hood, Swati Gamble, Auriol Bishop, Kelly Edgson-Wright, Toni Lance, Bill Jones i wszyscy w wydawnictwie Hodder & Stoughton; Judith Curr, Louise Burke, David Brown, Sarah Branham, Laura Stern i wszyscy w wydawnictwie Atria; i Kate i KC O'Hearn, bez których CD *Into the Dark* nie byłoby możliwe. Mój agent, Darley Anderson, jak zawsze opoka zdrowego rozsądku i przyjaźni, i to jemu i Emmie, Lucie, Elizabeth, Julii, Rosi, Elli, Emmie, Maddie i Zoe zawdzięczam swoją karierę. Na końcu, Jennie, Cam i Alister, dzięki, za to, że mnie znosicie.

Zakończę paroma słowami o Davie „Zgaduli” Glovskym. Dave istniał naprawdę i uprawiał swój zawód na Old Orchard Beach, ale mam najszczerzą nadzieję, że nigdy nie spotkał takiego człowieka, jak Frank Merrick. W pewnym momencie rozważyłem umieszczenie lekko zmienionej wersji Zgaduli w tej powieści, ale to wydawało się nie w porządku wobec tego najniezwyklejszego z ludzi, więc pojawia się jako on sam i gdyby ktoś z jego krewnych spotkał go na tych stronach, mam nadzieję, że przyjmie to jako hołd dla niego, bo tak jest w moim zamyśle.

John Connolly Grudzień, 2006